KWARTALNIK O TRADYCJI I CHWALE POLSKIEGO ORĘŻA

KRWAWE LATO
Polacy w bitwie o Anglię

ROMAN SZYMAŃSKI
bohater spod Monte Cassino

HISTORIA

POLSKA ZBROJNA

NR 2 (10) 2019
www.polska-zbrojna.pl

CENA 9,99 ZŁ (w tym 8% VAT)
ISSN 2543-8735

TEMAT NUMERU

Polska w sieci sojuszy dyplomatycznych i militarnych

Kto z nami, kto przeciw nam

PŁONĄCA GRANICA
konflikt polsko-litewski

JAK LEW Z ORŁEM
DLACZEGO BRYTYJCZYKOM POTRZEBNA BYŁA POLSKA W 1939 ROKU

LEGENDA ARMII GENERAŁA BUŁAKA-BAŁACHOWICZA

KIJÓW – WSTĘP DO WOJNY

ISSN 25438735

III WAKACJE DLA BOHATERA

WALCZYLI DLA NAS. ZAWALCZMY DLA NICH!

15-23 WRZEŚNIA • MIĘDZYZDROJE

Dołóż swoją cegiełkę na wypoczynek dla kombatantów
61 1140 2004 0000 3902 7866 0327 z dopiskiem „Wakacje dla Bohatera”

oraz licytuj przedmioty na: Bazarek.PaczkaDlaBohatera
szczegóły akcji: PaczkaDlaBohatera

organizator:

patronaty honorowe:

partnerzy:

patron medialny:

FOT. CEZARY POMYKAŁO

ANNA PUTKIEWICZ
REDAKTOR NACZELNY

MAMY W POLSCE OD POKOLEŃ OSOBLIWĄ MANIERĘ **ROZLICZANIA INNYCH NARODÓW** Z REPREZENTOWANIA… POLSKIEJ RACJI STANU.

Silni, zwarci, gotowi – tacy byliśmy podobno przed wrześniem 1939 r. Wyrobiona warszawska publiczność sławnych stołecznych kabaretów poprawiała sobie wieczorami nastrój, oglądając skecze, w których „dajemy łupnia, panie" wszystkim wokół. Sempoliński jako Hitler z przerysowanym wąsem wił się na deskach, a nasi politycy dokonywali cudów jedynie za pomocą zabawnych bon motów i siły żelaznego spojrzenia. Na koniec piękny jak marzenie chór, koniecznie męski, pieczętował zwycięstwo. Ówczesna popkultura okazała się skutecznym wzmocnieniem tamtej politycznej narracji, hurraoptymistycznej, choć suflowanej z nabożną niemal mocą i powagą. Byliśmy w tej histerycznej euforii gotowi wyjść wówczas na spotkanie wilka niczym Czerwony Kapturek radośnie pląsający po leśnych ścieżkach z koszyczkiem zaopatrzonym przez „troskliwe ręce" we wszelkie specjały. My mieliśmy w koszyczku noty gwarancyjne. Ale w zasadzie, jak twierdzi część historyków, nie mogliśmy mieć nic innego. Nie było dobrego scenariusza. Wtedy w polskich domach wszyscy znali się na geopolityce i na prowadzeniu wojen. Ktokolwiek chciałby wówczas „pójść w poprzek" panującej atmosferze, zostałby oskarżony o defetyzm. Przekonał się o tym osamotniony Władysław Studnicki, którego profetyczne – jak się okazało – analizy zawierały propozycje niemożliwe wtedy do przełknięcia dla polskich polityków, nawet w czysto teoretycznych rozważaniach. Studnicki twierdził, że stół, przy którym siadają politycy, nie powinien się różnić od tego, przy którym ubijają interes ludzie biznesu. Mogą się nawet lubić, ba, mogą mieć sentyment do dokonań przodków, wiedzą jednak, że kwestia sympatii nie wpłynie zasadniczo na główny punkt umowy, który stanowi, że niczego nie ma za darmo. Kiedy przestało być zabawnie i powiało grozą, staliśmy się zakładnikami własnych narodowych emocji. Nie wyczuliśmy powagi sytuacji. Jan Meysztowicz, polski dyplomata, we wspomnieniach przytacza scenę, kiedy trzeciego dnia wojny warszawiacy wylegli na Nowy Świat. Upłynął właśnie termin ultimatum, jakie Anglicy i Francuzi postawili Niemcom: „Tłum ryczał i szlochał. Ryczał z całej duszy swą wiarę w Wielką Brytanię. Szlochał swą wdzięczność i otuchę […]. O Francji wiedziało niemal każde dziecko. Wszyscy wiedzieli, że oto po raz pierwszy w historii Wielka Brytania stała się pełnym […] aliantem Rzeczypospolitej". Ta scena to moment graniczny naszych relacji, które kończy wymuszona absencja polskich żołnierzy na paradzie zwycięstwa tuż po wojnie. Boli nas ta niegodziwość do dziś. I boli słusznie. Mamy też jednak od pokoleń w Polsce osobliwą manierę rozliczania innych narodów z reprezentowania… polskiej racji stanu. Obcy politycy – według naszych projekcji – powinni w swych strategicznych decyzjach brać pod uwagę polskie interesy, ot, choćby w imię naszej wyjątkowości i zasług. Dzielimy Europę, i cały świat, na przyjaciół i wrogów. Jednym wciąż wypominać będziemy, że nas „zdradzili, zostawili, wydali, krwi naszej i zasług nie pamiętali". Innym narodom przypisujemy bezwarunkową miłość do Polski, opartą na enigmatycznych wprawdzie przesłankach, ale pobłażliwie rozumiemy ich przecież, no bo któż zdołałby się oprzeć naszemu narodowemu urokowi. Jakże to rozumiem. Ja na przykład lubię Chestertona, bo rzekł kiedyś, że wszyscy niegodziwcy, których spotkał, byli wrogami Polski. Po lekturach jego książek tę sympatię odczuwam jako nobilitację.

***

Tegoroczne uroczystości w 75. rocznicę bitwy pod Monte Cassino były imponujące. Tak właśnie naród powinien czcić swoje wojsko. Wróciłam na Monte Cassino dwa tygodnie później. Wróciłam po ciszę. Znalazłam jednak znacznie więcej. Ukształtowanie masywu, szczególnie skarpy wzgórz 593 i „Widma", które zdobywali Polacy, uprzytomniło mi skalę ich czynu. Jeśli mają Państwo w planach wakacyjnych podróż do Włoch – pamiętajcie o Naszych na Monte Cassino. ■

OKŁADKA: FOT. CEZARY POMYKAŁO
STOWARZYSZENIE MUZEALNA GRUPA HISTORYCZNA IM. II BATALIONU 18 PUŁKU PIECHOTY Z SOCHACZEWA

20 nr 2

SPIS TREŚCI

Sojusze

PIOTR KORCZYŃSKI
20 Jak Lew z Orłem
Rozmowa z Jakubem Politem
WOJCIECH MAZUR
28 Związek asymetryczny
ANNA DĄBROWSKA
34 Polsko-francuska szkoła uczuć
Rozmowa z Małgorzatą Gmurczyk-Wrońską
JACEK ŻUREK
74 ...da un paese lontano
JAROSŁAW WOŁKONOWSKI
86 Od konfliktu do zgody
TOMASZ PALUSZYŃSKI
100 Niespokojny sen zimowy
JAN JÓZEF KASPRZYK
108 Kijów – wstęp do wojny
DANIEL KOREŚ
122 Dziś przyjaciel, jutro wróg?
ROBERT SENDEK
130 Z ziemi rumuńskiej po wolność
MICHAŁ KOZŁOWSKI
148 I do bitki i do szklanki

Strategie

JULIUSZ S. TYM
38 Normandzkie meandry sojuszy wojskowych

Polacy z wyboru

ŁUKASZ STEFANIAK
48 Rosa Bailly – żarliwa polonofilka
ANDRZEJ ŁYDKA
116 Legenda armii gen. Bałachowicza
ŁUKASZ ZALESIŃSKI
154 Gdy źle w Księstwie, źle i w Prusach

Lotnictwo

GRZEGORZ ŚLIŻEWSKI
52 Krwawe lato
MARIUSZ NIESTRAWSKI
60 Francuscy współtwórcy polskiego lotnictwa

Sztandary Wojska Polskiego

JAROSŁAW PYCH
66 Niepozorny znak wielkiego sojuszu

Wojna i polityka

PIOTR KORCZYŃSKI
68 II Rzeczpospolita była Polską z wizji Dmowskiego – część 2.
Rozmowa z Krzysztofem Kawalcem.
KRZYSZTOF TARKA
94 Płonąca granica
ANDRZEJ DUBICKI
140 Żelazny jak legion

Życiorysy heroiczne

JERZY KIRSZAK
80 W piekle ognia
gen. Roman Szymański

Świadkowie

ROBERT SENDEK
136 Zamordowany za prawdę

Polonofile i polakożercy

PIOTR KORCZYŃSKI
158 Bracia Moskale kontra Wieszatiel

Wojenne epizody

WOJCIECH KRAJEWSKI
162 Pomoc z dalekiego kraju

Historie ocalone

DOMINIK KAŹMIERSKI
161 Ani śladu

Z arsenału Muzeum Wojska Polskiego

MICHAŁ MACKIEWICZ
168 Przyjaciele spod znaku półksiężyca

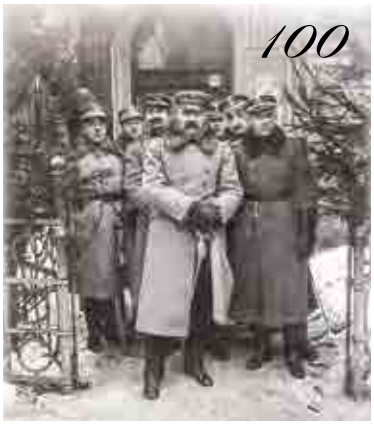

Motoryzacja
JAN TARCZYŃSKI
174 Rolls-Royce Marszałka

Kawalerowie Virtuti Militari
ANNA DĄBROWSKA
181 Uratował polskie złoto

Orzeł biały
TOMASZ ZAWISTOWSKI
182 Marynarskie orły z pracowni Wiktora Gontarczyka

Konstruktorzy broni
PIOTR KOCYAN
186 Decyzją większości

Ceremoniał wojskowy
MARIUSZ KUBAREK
188 Polegli na polu chwały

Wielkie kolekcje
ROBERT MARCINKOWSKI
192 Przewodnik po miejscach, których już nie ma

Notatnik kolekcjonera
ANDRZEJ WITKOWSKI
195 Świat filokartystyki

WOJSKOWY INSTYTUT WYDAWNICZY
Aleje Jerozolimskie 97, 00–909 Warszawa

DYREKTOR WOJSKOWEGO INSTYTUTU WYDAWNICZEGO
Maciej Podczaski,
tel. 261 845 365, 261 845 685, faks 261 845 503;
sekretariat@zbrojni.pl

POLSKA ZBROJNA. HISTORIA

REDAKTOR NACZELNY
Anna Putkiewicz, tel. 261 846 764;
pzhistoria@zbrojni.pl

SEKRETARZ REDAKCJI
Małgorzata Łętowska, tel. 261 845 165;
pzhistoria@zbrojni.pl

REDAKCJA
Piotr Korczyński
tel. 261 845 604;
pzhistoria@zbrojni.pl

GRAFIKA
Marcin Dmowski (kierownik),
Marcin Izdebski (projekt szaty graficznej i opracowanie),
Andrzej Witkowski (fotoedytor), tel. 261 845 579

STALE WSPÓŁPRACUJĄ:
Anna Dąbrowska, Maciej Chilczuk, prof. Andrzej Gąsiorowski, Jarosław Godlewski, dr Grzegorz Jasiński, Łukasz Jędrzejczak dr Jerzy Kirszak, ks. płk dr Zbigniew Kępa, Wojciech Krajewski, Mikołaj Kubacki, płk Mariusz Kubarek, prof. Mirosław Lenart, ppłk Andrzej Łydka, Michał Mackiewicz, dr Mariusz Niestrawski, dr Adam A. Ostanek, dr Konrad Paduszek, dr Marcin Paluch, dr Anna Pastorek, prof. Bogusław Polak, prof. Wojciech Polak, Paweł Rozdżestwieński, dr Jan Tarczyński, prof. płk Juliusz S. Tym, dr Krzysztof Wielgus, M. Renata Wilewska, prof. Wojciech Włodarkiewicz, Tadeusz Wróbel, Łukasz Zalesiński, Tomasz Zawistowski

KWERENDA FOTOGRAFICZNA: Dominik Kaźmierski

OPRACOWANIE STYLISTYCZNE
Beata Stadryniak-Saracyn,
January Szustakowski

MARKETING I PROMOCJA
Piotr Zarzycki, Agnieszka Karaczun, Anita Kwaterowska (tłumacz), Małgorzata Szustkowska, Marta Szulc,
tel. 261 845 387, 261 845 180,
faks 261 845 503; reklama@zbrojni.pl

DRUK:
ARTDRUK, ul. Napoleona 4,
05-230 Kobyłka, www.artdruk.com

PRENUMERATA
Zamówienia na prenumeratę wydań papierowych „Polski Zbrojnej. Historia" można składać pod adresem:
sklep.polska-zbrojna.pl

KOLPORTAŻ I REKLAMACJE
Poczta Polska Usługi Cyfrowe Sp. z o.o.
ul. Duninowska 9a, 87–823 Włocławek
tel. 542 315 201, 502 012 187;
elzbieta.kurlapska@poczta-polska.pl

PARTNER
Narodowe Archiwum Cyfrowe.
170 tysięcy zdjęć online na www.nac.gov.pl

Treść zamieszczanych materiałów nie zawsze odzwierciedla stanowisko redakcji. Tekstów niezamówionych redakcja nie zwraca. Zastrzega sobie prawo do skrótów i zmiany tytułów. Egzemplarze kwartalnika w wojskowej dystrybucji wewnętrznej są bezpłatne. Informacje: tel. 261 840 400.
Zasady przekazywania redakcji kwartalnika „Polska Zbrojna. Historia" materiałów tekstowych i graficznych opisuje regulamin dostępny na stronie głównej portalu polska-zbrojna.pl.

...trzeci raz na Sybir wywieźć się nie pozwolę... Po demobilizacji, z przedstawicielami ludu Bantu. Okolice Tengeru w Tanzanii, mniej więcej na dekadę przed śmiercią (Antoni Ligęza zmarł w 1956 r. w Penrhos, w Walii).

Tych lat nie odda nikt, czyli tuż przed zawieruchą albo raj utracony... Antoni Ligęza (ur. w 1885 r.) siedzi pierwszy z prawej, obok żona Leokadia. Lata trzydzieste XX w., Wileńszczyzna.

...z Polski do Polski, czyli kuchnie polowe nie wiadomo gdzie... Antoni Ligęza (siedzi pierwszy z lewej) z kolegami. Sierpień 1943, Teheran, obóz Armii gen. Andersa.

Synkowie moi, poszedłem w bój,
jako wasz dziadek, a ojciec mój,
jak ojca ojciec i ojca dziad,
co z Legionami przemierzył świat.
[...]
Synkowie moi, lecz gdyby Pan
nie dał wzejść zorzy z krwi naszych ran,
to jeszcze w waszej piersi jest krew...
Jerzy Żuławski

FOT. ARCHIWUM RODZINNE KRZYSZTOFA LIGĘZY

FOT. ELŻBIETA LENART

MIROSŁAW LENART
PROFESOR NAUK HUMANISTYCZNYCH,
HISTORYK LITERATURY, TEOLOG

Sojusz Rzeczypospolitej z Rzymem

Przez bramę Porta del Popolo 27 listopada 1633 r. do Rzymu przejechał orszak liczący kilka tysięcy osób, z których 300 należało do asysty Jerzego Ossolińskiego, przybywającego do papieża Urbana VIII w imieniu króla polskiego Władysława IV z poselstwem obediencyjnym. Wjazd ten zapamiętano nie tylko dzięki wyjątkowemu przepychowi, który pragnął uchwycić w akwafortach Stefano Della Bella, ale także złotym podkowom, jakimi podkuto konia polskiego dyplomaty przed wjazdem do wiecznego miasta. Najważniejszym aktem była jednak mowa obediencyjna wygłoszona po łacinie przez polskiego posła, która wzbudziła podziw papieża. Poselstwo Ossolińskiego uchodzi za więcej niż udane i to nie tylko w wymiarze krótkotrwałej promocji znaczenia Rzeczypospolitej. Oprócz ulotnej pamięci po uroczystym wjeździe trwałym śladem obecności polskiego dyplomaty był zestaw przedstawionych papieżowi spraw, które zyskały jego przychylność. Wśród nich wart wyróżnienia jest fakt ustanowienia osobnego officium brewiarzowego *Officium gratiarum actionis pro victoria ex Turcis obtenta anno 1621*, związanego ze zwycięstwem wojsk polskich nad armią turecką w bitwie pod Chocimiem w 1621 r. Trudno się też dziwić, że pod koniec XVII stulecia Jan III Sobieski zwrócił się do papieża Innocentego III po zwycięstwie nad wojskami tureckimi pod Wiedniem, słowami Venimus, vidimus, Deus vicit (Przybyliśmy, zobaczyliśmy, zwyciężył Bóg).

Ten znaczący gest ze strony papieża, wychodzący naprzeciw polskim zabiegom, tłumaczy po części, dlaczego Ossoliński w swojej mowie dał znaczące świadectwo wrażliwości świata, jaki reprezentował, na działanie do pozyskiwania cnót charakteryzujących chrześcijańskiego rycerza. Tym samym jego oracja, choć wygłoszona w XVII stuleciu, oddaje po części zarówno charakter polskiej religijności, jak i duchowości ugruntowanej na podstawie odniesień militarnych. Oto parę zdań z oracji: „Wrodzona jest gorliwość w wierze narodowi polskiemu; stąd owo poszanowanie dla biskupów, którym pierwszych miejsc w senacie ustąpiono i którym najprzedniejsze sprawy Rzeczypospolitej oddano. [...] Pomijam rozrzutną, że tak rzeknę, w stawianiu gmachów kościelnych i ozdobie ich hojność, zamilczę i o tem, że tam nabożeństwo najgorętsze, bo to cały świat zgodnie uznaje: ale wspaniałość umysłu tego narodu i stąd poznać się godzi, że od tylu wieków przeciw dzikim i okrutnym imienia chrześcijańskiego nieprzyjaciołom straż trzymając, placu im nie ustępuje. Półksiężyce otomańskie, które tyle wojsk potężnych, tyle miast obronnych zniosły, tyle niedostępnych wąwozów, tyle rzek bystrych przebyły, tyle osad chrześcijańskich zniszczyły — Polacy gołemi piersiami zatrzymują. Tatarska zajadłość, że się dotychczas po całej Europie nie rozlała, jedna Rzeczypospolita powściąga. Moskali z imienia tylko chrześcijan, ale rzeczą samą i obyczajami gorszych od reszty barbarzyńców, tylekroć zwyciężyliśmy, pognębili, a wreszcie najpiękniejszą część ich krajów w prowincję naszą zamienili. To wszystko największą wspaniałością umysłu a zgoła rzymską cnotą stanęło. Nagrodziliśmy starożytnemu miastu, srogością przodków naszych obrażonemu, gdyśmy jego prawa i obyczaje przyjęli[1]".

Czyż nie są dalej aktualne słowa polskiego dyplomaty?

[1] Teksty źródłowe do nauki historii w szkole średniej. Zeszyt 36 - Od rokoszu Zebrzydowskiego do wojen kozackich w świetle źródeł przedstawił dr Kazimierz Tyszkowski bibliotekarz Ossolineum we Lwowie, Kraków 1923, s. 31–32.

9 stycznia 1797 r.

umowa o powstaniu Legionów Polskich

1

2

3

4

5

Gdy Polska zniknęła z mapy Europy po III rozbiorze, wielu działaczy niepodległościowych wyemigrowało, aby poza granicami okupowanego państwa podjąć dalsze działania na rzecz odzyskania niepodległości. Jednym z największych skupisk polskiej emigracji stał się Paryż.

Emigracja paryska szybko podzieliła się na dwa zwalczające się obozy: radykalno-lewicową Deputację i umiarkowaną Agencję. Działacz Agencji, Józef Wybicki uważał, że drogą do odzyskania niepodległości jest utworzenie pod egidą Francji polskiej formacji zbrojnej. Ponieważ Tadeusz Kościuszko został uwięziony przez Rosjan, na jej czele miał stanąć ktoś okryty sławą w niedawnej insurekcji. Wybicki wskazał swojego osobistego przyjaciela – gen. Jana Henryka Dąbrowskiego.

Wiosną 1796 r. gen. Dąbrowski przebywał w Berlinie. Starał się nakłonić króla Prus do przyjęcia tytułu króla Polski i utworzenia polskich oddziałów. Dwór pruski nie był jednak zainteresowany, gdyż działania takie oznaczałyby pewną wojnę z Rosją i Austrią. Odmowa skłoniła generała do wyjazdu do Francji.

Jeszcze przed przyjazdem do Paryża opracował wstępny projekt sformowania legii polskiej, który wysłał do ówczesnego rządu francuskiego – Dyrektoriatu, a następnie rozwinął go w dłuższe memorandum już po dotarciu do Paryża pod koniec września. Dyrektoriat polecił Dąbrowskiemu, by udał się do Mediolanu, do kwatery gen. Napoleona Bonapartego, dowódcy Armii Włoch. Tam właśnie miały zostać utworzone polskie oddziały, pozostające formalnie na żołdzie jednej z nowo powstałych republik włoskich (na mocy prawa w skład armii francuskiej nie mogły wówczas wchodzić jednostki cudzoziemskie).

Do pierwszego spotkania Dąbrowskiego z Bonapartem doszło 3 grudnia. Francuski generał odniósł się jednak sceptycznie zarówno do Dąbrowskiego, jak i jego projektu. Niechęć ta była efektem działań sympatyzującego z Deputacją kpt. Józefa Sułkowskiego, adiutanta Bonapartego. Dowódca Armii Włoch zgodził się na sformowanie tylko jednego batalionu i to w mundurach lombardzkich, polska jedynie miała być komenda. Zdanie zmienił dopiero pod koniec grudnia pod wpływem innego polskiego oficera w służbie francuskiej – mjr. Antoniego „Amilkara" Kosińskiego, spore znaczenie miała także determinacja gen. Dąbrowskiego. Bonaparte postanowił utworzyć polski korpus posiłkujący armię lombardzką, podlegający dowództwu francuskiemu. Legioniści mieli walczyć w polskich mundurach z francuską kokardą, pod polskimi sztandarami i pod polską komendą; na kontrepolecie (jednym z naramienników) we włoskich barwach miała znaleźć się dewiza po włosku: „Wolni ludzie są braćmi". Stosowną umowę podpisano 9 stycznia 1797 r., a formowanie Legionów rozpoczęto pod koniec miesiąca. Ostatecznie powstały trzy polskie legie, które u boku armii francuskiej i oddziałów włoskich walczyły o wolność Polski na obcej ziemi. Zdobyte przez żołnierzy doświadczenie w wojnach z lat 1797–1805 wykorzystano później podczas formowania armii Księstwa Warszawskiego. ■

MUZEALNE PAMIĄTKI

1. Portret gen. Jana Henryka Dąbrowskiego z czasów walk we Włoszech w latach 1797–1800. 2. Order Legii Honorowej gen. Jana Henryka Dąbrowskiego. 3. Order Virtuti Militari gen. Jana Henryka Dąbrowskiego. 4. Epolety gen. Jana Henryka Dąbrowskiego. 5. Płat sztandaru jednego z batalionów Legii Polskiej. Fot. Zbiory Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie.

MIKOŁAJ KUBACKI absolwent Instytutu Historycznego Uniwersytetu Warszawskiego. Pracownik Muzeum Wojska Polskiego, napoleonista, pasjonat dziejów militarnych od XVIII do początków XX w.

Leszek Czarny,
mal. Jan Matejko.

Bitwa pod Goźlicami triumf Leszka Czarnego

23 lutego 1280 r.

Miecz z XIII/XIV w. Zbiory Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie.

Rządzący w Krakowie od 1243 r. książę Bolesław V zwany Wstydliwym zmarł bezpotomnie 7 grudnia 1279 r. Na mocy wcześniejszych układów z 1265 r. wyznaczył na następcę kuzyna, księcia łęczycko-sieradzkiego Leszka Czarnego. Przejęcie władzy przez tego ostatniego po śmierci Bolesława nie obyło się jednak bez problemów. Do walki o tron krakowski włączył się książę Rusi Halicko-Włodzimierskiej Lew I Daniłowicz, który, powołując się na pokrewieństwo z władcą Polski Bolesławem Krzywoustym, wystąpił zbrojnie przeciwko Leszkowi Czarnemu. Zebrał prawdopodobnie ok. 6 tys. zbrojnych, wspartych przez oddziały Tatarów, a także ruskich książąt – łuckiego Mścisława Daniłowicza oraz wołyńskiego Włodzimierza Wasilkowicza – i na przełomie stycznia i lutego 1280 r. wtargnął na Lubelszczyznę oraz ziemię sandomierską. Jego wojska obległy Sandomierz. Nie mogąc zdobyć miasta, Rusini zostawili pod jego umocnieniami wydzielone oddziały, by te kontynuowały walki, i pomaszerowali dalej na południe. Przeprawiwszy się przez Wisłę, główne siły Lwa Daniłowicza zmierzały w kierunku opactwa Cystersów w Koprzywnicy, a wydzielony oddział pod wodzą Włodzimierza Wasilkowicza zdobył i splądrował Osiek.

Zaalarmowany Leszek Czarny szybko zmobilizował rycerstwo ziem krakowskiej i sandomierskiej – w sumie mniej niż tysiąc zbrojnych – i nakazał kasztelanowi krakowskiemu Warszowi oraz wojewodom – krakowskiemu Piotrowi Bogorii ze Skotnik i sandomierskiemu Januszowi herbu Topór – uderzyć ze swoimi oddziałami na Rusinów. Wojska polskie 23 lutego 1280 r. zaskoczyły oddziały ruskie pod wsią Goźlice położoną ok. 15 km na północny zachód od Koprzywnicy. Dokładny przebieg bitwy nie jest znany, pewne jednak jest, że rycerstwu krakowsko-sandomierskiemu udało się rozbić siły Lwa Daniłowicza i zmusić je do ucieczki. Żyjący 200 lat po tych wydarzeniach polski kronikarz Jan Długosz napisał: „Wojsko Leszka Czarnego w cudowny sposób zwycięża księcia Rusi Lwa, który z wielkimi siłami wtargnął do Królestwa Polskiego”[1].

W odwecie za najazd Leszek Czarny jeszcze w tym samym roku, wczesną wiosną, zorganizował wielką wyprawę na Ruś Halicko-Włodzimierską, w trakcie której wojska księcia krakowskiego spustoszyły ziemie Lwa Daniłowicza, zdobyły Przeworsk i podeszły aż pod Lwów. Był to pierwszy z wielu sukcesów Leszka Czarnego jako księcia krakowskiego. W kolejnych latach rządów z powodzeniem odpierał najazdy Litwinów, Jaćwingów, Tatarów oraz trzymał w szachu ambitnych krewnych z Mazowsza i Śląska, mogących zagrozić jego władzy w Krakowie. Niestety, śmierć księcia w wieku ok. 47 lat w 1288 r. zniweczyła jego ambitne plany zjednoczenia rozbitej na dzielnice Polski. ■

ŁUKASZ JĘDRZEJCZAK pracownik Działu Wystaw Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie, sprawuje opiekę merytoryczną nad wystawami poświęconymi średniowieczu i renesansowi. Od 14 lat aktywny rekonstruktor historyczny.

[1] Jan Długosz, *Jana Długosza kanonika krakowskiego Dziejów polskich ksiąg dwanaście.*, t. 2, ks. 5, 6, 7, 8, s. 441.

15 marca 1656 r. bitwa pod Jarosławiem

Kornet (sztandar) jazdy szwedzkiej zdobyty przez oddziały Stefana Czarnieckiego podczas zimowo-wiosennej kampanii w 1656 r. Na środku bławatu namalowany złotem miecz, wzniesiony ostrzem ku górze, a po obu jego bokach napis po łacinie: AUT MORS / AUT VITA / DECORA (Albo śmierć, albo życie zaszczytne). Otoczone wszystko wieńcem laurowym. W rogach litery C[arolus] G[ustavus] R[ex] S[ueciae].

Wielu z nas poznało *Potop* Henryka Sienkiewicza z lektury bądź ekranizacji Jerzego Hoffmana. Zarówno pisarz, jak i reżyser starali się oddać ducha epoki i przenieść nas do czasu wojny polsko-szwedzkiej lat 1655–1660. Wiele wątków, postaci i wydarzeń wymaga jednak sprostowania, należą do nich wypadki z kampanii zimowo-wiosennej 1656 r. Król Szwecji Karol X Gustaw zimą 1656 r. podjął decyzję ścigania „polskiego Dariusza" (słowa te włożył w usta króla Sienkiewicz) – Jana II Kazimierza – w najdalszych zakątkach Rzeczypospolitej.

Na decyzję szwedzkiego władcy wpłynęły doniesienia o mobilizacji sił wiernych królowi polskiemu pod Lwowem. Wymuszało to podjęcie szybkich i stanowczych kroków, aby zażegnać narastające niebezpieczeństwo, tym bardziej że u jego boku służyło kilka tysięcy żołnierzy polskich, z czego znaczną część stanowiły chorągwie kwarciane. Zdecydował o rozpoczęciu kampanii zimowo-wiosennej 1656 r., zabierając armię liczącą ok. 11 tys. żołnierzy. Początkowo wojska szwedzkie odnosiły sukcesy, bijąc między innymi pod Gołębiem dywizję regimentarza Stefana Czarnieckiego. Pomimo zwycięstwa sytuacja dla przybyszów zza morza zaczynała rysować się niepomyślnie. Ich armia wchodziła coraz głębiej na tereny południowo-wschodnich województw i nękana była ciągłymi atakami. Do kolejnego większego starcia doszło pod Jarosławiem.

Awangarda Karola X, złożona z jednostek kawalerii, 11 marca 1656 r. zdobyła przeprawę pod Jarosławiem, a następnie wyparła broniące się chorągwie polskie z miasta. Król szwedzki podjął decyzję o wysłaniu silnego podjazdu pod Lwów, planował także zająć Przemyśl siłami wydzielonej dywizji pod dowództwem gen. Roberta Douglasa. Wszystko spaliło na panewce w momencie nagłego pojawienia się chorągwi Czarnieckiego. Rozbił on w pierwszej kolejności podjazd szwedzki zmierzający pod Lwów, a następnie zmusił do odwrotu oddziały Douglasa, który przeprawił się przez rzekę naciskany przez polskie jednostki. W tym samym czasie podjazdy Czarnieckiego przechwyciły tabory królewskie, zdobywając przy tym srebra stołowe. Zaniepokojony działaniami wojska polskiego Karol X Gustaw postanowił ściągnąć pod Jarosław już rozlokowane po okolicy regimenty. Zamierzał też ufortyfikować przedmościa jarosławskie, wyznaczając do tego regiment piechoty oraz dając mu osłonę 300 rajtarów. Czarniecki zdecy-

Morion, hełm wykorzystywany przez żołnierzy w armiach zachodnioeuropejskich w pierwszej połowie XVII w. i przez jednostki zaciągu cudzoziemskiego w wojskach Rzeczypospolitej. Wykonany z dwóch skutych na środku blach dodatkowo wyciągniętych w grzebień wzmacniający konstrukcję i zwiększający bezpieczeństwo żołnierza. Uszy i skronie osłonięte ruchomymi policzkami. Waga ok. 1,2 kg, wysokość ok. 20 cm.

FOT. ZBIORY MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO (3)

dował o natychmiastowym ataku, widząc w nim szansę rozbicia części sił nieprzyjacielskich. Szarża naszych chorągwi złamała osłaniających prace fortyfikacyjne rajtarów, a następnie zmusiła do odstąpienia od nich piechotę. Szwedów uratowało przybycie sił głównych, które zostały rzucone przeciwko Polakom. Czarniecki, widząc przewagę przeciwnika i nasilający się ostrzał muszkietowy, nakazał odwrót. Szwedzi wysłali za nim kawalerię, jednak pościg prowadzono dość niemrawo, obawiając się zasadzki.

Bitwę pod Jarosławiem stoczoną 15 marca 1656 r. można uznać za zwycięstwo Stefana Czarnieckiego, który swoimi działaniami uzmysłowił Karolowi X Gustawowi, że marsz w głąb wrogiego terytorium, przy trudnych do rozbicia siłach przeciwnika oraz ciągłych szarpanych starciach, wykrwawi armię i doprowadzi ją do klęski. Wówczas to w sztabie szwedzkim zapadły decyzje o odwrocie w kierunku Sandomierza, czego konsekwencją było zamknięcie przybyszów z Północy w widłach Wisły i Sanu oraz rozbicie pod Warką idącej im na odsiecz armii margrabiego Fryderyka VI Badeńskiego. Zwycięska bitwa miała olbrzymie znaczenie dla naszego wojska. Morale żołnierzy znacznie wzrosło, a samo starcie pokazało, że Polacy są w stanie bić nieprzyjaciela w bitwach polowych. Dało też sygnał do powrotu na służbę króla polskiego chorągwi kwarcianych (wojsk regularnych) pozostających dotychczas na żołdzie szwedzkim. Po bitwie duża ich część dołączyła do dywizji Czarnieckiego. ■

JAROSŁAW GODLEWSKI absolwent Instytutu Historycznego Uniwersytetu Warszawskiego, kustosz w Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie, specjalista od epoki nowożytnej, autor publikacji dotyczących wojskowości XVI–XVIII w.

Portret Stefana Czarnieckiego nieznanego autora, prawdopodobnie z XVIII w. (po 1664 r.).

Bitwa pod

Pałasz z pierwszej połowy XVII w., wydobyty z rzeki Tugi na Żuławach, w okolicach Malborka w 1890 r. Prawdopodobnie używany w czasie wojny o ujście Wisły (1626–1629)

W latach 1626–1629 Rzeczpospolita i Szwecja toczyły wojnę o ujście Wisły. Początek konfliktu w 1626 r. zaczął się od nieudanej kampanii króla polskiego Zygmunta III Wazy i nierozstrzygniętej bitwy pod Gniewem. Monarcha polski przesunął armię pod Czarlin (niedaleko Tczewa), a następnie oddał dowództwo przybyłemu z ziem ukrainnych hetmanowi polnemu koronnemu Stanisławowi Koniecpolskiemu. Ten szybko zorganizował obronę opartą na Wiśle, blokując możliwość zajęcia Gdańska armii szwedzkiej dowodzonej przez Gustawa II Adolfa. Pod koniec 1626 r. sytuacja była patowa. Aby przełamać impas, kanclerz szwedzki Axel Oxenstierna opracował plan dwustronnego uderzenia na armię koronną.

Stanisław Koniecpolski na wiosnę 1627 r. dysponował ok. 4500 żołnierzami, z czego część sił przeznaczona była do blokowania Pucka. Plan szwedzki przewidywał, że jednostki szwedzkie – ok. 6 tys. żołnierzy zgrupowanych w Elblągu i Malborku – ruszą na Polaków w momencie wkroczenia od zachodu najemników zwerbowanych w Rzeszy. Akcję planowano w tajemnicy, a do zadania zwerbowania najemników wyznaczeni zostali pułkownicy Johann Streiff i Maksymilian Teuffel. Już na początku 1627 r. rozpoczęli najmowanie na służbę szwedzką żołnierzy w Meklemburgii, bardzo szybko udało im się pozyskać ok. 2500 żołnierzy, którzy dodatkowo dysponowali 8 działami polowymi. W marcu zaciężne oddziały maszerowały przez ziemie neutralnego Księstwa Pomorskiego, paląc przy tym wsie i rabując mniejsze miasta. Informacje o przemarszu Szwedów szybko doszły do Koniecpolskiego, który postanowił zorganizować obronę ruchomą na linii Wisły, wiedząc że w najbliższych dniach rzeka może wylać. W umocnieniach pod Tczewem pod dowództwem płk. Pawła Czarnieckiego, brata Stefana, zostawił osiem chorągwi jazdy. Od zachodu natomiast – na wzór działań przeciwko Tatarom – rozrzucił pojedyncze oddziały na potencjalnych drogach przemarszu na linii od Lęborka do Człuchowa. Pułkownicy Streiff i Teuffel 19 marca stanęli

FOT. ZBIORY MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO (3)

Pikinier z połowy XVII w. miedzioryt kolorowany, XVII w.

12–17 kwietnia 1627 r. Czarnem

Uzbrojenie zaczepne najemników zachodnioeuropejskich: rapier, dwa pistolety z zamkiem kołowym oraz prochownica, pierwsza połowa XVII w.

w Szczecinku, niedaleko granicy z Polską. Koniecpolski szybko zareagował, wysyłając nad granicę chorągwie kozackie i lekkie z zadaniem zlokalizowania trasy przemarszu nieprzyjaciół w głąb Prus Królewskich. W tym czasie główne siły polskie stały pod Starogardem, dzięki czemu mogły szybko przemieścić się na dowolny odcinek obrony.

Wisła wylała 20 marca. Główne siły szwedzkie zgrupowane w Malborku i Elblągu zostały pozbawione możliwości szybkiej przeprawy i przestały zagrażać tyłom Koniecpolskiego. Wódz polski, mając zabezpieczone tyły, postanowił rozprawić się z nadchodzącymi z Meklemburgii najemnikami. Streiff i Teuffel zorientowali się, że nie mają szans przebić się pod Tczew, wobec tego postanowili zamknąć się w Pucku i czekać na przybycie odsieczy, jednak w czasie przemarszu wpadli na chorągwie osłonowe Koniecpolskiego. Hetman, znając już cel Szwedów, postanowił ich ubiec i na czele piechoty, wsparty artylerią, a od strony morza eskadrą siedmiu okrętów, 2 kwietnia 1627 r. zdobył Puck, obsadzając go regimentem piechoty Gerarda Denhoffa. Pozbawieni możliwości obrony w Pucku, pułkownicy szwedzcy postanowili ruszyć w kierunku Czarnego, aby drogą na Człuchów dostać się do Gniewu, a następnie pod osłoną własnych wojsk pod Malborkiem połączyć się z głównymi siłami. Koniecpolski miał już pełne rozeznanie w sytuacji, przewidział więc i ten ruch. Z większością sił udał się pod Lębork, starając się odciąć nieprzyjacielowi drogę. Za maszerującymi Szwedami posyłał jazdę, a pod Miastko wysłał oddziały osłonowe, które 9 kwietnia zostały zgromadzone w jednym miejscu przez najemników niemieckich. Obaj pułkownicy uświadomili sobie, że Koniecpolski świetnie zna teren operacyjny i wykorzystuje go do zagonienia ich sił w jedno miejsce, żeby następnie ich okrążyć. Orientując się, że marsz na wschód w takich warunkach nie jest możliwy, zdecydowali oni zatem udać się przez północną Wielkopolskę w stronę Brandenburgii. Również to przewidział hetman i ruszył z samą tylko jazdą na Chojnice i Człuchów, odcinając w ten sposób jedyną możliwą drogę odwrotu. Szwedzi 11 kwietnia starli się z chorągwiami osłonowymi jazdy, a po przybyciu sił głównych zrezygnowali z walki i wycofali się do Czarnego. Następnego dnia postanowili ufortyfikować miasteczko i bronić się do przybycia odsieczy. Hetman miał świadomość, że musi zlikwidować okrążone wojska w ciągu dwóch, trzech tygodni, wykorzystując wysoki stan Wisły, która odcinała główne siły szwedzkie. Wobec tego rozkazał ściągnąć piechotę i artylerię, a następnie nakazał usypanie szańców blokujących drogi odwrotu. Polacy 15 kwietnia przeprowadzili pozorowany atak, wciągając goniącą ich kawalerię pod ogień piechoty i artylerii. Nieprzyjaciel poniósł dotkliwe straty, a morale w kompaniach najemników upadło. Dzień później żołnierze zbuntowali się i aresztowali obu pułkowników, rozpoczynając negocjacje w sprawie poddania się. Szwedzi skapitulowali 17 kwietnia, wydając w ręce polskie całą artylerię, dowódców oraz rzeczy, jakie zrabowali w czasie marszu. Poza tym dostali propozycję wstąpienia na służbę Rzeczypospolitej, z której skorzystało 800 żołnierzy piechoty i 500 rajtarii. Ci, którzy odmówili służby złożyli przysięgę, że w tej wojnie, nie będą walczyć przeciw Rzeczypospolitej. ■

JAROSŁAW GODLEWSKI absolwent Instytutu Historycznego Uniwersytetu Warszawskiego, kustosz w Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie, specjalista od epoki nowożytnej, autor publikacji dotyczących wojskowości XVI–XVIII w.

Krwawa rozprawa
Bitwa pod 6 maja 1439 r.

Kord, XV w.

Po śmierci Władysława Jagiełły (1434 r.) władza przeszła w ręce jego starszego syna, niespełna dziesięcioletniego Władysława III. O regencję w imieniu małoletniego monarchy walczyła matka, królowa Zofia Holszańska i biskup krakowski Zbigniew Oleśnicki. Ostatecznie zwycięsko z tej konfrontacji wyszedł biskup. W grudniu 1437 r. zmarł w Znojmie cesarz, król Czech i Węgier Zygmunt Luksemburski, co spowodowało polityczną grę o tron Czech, gdzie występowały silne wpływy husytów, których katolicy uznawali za heretyków. Część możnych polskich, sympatyzująca z husytyzmem, wysunęła projekt osadzenia na tronie w Pradze młodszego brata Władysława III, królewicza Kazimierza, późniejszego króla polskiego Kazimierza IV Jagiellończyka. Kategorycznie sprzeciwiał się temu Zbigniew Oleśnicki i 25 kwietnia 1438 r. ze swoimi stronnikami w Nowym Mieście Korczynie zawiązał konfederację. Wymierzona ona była w opozycję dążącą do osadzenia na tronie czeskim królewicza Kazimierza. Działania biskupa spowodowały reakcję dworu królowej Zofii i opozycji, która 3 maja 1439 r. również w Nowym Mieście Korczynie zawiązała porozumienie, od imienia przywódcy opozycji nazywane konfederacją Spytka z Melsztyna. Żadna strona nie chciała ustąpić, szykowała się zatem konfrontacja zbrojna. Do rozstrzygającego starcia doszło kilka dni później – 6 maja 1439 r. pod Grotnikami. Wojska bp. Oleśnickiego dowodzone przez Jana Hinczę z Rogowa i Dobiesława ze Szczekocin zaskoczyły oddziały Spytka podczas przygotowań do budowy warownego obozu w zakolu rzeki Nidy. Obóz prawdopodobnie był fortyfikowany na sposób husycki, oparty na zatoczonym z wozów taborze, wzmocniony wałem ziemnym i zabezpieczony naturalnymi przeszkodami terenowymi. W wyniku gwałtownego ataku zbrojnych Oleśnickiego

Pancerz w typie brygantyny XIV–XV w.

Widły bojowe, XV w.

biskupa Oleśnickiego Grotnikami

Berdysz, XV w.

Partyzana, XV w.

Kapalin, XIV–XV w.

opozycja została zepchnięta do defensywy. Jej obronę złamał atak zaciężnej piechoty biskupiej, która zdobyła niedokończone fortyfikacje obozu Spytka i zaczęła spychać przeciwnika w kierunku rzeki. Sam dowódca obrony – Spytek „rzucał się na wielu z odwagą: ale okryty zewsząd strzałami, skłóty oszczepami i zwalony z konia, ducha wkrótce wyzionął”[1]. Z jego ciała ściągnięto zbroję i ubranie i pozostawiono nagie przez trzy dni po bitwie. Zwycięski Zbigniew Oleśnicki musiał przełknąć gorzką pigułkę, młodociany król Władysław III odmówił bowiem pośmiertnego sądu nad Spytkiem, darował mu winy oraz przywrócił majątek i prawa szlacheckie wdowie i dzieciom poległego. Klęska pod Grotnikami pogrzebała nie tylko projekt osadzenia Kazimierza w Czechach, ale również złamała wpływy husyckie w Polsce. Wkrótce król Władysław III wyruszył na Węgry, by walczyć o tamtejszą koronę, zostawiając Oleśnickiego jako wielkorządcę w Polsce. Król już nigdy nie powrócił do kraju, w 1444 r. zginął pod Warną w bitwie z Turkami. ■

ŁUKASZ JĘDRZEJCZAK pracownik Działu Wystaw Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie, sprawuje opiekę merytoryczną nad wystawami poświęconymi średniowieczu i renesansowi. Od 14 lat aktywny rekonstruktor historyczny.

[1] Jan Długosz, Roczniki, czyli kroniki sławnego Królestwa Polskiego, księga XII, s. 572.

FOT. ZBIORY MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO (6)

Klamra od pasa do munduru piechoty koronnej z czasów wojny 1792 r.

Konfederatka (krakuska) – regulaminowe nakrycie głowy noszone przez towarzyszy Brygad Kawalerii Narodowej w 1792 r.

Kaszkiet polskiej piechoty z czasów wojny w obronie Konstytucji 3 maja.

Bitwa pod Zieleńcami 18 czerwca 1792 r.

Krzyż kawalerski do konfederatki żołnierza Brygady Kawalerii Narodowej.

Podczas wojny w obronie Konstytucji 3 maja wojska polskie 17 czerwca 1792 r. zostały niemal odcięte od reszty kraju. Gdy książę Józef Poniatowski zorientował się w położeniu, rozpoczął pospieszny odwrót na zachód – przez Zieleńce na Zasław. Polecił też księciu Michałowi Lubomirskiemu wysłać część sił do wsi Zieleńce, aby ubezpieczały drogę odwrotu. W ten sposób uprzedził manewr rosyjski, gdyż rosyjski dowódca, gen. Michaił Kachowski, już 16 czerwca wysłał silną dywizję gen. Iraklija Markowa z zadaniem odcięcia drogi odwrotu armii koronnej.

Słabe oddziały koronne dotarły tam jednak wcześniej od nieprzyjaciela, który zjawił się wczesnym rankiem 18 czerwca. Dowódca rosyjski, widząc, że ma nad Polakami dużą przewagę, postanowił od razu przystąpić do walki. Gdy jednak na pole bitwy zaczęły przybywać posiłki polskie, z księciem Józefem na czele, stracił pewność siebie i poniechał ataku. Poprzestał na ostrzale artyleryjskim, wyparciu z przedpola polskich strzelców i zajęciu wsi Zieleńce – zza jej zabudowań Rosjanie razili polskie prawe skrzydło.

Początkowo posiłki polskie liczyły zaledwie dwa bataliony piechoty, wsparte dość liczną kawalerią i osiemnastoma armatami. Wstrzymanie ataku dawało szanse, że pozostałe siły koronne zdążą dotrzeć na miejsce. I rzeczywiście, gdy zniecierpliwiony gen. Markow koło południa ponowił atak, na polu bitwy pojawiły się oddziały armii koronnej. Naprzeciw 12 tys. doświadczonych carskich żołnierzy stanęło 15 tys. polskich, wspartych silną artylerią. Do ataku na Zieleńce przystąpił 2 Pułk Straży Przedniej. Gdy mimo strat Rosjanie nadal utrzymywali się w wiosce, Polacy podpalili zabudowania. Choć udało się wyprzeć Rosjan ze wsi Zieleńce, celny ogień karabinowy i artyleryjski wstrząsnął polskimi siłami na prawym skrzydle i w centrum na tyle, że gen. Markow rozkazał przeprowadzić szarżę dwóm huzarskim pułkom. Panice uległy 2 Pułk Straży Przedniej oraz część szwadronów II Ukraińskiej Brygady

Orzeł z kaszkietu polskiego piechura z czasów wojny 1792 r.

FOT. ZBIORY MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO (8)

Dwie strony napisu na szabli używanej przez polskich kawalerzystów w 1792 r.

Kawalerii Narodowej. Księciu Eustachemu Sanguszce i gen. Stanisławowi Mokronowskiemu udało się jednak opanować sytuację. Zebrali polskich kawalerzystów i poprowadzili ich do szaleńczej szarży, która rozbiła nieprzyjacielską kawalerię.

Rosjanie uderzyli tymczasem w środek polskiego szyku. Silny ogień artyleryjski i śmiały atak rosyjskich jegrów wywołały chaos w polskich szeregach – z pola walki umknęły trzy bataliony piechoty. W odparciu ataku dwóm batalionom pomogli artylerzyści, zadając jegrom ciężkie straty.

Walka przeciągała się. Generał Markow zdecydował o uderzeniu na polskie pozycje na lewym skrzydle. Atak grenadierów powstrzymały dwa bataliony piesze oraz celny ogień artylerii koronnej. Generał Michał Wielhorski zaczął szykować się do kontruderzenia, lecz trwało to zbyt długo. Nie udało się zaskoczyć rosyjskiego dowódcy, który skierował grenadierów oraz jegrów konnych do odparcia uderzenia. Polacy pokonali wrogą kawalerię, lecz zbici w czworoboki piechurzy osłonili odwrót rosyjskich wojsk.

Po bitwie Polacy pozostali na placu boju przez kilka godzin, po czym się wycofali. Na opuszczone pozycje wrócili żołnierze gen. Markowa, próbując zapobiec wycofaniu się zamykającej odwrót dywizji Tadeusza Kościuszki.

Mimo że bitwa pod Zieleńcami nie odwróciła losów wojny, została zapamiętana jako pierwsze zwycięstwo nad agresorem po niemal 100 latach. Uświetnił je 22 czerwca król Stanisław August, na wieść o zwycięstwie ustanawiając najzaszczytniejsze polskie odznaczenie bojowe – Order Virtuti Militari. ■

Szable polskie używane w Brygadach Kawalerii Narodowej w 1792 r.

MIKOŁAJ KUBACKI absolwent Instytutu Historycznego Uniwersytetu Warszawskiego. Pracownik Muzeum Wojska Polskiego, napoleonista, pasjonat dziejów militarnych od XVIII do początków XX w.

JAK LEW

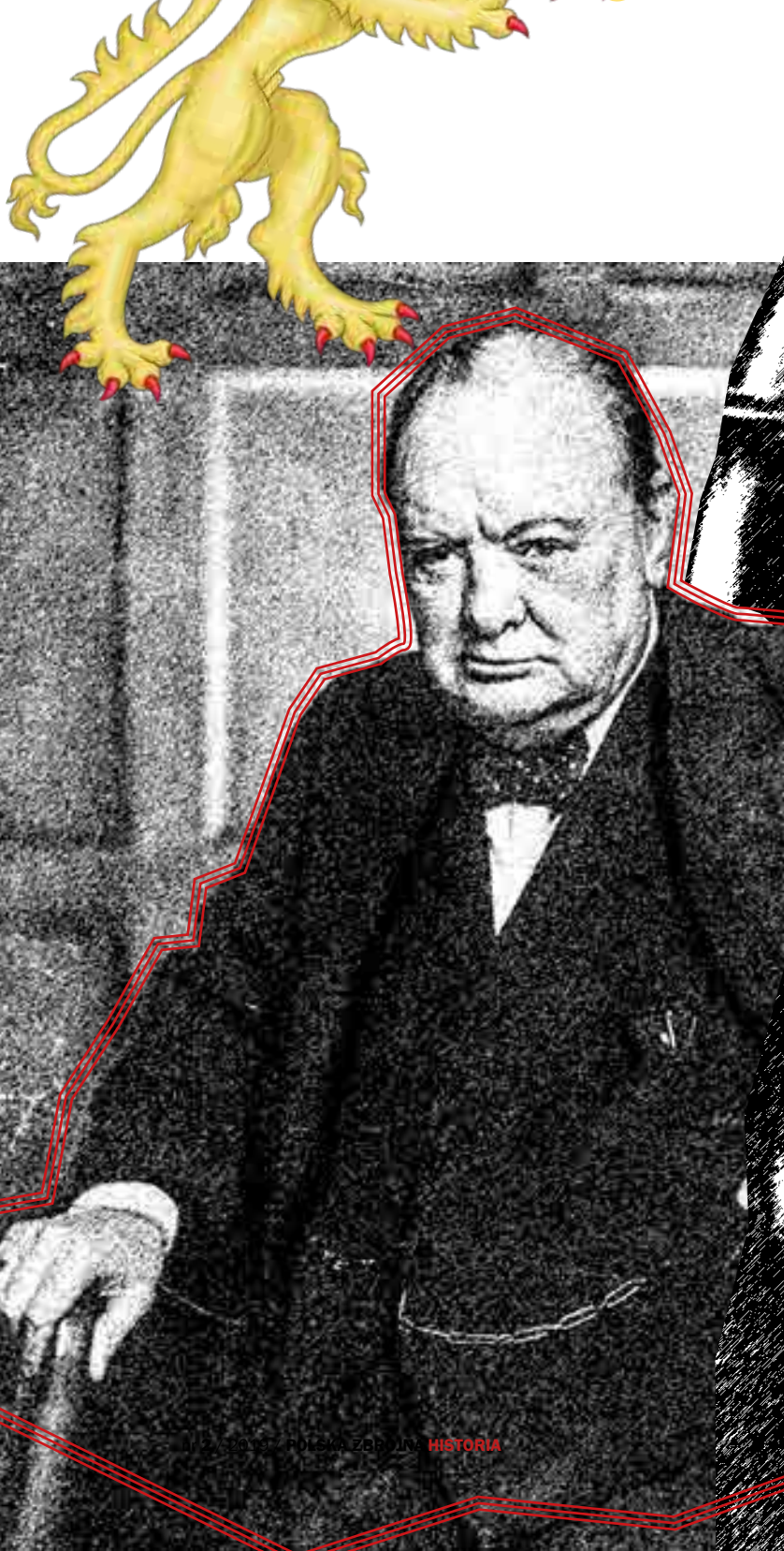

Z ORŁEM

– Rząd polski zorientował się późno co do istoty brytyjskiej polityki. Przy czym tę orientację utrudniało mu to, że tak jak atuty Polski po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej prawie całkowicie wyparowały, tak samo kurczyły się atuty Wielkiej Brytanii – mówi dr hab. Jakub Polit.

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (3)

Uroczystości pogrzebowe po śmierci gen. Władysława Sikorskiego w Londynie. Warta żołnierzy 1 Samodzielnej Brygady Spadochronowej przy katafalku.

Panie Profesorze, podobno największym sukcesem Rzeczypospolitej w 1939 r. było wciągnięcie do wojny Wielkiej Brytanii i uczynienie konfliktu z Niemcami światowym?

W pewnym sensie tak było, z tym tylko zastrzeżeniem, że należy pamiętać, iż historia nie jest nauką ścisłą ani eksperymentalną. Mówiąc inaczej, nie możemy tego „filmu" puścić raz jeszcze i się przekonać, że droga, którą przeszliśmy, miała jeszcze inne rozwidlenie, gdzie można by sprawy rozegrać inaczej. Jeżeli więc wojna rzeczywiście musiała wybuchnąć i jeżeli rzeczywiście musieliśmy w niej wziąć udział już w 1939 r., to bez wątpienia naszym sukcesem było to, że udało się w niej mieć po naszej stronie dwa wielkie mocarstwa – przede wszystkim Wielką Brytanię, dlatego że Francja po pierwsze: szybko się z wojny wycofała, a po drugie: Wielka Brytania miała znacznie bardziej globalne interesy.

My na tej wojnie nie ugraliśmy zbyt wiele. Zasadne są wątpliwości, czy w ogóle ją wygraliśmy. Natomiast zawsze możliwe były scenariusze jeszcze gorsze. Można sobie wyobrazić na przykład, że wojna wybucha w Europie Środkowej przy antypolskim udziale niemiecko-sowieckim, a po naszej stronie nie staje nikt. Następnie zwołany jest jakiś kongres europejski, gdzie dochodzi – ku zadowoleniu wszystkich – do stworzenia Polski w granicach Księstwa Warszawskiego. Przecież wiadomo, że Hitler zamierzał początkowo pozostawić jakieś państwo polskie, kadłubowe, ale pozwalające na zawarcie pokoju z mocarstwami. Natomiast Stalin wyraźnie sobie tego nie życzył w drugim pakcie Ribbentrop-Mołotow, bo chciał, by wojna na Zachodzie trwała dłużej. Czyli znalezienie sobie sojusznika brytyjskiego to bez wątpienia był ▶

sukces. Inną sprawą jest, jak ten sukces wykorzystaliśmy i jak graliśmy tą kartą. Bezsprzecznie jednak to osiągnięcie należy zapisać na konto ekipy piłsudczykowskiej, gdyż wśród zwięzłych wytycznych, które zostawił umierający marsz. Józef Piłsudski Józefowi Beckowi, oprócz zdania, by utrzymać jak najdłużej się da – czyli w domyśle: w nieskończoność się nie da – dobre stosunki z Niemcami, znalazło się żądanie pozyskania sobie Brytyjczyków. Piłsudski w charakterystyczny dla siebie sposób poradził Beckowi, żeby przy tym nie rzucać się Anglikom na szyję, bo oni tego nie lubią, tylko stworzyć taką sytuację, kiedy oni do nas przyjdą.

Po co właściwie Brytyjczykom potrzebny był sojusz z Polską w sierpniu 1939 r.?

Co do tego toczy się dyskusja zarówno w Wielkiej Brytanii, jak i w Polsce. My się doszukujemy drugiego czy trzeciego dna i nie jest to pozbawione sensu. Lecz najkrócej można powiedzieć tak: Polska była potrzebna Wielkiej Brytanii nie po to, aby wygrać wojnę, tylko – co warto podkreślić – żeby do wojny w 1939 r. nie doszło. Bo my rzadko sobie uzmysławiamy to, że Wielka Brytania w 1939 r. była bodajże jedynym mocarstwem świata, które nie mogło spodziewać się niczego dobrego po wojnie. Innymi słowy: był to kraj, który na konflikcie zbrojnym nic nie mógł zyskać, nawet w przypadku zwycięstwa. Można sobie łatwo wyobrazić, co na zwycięskiej wojnie mogłyby zyskać Niemcy, Sowiety, Włochy, Japonia, nawet Stany Zjednoczone. Natomiast nie Wielka Brytania, która – jak to określił skądinąd źle przez nas oceniany David Lloyd George – ma już tyle ziem i interesów, co jej potrzeba, a prawdopodobnie

POLSKA BYŁA POTRZEBNA WIELKIEJ BRYTANII NIE PO TO, ABY WYGRAĆ WOJNĘ, TYLKO ŻEBY DO WOJNY W 1939 R. NIE DOSZŁO. ANGLIA BOWIEM NA KONFLIKCIE ZBROJNYM NIC NIE MOGŁA ZYSKAĆ.

jeszcze więcej. Brytyjczykom po prostu chodziło o utrzymanie status quo. Wojna mogła przynieść perturbacje gospodarcze i rozluźnienie więzi między poszczególnymi składowymi imperium. I tak się stało. Pamiętajmy, że już w 1939 r. Irlandia – dominium brytyjskie – nie wzięła udziału w wojnie, co było groźnym ostrzeżeniem, że można to zrobić. Być dominium, państwem, którego głową jest nominalnie władca brytyjski, ale do tej solidarności się nie poczuwać. To był przykry sprawdzian. Liczono więc w Londynie, że budując koalicję, straszak, który uzmysłowi Niemcom, że dalsza ekspansja może ich drogo kosztować, uda się nie doprowadzić do eskalacji konfliktu i zamrozić status quo. Umyślnie nie używam słowa „obronić" status quo, bo ono w Monachium zostało już zniszczone. I rzeczywiście wtedy sądzono, że jest to możliwe, a wszystko później pokazało, iż Wielka Brytania nie była przygotowana do wojny. Nie miała żadnych skutecznych planów, jak Polsce pomóc, nie tylko z cynicznych powodów, chociaż zapewne i takie też były. Plany wojenne po prostu nie istniały, a te długofalowe sprowadzały się do założenia, że należy wytrzymać i wciągnąć do wojny Stany Zjednoczone.

Po klęsce Francji w czerwcu 1940 r. Wielka Brytania została sama na polu walki, a gen. Władysław Sikorski i jego żołnierze, zwłaszcza lotnicy Dywizjonu 303, urośli do rangi „pierwszych sojuszników imperium brytyjskiego". Jak wiemy, wybuch wojny sowiecko-niemieckiej i przystąpienie Stanów Zjednoczonych do wojny szybko to zmieniły, ale Polacy jeszcze dość długo łudzili się, że są dla Brytyjczyków równorzędnym part-

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Prezydent Stanów Zjednoczonych Franklin Delano Roosevelt i premier Wielkiej Brytanii Winston Churchill na pokładzie pancernika HMS „Prince of Wales" przed podpisaniem Karty atlantyckiej.

nerem. Czy możemy wskazać moment, w którym polski rząd na obczyźnie przejrzał na oczy?

Sukcesy Dywizjonu 303 nie były bez znaczenia, bo one przyszły w najbardziej fatalnym momencie, kiedy Wielka Brytania była sama. Wtedy rzeczywiście zachwycano się nie tylko dokonaniami naszych lotników, ale i ewakuowanym do Szkocji wojskiem. Kiedy odpadła Francja, wskazywano, że są tysiące Polaków – przy tym nie precyzowano dokładnie ilu, ale podkreślano, że są to alianci relatywnie liczni i otrzaskani w bojach – i z nimi my, Brytyjczycy, nie jesteśmy sami. Ten ostatni argument był istotny również w politycznej sferze, bo pojawiały się głosy, także w Stanach Zjednoczonych, że skoro zapadło militarne rozstrzygnięcie, to nie ma sensu, żeby Brytyjczycy kontynuowali wojnę dla swoich egoistycznych interesów. W odpowiedzi w Londynie rzucano argument, że w Wielkiej Brytanii znalazły się rządy europejskie, które nie przestały walczyć z Niemcami i Anglia nie prowadzi wojny wyłącznie dla siebie.

Rok 1940 był rzeczywiście w stosunkach polsko-brytyjskich bogaty w heroiczne wydarzenia, ale później szybko sytuacja się zmieniła. To w pewnej mierze było nieuchronne, a już fatalną dla nas datą był 22 czerwca 1941 r. Wtedy pojawił się po stronie brytyjskiej aliant, którego interesy były, delikatnie mówiąc, sprzeczne z naszymi i który był wielokrotnie od nas silniejszy. Można by sobie wyobrażać trwanie wojny bez udziału sowieckiego, po przystąpieniu do niej Stanów Zjednoczonych – i ten wariant z pewnością byłby dla nas lepszy. Jednak tradycją brytyjskiej dyplomacji było kupowanie sobie poparcia najpierw kosztem przeciwnika, następnie kosztem państw niezaangażowanych w wojnie, a na końcu kosztem słabszych aliantów.

Czyli słynne angielskie odnoszenie sukcesów za pomocą i kosztem obcych wojsk.

Oczywiście, że tak, chociaż w jakiejś mierze jest to zrozumiałe, biorąc pod uwagę historię i uwarunkowania geograficzne Anglii, a później Wielkiej Brytanii. To wyspiarskie państwo w pierwszym rzędzie musiało utrzymywać marynarkę wojenną, a na siły lądowe funduszy zawsze brakowało, więc szukano sprzymierzeńców kontynentalnych, którzy tę lukę wypełniali. Wyjątkiem była I wojna światowa, po której – ku zdumieniu samych Brytyjczyków – okazało się, że Wielka Brytania ma trzecią co do wielkości armię na świecie, ale wyspiarze błyskawicznie ją rozpuścili na własne nieszczęście. Do 1939 r. znowu mieli nieliczne wojsko zawodowe i wyłącznie ochotnicze.

Wracając do pańskiego pytania, rzeczywiście rząd polski zorientował się późno co do istoty brytyjskiej polityki, przy czym tę orientację utrudniał mu jeszcze jeden fakt. Mianowicie tak jak atuty Polski po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej prawie całkowicie wyparowały, tak samo kurczyły się – acz nie doszczętnie – atuty Wielkiej Brytanii. Nawet gdyby to mocarstwo wobec Polski było bardziej lojalne, to nie mogło już tak łatwo forsować postulatów. Do końca czerwca 1941 r. Brytyjczycy musieli liczyć się z drobniejszymi sojusznikami, z których każdy oferował im coś interesującego: Holendrzy imperium kolonialne, Norwegowie flotę handlową, a Polska, jak już stwierdziliśmy, największą liczbę żołnierzy, większą niż mogły zaoferować pozostałe rządy na uchodźstwie razem wzięte. Od 1941 r. Brytyjczyków interesowała jedynie gra ze Związkiem Sowieckim i Stanami Zjednoczonymi, bo Chiny były czwartym mocarstwem jedynie z uwagi na Amerykanów, którzy zażądali, by tak honorować swego „klienta".

Mówiąc o Polsce, musimy pamiętać, że w istocie mieliśmy do czynienia z dwoma ośrodkami władzy. Jednym był rząd na uchodźstwie, który miał za sobą aurę ▶

prawowitości i dostęp, tak to nazwijmy, do ucha potężnych aliantów. Drugim było Państwo Podziemne w kraju, które musiało działać w trudnych warunkach okupacji, ale to ono dysponowało ludnością i wielką podziemną armią. Jak się okazało, przywódcy podziemia mieli bardzo kiepskie informacje dotyczące tego, co rząd emigracyjny w Londynie naprawdę wie. Rząd z uwagi na źle rozumiany prestiż nie informował delegata na kraj i komendanta głównego Armii Krajowej, że wpływ Polski na wielkich sojuszników jest niezmiernie nikły. W kraju wierzono, że rząd gen. Władysława Sikorskiego, potem Stanisława Mikołajczyka wręcz współtworzy strategię aliantów, podczas gdy nie było możliwe nie tylko współtworzenie, ale nawet orientacja, jak ta strategia naprawdę wygląda. A kurs wypadków zrobił się dla nas tak fatalny, że po pewnym czasie w naturalnym ludzkim odruchu nie chcieliśmy wierzyć, że jest aż tak źle.

Czy gen. Władysław Sikorski po wizycie w Stanach Zjednoczonych w 1942 r. nie zaczął jednak bardziej w swej polityce stawiać na to mocarstwo?

Myślę, że mimo wszystko nie. Sikorski uważał, że to Wielka Brytania po wojnie będzie czynnikiem decydującym w Europie. A gdyby miał dostęp do tajnych amerykańskich dokumentów, to, rzecz paradoksalna, w tym przekonaniu by się jeszcze utwierdził. Prezydent Franklin Delano Roosevelt – forsujący teorię czterech, a w rzeczywistości trzech światowych policjantów, wyłączając z tego grona nominalnie przyłączone Chiny – uważał, że Stany Zjednoczone powinny zajmować się zachodnią hemisferą, Dalekim Wschodem, być może jeszcze sprawami afrykańskich kolonii francuskich, natomiast Europą powinna zarządzać Wielka Brytania w porozumieniu ze Związkiem Sowieckim. Pamiętajmy, że receptą gen. Sikorskiego na powojenną Europę była federacja, której trzonem miał być związek polsko-czechosłowacki, i wydawało mu się do pewnego okresu, nie do końca błędnie, że dla takich planów otrzymał brytyjskie błogosławieństwo. Sikorski rzeczywiście jeździł do Stanów Zjednoczonych, ale w zasadzie z dość ograniczonymi planami. Przede wszystkim po to, aby zdobyć bazę rekrutacji dla Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, co mu się nie udało. Okazało się, że Polacy w Stanach Zjednoczonych woleli służyć w wojsku amerykańskim. Związane to było oczywiście z przyczynami materialnymi jak wyższy żołd, ale też, o czym się dziś rzadko pamięta, z dość przykrymi wspomnieniami po demobilizacji Błękitnej Armii gen. Józefa Hallera, kiedy rząd polski ochotników spośród Polonii amerykańskiej, mówiąc delikatnie, potraktował po macoszemu.

Pamiętajmy, że Sikorski był przede wszystkim żołnierzem, który lubił myśleć, że w pewnym momencie zostawi biurko premiera i stanie na czele wojsk wkraczających do Polski. Przed przystąpieniem Sowietów do wojny po stronie aliantów – tylko Stany Zjednoczone i Kanada były rezerwuarem polskich ochotników do wojska. Ponadto Sikorski rzeczywiście chciał mieć dobre kontakty z krajem, w którym diaspora polska była znacząca. Cokolwiek byśmy powiedzieli o polityce zagranicznej prezydenta Roosevelta, a trudno o niej powiedzieć coś dobrego, to w pierwszych dwóch latach wojny Stany Zjednoczone mocno akcentowały dalsze istnienie państwa polskiego i Sikorski, przyjeżdżając do Waszyngtonu, mógł zawsze liczyć na to, że będzie witany z pełnym majestatem jako premier Rzeczypospolitej.

Abstrahując od wszystkich teorii na temat katastrofy gibraltarskiej, czy śmierć gen. Sikorskiego – polityka popularnego – nie rozwiązywała Brytyjczykom rąk w stosunkach z coraz bardziej problematycznym sojusznikiem?

Jeżeli nawet by tak było, to śmierć Sikorskiego rozwiązywała problemy z Polską w niewielkim stopniu. Na to trzeba patrzeć z globalnej perspektywy interesów brytyjskich. Oczywiście, jeśli rozpatrywalibyśmy tylko politykę na odcinku polskim, to można by na to pytanie odpowiedzieć twierdząco. Jednak dla Wielkiej Brytanii tak bardzo liczyło się poparcie sowieckie, tak bardzo liczyła się gra ze Stanami Zjednoczonymi, wreszcie – tak bardzo liczyły się sprawy imperialne, że kwestia polska była im całkowicie podporządkowana, że, mówiąc otwarcie, śmierć zasłużonego, ale trzeciorzędnego sojusznika, nie miała priorytetowego znaczenia. Ponadto śmierć Sikorskiego mogła przynieść pewne kłopoty Brytyjczykom, dlatego że miał on u Winstona Churchilla dobre notowania, dysponował potężnym ładunkiem wiary w Wielką Brytanię, aż poza granice naiwności, i cieszył się zarówno w Polsce, jak i wśród polskiej diaspory na świecie dość powszechnym autorytetem.

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

W pańskim pytaniu jest zawarte twierdzenie, że gdyby gen. Sikorski żył, nie pozwoliłby wyprzedawać polskich interesów. I to jest słuszne myślenie, nawet jego zażarci przeciwnicy, jak Władysław Pobóg-Malinowski, wskazywali, że z uwagi na dumę narodową, która była dodatnią cechą Sikorskiego, nie żyrowałby on różnych poczynań Anglosasów tak prędko jak Stanisław Mikołajczyk. Jednocześnie po śmierci Sikorskiego Brytyjczykom dużo kłopotu sprawiał dualizm na szczytach polskich władz. Czyli że Mikołajczyk jako premier miał kiepski kontakt z Wodzem Naczelnym, gen. Kazimierzem Sosnkowskim. Ci dwaj ludzie rzadko się w ogóle ze sobą spotykali. Pamiętajmy, że Mikołajczyk też służył w wojsku, ale miał tam stopień szeregowca, podczas gdy Sosnkowski był generałem broni. Ten konflikt utrudniał Brytyjczykom koordynowanie polityki polskiej i prawdopodobnie z gen. Sikorskim byłoby im w pewien sposób łatwiej. Później mógłby im przysporzyć problemów, ale przecież Mikołajczyk też stwarzał problemy podobnie jak Sosnkowski, którego Brytyjczycy pozbyli się zaskakująco łatwo.

WIELKA BRYTANIA NIE BYŁA PRZYGOTOWANA DO WOJNY. NIE MIAŁA ŻADNYCH SKUTECZNYCH PLANÓW, JAK POLSCE POMÓC. PLANY WOJENNE PO PROSTU NIE ISTNIAŁY.

Jak oceniłby Pan politykę Winstona Churchilla wobec Polski? Wbrew obiegowym opiniom, brytyjski premier znacznie częściej niż Franklin Delano Roosevelt podejmował próby ocalenia Polski przed Sowietami.

Winston Churchill jest bardzo ciekawą postacią. Nie tak dawno wygrał w plebiscycie na najsłynniejszego Brytyjczyka ostatniego tysiąclecia, co dowodzi, jak barwna to była osoba. Churchill nie bardzo pasuje psychologicznie do stereotypu oderwanego od wszystkich spraw cynika. Był to choleryk, czasami nawet histeryk; człowiek ulegający depresji, którą nazywał atakami czarnego psa. Churchill po matce Amerykance odziedziczył dużą uczuciowość. Nie chodzi mi o to, że kierował się w życiu ideałami, ale że wielokrotnie potrafił publicznie ronić łzy. Innymi słowy, nie był to człowiek odpowiadający wyobrażeniu o typowym flegmatycznym polityku brytyjskim.

Bez wątpienia Churchill był do sprawy polskiej w pewnym sensie przywiązany jako ten, który rozpoczął ją rozgrywać. Imponowała mu waleczność żołnierzy. Wydaje się jednak, że miał świadomość, iż jego polityka wobec Polski jest nieskuteczna. Ona nie była dla niego katastrofalna, ponieważ miał ważniejsze sprawy na głowie, ale pozostało mu po niej poczucie niedosytu i niesmaku. Pamiętajmy też, że był to polityk, który miał ze sprawami polskimi wielokrotnie styczność jeszcze przed II wojną światową, chociaż, kiedy zaistniała Polska niepodległa, on miał już 45 lat. To nie bez znaczenia, bo w chwili, gdy uformował się psychicznie, państwa polskiego nie było i wcale nie musiało być dla niego takie oczywiste, że ono jest niezbędnym komponentem porządku europejskiego. Wręcz przeciwnie, przed I wojną światową należał on do zagorzałych zwolenników sojuszu brytyjsko-rosyjskiego. W 1920 r. jego postawa była wybitnie propolska i – co istotne – Churchill wiedział, gdzie Polska znajduje się na mapie. Reasumując, popełnił on błąd polegający na tym, że wychodził z założenia, podzielanego, niestety, do pewnego czasu przez rząd polski w Londynie, że spór polsko-sowiecki ma charakter konfliktu terytorialnego. Co to znaczy? Ano że po bardzo przykrej dla Polaków utracie ziem wschodnich spór ten zaniknie i możliwe będą całkowicie poprawne stosunki między tymi państwami, ponieważ mają one wspólne interesy, zwłaszcza wobec Niemiec. Związkowi Sowieckiemu nie zależało na żadnym kompromisie w znaczeniu obopólnego, choćby bardzo nierównego podziału korzyści, tylko na, mówiąc wprost: bezwarunkowej kapitulacji.

Churchill bardzo długo się łudził i wydaje się, że był przy tym szczery nawet w najbardziej wobec Polaków niesympatycznych odruchach. Na przykład kiedy nalegał na premiera Mikołajczyka, żeby się zgodził na Linię Curzona,

Prezydent RP Władysław Raczkiewicz (z prawej) i premier RP gen. Władysław Sikorski podczas rozmowy.

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Gen. Władysław Sikorski podczas awansowania lotników polskich, uczestników bitwy o Anglię

mówiono, że nie odważyłby się tak rugać swego lokaja, ponieważ obawiałby się, że ten sobie pójdzie. Churchill wreszcie zobaczył, że oparcie wschodniej granicy Polski na Linii Curzona nie rozwiązuje problemu. Jedna z jego znajomych porównała go kiedyś ze źle w Polsce ocenianym Davidem Lloydem George'em. Zaznaczyła jednak przy tym, że różnica między nimi polegała na tym, że Churchill na ogół wiedział, kiedy popełnia świństwo, bo uważał, że musi tak postąpić, a Lloyd George był do tego niezdolny, bo zupełnie nie odróżniał dobra od zła.

Churchill wiedział, że grę o Polskę przegrał, i na tym polega różnica między nim a Rooseveltem, któremu nasz kraj był najzupełniej obojętny. Chociaż, żeby całkowicie nie wchodzić w rolę adwokata Churchilla, warto go porównać z jeszcze jednym zachodnim mężem stanu, do którego też mamy pretensje, mianowicie z cesarzem Napoleonem Bonaparte. Kiedy Bonaparte abdykował w Fontainebleau w kwietniu 1814 r., zaraz po warunkach traktatu żądał zachowania Legii Honorowej, ale przed gwarancjami dla siebie i swojej rodziny, chciał, żeby polskie wojsko z bronią, sztandarami i orderami – z orderami związane były pensje – mogło odejść do kraju. Domagał się tego polityk całkowicie przegrany. I porównajmy sobie ten fakt z symptomatycznym brakiem ze strony rządu brytyjskiego (już Partii Pracy) zaproszenia polskich żołnierzy na defiladę zwycięstwa w Londynie. Churchill podczas jednego z przemówień w parlamencie wychwalał decyzje jałtańskie, a równocześnie przyznawał, że coś jest nie w porządku, bo z premierami dominiów ustalił, że da obywatelstwo żołnierzom polskim, którzy zechcą pozostać w imperium brytyjskim. Owszem, był to krok bezprecedensowy, ale złośliwi od razu zapytali, czemu nie proponował tego żołnierzom amerykańskim, holenderskim, norweskim. Ano dlatego, że już wiedział, iż będzie różnica w położeniu tych teoretycznie tak samo zwycięskich aliantów po zakończeniu wojny.

Pułkownik Stanisław Koszutski, dowódca 2 Pułku Pancernego z 1 Dywizji Pancernej, opisuje we wspomnieniach dramatyczne chwile, kiedy do dywizji stojącej nad Mozą na początku 1945 r. dotarły wiadomości o ustaleniach konferencji jałtańskiej. Przez kilka dni debatowano: bić się czy nie bić się dalej po stronie aliantów. Brytyjczycy ponoć mówili Polakom, że zrozumieją, jeśli ci wymówią sojusz. Ostatecznie zdecydowano, żeby się bić, i dywizja ruszyła ku niemieckiej granicy. Rozgoryczony Koszutski skomentował to jednak stwierdzeniem, że zabrakło w tym momencie komendanta Piłsudskiego, który doprowadził do kryzysu legionowego, czyli że Polacy powinni jednak pozwolić się Brytyjczykom zamknąć w obozach internowania, by dać światu świadectwo anglo-amerykańskiej obłudy. Co Pan sądzi o tym poglądzie?

Powtórzenie sytuacji kryzysu przysięgowego na Zachodzie oczywiście było możliwe. I jej gorącym orędow-

nikiem był gen. Nikodem Sulik z 2 Korpusu Polskiego, który spośród wszystkich wyższych dowódców Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie chyba najdotkliwiej poczuł, co znaczy sowiecka władza. Powstaje jednak pytanie, czy byłby to krok słuszny. Często się przywołuje postawę Józefa Piłsudskiego, którego posunięcie z 1917 r. było modelowe i niezwykle skuteczne. Tylko trzeba się zastanowić, dlaczego Piłsudski to wszystko zrobił. Kogo on chciał tym wzburzyć? Przecież nie Niemców i Austriaków, żeby poczuli wyrzuty sumienia, że tak podle postępują wobec towarzyszy broni. Być może znalazłoby to rezonans u niektórych niemieckich oficerów jak hrabia Harry Kessler, który pamiętał bohaterstwo polskich legionistów na Wołyniu, ale przecież nie o to chodziło. To głośne odmówienie przysięgi i dobrowolne pójście za druty i kraty, także przez samego Piłsudskiego, było gestem wobec ententy. Wódz Legionów Polskich chciał tym pokazać, że drogi Polaków z państwami centralnymi definitywnie się rozchodzą. Jednocześnie Piłsudski zrobił to z możliwie największym propagandowym hałasem, aby w zachodniej prasie pisano, że opuszczamy niemiecko-austriackiego bankruta.

Wobec tego nasuwa się pytanie, komu mielibyśmy zademonstrować podobny gest w 1945 r.? Przecież nie Polonii, która wiedziała, o co chodzi, dla krajów neutralnych też nie miałoby to większego znaczenia. W państwach zwycięskiej koalicji najprawdopodobniej nikt by tego nie zrozumiał. Tutaj dochodzą do tego gorzkie refleksje na temat Powstania Warszawskiego. Wiemy, jak się skończyło, ale wiemy też, jaki był pierwotny plan. Powstanie miało być demonstracją wobec Sowietów. Wyobraźmy sobie, że Armia Czerwona nie zatrzymałaby się na Wiśle, tylko kontynuowała ofensywę. Jaki wobec tego był dalszy plan Delegatury Rządu na Kraj i dowództwa Armii Krajowej? Mianowicie taki, że dokonujemy protestu i nie dajemy się rozbroić. Był nawet wybrany obiekt – jedna z warszawskich fabryk, w której AK miała stawić demonstracyjny opór wobec Sowietów po ich wejściu do Warszawy. W takiej sytuacji najprawdopodobniej komunikat aliancki brzmiałby, że „prohitlerowskie elementy" w Armii Krajowej wszczęły bunt i stawiły opór Armii Czerwonej. Wydaje się, że tego rodzaju gest potwierdziłby na Zachodzie to wszystko, co głosiła o Wojsku Polskim sowiecka propaganda. W tym wypadku słuszne wydaje się stanowisko gen. Władysława Andersa, że należy bić się u boku aliantów do końca. Aczkolwiek podejrzewano go przy tym, że chciał sobie wymościć spokojną brytyjską emeryturę, ale wiosną 1944 r. nie mógł przewidzieć, że prócz adm. Jerzego Świrskiego i gen. Mateusza Iżyckiego, właśnie on ją dostanie w odróżnieniu od pozostałych polskich generałów. Według Andersa, walka polskich żołnierzy bardziej podkreślała niewłaściwość polityki anglo-amerykańskiej niż złożenie broni. Ta dyskusja wpisuje się też w krytykę dowódcy 2 Korpusu za straty pod Monte Cassino. Pytano, po co nam był udział w tej krwawej bitwie, gdzie zginęło około tysiąca żołnierzy. Ale w porównaniu z ofiarami w kraju, w porównaniu z Polakami zabitymi w mundurach Wehrmachtu i Armii Czerwonej, którzy dla sprawy polskiej ginęli „bezużytecznie", liczba ta była relatywnie nikła, a fakt, że zachodnia prasa o nas napisała i przypomniała sobie o polskich żołnierzach, był naprawdę istotny. Dziś może to szokować, ale w tamtych realiach politycznych to było wiele.

Rozważając tę sytuację, jako historyk, gdybym miał głosować w 1945 r. w sprawie powtórzenia kryzysu przysięgowego, tego planu bym nie poparł. Taki gest ewentualnie warto byłoby wykonać później, na przykład w chwili zerwania stosunków z rządem polskim w Londynie. Wtedy można było na przykład doprowadzić do samozatopienia polskich okrętów wojennych, żeby nie wydać ich komunistom, ewentualnie na jednym z nich prezydent mógłby opuścić Londyn, udając się na przykład do Irlandii, która w dalszym ciągu rząd Rzeczypospolitej uznawała. Pewnie i to skończyłoby się co najwyżej kilkoma nagłówkami w prasie, ale i nagłówki prasowe są w polityce istotne, jeśli się je odpowiednio rozpropaguje. Pamiętajmy, że Czesi prowadzili II wojnę światową w dużej mierze za pomocą prasy i wiele w ten sposób ugrali. ■

Rozmawiał Piotr Korczyński

JAKUB POLIT doktor habilitowany. Adiunkt w Zakładzie Historii Powszechnej Najnowszej Wydziału Historii Uniwersytetu Jagiellońskiego. Bada zagadnienia imperium brytyjskiego w stosunkach międzynarodowych XX w. i ekspansję mocarstw w Azji Wschodniej w XIX i XX w. Opublikował m.in. *Odwrót znad Pacyfiku? Wielka Brytania wobec Dalekiego Wschodu, 1914–1922*; *Lew i smok. Wielka Brytania a kryzys chiński 1925–1928*; *Chiny* (w serii *Historia Państw Świata w XX Wieku*).

DLA WIELKIEJ BRYTANII TAK BARDZO LICZYŁY SIĘ POPARCIE SOWIECKIE I GRA ZE STANAMI ZJEDNOCZONYMI ORAZ SPRAWY IMPERIALNE, ŻE KWESTIA POLSKA BYŁA IM PODPORZĄDKOWANA.

ZWIĄZEK

Małgorzata Gmurczyk-Wrońska kilkanaście lat temu przekornie zapytała w tytule monografii: czy Polska była dla międzywojennej Francji „aliantem niepotrzebnym”. Precyzyjna odpowiedź wciąż nie jest łatwa, ale z pewnością nie był to alians wygodny. Przede wszystkim dla Warszawy.

WOJCIECH MAZUR

Współpracę wojskową Polacy i Francuzi rozpoczęli przed narodzinami II Rzeczypospolitej, wraz z wydanym 4 czerwca 1917 r. przez prezydenta Francji Raymonda Poincaré dekretem o formowaniu Armii Polskiej we Francji. Polityczną zwierzchność nad nią niebawem roztoczył Komitet Narodowy Polski, 20 września 1917 r. uznany przez władze francuskie za „oficjalną organizację polską”. Nim jednak świeżo odnowione polsko-francuskie braterstwo broni scementowane zostało w walce, wojna dobiegła kresu. Ukonstytuowane w Warszawie władze złożone były w większości z osób jeszcze niedawno związanych z państwami centralnymi. Paryż, choć od kontaktów z władzami tymi bynajmniej nie stronił, traktował je początkowo z dystansem. Odrodzoną Polskę postrzegał na razie raczej jako państwo *in statu nascendi*, w trakcie tworzenia się, niż solidnego partnera. Zarazem jednak obie strony, choć nie zawsze z tych samych powodów, zdawały sobie sprawę, że właściwie skazane są na współpracę. O ile jednak w optyce francuskiej Polska szachująca od wschodu Niemcy stanowiła istotny, ale nie niezbędny element polityczno-wojskowej strategii, o tyle wykreślenie elementu francuskiego z kalkulacji czynionych nad Wisłą zdawało się niemal niemożliwe. Ten brak symetrii utrzymywać się miał – z różnym nasileniem – przez całe dwudziestolecie międzywojenne.

Choć pierwsze projekty formalizacji sojuszu obu państw dyskutowano już wiosną 1919 r., na realizację tej koncepcji przyszło poczekać do 19 lutego 1921 r., kiedy to podpisano dość ogólnie sformułowaną francusko-polską umowę polityczną oraz konwencję wojskową. W razie wojennego zagrożenia wschodniego alianta Paryż zobowiązał się do podjęcia działań na jego rzecz. Zastrzegł jednak, że bezpośrednią formą pomocy będą w takim wypadku dostawy materiałów wojennych i wsparcie techniczne specjalistów – nie zaś udział w walce wysłanych do Polski wojsk. Partner francuski zobowiązał się także do udzielenia stronie polskiej pożyczki w wysokości 400 mln franków na zakup materiału dla potrzeb sił zbrojnych oraz do pomocy w rozbudowie polskiego przemysłu zbrojeniowego. Wejście w życie zawartych porozumień uzależniono od sygnowania korzystnej dla Francji umowy handlowej – co nastąpiło dopiero rok później.

Sojusznik „dominujący”

W następnych latach w toku dość ożywionych kontaktów obaj alianci podjęli próby koordynacji swych planów wojennych, zaś w dziedzinie organizacji, wyszkolenia i wyposażenia armii polskiej ugruntowywały się wpływy francuskie. Paryż starał się także działać na rzecz zbliżenia War-

ASYMETRYCZNY

ROZMOWY W PARYŻU

Generalny Inspektor Sił Zbrojnych RP gen. Edward Śmigły-Rydz (z lewej) i francuski minister obrony narodowej Édouard Daladier przed Dworcem Wschodnim w Paryżu. Pierwszy z prawej: szef francuskiego sztabu generalnego gen. Maurice Gamelin. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

szawy z innymi jego sojusznikami w regionie – Czechosłowacją i Rumunią, nie osiągnął tu jednak szczególnie znaczących sukcesów.

Wojskowa współpraca obu krajów osłabiona została jesienią 1925 r. wskutek podpisanego w październiku w Locarno tzw. paktu reńskiego. Granice Niemiec z Francją i Belgią uzyskały wówczas międzynarodową gwarancję. Brak podobnej gwarancji dla granicy wschodniej wzmógł w Berlinie nadzieje na jej rewizję w przyszłości. Przeprowadzony w Polsce w maju 1926 r. wojskowy zamach stanu powiększył jeszcze dystans między Warszawą a Paryżem. Próby rozluźnienia aliansu podjęła strona francuska, w nowej politycznej sytuacji uznając alians za mniej już potrzebny, a potencjalnie ambarasujący.

Wywierający teraz przemożny wpływ na polską politykę marsz. Józef Piłsudski uważał, że niepewna i problematyczna francuska asysta nie może stanowić uzasadnienia dla irytujących prób krępowania przez Paryż politycznej samodzielności Rzeczypospolitej. Wyraźnie akcentująca ową samodzielność, realizowana w następnej dekadzie polityka ministra Józefa Becka nad Sekwaną uznana została za proniemiecką, a więc sprzeczną z interesem Francji. W Polsce z kolei z niechęcią obserwowano francuskie próby zbliżenia ze Związkiem Sowieckim i połączenia „niemożliwego trójkąta": Warszawy, Pragi i Moskwy w spójny układ, harmonijnie współdziałający z Paryżem.

W tej sytuacji wojskowa współpraca obu państw uległa niemal zawieszeniu, ograniczała się bowiem głównie do rozmów w sprawie zakupu sprzętu wojskowego i kontaktów służb wywiadowczych. Próby jej ożywienia podjęto dopiero w 1936 r., wobec coraz bardziej agresywnych poczynań hitlerowskich Niemiec. I wtedy jednak kwestie kooperacji sił zbrojnych wzbogacone zostały jedynie o kolejny francuski kredyt zbrojeniowy i próby uzgodnienia planowanych na czas wojny działań lotniczych. Wznowione kontakty sojuszników nie obywały się bez zgrzytów. Jesienią 1938 r. Francuzi – obwiniający Warszawę o korzystne dla interesów Berlina sabotowanie ich polityki w okresie tzw. kryzysu sudeckiego – część tych kontaktów na kilka miesięcy zamrozili.

Gwałtowny wzrost potęgi Rzeszy i świadomość własnej militarnej niższości spowodowały jednak, że już w lutym 1939 r. Paryż podjął próby wyjścia z tego impasu. Ostrożne sondaże w sprawie wznowienia prac nad skoordynowaniem w czasie wojny działań sił powietrznych obu aliantów w zagrożonej przez wysuwane od kilku miesięcy niemieckie żądania w Warszawie przyjęto niemal entuzjastycznie. Wahania strony francuskiej ustały w marcu. Po wejściu wojsk niemieckich do Pragi Rzeczpospolita otrzymała gwarancje suwerenności najpierw od Londynu, a następnie, 13 kwietnia, od Paryża. Niespełna tydzień później premier francuskiego rządu Édouard Daladier upoważnił szefa Sztabu Generalnego Obrony Narodowej gen. Maurice'a Gamelina do koordynacji rozmów o wojskowej współpracy z Polską.

Francuski attaché wojskowy w Warszawie gen. Félix Musse przekazał 29 kwietnia 1939 r. marsz. Edwardowi Śmigłemu-Rydzowi zaproszenie do podjęcia takich rozmów. Odpowiedź otrzymał 5 maja. Generalny Inspektor Sił ▶

Zbrojnych Śmigły-Rydz proponował, by bezzwłocznie podjęto rozmowy z wysłaną do Paryża delegacją, na której czele stanąć miał jako jego osobisty przedstawiciel minister spraw wojskowych Tadeusz Kasprzycki. Jak skądinąd wiadomo, instrukcję dla tej delegacji marszałek sygnował już wcześniej, 2 maja, jako podstawę opracowywanego planu wojny, przyjmując pogląd, by „nie dać się rozbić przed rozpoczęciem działań sprzymierzonych na zachodzie”[1]. Przy takim założeniu przyszły Naczelny Wódz oczekiwał od Francji „jak najwcześniejszego”[2] podjęcia działań lądowych, rozpoczęcia akcji lotniczej „bezzwłocznie po pierwszym kroku wojennym”[3] agresora, a także pomocy finansowej i materiałowej.

Miraże pomocy znad Sekwany

Zasadniczą część rozmów przeprowadzono w Paryżu 16 maja 1939 r. W ciągu zaledwie kilku godzin dokonano dość pobieżnego przeglądu wielu złożonych zagadnień. Przybysze z Warszawy nie potrafili skłonić członków kierowanej przez gen. Gamelina delegacji gospodarzy do precyzyjnego sformułowania stanowiska. Co gorsza – niejednoznaczności znalazły się także w sygnowanym 19 maja protokole końcowym. Francja zobowiązała się, że stopniowo, „około trzeciego dnia po dniu początkowym powszechnej mobilizacji”[4] – przystąpi „do działań ofensywnych o ograniczonych celach”[5], a następnie, „poczynając od piętnastego dnia po dniu początkowym powszechnej mobilizacji”[6] do działań ofensywnych prowadzonych „głównymi siłami”[7]. W sporządzonym w języku francuskim tekście protokołu użyto przy tym sformułowania *les gros*, które – w odróżnieniu od *le gros* (siła główna) we francuskiej terminologii wojskowej odnosiło się tylko do pewnej wydzielonej części sił, nie zaś ich całości. Trudno przypuszczać, by członkowie polskiej delegacji, którzy kształcili się we francuskich szkołach wojskowych, nie zdawali sobie sprawy z tego rozróżnienia. Konsekwencje jego użycia we wspomnianym dokumencie poprawnie rozumieli przynajmniej niektórzy oficerowie polskiego Sztabu Głównego, w tym szef jego Oddziału III (Operacyjnego) płk dypl. Stanisław Kopański. Na przełomie lipca i sierpnia podczas prac nad planem wojny z Niemcami stwierdził on bowiem, że efekty działań zachodnich sojuszników Polska odczuje zapewne dopiero „po kilku miesiącach od początku konfliktu zbrojnego”[8]. Istnieją powody, by sądzić, że sens zastosowanej w protokole z 19 maja 1939 r. frazy rozumiał w momencie wybuchu wojny także marsz. Śmigły-Rydz. Gdy po południu 1 września wysyłany do Francji jako szef Polskiej Misji Wojskowej gen. Stanisław Burhardt-Bukacki po zapoznaniu się z tekstem umowy zwrócił mu uwagę, że użyte w dokumencie sformułowanie *avec les gros* „nie jest szczęśliwe”[9], Wódz Naczelny miał odrzec, że zadaniem wysłannika będzie właśnie „dopilnowanie tego”[10].

Strona francuska zastrzegła, że zawarte w protokole końcowym ustalenia wejdą w życie po podpisaniu negocjowanej równolegle politycznej części umowy, co nastąpiło ostatecznie dopiero 4 września. Nie przeszkodziło to gen. Gamelinowi w sformułowaniu już 31 maja założeń ofensywy, która w razie ataku Rzeszy na polskiego alianta miałaby ściągnąć na zachód część sił niemieckich. Planowana operacja miała jednak charakter raczej zbrojnej demonstracji, nie obejmując próby przełamania chroniącej

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (2)

Francuski minister lotnictwa Laurent Eynac w hali produkcyjnej Polskich Zakładów Skody S.A. na Okęciu.

zachodnią granicę Niemiec tzw. Linii Zygfryda, czego wyraźnie oczekiwała strona polska – i w tym wypadku nie formułując jednak tego na piśmie. Tylko nieco lepiej przedstawiały się przygotowania do realizacji francuskich zobowiązań w zakresie lotnictwa. Przyjęte w trakcie rozmów Kasprzyckiego i Gamelina, a doprecyzowane dziesięć dni później podczas odrębnej konferencji przedstawicieli sił powietrznych, przewidywały między innymi czasowy przerzut do Polski, jeśli ta stałaby się głównym celem niemieckiego ataku, pięciu dywizjonów samolotów bombowych typu Amiot 143 M. Latem w Polsce rozpoczęto przygotowania do przyjęcia francuskiego zgrupowania; 9 sierpnia na podwarszawskim Okęciu wylądował stanowiący zapowiedź tej formy pomocy demonstracyjny Amiot.

W tym okresie stan stosunków Polski i Niemiec pozwalał spodziewać się wybuchu wojny w najbliższym czasie. Jedną z ostatnich prób jej zażegnania lub zapewnienia sobie zwycięstwa stanowiły rozmowy podjęte w Moskwie w połowie sierpnia przez wojskowych przedstawicieli Paryża i Londynu. Wobec życzenia gospodarzy, by państwa zachodnie skłoniły Polskę i Rumunię do udostępnienia w razie wybuchu wojny na ich terytoriach „korytarzy" dla marszu Armii Czerwonej, negocjacje szybko utknęły w martwym punkcie. Pośrednia forma kontaktu z Warszawą była dla niej nie do przyjęcia, a reszty dopełniły obawy, że tzw. sojusznicy ze wschodu nigdy już nie opuszczą ziem, na których się znajdą. Strona polska oparła się francuskim i brytyjskim naciskom, nie próbowała nawet – dla zyskania na czasie – negocjować w przedmiotowej sprawie, co być może uznać należałoby za błąd. W nocy z 23 na 24 sierpnia sformalizowane zostało niemiecko-sowieckie porozumienie, które drastycznie pogorszyło strategiczne położenie Polski, zaś władze z Paryża ponownie już w ciągu niespełna roku skłoniło do obciążania Warszawy winą za zaistniałą sytuację. Z konsekwencji tej ostatniej nad Sekwaną zdawano sobie sprawę lepiej niż nad Wisłą. Wieczorem 23 sierpnia podczas dramatycznego posiedzenia przedstawicieli najwyższych francuskich władz podtrzymywanie zobowiązań wobec śmiertelnie teraz zagrożonego alianta uznano jednak za mniejsze zło. Gamelin wyraził przy tym nadzieję, że zaatakowana przez Niemcy Polska zdoła wytrwać w oporze na tyle długo, by niemiecka agresja na Francję nie mogła rozpocząć się przed wiosną przyszłego roku. Wzmocnieniu polskiej obrony służyć miał między innymi zbrojeniowy kredyt przyznany Rzeczypospolitej kilka dni wcześniej, 18 sierpnia.

Wojenna weryfikacja

W tymże czasie nad Wisłę dotarły dwie francuskie misje wojskowe, na których czele stali generałowie Louis Faury (misja ogólnowojskowa) oraz Paul Armengaud (misja lotnicza). Miały one charakter informacyjno-doradczy. Szefom misji wykonywanie obowiązków utrudniały zarówno brak dokładnej znajomości planów i zamysłów własnego dowództwa, jak i tajemnica okrywająca zamiary strony polskiej, która obejmowała plany mobilizacyjne i operacyjne. Jednocześnie trwała intensywna wymiana informacji wywiadowczych. Obie strony informowały się o postępach dokonywanej skrycie niemieckiej mobilizacji i ruchach wojsk Rzeszy. Nad Wisłę trafiły też z Paryża dość precyzyjne informacje o terminie rozpoczęcia przewidywanej agresji.

Gdy stała się ona faktem o świcie 1 września 1939 r., polski attaché wojskowy płk dypl. Wojciech Fyda był pierwszą osobą przyjętą w kwaterze gen. Gamelina. Francuski głównodowodzący uruchomienie działań zbrojnych uzależnił jednak od decyzji politycznej rządu. Ten zaś zwlekał z nią przez następne kilkadziesiąt godzin, nie bez inspiracji Gamelina, który szermował argumentem o konieczności niezakłóconego przeprowadzenia ogłoszonej 1 września i rozpoczętej dzień później mobilizacji powszechnej. Dodatkowym uzasadnieniem zwłoki było oczekiwanie na deklarację wsparcia francuskich działań lądowych przez brytyjskie lotnictwo, z czym Londyn – coraz szybciej skłaniający się do decyzji o przystąpieniu do wojny – wyraźnie się ociągał.

Tymczasem z Polski nadchodziły informacje o atakach niemieckich kolumn pancernych i zmotoryzowanych oraz o paraliżujących akcjach Luftwaffe. Strona polska z naciskiem domagała się, by francuski sojusznik zgodnie z majowymi uzgodnieniami podjął akcję lotniczą w celu bezpośredniego wsparcia alianta i odciągnięcia z frontu wschodniego części sił powietrznych agresora. Nadzieje na ziszczenie się tych oczekiwań początkowo nie wydawały się bezpodstawne. Z Kwatery Głównej Francuskich Sił Powietrznych 2 września nadszedł szyfrowy telegram: „Préparons coopération" (przygotować współpracę) uzupełniony informacją, że francuskie działania zależne będą od decyzji rządu[11]. Paryż naciskał też na brytyjskich sojuszników, próbując ich skłonić do udziału w akcji lotniczej na rzecz Polski.

Francja 3 września o godz. 17.00 znalazła się w stanie wojny z Rzeszą. Zrządzeniem losu niemal dokładnie o tej samej godzinie opuściła Warszawę depesza Faury'ego z informacją: „Sytuacja poważna". Polski front pod Częstochową przerwały niemieckie dywizje szybkie, siły obrońców wycofywały się ze Śląska, dezorganizacja transportów przez lotnictwo stawiała pod znakiem zapytania szanse wykorzystania przez nich odwodów[12].

Podkomendni gen. Gamelina przygotowywali się do rozpoczęcia ofensywy zaplanowanej wedle jego dyrektyw. On zaś nie krył, że choć zamierza odciągnąć z frontu wschodniego „jak największą część sił niemieckich[13]", to nie spodziewa się spektakularnych rezultatów działań swych wojsk. W tym duchu już po południu 2 września informował radcę Ambasady RP w Paryżu Feliksa Frankowskiego i przybyłych dwa dni później do jego kwatery dowódców armii brytyjskiej.

W obu przypadkach podkreślał, że nie zamierza ryzykować straty „kwiatu francuskiej armii”[14] skutkiem zbyt pospiesznych działań.

Taką też skrajnie powściągliwą postawę zaprezentował francuski głównodowodzący podczas przeprowadzonych 7 i 8 września obrad Komitetu Wojennego (Comité de Guerre). Zapowiadając działania ofensywne, akcentował wciąż niedostateczne rozmiary posiadanych sił, i jednoznacznie stwierdzał, że powinny być one oszczędzane dla potrzeb przyszłego, decydującego starcia z Niemcami. Sytuację sojusznika ze wschodu oceniał jako niemal beznadziejną, za zaistniały stan rzeczy winiąc w znacznej części polskich dowódców, nie dość chętnych do słuchania francuskich rad. W tym czasie rozstrzygnęła się ostatecznie sprawa przerzutu do Polski – zorganizowanych 3 września w Zgrupowanie P – dywizjonów francuskich bombowców. Najpóźniej 8 września zgrupowanie to zostało rozwiązane – formalnie – jak tłumaczono kilka miesięcy później w odpowiedzi na oskarżenia ze strony gen. Władysława Sikorskiego: ze względu na utratę przez stronę polską rejonu planowanych lądowisk.

Rozpoczęte rankiem 8 września przez dywizje 2 Grupy Armii (Groupe d’armées n°2) działania ofensywne na francusko-niemieckim pograniczu zaczęto hamować już wieczorem dnia następnego. Francuski głównodowodzący klęskę polskiego sojusznika uznał za przesądzoną, z rosnącym napięciem oczekując, że przerzucone ze wschodu siły niemieckie podejmą teraz zaskakującą Francuzów potężną kontrofensywę. To właśnie przygotowaniom do jej odparcia poświęcone być winny, jak uważał, główne ich wysiłki.

Na rzecz pomocy dla Polski – choćby tylko w postaci dostaw sprzętu wojskowego –próbował jeszcze oddziaływać premier Édouard Daladier. Nie miał jednak w tych wysiłkach poważniejszych sojuszników, a jego nieśmiałe próby ostatecznie spacyfikowali Gamelin oraz brytyjski premier Neville Chamberlain 12 września na konferencji w północno-francuskim Abbeville. Jednocześnie – wbrew formułowanej dość często opinii – uczestnicy spotkania opowiedzieli się za podtrzymywaniem egzystencji polskiego frontu tak długo, jak będzie to możliwe – głównie przez wspieranie go materiałem wojennym. Żaden z kilku wysłanych do Polski transportów nie zdołał jednak osiągnąć celu.

Przesądziła o tym podjęta o świcie 17 września 1939 r. agresja Armii Czerwonej. O przygotowaniach do niej w Paryżu wiedziano co najmniej od kilku dni – odpowiednie sygnały usiłowano przekazać stronie polskiej. Francuska reakcja była stonowana: Daladier zawczasu sformułował opinię, że dopóki Moskwa nie opowie się otwarcie po stronie Berlina, nie należy zrywać z nią porozumienia. Nową sytuację Gamelin podsumował lakonicznym stwierdzeniem „La Pologne est réglé”(Polska jest skończona). „Front wschodni już nie istnieje[15]”, wtórowali tej ocenie analitycy z otoczenia Daladiera[16].

Oceny te nie oznaczały jednak kresu francusko-polskiej współpracy. Już 9 września ambasador Léon Noël w rozmowie z wiceministrem spraw zagranicznych Janem Szembekiem wspomniał o możliwości przeniesienia siedziby władz RP do sojuszniczej Francji. Dwa dni później do rozmowy tej nawiązał minister Beck, prosząc Noëla o skierowanie pytania do rządu francuskiego, czy ten byłby w stanie udzielić polskim odpowiedni-

W OBRONIE LWOWA

Francuski attaché wojskowy gen. Félix Musse na cmentarzu Łyczakowskim podczas uroczystości odsłonięcia pomnika ku czci francuskich oficerów i żołnierzy poległych w obronie Lwowa w latach 1919–1920. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

kom prawa eksterytorialnego kontynuowania ich działalności nad Sekwaną. Pytanie zostało przekazane do Paryża wieczorem 16 września z prośbą o możliwie natychmiastową telegraficzną odpowiedź. Ta, zawierająca aprobatę, przyszła kilkanaście godzin później. Wobec zmienionej sytuacji wysłana była równolegle do polskich nadgranicznych Kut i do Bukaresztu.

Brak powodów, by sądzić, że dyplomacja francuska wpłynęła na internowanie władz polskich w Rumunii. Jeszcze 19 września Daladier wyraził niezadowolenie z tego postępku Bukaresztu. Jednak dzień później Noël i akredytowany w Rumunii ambasador Adrien Thierry sytuację tę uznali za sposobność wymiany uznawanej za niechętną Francji polskiej ekipy rządzącej. Proponowali też, by nie naciskać na zmianę podjętej przez Rumunów decyzji. Obaj dyplomaci ułatwili również wyjazd do Paryża prezentującemu profrancuskie sympatie gen. Władysławowi Sikorskiemu, a Noël towarzyszył mu w tej podróży. Wreszcie francuski sprzeciw wobec wyznaczonego przez prezydenta Ignacego Mościckiego następcy, gen. Bolesława Wieniawy-Długoszowskiego, utorował drogę do prezydentury Władysławowi Raczkiewiczowi, zaś Sikorskiemu – od 28 września sprawującemu dowództwo formowanej we Francji polskiej armii – ułatwił objęcie 30 września stanowiska premiera.

Dotychczas sojusz Polski i Francji stanowił z pewnością związek nierównych partnerów, w którym strona polska z reguły dążyła do zachowania co najmniej autonomii podejmowanych decyzji. W nowej rzeczywistości stan ten zastąpiły podporządkowanie i kontrola. Francuzi wyrazili zgodę na odbudowę na terytorium swego kraju sił zbrojnych Rzeczypospolitej. Przez długi czas nie traktowali jednak ich potrzeb ze zbytnią atencją, a rządu Sikorskiego nie uważali za politycznego partnera. Sprawy polskie wyraźnie zeszły wówczas w Paryżu na dalszy plan. Od marca 1940 r., kiedy po upadku gabinetu Daladiera premierem został Paul Reynaud, straciły niemal całkowicie na znaczeniu.

Stan taki okazał się zresztą przejściowy. Pokonana w czasie wiosennej kampanii 1940 r. Francja zmuszona została do podpisania zawieszenia broni z Niemcami i poddana kontroli Rzeszy. Choć walkę zdecydowali się kontynuować skupieni wokół gen. Charles'a de Gaulle'a „Wolni Francuzi", to sojusz francusko-polski, formalnie wciąż istniejący, stał się już raczej kwestią gestów niż politycznych realiów. Francja faktycznie zresztą traciła swe mocarstwowe znaczenie. O przyszłości Europy i świata decydować mieli już inni. ■

WOJCIECH MAZUR doktor habilitowany nauk humanistycznych, adiunkt w Instytucie Studiów Międzykulturowych Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Historyk wojskowości, autor kilkudziesięciu publikacji naukowych i popularnonaukowych, w tym monografii *Niebo rozwianych nadziei. Zachodni sojusznicy wobec wojny powietrznej w Polsce we wrześniu 1939 roku.*

[1] W. Stachiewicz, *Wierności dochować żołnierskiej. Przygotowania wojenne w Polsce 1935–1939 oraz kampania 1939 w relacjach i rozważaniach szefa Sztabu Głównego i szefa Sztabu Naczelnego Wodza*, Warszawa 1998, s. 724. [2] Tamże. [3] Tamże, s. 725. [4] *Wojna obronna Polski 1939*. Wybór źródeł, zebr. i oprac. M. Cieplewicz et al., pod kier. E.J. Kozłowskiego, Warszawa 1968, s. 257. Oryginały były sporządzone w języku francuskim, i w tej formie zostały opublikowane. [5] Tamże. [6] Tamże. [7] Tamże. [8] Instytut Polski i Muzeum im. gen. Władysława Sikorskiego w Londynie, A.II. 8/1, niedatowany „Materiał dla opracowania dalszego planu wojny". [9] IPMS, B.I 119E, odpis relacji gen. Burhardta-Bukackiego, wykonany w Londynie 7 VI 1941 r. [10] Tamże. [11] Service historique de la Défense – Département de l'Armée de l'Air (Vincennes) [dalej: SHD–DAT], 2 B 104, depesza szyfrowa nr 079 za z-cę szefa sztabu szefa Oddziału III płk. Jeana Bergereta z 2 IX 1939 r. [12] SHD-DAT, 7 NN2/407, telegram szyfrowy nr 214 attaché wojskowego Francji w Warszawie z 3 IX 1939 r., godz. 17.08. Tłumaczenie cytatów Agnieszka Mazur. [13] SHD-DAT, 27 N 3, nota Nr 15 cab/D.N. Gamelina dla dowódcy Północno-Wschodniego Teatru Działań Wojennych gen. Alphonse'a Georgesa z 4 IX 1939 r. Tłumaczenie cytatów Agnieszka Mazur. [14] J. Slessor, *The Central Blue. Recollections and Reflections*, London 1956, s. 243. [15] SHD-DAT, 27 N 4, „Thème développé par le Général Gamelin au G.Q.G. le 19 Septembre –9h.30"; Archives Natipnales (Pierrefitte-sur-Seine), 496 AP 17, „Information du President. Note sur la situation à la date du 21 septembre". Tłumaczenie cytatów Agnieszka Mazur. [16] SHD-DAT, 27 N 4, „Thèmedéveloppé par le Général Gamelin au G.Q.G. le 19 Septembre – 9h.30"; DN 496 AP 17, „Information du President. Note sur la situation à la date du 21 septembre". Tłumaczenie cytatów Agnieszka Mazur.

SPOTKANIE W PARYŻU

Generalny Inspektor Sił Zbrojnych RP gen. Edward Śmigły-Rydz i dowódca kompanii honorowej wojska francuskiego przed Dworcem Wschodnim w Paryżu. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Generał Louis Faury, szef Francuskiej Misji Wojskowej w Polsce we wrześniu 1939 r. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Polska była Francji potrzebna, ale nie niezbędna, natomiast my na sojusz z Paryżem byliśmy skazani. To związek nierówny, w którym Polska cały czas starała się zachować samodzielność – mówi prof. Małgorzata Gmurczyk-Wrońska.

POLSKO-FRANCUSKA SZK

FOT. MICHAŁ NIWICZ

MAŁGORZATA GMURCZYK-WROŃSKA profesor, historyk dziejów najnowszych i dziejów dyplomacji, pracownik Zakładu Dziejów Dyplomacji i Systemów Totalitarnych w Instytucie Historii Polskiej Akademii Nauk. Zajmuje się historią polityczną XX w., stosunkami międzynarodowymi i dziejami dyplomacji polskiej w XX w.

Droga do polsko-francuskiego sojuszu, zawartego w lutym 1921 r., zaczęła się cztery lata wcześniej. Co się wtedy wydarzyło?

Rok 1917 był przełomem w I wojnie światowej. W kwietniu Stany Zjednoczone włączyły się do walki, zwiększając potencjał ententy. Przede wszystkim jednak zmieniła się sytuacja w Rosji. Pod koniec roku, po dwóch rewolucjach, kraj ten wycofał się z obozu ententy, a bolszewicy podjęli rozmowy pokojowe z państwami centralnymi. To duży cios dla Francji, którą od XIX w. wiązał sojusz polityczno-wojskowy z Rosją. Porozumienie to było kluczowe dla polityki zagranicznej Paryża, stanowiło bowiem zabezpieczenie przed Niemcami. Dlatego do końca 1917 r. Francja oficjalnie nie wspominała o prawach Polski do niepodległości, aby nie zakłócić dobrych stosunków z Rosją.

Czy to znaczy, że późniejszy sojusz naszych krajów dla Francji był w dużym stopniu porozumieniem zastępczym?

Owszem, Paryż musiał zmodyfikować swoją politykę zagraniczną na wschodzie i postawił na układy sojusznicze z kilkoma mniejszymi państwami, które powstały na gruzach imperium niemieckiego, rosyjskiego i Austro-Węgier: Polską, Czechosłowacją, Rumunią i Jugosławią. Natomiast strona polska już od czasów Napoleona I Francję uważała za swojego naturalnego sojusznika i wiązała z nią duże nadzieje. Podczas I wojny w Paryżu trwały zabiegi polityków związanych z narodową demokracją, m.in. Romana Dmowskiego i wywodzącego się ze Stronnictwa Polityki Realnej Erazma Piltza, aby Francuzi poparli

OŁA UCZUĆ

KONFERENCJA W LOCARNO

Minister spraw zagranicznych RP Aleksander Skrzyński (po lewej) i minister spraw zagranicznych Francji Aristide Briand po zakończeniu konferencji w Locarno. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

ideę niepodległości naszego kraju. Polscy politycy zdawali sobie oczywiście sprawę, że dopóki Francja nie zerwie z Rosją, trudno będzie mówić o wspólnym sojuszu. Wiedzieliśmy jednak także, że po Rosji jesteśmy naturalnym partnerem dla Paryża. Dlatego można powiedzieć, że pod koniec I wojny Polska i Francja – były skazane na zawarcie wspólnego sojuszu.

Jakie intencje przyświecały obu stronom – traktowały to rozwiązanie jako doraźne czy też opcję na dłużej?

Prawie do końca 1920 r. Francja miała nadzieję, że sytuacja w Rosji się zmieni, władzę obejmą biali i zostanie reaktywowany sojusz obu krajów. W sierpniu 1920 r. Francja uznała nawet rząd białego gen. Piotra Wrangla i myślała o sojuszu z nim. Nie doszło do tego, bo rząd upadł już w listopadzie. Politycy znad Sekwany zgodziliby się nawet na układ z bolszewikami, tutaj pojawiał się jednak problem finansowy. Przed I wojną Francja zainwestowała ogromne pieniądze w rozwój Rosji i jej przemysłu, a kiedy do władzy doszli bolszewicy, znacjonalizowali wszystkie przedsiębiorstwa i odmówili zwrotu kosztów. W tym samym czasie Francja wspierała też Polskę w walce z bolszewikami. W Warszawie działała Francuska Misja Wojskowa, której doradcy pomagali w organizacji, wyszkoleniu i wyposażeniu armii polskiej, wspierała nas też dostawami broni.

Mówiąc o stosunkach z Francją, w Polsce często wspomina się kwestię sympatii polityków tego kraju do nas. Czy w tych wzajemnych relacjach były sentymenty, czy raczej chłodna polityka?

W większości chłodna polityka. Mówi się co prawda, że premier Georges Clemenceau był nam życzliwy i zawsze podkreślał, że zabory były zbrodnią. Na pewno też kolejny szef rządu Alexandre Millerand traktował Polaków jako naród, który zasługuje na niepodległość. Głównie jednak to chłodna kalkulacja wynikająca z naszego położenia geopolitycznego. Polska była im potrzebna do osłabienia Niemiec. Znaczenie miały też czynniki gospodarcze. Na terenach polskich istniały francuskie inwestycje i dlatego zależało im na utrzymaniu nad Wisłą swoich wpływów. Natomiast ze strony polskiej była to często sympatia do Francji, choć nie tylko. Postawiliśmy na sojusz z tym krajem, bo po I wojnie nie mieliśmy za bardzo z kim innym zawrzeć takiego układu.

Paryż chciał zbliżyć Polskę z pozostałymi swoimi „małymi" sojusznikami, ale bez większych rezultatów, dlaczego?

Francji bardzo zależało na układzie zwanym Małą Ententą, w którym znalazły się Czechosłowacja, Rumunia i Jugosławia. Francja chciała, aby jej sojusznicy na wschodzie byli ze sobą mocno związani i tworzyli jeden blok ściśle współpracujący. Wynikało to z dążenia Paryża do ugruntowania wpływów w tym regionie, ale także z jego wymogów bezpieczeństwa. Polska nie weszła jednak do tego porozumienia, głównie z powodu naszych złych stosunków z Czechosłowacją.

Czy po zamachu majowym stosunek Polski do Francji się zmienił, rządy sanacyjne okazały się mniej profrancuskie?

Dla nas kluczowym momentem był 1925 r. i konferencja w Locarno. Nad Sekwaną w tym czasie modyfikowano swoją politykę zagraniczną, stawiając na bezpieczeństwo zbiorowe i gwarancje Ligi Narodów, która miała stać na straży pokoju w Europie. Dlatego szukano odprężenia w stosunkach z Niemcami, co położyło się cieniem na naszym sojuszu z Paryżem, który z założenia był antyniemiecki. W Locarno 16 października 1925 r. Francja, Belgia, Wielka Brytania i Włochy podpisały z Niemcami pakt gwarantujący nienaruszalność granicy między Niemcami a Francją i Belgią. Niemcy odmówiły jednak gwarancji granic z Polską i z Czechosłowacją. Okazało się, że w Europie granice dzielą się na nienaruszalne i na te, które naruszyć można. Traktat podważył więc zaufanie Polaków do Francji oraz Ligi Narodów. Zostaliśmy też zmuszeni do podpisania aneksu do układu polsko-francuskiego z 1921 r. zwanego traktatem gwarancyjnym. W zawartym w 1921 r. sojuszu znalazł się zapis, że w wypadku, gdy któreś z państw zostanie zaatakowane przez Niemcy, drugie automatycznie ruszy mu z pomocą. W Locarno zniesiono zasadę automatyzmu i ustalono, że gdyby jedna ze stron została napadnięta, sprawa będzie rozpatrzona na forum Ligi Narodów i dopiero, kiedy ona uzna, że to rzeczywiście agresja, drugie państwo udzieli pomocy. Uważa się, że układy lokarneńskie otworzyły Niemcom drogę do rewizji granicy z nami i były wielką porażką polskiej polityki zagranicznej obozu przedmajowego.

Czy to znaczy, że nasz sojusz z Francją osłabł?

Nie od razu. Aż do początku lat trzydziestych XX w. Józef Piłsudski dążył do jego wzmocnienia, nie zależało jednak na tym Francji. Kiedy Piłsudski zorientował się, jaka jest tendencja polityki zagranicznej nad Sekwaną, nastąpiła modyfikacja założeń w naszej polityce zagranicznej. Polska weszła na drogę „polityki równowagi" czy „równych odległości" między sąsiadami. W 1932 r. podpisaliśmy pakt o nieagresji z Rosją sowiecką, a dwa lata później deklarację o niestosowaniu agresji z Niemcami. Oba porozumienia były w tym czasie naszym priorytetem, a uzupełniały je układy z Francją i Rumunią. Rozdźwięk w dwustronnych stosunkach wywoływał też sposób, w jaki traktował nas Paryż. Piłsudski domagał się m.in. wpływu na to, co robi działająca w Warszawie Francuska Misja Wojskowa, natomiast Francuzi uważali, że jest to ich placówka i nie

1

2

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (2)

1. Armia polska we Francji – przegląd wojsk idących na front.
2. Defilada wojsk francuskich na placu króla Stanisława Leszczyńskiego w Nancy podczas wizyty generalnego inspektora Sił Zbrojnych RP gen. Edwarda Śmigłego-Rydza we Francji.

powinniśmy się wtrącać w jej działania. Chcieliśmy być dla Francji równorzędnym partnerem, a oni w stosunkach z nami przyjmowali pozycję państwa protektora, który młodej Polsce musi udzielać wskazówek.

W jakich sferach próbowano wpływać na naszą politykę?

W pewnym stopniu na stosunki z Rosją. Zachęcano nas do ich ocieplenia; nie rozumiano, skąd w Polsce taka fobia antyrosyjska. Francja w 1924 r. nawiązała stosunki dyplomatyczne z Rosją, a dzięki szefowi sowieckiej dyplomacji Maksimowi Litwinowowi wchodziła na europejskie salony. Rosja znalazła się też w Lidze Narodów i Zachód zaczął zabiegać o dobre stosunki z Moskwą. Szczególnie Paryżowi zależało, aby przyciągnąć Rosję do współpracy przeciwko Niemcom.

W Polsce na próby zbliżenia Francji z Rosją patrzono z niechęcią. Czy były realne zabiegi, aby nie dopuścić do tego sojuszu?

Nie, na to byliśmy za słabi. Natomiast za każdym razem, kiedy Francuzi próbowali wpływać na nasze stosunki z Rosją, staraliśmy się zachować niezależność. Kiedy w 1932 r. podpisywaliśmy układ z Rosją, Paryż chciał, aby ten układ został włączony w szerszy pakt z Francją i Ligą Narodów, powiązany z wielostronnymi układami w ramach polityki zbiorowego bezpieczeństwa. Nie zgodziliśmy się na to, co nad Sekwaną wywołało duże niezadowolenie. Francja miała koncepcję układu zbiorowego bezpieczeństwa polegającą na tym, że każde państwo zawrze z innym układ bilateralny, a wszystkie zostaną powiązane w jeden system. Natomiast nasza dyplomacja wolała zawierać pojedyncze sojusze bilateralne, czyli tylko te, które bezpośrednio nas dotyczą.

W 1939 r. Francja podpisała z Polską protokół do umowy sojuszniczej zacieśniający zobowiązania wojskowe. Czy już w tym momencie wiedziano, że te gwarancje są fikcyjne i nie do zrealizowania w takim stopniu, jak liczyli Polacy?

Oczywiście, że tak. W protokole wojskowym podpisanym 19 maja w Paryżu wrócono do zasady automatyzmu i zapisano, że jeśli Niemcy zaatakują któryś z krajów, drugi ruszy mu z pomocą. Dodajmy jednak, że zapisano tam, iż w przypadku agresji Niemiec na Polskę Francja ogłosi mobilizację i wesprze nas po 15 dniach. Celem Francji nie było jednak wsparcie Polski, ale uspokojenie nas i zatrzymanie w koalicji antyniemieckiej. Temu służyły zapewnienia o udzieleniu nam pomocy, choć w Paryżu świetnie wiedzieli, że Polska będzie skazana na walkę samotną. Po 15 marca 1939 r., kiedy Adolf Hitler złamał układy monachijskie i wkroczył do czeskiej Pragi, wiadomo było, że wojna wybuchnie. Francuzi obawiali się, że Hitler zaatakuje też ich kraj. Dlatego zależało im, aby wojna wybuchła jak najdalej od ich granic i trwała tam jak najdłużej. Kiedy my zabiegaliśmy o współpracę z Wielką Brytanią i reaktywowanie umowy z Francją, równolegle trwały rozmowy między tymi dwoma krajami. Chciano, aby Niemcy wykrwawiły się na wschodzie, podczas, jak sądzono, 3–4-miesięcznej kampanii, a w tym czasie Francja jeszcze bardziej się wzmocni. Dlatego Francuzi byli potem rozczarowani, że walczyliśmy tylko miesiąc.

Czy są dokumenty, że Francja i Anglia porozumiały się?

Tak, mamy dokumenty sztabowe z zapisami i ustaleniami. Zdecydowano, że oba kraje zachowają postawę defensywną, nie włączą się do wojny w pierwszym okresie, a jak ona wybuchnie – będą podtrzymywać wśród Polaków przeświadczenie o mającym nadejść wsparciu. Zgodnie z ustaleniami 3 września Francja i Wielka Brytania wypowiedziały wojnę III Rzeszy. Ogłoszono mobilizację, przetransportowano wojska na granicę, doszło do niewielkich potyczek i walki zamarły.

Patrząc na te ponad 20 lat współpracy polsko-francuskiej, można się zastanawiać: czy mogliśmy inaczej i lepiej poprowadzić nasze stosunki z Francją?

Uważam, że w tamtych czasach nie istniała alternatywa. Nasza sytuacja w okresie międzywojennym była trudna. Byliśmy krajem położonym pomiędzy dwoma totalitarnymi reżimami, które nie pogodziły się z ustaleniami traktatu wersalskiego i traktowały Polskę jako twór tymczasowy. Rosja sowiecka i Niemcy właściwie przez cały okres międzywojenny dążyły do destrukcji systemu wersalsko-ryskiego. Dlatego opcja antysowieckiego sojuszu z Rumunią i sojuszu z Francją przeciwko Niemcom w polskiej polityce zagranicznej była właściwa. Nasze stosunki z Czechosłowacją były bardzo napięte, a obie strony nieprzychylnie do siebie nastawione. Zgoda na bliższe porozumienie z Rosją sowiecką skutkowałaby wkroczeniem ich wojsk na nasze terytorium w ramach „wspierania sojusznika” i utratą niepodległości. Z kolei przy ściślejszej współpracy z Niemcami stalibyśmy się jak Francja Vichy. Cokolwiek byśmy zrobili w 1939 r., nie istniała dobra opcja. Polska była Francji potrzebna, ale nie niezbędna, natomiast my na sojusz z Paryżem byliśmy skazani. Brakowało więc symetrii w tym układzie. To związek nierówny, w którym Polska cały czas starała się zachować samodzielność. ■

Rozmawiała Anna Dąbrowska

NORMANDZKIE MEANDRY SOJUSZY WOJSKOWYCH

JULIUSZ S. TYM

Paradoksem historii było to, że w sierpniu 1944 r. w Normandii można było zobaczyć grupę skośnookich żołnierzy o wschodnich rysach ubranych w niemieckie mundury, prowadzonych do niewoli przez kanadyjskich Indian, którzy porozumiewali się w językach swoich plemion oraz języku francuskim, a temu wszystkiemu przypatrywał się z wieży czołgu amerykańskiej produkcji polski oficer 1 Dywizji Pancernej dowodzonej przez gen. bryg. Stanisława Maczka.

Wyładunek wojsk i zaopatrzenia na plaży Omaha.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Ćwiczenia przed inwazją na kontynent, odprawa sztabu 1 Dywizji Pancernej. Trzeci od lewej: gen. Stanisław Maczek.

Polska 1 Dywizja Pancerna powstała 25 lutego 1942 r. i do lata 1944 r. dwukrotnie zrealizowała roczny cykl szkolenia podzielony na okresy przysposobienia specjalistów i załóg czołgowych, zgrywania pododdziałów, ćwiczeń taktycznych na szczeblu oddziału, a na końcu ćwiczeń brygadowych i dywizyjnych, które odbywały się w ramach szkolenia poligonowego stanowiącego zwieńczenie rocznego procesu szkoleniowego. Funkcjonowanie Polskich Sił Zbrojnych na Wyspach Brytyjskich pod względem prawnym zostało usankcjonowane 5 sierpnia 1940 r. polsko-brytyjską umową wojskową. Ustalono wówczas, że jednostki lądowe będą formowane z żołnierzy przebywających w Wielkiej Brytanii i na Środkowym Wschodzie, a ich liczba była uzależniona od wielkości zasobów osobowych. Uzbrojenie i wyposażenie dla oddziałów polskich zobowiązywała się dostarczyć Wielka Brytania. Pobyt Polskich Sił Zbrojnych na terytorium Zjednoczonego Królestwa został zalegalizowany 22 sierpnia 1940 r. ustawą o siłach alianckich (Allied Forces Act), która nadawała Polskim Siłom Zbrojnym takie same prawa, jakie siłom zbrojnym Brytyjskiej Wspólnoty Narodów nadała w 1933 r. ustawa o pobycie sił zbrojnych Brytyjskiej Wspólnoty Narodów (Visiting Forces British Commonwealth Act).

Polska dywizja w brytyjskich strukturach

Oddziały 1 Dywizji Pancernej przyjęły brytyjskie rozwiązania strukturalno-organizacyjne. Używały brytyjskiego umundurowania, uzbrojenia i wyposażenia, a szkolenie prowadzone było w myśl brytyjskich założeń użycia wojsk w działaniach taktycznych. Przyjęcie brytyjskiej struktury organizacyjnej oraz doktryny taktycznej warunkowało możliwość udziału dywizji w działaniach wojennych prowadzonych na kontynencie europejskim po przeprowadzeniu przez sprzymierzonych operacji desantowej i opanowaniu przyczółków w Normandii.

Organizacja procesu szkolenia polskiej 1 Dywizji Pancernej napotykała jednak rozmaite trudności

Na Wyspach Brytyjskich. Wizyta prezydenta RP Władysława Raczkiewicza w 1 Dywizji Pancernej. Za żołnierzami pojazdy pancerne, których używali Polacy.

– między innymi oficjalna brytyjska doktryna taktyczna wojsk pancernych nie nadążała za zmianami, które następowały pod wpływem wniosków płynących z doświadczeń ówczesnego pola walki. Tylko część tych doświadczeń była opisywana na łamach „Army Training Memorandum", „Notes from Theatres of War" oraz „Current Reports from Overseas". Natomiast z dużym opóźnieniem w stosunku do potrzeb brytyjskiego Ministerstwa Wojny (War Office) wydawało regulaminy i instrukcje taktyczne „Military Training Pamphlet" bądź „Army Training Instruction". Ponadto zanim Centralna Komisja Regulaminowa przetłumaczyła na język polski najnowsze brytyjskie regulaminy i instrukcje, mijały kolejne miesiące. Tylko dzięki temu, że część oficerów polskiej 1 Dywizji Pancernej ukończyła kursy w brytyjskich ośrodkach szkoleniowych, do dywizji docierały informacje dotyczące najnowszych założeń taktycznego użycia wojsk pancernych. Była to jednak dychotomia, gdyż oficerowie powracający z kursów w brytyjskich ośrodkach szkoleniowych, w których poznali najnowsze sposoby prowadzenia walki, napotykali w swoich oddziałach polskie tłumaczenia brytyjskich regulaminów, które już nie obowiązywały. Pomimo dostosowania polskiej 1 Dywizji Pancernej do brytyjskich standardów pod względem struktury organizacyjnej, uzbrojenia i sprzętu wojskowego, a także doktryny taktycznej, pod wieloma względami cechowała się ona dużą odmiennością w stosunku do sojuszników.

Polskie Siły Zbrojne w Wielkiej Brytanii ze względu na małe zasoby osobowe nie były w stanie sformować więcej jednostek lądowych poza 1 Dywizją Pancerną i 1 Samodzielną Brygadą Spadochronową. Od momentu rozpoczęcia rozmów z brytyjskimi władzami wojskowymi wiadomo było zatem, że jednostki te znajdą się w podporządkowaniu wyższych dowództw brytyjskich. Wiosną 1944 r. polska 1 Dywizja Pancerna weszła w skład 21 Grupy Armii, czyli wyższego związku operacyjnego grupującego w amerykańskie, brytyjskie i kanadyjskie związki taktyczne. Dołączono do nich dwie dywizje pancerne – oprócz 1 Dywizji Pancernej także francuską 2 Dywizję Pancerną. Dywizja polska weszła w skład kanadyjskiej 1 Armii, natomiast dywizja francuska w skład amerykańskiej 3 Armii. Stało się tak dlatego, że dywizja polska stosowała brytyjskie rozwiąza-

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

nia strukturalno-organizacyjne, czyli takie same jak armia brytyjska i kanadyjska oraz pozostałe armie państw tworzących Brytyjską Wspólnotę Narodów. Z kolei dywizja francuska, która wiosną 1944 r. została przewieziona transportem morskim na Wyspy Brytyjskie, formowana była w Afryce Północnej u boku armii amerykańskiej i z tego powodu przyjęła amerykańską strukturę organizacyjną, odmienną od modelu brytyjskiego. Struktura organizacyjna oraz posiadane uzbrojenie i sprzęt wojskowy determinowały kwestie zabezpieczenia logistycznego, dlatego przydzielenie tych dywizji do związków operacyjnych mających odpowiednią logistykę było czymś naturalnym.

Aliancka 21 Grupa Armii, której dowódcą był brytyjski gen. Bernard Montgomery, przechodziła latem 1944 r. wiele przeobrażeń. W operacji „Neptun" komponent lądowy stanowiły trzy dywizje powietrzno-desantowe, sześć dywizji piechoty, dywizja pancerna, brygada wojsk specjalnych, batalion rangersów oraz liczne oddziały inżynieryjne. Podczas działań – w miarę poszerzenia obszaru opanowanego przez sprzymierzonych – zwiększała się nie tylko liczba dywizji, ale zmieniała się również struktura organizacyjna tych sił. Pojawiały się kolejne korpusy, czyli wyższe związki taktyczne, a te z kolei zaczęto łączyć w ramach związków operacyjnych, którymi były armie. Armie te stanowiły związki wielonarodowe.

Bitwa normandzka

W ciągu pierwszych dwóch miesięcy od lądowania w „D-Day", czyli od 6 czerwca 1944 r., na przyczółku znalazło się łącznie 36 dywizji alianckich, w tym 9 pancernych. Do kanadyjskiej 3 Dywizji Piechoty, która rankiem 6 czerwca wylądowała na plaży „Juno", na początku drugiej dekady lipca dołączyła kanadyjska 2 Dywizja Piechoty oraz dowództwo i sztab kanadyjskiego 2 Korpusu. W ten sposób od 12 lipca 1944 r. w składzie brytyjskiej 2 Armii funkcjonował dwudywizyjny kanadyjski korpus. Dziesięć dni później w Normandii wylądował ze swoim sztabem gen. Henry D.G. Crerar, dowódca kanadyjskiej 1 Armii, która zaczęła funkcjonować od 23 lipca 1944 r., mając w składzie organiczny 2 Korpus oraz brytyjski 1 Korpus, aczkolwiek faktyczne przejęcie kanadyjskiego 2 Korpusu w podporządkowanie dowódcy kanadyjskiej 1 Armii nastąpiło dopiero 31 lipca 1944 r. W ten sposób w składzie 21 Grupy Armii funkcjonowały wówczas trzy armie – wskazując od prawego skrzydła: amerykańska 1 Armia, kanadyjska 1 Armia oraz brytyjska 2 Armia. Sytuacja ta nie trwała długo, gdyż – na skutek rozwinięcia kolejnych sił amerykańskich w Normandii – 1 sierpnia 1944 r. obok brytyjsko-kanadyjskiej 21 Grupy Armii (kanadyjska 1 Armia, brytyjska 2 Armia) zaczął funkcjonować amerykański wyższy związek operacyjny w postaci 12 Grupy Armii dowodzonej przez gen. Omara N. Bradleya i składającej się z amerykańskich 1 i 3 Armii.

Od momentu lądowania w „D-Day" zarysował się wyraźny podział alianckiego przyczółka na dwa obszary odpowiedzialności. Wojska amerykańskie odpowiadały za prawe skrzydło, a siły brytyjsko-kanadyjskie za lewe. Przyjęta jeszcze przed lądowaniem sprzymierzonych koncepcja rozszerzania przyczółka, realizowana z mniejszą lub większą konsekwencją przez gen. Montgomery'ego, odpowiadającego za działania alianckiego komponentu lądowego funkcjonującego w czerwcu i lipcu 1944 r. pod nazwą 21 Grupy Armii, zakładała, że w ciągu 90 dni armie sprzymierzonych – po opanowaniu Normandii i Bretanii – wyjdą nad Sekwanę. Aby plan ten został zrealizowany, armie miały zatoczyć wielki łuk w lewo, a zawiasem całej operacji strategicznej był rejon miasta Caen. W celu ułatwienia wykonania zadania prawoskrzydłowym wojskom amerykańskim, które miały opanować Bretanię, a następnie – zataczając łuk – wyjść nad Loarę, siły brytyjsko-kanadyjskie miały związać walką niemieckie dywizje pancerne stanowiące jedyny ruchomy odwód niemieckiego Naczelnego Dowództwa na Zachodzie mogący skutecznie zablokować wysiłki amerykańskie. Cały plan z wielu względów uległ jednak znacznym opóźnieniom. W rezultacie zawias całego manewru strategicznego zamiast przesunąć się stopniowo na wschód od Caen i ujścia rzeki Dives do kanału La Manche – nadal znajdował się w tym rejonie.

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Czołgi Cromwell VII szwadronu sztabowego. Ćwiczenia w lipcu 1944 r.

Gen. Stanisław Maczek przy czołgu szwadronu sztabowego. W tle inne pojazdy polskich pancerniaków.

wojsk Grupy Armii „B” w Normandii – 5 Armii Pancernej gen. Heinricha Eberbacha i 7 Armii gen. Paula Haussera. Siły niemieckie przygotowywały się do zaplanowanego na 7 sierpnia 1944 r. zwrotu zaczepnego pod kryptonimem „Lüttich”, mającego na celu przecięcie amerykańskiego korytarza w rejonie Avranches, zlikwidowanie amerykańskiego włamania i odtworzenie poprzedniego położenia linii frontu pomiędzy Caen a Avranches.
Nie wchodząc dalej w problematykę niemieckiego przeciwnatarcia, wskazać należy, że nie przyniosło ono zakładanych rezultatów, natomiast dzień 7 sierpnia 1944 r. trzeba uznać za cezurę całej bitwy normandzkiej, moment otwierający jej rozstrzygającą fazę.

Chrzest bojowy polskiej dywizji

Dnia 8 sierpnia polska 1 Dywizja Pancerna wzięła udział w drugiej fazie operacji „Totalize”. Swój chrzest bojowy w dniach 8–9 sierpnia okupiła znacznymi stratami, ponieważ została użyta w sposób nieodpowiedni do warunków terenowych i ugrupowania bojowego przeciwnika. Była nim bowiem niemiecka 12 Dywizja Pancerna Waffen-SS „Hitlerjugend” o wysokiej wartości bojowej,

Zgodnie z tą koncepcją wojska brytyjsko-kanadyjskie wykonały w ciągu dwóch miesięcy kilka następujących po sobie natarć, które otrzymały kryptonimy „Perch”, „Epsom”, „Windsor”, „Charnwood”, „Jupiter”, „Greenline”, „Goodwood” i „Spring”. W wyniku ostatnich dwóch operacji – między 16 lipca a 1 sierpnia 1944 r. opanowały Caen oraz rejon w promieniu ok. 7 km na południe i wschód od miasta, który mógł stanowić zawias manewru strategicznego.

Polska 1 Dywizja Pancerna dowodzona przez gen. bryg. Stanisława Maczka znalazła się w drugim rzucie strategicznym sił sprzymierzonych lądujących w Normandii. Była ona jedną z 12 alianckich dywizji pancernych (6 amerykańskich, 3 brytyjskie, 1 kanadyjska, 1 francuska i 1 polska) przeznaczonych do użycia w Normandii. Po przetransportowaniu na kontynent w dniach 31 lipca – 5 sierpnia 1944 r. dywizja weszła w skład kanadyjskiego 2 Korpusu składającego się z kanadyjskich 2 i 3 Dywizji Piechoty, kanadyjskiej 4 Dywizji Pancernej oraz brytyjskich 51 Dywizji Piechoty i 33 Brygady Pancernej.

Celem prowadzonych wówczas operacji: amerykańskiej „Cobra”, kanadyjskiej „Totalize” i brytyjskiej „Bluecoat” było okrążenie sił głównych niemieckich a teren kluczowy, na którym można tworzyć naturalne punkty ciężkości działań – znajdował się przez cały czas trwania operacji w rękach niemieckich. Pierwszego dnia walk pierwszorzutowe oddziały polskiej dywizji – 2 Pułk Pancerny i 24 Pułk Ułanów – poniosły bardzo duże straty. Stało się tak dlatego, że oddziały brytyjskiej 51 Dywizji Piechoty i 33 Brygady Pancernej nie oczyściły terenu, który miał stanowić podstawę wyjściową do natarcia polskiej dywizji, chociaż takie miały zadanie. W pasie natarcia polskiej dywizji na wzgórzu 140 dnia 9 sierpnia znalazło się zgrupowanie taktyczne ppłk. Dona Wortingthona – 28 Pułk Pancerny (The British Columbia Regiment) i dwie kompanie batalionu piechoty Algonquin. Jego zadaniem było opanowanie wzgórza 195, tymczasem w ciemnościach nocy pomylono kierunek. Zgrupowanie kanadyjskie zniszczyli Niemcy, a Kanadyjczycy mieli później pretensje do Polaków, że nie udzielili im pomocy, aczkolwiek od momentu, gdy zmyliło ono drogę, nikt nie był w stanie ustalić, gdzie się znajduje.

Opanowanie w drugim dniu operacji „Tractable”, 15 sierpnia 1944 r., przez oddziały 1 Dywizji Pancernej przeprawy na rzece Dives w rejonie Jort i Vendeuvre na lewym skrzydle kanadyjskiego 2 Korpusu umożliwiło zdynamizowanie działań dywizji i przejście do bardziej

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (2)

manewrowych form walki. Również tu nie obyło się bez pomyłek. Zgrupowanie ppłk. dypl. Stanisława Koszutskiego składające się z 2 Pułku Pancernego, 8 batalionu strzelców i dywizjonu 1 Pułku Artylerii Przeciwpancernej – posiłkując się francuskim przewodnikiem – w ciemnościach nocy zmyliło drogę i zamiast opanować Chambois, znalazło się nad ranem 18 sierpnia w rejonie wsi Les Champeaux, kilkanaście kilometrów na północ od Chambois. Wymusiło to zmianę ugrupowania bojowego polskiej dywizji. Zadanie opanowania węzła dróg w Chambois otrzymało zgrupowanie mjr. Władysława Zgorzelskiego składające się z 24 Pułku Ułanów (pułk pancerny) i 10 Pułku Dragonów (pułk zmotoryzowany na transporterach opancerzonych), które 19 sierpnia 1944 r. o godz. 19.20 opanowało miejscowość, nawiązując wówczas współdziałanie z amerykańskim 2 batalionem 359 Pułku Piechoty 90 Dywizji Piechoty, którego dowódcą był mjr Leonard Dull. Jednocześnie siły główne polskiej 1 Dywizji Pancernej opanowały wzgórze 262 określane jako „Maczuga", zamykając w ten sposób pierścień okrążenia wokół resztek niemieckiej 5 Armii Pancernej i 7 Armii Polowej.

Oddziały kanadyjskiej 4 Dywizji Pancernej 18 sierpnia opanowały inny węzeł komunikacyjny – miasteczko Trun. O godz. 18.00 w kierunku Chambois wyruszył oddział wydzielony tej dywizji w sile 15 czołgów Sherman szwadronu C rozpoznawczego pułku pancernego The South Alberta Regiment wzmocnionego przez liczącą zaledwie 55 żołnierzy kompanię B batalionu piechoty Argyll and Southerland Highlanders of Canada, pod ogólnym dowództwem dowódcy szwadronu C mjr. Davida V. Currie. Oddział ten 19 sierpnia zaatakował Saint-Laurent-sur-Dives i w ciężkich walkach zdołał do godz. 13.07 opanować miejscowość, przechodząc następnie do obrony.

Działająca w składzie 5 Korpusu amerykańskiej 3 Armii francuska 2 Dywizja Pancerna (2ème Division Blindée) dowodzona przez gen. Jacques'a Phillippe'a Leclerca 18 sierpnia 1944 r. otrzymała zadanie opanowania miejscowości Trun. Wobec opieszałości w wykonywaniu tego polecenia dywizja w nocy z 18 na 19 sierpnia otrzymała zadanie opanowania rejonu Omméel, Mont-Ormel na wschód i północ od Chambois. Według przekazu dowódcy jednego ze zgrupowań taktycznych tej dywizji płk. Paula de Lanlade'a a również to zadanie wykonywała opieszale, gdyż dla jej dowódcy najważniejszym zadaniem było doprowadzenie do sytuacji, aby dywizja mogła wkroczyć na czele wojsk alianckich do Paryża. Z tego powodu oddziały dywizji unikały angażowania się w działania mogące spowodować znaczne straty.

W tym czasie dowódca niemieckiej 7 Armii SS-Oberstgruppenführer Paul Hausser podjął decyzję o próbie przebicia się na północny wschód pomiędzy Chambois a Trun w rejonie Moissy oraz Saint-Lambert-sur-Dives. W okolicy tej pierwszej miejscowości przebijała się grupa bojowa 1 Dywizji Pancernej SS „Leibstandarte Adolf Hitler" wzmocniona sprawnymi jeszcze wozami bojowymi 12 Dywizji Pancernej SS „Hitlerjugend" oraz elementami 116 Dywizji Pancernej. Z kolei w rejonie Saint-Lambert-sur-Dives przebijały się oddziały 3 Dywizji Spadochronowej oraz oddziały piesze 12 Dywizji Pancernej SS „Hitlerjugend". Artyleria polowa miała udzielić wsparcia ogniowego, wystrzeliwując ostatnie posiadane zapasy amunicji, a następnie obsługi armat miały zniszczyć działa i wyruszyć w ślad za przebijającymi się oddziałami. Skrzydła i tyły tego uderzenia miały ubezpieczyć 2 Dywizja Pancerna i 10 Dywizja Pancerna Waffen-SS „Frundsberg" ze składu XXXXVII Korpusu Pancernego oraz 276, 277 i 326 Dywizje Piechoty ze składu LXXXIV Korpusu Armijnego.

Oddziały polskiej 1 Dywizji Pancernej na „Maczudze" i w Chambois wraz oddziałami amerykańskiej 90 Dywizji Piechoty ▶

Gen. Stanisław Maczek w czołgu sztabowym.

oraz kanadyjski oddział wydzielony 4 Dywizji Pancernej w Saint-Lambert-sur-Dives przez kolejne dni od 19 do 21 sierpnia 1944 r. zmuszone były toczyć zacięte walki w obronie opanowanych przedmiotów terenowych, pozostając w izolacji, a w zasadzie w okrążeniu. W rejonie Chambois prowadziły działania 10 Pułk Strzelców Konnych, 24 Pułk Ułanów i 10 Pułk Dragonów, a na „Maczudze" 1 i 2 Pułk Pancerny oraz wszystkie trzy bataliony 3 Brygady Strzelców. W tym czasie dowództwo 1 Dywizji Pancernej oraz dowództwa 10 Brygady Kawalerii Pancernej i 3 Brygady Strzelców pozostawały w rejonie wzgórza 259 położonego 7 km na północny wschód od „Maczugi", nie mogąc przebić się do swoich wojsk przez niemieckie wojska chcące wydostać się z okrążenia. Oddziały polskie były atakowane z dwóch stron – od zachodu przez formacje niemieckie chcące wydostać się z okrążenia, a od wschodu przez oddziały niemieckiego II Korpusu Pancernego SS wyprowadzone z rejonu położonego na południe od Vimoutiers. Jego celem było przerwanie pierścienia okrążenia wokół wojsk niemieckich znajdujących się w „kotle Trun". To natarcie z zewnątrz prowadzone było na kierunku Vimoutiers – Trun siłami dwóch dywizji pancernych. Wzdłuż drogi i na prawo od niej nacierały oddziały 9 Dywizji Pancernej SS „Hohenstaufen", natomiast na lewo od drogi oddziały 2 Dywizji Pancernej SS „Das Reich". 4 Pułk Grenadierów Pancernych SS „Der Führer" składający się z dwóch słabych batalionów, z których każdy liczył nie więcej niż 120 żołnierzy, wzmocniony czołgami, nacierał na kierunku Champosoult – Coudehard z zadaniem zlikwidowania oporu oddziałów polskiej 1 Dywizji Pancernej na „Maczudze".

Sojusznicze zwycięstwo

W rejonie Chambois 19 sierpnia późnym wieczorem kwatermistrz amerykańskiego 395 Pułku Piechoty mjr Miller dostarczył zaopatrzenie dla Polaków. Było to 16 659 litrów (4400 galonów) paliwa, żywność, środki opatrunkowe, a także amunicja strzelecka i działowa w liczbie 140 tys. sztuk amunicji karabinowej oraz 189 naboi armatnich kalibru 75 mm do dział czołgowych. Odebrał je na południe od miasteczka kwatermistrz 10 Pułku Dragonów rtm. Tadeusz Malszewski. Niestety, całą prowadzoną przez tego oficera kolumnę zagarnęli Niemcy, a on sam zdołał umknąć samochodem terenowym. Tej nocy część pododdziałów 10 Pułku Strzelców Konnych (rozpoznawczy pułk pancerny) z powodu braku zaopatrzenia przeszła w ugrupowanie amerykańskie w rejon wzgórza 160 położonego pomiędzy Chambois a Frénée. W nocy z 20 na 21 sierpnia pododdziały 10 Pułku Dragonów przygotowały na wschodnim skraju Chambois trójkąt świetlny o boku 400 m gotowy do zapalenia na rozkaz 1 Dywizji Pancernej. Od godz. 4.30 utrzymywano gotowość do podpalenia trójkąta świetlnego, jednak amerykańskie samoloty z zaopatrzeniem pojawiły się dopiero o godz. 6.37 i wówczas oznaczono trójkąt żółtymi dymami. Dwie fale samolotów dokonały zrzutu i o godz. 8.25

Diorama ukazująca moment zetknięcia się żołnierzy polskiego 10 Pułku Dragonów 1 Dywizji Pancernej z żołnierzami amerykańskiego 2 batalionu 359 Pułku Piechoty 90 Dywizji Piechoty 19 sierpnia 1944 r., Muzeum Bitwy Normandzkiej w Bayeux we Francji.

FOT. JULIUSZ S. TYM

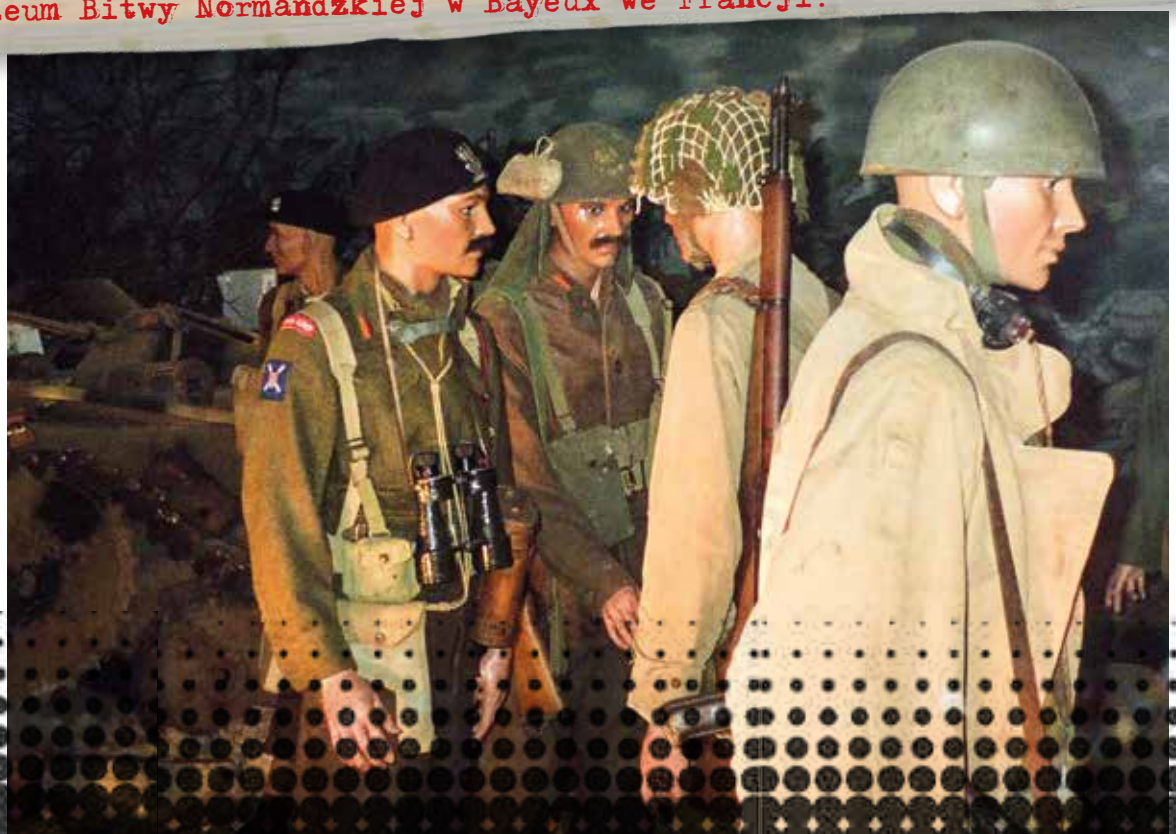

FOT. DOMENA PUBLICZNA

mjr Zgorzelski zameldował przez radiostację odbiór 12 zasobników. Również 10 Pułk Strzelców Konnych, który zużył 70–90% amunicji, uzupełnił amunicję, paliwo i żywność dzięki zrzutom powietrznym.

Powolne działania sił głównych kanadyjskich 4 Dywizji Pancernej oraz 2 i 3 Dywizji Piechoty spowodowały, że dopiero 21 sierpnia 1944 r. po godz. 13.00 Niemcy zaprzestali natarć na „Maczugę", a w godzinach popołudniowych pierwsze czołgi kanadyjskiego pułku pancernego Grenadierów Gwardii z 4 Dywizji Pancernej wjechały na wzgórze 262. Według zapisów kroniki tego oddziału droga na wzgórze 262 była bardzo trudna do przebycia, zablokowana zniszczonymi pojazdami niemieckimi. Trupy koni i ludzi leżały, gnijąc. Pomimo że ataki niemieckie ustały, zbliżający się oddział kanadyjski napotkał silny opór przeciwnika, a dwa czołgi Sherman zostały zniszczone. Oficer informacyjny sztabu polskiej 1 Dywizji Pancernej, późniejszy dowódca 24 Pułku Ułanów płk dypl. Tadeusz Wysocki po latach następująco relacjonował zapisy kanadyjskie: „Takiego ponurego obrazu zniszczenia jeszcze batalion nie widział. Polacy walczyli bez zaopatrzenia przez trzy dni, kilkuset rannych oczekiwało pomocy lekarskiej, żaden nie został ewakuowany, około 700 jeńców niemieckich słabo pilnowanych, droga zawalona płonącymi pojazdami, własnymi i nieprzyjacielskimi. Tuzinami leżały niepogrzebane trupy lub ich części. [...] Niektórzy Polacy płakali z ulgą na widok oswabadzających ich Kanadyjczyków. Wspinali się na nasze czołgi jakby nigdy Shermana nie widzieli, prosili o papierosy, wodę i żywność i nasi dawali wszystko co mieli w czołgach. Szybko nadeszły opancerzone troop carriery i ewakuacja własnych i nieprzyjacielskich rannych oraz odprowadzanie jeńców było rychło zakończone"[1].

Odznaka 1 Dywizji Pancernej.

Również siły kanadyjskie w Saint-Lambert-sur-Dives walczące w izolacji pod dowództwem mjr. Davida V. Currie dopiero 21 sierpnia ok. godz. 17.00 zostały odblokowane przez oddziały kanadyjskiej 9 Brygady z 3 Dywizji Piechoty. W walkach toczonych od wieczora 18 sierpnia oddział mjr. Davida V. Currie stracił 13 zabitych, 36 było rannych. Większość strat poniosły kompanie B i C batalionu piechoty Argyll and Southerland Highlanders of Canada – 8 zabitych i 21 rannych, a w ich szeregach pozostało tylko 70 żołnierzy zdolnych do dalszej walki. Spośród 15 czołgów Sherman szwadronu C rozpoznawczego pułku pancernego The South Alberta Regiment pozostało 5 sprawnych czołgów. Za skuteczną obronę rejonu Saint-Lambert-sur-Dives mjr David V. Currie otrzymał najwyższe brytyjskie odznaczenie wojskowe Krzyż Wiktorii (Victoria Cross) za czyny osobistego męstwa i sprawne dowodzenie „małym mieszanym oddziałem kanadyjskich czołgów, przeciwpancernych dział samobieżnych i piechoty, który otrzymał rozkaz przecięcia głównej drogi odwrotu z kotła Falaise"[2]. Niestety, ówcześni przełożeni polskiej 1 Dywizji Pancernej uznali, że żaden z jej oficerów nie zasłużył na to odznaczenie. Żołnierze polskiej 1 Dywizji Pancernej za walki w Normandii zostali odznaczeni Krzyżami Srebrnymi i Złotymi Orderu Wojennego Virtuti Militari, niektórzy brytyjskim Orderem za Wybitną Służbę (Distinguished Service Order), a także wieloma odznaczeniami francuskimi.

Wspomniani na początku tekstu skośnoocy żołnierze o wschodnich rysach ubrani w niemieckie mundury pochodzili z tzw. batalionów wschodnich (Ostbataillon), które włączono w skład niemieckich 352, 709, 711 i 716 Dywizji Piechoty mających bronić normandzkich plaż przed desantem. Do niewoli prowadzili ich kanadyjscy Indianie z 4 Dywizji Pancernej, a ich nieznajomość języka angielskiego była wielokrotnie podnoszona w meldunkach zarówno kanadyjskich, jak i brytyjskich przełożonych.

Obecnie w Muzeum Bitwy Normandzkiej w Bayeux w centralnej jego części znajduje się naturalnych rozmiarów diorama ukazująca moment zetknięcia się żołnierzy polskiego 10 Pułku Dragonów 1 Dywizji Pancernej z żołnierzami amerykańskiego 2 batalionu 359 Pułku Piechoty 90 Dywizji Piechoty, co nastąpiło 19 sierpnia 1944 r. o godz. 19.20 i stanowi do dziś symbol zamknięcia przez wojska 21 Grupy Armii i 12 Grupy Armii okrążenia wokół wojsk niemieckiej Grupy Armii „B" w Normandii. ■

JULIUSZ S. TYM płk dr hab. prof. nadzw. Akademii Sztuki Wojennej, historyk wojskowy. Specjalizuje się w historii kawalerii oraz wojsk pancernych, co odpowiada linii rozwojowej europejskich formacji kawaleryjskich. Autor kilkunastu publikacji naukowych na temat Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, m.in. *1. Dywizja Pancerna. Organizacja i wyszkolenie*; *Polska 1. Dywizja Pancerna w Normandii*; *Pancerni i ułani generała Andersa. Broń pancerna i kawaleria pancerna Polskich Sił Zbrojnych na Środkowym Wschodzie i we Włoszech 1941–1946*; *Wojska pancerne Polskich Sił Zbrojnych 1940–1947. Doktryna, organizacja, szkolenie i działania bojowe*.

[1] T. Wysocki, *Jeszcze o bitwie normandzkiej*, „Przegląd Kawalerii i Broni Pancernej", Londyn 1995, nr 149, s. 33. [2] The National Archives, War Cabinet, sygn. CAB 44/248, The Liberation Campaign in Nort West Europe. The Break-out and the Advance to the Seine. Operation 16 June – 29 August 1944, Annex 3, Citations for the Award of the Victoria Cross in Normandy, Major David Vivian Currie 29 Canadian Armoured Reconnaissance Regiment (South Alberta Regiment) Canadian Armoured Corps.

Bibliografia

Kutzner J., Tym J.S., *Polska 1. Dywizja Pancerna w Normandii*, Warszawa 2010.
Langlade de Paul, En suivant Leclerc (Koufra, Tunise, Alencon, Paris, Strasbourg, Berechtesgaden), Paris 1964.
Latawski P., *The Falaise Pocket*, Stroud 2004.
Reid B. A., *No holding back. Operation Totalize, Normandy, August 1944*, Toronto 2005.

ZROZUMIEĆ WOJNĘ

Wojsko powracające do Krakowa po manewrach. W kozłach ustawione są karabiny Mauzer 7,92 mm wz. 98, 1934 r.

LUZOWANIE polega na przejęciu walki, zadań i rejonów działania przez jedne pododdziały od innych. Ma ono miejsce wtedy, gdy broniący się pododdział poniósł straty, które uniemożliwią mu skuteczne prowadzenie dalszej walki. W tym celu wyznaczany jest kolejny pododdział, który zamieni ten wyczerpany walką. Zarówno aktualnie obowiązujące regulaminy, jak i inne pozycje literatury wyróżniają trzy sposoby prowadzenia luzowania. Pierwszy z nich to luzowanie metodą zaczepną – siły luzujące atakują przeciwnika przez ugrupowanie wojsk luzowanych, które są z nim w styczności. Drugi to metoda obronna – siły luzowane (wychodzące) wycofują się i przekraczają pozycję wojsk luzujących. Trzecim sposobem zaś jest luzowanie wojsk w rejonie – całość lub część sił (sił wychodzących) w danym sektorze jest zastępowana przez inne siły (siły luzujące).

LUZOWANIE METODĄ ZACZEPNĄ polega na tym, że nacierający pododdział wykonuje uderzenie przez ugrupowanie obronne luzowanych wojsk i opanowuje obiekty terenowe, które pozwolą luzowanemu opuścić dotychczas zajmowane stanowiska ogniowe. Przeciwnik zaś nie będzie mógł zakłócić luzowanemu jego sprawnego wyjścia do rejonu, który ma zająć. W zajętym rejonie zluzowany pododdział odtwarza zdolność bojową i po wypoczynku żołnierzy będzie gotowy do wykonywania kolejnych zadań, które określi przełożony.

LUZOWANIE METODĄ OBRONNĄ jest bardziej skomplikowane i czasochłonne od luzowania metodą zaczepną, gdyż zakłada świadomą utratę terenu, na którym aktualnie broni się pododdział przewidziany przez dowódcę do zluzowania. Natomiast pododdział luzujący organizuje punkt oporu w głębi obrony na kierunku dotychczasowej obrony pododdziału przewidzianego do zluzowania. W trakcie organizacji obrony przez pododdział luzujący dowódca luzowanego pododdziału – czyli tego, który aktualnie jest w styczności z przeciwnikiem – musi określić drogi, po których będą się przemieszczać elementy jego ugrupowania bojowego, i sygnały rozpoznawcze, które pozwolą luzowanym wojskom bez strat przekroczyć ugrupowanie obronne luzującego pododdziału. Przełożony, który podjął decyzję o luzowaniu wojsk, będących w styczności z przeciwnikiem, powinien określić drogi wycofania oraz rejon ześrodkowania, który zluzowany pododdział ma zająć i w którym będzie odtwarzał zdolność bojową. Ponadto przełożony do wyznaczonego rejonu ześrodkowania powinien wysłać elementy logistyczne, by uzupełnić środki bojowe oraz zapewnić ewakuację medyczną rannych i chorych żołnierzy. Z kolei dowódca luzującego pododdziału, organizując obronę, powinien zwrócić szczególną uwagę na drogi wycofania luzowanych wojsk i tam ześrodkować ogień swoich środków, by zapewnić oderwanie się ich od przeciwnika, który w momencie wykrycia oznak opuszczania przez broniących punktów oporu przejdzie do pościgu. Powinien również, stawiając zadania do rozbudowy inżynieryjnej punktów oporu, określić miejsca rozmieszczenia grup min, by z chwilą przejazdu ostatniego wozu bojowego luzowanego pododdziału zamknąć drogi, po których się on wycofywał. Pozwoli to zatrzymać przeciwnika na minach, by skutecznie razić go ogniem środków przeciwpancernych. Pododdział luzowany po przekroczeniu ugrupowania obronnego luzujących wojsk przemieszcza się do wyznaczonego rejonu i wykonuje zadania otrzymane od przełożonego. Natomiast pododdział luzujący przejmuje walkę obronną z zatrzymanym przed jego linią obrony przeciwnikiem.

LUZOWANIE WOJSK W REJONIE jest najbardziej czasochłonnym przedsięwzięciem, gdyż w momencie podjęcia decyzji o zluzowaniu broniącego się pododdziału na przełożonym spoczywa obowiązek wyznaczenia: rejonów wyczekiwania do luzowania przez wojska luzujące oraz rejonów ześrodkowania do zajęcia przez zluzowane pododdziały, dróg marszu, a także czasu rozpoczęcia i zakończenia luzowania. By zapewnić skrytość tego manewru, przełożony musi też zdecydować, czy luzowany pododdział zostawia swoje wozy bojowe, by w ten sposób uniemożliwić przeciwnikowi wykonanie uderzenia w trakcie ich zamiany. Luzowanie można realizować całością sił, co skraca czas jego wykonywania, ale jest ono możliwe przy braku aktywności przeciwnika, lub przemiennie, gdzie czas jego trwania jest dłuższy, ale zachowuje się możliwość oddziaływania na przeciwnika w wypadku jego aktywności. W przypadku dużej aktywności przeciwnika konieczne jest, by przełożony zaangażował swoje siły i środki, aby zabezpieczyć ten manewr. Z chwilą otrzymania zadania dowódca pododdziału luzującego wykonuje marsz do rejonu wyczekiwania i z podległymi dowódcami (plutonów i drużyn) skrycie przemieszcza się na stanowisko dowodzenia pododdziału luzowanego. Zostaje on zapoznany z zadaniem, które wykonywał luzowany pododdział, zorganizowanym systemem ognia i rozbudową fortyfikacyjną poszczególnych punktów oporu oraz aktywnością przeciwnika.

Powrót wojska po manewrach do Rzeszowa. Taczanka konna z ciężkim karabinem maszynowym Browning wz. 30.

Dowódcy plutonów i drużyn zapoznają się z zadaniami luzowanych i ze szkicami obrony. Po wyjaśnieniu wszystkich wątpliwości w zrozumieniu wykonywanego przez luzowanych zadania luzujący dowódca ustala sposób i kolejność zamiany pododdziałów w poszczególnych punktach oporu. Z chwilą rozpoczęcia luzowania wozy bojowe luzowanego pododdziału w określonej kolejności zajmują zapasowe stanowiska ogniowe, w tym samym czasie na główne stanowiska ogniowe wjeżdżają wozy bojowe luzującego pododdziału. Żołnierze zajmują stanowiska ogniowe, a dowódca drużyny stawia zadanie bojowe poszczególnym środkom ogniowym i jest w gotowości do odparcia ataku przeciwnika. Luzowanie kończy się z chwilą, gdy zostają przekazane zadania i broniony rejon, a zluzowane wojska zajmą rejon ześrodkowania.

J.B.

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (2)

Rosa Bailly – żarliwa polonofilka

„W skomplikowanej historii Europy dwa kraje są nierozerwalnie powiązane ze sobą. To Polska i Francja, które odegrały taką samą rolę. Położone na krańcach chrześcijańskiej Europy, musiały bronić jej przed najazdami i szerzyć cywilizację wśród swoich pogańskich sąsiadów. Francja i Polska przyjęły to zadanie jako misję”[1] – powtarzała wielokrotnie Rosa Bailly.

ŁUKASZ STEFANIAK

Był rok 1916, kiedy żołnierze francuscy przeżywali grozę wojny pozycyjnej, w tym piekło Verdun. W wielomiesięcznych walkach na wyniszczenie pod Verdun śmierć poniosło ok. 400 tys. Francuzów. A sama bitwa w odczuciu francuskiego społeczeństwa urosła niemal do mitycznego wymiaru. Wielu Polaków służących w armii III Republiki Francuskiej oddało tam życie. Pod Verdun ginęli również nasi rodacy, którym przyszło w austriackich i niemieckich mundurach walczyć po stronie najeźdźców.

W takich okolicznościach przyszła literatka i dziennikarka, młoda Rosa Dufour, pochłaniała informacje o Polsce i korespondowała z ludźmi działającymi we Francji na rzecz wskrzeszenia Polski, między innymi z Georges'em Bienaimé, Kazimierzem Woźnickim i Wacławem Bronisławskim. Postanowiła do nich dołączyć i działać w kraju nad Loarą w imię tegoż celu. Dufour w jednym z listów wyznała: „związałam się ze Sprawą Waszej Ojczyzny, a było to tylko podtrzymaniem starej tradycji w moim kraju”[2]. Rosa jako symboliczny początek działalności dla Polski wymieniła lekturę artykułu Georges'a Bienaimé *La Délaissée* (Opuszczona). Autor tekstu zarzucał Francji, że zapomina o Polsce. Rosa, wówczas nauczycielka literatury francuskiej w żeńskim gimnazjum w Cahors, w 1916 r. zainicjowała akcję pod nazwą Sou polonais (Grosik polski), celem której była zbiórka datków dla polskich sierot. Zwróciła się ona z apelem mającym poruszyć serca małych Francuzów. Przypominała w nim o państwie, którego na lekcjach geografii już się nie wymienia, o istnieniu Polaków, obrońców cywilizacji europejskiej w starciu z islamem w XVII w., o odwiecznej przyjaźni polsko-francuskiej. W sierpniu 1916 r. opublikowała broszurkę *Petite histoire de Pologne* (Mała historia Polski). Tekst rozpoczęła słowami: „Nie ma historii bardziej zadziwiającej i poruszającej niż historia Polski”[3]. Niedługo potem, 16 października 1916 r., wyszła za mąż za oficera armii belgijskiej, por. Ernesta Bailly.

Rok 1917 był dla Rosy Bailly trudny. Zaangażowana w pracę dydaktyczną, polonofilską i obarczona obowiązkami małżeńskimi popadła w kryzys. Razem z małżonkiem rehabilitującym się po odniesionych w walce ranach wyjechała do Rzymu. W Wiecznym Mieście podjęła życiowe decyzje: o rozstaniu z mężem i całkowitym oddaniu się sprawie Polski. Pisała o tym tak: „wyszłam za mąż. Ale po jakimś czasie mąż powiedział mi: Albo ja, albo Polska. No i wybrałam Polskę”[4]. Postanowienie wypełniła do końca, bo do śmierci w 1976 r. była wierną admiratorką spraw Polski na francuskiej arenie.

Dla Niepodległej

Odrodzenie Polski to wielki impuls dla działalności Rosy Bailly. Po przeniesieniu się do Paryża w 1919 r. założyła stowarzyszenie Les Amis de la Pologne (Przyjaciele Polski), którego sekretarzem generalnym była aż do jego likwidacji w 1953 r. Przez cały czas funkcję przewodniczącego pełnił konserwatywny katolicki polityk Louis Marin. Celem organizacji było przybliżanie Francuzom kultury i historii Polski – tego wiernego i sprawdzonego sojusznika, który wrócił na mapę Europy. Okazja ku temu nadarzyła się niebawem. Otóż według postanowień traktatu wersalskiego granica pomiędzy Polską a Niemcami na Górnym Śląsku miała być ustalona w wyniku plebiscytu. Stowarzyszenie Przyjaciele Polski we Francji intensywnie lobbowało za tym, aby cały Górny Śląsk był w granicach Polski. Pod pety-

Międzynarodowe Zawody Balonowe o Puchar Gordona Bennetta w Warszawie. Rosa Bailly w towarzystwie mjr. Stanisława Mazurka podczas zwiedzania parku balonowego, wrzesień 1935 r.

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

cją do rządu francuskiego popierającą to stanowisko zebrano ok. 5 mln podpisów. W 1925 r. – po zawarciu układu w Locarno, kiedy polskie granice zachodnie nie znalazły międzynarodowej gwarancji – Przyjaciele Polski jako jedni z nielicznych na Zachodzie podjęli aktywną krytykę tych postanowień. Również w 1938 r., po zajęciu Zaolzia przez Polskę, francuscy Przyjaciele Polski na arenie międzynarodowej aktywnie bronili naszego stanowiska. Przez cały okres II Rzeczypospolitej stowarzyszenie zorganizowało w 246 miastach Francji ok. 1400 manifestacji propagujących polskie sprawy.

Wypróbowani przyjaciele

Stowarzyszenie od samego początku aktywnie rozpowszechniało we Francji dorobek duchowej i materialnej kultury naszego narodu. W okresie dwudziestolecia międzywojennego wydało 56 broszur i książek w nakładzie ok. 400 tys. Stowarzyszenie przekładało na język francuski utwory Adama Mickiewicza, Aleksandra Fredry, Zofii Nałkowskiej, Władysława Reymonta i Leopolda Staffa. W miesięczniku „Les Amis de la Pologne" oprócz bieżących spraw opisywane były wielkie postacie z historii Polski. Dla Francuzów jasne stawało się, kim byli Bolesław Chrobry, Jadwiga Andegaweńska, Tadeusz Kościuszko, Józef Poniatowski, Józef Piłsudski. Prezentowano polskie miasta i krainy geograficzne.

Sztandarową pozycję zajmuje tu zbiór reportaży autorstwa Rosy Bailly *W sercu Polski* (Au coeur de la Pologne. Petites villes, chateaux, campagnes), gdzie można znaleźć dzisiaj mało znane opisy Kresów Wschodnich II Rzeczypospolitej. Bailly przypominała również historię przyjaźni polsko-francuskiej (Histoire de l'amitié franco-polonaise). Stowarzyszenie organizowało koncerty muzyki polskiej, gdzie prezentowano utwory Fryderyka Szopena, Stanisława Moniuszki, Feliksa Nowowiejskiego, Ignacego Paderewskiego i Henryka Wieniawskiego. Urządzało również wystawy dzieł malarskich Stanisława Wyspiańskiego, Jan Matejki, Artura Grottgera, Zofii Stryjeńskiej, Ksawerego Dunikowskiego i Jerzego Skoczylasa. Stowarzyszenie zorganizowało także 15 podróży do Polski. Twórczą propolską działalność przerwał rok 1939.

II wojna światowa

Wybuch II wojny światowej zmienił akcenty w polonofilskiej aktywności Rosy Bailly. Działania kulturalno-informacyjne ustąpiły miejsca pomocy humanitarnej polskim żołnierzom. Po klęsce wojny obronnej 1939 r., we Francji sformowano armię polską liczącą ponad 80 tys. żołnierzy. Po kapitulacji Francji w czerwcu 1940 r. na jej terytorium pozostało ok. 15 tys. żołnierzy polskich i kilka tysięcy cywilów. Ci, którym nie udało się wydostać, głównie do Wielkiej Brytanii (w akcji ewakuacyjnej Rosa Bailly również uczestniczyła), zostali osadzeni w obozach internowania. Ludziom tym Bailly wysyłała paczki, szukała dla nich pracy, by mogli legalnie opuścić obóz, a także lobbowała wśród Francuzów na rzecz pomocy polskim jeńcom. Nasi żołnierze stali się adresatami 41 listów otwartych, które napisała w latach 1940–1942. Listy prywatnymi kanałami kierowała do obozów, gdzie były publicznie odczytywane i wykładane w miejscach spotkań. Przesłania miały charakter emocjonalny. Ich celem było przywrócenie zrezygnowanym z powodu podwójnej porażki żołnierzom nadziei na ostateczne zwycięstwo. Zawierały słowa solidarności i wsparcia oraz praktyczne rady, jak przetrwać obozową rzeczywistość.

Rosa Bailly była osobą głęboko wierzącą i związaną z Kościołem katolickim, co w porewolucyjnej Francji nie było regułą. W *Listach do Polaków* wielokrotnie wskazywała wiarę w Boga jako niewyczerpane źródło siły. W jednym z listów pisała: „życie jest silniejsze ponad wszystko, gdyż zostało stworzone przez Boga. I byłoby drogą przeciw Woli Boskiej odsuwanie się od niego. Nie zezwólmy więc duszy naszej konać w smutnych myślach, umierać i rozkładać się w nas. Oddajmy się mocy wiosny, zezwólmy żywotnym sokom wiosennym krążyć w nas"[5]. Bailly 10 czerwca 1941 r. zwróciła się do Polaków z prośbą o budowę w miejscach, w których przebywają, kapliczek podobnych do przydrożnych, które widziała w Polsce. Miały one być stacjami kalwarii narodu ▶

FOT. FUNDACJA PAMIĘCI ROSY BAILLY (2)

Kapliczka w Septfonds, 2015 r.

Kapliczka w Idron, 2015 r.

polskiego. Jednocześnie miały stanowić symbol chrześcijańskiego przebaczenia Francuzom, których zaniedbania i zaniechania w opinii Rosy Bailly doprowadziły do wybuchu wojny. Do dziś na ziemi francuskiej stoją dwie takie kalwaryjskie stacje. Pierwsza to kapliczka lotników w Septfonds, gdzie rokrocznie 8 maja gromadzą się Francuzi oraz Polonia i wśród zielonych pól rozbrzmiewa Mazurek Dąbrowskiego. Druga znajduje się w Idron – przy niej co roku w maju honory oddają polscy żołnierze uczestniczący w Międzynarodowej Wojskowej Pielgrzymce Żołnierzy do Lourdes. Spełniły się prorocze słowa Rosy Bailly zawarte w jednym z listów: „Po wojnie będą do tej kapliczki przychodzić pielgrzymki”[6].

Lata powojenne

Po wojnie Rosa Bailly w wyniku zmiany konstelacji geopolitycznej nie mogła już z takim rozmachem realizować polonofilskiej misji. Jednak w miarę możliwości cały czas działała. Wyrazem jej bólu i sprzeciwu względem odebrania Polsce Lwowa jest książka *Lwów se libère*, która w języku angielskim opublikowana została w Londynie w 1956 r. pod tytułem *A city fights for freedom: the rising of Lwów in 1918–1919*. Dopiero w 2011 r. ukazało się tłumaczenie tej pozycji na język polski zatytułowane *Miasto walczy o wolność. Obrona Lwowa w latach 1918–1919*. W latach sześćdziesiątych XX w. Rosa Bailly odwiedzała Polskę. Przekazała mnóstwo eksponatów do Muzeum Narodowego w Warszawie. Zmarła w podpirenejskim Pau 14 czerwca 1976 r. Polsce poświęciła 60 lat swojego życia. W dniu pogrzebu jej trumna była przykryta biało-czerwoną flagą.

Wielka polonofilka, Dama Orderu Polonia Restituta Rosa Bailly dziś jest w Polsce prawie nieznana. Jej imieniem nazwano tylko małą uliczkę na warszawskim Bemowie oraz skwer w Krakowie. O mało nie zlikwidowano jej mogiły w Pau. Z inicjatywy wiernych polskiego Ordynariatu Polowego w 2015 r. na jej grobie pojawiła się nowa tablica w języku polskim i francuskim. Miejscowa społeczność odebrała to znakomicie, gdyż niebanalna postać Bailly została na nowo odkryta. Tę odmianę zawdzięczamy zaangażowaniu niestrudzonego miejscowego polonusa Zygmunta Szczepaniaka. Dzięki niemu Polacy mają wciąż szansę pochylić się nad mogiłą tej, która do Polaków mówiła: „Żyłam z Wami, cierpiałam i płakałam z Wami”. Te słowa zawarł w niezrealizowanym projekcie grobu Rosy Bailly Jan Sarnicki, przed wojną nauczyciel geografii Karola Wojtyły w gimnazjum w Wadowicach, w czasie wojny internowany w Idron. Po wojnie Sarnicki korespondował z Bailly. Wspomniane motto było w 2016 r. tytułem warszawskiej konferencji poświęconej „Francuzce o polskim sercu”[7]. Również w 2016 r. polscy żołnierze pielgrzymujący do Lourdes zawieźli ufundowany przez Polaków krzyż na grób Rosy w Pau. W katedrze polowej Wojska Polskiego w Warszawie 19 czerwca 2017 r. odsłonięto tablicę pamięci Francuzów, którzy pod przewodnictwem Rosy Bailly pomagali Polakom. Jesienią 2018 r. ukazało się polskie tłumaczenie jej książki *Au coeur de la Pologne – Petites Villes, Chateaux, Campagnes* (W sercu Polski – małe miasta, zamki, wsie) wydanej w Paryżu w 1936 r. W 2019 r. planowane jest wydanie *Listów do Polaków*.

W Polsce działa Fundacja pamięci Rosy Bailly, której celem jest duchowe i materialne upamiętnianie postaci tej działaczki, odtwarzanie jej dorobku oraz rozbudzanie zainteresowań tą niezwykłą kobietą. Założyciele fundacji od 2015 r. koordynują wszystkie inicjatywy związane z przypominaniem osoby i zasług Rosy Bailly dla Polski. Mimo pewnych sukcesów, pozostaje wielki niedosyt, szczególnie związany z historią Wojska Polskiego. Otóż pamiętniki wojenne Rosy Bailly, w których opisywała losy polskich żołnierzy internowanych w strefie Vichy, są bezcennym źródłem historycznym. Z powodu braku funduszy nie mogą doczekać się wydania w języku polskim. Czy można to zmienić? ■

ŁUKASZ STEFANIAK doktor, pracownik Wojskowego Centrum Geograficznego, wykładowca akademicki, autor książki *Utopizm: źródła myślowe konsekwencje cywilizacyjne*, redaktor monografii *„Żyłam z Wami, cierpiałam i płakałam z Wami”: W 100-lecie rozpoczęcia działalności Rosy Bailly na rzecz Polski oraz 40. rocznicę jej śmierci*, a także *Rycerze i pielgrzymi w tradycji europejskiej*, autor kilkudziesięciu artykułów naukowych i popularnonaukowych.

[1] R. Bailly, *Historia przyjaźni francusko-polskiej*, tłum. K. Kobrzyńska, oprac. J. Pawlikowski, E. Wasiak, w: *Żyłam z Wami, cierpiałam i płakałam z Wami: w 100-lecie rozpoczęcia działalności Rosy Bailly na rzecz Polski oraz 40. rocznicę jej śmierci*, red. Ł. Stefaniak, Lublin 2017, s.267 [2] *Nowe listy do Polaków we Francji*, VIII, Biblioteka Narodowa, sygn. 565.678. [3] R. Bailly, *Petite histoire de Pologne*, Paris 1926, s. 3. [4] A.M. Stefanicka, *Zapomniane listy z Coëtquidan*, Warszawa 2009, s. 21. [5] *Nowe listy do Polaków we Francji*, IV, Zielone Świątki 1941, Biblioteka Narodowa, sygn. 565.678. [6] *Nowe listy do Polaków we Francji*, V, 10 czerwca 1941, Biblioteka Narodowa, sygn. 565.678. [7] Materiały konferencyjne ukazały się w: *„Żyłam z Wami, cierpiałam i płakałam z Wami”*: w *100-lecie rozpoczęcia działalności Rosy Bailly na rzecz Polski oraz 40. rocznicę jej śmierci*, red. Ł. Stefaniak, Lublin 2017.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Maewestka

Lotnicy w kamizelkach, które zakładali przed wodowaniem, figurą przypominali seksbombę amerykańskiego kina, Mae West.

ANDRZEJ ŁYDKA

Podczas II wojny światowej obowiązkiem wszystkich lotników startujących z lotnisk położonych na Wyspach Brytyjskich było nałożenie na siebie kamizelek ratunkowych, niezbędnych w przypadku wodowania lub skoku ze spadochronem nad kanałem La Manche, Morzem Północnym lub Atlantykiem. Czasy, kiedy podczas Wielkiej Wojny brytyjskim pilotom zabraniano zabierania spadochronów, odeszły do przeszłości. Do wyposażenia każdego lotnika należała, oprócz spadochronu, wspomniana kamizelka ratunkowa i spakowany z nią ponton.

Pomalowana na żółto kamizelka miała specjalną konstrukcję: na piersi była wypchana gąbką zaszytą w materiale nieprzepuszczającym wodę. Dzięki temu lotnik mógł się utrzymać na powierzchni wody do czasu, aż sprężony dwutlenek węgla z dwóch specjalnych naboi napełnił wnętrze kamizelki. Taka konstrukcja powodowała, że lotnicy na piersiach mieli dosyć obfite kształty, przypominające figurę popularnej seksbomby ówczesnego amerykańskiego kina, Mae West (1893–1980). O artystce powiadano niezliczone anegdoty. W jednej z nich miała się ona zapytać wpatrzonego w nią wielbiciela: „Nosisz pistolet w kieszeni czy tylko tak się cieszysz na mój widok?”. Nie można się zatem dziwić, że kamizelki nieoficjalnie nazywano „Mae West”, a określenie na tyle się spopularyzowało, że dowództwo sił lotniczych Wielkiej Brytanii uznało, że należy poprosić artystkę o zgodę na użyczenie imienia i nazwiska do nazwania tego elementu wyposażenia. Mae West przystała na propozycję i dopiero wtedy „maewestki” (wym. mejuestki) pojawiły się w oficjalnej nomenklaturze lotniczej i logistycznej. ■

Józef František, czeski pilot służący w polskim Dywizjonie 303 w słynnej maewestce.

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

PCHOR. EDWARD JAWORSKI

Lotnik z 315 Dywizjonu, który podczas powrotu z operacji Circus 68 lądował przymusowo i uszkodził Spitfire'a.
Fot. zbiory śp. Edwarda Jaworskiego przekazane Grzegorzowi Śliżewskiemu. Koloryzacja: Mirosław Szponar

KRWAWE LATO

Kiedy mówi się o polskich lotnikach walczących podczas II wojny światowej, przed oczami stają zazwyczaj piloci z Dywizjonu 303, którzy w 1940 r. odnosili spektakularne sukcesy podczas bitwy o Anglię. W rzeczywistości zmagania pod niebem Europy trwały dalej, a połowa 1941 r. jest często określana jako „bloody summer" – „krwawe lato".

GRZEGORZ ŚLIŻEWSKI

Duży udział w zmaganiach pod niebem Europy miały polskie dywizjony stacjonujące w Northolt. Właśnie tam 1 kwietnia w 1941 r. powstało I Polskie Skrzydło Myśliwskie, którego podstawową pracą wkrótce stało się operowanie nad północną Francją i krajami Beneluksu. Wchodzące w jego skład dywizjony działały nad okupowaną Europą w poszukiwaniu samolotów Luftwaffe, atakowały cele naziemne, a także osłaniały bombowce zrzucające ładunek na istotne dla niemieckiej gospodarki cele: elektrownie, zakłady produkcyjne, węzły kolejowe. Tych ostatnich zadań było najwięcej i określano je kryptonimem „Circus", czyli „Cyrk", odróżniając od siebie kolejnym numerem wyprawy.

Polskie Skrzydła Myśliwskie

Początkowo w skład I Polskiego Skrzydła Myśliwskiego wchodziły dwa dywizjony: 303 im. Tadeusza Kościuszki i 306 „Toruński". Z czasem dołączył do nich 308 „Krakowski" Dywizjon Myśliwski, a w lipcu 1941 r. w Northolt zameldował się 315 Dywizjon Myśliwski „Dęblиński", który zluzował odchodzących na odpoczynek kościuszkowców. Personel wszystkich polskich jednostek w większości składał się z zaprawionych w bojach pilotów, którzy mieli za sobą doświadczenia w walkach pod polskim niebem w 1939 r., we Francji w 1940 r., z bitwy o Anglię oraz z początkowych miesięcy ofensywy 1941 r. Na czele polskiego Skrzydła stał mjr Tadeusz Rolski, były dowódca dywizjonu myśliwskiego osłaniającego w 1939 r. działania Armii „Pomorze" i pierwszy szef 306 DM. Kiedy odchodził z tej drugiej jednostki, by stanąć na czele I Polskiego Skrzydła Myśliwskiego, jego miejsce zajął kpt. Jerzy Zaremba. On także miał doświadczenie w walkach podczas tragicznego września 1939 r. – stał wówczas na czele 131 Eskadry Myśliwskiej i podczas jednej z walk był ciężko ranny w nogi. Mimo że nie do końca wyleczony, zimą 1939–1940 r. zdecydował się przedostać do Francji. Przeliczył się jednak z siłami – podczas wędrówki przez zaśnieżone góry rany się otworzyły i plany musiał odłożyć na kilka tygodni. Ostatecznie do Francji dotarł zbyt późno, by zdążyć przeszkolić się na sprzęcie sojusznika, i wziął udział w walkach dopiero w Wielkiej Brytanii. Z Tadeuszem Rolskim związany był także dowódca 308 DM, kpt. Marian Pisarek (we wrześniu 1939 r. pilot jego dywizjonu). Pisarek w czasie bitwy o Anglię był jednym z lotników słynnych kościuszkowców i został uwieczniony na kartach *Dywizjonu 303* Arkadego Fiedlera. Ostatni z dowódców – stojący na czele 315 Dywizjonu mjr Stanisław Pietraszkiewicz – przed wojną był pilotem myśliwskim 1 Pułku Lotniczego z Warszawy, a ostatnie dwa lata pokoju spędził jako instruktor w Szkole

1

Podchorążych Lotnictwa w Dęblinie. Po przedarciu się do Francji i niemieckim ataku w maju 1940 r. samorzutnie utworzył klucz myśliwski broniący okolic Bordeaux. Po kapitulacji sojusznika znalazł się w Wielkiej Brytanii i stanął na czele tworzącego się 307 „Lwowskiego" Nocnego Dywizjonu Myśliwskiego wyposażonego w samoloty Defiant z dwuosobową załogą. Właśnie ta nietypowa maszyna, uzbrojona jedynie w karabiny maszynowe obsługiwane przez strzelca pokładowego, była przyczyną buntu pilotów, którzy nie chcieli wyłącznie wozić strzelców, a pragnęli czynnie brać udział w walkach. Prawie wszystkich – z Pietraszkiewiczem na czele – przeniesiono więc do innych jednostek wyposażonych w typowo myśliwskie, jednoosobowe samoloty. Wkrótce popularny „Petro", jak piloci nazywali Pietraszkiewicza, zaczął organizować 315 Dywizjon.

Latem 1941 r. lotnicze wyprawy nad okupowaną Europę stały się niemal codziennością. Kiedy tylko pogoda na to pozwalała, w powietrze wzbijały się dywizjony podporządkowane RAF, by siać niepokój na terytorium zajętym przez przeciwnika. Z wyprawą należało się wstrzymać między innymi 8 sierpnia 1941 r., bo warunki atmosferyczne nie zachwycały – nie dość, że ziemię spowiła mgła, to jeszcze z nieba lał się rzęsisty deszcz. Lotnictwo zostało więc uziemione na lotniskach i aktywność pilotów spadła do zera. Kiedy następnego dnia pogoda się poprawiła, RAF w ramach kolejnej operacji Circus ponownie wysłał nad Francję bombowce: pięć dwusilnikowych Blenheimów z 226 Dywizjonu pod dowództwem S/Ldr (Squadron Leader, brytyjski stopień majora RAF) Waddingtona, których zadaniem było zbombardowanie zakładów chemicznych w Gosnay w północnej Francji. Operację Circus 68, bo taki kryptonim otrzymała, osłaniały myśliwce stacjonujące w North Weald i Hornchurch, a nad celem wesprzeć je miały jednostki z Kenley i Tangmere. Polakom z Northolt przypadło w udziale wsparcie wyprawy. Mieli oni udać się w rejon Saint Omer, by odciągnąć samoloty Luftwaffe od głównych sił RAF. Tam bowiem znajdował się węzeł lotnisk, na którym stacjonowała niemiecka jednostka myśliwska Jagdgeschwader 26.

Nad Francją pogoda jednak pogorszyła się i z powodu pełnego zachmurzenia bombowce nie były w stanie odnaleźć celu. Dlatego wyprawa zawróciła i w drodze powrotnej zrzucono ładunek na nadmorskie Gravelines. Lotnicy zauważyli jednak, że nie był to udany atak – część bomb wpadła do morza. Podczas wykonywania zadania nie byli niepokojeni przez przeciwnika, ponieważ eskorta skutecznie związała w walce atakujące samoloty Messerschmitty.

Cyrkowcy nad Francją

Tymczasem Polacy wystawili do swojego zadania następujący skład pilotów:

• Dywizjon 306: kpt. Jerzy Zaremba, sierż. Henryk Pietrzak, ppor. Zdzisław Langhamer, sierż. Wawrzyniec Jasiński, ppor. Wiesław Choms, plut. Stanisław Wieprzkowicz, kpt. Stanisław Zieliński, ppor. Czesław Daszuta, por. Kazimierz Rutkowski, pchor. Aleksander Franczak, sierż. Otton Pudrycki i plut. Leon Kosmowski.

• Dywizjon 308: mjr Tadeusz Rolski, ppor. Jerzy Zbierzchowski, por. Feliks Szyszka, plut. Jerzy Zieliński, por. Marian Wesołowski, ppor. Witold Retinger, kpt. Marian Pisarek, por. Stefan Janus, pchor. Ta-

2

3

LOTNICY

1. Por. Stefan Janus (z lewej) i ppor. Jan Kremski z 308 Dywizjonu, którzy brali udział w obu lotach 9 sierpnia 1941 r. Fot. zbiory Grzegorza Śliżewskiego

2. Pchor. Eugeniusz Malczewski z 315 Dywizjonu, który zgłosił uszkodzenie Me 109. Fot. zbiory śp. Edwarda Jaworskiego przekazane Grzegorzowi Śliżewskiemu

3. Kpt. Władysław Szczęśniewski (w kabinie), dowódca eskadry w 315 Dywizjonie, który 9 sierpnia 1941 r. zgłosił uszkodzenie Me 109. Fot. zbiory śp. Edwarda Jaworskiego przekazane Grzegorzowi Śliżewskiemu

deusz Schiele, ppor. Franciszek Surma, ppor. Jan Kremski i ppor. Jan Jakubowski.

• Dywizjon 315: mjr Stanisław Pietraszkiewicz, kpt. Władysław Szczęśniewski, por. Jerzy Czerniak, plut. Jan Adamiak, ppor. Franciszek Kornicki, sierż. Andrzej Niewiara, por. Bronisław Mickiewicz, ppor. Eugeniusz Fiedorczuk, pchor. Eugeniusz Malczewski, ppor. Józef Gil, sierż. Michał Cwynar i pchor. Edward Jaworski.

Z powodu kłopotów z silnikiem do Northolt wcześniej powrócił sierż. Cwynar. Polacy przekroczyli francuski brzeg w okolicy Nieuport, a następnie udali się nad Saint Omer. Tam przez chmury niecelnie ostrzelała ich artyleria przeciwlotnicza. Polskie Skrzydło otrzymało rozkaz obniżenia wysokości i wtedy mjr Rolski dostrzegł na tle znajdujących się kilka tysięcy stóp niżej chmur – trzy grupy maszyn Messerschmitt 109. Dowódca I Polskiego Skrzydła Myśliwskiego zdecydował, że na przeciwnika uderzą lecący najniżej 308 Dywizjon oraz Dywizjon 315. Operujący najwyżej 306 otrzymał zadanie osłony tego ataku.

Z 315 Dywizjonu do nieprzyjaciela najszybciej dotarła czwórka pilotów klucza por. Mickiewicza. Jej dowódca za cel wybrał lecącego po lewej stronie formacji Me 109 i zbliżając się od strony słońca, ze 150 m otworzył ogień z działek i karabinów maszynowych. Wystrzelił trzy krótkie serie, zmniejszając w tym czasie dystans do 80 m. Już po pierwszej z nich zauważył, że z kabiny pilota wydobył się czarny dym, a po chwili od skrzydeł oderwały się spore kawałki poszycia. To sprawiło, że spowita dymem maszyna zaczęła spadać niczym kamień. Po tym starciu Mickiewicz nie mógł odnaleźć kolegów i do Anglii wrócił samotnie, lądując w Stapleford.

Boczny dowódcy, pchor. Malczewski, za cel obrał prawego Me 109 i ostrzelał go długą serią z 300 m. Niemiecki pilot uciekł w dół, ale Polak poleciał za nim i oddał w jego kierunku dwie krótkie serie, zbliżając się na 100 m. Z kadłuba Messerschmitta wydobył się czarny dym, a maszyna wpadła w niekontrolowany korkociąg. Malczewski nie widział, co się z nią ostatecznie stało, bo wleciał w chmury. On także nie potrafił odnaleźć jednostki i samotnie wylądował w Stradishall.

Dowódca drugiej sekcji, ppor. Gil, zauważył, że na tyły atakujących przed nim Spitfire'ów wchodzi pojedynczy Me 109. Zaatakował go więc dwoma krótkimi seriami, rozpoczynając ostrzał z 200 m, a kończąc na 80. Po drugiej serii z kabiny pilota wydobył się czarny dym i wydawało się, że siedzący za sterami Messerschmitta Niemiec stracił nad nim kontrolę. Gil jeszcze raz zaatakował przeciwnika z bliska trzema seriami, a myśliwiec Luftwaffe, opadając, skrył się w chmurach. I ten pilot nie odnalazł kolegów, w efekcie lądował w West Malling.

Ostatni z atakującej czwórki, ppor. Fiedorczuk, nie zdążył otworzyć ognia i przeciwnik

schował się w chmurach. Gdy mjr Pietraszkiewicz przez radio nakazał powrót do Anglii, Fiedorczuk obniżył lot i kosiakiem ruszył do Northolt. W połowie kanału La Manche zauważył Me 109 lecącego nad taflą morza w przeciwnym kierunku. Kiedy samoloty się minęły, Polak zawrócił i pogonił za wrogiem. Udało mu się zmniejszyć dzielącą ich odległość z ponad dwóch kilometrów do 100 m i wtedy otworzył ogień. Wystrzelone serie sprawiły jedynie, że Messerschmitt gwałtownie przyspieszył, starając się skryć w chmurach. Zanim jednak tam się znalazł, Polak oddał w jego kierunku długą serię. Z niemieckiej maszyny wydobył się czarny dym, a samolot zaczął szybować w kierunku plaży. Fiedorczuk musiał przerwać obserwację, bo został ostrzelany przez artylerię przeciwlotniczą. Zawrócił więc do Anglii. Zabrakło mu jednak paliwa, by dolecieć do bazy, i przymusowo lądował w Waldingfield, rozbijając Spitfire'a. Sam z kraksy wyszedł bez obrażeń.

Kiedy czwórka por. Mickiewicza walczyła z Messerschmittami, mjr Pietraszkiewicz dostrzegł z tyłu samoloty skradające się do dywizjonu. Nakazał więc przez radio utworzyć obronny krąg. W rzeczywistości były to Spitfire'y z brytyjskiego skrzydła stacjonującego w Tangmere i... do bratobójczej walki nie doszło. Dowódca 315 nakazał wracać do bazy. Polakom nie udało się zebrać w całość i do Anglii wrócili małymi grupami: po dwóch lądowało w Northolt, Oakington i Stradishall, a po jednym w Mildenhall, Stapleford i West Malling.

Relacja zapisana w kronice 315 Dywizjonu przedstawia opis tego starcia oczami mjr. Pietraszkiewicza: „Po przybyciu nad Kanał Dyon przyjął szyk bojowy 4-ki. »Red« na prawo, »White« w środku, »Yellow« na lewo. Po wejściu nad Francję i skręcie z St Omer pod kursem 340° na Gravelines, d-ca Wingu [brytyjska nazwa Skrzydła] mjr Rolski, jako d-ca najniższego Squadronu [brytyjska nazwa dywizjonu] zauważył 4 Me 109 i wydał rozkaz »atakować«. Po przyjęciu korzystnej pozycji, wyżej i od słońca, nakazałem sekcji »Yellow« atakować. D-ca sekcji por. Mickiewicz natychmiast wykonał rozkaz. Z resztą Squadronu postanowiłem tworzyć pułap bezpieczeństwa dla sekcji »Yellow«. Rzeczywiście czaiły się 4 Me 109, aby napaść na sekcję »Yellow«, ale widząc moje zamiary postanowiły mnie zaatakować. Odgryzałem się bacząc ciągle, by nie spadły na sekcję »Yellow«. Po pewnym czasie odwróciłem się i przegoniłem Me 109, które uciekły w chmury. Wróciłem jako ostatni z Wingu z Sgt [Sergeant, brytyjski stopień sierżanta] Niewiarą nad Manston, po czem [sic!] do Northolt. Wynik walki: por. Mickiewicz zestrzelił 1 Me 109, ppor. Gil – 1 Me 109, Sgt Malczewski 1 Me 109, ppor. Fiedorczuk 1 Me 109.

Ppor. Fiedorczuk wracając nisko pod chmurami spotkał nad Kanałem 1 Me 109, którego zaatakował i zestrzelił. Wracając miał tylko 5 galonów benzyny – lądował w terenie rozbijając maszynę Spitfire 2B. Sgt pchor. Jaworski odłączył i lądował przymusowo w terenie uszkadzając nieznacznie s-lot. Poza lotniskiem lądowały wszystkie samoloty – za wyjątkiem rozbitego przez ppor. Fiedorczuka i samolotu Jaworskiego.

Wnioski: cudownie wykorzystany moment do ataku. Ubezpieczenie walczących z góry. Małe opanowanie nawigacyjne pilotów, mała znajomość terenu i rozłożenia lotnisk.

Rezultat: 1 zestrzelony F/Lt [Fight Lieutenant, brytyjski stopień kapitana RAF] Mickiewicz, 1 prawdopodobnie zestrzelony Sgt Malczewski, 2 uszkodzone P/O [Pilot Officer, brytyjski stopień podporucznika RAF] Fiedorczuk i P/O Gil"[1].

Tymczasem 308 Dywizjon uderzył na ósemkę Me 109. Major Rolski otworzył ogień do maszyny lecącej na samym końcu formacji. Krótka seria z 200–250 m trafiła w kabinę pilota i w nos Messerschmitta. Niemiecki samolot, tracąc wysokość, skręcił w prawo, a Rolski zbliżył się na 100 m i oddał kolejną serię. Przeciwnik na ten ostrzał nie zareagował, w dalszym ciągu wykonywał skręt. W pewnym momencie jego prędkość spadła, a Polak przeleciał nad nim. Ostatnie, co Rolski widział, to ciągle skręcającego Me 109, który wszedł w chmury.

Także pilot ppor. Retinger ostrzelał przeciwnika. Tak opisał swoje starcie w raporcie bojowym: „Na północ od St. Omer dostrzegłem pojedynczego Me 109 i natychmiast go zaatakowałem. Wystrzeliłem krótką serię z odległości około 200 jardów i widziałem pociski trafiające w kadłub, musiałem jednak przerwać atak, bowiem nieprzyjaciel uciekł w chmury i straciłem go z oczu"[2].

Do Messerschmitta strzelał też kpt. Pisarek, ale chybił.

306 Dyon pozostał na dotychczasowej wysokości i po pewnym czasie stracił z oczu pozostałe jednostki polskiego skrzydła. W drodze powrotnej, przekraczając francuski brzeg między Calais a Gravelines, piloci zauważyli na północ od pierwszego z tych miast sześć zakotwiczonych większych statków.

Po powrocie do bazy pewne zestrzelenie zaliczono por. Mickiewiczowi, zestrzelenie prawdopodobne pchor. Malczewskiemu, a uszkodzenia ppor. Gilowi i ppor. Fiedorczukowi. Natomiast mjr. Rolskiemu przyznano zestrzelenie prawdopodobne, a ppor. Retingerowi uszkodzenie maszyny przeciwnika.

Skuteczne wymiatanie

Po południu I Polskie Skrzydło Myśliwskie otrzymało nowe zadanie: wymiatanie nad Francją. Polacy, którzy ponownie mieli udać się w okolice Saint Omer, wystawili następujący skład pilotów:

• Dywizjon 306: kpt. Stanisław Zieliński, Sgt Jan Śmigielski, por. Kazimierz Rutkowski, ppor. Czesław Daszuta, ppor. Bolesław Kaczmarek, sierż. Otton

FOT. ZBIORY GRZEGORZA ŚLIŻEWSKIEGO

Mjr Stanisław Pietraszkiewicz, dowódca 315 Dywizjonu, w towarzystwie matki chrzestnej jednostki.

Pudrycki, kpt. Mieczysław Wiórkiewicz, ppor. Wiesław Choms, sierż. Henryk Pietrzak, sierż. Wawrzyniec Jasiński i plut. Stanisław Zięba.

• Dywizjon 308: mjr Tadeusz Rolski, por. Stefan Janus, pchor. Tadeusz Schiele, ppor. Jan Kremski, ppor. Czesław Budzałek, plut. Adolf Pietrasiak, plut. Henryk Kowalski, por. Marian Wesołowski, ppor. Jerzy Zbierzchowski, por. Feliks Szyszka, plut. Jerzy Zieliński, ppor. Witold Retinger i kpr. Roman Marecki.

• Dywizjon 315: mjr Stanisław Pietraszkiewicz, por. Bronisław Mickiewicz, por. Kazimierz Woliński, ppor. Józef Gil, sierż. Michał Cwynar, por. Zbigniew Czaykowski, kpt. Władysław Szczęśniewski, ppor. Zygmunt Drybański, por. Jerzy Czerniak, sierż. Andrzej Niewiara, ppor. Franciszek Kornicki i plut. Jan Adamiak.

Zanim samoloty dotarły do francuskiej linii brzegowej, do Northolt zawróciły dwa Spitfire'y z 306 Dywizjonu. Wspomniano o tym w Dzienniku Działań jednostki: „S/Ldr Wiórkiewicz wskutek tego że zapomniał, gdzie się znajduje kurek tlenowy, nie mógł uregulować dopływu tlenu i wrócił znad Kanału. Razem z nim wrócił P/O Choms"[3]. Wiórkiewicz był polskim oficerem łącznikowym przy 11 Grupie Myśliwskiej RAF, który ochotniczo wprosił się na ten lot.

Wyprawa przekroczyła francuskie wybrzeże w okolicy Ambleteuse i skierowała się nad Saint Omer. W pewnym momencie ze stacji naziemnej w Northolt piloci otrzymali wiadomość, że niedaleko Boulogne znajdują się samoloty przeciwnika. Kiedy je zauważyli, mjr Rolski nakazał zaatakować je 315 Dywizjonowi.

Major Pietraszkiewicz zanurkował w kierunku nieco odseparowanego od reszty formacji Me 109, ale zanim otworzył ogień, nieprzyjaciel skręcił w prawo. Polak odniósł wrażenie, że niemiecki pilot spodziewa się ataku, bo nie leciał w linii prostej, tylko, zygzakując, wypatrywał przeciwnika. Lecąc w ten sposób, w linii prostej pokonywał odległość z mniejszą prędkością, co pozwoliło Pietraszkiewiczowi zbliżyć się i otworzyć ogień z 400 m. Jedynym efektem tych strzałów był gwałtowny skręt w prawo Niemca. Nabierający wysokości Messerschmitt znalazł się 200 m od dowódcy 315, który wystrzelił w jego kierunku długą serię. Widział, że pociski trafiły samolot przeciwnika, a z kabiny pilota wydobył się czarny dym. W gwałtownych skrętach Me 109 tracił wysokość, by w niekontrolowanym locie skryć się w zalegających nad morzem chmurach.

Porucznik Mickiewicz zaatakował nieprzyjaciela od tyłu. Z odległości 200 m widział pociski trafiające w kadłub i kabinę pilota. Z samolotu zaczęły odpadać części, a z kabiny wydobył się cienki czarny dym. Maszyna Polaka nurkowała z dużą prędkością, a gdy znajdowała się tylko około półtora tysiąca metrów nad chmurami, pilot ją poderwał w górę i stracił na chwilę świadomość. Więcej przeciwnika nie widział, ale lecący za nim por. Czaykowski zameldował po powrocie, że zaatakowany Messerschmitt eksplodował w powietrzu. Mickiewiczowi podczas gwałtownego nurkowania uszkodziła się busola i wylądował na wyspie Thorney.

Kapitan Szczęśniewski zaatakował od tyłu czterema krótkimi seriami Messerschmitta,

FOT. ZBIORY GRZEGORZA ŚLIŻEWSKIEGO (4)

Mjr Tadeusz Rolski, dowódca I Polskiego Skrzydła Myśliwskiego, kpt. Marian Pisarek, dowódca 308 Dywizjonu, kpt. Jerzy Zaremba, dowódca 306 Dywizjonu, por. Bronisław Mickiewicz z 315 Dywizjonu, który 9 sierpnia 1941 r. zgłosił zestrzelenie dwóch Me 109.

który uciekał znad Boulogne nad pełne morze. Pilot twierdził, że musiał go trafić, bo maszyna nieprzyjaciela ostro przewróciła się na plecy i bocznym ślizgiem poszła w dół w kierunku chmur. Szczęśniewski nie kontynuował ataku, bo usłyszał w radiostacji dowódcę wzywającego do zbiórki jednostki.

Podporucznik Gil zanurkował z 7 tys. m na 3 tys. m, gdzie toczyła się walka między ośmioma Spitfire'ami a czterema Me 109. Polak zobaczył, że jeden z Messerschmittów rzucił się do ucieczki, gwałtownie tracąc wysokość, by dotrzeć na poziom morza. Gil dopadł go na wysokości tysiąca metrów i z odległości 100 m wystrzelił trzy krótkie serie. Widział, że pociski trafiają w kabinę pilota i kadłub, a samolot nurkuje w kierunku brzegu. Musiał jednak przerwać pościg, bo ostrzelała go artyleria przeciwlotnicza z lądu, do którego się zbliżał. Ostatni raz widział przeciwnika, gdy ten nurkował na dużej prędkości i był na wysokości 700 m.

W drodze powrotnej, przy przekraczaniu linii brzegowej w Mardyck, lotnicy widzieli jeszcze dwa Me 109, które posuwały się za nimi w bezpiecznej odległości, by ostatecznie zawrócić w połowie kanału La Manche.

Z zadania nie wrócili por. Czerniak i sierż. Niewiara, którzy prawdopodobnie zginęli, kiedy próbowali powstrzymać atak Messerschmittów na zajętych walką kolegów. Wspomina o tym zapis z kroniki jednostki, w którym mjr Pietraszkiewicz opisał starcie ze swojej perspektywy: „Po wystartowaniu nie widziałem znaku podawanego przez d-cę Wingu do przyjęcia szyku do przejścia przez chmury. Przejście przez chmury łatwe, ale Squadron nie mógł się zebrać razem – bo była R/T silance [cisza w eterze]. Po minięciu brzegu Anglii wydałem rozkaz: Brickbat Leader [dowódca Brickbatów, 315 Dywizjon miał w1941 r. kryptonim Brickbat, czyli przytyk (w kontekście: kąśliwa uwaga)] mówi: kiwam skrzydłami, zebrać się. Bezpośrednio po tem [sic!] stacja naziemna »Zulu« nadała wiadomość do d-cy Wingu, że samoloty nieprzyjaciela zbliżają się naprzeciwko na wysokości 20.000 stóp. Kilka chwil po tem [sic!] zauważyłem 4 Me 109 z prawej w przodzie w dole. D-ca Wingu wydał rozkaz: atakować Brickbaty! Powtórzyłem rozkaz: w prawo skręt, atakujemy Brickbaty. W czasie tego ataku zestrzeliły: por. Mickiewicz 1 Me 109, mjr Pietraszkiewicz 1 Me 109, ppor. Gil i Sgt Cwynar 1 Me 109 uszkodzony, kpt. Szczęśniewski 1 Me 109 uszkodzony. Po walce, która rozpoczęła się na 20.000, a skończyła się na 4.000 stóp odleciałem nad Manton z 7-ma samolotami. Por. Mickiewicz zameldował swoje odejście po walce i lądował w Portsmouth z powodu wady busoli. Por. Czerniak i Sgt Niewiara nie wrócili z lotu – prawdopodobnie wdali się w walkę z innymi 5 Me 109, które chciały nas zaatakować kiedyśmy robili »dog fight« [walka psów, czyli walka kołowa].

Wnioski: Wing w momencie zaangażowania 1-go Squadronu musi ubezpieczać z góry, gdyż inaczej są niepotrzebne straty. Ogólnie uważam, że Squadron zestrzelił w ciągu dnia 6 Me 109 i 2 Me 109 poważnie uszkodził. Straty własne 3 Spitfire'y i 2 pilotów.

Rezultat: 1 Me 109 zestrzelony F/Lt Mickiewicz, 2 prawdopodobne zestrzelenia – S/Ldr Pietraszkiewicz, P/O Gil, 1 uszkodzony F/Lt Szczęśniewski. 2 Spitfire'y P8506 – 2B F/O [Flying Officer, brytyjski stopień porucznika RAF] Czerniak i P8096 – 2B Sgt Niewiara nie wróciły"[4].

Porucznikowi Mickiewiczowi przyznano ostatecznie pewne zwycięstwo, prawdopodobne mjr. Pietraszkiewiczowi, a po uszkodzeniu kpt. Szczęśniewskiemu i ppor. Gilowi.

Podporucznik Gil i sierż. Cwynar widzieli pilota ratującego się skokiem ze spadochronem około 5 km od Boulogne. Lotnik opuścił maszynę, która spadała w korkociągu, prawdopodobnie Spitfire'a. Ponieważ działo się to na wysokości 700 m, pilot mógł nie zdążyć rozwinąć czaszy spadochronu przed dotarciem do powierzchni morza. Być może był to sierż. Niewiara, gdyż jego ciało spoczywa na cmentarzu w Boulogne. Choć nie można wykluczyć, że lotnicy widzieli ostatnie chwile por. Czerniaka, który prawdopodobnie zginął w morzu.

Obaj polegli przeszli podobną wojenną drogę. We wrześniu 1939 r. bronili Warszawy w ramach Brygady Pościgowej, a Niewiara wspólnie z innym pilotem zestrzelił pierwszy niemiecki bombowiec na przedpolach stolicy. We Francji znaleźli się w składzie GC 1/145, jedynej cudzoziemskiej jednostki lotniczej

ZWYCIĘSTWA ZGŁOSZONE 9 SIERPNIA 1941 R. PRZEZ PILOTÓW I PSM

Zgłoszone zwycięstwo	Pilot	Dywizjon	Uwagi
Me 109 pewne	por. Bronisław Mickiewicz	315	Circus 68
Me 109 prawdopodobne	mjr Tadeusz Rolski	I PSM	Circus 68
Me 109 uszkodzony	pchor. Eugeniusz Malczewski	315	Circus 68
Me 109 uszkodzony	ppor. Józef Gil	315	Circus 68
Me 109 uszkodzony	ppor. Eugeniusz Fiedorczuk	315	Circus 68
Me 109 uszkodzony	ppor. Witold Retinger	308	Circus 68
Me 109 pewne	por. Bronisław Mickiewicz	315	wymiatanie
Me 109 prawdopodobne	mjr Stanisław Pietraszkiewicz	315	wymiatanie
Me 109 uszkodzony	kpt. Władysław Szczęśniewski	315	wymiatanie
Me 109 uszkodzony	ppor. Józef Gil	315	wymiatanie

STRATY PONIESIONE 9 SIERPNIA 1941 R.

Pilot	Dyon	Okoliczności
Por. Jerzy Czerniak	315	poległ podczas wymiatania nad Francją
Sierż. Andrzej Niewiara	315	poległ podczas wymiatania nad Francją
Ppor. Tadeusz Blach	308	zginął w locie treningowym
Ppor. Eugeniusz Fiedorczuk	315	rozbił samolot podczas przymusowego lądowania po operacji Circus 68
Pchor. Edward Jaworski	315	uszkodził samolot podczas przymusowego lądowania po operacji Circus 68
Kpr. Aleksander Chudek	315	uszkodził samolot podczas lądowania po locie treningowym

we Francuskich Siłach Powietrznych (Armée de l'air). Umiejętnościami błysnął wówczas Czerniak, który do dwóch zwycięstw w Polsce (indywidualnego i zbiorowego) dopisał dwa nowe. Po przybyciu do Anglii walczył w składzie 302 „Poznańskiego" w bitwie o Anglię. Drogi Czerniaka i Niewiary ponownie skrzyżowały się na początku 1941 r., w 315 Dywizjonie.

Nie był to jednak koniec pecha Polaków. Po południu, podczas lotu treningowego, doszło do tragicznego wypadku. Na skutek błędu w pilotażu na małej wysokości w pobliżu Ruislip rozbił się Spitfire pilotowany przez ppor. Tadeusza Blacha z 308 Dywizjonu. Młody lotnik, który zaledwie miesiąc wcześniej przybył do jednostki, nie przeżył. Kapral Aleksander Chudek z 315 DM z kolei po powrocie z lotu treningowego uszkodził podczas lądowania swojego Spitfire'a.

Od czerwca do końca 1941 r. wchodzące w skład I Polskiego Skrzydła Myśliwskiego jednostki co miesiąc znajdowały się w czołówce najskuteczniejszych dywizjonów walczących pod niebem Europy. Zwycięstwa przeplatały się ze stratami, bo niemieccy piloci i artyleria przeciwlotnicza nie zamierzali łatwo sprzedać swej skóry. 9 sierpnia 1941 r. był zatem tylko jednym z wielu dni, które piloci I Polskiego Skrzydła Myśliwskiego spędzali niezwykle aktywnie. ■

GRZEGORZ ŚLIŻEWSKI doktor nauk humanistycznych w zakresie historii, absolwent historii Uniwersytetu Gdańskiego i Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Zajmuje się tematyką związaną z przeszłością polskiego lotnictwa; opublikował 12 książek i około 100 artykułów z tej tematyki. Działacz Fundacji Historycznej Lotnictwa Polskiego. Mieszka w Koszalinie, gdzie jest głównym organizatorem cyklicznej konferencji popularnonaukowej poświęconej historii lotnictwa.

[1] Instytut Polski i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie (dalej: IPMS), Dyon Myśliwski nr 315, LOT A.V.53/3, Kronika Dyonu, brak numeracji stron, zapis z 9 sierpnia 1941 r. [2] The National Archives w Kew, Combat Reports, AIR 50/120, 308 Squadron, Personal Combat Report, P/O Retinger, 9/8/41, k. 47. [3] IPMS, Dyon Myśliwski nr 306, LOT A.50/3, Dziennik Działań, k. 91.[4] IPMS, Dyon Myśliwski nr 315, LOT A.V.53/3, Kronika Dyonu, brak numeracji stron, zapis z 9 sierpnia 1941 r.

FRANCUSCY WSPÓŁTWÓRCY POLSKIEGO LOTNICTWA

Zagadnienie cudzoziemców w polskim lotnictwie wojskowym w latach 1919–1920 nie jest nowe. Zazwyczaj jednak pamięta się o Amerykanach. To oni w sposób najbardziej efektowny wpisali się w historię polskich skrzydeł. Pod względem liczby jednak zdecydowanie górowali nad nimi Francuzi.

MARIUSZ NIESTRAWSKI

Pod koniec 1918 r. III Republika Francuska znalazła się w skomplikowanej sytuacji. Dopiero co zwycięsko zakończyła Wielką Wojnę, ale zapłaciła w niej ogromną daninę krwi. Co bardziej dalekowzroczni francuscy mężowie stanu dostrzegali, że niebezpieczeństwo ze strony Niemiec zostało tylko odsunięte w czasie. Rząd Francji był więc zmuszony szukać sojuszników, dzięki którym mógłby szachować swego wschodniego sąsiada.

Z pomocą przyszły zmiany terytorialne w Europie Środkowo-Wschodniej. Spośród krajów tego regionu najważniejsza dla Francji stawała się odrodzona Polska. Ze względu na swe aspiracje wobec ziem zaboru pruskiego musiała ona być nastawiona antyniemiecko. Silniejsza Polska oznaczała przewagę Francji nad Niemcami. We wszystkich polsko-niemieckich sporach terytorialnych III Republika stawała więc po stronie II Rzeczypospolitej. Ukoronowaniem wspólnego, antyniemieckiego stanowiska obu państw było zawarcie w 1921 r. sojuszu wojskowego.

Lotnictwo Armii Polskiej we Francji

Zanim jednak do tego doszło, Francuzi odegrali znaczącą rolę w budowie lotnictwa wojskowego II RP. Od 1918 r. zaczęli zagospodarowywać zgromadzonych nad Sekwaną polskich lotników. Niegotowych do walki wysyłali do szkół lotniczych w Dijon i Longvic, a wyszkolonych kierowali od marca 1919 r. do Szkoły Wyższego Pilotażu w Pau.

Lotnicy ci zostali włączeni do Armii Polskiej we Francji i wiosną 1919 r. zaczęli przybywać nad Wisłę. Z Francji do Polski trafiła szkoła pilotażu, park lotniczy i siedem wzorowo wyposażonych eskadr lotniczych.

Były to eskadry o wypracowanych tradycjach. Pierwsza z nich, eskadra BR 39, zadania bojowe realizowała już od 1914 r. Wykonywała loty rozpoznawcze, wstrzeliwanie artylerii, a także ataki na maszerujące niemieckie wojska. Od 1915 r. do końca wojny współpracowała z francuskim XXXVIII Korpusem Armijnym.

FOT. POLONA.PL

2

FOT. „POLSKA FLOTA NAPOWIETRZNA", 1919, NR 1, S. 29

1

FRANCUSKO-POLSKA ZAŁOGA

1. Samolot Bréguet XIV ze składu eskadry BR 66. Fotografię – z samolotu tego samego typu – wykonała francusko-polska załoga: nieznany z imienia pilot Wiard i obserwator ppor. Stefan Korcz. 2. Powitanie lotników francuskich na podpoznańskim lotnisku Ławica, czerwiec 1919 r. Numerem 1 oznaczony nieznany z imienia francuski porucznik Sauageau. Nr 2 to szef Dowództwa Wojsk Aeronautycznych płk Aleksander Wańkowicz. Nr 3 sygnowano dowódcę eskadry BR 66, kpt. Gontrana de la Perrelle. Najwybitniejszy instruktor Szkoły Lotniczej w Ławicy – nr 4 – pilot cywilny Adam Haber-Włyński, a nr 5 – komendant Stacji Lotniczej w Ławicy ppłk pil. Tadeusz Grochowalski.

Eskadrę BR 59 zaś utworzono w 1915 r. Początkowo wspierała wojska 7 Armii w Wogezach, a później została skierowana do północno-wschodniej Francji. W latach 1917–1918 działała po kolei na rzecz wojsk kilku różnych armii, aż wreszcie skierowano ją do wchodzącego w skład 4 Armii XXXVIII Korpusu Armijnego.

Eskadra BR 66 tradycjami sięgała do 1915 r. Także ona pierwotnie znajdowała się w Wogezach, lecz z upływem czasu zajmowała lotniska wzdłuż całego, sięgającego do kanału La Manche, frontu.

Eskadry SAL 581 i SAL 582 nawiązywały do historii jednostek lotniczych, które wchodziły w skład Francuskiej Misji Wojskowej w Rosji. Pierwsza z nich zorganizowana była jako myśliwska, a druga jako myśliwsko-rozpoznawcza. Obie operowały z lotnisk położonych na Ukrainie. W 1918 r. ewakuowały się do Francji.

Dużo krótszą historię miała eskadra SPA 162. Została utworzona dopiero w styczniu 1918 r. Operowała w rejonie Nancy. Dłuższych tradycji nie miała też eskadra SAL 580.

Ochotnicy

Wraz z gen. Józefem Hallerem do Polski przybyło ponad 150 samolotów bojowych i szkolnych. Samoloty i resztę wyposażenia kupiono na kredyt, którego rząd francuski udzielił Polskiej Wojskowej Misji Zakupów. Kredyt opiewał na sumę 100 mln franków. Wkrótce kierowany przez Georges'a Clemenceau rząd przyznał Polsce jeszcze jeden, dwukrotnie wyższy, kredyt.

Francja nie ograniczyła się jednak tylko do sprzedaży samolotów, ale zezwoliła swoim obywatelom na podjęcie służby w Wojsku Polskim. W styczniu 1919 r. premier Clemenceau i przywódca Komitetu Narodowego ▶

Polskiego Roman Dmowski podpisali w tej sprawie porozumienie. Żołd ochotnikom wypłacał rząd Francji. Z powodu niskich kosztów życia w Polsce były to dla Francuzów bardzo dobre warunki.

Już z Armią Hallera do Polski udała się grupa obywateli III Republiki, która mogła liczyć nawet kilkaset osób. W Warszawie francuskich ochotników witano jak „książęta i wyzwolicieli". Do aury, która w tym czasie powszechnie otaczała lotników, dochodził bowiem mir przybyszów z „kraju wolności".

Weterani Wielkiej Wojny w Armii Hallera

Szefem lotnictwa przy sztabie Błękitnej Armii został ppłk pil. François de Vergnette de Lamotte. Był to niezwykle doświadczony oficer-lotnik. Przeszkolił się w pilotażu już w 1909 r. Od początku I wojny światowej pełnił służbę w powietrzu na froncie przeciwniemieckim. W 1916 r. wszedł w skład Francuskiej Misji Wojskowej w Rumunii.

Zastępcą późniejszego generała był kpt. Antoine Chapelet, który pod koniec I wojny światowej kierował działem fotograficznym francuskiego XIII Korpusu Armijnego, a następnie pełnił funkcję dowódcy lotnictwa tego korpusu.

W chwili przybycia na ziemie polskie na czele eskadry BR 39 stał kpt. pil. Henry de Drouas. Pierwotnie był on kawalerzystą, później przeniesiono go do lotnictwa. W październiku 1920 r. został kawalerem Legii Honorowej.

Komendantem eskadry BR 59 był kpt. pil. Arthur Olivain. Dużą sławę przyniosły mu późniejsze lata, gdy kontynuował karierę pilota w afrykańskich koloniach.

Eskadrą BR 66 od kwietnia 1919 r. dowodził doświadczony pilot bombowy kpt. Gontran de la Perrelle. Służąc na froncie, został w lipcu 1915 r. ranny. Niezdolny do dalszego pełnienia obowiązków w takim charakterze – poprosił o przeniesienie do lotnictwa. Latał w eskadrze VR 119. Wykonał ponad 100 bombardowań. Uznano go za jednego z najlepszych pilotów nocnych. Został pięciokrotnie wyróżniony w rozkazach.

Na czele eskadry SPA 162 stał por. pil. Fernand Bonneton. Pierwotnie kawalerzysta, a później piechur. Poważnie ranny i, podobnie jak de la Perrelle, niezdolny do dalszej służby na lądzie, poprosił o przeniesienie do lotnictwa. W 1916 r. został pilotem wojskowym, wkrótce delegowano go do Rumunii, następnie do Włoch i wreszcie wrócił do Francji. Legitymował się siedmioma potwierdzonymi zwycięstwami powietrznymi.

Jednym z bardziej rozpoznawalnych podkomendnych Bonnetona był por. Georges Estienne. Jako osiemnastoletni strzelec alpejski walczył w Belgii, nad Sommą i w Wogezach. W 1915 r. poprosił o przeniesienie do lotnictwa i dał się poznać jako specjalista od dalekich lotów rozpoznawczych. Służył w eskadrach N 12 i N 49 (później SPA 49). Został odznaczony Orderem Narodowym Legii Honorowej i Medalem Wojskowym. Był siedmiokrotnie wspominany w rozkazach. Do Polski oddelegowano go 1 kwietnia 1919 r. Prawdziwą sławę zyskał w latach dwudziestych jako uczestnik samochodowych wypraw przez Saharę.

Spośród pilotów eskadry BR 39 wyróżniał się por. Pierre Nautet. Służbę w armii rozpoczął w artylerii. W 1913 r. złożył wniosek o przydział do eskadry BL 18 (późniejszej C 18). Z czasem przeniesiony do eskadry C 28. Brał udział w bitwie nad Sommą. Następnie latał w składzie eskadr C 34, MF 16, MF 52, R 213 i wreszcie R 207. Był odznaczony Medalem Wojskowym oraz Krzyżem Wojennym. W kwietniu 1919 r. przybył do Polski. Wkrótce został mianowany porucznikiem. Uhonorowany odznaczeniem za czas służby nad Wisłą.

Z Francji do Polski udali się także członkowie personelu technicznego. W składzie eskadry BR 59 znalazł się między innymi André Flament. Do armii zgłosił się w wieku 18 lat, w 1917 r. był mechanikiem w szkole lotniczej w Avord. W marcu 1919 r. rozpoczął taką samą pracę w eskadrze SAL 59 (wkrótce BR 59).

Francuska Misja Wojskowa

Oficerowie i żołnierze III Republiki wchodzili w skład Francuskiej Misji Wojskowej w Polsce. Pierwszym szefem misji był gen. Paul Henrys. W połowie października 1920 r. zastąpił go gen. Henri Niessel. Spośród lotników misji szczególne znaczenie mieli: wspominani już ppłk de Vergnette i mjr Chapelet, a także mjr Marcel Têtu, kpt. Michel Hugon oraz por. Léon Lienemann. W gronie trzech ostatnich doświadczeniem odznaczał się mjr Têtu. Służbę we francuskiej armii zaczął on jako artylerzysta, a po specjalnym przeszkoleniu został lotnikiem. W maju 1918 r. objął eskadrę SAL 19. Po zakończeniu wojny z bolszewicką Rosją Têtu pozostał w Polsce – prowadził zajęcia z lotnictwa w Wyższej Szkole Wojennej w Warszawie.

Szkoły lotnicze

Szczególne znaczenie żołnierze francuscy mieli dla rozwoju dopiero kształtującego się polskiego szkolnictwa lotniczego. Już z Armią Hallera na ziemie polskie przybyła szkoła pilotażu, do której przylgnęła nazwa Francuskiej Szkoły Pilotów. Pierwszym dowódcą placówki w Polsce był mjr Raymond Pons de Pierre de Bernis. Wcześniej, przez niemal trzy lata, dowodził on eskadrą N 12 (SPA 12). Na czele Francuskiej Szkoły Pilotów stał przez pół roku.

Następcą mjr. de Bernis został mjr Robert de Chivré, który kierował szkołą od stycznia do sierpnia 1920 r. De Chivré też zaczął służbę przed I wojną światową (w kawalerii), ale dopiero w 1916 r. przeniósł się do lotnictwa. Pilotem wojskowym został w kwietniu 1917 r. W Polsce do grudnia 1919 r. był szefem pilotów w szkole mjr. de Bernis.

Kształcenie nowych pilotów w tej placówce początkowo całkowicie pozostawało w rękach Francuzów. Adiutantem w szkole był kpt. pil. Louis Sollier. Funkcje instruktorów w dywizjonie Caudron pełnili m.in.: por. pil. Georges Teppe, por. pil. Joseph Buisson, ppor. pil. Paul Vachet i ppor. pil. André Darmaillacq. Te same funkcje w dywizjonie Nieuport piastowali na przykład: por. pil. Marcel Hott, a także sierż. pil. Emile Maria.

Byli to doświadczeni oficerowie i żołnierze. Porucznik Buisson I wojnę światową zaczął jako kawalerzysta. Pilotem został w maju 1917 r. Do końca Wielkiej Wojny zajmował się przeszkalaniem absolwentów szkół lotniczych, zanim trafili oni na front. Sierżant Maria był aeronautą. Dopiero w 1917 r. został pilotem. Po kursie

BRÉGUET XIVA2

Samolot wywiadowczy Bréguet XIVA2 nr 7065 ze składu eskadry BR 39. Była to jedna z trzech maszyn eskadry użytych w kampanii polsko-ukraińskiej. Lwów-Lewandówka, połowa maja 1919 r.
Fot. zbiory ks. Roberta Kulczyńskiego SDB

wyższego pilotażu oddelegowano go do eskadry SPA 77. Został odznaczony Krzyżem Wojennym i Medalem Wojskowym. Do Polski wyjechał wiosną 1919 r. Wyznaczono go na instruktora we Francuskiej Szkole Pilotów. Cudem uniknął śmierci, gdy rozbił się w okolicach Krakowa. Uhonorowany polskimi odznaczeniami. W listopadzie 1920 r. wyruszył w drogę powrotną do Francji.

Na tle kolegów wyróżniającą się postacią był Paul Vachet, późniejszy współtwórca francuskiej komunikacji lotniczej w Afryce Północnej, a także zasłużony dla rozwoju lotnictwa w Ameryce Południowej. W lotnictwie służył od 1916 r. (do armii zgłosił się rok wcześniej jako osiemnastoletni ochotnik). W czasie I wojny światowej był pilotem bombowców, a także wodnosamolotów. Latał między innymi w ramach eskadry MF 123. Stawiany jest w gronie legendarnych pilotów francuskich.

Instruktorzy znad Sekwany odegrali też ważną rolę w Wyższej Szkole Pilotów w Poznaniu. Doradcą w tej placówce był wspomniany mjr de Bernis. Stanowisko bezpośredniego szefa francuskich instruktorów piastował kpt. Marc Terrasson. Wśród jego podkomendnych znajdowali się między innymi adiutant Roger Lévêque i por. Marcel Émile Haegelen.

Dużo bardziej znany był drugi z nich. W latach I wojny światowej odniósł ponad 20 potwierdzonych zwycięstw powietrznych. W lotnictwie służył od 1915 r. (wcześniej piechur). Był pilotem elitarnej francuskiej Eskadry „Bocianów". Do Polski przybył z eskadrą SPA 162. W czerwcu 1920 r. został oficerem Legii Honorowej. Armię opuścił 3 sierpnia, ale pozostał w Polsce. Nauczył się języka polskiego. W grudniu został wyznaczony na dyrektora warszawskiego oddziału francusko-rumuńskiej firmy żeglugi powietrznej La Compagnie Franco-Roumaine de Navigation Aérienne. W 1922 r. wyjechał do Francji. Z polskimi lotnikami zetknął się ponownie w 1940 r. Wspólnie z nimi bronił wówczas francuskiego nieba w rejonie Bourges. Ogon jego Curtissa miał namalowaną biało-czerwoną szachownicę.

Obywatele francuscy byli też obecni w procesie kształcenia obserwatorów, czym zajmowała się otwarta 1 sierpnia 1919 r. w Warszawie Oficerska Szkoła Obserwatorów Lotniczych. Francuzi obsadzili niemal wszystkie stanowiska instruktorów w placówce. Ważniejsze role odgrywali: kpt. pil. René Lété, kpt. pil. Stanislas Avril, kpt. pil. Arthur Olivain. Dwóch ostatnich oddelegowano do szkoły w związku z polonizacją jednostek bojowych Armii Hallera.

Nieprzeciętne indywidualności

Spośród przybyłych nad Wisłę francuskich lotników warto wymienić jeszcze kilku innych. Na pierwszym miejscu powinien znaleźć się mjr Louis Mauger de Varennes. Wyróżniał się on wielkim doświadczeniem. Już w 1911 r. został lotnikiem, rok później otrzymał dyplom pilota, w 1914 r. pełnił funkcję dowódcy eskadry MF 16. W tym samym roku został odznaczony Legią Honorową. Później dowodził lotnictwem francuskiego XX Korpusu Armijnego. To właśnie ten oficer jako pierwszy stanął na czele szkoły pilotażu przy Armii Hallera. Po dotarciu na ziemie polskie skupił się jednak na pracy doradczej.

Obok Bonnetona i Haegelena w Polsce znalazł się jeszcze jeden francuski as myśliwski – ppor. Pierre Henri Edmond Dufaur de Gavardie de Monclar. Służbę w czasie I wojny światowej zaczął on w artylerii, ale w 1915 r. został pilotem wojskowym. Był kawalerem Legii Honorowej. W 1917 r. został ranny. Do końca wojny odniósł sześć zwycięstw powietrznych.

Doświadczeniem wyróżniał się też mjr Charles Nardin. Już w 1914 r. latał on za sterami Voisinów eskadry VB 101. Odznaczony Medalem Wojskowym i wspominany w rozkazach armii, w których chwalono go za długie loty rozpoznawcze, doskonałe zdjęcia i brawurowe bombardowania. W 1915 r. rozpoczął pracę w zakładach Salmsona.

Od 1914 r. w lotnictwie służył również ppor. Robert Bulteau. W rozkazie pochwalnym z września 1917 r., gdy latał w składzie eskadry N 69, opisywano go jako wzór poświęcenia, odwagi

BRÉGUET XIV

Rozbity samolot Bréguet XIV ze składu eskadry BR 66, na tle którego pozuje nieznany żołnierz we francuskim mundurze. Uwagę przykuwa sześciopolowa szachownica na ogonie samolotu – przykład dowolności interpretacji rozkazu wprowadzającego biało-czerwoną szachownicę jako znak rozpoznawczy polskiego lotnictwa wojskowego. Fotografię wykonano najprawdopodobniej w Wielkopolsce latem 1919 r.
Fot. Polona.pl

i samokontroli. Specjalista od lotów rozpoznawczych. Tylko do września 1917 r. spędził przeszło 500 godzin nad obszarem nieprzyjaciela. Był odznaczony Medalem Wojskowym.

Doświadczenie wojskowe miał też kpt. Frédéric Eclancher. Pilot ten, jako dowódca eskadry C 18, brał udział w bitwie nad Sommą. Jego jednostka wspierała wówczas francuski XXX Korpus Armijny.

Obserwator-fotograf ppor. Marcel Thibon już kilka lat przed wybuchem I wojny światowej służył w piechocie. W 1916 r. szkolony był na strzelca płatowcowego, a w kolejnym roku – na obserwatora-fotografa lotniczego. W latach 1916–1918 w eskadrze N 79, a na przełomie 1918 i 1919 r. w eskadrze BR 243. Sławę przyniosły mu zdjęcia, którymi dokumentował pracę macierzystych jednostek. W czerwcu 1919 r. Thibona wysłano do Polski. Do kwietnia 1920 r. pełnił funkcję doradcy technicznego polskiego lotnictwa na froncie litewsko-białoruskim. Został odznaczony Krzyżem Walecznych. W Polsce założył rodzinę. Po zakończeniu wojny polsko-bolszewickiej powrócił do Francji.

Francuskim lotnikiem, który działał w Polsce, był doświadczony pilot por. Gustave Léon Perret. Pierwotnie służył w piechocie, jednak jeszcze przed wybuchem I wojny światowej został przydzielony jako mechanik do lotnictwa. Zmobilizowany 2 sierpnia 1914 r. W czerwcu następnego roku otrzymał tytuł pilota wojskowego. Latał na Farmanach, Bréguetach i Caudronach. Kawaler Legii Honorowej.

Z możliwości kontynuowania służby lotniczej w Polsce skorzystał też por. pil. Jean-Marie Hénin. Był pilotem eskadry VC 111, w której latał na bombowych Voisinach. Następnie służył w eskadrze myśliwskiej N 3 (później SPA 3), gdzie zasiadał za sterami jednomiejscowych Nieuportów i SPAD-ów.

Porucznik Rolland Gaston Drozière w grudniu 1914 r. na ochotnika wstąpił do sił zbrojnych. Pierwotnie był mechanikiem, w 1916 r. został pilotem. Latał na Nieuportach. Oddelegowany do latającej w Serbii eskadry 506. Udało mu się zestrzelić tam nieprzyjacielski myśliwiec. Posiadacz odznaczeń francuskich i serbskich. Do Polski został wysłany 1 listopada 1919 r. Pracował w służbie etapowej. Nad Sekwanę powrócił w połowie lat dwudziestych.

Serbski epizod w karierze miał także pilot, późniejszy generał brygady por. Pierre Boucher. Latając na Nieuportach z eskadry N 387, z powodzeniem brał udział w walkach powietrznych na tym froncie. W ostatnim roku Wielkiej Wojny został dowódcą eskadry 523. Był uhonorowany odznaczeniami Serbii i Francji, w tym Legią Honorową.

Jeszcze inaczej biegła ścieżka kariery Rolanda Cocheta. Od 1915 r. służył w artylerii. W ostatnim roku Wielkiej Wojny został obserwatorem, najpierw w eskadrze C 74, a później – BR 218. Po lądowaniu na terenie okupowanym przez Niemców trafił do niewoli. W lutym 1919 r. wrócił do Francji i wkrótce przybył do Polski jako oficer-radiotelegrafista. W maju otrzymał awans na podporucznika.

Doradcy i uczestnicy walk

Polskie Naczelne Dowództwo doceniało doświadczenie francuskich lotników. Może świadczyć o tym fakt powierzania im odpowiedzialnych stanowisk dowódczych w ważniejszych operacjach Wojska Polskiego. W ofensywie majowej 1919 r. przeciw Ukraińcom dowódcą sił lotniczych został kpt. Antoine Chapelet. W jego sztabie znaleźli się jeszcze por. Léon Lienemann, a także jeden z obserwatorów eskadry BR 39, por. Henri Feurtet. Tuż przed rozpoczęciem operacji warszawskiej w sierpniu 1920 r. Francuzom powierzono stanowiska doradców technicznych polskich frontów i armii.

Przez większość pobytu w Polsce Francuzi mieli doradzać Polakom i ich szkolić. Niektórzy jednak brali bezpośredni udział w walce. W ofensywie majowej Wojska Polskiego przeciwko Ukraińcom uczestniczyły trzy samoloty Bréguet XIVA2 ze składu eskadry BR 39. Zadania wykonywali między innymi sierż. pil. Joseph Sallares i por. (wkrótce kapitan) pil. Stanislas Avril, ppor. pil. Emmanuel Corso i ppor. obs. Robert Pollak, a także ppor. obs. Julien Grand, który latał z wybitnym polskim pilotem kpt. Jerzym Kossowskim.

Lotnicy francuscy bezpośrednio brali także udział w walkach przeciwko bolszewickiej Rosji. Czerwonoarmiści 12 czerwca 1919 r. zestrzelili Salmsona IIA2 ze składu eskadry SAL 582. Jego załogę stanowili ppor. pil. Wiktor Wolski i francuski oficer ppor. obs. Raul Fourrey. Wolskiego rozstrzelano, natomiast Fourrey po krótkim pobycie w niewoli został zwolniony.

Ochotnicy znad Sekwany wykonywali ponadto loty na zachodnich rubieżach II RP. Znane są fotografie lotnicze obszaru Gliwic i Hajduków Wielkich, które wykonał personel eskadry BR 59. Nastąpiło to w sierpniu 1919 r., czyli przed polonizacją eskadry, i można zakładać, że Francuzi mieli udział w tych lotach.

Znad Sekwany nad Wisłę przybywali dowódcy lotnictwa korpusów, komendanci eskadr, wielokrotni zwycięzcy powietrzni, doświadczeni piloci, obserwatorzy, strzelcy płatowcowi, mechanicy, a także instruktorzy z wieloletnim stażem. Ich główne zadanie nie było zbyt spektakularne – mieli uczyć Polaków. Z misji tej wywiązali się co najmniej dobrze, o czym świadczyć może chwalebny udział polskiego lotnictwa w wojnie polsko-bolszewickiej. ■

MARIUSZ NIESTRAWSKI absolwent Wydziału Historycznego Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Doktor nauk humanistycznych w dziedzinie historii. W latach 2010–2014 pracownik Wielkopolskiego Muzeum Walk Niepodległościowych w Poznaniu. Od 2015 r. w Muzeum Narodowym Rolnictwa i Przemysłu Rolno-Spożywczego w Szreniawie.

Niepozorny znak

Oddziały Błękitnej Armii wmaszerowały do Polski pod sztandarami, które ufundowali Francuzi w dowód przyjaźni i braterstwa broni. Symbolika znaków była jednak polska. Jednym z nich jest proporzec 580 Eskadry Lotniczej.

JAROSŁAW PYCH

W historii państw od wieków sojusze militarne są nierozerwalną częścią ich polityki zagranicznej. Alianse te zawiązywane czasem doraźnie, a często długofalowo pomagały pokonać wspólnego wroga lub trzymać go z dala od własnych granic. W myśl słów, które niegdyś rzekł brytyjski polityk Henry Temple, że Anglia nie ma wiecznych wrogów ani wiecznych przyjaciół, ma tylko wieczne interesy, zdarzało się, iż niedawny sojusznik stawał się wrogiem, a wczorajszy wróg – sojusznikiem.

Wojenna historia Polski pełna jest takich aliansów, ale sojuszom zawieranym z jednym mocarstwem dochowaliśmy wierności szczególnej co najmniej od końca XVIII w. W latach zaborów i u progu niepodległości wpatrzeni w tęczę Franków szukaliśmy ratunku dla zniewolonej ojczyzny. To Francja najczęściej wyciągała do nas pomocną dłoń. Zbroiła i szkoliła nasze wojska, a my stawaliśmy z nią w jednym szeregu już podczas wojen napoleońskich. Żołnierz polski walczył na jej ziemi z niemieckim najeźdźcą w Wielkiej Wojnie i dwie dekady później, dzieląc z nią radość tryumfu i gorycz porażki.

Tuż po odzyskaniu niepodległości, kiedy trwała walka o granice młodego państwa, pod dowództwem gen. Józefa Hallera przybyły do kraju oddziały Błękitnej Armii, utworzonej oraz wyekwipowanej we Francji. Były świetnie wyszkolone oraz wyposażone i w zmaganiach o granice odegrały nader ważną rolę.

Proporzec dwustronny, prostokątny o wymiarach 54,5x46 cm, trzy boki ma obszyte frędzlą koloru złotego. Bok czołowy z tuleją tkaninową do zawieszania na drzewcu. Płat na obu stronach z czerwonej tkaniny z centralnym, amarantowym rombem o narożnikach dochodzących do boków płata. Na jednej stronie w rombie w koronie na głowie orzeł polski w typie jednej z odmian używanych na pieczęciach Armii gen. Józefa Hallera. Na stronie drugiej w rombie napis: ESCADRILLE / 580.

FOT. ZBIORY MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO

wielkiego sojuszu

Oddziały Błękitnej Armii wmaszerowały do Polski pod sztandarami, które ufundowały miasta francuskie: Paryż, Verdun, Belfort, Nancy, w dowód przyjaźni i jako symbol historycznych tradycji wspólnych walk. Wielka uroczystość poświęcenia i wręczenia tych znaków odbyła się 22 czerwca 1918 r. na polanie w Szampanii niedaleko od frontu.
Choć znaki te fundowali Francuzi, to ich symbolika była polska. Na czerwonych płatach znajdował się srebrny orzeł polski, nazwa oddziału i napis WOJSKO POLSKIE. Sztandary te po wcieleniu Błękitnej Armii w struktury odrodzonego Wojska Polskiego przekazane zostały w latach dwudziestych i trzydziestych do Muzeum Wojska Polskiego, gdzie zawisły obok chorągwi Legionów Polskich gen. Jana Henryka Dąbrowskiego i orłów armii Księstwa Warszawskiego, świadcząc o trwałości i wadze sojuszy zawieranych wówczas z Francją.

Symbol współpracy militarnej

Kilka lat temu do Muzeum Wojska Polskiego trafił po blisko stuletniej tułaczce niezwykły, nieznany dotąd polskim muzealnikom proporzec, który jest kolejnym świadectwem owej współpracy militarnej, a być może także sentymentalnych więzi między polskimi a francuskimi żołnierzami. Popękana i rozwarstwiona tkanina nic nie ujmowała z jego piękna pomimo dość skromnych rozmiarów i nader ubogiej, ale jakże wymownej symboliki, a przeprowadzone rychło w muzeum zabiegi konserwatorskie przywróciły mu całą krasę.

Pochodzący z kolekcji francuskiego pilota Lavidalie proporzec 580 Eskadry jest unikatowy, a jego nietypowa, mieszana symbolika polsko-francuska dobitnie świadczy o militarnej współpracy obu państw w latach 1918–1919 i to w zakresie najnowszego wówczas rodzaju wojsk – sił powietrznych. Proporzec powstał zapewne w 1919 r. (już po włączeniu eskadry w skład Armii Polskiej), o czym świadczyć może umieszczenie na nim orła polskiego, ale prawdopodobnie jeszcze przed wrześniem tego roku, czyli przed wymianą personelu latającego na polski, co zdaje się sugerować francuska nazwa eskadry na proporcu. Niewiele więcej możemy powiedzieć dziś o tym znaku. Kto kazał go wykonać i w jakim celu? Czy był to francuski dowódca eskadry? Czy proporzec wykonano na pamiątkę służby Francuzów pod polską komendą? Być może tak właśnie było, skoro proporzec przechowywany był we Francji, a kompozycja płata i wymiary typowe są dla znaków armii francuskiej. Charakterystyczny romb wpisany w kwadrat to podstawowy element kompozycyjny francuskich proporców batalionowych (tzw. fanion). Awiacja polska miała przecież swój sztandar, który przywędrował do kraju wraz z gen. Hallerem i nie odbiegał wyglądem od sztandarów innych oddziałów Błękitnej Armii.

Francuska 580 Eskadra Salmsonów została włączona w skład Armii Polskiej we Francji w 1919 r. W czerwcu 1919 r. eskadra przybyła do Polski na lotnisko w Piotrkowie i weszła w skład Grupy Lotniczej Armii gen. Hallera, późniejszej V Grupy. Personel eskadry składał się z francuskich żołnierzy lotników. Pod koniec września 1919 r. francuski personel latający zastąpili polscy lotnicy. Pododdział uzbrojony był w samoloty Salmson 2A2. Rozkazem z 13 kwietnia 1920 r. formacja otrzymała nazwę 18 Eskadra Wywiadowcza. Pod koniec lipca 1920 r. została wycofana z frontu do Bydgoszczy, a w ostatnich dniach sierpnia skierowano ją do Torunia. Nie brała udziału w operacji warszawskiej. Na mocy rozkazu z 18 stycznia 1921 r. 18 Eskadra Wywiadowcza połączona została z 19 Eskadrą Myśliwską i na ich bazie w wyniku scalenia powstała 18 Eskadra Myśliwska w Dęblinie. W maju 1921 r. 18 Eskadra Myśliwska wchodziła w skład III Dywizjonu Myśliwskiego 1 Pułku Lotniczego w Warszawie. W 1925 r. 18 Eskadrę Myśliwską przemianowano na 122 Eskadrę Myśliwską, a trzy lata później na 112 Eskadrę Myśliwską. ■

JAROSŁAW PYCH muzealnik, weksylolog, pracownik naukowy i kustosz kolekcji weksyliów Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie, członek Polskiego Towarzystwa Weksylologicznego i komisji historycznej w Ministerstwie Obrony Narodowej. Autor wielu publikacji z zakresu weksylologii i historii kolekcjonerstwa polskiego.

Ppor. obs. Marian Śioda.

Por. obs. Edward Karaś.

Kpt. pilot Władysław Krawiec-Iwanowski.

Por. pilot Stanisław Gogoliński.

FOT. KU CZCI POLEGŁYCH LOTNIKÓW. KSIĘGA PAMIĄTKOWA, WARSZAWA 1933 (4)

II Rzeczpospolita była Polską z wizji Dmowskiego

część 2

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Obaj wielcy politycy: Józef Piłsudski i Roman Dmowski mieli świadomość kosztów konfliktów w obrębie obozu polskiego – mówi prof. Krzysztof Kawalec.

KRZYSZTOF KAWALEC historyk. Zatrudniony w Instytucie Historycznym Uniwersytetu Wrocławskiego na stanowisku profesora zwyczajnego oraz kierownika Zakładu Historii Polski i Powszechnej XIX i XX w., a także w Instytucie Pamięci Narodowej. Autor prac o Narodowej Demokracji, dziejach polskiej myśli politycznej i kilku biografii Romana Dmowskiego.

Rzadko wiąże się nazwisko Romana Dmowskiego ze sprawami wojskowymi, a przecież to dzięki jego staraniom we Francji powstała jedna z najnowocześniejszych polskich formacji wojskowych w historii, Błękitna Armia, która z nowoczesnym sprzętem – artylerią, czołgami i samolotami – w 1919 r. wróciła do kraju i stała się niebagatelną siłą w walce o granice, a następnie w wojnie polsko-bolszewickiej 1920 r. Jak wyglądało jego zaangażowanie w tworzenie tej armii?

W czasie, kiedy Dmowski składał swe memoriały przed rządem brytyjskim, dokonał się istotny zwrot w polityce Francji, którego, mając na uwadze militarne związki Francji z Rosją, Dmowski się nie spodziewał. Mowa tu o ogłoszeniu dekretu z czerwca 1917 r. prezydenta Francji o powołaniu armii polskiej. Oferowanie nowych możliwości pozwoliło polskim politykom na zaktywizowanie działań. Obowiązujące już wówczas zachodnie standardy zakładały, że siła zbrojna nie może działać poza kontrolą władz cywilnych, musi pozostawać pod ich zwierzchnictwem. To było bezwzględnie wymagane. Dmowski potrafił skorzystać z tej sytuacji. Swoje zwierzchnictwo nad wojskiem traktował serio, egzekwując wypływające z niego konsekwencje, a zatem i samą zasadę akceptował. Pod tym względem był człowiekiem Zachodu, w odróżnieniu między innymi od Piłsudskiego, który w zwierzchnictwie polityków cywilnych nad wojskiem widział partyjne orgie.

Za sprawą zasady zwierzchnictwa instytucji cywilnych nad wojskiem działający na Zachodzie politycy polscy zyskali możliwość utworzenia znaczącej polskiej reprezentacji politycznej. Została ona proklamowana pod prezesurą Dmowskiego jako Komitet Narodowy Polski w połowie sierpnia 1917 r., początkowo w Szwajcarii, następnie od września 1917 r. w Paryżu. We wrześniu – październiku 1917 r. Komitet uznały Francja i Wielka Brytania. Włochy zrobiły to dopiero wtedy, kiedy w Petersburgu nastąpił przewrót bolszewicki, Stany Zjednoczone zaś zwlekały do grudnia.

Tworząc Armię Polską we Francji, Dmowski zetknął się z dwoma głównymi problemami. Pierwszym było dążenie Ambasady Rosji w Paryżu do kontrolowania całej inicjatywy. Złowrogą rolę odegrał tu oficer polskiego pochodzenia ppłk Adam Mokiejewski. Kiedy okazało się, że przejęcie kontroli nad polskim wojskiem nie uda się także wskutek zdeterminowanego i umiejętnego przeciwdziałania Komitetu Narodowego Polskiego, Rosjanie zaczęli działać na rzecz rozbijania polskich oddziałów, podrywali autorytet ich dowódców, inicjowali i podsycali konflikty wewnętrzne oraz niszczyli motywację żołnierzy. Mokiejewski na przykład przekonywał ich, że nie są żadnym polskim wojskiem, ale zwykłym mięsem armatnim we francuskiej służbie, rodzajem Legii Cudzoziemskiej.

Drugim problemem było dążenie władz francuskich do szybkiego użycia wojska na froncie, możliwie bez zobowiązań politycznych. Natomiast Dmowski starał się, żeby za-

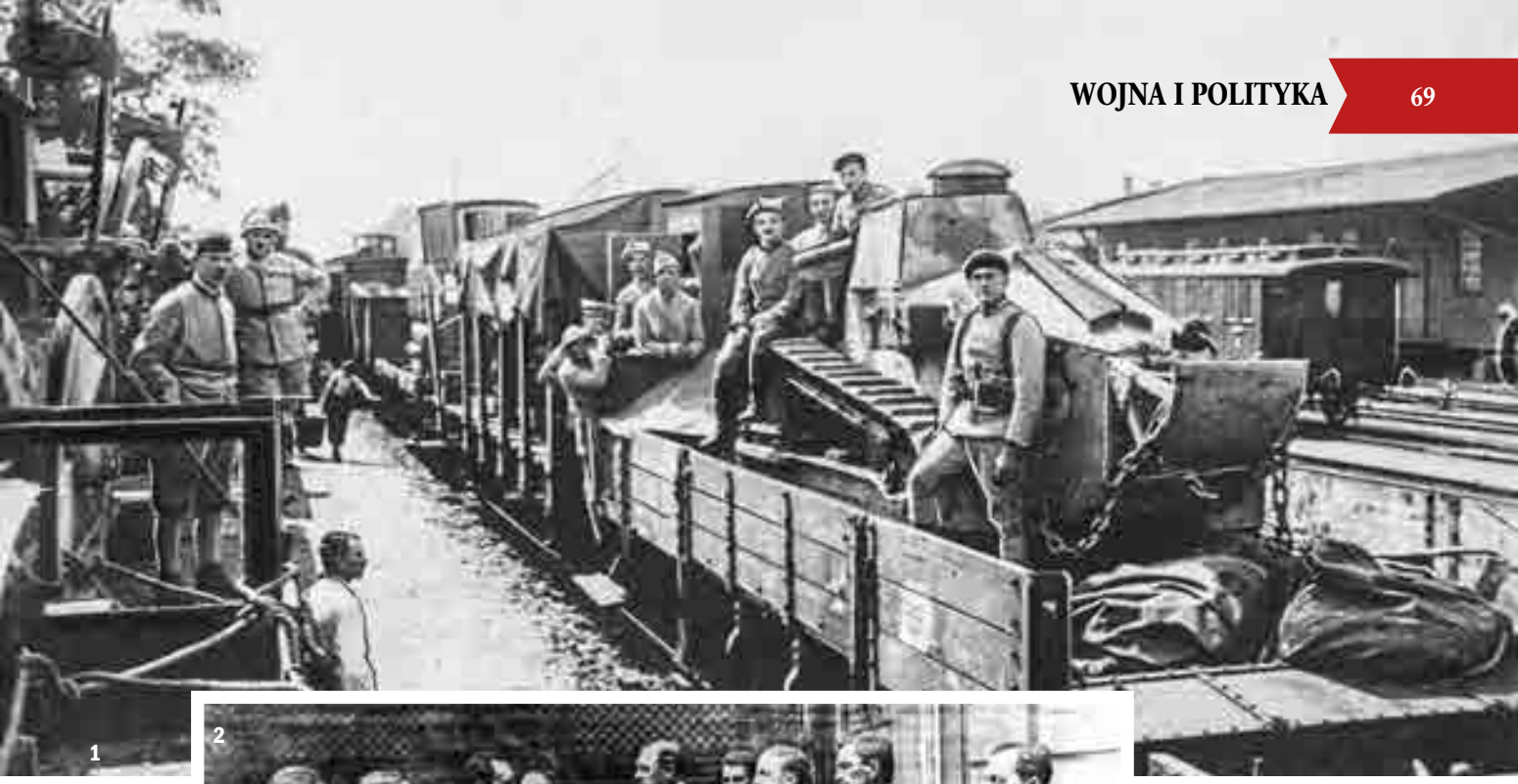

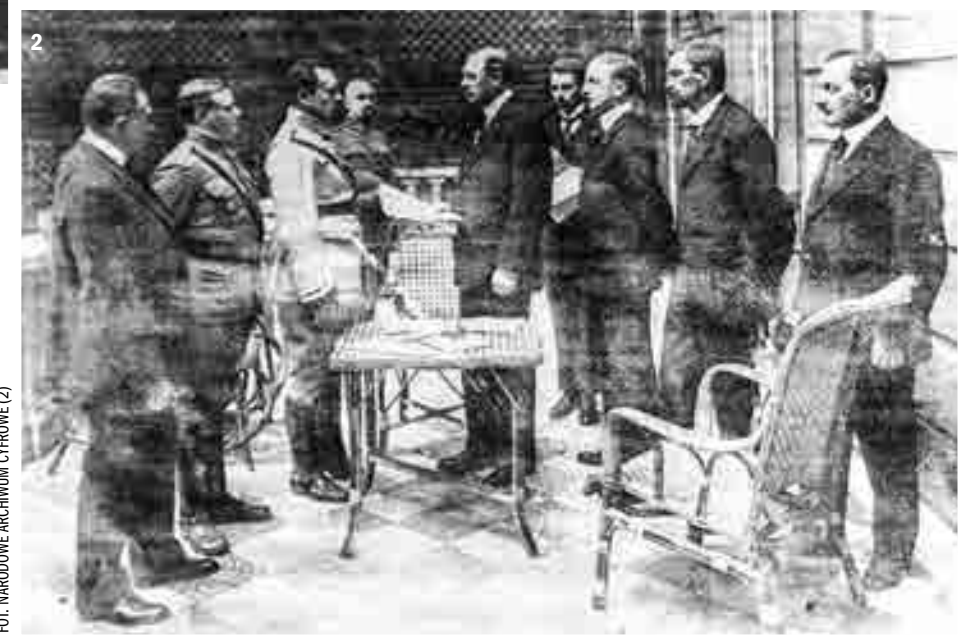

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (2)

1. Transport oddziałów Armii gen. Józefa Hallera z Francji do Polski. Na platformie kolejowej widoczne czołgi Renault FT-17.
2. Armia Polska we Francji. Maurycy Zamoyski (piąty z prawej) mianował gen. Józefa Hallera (trzeci z lewej) naczelnym wodzem.

kres odrębności wojska od innych formacji alianckich był znaczący, aby przed przystąpieniem do boju armia przeszła proces szkolenia, by weszła do walki jako całość, a jej użycie militarne powiązane było z jednoznacznymi i konkretnymi zobowiązaniami aliantów wobec przyszłego państwa polskiego. Relacje Dmowskiego i Piłsudskiego umożliwiały im porozumienie się. To, co Piłsudski nazywał „licytacją sprawy polskiej wzwyż", Dmowski jako prezes Komitetu Narodowego Polskiego czynił – przedstawiając francuskim partnerom kolejne żądania, przy czym uzyskiwane sukcesy i koncesje traktowane były jako punkt wyjścia do kolejnych, coraz dalej idących żądań.

Co osiągnięto? Najważniejszym sukcesem była tzw. deklaracja wersalska z 3 czerwca 1918 r. przesądzająca o miejscu odbudowywanej Polski suwerennej – zjednoczonej z ziem trzech zaborów, z dostępem do morza – w obozie alianckim. W kwestiach związanych z organizowaniem wojska sukcesem Komitetu Narodowego Polskiego było uzyskanie prawa nominacji oficerów, co przesądzało o samodzielności tworzonej armii, jej charakterze jako siły sojuszniczej wobec aliantów zachodnich, ale suwerennej. Dmowski starał się oszczędzać to wojsko; kiedy wiosną 1918 r. ruszyła wielka ofensywa niemiecka, rozpoczął podobne działania do tych, za które propaganda peerelowska piętnowała generałów Sikorskiego i Andersa: za obiekcje wobec perspektywy przedwczesnego wprowadzenia do walki tworzonego w Związku Sowieckim wojska – niewyszkolonego, a przede wszystkim rozproszonego – obawiając się nieuchronnych wysokich strat. Wiosną 1918 r. sytuacja przedstawiała się podobnie. Zagrożeni klęską alianci

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

FOT. DOMENA PUBLICZNA

1. Przemarsz Błękitnej Armii przez Paryż, lipiec 1918 r.
2. Komitet Narodowy Polski w Paryżu, 1918 r. Siedzą od lewej: Maurycy Zamoyski, Roman Dmowski, Erazm Piltz, stoją: Stanisław Kozicki, Jan Emanuel Rozwadowski, Konstanty Skirmunt, Franciszek Fronczak, Władysław Sobański, Marian Seyda, Józef Wielowieyski.

rzucali na front co się dało. Gdyby nie trudności czynione przez Dmowskiego, nasza armia mogła stopnieć niemal do zera w ciągu zaledwie jednego dnia walk.

Z powodu twardości swego stanowiska, przy tej i kilku innych okazjach Dmowski poważnie naraził się Francuzom. Mimo to potrafił zdobyć ich szacunek i respekt. W końcowym okresie wojny, a także w czasie, kiedy obradowała konferencja paryska, okazało się, że nie w Wielkiej Brytanii, ale właśnie we Francji udało się Dmowskiemu zdobyć największe poparcie: w kwestii tworzenia wojska oraz w sprawie zachodnich granic Polski. W obu wypadkach Francja kierowała się nie tylko sympatią dla przywódcy polskiej akcji na Zachodzie, ale przede wszystkim dążyła do zdobycia instrumentu przydatnego w konfrontacji z Niemcami.

Dmowski widział w państwach zachodnich gwarantów naszych granic i nie uważał, żeby istniała alternatywa dla polityki oparcia o Zachód. Poza tym stawiał na własne siły. Wizja Polski Dmowskiego to obraz państwa suwerennego i niepodległego, zdolnego do samodzielnego rozwoju. To dlatego, kreśląc plany granic, kładł nacisk na to, by miała ona dostęp do morza i do strategicznego surowca przemysłowego, którym wtedy był śląski węgiel. Na wschodzie zaś, by obszar państwa objął wszystkie duże skupiska polskie, a jednocześnie żeby nie przesunąć granic tak bardzo, aby nadmierny odsetek mniejszości narodowych zagroził jego strukturze wewnętrznej. Dmowski domagając się, by w odrodzonej Rzeczypospolitej Polacy stanowili większość, zakładał jednocześnie, że będzie mieć ona ustrój reprezentacyjny, z władzami wyłanianymi w wyborach powszechnych. Wówczas bowiem kluczową sprawą dla stabilności państwa było to, aby wyborczą większość tworzyli obywatele zainteresowani tym, by państwo to utrzymać.

Prócz sojuszy gwarantem bezpieczeństwa państwa miała być jego siła. Jeszcze w 1919 r. Dmowski wierzył, że nastąpi to szybko. W jednym z listów do kraju pisał, że jeśli Polska otrzyma 20 lat spokoju, to jej ludność osiągnie 60 mln i wtedy będziemy już mogli bać się tylko Pana Boga. Dmowski wykluczał bliższe związki z którymś z byłych mocarstw zaborczych. Według niego, nie było możliwości zbudowania jakichkolwiek stosunków partnerskich ani z Niemcami, ani z Rosją. Jeśli Polska chciała zachować suwerenność, nie mogła wiązać się z kimś, kto był dla niej potencjalnym źródłem zagrożenia. Musiała zatem szukać oparcia w państwach niezagrażających jej, nawet jeśli geograficznie były odległe.

Tak właśnie rzecz się miała w odniesieniu do mocarstw zachodnich. Nie groziły one Polsce ujarzmieniem, miały też sprzeczne interesy zarówno z Niemcami, jak i bolszewicką Rosją, co z polskiego punktu widzenia tworzyło płaszczyznę porozumienia i współpracy. Sojusz taki miałby i ideologiczną podstawę: Dmowski stał na stanowisku, że Polska kulturowo należy do Zachodu, przynajmniej to, co jest w niej najbardziej wartościowe. Rzeczpospolita dla Dmowskiego stanowiła pole walki między Wschodem a Zachodem, stąd związki z Zachodem uważał za korzystne dla umacniania polskiej odrębności od słowiańskiej Rosji.

Konflikty zbrojne w pierwszych latach niepodległości, a przede wszystkim wojna polsko-bolszewicka, przyniosły fiasko federacyjnych projektów Józefa Piłsudskiego – utworzenia bufora państw, które przyjazne Polsce oddzielałyby nas od Rosji. Czy jednak projekt Dmowskiego: państwa narodowego, w którym „obce żywioły" uległyby polonizacji, nie był w ówczesnych granicach Rzeczypospolitej równie trudny do zrealizowania, żeby powiedzieć – nierealny, co federacyjny plan Marszałka?

To jest bardzo trudne pytanie. Zaczynając od końca, trzeba powiedzieć, że okazał się nierealny w tym sensie, że II Rzeczpospolita istniała zaledwie ok. 20 lat, a jej byt państwowy został przekreślony przez sojusz dwóch ościennych mocarstw, które były spadkobiercami zaborców. Aspirująca do roli regionalnego mocarstwa Polska załamała się pod ciosami struktur o wiele większych i silniejszych – pod tym względem plan Dmowskiego się zawalił. Mimo to Polska przedwojenna była Polską z wizji Dmowskiego. Jej zarys granic, nie w szczegółach, ale w ogólnym rzucie, odpowiadał postulatom składanym Brytyjczykom przez Dmowskiego w memoriałach w 1917 r. Polityka zagraniczna prowadzona przez Piłsudskiego, czyli dążenie do możliwie ścisłych związków z Zachodem, a także w 1939 r. przez Becka również były zbieżne z koncepcją Dmowskiego. Taką politykę urzeczywistniali przeciwnicy Dmowskiego i endecji, gdyż była ona wówczas jedyną możliwą do zrealizowania.

Wizja państwa narodowego Dmowskiego, niestety, nie przetrwała w brutalnym świecie, który powstał za sprawą przemian politycznych z lat trzydziestych w Niemczech, a w wypadku Rosji po rewolucji bolszewickiej. W warunkach narzuconych przez totalitarne mocarstwa Polska z wizji Dmowskiego nie miała szans przeżyć, a jej upadek wynikał zarówno z układu sił, jak i narzuconych przez Hitlera oraz Stalina reguł. Mówiąc natomiast o realności albo nierealności planu, należy to pytanie trochę zrelatywizować. Czy słowo „nierealny" oznacza nierealny w perspektywie czasowej nieograniczonej? Jeśli tak, to czy my w ogóle wiemy, co jest realne? Czy „realny" – z perspektywą nieograniczonego trwania w czasie – jest świat, w którym żyjemy dzisiaj? W perspektywie dwudziestolecia zaś, pomiędzy wojnami światowymi, państwo polskie skrojone wedle modelu Dmowskiego działało, a zatem jego plan był realny.

Tak naprawdę nie wiemy, jakie były federacyjne projekty Piłsudskiego. W przypadku Dmowskiego sprawa jest o tyle jasna, że on swoje koncepcje przelewał na papier. Wiemy na przykład, jak wyglądał jego pomysł na środkowo-wschodnią Europę z lata 1917 r. – zdumiewająco przypominający późniejszą Europę powersalską. Chociaż polityk nie wszystko ujawnia i nie można powiedzieć, że Dmowski wyłożył na papierze całość swych koncepcji politycznych, to jednak zasadniczy ich kształt jest czytelny. Nawet niechętni mu badacze przyznają, że jego wizja Polski była czytelna i spójna. Natomiast w przypadku Piłsudskiego mamy do czynienia z sytuacją, gdy polityk plany swoje trzyma we własnej głowie. Potem bywa, że po wielu latach, piszą o nich jego współpracownicy, niekiedy powołując się na znane sobie słowa wypowiedziane przez wodza, czasem łącząc jego poczynania w logiczny ciąg, przy założeniu, że musiał istnieć logiczny plan, według którego Piłsudski działał. W wypadku Marszałka uznać można za pewne, że dostrzegał on, iż między Rosją a Polską znajdują się inne narody, że mają one swe dążenia i że trzeba z tego wyciągnąć wnioski. Kierował się tu odmienną logiką niż Dmowski, dla którego dążenia narodowości kresowych stanowiły problem komplikujący sytuację Polski, pociągający za sobą konieczność ograniczenia z naszej strony skali aspiracji terytorialnych. Twierdził, że powinniśmy anektować tylko to, nad czym uda nam się zapanować. To znaczy spolonizować – niekoniecznie kulturowo i językowo, ale przynajmniej politycznie, przez pozyskanie dla polskiej państwowości. Piłsudski natomiast, dostrzegając odrębne od polskich aspiracje polityczne narodów kresowych, wychodził z założenia, że różnice nie mają decydującego znaczenia, skoro wspólnym przeciwnikiem wszystkich ruchów narodowych jest Rosja. Istnieje zatem możliwość koordynacji działań i współpracy – i to trwała, gdyż Rosja, nawet pokonana i zmuszona do terytorialnych ustępstw, nie pogodzi się z utratą ziem oraz wpływów i będzie zmierzać do rewanżu. Dążenie do niepodległości, a potem utrzymania suwerenności wymusi współpracę wszystkich zainteresowanych.

Brzmi to logicznie i przekonuje, ale tylko pod warunkiem przyjęcia założeń zawartych w wywodzie, a także innych, nie zawsze artykułowanych, lecz w Polsce uważanych za oczywiste. Na przykład że zagrożone państwo będzie się bronić w sposób zdeterminowany nawet w warunkach drastycznej dysproporcji sił, że wspólne zagrożenie wymusi współpracę, że ruchy narodowe kierować będą siły przeciw najgroźniejszemu wrogowi, a nie na przykład w stronę najmniejszego oporu. Tymczasem wszystko to są założenia w istocie woluntarystyczne; życie dostarcza mnóstwo przykładów świadczących przeciw nim.

Bywają sytuacje, gdy wobec dysproporcji sił kapitulacja staje się decyzją racjonalną. W 1938 r. Czechosłowacja skapitulowała bez walki, podobnie w latach 1939–1940 uczyniły państwa bałtyckie, z wyjątkiem Finlandii. Nie jest zatem prawdą, że odpowiedzią na zagrożenie jest gotowość do walki. Nie jest też prawdą, że świadomość istnienia wspólnego przeciwnika wymusza gotowość do współpracy. W okresie

międzywojennym nie doszła do skutku ani – logiczna z uwagi na niebezpieczeństwo niemieckie – współpraca polsko-czechosłowacka, ani też niebezpieczeństwo sowieckie nie wymusiło współpracy państw bałtyckich z Polską. Ważyły tu – prócz różnic interesów i resentymentów – wątpliwości, czy próby tworzenia koalicji, o możliwościach i tak niewystarczających, nie skłonią potencjalnego agresora do intensyfikacji działań. Z perspektywy ukraińskiej i litewskiej postulowana przez Piłsudskiego współpraca oznaczała, że znajdą się one na pierwszej linii frontu konfliktu z Rosją – państwem o nieporównanie większych potencjałach niż polskie potencjały militarny i ogólny. Czy z ich perspektywy oferta współdziałania przeciw Rosji była równie atrakcyjna jak dla Polski? Czy w ogóle była atrakcyjna? Czy było przypadkiem, że składane przez Piłsudskiego oferty nie spotykały się z życzliwym odzewem?

Wątpliwości tego rodzaju odnoszą się także do ruchów narodowych, dopiero walczących o własne państwo. W gruncie rzeczy rzadkością są sytuacje, w których ruch narodowy ma do czynienia z jednym tylko przeciwnikiem. Z reguły jest ich więcej. Niekoniecznie też z konstatacji, że politycznych frontów jest wiele, wynika wniosek, iż pierwszym przeciwnikiem musi być ten, kto perspektywicznie stanowi największy problem. Realizm, w tym przypadku kierowanie się zasadą ekonomii sił, kusi możliwościami koncentrowania działań właśnie na przeciwniku słabszym. Dmowski akurat dobrze to rozumiał, krótko przed wojną decydując się na krok kontrowersyjny: kierując działania ruchu, któremu przewodził, przeciw zamieszkującej ziemie polskie ludności żydowskiej. Przy czym deklarowanym i chyba rzeczywistym celem proklamowanej akcji bojkotowej było przejęcie przez Polaków przynajmniej części pośrednictwa handlowego oraz wymuszenie zmian w strukturze społecznej i gospodarczej kraju. Można jednak całą akcję interpretować w kategoriach oportunistycznej, ale na swój sposób racjonalnej strategii kogoś, kto nie chce przegrać, stawiając wszystko na jedną – słabą – kartę konfrontacji z przeciwnikiem najsilniejszym, którego odpowiedź może być miażdżąca.

Analogicznych przykładów w działaniach różnych nurtów narodowych było mnóstwo. Choćby w Bułgarii w XIX w. tamtejszy ruch narodowy kierował się nie przeciwko Turkom, którzy tam politycznie panowali, a silnej gospodarczo mniejszości greckiej. Z polskiej perspektywy najważniejsza jednak była sytuacja na Kresach. Alarmującym wydarzeniami dla polskiej ludności zamieszkującej ten obszar były narastające konflikty pomiędzy nią a narodowymi ruchami: litewskim na północy i ukraińskim na wschodzie. Potencjalnie przeciwnikiem obu ruchów narodowych z pewnością była Rosja, ale nie przeciw niej kierowały one gros energii. Piłsudski ignorował te elementy sytuacji, które nie pasowały do jego planów.

Ta sama kalkulacja, która determinowała starania Dmowskiego o zabezpieczenie się przed presją ze strony ruchów narodowych na Kresach, co zresztą odpowiadało optyce miejscowych Polaków, Piłsudskiego pchała w kierunku poszukiwania sposobów pozyskania tych ostatnich dla wojny z Rosją. Tyle że się to mu na żadnym z odcinków nie udało. I nie był to wynik historycznego pecha, ale lekceważonych realiów, przede wszystkim konfliktu między miejscowymi Polakami a nacjonalizmami narodów kresowych. W rezultacie plonem niefortunnych starań o pozyskanie Litwinów stał się głęboki, ciągnący się przez całe dwudziestolecie konflikt między państwem polskim a litewskim. Z Ukrainą Symona Petlury Piłsudski wprawdzie zawarł w końcu sojusz, ale Petlura był tylko jednym z wielu przywódców ukraińskich, w chwili zawierania układu miał przysłowiowy nóż na gardle, zagrożony sowiecka inwazją, a i wówczas układ z Polską wywołał silny opór w obrębie ukraińskich elit. Można więc zachowywać sceptycyzm co do trwałości polsko-ukraińskiego aliansu także w wypadku bardziej korzystnego przebiegu kampanii 1920 r.

A czy Piłsudski nie traktował litewskich, ukraińskich i białoruskich ruchów instrumentalnie?

Jestem przekonany, że tak. Chociaż oczywiście, gdyby udało mu się obronić na wschodzie państwowość ukraińską, można by spekulować na temat korzyści takiej sytuacji. W zestawieniu z realiami końca lat trzydziestych nie byłoby gorzej. Biorąc wszakże pod uwagę zasięg i bogactwo terytorium objętego kwestią ukraińską, mogłoby powstać państwo znacznie silniejsze od Rzeczypospolitej. Prowadząc politykę antyrosyjską, w perspektywie mogłoby pokusić się nawet o zdobycie rosyjskiego Kaukazu z jego złożami ropy naftowej, a w konsekwencji o wejście do ówczesnej pierwszej ligi mocarstw. Biorąc jednak pod uwagę, że elity tego państwa w znakomitej większości wywodziły się z obszarów dawnej Galicji, którą Petlura *nolens volens* zgodził się pozostawić przy Polsce, czy mało prawdopodobne byłoby zainteresowanie tychże elit możliwościami odebrania Polsce tych ziem – tym bardziej że byłby to kierunek mniejszego oporu i ryzyka? Utworzenie silnego państwa ukraińskiego, konkludując tutaj bardzo ostrożnie, wcale nie musiałoby zatem prowadzić do rezultatów oczekiwanych przez Piłsudskiego.

Sedno sprawy tkwiło (a być może nadal tkwi) w tym, że z perspektywy narodów zamieszkujących obszar między etnograficzną Polską a Rosją, jeśli ceną sojuszu z Polską miałoby być pogorszenie stosunków z Rosją, to oferty ze strony Polski nie są atrakcyjne. Tak było w czasach Piłsudskiego i tak jest zapewne także teraz, gdy nasze możliwości są nieporównanie mniejsze. Choć zarówno Piłsudski, jak i Dmowski uważali, że odrodzona Polska jako spadkobierczyni dawnej Rzeczypo-

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Pogrzeb Romana Dmowskiego w Warszawie. Kondukt żałobny na moście Kierbedzia prowadzony przez bp. Karola Niemirę, 1 lipca 1939 r.

spolitej ma prawo do odgrywania kluczowej roli na wschodzie Europy, ma też stosowne ku temu możliwości. Piłsudski szacował te możliwości wyżej, Dmowski był bardziej sceptyczny, generalnie jednak w tym względzie poglądy obu należą już do historii.

Czy Dmowski zauważał zagrożenia, jakie płynęły dla Polski ze współpracy nazistowskich Niemiec z sowiecką Rosją?

Pod koniec 1934 r. Dmowski opublikował tekst *Rzeczy radosne* podsumowujący wydarzenia tego mijającego roku. Odnotowywał w nim dojście do władzy nazistów, delegalizację partii komunistycznej i narastające napięcia w relacjach niemiecko-sowieckich. Ciesząc się z poróżnienia tych dotychczas dość ściśle współpracujących ze sobą państw, z niewątpliwie nadmiernym optymizmem prorokował, że jeśli dojdzie do wojny z Niemcami, to Rosja nie wymierzy nam ciosu w plecy. Wprawdzie dostrzegał problem dojścia do władzy w Niemczech silnego ruchu nacjonalistycznego, który w jego ocenie zapowiadał zwiększenie siły niemieckiego państwa, ale przynajmniej wyglądało na to, że Niemcy stracą na wschodzie oddanego sojusznika.

Analizując konsekwencje dojścia do władzy Hitlera, Dmowski liczył i na to, że Niemcy szybko pokłócą się także z Zachodem za sprawą antysemickiej polityki. Przeliczył się tu – Zachód milczał. Niemcy były zbyt potężnym krajem, żeby można było je bezpiecznie strofować.

Dmowski widział problem współpracy Niemiec, każdych Niemiec, niezależnie od ich ustroju, z Rosją. Natomiast w dojściu Hitlera do władzy dojrzał szansę na zakłócenie tej współpracy. Jak wiemy, okazało się jednak, że oba totalitaryzmy, wbrew różnicom ideologicznym, potrafiły się zbliżyć i zawrzeć sojusz. W tej sytuacji wyjścia nie było i nikt, także Dmowski, nie mógł go wskazać.

Krótko, niespełna 20 lat, trwała II Rzeczpospolita, a czas stabilizacji, potwierdzający, że państwo nie jest sezonowe i nie rozleci się, był jeszcze krótszy. O tym, że przyszłość Polski była postrzegana jako niepewna, świadczyła trudność pozyskania obcego kapitału. To był szkopuł zasadniczy, limitujący możliwości rozwoju gospodarczego. Nie mogliśmy liczyć na znaczące inwestycje kapitałowe. Nawet jak pokonywaliśmy kolejne przeszkody, po których wydawało się, że kapitał przyjdzie, czyli stabilizacja waluty, stabilizacja ustroju itp., nie następowała poprawa. To niezależnie od naszych starań bardzo hamowało rozwój wewnętrzny Polski.

II Rzeczpospolita nie rozpadła się w wyniku problemów wewnętrznych, bo z nimi sobie radziła. Także i niechętni Polsce politycy, jak francuski minister spraw zagranicznych Jean-Louis Barthou, podkreślali (1934), że Polska podąża szlakiem, który z czasem wprowadzi ją do grona wielkich mocarstw. Wskazywał on na atrakcyjność i postępy polskiej kultury i języka także dla niepolskich obywateli Rzeczypospolitej. Nawet wśród członków nacjonalistycznej endecji znajdowało się sporo działaczy o obcych korzeniach.

Trudności było wiele, ale radziliśmy sobie z nimi na ogół w nie najgorszym stylu. Duma z osiągnięć II RP przyczyniała się do podtrzymywania oporu podczas wojny, a i później, w pojałtańskich czasach. Nie ulega wątpliwości, że państwo upadło nie w wyniku problemów wewnętrznych, ale miażdżących ciosów z zewnątrz. Jest to jakaś pociecha, chociaż może nie aż taka wielka. Realia geograficzne – w tym wypadku sąsiedztwo rosyjsko-niemieckie – należą do trwałych elementów sytuacji, stąd musimy o nich i dzisiaj pamiętać. Gdyby miały ponownie zadziałać te same mechanizmy co w przeszłości, wynik będzie dokładnie taki sam. ■

Rozmawiał Piotr Korczyński

...da un

Tytuł może nie jest oryginalny, ale oddaje dobrze polsko-włoskie związki. Tymi słowami, po włosku właśnie, przemówił w Rzymie do tłumów w 1978 r. krakowski arcybiskup Karol Wojtyła z balkonu Świętego Piotra – „Wezwano mnie z dalekiego kraju".

JACEK ŻUREK

Istotnie jest daleko. Z Krakowa, prastarej stolicy Polski, przez słowackie Karpaty, pogranicze austriacko-węgierskie, słoweńską Lublanę, wenecką lagunę, Rawennę i Perugię 1426 km na piechotę do Rzymu, jak dokładnie wyliczają Google Maps. Tyle, a nawet więcej musiało przebyć trzystu pancernych wojów pierwszego polskiego króla, Bolesława Chrobrego, który w roku tysięcznym odstąpił swych rycerzy na wyprawę do Włoch saskiemu władcy Świętego Cesarstwa Rzymskiego, cesarzowi Ottonowi Rudemu. Według francuskiego kronikarza niemiecki cesarz z polskim królem udali się najpierw do grobu Karola Wielkiego w Akwizgranie, leżącym przy obecnej granicy z Belgią. Po otwarciu grobowca Otton podarował Bolesławowi złoty tron Karola, na którym siedzieć miał od dwu wieków cesarski zewłok. Wraz z niespodziewaną śmiercią Ottona na zamku Paterno w rzymskim Lacjum rozwiały się plany uniwersalnego imperium wspartego na czterech filarach – Galii, Germanii, Italii oraz Sclavinii, czyli Słowiańszczyźnie. Pamięć o polskich pancernych, którzy wojowali na dalekiej włoskiej ziemi przed tysiącem lat, przetrwała dzięki cudzoziemskim kronikarzom.

Z Wenecji w XII w. miał pochodzić, jak mówią głosiciele najnowszej teorii, ojciec polskiego kronikarstwa zwany Gallusem. Polacy, przede wszystkim duchowni, chodzili po włoskim bucie wielokrotnie, wędrując do Rzymu i do powstających jak grzyby po deszczu uniwersytetów. W Bolonii i Padwie studiowali Mikołaj Kopernik i słynny polski kardynał czasów reformacji Stanisław Hozjusz. Temu ostatniemu zawdzięczają Polacy własne hospicjum przy Botteghe Oscure w rzymskiej dzielnicy Sant'Angelo. Był to rodzaj domu pielgrzyma przy kościele patrona Polski, biskupa krakowskiego Stanisława, którego relikwie sprowadzono tu po śmierci Hozjusza. Fundacja nie przetrwała upadku państwa polskiego, podzielonego w 1795 r. pomiędzy trzech zaborców – Prusy, Rosję i Austrię. Trzy lata później, 8 maja 1798 r., na świętego Stanisława – w dniu, kiedy katolicki Kraków

Byli jeńcy polscy z obozu włoskiego w piemonckim La Mandria di Chivasso po zakończeniu I wojny światowej, grudzień 1918 r.

paese lontano

nawiedza procesjonalnie z wielką pompą relikwie świętego – jego rzymski kościół otwarli polscy legioniści gen. Jana Henryka Dąbrowskiego, po czym wysłuchali Mszy św.

Legiony napoleońskie (1797–1807)

Skąd po ośmiuset latach polscy wojacy znaleźli się ponownie w sercu Włoch? Nie byli to zwykli najemnicy, jak zbuntowani luterańscy knechci katolickiego cesarza Karola V, którzy dokonali trzy stulecia wcześniej słynnego *sacco di Roma*, masakrując 6 maja 1527 r. gwardzistów szwajcarskich, chwalebnie poległych w obronie papieża. Skierowana przeciwko Rosji i Prusom w 1794 r., zakończona klęską polska Insurekcja gen. Tadeusza Kościuszki, a następnie upadek państwa spowodowały emigrację setek działaczy politycznych i tysięcy żołnierzy. Ci, którzy pozostali w kraju, zostali wcieleni do armii zaborczych – rosyjskiej, pruskiej i austriackiej. Służba wojskowa w armiach okupantów stała się zmorą Polaków aż do 1945 r., a nawet dłużej, gdy liczyć podporządkowanie przez 45 lat po II wojnie światowej polskiej armii rosyjskiemu „gwarantowi" oraz służbę byłych polskich obywateli w armii sowieckiej.

Pod koniec XVIII w. jedynym w praktyce, choć niepewnym sojusznikiem Polaków pozostawała walcząca z Prusami jakobińska Francja. Nie zmienił tego aliansu przewrót termidoriański w 1794 r., powstanie konsulatu i zawrotna kariera pierwszego konsula – Napoleona. Jednym z takich emigrantów był polski generał Dąbrowski, który uzyskał w 1797 r. od walczącego z Austriakami w Lombardii Napoleona zgodę na sformowanie z polskich jeńców, którzy dostali się do niewoli francuskiej, osobnego legionu. Miał on posiłkować twór francuski, Rzeczpospolitą Lombardzką. Legioniści nosili na polskim mundurze kokardy włoską i francuską, wraz z napisem *Gli uomini liberi sono fratelli* (Ludzie wolni są braćmi). Było to więc nowe wojsko, obywatelskie i republikańskie, na wzór armii insurekcyjnej Kościuszki z 1794 r., w którym różnice stanów i pochodzenia nie miały odgrywać roli. Kościuszko, uwolniony z rosyjskiej twierdzy przez cara Pawła, został symbolicznym zwierzchnikiem żołnierzy. Służba ta niosła jednak ze sobą dramatyczne czasem rozdwojenie. Rewolucyjna armia francuska pod hasłem wolności i równości przynosiła okupację francuską i walkę z religią. Polscy legioniści chcieli walczyć, by wrócić do swojego kraju i nade wszystko, zwłaszcza ci pochodzenia chłopskiego, byli głęboko wierzącymi katolikami. Nie przypadkiem w *Dziadach* części III, dramacie czołowego polskiego romantyka Adama Mickiewicza, pojawia się postać Kaprala, który opowiada o zaskakującym wydarzeniu podczas służby w polskich legionach, najpierw we Włoszech, a następnie w Hiszpanii:

Konrad
Nie mieszam się do wszystkich świętych z litaniji,
Lecz nie dozwolę bluźnić imienia Maryi.
Kapral
To imię, Panie, nie żart –więc mnie się zdarzyło
W Hiszpaniji, lat temu – o, to dawno było,
Nim car mię tym oszpecił mundurem szelmowskim –
Więc byłem w legijonach, naprzód pod Dąbrowskim,
A potem wszedłem w sławny pułk Sobolewskiego. [...]
Otóż – więc z rozkazem
Brata Pana jechałem w miasteczko Lamego –
Jak dziś pamiętam – więc tam byli Francuziska:
Ten gra w kości, ten w karty, ten dziewczęta ściska –
Nuż beczeć; każdy Francuz, jak podpije, beczy.
Jak zaczną tedy śpiewać wszyscy nic do rzeczy,
Siwobrode wąsale takie pieśni tłuste!
Aż był wstyd mnie młodemu. – Z rozpusty w rozpustę,
Dalej bredzić na świętych; otóż z większych w większe
Grzechy łacząc, nuż bluźnić na Pannę Najświętszę –
A trzeba wiedzieć, że mam patent sodalisa
I z powinności bronię Maryi imienia –
Więc ja im perswadować: – Stulcie pysk, do bisa!
Więc umilkli, nie chcąc mieć ze mną do czynienia. [...]
Aż w nocy trąbią na koń – zaczną obóz trwożyć –
Francuzi nuż do czapek, i nie mogą włożyć: –
Bo nie było na co wdziać, – bo każdego główka
Była ślicznie odcięta nożem jak makówka.
Szelma gospodarz porznął jak kury w folwarku; –
Patrzę, więc moja głowa została na karku;
W czapce kartka łacińska, pismo nie wiem czyje:
»Vivat Polonus, unus defensor Mariae«.
Otóż widzisz Pan, że ja tym imieniem żyję.

Polacy tłumili w papieskiej Romanii powstanie ludności przeciwko Francuzom, za to w Reggio swoim taktem polscy żołnierze zyskali sympatię mieszkańców. Tu gen. Józef Wybicki, jeden z wybitniejszych polityków polskich przełomu XVIII i XIX w., napisał dla legionistów skoczny Mazurek Dąbrowskiego, przyszły hymn narodowy polskiej republiki, który wyrażał nadzieję na powrót do kraju:

Jeszcze Polska nie umarła/ Kiedy my żyjemy,
Co nam obca moc wydarła/ Szablą odbijemy.
Marsz, marsz Dąbrowski/ Do Polski z ziemi włoski
Za twoim przewodem/ Złączem się z narodem.

FOT. POLONA.PL

Polacy weszli 3 maja 1798 r. do Wiecznego Miasta, stolicy nowej Republiki Rzymskiej, powstałej na gruzach Państwa Kościelnego. Wtedy właśnie nastąpiło krótkotrwałe otwarcie polskiego kościoła św. Stanisława. Później było coraz gorzej. Część legionistów wydał Austriakom, jako obcych poddanych, francuski komendant kapitulującej w 1799 r. Mantui, a legiony poniosły olbrzymie straty, osłaniając odwrót Francuzów w bitwie z oddziałami rosyjsko-austriackimi nad Trebbią. Zalążkiem nowej legii stały się resztki żołnierzy, którzy przeżyli bitwę z Austriakami pod Marengo w zwycięskiej dla Napoleona kampanii 1800 r. Część żołnierzy przeszła następnie jako polskie oddziały na żołd Republiki Włoskiej, a część została wysłana do tłumienia murzyńskiego powstania w kolonii francuskiej na Haiti. Wielu spośród legionistów przeszło jednak na stronę powstańców – ich czarni potomkowie żyją na tej wyspie do dzisiaj.

Bohaterska bądź co bądź epopeja polskich legionistów na służbie włoskiej szybko przeniknęła do Polski i na Litwę pod zaborem rosyjskim, wchodząc na trwałe do historii obu krajów. W narodowym poemacie Mickiewicza *Pan Tadeusz*, pisanym na emigracji po klęsce kolejnego antyrosyjskiego powstania Polaków i Litwinów, znalazło się echo takiej opowieści:

Przecież nieraz nowina niby kamień z nieba
Spadała w Litwę. Nieraz dziad żebrzący chleba,
Bez ręki lub bez nogi, przyjąwszy jałmużnę,
Stanął i oczy wkoło obracał ostróżne.
Gdy nie widział we dworze rosyjskich żołnierzy
Ani jarmułek, ani czerwonych kołnierzy,
Wtenczas kim był, wyznawał: był legijonistą,
Przynosi kości stare na ziemię ojczystą,
Której już bronić nie mógł... Jak go wtenczas cała
Rodzina pańska, jak go czeladka ściskała,
Zanosząc się od płaczu! On za stołem siadał
I dziwniejsze od baśni historyje gadał.
On opowiadał, jako jenerał Dąbrowski,
Z ziemi włoskiej stara się przyciągnąć do Polski,
Jak on rodaków zbiera na lombardzkim polu;
Jak Kniaziewicz rozkazy daje z Kapitolu
I zwycięzca, wydartych potomkom cezarów
Rzucił w oczy Francuzów sto krwawych sztandarów.

Potomkowie cezarów trzymali się jednak mocno, zjednoczenie Włoch pod egidą dynastii sabaudzkiej nastąpiło w 1870 r., gdy w końcu upadło rozkładające się Państwo Kościelne, a wojska włoskie zajęły opuszczony przez Francuzów Rzym, czyniąc kolejnych papieży na najbliższe 60 lat dobrowolnymi więźniami Watykanu.

FOT. POLONA.PL

***Jan Dombrowski Naczelnik Legyi Polskiej 1803*. Litografia francuska z pierwszej połowy XIX w.**

Wiosna Ludów (1848–1849)

Nieudane powstanie narodowe Polaków przeciwko Rosji wyrzuciło za burtę w 1831 r. tysiące uchodźców stanowiących elitę złączonego z Rosją od roku 1815 węzłem dynastycznym Królestwa Polskiego. Była to tak zwana Wielka Emigracja, wielka nie ze względu na liczebność, a charakter jej przedstawicieli. Oficerowie, posłowie na ostatni Sejm i członkowie Rządu Narodowego, znani ziemianie, poeci romantyczni, dziennikarze i publicyści, wszyscy podążyli na zachód i południe Europy, rozsiewając po drodze zarazki buntu i rewolucji. Polityków i żołnierzy, reprezentujących niemal wszystkie ówczesne stronnictwa, od skrajnych konserwatystów po komunistycznych radykałów, łączyło, wbrew ich woli, jedno – pragnienie odzyskania niepodległości przez Polskę. To zaś mogło się dokonać w praktyce tylko przez wywrócenie europejskiego porządku politycznego lub społecznego, zagwarantowanego na kongresie wiedeńskim w 1815 r. traktatami Świętego Przymierza. W Europie Środkowej i Wschodniej moment ten nastąpił dopiero w roku 1918, po nagłym upadku trzech monarchii – carskiej Rosji, cesarsko-królewskich Austro-Węgier i cesarskich Niemiec. Do tego czasu słowo Polak w europejskich gabinetach oznaczało najczęściej niepoprawnego marzyciela i zarazem – groźnego rewolucjonistę.

FOT. POLONA.PL

„Tablica historyczna, chronologiczna i geograficzna działań Polaków we Włoszech dla odrodzenia ich ojczyzny". Wydanie francuskie mapy historycznej z 1829 r. ukazującej trasy włoskich przemarszów polskich legionistów w latach 1797–1801.

Rolnicze i przeludnione Włochy, podzielone między kraje austriackich Habsburgów na północy i hiszpańskich Burbonów na południu (neapolitańskie Królestwo Obojga Sycylii), z państwem papieskim pośrodku, tylko czekały na rewolucję społeczną i Risorgimento – odrodzenie narodowe. Właściwie jedyną liczącą się rodzimą dynastią, która aspirowała do włoskiego przywództwa, była sabaudzka rodzina królewska, rządząca Sardynią i Piemontem. Cieszący się popularnością nowy papież Pius IX nie mógł zostać, nawet gdyby tego chciał, władcą nowego włoskiego państwa. Wiosna Ludów, która w latach 1848–1849 ogarnęła Francję, kraje niemieckie, Austrię z Węgrami i ziemie polskie, wybuchła także we Włoszech. Jak w okresie napoleońskim, powstały na północy, w walce z rządami austriackimi, republiki w Wenecji i Mediolanie, którym Sabaudowie wysłali na pomoc swe wojska.

Polscy petenci pukali od dawna do drzwi kurii rzymskiej, starając się o protektorat papieża nad swoją działalnością polityczną. Książę Adam Czartoryski, były minister spraw zagranicznych Rosji, pierwszy prezes Rządu Narodowego podczas antyrosyjskiego powstania w 1831 r., zwany niekoronowanym królem Polski główny dyplomata polskiej emigracji, zabiegał o poparcie Piusa IX dla sformowania w państwie papieskim polskiego legionu. Tego samego żądał słynny polski poeta romantyczny, a zarazem działacz polityczny Mickiewicz, który uzyskawszy audiencję w Watykanie, krzyczał na papieża, że Duch Święty jest obecny w bluzach paryskich robotników, co wzbudziło ogólną konsternację. Sformowany przez okrzyczanego heretykiem i rewolucjonistą Mickiewicza demokratyczny i radykalny społecznie legion został przyjęty w końcu na służbę przez rząd Mediolanu, walcząc z Austriakami na drugo-

rzędnym odcinku frontu nad jeziorem Garda, gdzie wznosi się znany erem kamedulski.

Polski generał Maciej Rybiński, ostatni wódz naczelny powstania przeciwko Rosjanom w 1831 r., został nawet dowódcą sił zbrojnych Wenecji, jednak podpisany z nim przez wenecki rząd układ nie wszedł w końcu w życie. Po austriackich zwycięstwach w północnych Włoszech część Polaków wycofała się do Piemontu, część przeszła na służbę słynnego włoskiego rewolucjonisty Giuseppe Garibaldiego. Człowiek księcia Czartoryskiego, a więc przedstawiciel konserwatystów, gen. Wojciech Chrzanowski, został faktycznym wodzem naczelnym sabaudzkiej armii sardyńskiej i zdołał podporządkować sobie radykalny legion Mickiewicza. Jednak przegrana Piemontu w walce z Austriakami i abdykacja króla na rzecz syna oznaczały tym samym koniec polskich formacji w sabaudzkiej służbie.

Na południu objawił się jeszcze jeden Polak – gen. Ludwik Mierosławski, znany i podziwiany, lecz chorobliwie ambitny dyletant, który objął dowództwo nad okręgiem wojskowym na Sycylii zbuntowanej przeciwko neapolitańskim Burbonom. I tu wojska rewolucyjne poniosły klęskę.

Część legionistów Mickiewicza przeszła do Toskanii, której rząd oferował im na krótko służbę wojskową, a następnie udała się na teren Republiki Rzymskiej, walcząc w jej obronie. Admirowany wcześniej przez Polaków papież uciekł do Gaety. Giuseppe Mazzini, dyktator republiki, ostatniego bastionu rewolucji, ogłosił powstanie nowego legionu polskiego, będącego oficjalnie rodzajem sprzymierzonego z Włochami oddziału. Dowódcą wspólnych sił był Garibaldi. Tereny republiki zajęli Francuzi, Habsburgowie i neapolitańscy Burbonowie, w obronie Rzymu odznaczyli się polscy legioniści, lecz 3 lipca 1849 r. do miasta wkroczyły wojska francuskie, restytuując władzę papieża. Resztki legionistów oraz żołnierzy włoskich udały się na statku nomen omen „Pius IX" do Grecji, by starać się następnie o przejście do Siedmiogrodu, gdzie z Austriakami i Rosjanami walczyła armia węgierska pod dowództwem słynnego polskiego generała Józefa Bema. Nic z tego nie wyszło.

Swego rodzaju zakończeniem tych polsko-włoskich paranteli był udział Francuzów i Włochów w kolejnym antyrosyjskim powstaniu, które wybuchło w Królestwie Polskim w 1863 r. Przyjaciel Garibaldiego, uczestnik włoskiej Wiosny Ludów, pochodzący z Bergamo płk Francesco Nullo, przybył do polskiego Krakowa, znajdującego się ówcześnie w granicach habsburskiej Austrii. Wcześniej spisał testament. Mianowany przez powstańczy Rząd Narodowy generałem, przekroczył na czele francusko-włoskiej legii granicę austriacko-rosyjską pod Krakowem 3 maja, w dniu polskiego święta religijnego i narodowego, upamiętniającego ogłoszenie Maryi królową Korony Polskiej w 1656 r. i uchwalenie pierwszej polskiej konstytucji w roku 1791. Zginął dwa dni później w bitwie z Rosjanami. Spoczął na cmentarzu w małopolskim Olkuszu.

Dwie wojny światowe

Na początku XI stulecia do Włoch miało zawędrować 300 polskich pancernych – siła ówcześnie nie do pogardzenia. Polskie legiony w służbie napoleońskich protektoratów liczyły po kilka tysięcy żołnierzy, całkiem sporo jak na stosunki wśród państewek włoskich. Dziesięciominutowa szarża jednego szwadronu polskich szwoleżerów na hiszpańskie baterie pod przełęczą Somosierra w górach Guadarrama, która w 1808 r. otwarła Napoleonowi drogę do Madrytu, pokazała, że niekoniecznie liczy się ilość, a podnieceni odpowiednio ambicją i uwielbieniem dla cesarza najemnicy mogą dokonać więcej niż rodzimi bohaterowie. Cudzoziemskie legie we Włoszech okresu Wiosny Ludów liczyły po kilkuset Polaków, ale za to ważną rolę odegrali w republikańskich wojskach polscy oficerowie. Pamięć tych wydarzeń jest wcale nie odległa. Mój dziadek macierzysty wspominał wydarzenia Wiosny Ludów w połowie lat pięćdziesiątych ubiegłego stulecia jako żywą tradycję rodzinną, która zawładnęła wyobraźnią małego chłopca z polskiej Galicji, będącej do roku 1918 częścią monarchii austriackich Habsburgów: „Najdawniejsze moje wspomnienia dziecinne sięgają opowiadań dziadka o zdarzeniach roku 1848 we Lwowie. Te opowiadania, a zwłaszcza relacje o ostrzeliwaniu Lwowa armatami z Wysokiego Zamku, mam ciągle jeszcze w świeżej pamięci. [...] Na pokolenie mego dziadka silne wrażenie wywarł rok czterdziesty ósmy, powstanie na Węgrzech i przemarsz wojsk rosyjskich przez Galicję na Węgry. Z braci mego dziadka dwóch brało udział w powstaniu węgierskim. Jeden z nich został na Węgrzech, a drugi wyemigrował do Turcji. Znane to zdarzenia z historii ówczesnej drobnej [polskiej] szlachty"[1].

Na początku 1918 r. jako osiemnastoletni maturzysta, jeszcze w mundurku szkolnym, wstąpił do Polskiego Korpusu Posiłkowego, legionu w służbie austriackiej. Tymczasem korpus, który się zbuntował, rozwiązano, a dziadka, wyszkolonego na artylerzystę, posłano w Alpy, na front włoski. Gdy w październiku c.k. monarchia zaczęła się rozpadać, wypisał sobie z kolegą fałszywy rozkaz urlopu do rodzinnego Lwowa, stolicy austriackiej Galicji, i wrócił do domu. Nie mieli tego szczęścia inni polscy rekruci. Około 60 tys. jeńców, będących przecież poddanymi austriackimi, znalazło się do jesieni w obozach we Włoszech. We Francji tymczasem sformowano po stronie aliantów sprzymierzoną Armię Polską, której oddziały rzutem na taśmę zdołały nawet wziąć udział w walkach z Niemcami w Szampanii. Jej dowódcy, gen. Józefowi Hallerowi, od października naczelnemu wodzowi Wojsk Polskich, podporządkowano wszystkie polskie formacje ochotnicze, od Kanady po rosyjski Władywostok. W obozach włoskich zaczął się werbunek do sojuszniczej polskiej armii. Po stronie Włochów walczyła już polska kompania, sformowana na terenie obozu w kampańskiej Santa Maria Capua Vetere. Drugi taki

FOT. CENTRALNE ARCHIWUM WOJSKOWE

FOT. WANDA WOJCIECHOWSKA-RATAJCZAK

FOT. MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO

FOT. MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO

1. Plakat propagandowy 2 Korpusu Polskiego z 1945 r. pokazujący szlak jego kampanii włoskiej, od lądowania pierwszych oddziałów w grudniu 1943 r. w Tarencie w Apulii.
2. Ulotka propagandowa rozrzucana przez Włochów na froncie austriackim w 1918 r. Drukowana w językach ludów monarchii austro-węgierskiej, zachęcała do dezercji z austriackich szeregów, co czyniły tysiące Polaków.
3. *Czerwone maki na Monte Cassino*, broszura z piosenką wydana przez Oddział Kultury i Prasy 2 Korpusu, 1945 r., Drukarnia Polowa, dedykacja autora muzyki kpt. Alfreda Schütza.

obóz znajdował się w piemonckiej La Mandria di Chivasso. W sumie zwerbowano 35 tys. ochotników spośród jeńców, którzy utworzyli pułki pod patronatem znanych nam bohaterów – Dąbrowskiego, Kościuszki, Mickiewicza, Nulla, Garibaldiego. Żołnierzy tych przetransportowano następnie do Francji, skąd w 1919 r. wyruszyli do swojego kraju. Niejako oblekły się więc w ciało słowa Mazurka Dąbrowskiego – „z ziemi włoskiej do Polski".

Rok 1939 przyniósł katastrofę Polski, którą pokonali wspólnym wysiłkiem Niemcy i Rosjanie. Włochy, wspierające Hitlera, zachowały jednak neutralność wobec katolickiej Polski i sympatię wobec jej obywateli. Do 1940 r. tłumy uchodźców i ochotników do nowego Wojska Polskiego we Francji przesuwały się po włoskim bucie. Ambasador polski w Rzymie Bolesław Wieniawa-Długoszowski został wyznaczony na prezydenta Polski przez internowanego w Rumunii prezydenta Ignacego Mościckiego, jednak nie mógł objąć tej funkcji wobec sprzeciwu Francuzów i Anglików. W Rzymie zamieszkał, w drodze do Francji, prymas Polski August Hlond oraz – via klasztor Kamedułów nad jeziorem Garda, gdzie odwiedził swego stryja – biskup polowy Józef Gawlina. Wojsko Polskie ponownie tu zawitało w roku 1944, przechodząc ten włoski but od obcasa (Apulia), przez sznurowadła (Monte Cassino), po cholewę (Ankona z Bolonią), ale wojna się skończyła i w 1946 r. 2 Korpus Polski został przetransportowany do Wielkiej Brytanii. Była to jednak kampania bohaterska. Dowodem są słowa samych uczestników. Gawlina, który specjalnie przyjechał pod Monte Cassino, napisał w swoich wspomnieniach: „Skoro tylko bitwa się ukończyła [...] zaczęła się szarzyzna dnia. Natura polska znów święciła triumfy. [...] Delegacja pułku piechoty zarzuciła mi, że jak zawsze krzywdzę piechotę, bo przeniosłem ich kapelana. Zdenerwowani przez bitwę rozsierdzili się nawet, a gdy uspakajająco jednemu z nich powiedziałem: – »Czekajże, złotko kochane«, stanął na baczność i powiedział: – »Melduję posłusznie, że nie jestem żaden kasztan, tylko bohater spod Monte Cassino«"[2].

Posiłkujące Niemców na froncie wschodnim oddziały ekspedycyjne włoskie, o ile przechodziły przez tereny polskie pod okupacją niemiecką, spotykały się z życzliwym przyjęciem ludności, podobnie jak oddziały hiszpańskie i węgierskie. Te wojenne związki polsko-włoskie uchwycił dobrze Stanisław Lenartowicz, reżyser polskiej komedii *Giuseppe w Warszawie* (1964), sam żołnierz armii podziemnej i więzień rosyjskiego obozu koncentracyjnego po wojnie.

Dramat Włochów dopełnił się w latach 1943–1944. Ci, którzy przeżyli Stalingrad, znaleźli grób w obozach rosyjskich. Tę tragiczną historię przedstawił z humorem w *Towarzyszu don Camillo* (1963) Giovanni Guareschi. Stiepan Bordionnyj, bohater jednego z opowiadań, jeniec włoski, który ocalał z masakry, pozostał w miejscowym kołchozie i ożenił się po wojnie z obywatelką sowiecką, córką polskich chłopów.

Po przejściu Włoch na stronę aliantów w 1943 r. większość żołnierzy włoskich poza granicami kraju została umieszczona przez Niemców w obozach jenieckich i koncentracyjnych. Na warszawskich Bielanach znajduje się cmentarz żołnierzy włoskich. Pochowano tu prawie tysiąc Włochów, którzy dostali się do niewoli niemieckiej w czasie I wojny światowej i zmarli w obozach jenieckich w Polsce. Złożono tu także prochy przeszło 1400 Włochów, którzy stracili życie w Polsce z rąk niemieckich. Jest tu również wymowna tablica – poświęcono ją pamięci sześciu włoskich generałów, zamordowanych na polskiej ziemi przez wycofujących się Niemców w styczniu 1945 r. ■

JACEK ŻUREK doktor historii, pracownik Wojskowego Instytutu Wydawniczego w Warszawie.

[1] Przemówienie w: *Z kroniki naukowej*, „Przegląd Zachodni" (Poznań) 1955, nr 5–6, s. 294. [2] J. Gawlina, *Wspomnienia*, oprac. J. Myszor, Katowice 2018, s. 315.

W piekle ognia
gen. Roman Szymański

„Ciężkie dnie skończyły się – zadanie wykonaliśmy...” Tak pisał w liście do żony wieczorem 18 maja 1944 r. jeden z najwybitniejszych polskich żołnierzy i bohaterów XX w. – gen. Roman Szymański – postać dziś ledwie rozpoznawalna.

JERZY KIRSZAK

75. rocznica bitwy pod MONTE CASSINO

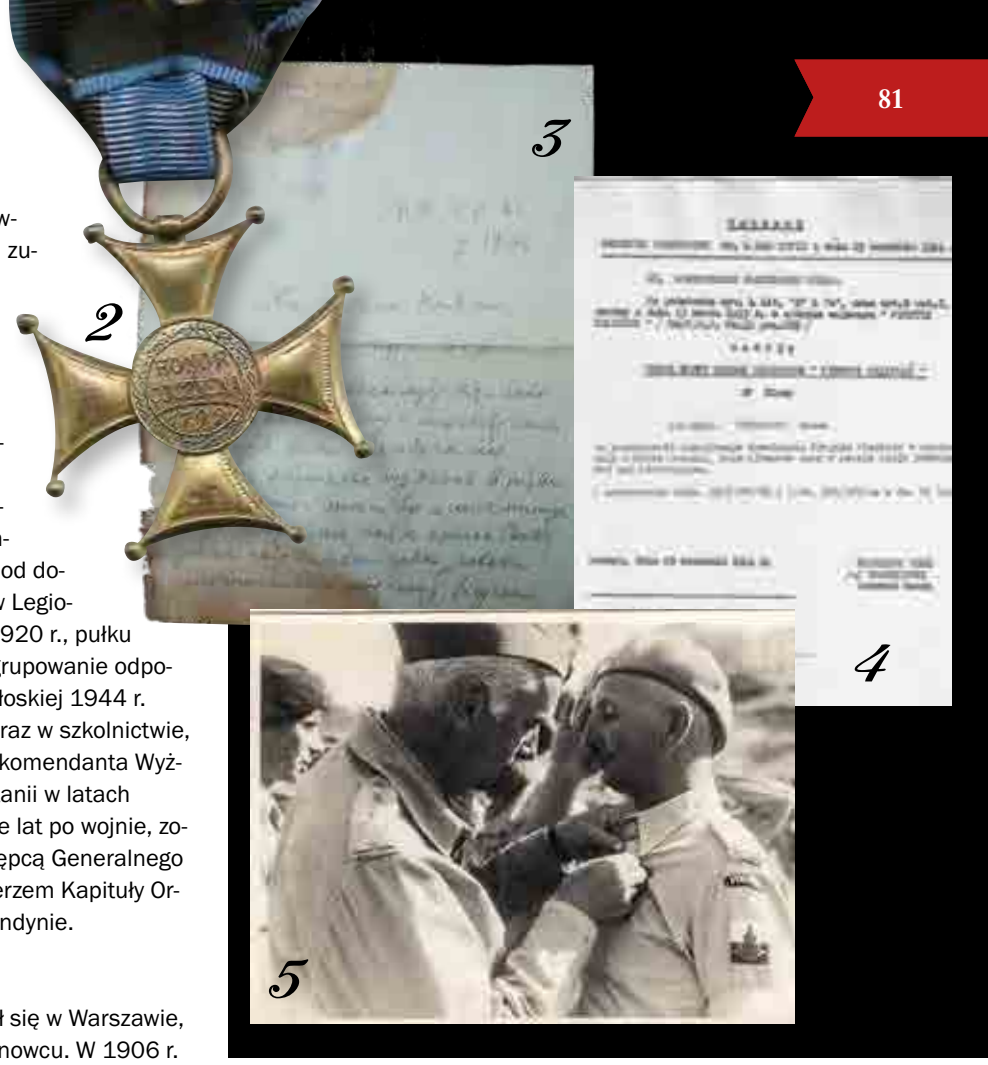

1. Dowódca 2 BSK płk dypl. Roman Szymański w ruinach Monte Cassino, maj 1944 r. 2. Rewers Orderu Virtuti Militari IV kl. nr 41 nadany płk. Romanowi Szymańskiemu. 3. List płk. Romana Szymańskiego do żony w dniu zwycięstwa: „Ciężkie dnie skończyły się – zadanie wykonaliśmy…”, 18 maja 1944 r. 4. Wyciąg z Dziennika Personalnego nr 4 z 29 września 1944 r. z zarządzeniem Naczelnego Wodza o nadaniu Krzyża Złotego Orderu Wojennego Virtuti Militari IV kl. płk. dypl. Romanowi Szymańskiemu. 5. Moment dekoracji płk. dypl. Romana Szymańskiego Orderem Virtuti Militari IV kl. przez Naczelnego Wodza gen. broni Kazimierza Sosnkowskiego, Ankona, 31 lipca 1944 r.

Niewielu mogło się z nim równać, właściwie stanowił on zupełny wyjątek. Jakkolwiek zdarzali się oficerowie, których służba liniowa była zbieżna z karierą Szymańskiego, to już takich, którzy połączyli ją z pracą w szkolnictwie wojskowym i różnorakich sztabach próżno szukać. Szymański bowiem to jedyny oficer, który w kilku wojnach przeszedł na froncie wszystkie szczeble dowodzenia: od dowódcy drużyny, plutonu i kompanii w Legionach Polskich, batalionu w wojnie 1920 r., pułku w kampanii 1939 r., po brygadę i zgrupowanie odpowiadające sile dywizji w kampanii włoskiej 1944 r. Sprawdził się ponadto w sztabach oraz w szkolnictwie, czego ukoronowaniem była funkcja komendanta Wyższej Szkoły Wojennej w Wielkiej Brytanii w latach 1944–1946. Na emigracji zaś, wiele lat po wojnie, został szefem Sztabu Głównego i zastępcą Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych oraz kanclerzem Kapituły Orderu Wojennego Virtuti Militari w Londynie.

W czasie Wielkiej Wojny

Roman Szymański chociaż urodził się w Warszawie, w 1895 r., to wychowywał się w Sosnowcu. W 1906 r. rozpoczął naukę w Szkole Handlowej w Będzinie, a pięć lat później został zastępowym w tajnej Drużynie Skautowej im. Dionizego Czachowskiego. W tym czasie wstąpił też w Sosnowcu do Polskich Drużyn Strzeleckich. Po maturze w 1913 r. rozpoczął studia na Wyższych Kursach Handlowych im. Augusta Zielińskiego w Warszawie, kontynuując równocześnie działalność w Polskich Drużynach Strzeleckich. Przyjął wówczas pseudonim „Tewański”. Latem 1914 r. wyjechał na kurs PDS w Nowym Sączu.

Zajęcia przerwano z powodu wybuchu wojny austriacko-serbskiej, która dała początek światowej pożodze i mobilizacji polskich niepodległościowych organizacji paramilitarnych. Uczestnicy kursu wyjechali do Krakowa. Tam, na Oleandrach, 3 sierpnia 1914 r. została utworzona Pierwsza Kompania Kadrowa złożona w połowie ze strzelców Związku Strzeleckiego „Strzelec”, a w połowie z członków Polskich Drużyn Strzeleckich. „Tewański” trafił do II plutonu kadrówki, ale już 5 sierpnia przekroczył granicę zaborów w składzie pięcioosobowego patrolu strzelców, będącego awangardą kompanii, która wyszła z Oleandrów nazajutrz. Uczestniczył następnie w inauguracyjnym boju strzelców pod Kielcami 12–13 sierpnia, a później, w składzie 1 Pułku Piechoty Legionów Polskich, brał udział jako dowódca drużyny w bojach m.in. pod Nowym Korczynem i Uciskowem, Laskami i w zuchwałym przedarciu się w listopadzie przez Ulinę Małą do Krakowa. Wkrótce potem, wyczerpany trudami kampanii, nieustannymi marszami, walkami i marnym odżywianiem, zachorował na dyzenterię i został odesłany do szpitala. Po wyleczeniu nie wrócił już do swojej I Brygady, tylko został skierowany jako instruktor do batalionu uzupełniającego, a później do Szkoły Podoficerskiej Komendy Legionów. Jeden z kadetów zanotował: „Szymański podoba mi się nadzwyczajnie. Młody chłop – wąs mu się zaledwie sieje – ale mina żołnierska”[1]. Latem przeniesiono go do nowo formowanego 6 Pułku Piechoty Legionów Polskich, w ramach którego utworzono pododdział skautów. Z racji swej przedwojennej działalności został dowódcą 1 plutonu skautów w 6 kompanii oraz 14 września – już jako podchorąży – wyruszył na front ▶

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE/KOLORYZACJA MIROSŁAW SZPONAR, ZBIORY MINISTRY OF DEFENCE, ZBIORY RODZINY SZYMAŃSKICH UDOSTĘPNIONE JERZEMU KIRSZAKOWI (3)

na Wołyniu, na którym szczególnie się odznaczył. W sporządzonym wniosku odznaczeniowym napisano: „W walkach o Kopnę na razie jako dowódca plutonu poprowadził pluton na bagnety, zajął pozycje rosyjskie, na których następnie wstrzymał odwrót cofających się żołnierzy legionowych i niemieckich, dalej objąwszy dowództwo kompanii po rannym chor. [Czesławie] Stypulskim, osłaniał odwrót własnych sił do naszych pozycji. Utrzymał kompanię pomimo licznych strat w gotowości bojowej”[2]. Do stopnia podporucznika awansował 1 kwietnia 1917 r. Po kryzysie przysięgowym Legionów w lipcu 1917 r. służył w podporządkowanym Austrii Polskim Korpusie Posiłkowym jako dowódca plutonu i kompanii batalionu uzupełnień w Przemyślu i Bolechowie. W lutym 1918 r. został przeniesiony do organizowanej przez Niemców Polskiej Siły Zbrojnej (tzw. Polnische Wehrmacht), w której został instruktorem w obozie szkoleniowym w Dęblinie.

1. Naczelny Wódz gen. broni Kazimierz Sosnkowski i dowódca Armii Polskiej na Wschodzie gen. dyw. Władysław Anders w rozmowie z ppłk. Romanem Szymańskim. Pierwszy z prawej gen. dyw. Michał Tokarzewski-Karaszewicz, Palestyna, listopad 1943 r.

FOT. ZBIORY RODZINY SZYMAŃSKICH UDOSTĘPNIONE JERZEMU KIRSZAKOWI

W Polsce niepodległej

W listopadzie 1918 r. por. Szymański wziął udział w rozbrajaniu Niemców. Później był m.in. wykładowcą w Szkole Podchorążych Piechoty w Warszawie. W maju 1920 r., już jako kapitan, odszedł na własną prośbę do służby liniowej i został dowódcą II batalionu formującego się 105 Pułku Piechoty. Z pułkiem tym wyjechał na front południowo-wschodni. Nocą z 22 na 23 lipca oddział został otoczony przez 1 Armię Konną Siemiona Budionnego, ale udało mu się przebić – w dużej mierze dzięki Szymańskiemu. Szczegóły boju przedstawiono we wniosku o odznaczenie go Orderem Virtuti Militari: „Przełamania dokonywa II/105 pp pod dowództwem kpt. Szymańskiego, który prowadząc atak, zostaje ranny w nogę. D-cę baonu wynoszą żołnierze na jedynej używanej jeszcze armacie. […] – przy czym cały odwrót odbywa się przy walce na białą broń. Kpt. Szymański, ranny, zagrzewa żołnierzy do oporu, kieruje ogniem obronnym przeciw szarżującym pułkom Budionnego. […] Bardzo dzielny d-ca baonu – zawsze w pierwszej linii – doskonałym przykładem zmuszał żołnierzy do spełnienia ich powinności wobec Ojczyzny – w chwilach największego upadku sił moralnych”[3].

Kiedy wrócił do zdrowia, był od października 1920 r. dowódcą batalionu szkolnego Szkoły Podchorążych Piechoty w Bydgoszczy. Trzy lata później rozpoczął studia w Wyższej Szkole Wojennej w Warszawie, które ukończył jesienią 1925 r. W tym czasie awansował do stopnia majora (1924).

Służył następnie w sztabach Dowództw Okręgów Korpusu we Lwowie i w Przemyślu, był szefem sztabu 25 Dywizji Piechoty w Kaliszu i dowódcą batalionu w 48 Pułku Piechoty w Stanisławowie. W grudniu 1932 r. przeniesiono go do Inspektoratu Armii w Wilnie na stanowisko II oficera sztabu z niemal jednoczesnym awansem na podpułkownika, by po czterech latach zostać tamże zastępcą dowódcy 6 Pułku Piechoty Legionów. W styczniu 1938 r. otrzymał wreszcie samodzielne dowództwo i stanął na czele 39 Pułku Piechoty Strzelców Lwowskich w Jarosławiu. Na tym stanowisku zastał go wybuch wojny.

Kampania wrześniowa

Nie dokończywszy mobilizacji, 39 Pułk Piechoty 3 września 1939 r. odjechał na front. Nazajutrz wyładował się w Tarnowie, skąd niezwłocznie odmaszerował nad Dunajec, gdzie koncentrowała się jego macierzysta 24 Dywizja Piechoty. Cały dzień 5 września przebiegł na przygotowaniach do obrony. Dywizja 6 września stoczyła pomyślnie walki z oddziałami niemieckiej 4 Dywizji Lekkiej, której nie udało się przełamać polskich pozycji, przy czym oddziały ppłk. Szymańskiego odparły niemiecki podjazd, który wdarł się do Wojnicza. Kując żelazo póki gorące, podpułkownik postanowił przeprowadzić wieczorem wypad II batalionu za rzekę, jednak nie doszło do tej śmiałej akcji wobec otrzymania rozkazu do ogólnego odwrotu całej 24 DP znad Dunajca. Kilka miesięcy później Szymański relacjonował: „Odwrót spod Tarnowa był wykonany zbyt wcześnie albo w ogóle niepotrzebnie, jak się okazało później. Dywizja miała walkę z dywizją zmotoryzowaną i faktycznie pozycję utrzymała […]. Warunki terenowe do walki z bronią pancerną i zmotoryzowaną były bardzo dobre, dalej na wschód podobnych warunków terenowych nie było […]. Odwrót

2. Ppłk dypl. Roman Szymański, dowódca Ośrodka Wyszkolenia Piechoty w Centrum Wyszkolenia Armii, Irak, 1943 r.
3. Ppłk dypl. Roman Szymański – II oficer sztabu Inspektora Armii w Wilnie, 1933 r.
4. Dowódca 39 Pułku Piechoty Strzelców Lwowskich ppłk Szymański przyjmował konno defiladę z okazji dwudziestolecia powstania pułku, Jarosław, 29 kwietnia 1939 r.

24 DP spod Tarnowa był początkiem końca tej dywizji”[4]. Następnie brał udział w dalszych działaniach odwrotowych 24 DP aż do Brzuchowic pod Lwowem, skąd szczątki dywizji w składzie zgrupowania gen. Kazimierza Sosnkowskiego próbowały przebić się do oblężonego przez Niemców miasta. Wówczas oddział ppłk. Szymańskiego liczył już tylko dwie niepełne kompanie w sile ok. 200 żołnierzy, wobec ok. 3,3 tys. oficerów i żołnierzy stanu wyjściowego. Resztki zgrupowania gen. Sosnkowskiego 20 września podjęły ostatnie próby przebicia się do Lwowa, które nie powiodły się z powodu szczupłości sił. Wobec wyczerpania oddziałów i zbliżającej się od wschodu Armii Czerwonej dalsza walka stała się beznadziejna. Generał Sosnkowski, przy którym zostało już tylko ok. 1500 oficerów oraz żołnierzy, postanowił obejść niemieckie pozycje i, przed nadejściem Rosjan, przekraść się do miasta. „Oficer, znający doskonale okolice, znalazł się w osobie podpułkownika Szymańskiego”[5] – pisał generał. Jednak w nocnym marszu pogubiono się, a rankiem większą część kolumny przechwycili Sowieci. Oficerowie trafili do obozu w Starobielsku, ich tragiczny los dopełnił się wiosną 1940 r. Szymański z czterema oficerami i dwunastoma strzelcami ukryli się w wąwozie, a wieczorem ruszyli w kierunku Lwowa. Ostrzeżeni przez napotkanego chłopa o zajęciu miasta przez Rosjan, postanowili zawrócić do Jarosławia, dokąd szczęśliwie dotarli po kliku dniach.

Szymański, nie chcąc poddać się do niemieckiej niewoli, ukrywał się w Jarosławiu, a od listopada w Krakowie. Na wieść o formowaniu armii polskiej we Francji postanowił do niej dołączyć i 5 grudnia 1939 r. wyruszył przez góry na Węgry, skąd przez Jugosławię i Włochy dojechał do Paryża, gdzie zameldował się 21 lutego 1940 r.

W Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie i Wschodzie

Od marca do czerwca 1940 r. był referentem wyszkolenia, a później zastępcą dyrektora nauk w Ośrodku Wyszkolenia Oficerów w Vichy. Wobec klęski Francji ośrodek ewakuowano do Wielkiej Brytanii. Jesienią 1940 r. Szymański został szefem oddziału III sztabu 7 Brygady Kadrowej Strzelców w Szkocji.

Wkrótce po napaści Niemiec na Związek Sowiecki i podpisaniu sowiecko-polskiej umowy, tzw. układu Sikorski-Majski, ppłk Szymański zgłosił się na ochotnika do formowanej w Sowietach polskiej armii. Miał przy tym nadzieję na odnalezienie rodziny zesłanej do Kazachstanu. Wyruszył 4 stycznia 1942 r. z grupą oficerów w długą i niebezpieczną podróż morską do Murmańska. Dalej pojechali koleją i pod koniec marca 1942 r. dotarli do dowództwa Armii Polskiej w uzbeckim Guzarze. Tam Szymański odnalazł wyczerpaną trudami zesłania żonę, minął się natomiast z synami, którzy odjechali z transportem żołnierzy przeznaczonych do lotnictwa w Wielkiej Brytanii. W styczniu 1943 r. – już po ewakuacji ze Związku Sowieckiego – ppłk Szymański został komendantem Ośrodka Wyszkolenia Piechoty w Armii Polskiej na Wschodzie, rozlokowanej

Legitymacja Krzyża Pamiątkowego Monte Cassino nr 1898 nadanego płk. Romanowi Szymańskiemu 1 marca 1945 r.

Rodzina Szymańskich w komplecie, siedzą Maria i Roman, stoją od lewej Tadeusz i Roman jr – obaj lotnicy RAF, 29 września 1944 r.

Krzyż Pamiątkowy Monte Cassino.

FOT. ZBIORY RODZINY SZYMAŃSKICH UDOSTĘPNIONE JERZEMU KIRSZAKOWI (5)

wówczas w Iraku. Latem wyłoniono z niej 2 Korpus Polski, który przesunięto z Iraku do Palestyny, a później do Egiptu. W grudniu 1943 r. został dowódcą 2 Brygady Strzelców Karpackich, która jeszcze w tym samym miesiącu odpłynęła do Włoch.

Na froncie włoskim

W kampanii włoskiej dowodził 2 Brygadą Strzelców Karpackich podczas jej zaprawy bojowej nad rzeką Sangro, następnie w bitwie pod Monte Cassino. Zadaniem brygady było zdobycie klasztoru. Pułkownik Szymański miał krytyczny stosunek do sposobu wykonania tego zadania – uważał, że nie powinno się nacierać czołowo na umocnionego nieprzyjaciela. W pisanym na gorąco dzienniku nie krył własnych wątpliwości i oceny sytuacji. Pod datą 12 maja zanotował: „Nie jestem optymistą, organizacja dowodzenia fałszywie ujęta", a dzień później dodawał: „Jestem przygnębiony niepowodzeniem 1. brygady. Tymczasem dowódca dywizji nie zdaje sobie sprawy z ogromnych trudności... Jedno tylko słyszę: honor, prestiż wojska polskiego, olbrzymie znaczenie polityczne i, a jakże, musi się zawiesić chorągiew na klasztorze przed Anglikami"[6].

Mimo krytycznej oceny planowania swoich przełożonych karny żołnierz zadanie wykonał. W przededniu bitwy wydał rozkaz do żołnierzy 2 BSK. Dokument ten był odzwierciedleniem charakteru pułkownika i jego wyznaniem wiary. Czytamy w nim: „Idziemy w pełen chwały bój, który okryje sławą Imię Polaka u wszystkich Narodów Świata i podkreśli najwymowniej słuszność Polskiej Sprawy! Nie wolno nam zawieść zaufania – jakie pokłada w nas Najwyższa Rzeczpospolita z Jej cierpiącym w niewoli Narodem! Nie wolno nam zawieść zaufania – jakie pokładają w nas Naczelny Wódz Polskich Sił Zbrojnych i Naczelne Dowództwo Sprzymierzonych! Nie wolno nam zawieść samych siebie! Dojdziemy wszędzie, kierowani łaską Królowej Korony Polskiej, gdzie śmiałym i rozważnym czynem postawimy krok naprzód. Nieśmy w boju godnie Sztandar Chluby Oręża Polskiego i zatknijmy Go w pełnej Jego Dumie na ruinach Klasztoru MONTE CASSINO! Naprzód – w Imię Boże!"[7].

Natarcie brygady rozpoczęło się rankiem 17 maja. „Bitwa rozpoczęta – napisał pułkownik. – Niestety w bardzo złych warunkach dla brygady, pomimo moich przedstawień i tłumaczeń. [...] Rozkaz wykonuję i wykonają go wszyscy"[8]. W toku zaciekłych walk okupionych ciężkimi stratami brygada zdobyła wzgórze 593. Na ruinach opuszczonego przez Niemców klasztoru 18 maja załopotała polska flaga. Pułkownik notował: „poszedłem naprzód na 593 na pole bitwy, zobaczyłem pole bitwy takie, którego dotychczas nie widziałem – cała droga natarcia usiana trupami [...]. Na miejscu sceny niesamowite – Polak spleciony z Niemcem, popalone ciała, jeden straszliwy obraz zmagań [...]. Jak poprzednio, twierdzę, że nie należało zdobywać ani klasztoru, ani 593, tylko Angelo, 575, a resztę izolować. [...] Pod 569 spotkałem gen. [Bronisława] D[ucha] [...] miał rzadką minę. Nadrabiał w słowach, przyznał, że to należało brać metr za metrem, a nie na hurra, tak jak kazali robić"[9].

Po zakończeniu walk o Monte Cassino i krótkim odpoczynku brał udział w dalszych działaniach, w tym w bitwie pod Ankoną. W trakcie tej akcji wyzwolono wiele wiosek i miasteczek włoskich. Oficer sztabu 2 BSK wspominał: „Dowódca brygady podaje swój zamiar. Decyzje są krótkie i pewne. [...] Ludność wita zwycięzców owacyjnie. Rzucają kwiaty, biją brawo, wynoszą gąsiory wina, leją wino na koła i na maski wozów: »Viva Polonia! Viva Polonia«"[10].

Podczas obchodów dwudziestopięciolecia bitwy gen. bryg. Roman Szymański na cmentarzu na Monte Cassino (wyjątkowo zorganizowane w okresie wakacyjnym, w dniu święta Wojska Polskiego), 15 sierpnia 1969 r.

W tym czasie dowódca 3 Dywizji Strzelców Karpackich wystawił wniosek o odznaczenie płk. Szymańskiego Orderem Virtuti Militari IV kl. W uzasadnieniu czytamy: „W boju pod Monte Cassino wykazał wielką wolę zwycięstwa, siłę i energię w wykonaniu tak trudnego zadania zdobycia wzg. 593, 569 i Mass Albaneta. Dodawał sił i otuchy w kryzysach walki swoim podkomendnym, a przykładem napawał ich siłą i wiarą w zwycięstwo. Bardzo dobrze dowodził brygadą i z wielką odwagą i spokojem znosił piekło ognia pod Monte Cassino. Bardzo dobrze również dowodził brygadą w akcji pościgowej nad Adriatykiem – wykazuje duży rozmach dowódczy i energię w niszczeniu wroga. [...] Doskonały dowódca brygady. Kandydat na dowódcę dywizji w niedługim czasie”[11]. Podczas dekoracji żołnierzy 2 Korpusu w Ankonie 31 lipca 1944 r. Naczelny Wódz gen. Sosnkowski osobiście odznaczył pułkownika Złotym Krzyżem Orderu Wojennego Virtuti Militari IV kl.

Dwa tygodnie później 14 sierpnia płk Szymański został odwołany do Wielkiej Brytanii, do dyspozycji Naczelnego Wodza.

Z powrotem w Wielkiej Brytanii

Pułkownik z nieukrywanym żalem żegnał się z 2 BSK, liczył bowiem, że będzie mu dane na jej czele wkroczyć do Polski. Pociechą była natomiast perspektywa szybkiego spotkania z synami, którzy po wyjeździe z sowieckiej Rosji służyli w RAF. Na początku września odpłynął wraz z żoną, od 1942 r. ochotniczką w Pomocniczej Służbie Kobiet, do Wielkiej Brytanii, gdzie pod koniec miesiąca został mianowany komendantem Wyższej Szkoły Wojennej w Szkocji. Na tym stanowisku pozostawał do 1946 r.

Po zakończeniu wojny Szymańscy zdecydowali się pozostać na emigracji. Wierzyli, że w najbliższych latach dojdzie do zbrojnego konfliktu między Sowietami a państwami Zachodu, co pozwoli im ponownie chwycić za broń i wywalczyć prawdziwą wolność Polski. Z czasem nadzieje te gasły. Pułkownik ukończył kurs księgowych, jednak z powodu niemożności znalezienia posady podjął pracę fizyczną. Trudnił się m.in. myciem wagonów kolejowych British Railways w Londynie.

Po rozłamie emigracji w 1954 r. opowiedział się po stronie konstytucyjnego prezydenta Augusta Zaleskiego. W 1955 r. został szefem Sztabu Głównego, a pięć lat później kanclerzem Kapituły Orderu Wojennego Virtuti Militari. Na czas nieobecności Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych gen. Michała Tokarzewskiego-Karaszewicza (1954–1964) pełnił funkcję jego zastępcy. W 1963 r. awansował do stopnia generała brygady. Doczekał się zjednoczenia polskiej emigracji politycznej, które nastąpiło w 1972 r., jednak z uwagi na wiek nie brał już udziału w pracach rządu i ośrodka wojskowego na uchodźstwie. W 1974 r. uczestniczył jeszcze w Londynie w uroczystych obchodach sześćdziesięciolecia wymarszu strzelców Józefa Piłsudskiego, w których wzięło udział już tylko dwóch żołnierzy Pierwszej Kompanii Kadrowej. W październiku tego roku nagle zmarła jego ukochana żona Maria. Z tęsknoty za nią zmarł dwa miesiące później, 22 grudnia 1974 r. Pogrzeb odbył się 3 stycznia 1975 r. na cmentarzu North Sheen w Londynie.

Podczas kilkudziesięcioletniej czynnej służby wojskowej Roman Szymański był oficerem niezwykle dbającym o podwładnych i lojalnym wobec przełożonych. W życiu codziennym, czy to na służbie, czy prywatnie, cechowała go skromność, szlachetność i małomówność. Był kochającym i troskliwym mężem i ojcem, ubóstwianym i kochanym przez żonę i synów oraz – już na emigracji – przez wnuki. Wierny przez całe życie złożonemu w młodości skautowemu przyrzeczeniu, stronił od alkoholu i nie palił tytoniu. Nieskazitelność prawego charakteru oraz zupełne oddanie Bogu i Ojczyźnie czyniły z gen. Szymańskiego żołnierza uosabiającego – rzadkie już w XX w. – cechy i cnoty średniowiecznego rycerza. ■

JERZY KIRSZAK doktor nauk humanistycznych, pracownik Instytutu Pamięci Narodowej i Wojskowego Biura Historycznego im. gen. broni Kazimierza Sosnkowskiego.

[1] J. Rogowski, *W szkole podoficerskiej Legionów w Kamieńsku*, cz. II, „Panteon Polski” 1929, nr 55, s. 5. [2] CAW, Roman Szymański, I.480.706, Wniosek na odznaczenie orderem Virtuti Militari, k. 5b. [3] CAW, Kol. Gen., Roman Szymański, I.480.706, Wniosek o odznaczenie orderem Virtuti Militari, 24 II 1921 r., k. 3b. [4] Za: J. Kirszak, *Bitwa, która mogła wpłynąć na przebieg kampanii (24. Dywizja Piechoty nad Dunajcem, 5–7 września*, w: *Kampania Polska '39. Militarne i polityczne aspekty z perspektywy siedemdziesięciolecia*, red. J. Kirszak i D. Koreś, Wrocław 2011, s. 215–224. [5] K. Sosnkowski, *Cieniom września*, Warszawa 1988, s. 209. [6] R. Szymański, *Dziennik z frontu włoskiego* (odpis), w zbiorach autora. [7] IPMS, KOL.218, płk Mieczysław Młotek, t. X.13, 3. DSK, Rozkaz do żołnierzy zgrupowania 2. BSK, b.p. [8] R. Szymański, *Dziennik...* [9] Tamże. [10] N. Sądek, *Pościg*, w: *Z księgi szarych dni. 2 B.S.K. 3 V 1942 – 3 V 1945*, red. C. Hanus, Rzym [1945], s. 65. [11] IPMS, A.XII.85/40/33, Wniosek dowódcy o odznaczenie płk. dypl. Romana Szymańskiego Orderem Wojennym Virtuti Militari IV kl., 19 VII 1944 r., k. 79.

Stosunki Polaków i Litwinów w latach 1941–1945 przechodziły od stanu ostrego konfliktu do próby porozumienia się.

JAROSŁAW WOŁKONOWSKI

OD KONFLIKTU

WILNO

Oddziały litewskie wkraczające do Wilna 28 października 1939 r. po przekazaniu im miasta na podstawie porozumienia niemiecko-sowieckiego. Oficjalny tekst przy zdjęciu: „Defilada wojska litewskiego po odzyskaniu od Polski Wilna 28 października 1939 roku”. Fot. Państwowe Centralne Archiwum Litwy

DO ZGODY

W okresie międzywojennym Polaków i Litwinów poróżniła kwestia granic obu państw. Jednak to nie spór o Wilno był jedynym i najważniejszym problemem w stosunkach polsko-litewskich. Litwini chcieli państwa o charakterze narodowym, które potrafi oprzeć się wpływom Polski i jej kulturze. Dlatego w latach międzywojennych stosunki polsko-litewskie były napięte, a politycy litewscy unikali wszelkich kontaktów z polskimi dyplomatami. W kraju zaś wprowadzili pewną polityczną narrację – przedstawiali Polskę jako krzywdziciela Litwy i nieprzyjaciela jeszcze większego niż Związek Sowiecki. Dopiero wiosną 1938 r. relacje sąsiedzkie uległy poprawie i nawiązano stosunki dyplomatyczne na skutek ultimatum stawianego przez stronę polską. Do wybuchu II wojny światowej kontakty między Polską a Litwą na wielu płaszczyznach się ożywiały, relacje polsko-litewskie zmierzały w kierunku normalizacji.

Pierwsze miesiące II wojny światowej

Sytuacja zaczęła zaognić się w sierpniu 1939 r. W pkt 1 tajnego protokołu dodatkowego do tzw. paktu Ribbentrop-Mołotow z 23 sierpnia 1939 r., będącego formalnie paktem o nieagresji pomiędzy III Rzeszą a Związkiem Socjalistycznych Republik Sowieckich, zapisano, że „obie strony uznają pretensje Litwy do terytorium Wilna”[1]. Wilno jest jedynym miastem wymienionym w tajnym protokole. Do dzisiaj nieznane są dyplomatyczne zabiegi strony litewskiej, które doprowadziły do takiego zapisu.

Gdy wojska niemieckie 1 września 1939 r. napadły na Polskę, strona niemiecka niejednokrotnie zachęcała rząd Litwy do uderzenia na wojska polskie, jednak Litwa zachowała neutralność. Kiedy w październiku 1939 r. Litwa otrzymała (zgodnie z tajnym protokołem Ribbentrop-Mołotow) Wilno i okoliczne tereny, nastąpił kolejny etap zaognienia się stosunków polsko-litewskich. Przerwało go ultimatum strony sowieckiej z czerwca 1940 r. połączone z wkroczeniem wojsk sowieckich przy braku oporu wojska litewskiego, z utratą niepodległości i aneksją Litwy przez Związek Sowiecki i utworzeniem z niej kolejnej republiki sowieckiej. Nacjonalizacja i masowe deportacje mieszkańców Litwy wywarły mocny negatywny wpływ na świadomość jej obywateli.

Dlatego też kiedy po 22 czerwca 1941 r. na Litwę wkroczyły wojska niemieckie, w wielu miejscowościach witane były one jak wyzwoliciele spod sowieckiego jarzma. Ku zaskoczeniu władz niemieckich powstał Tymczasowy Rząd Litwy, który wzniecił tzw. powstanie czerwcowe przeciw wojskom sowieckim i rozpoczął odtwarzanie administracji państwowej w miastach i w terenie. Rząd ten wystosował depeszę do Adolfa Hitlera, dziękując mu „za wyzwolenie

ŚWIĘCIANY

Polskie ofiary mordu dokonanego w Święcianach przez oddziały litewskie w służbie niemieckiej 20 maja 1942 r. W oddali widać cztery sylwetki oprawców. Oficjalny tekst przy zdjęciu: „Zakładnicy rozstrzelani przy drodze Święciańskiej za zabójstwo niemieckiego komendanta Beka”.
Fot. Państwowe Centralne Archiwum Litwy

Litwy spod jarzma Żydów i bolszewików”[2], a w sierpniu 1941 r. przyjął on akt prawny *O sytuacji Żydów na Litwie*, w którym znalazł się punkt o organizowaniu obozów i przesiedleniu do nich całej ludności żydowskiej[3]. Działania te miały na celu przypodobanie się władzom niemieckim i przekonanie ich o przyznaniu Tymczasowemu Rządowi Litwy chociażby minimalnych form państwowości. Nie było to jednak w planach niemieckich władz okupacyjnych, dlatego Tymczasowy Rząd Litwy został rozwiązany, a w jego miejsce Niemcy powołali instytucję Radców Generalnych.

W lipcu 1941 r. rozpoczęły się na Litwie masowe rozstrzeliwania cywilnej ludności żydowskiej, którą oskarżono o to, że była ostoją sowieckiej władzy okupacyjnej. Wzięło w nich udział wielu Litwinów: Niemcy wydawali rozkazy, zaś większość akcji mordowania ludności żydowskiej dokonano rękoma Litwinów, którzy wierzyli, że Niemcy pozwolą im na odbudowę w ograniczonej kadłubowej formie państwowość litewską.

Polskie podziemie na Wileńszczyźnie...

...rozpoczęło działalność późną jesienią 1939 r., kiedy została przeprowadzona akcja scaleniowa, która pozwoliła z ponad 40 różnych organizacji konspiracyjnych zbudować Okręg Wileński Związku Walki Zbrojnej. Latem 1941 r. wileński ZWZ był w stadium odbudowy struktur dowódczych, które poważnie zniszczyły wiosenne aresztowania i czerwcowe deportacje dokonywane przez NKWD.

Tuż po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej w czerwcu 1941 r. nastąpiły masowe akcje mordowania cywilów żydowskiego pochodzenia, którzy byli obywatelami II RP. Wileńskie podziemie niepodległościowe nie było w stanie w tym okresie podjąć kontrakcji zbrojnej mającej na celu powstrzymanie masowego mordowania obywateli polskich żydowskiego pochodzenia, gdyż brakowało przeszkolonych oddziałów, jak i broni oraz amunicji. Podziemie polskie informowało władze naczelne Polskiego Państwa Podziemnego o masowym mordowaniu Żydów. Komendant ZWZ gen. Stefan Rowecki 1 lutego 1942 r. w meldunku nr 105 o położeniu na Wschodzie tak przedstawił sytuację: „Litwini nadal współpracują z Niemcami, mordują resztki Żydów i szykanują Polaków”[4]. Społeczeństwo polskie, duchowieństwo i podziemie wileńskie rozwinęło akcję niesienia pomocy ocalałym Żydom na Wileńszczyźnie. Wśród Litwinów zdarzyły się tylko pojedyncze wypadki ratowania Żydów.

Terror niemiecko-litewski

Akcje mordowania dotyczyły początkowo cywilnej ludności żydowskiej, ale już po kilku tygodniach rozpoczęły się prześladowania Polaków. We wrześniu 1941 r. Litwini zwołali zebranie zwolnionych z pracy polskich urzędników i wydali ich Niemcom jako komunistów – Polacy ci nie byli komunistami. Z więzienia na Łukiszkach w Wilnie 27 września wywieziono 320 Polaków, by ich rozstrzelać. Szybko utworzono litewską policję bezpieczeństwa (Saugumo policija), która pracowała dla gestapo. Pod koniec 1941 r. w Wilnie i innych miejscowościach miały miejsce ekscesy antypolskie spowodowane przez Litwinów. W styczniu 1942 r. z rozkazu dowódcy policji miasta Wilna Iškauskasa utworzono obóz koncentracyjny dla polskich księży w miejscowości Szałtupie (lit. Šaltupis), 22 km od Kowna. Na przełomie lutego i marca 1942 r. aresztowano i deportowano do Mariampola metropolitę Romualda Jałbrzykowskiego. Gestapo i Sauguma 3 marca 1942 r. osadziły w więzieniu 14 wykładowców i ok. 70 wychowanków seminarium duchownego w Wilnie. W kwietniu 1942 r. zamknięto wszystkie wileńskie klasztory, a zakonnice i zakonników (ogółem 253 osoby) aresztowano i osadzono na Łukiszkach, później zaś wywieziono do obozów lub na roboty przymusowe.

Radca pracy i spraw socjalnych Generalnego Komisariatu Litwy Juozas Paukštis 6 maja 1942 r. wydał zarządzenie o rejestracji do przymusowej pracy w przemyśle wojennym na terytorium Rzeszy wszystkich mężczyzn w wieku od 17 do 45 lat i niezamężnych kobiet od lat 17 do 40. Z wymaganych w maju 1942 r. 30 tys. osób na roboty przymusowe do Rzeszy z Generalnego Komisariatu Litwy – 22 tys. stanowili Polacy z Wileńszczyzny.

Na początku maja 1942 r. odbyły się masowe mordy Polaków w Ponarach – zbrodni dokonał oddział specjalny (Ypatingasis būrys, dowódca untersturmführer Martin Weiss), składający się z ochotników litewskich i podporządkowany niemieckiej policji bezpieczeństwa: 5 maja stracono 50 osób z więzienia na Łukiszkach, 6 maja zaś został rozstrzelany ks. Romuald Świrkowski, członek Rady Wojewódzkiej Okręgu Wileńskiego ZWZ. Komenda Okręgu

1. Henryk Paszkiewicz – zamordowany w Ponarach 3 grudnia 1942 r. 2. Jerzy Cebrowski – jedna z ofiar litewskich strzelców w służbie niemieckiej, zamordowany nad dołami w Ponarach 3 grudnia 1942 r. 3. Maria Szapska z d. Norejko – zamordowana w Ponarach 15 maja 1943 r. – wraz z mężem Witoldem Szapskim zmarłym w więzieniu w Łukiszkach. 4. Zofia Prokopowicz – zamordowana przez strzelców litewskich w Ponarach. 5. Władysława Rusinka – zamordowana w Ponarach wiosną 1943 r.

FOT. ARCHIWUM INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ (5)

Wileńskiego meldowała, że od 9 do 17 maja w Ponarach rozstrzelano „około 300 więźniów, prawie wyłącznie Polaków, w tym 80 uczniów Gimnazjum im. Mickiewicza, oraz 5 uczennic”[5]. Była to młodzież wileńska należąca do organizacji Związek Wolnych Polaków skazana na karę śmierci za udział w podziemnej organizacji polskiej, która weszła w struktury polskiego podziemia niepodległościowego.

Sowiecka partyzantka i litewski odwet

Wiosną 1942 r. na Wileńszczyźnie pojawiły się oddziały partyzantki sowieckiej. Oddział Fiodora Markowa 20 maja 1942 r. przeprowadził jedną z pierwszych akcji w rejonie Łyntup na drodze do Święcian. Urządzono zasadzkę na samochód osobowy. Podczas akcji zginęli trzej niemieccy oficerowie i została ranna tłumaczka Eleonora Rakowska, jadąca w tym samym samochodzie. Kilka godzin później wojsko litewskie apsaugos būriai (oddziały ochronne) i gestapo urządziły pogrom Polaków w Starych Święcianach, zabijając w mieszkaniach i na ulicach 200 osób, przeważnie wywodzących się z inteligencji polskiej, w tym dwóch księży polskich – ks. Bolesława Bazewicza i ks. Jana Naumowicza. Następnie – według zawczasu przygotowanych list – zarządzono aresztowanie ok. 1 tys. osób, przeważnie Polaków. Po doprowadzeniu 20 i 21 maja do Łyntup Starych i Nowych Święcian aresztowani zostali zamordowani. „We wszystkich wypadkach morderstw dokonywali Litwini (policja, wojsko i straż leśna). [...] Komunikat oficjalny podany w prasie opiewa na 400 osób i jest niezgodny z prawdą. Niemcy jakoby wstrzymali egzekucję, jednak Litwini nadal stosują terror i wystrzeliwują pojedynczo”[6]. W związku z zabójstwem trzech oficerów niemieckich koło Łyntup kolejnych 150 polskich więźniów rozstrzelano w Wilnie.

Reakcja wileńskiego podziemia

Po wydarzeniach święciańskich, wileńskie podziemie niepodległościowe wysłało do Komendy Głównej Armii Krajowej w Warszawie i do Rządu RP na Uchodźstwie w Londynie meldunek. Przedstawiono w nim potworną sytuację Polaków na Wileńszczyźnie. W załączniku nr 4 *Gwałty litewskie* przedstawiono akcje litewskie wobec polskiego społeczeństwa. Dowództwo obawiało się, że czwarta zima wojenna wyniszczy ludność polską na ziemiach północno-wschodnich Rzeczypospolitej. Dlatego zwracało się do Rządu RP w Londynie: „Jesteśmy w przeddzień dalszych masowych rzezi na modłę Święcian [...]. Wszystkie warstwy i kierunki polityczne myślą i czują jednakowo: nienawidzą nas. Taktyka jest zawsze ta sama i choć wierzą, że Niemcy wojnę przegrają, jednak wysługują się im jak mogą, pełniąc w stosunku do nas rolę katów. [...] Do Litwy trzeba przemawiać siłą i dlatego stawiamy wniosek, by Rząd Polski wyjednał u Rządów Sprzymierzonych zagrożenie odpowiedzialnością za popełnione zbrodnie i wysługiwanie się Niemcom. Wymordowanie Żydów, Święciany, Olkieniki i masowe rozstrzeliwanie Polaków w Ponarach bez sądów (setki młodzieży szkolnej, dziewcząt i księży) – są wystarczającym dowodem nikczemnej roli Litwinów. Zbombardowanie doszczętne rdzennie litewskich miejscowości wraz z[e] [z]rzuceniem ulotek, że jest to przestroga i odwet za popełnione zbrodnie i sprzymierzenie się z Niemcami”[7].

Wychodząc z tego założenia, podziemie wileńskie zwróciło się z wnioskiem do KG AK i Rządu Polskiego na Uchodźstwie o utworzenie całkowicie samodzielnych polskich oddziałów partyzanckich podległych krajowym władzom wojskowym. W końcowej części raportu napisano: „My nie mamy już prawa łudzić się, ▶

FOT. ARCHIWUM INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ

Oddział Rozpoznawczy Komendanta Okręgu Wileńskiego. Przed frontem jednostki jej dowódca por. Władysław Kitowski „Grom" (konno z pieszym żołnierzem przy boku konia). Po lewej stronie 1 pluton ustawiony w dwuszeregu i uzbrojony w lance z proporczykami. Przed front pododdziału wysunięty por. Hieronim Piotrowski „Jur". Po prawej drugi pluton (bez lanc). Przed frontem wysunięty por. Jerzy Urbankiewicz „Zwada".

FOT. ZBIORY PAWŁA ROKICKIEGO

Żołnierze V Wileńskiej Brygady Armii Krajowej podczas postoju w Bujwidzach. W środku stoją m.in.: plut. „Kitek" (bez czapki, z pepeszą), prawdopodobnie kpr. Zdzisław Badocha „Żelazny" (obejmujący ramieniem „Kitka"), N.N., N.N., kpr. Jerzy Lejkowski „Szpagat" i kpr. Henryk Wieliczko „Lufa" (z latarką przypiętą do kieszeni kurtki); pierwszy z lewej klęczy N.N. „Szczupak".

FOT. PAŃSTWOWE CENTRALNE ARCHIWUM LITWY

Członkowie jednego z oddziałów partyzanckich operujących na Wileńszczyźnie, lipiec 1944 r.

bo mamy zbyt wiele doświadczenia, by patrzeć na nich przez pryzmat Trylogii"[8].

Odpowiedź władz RP

Odpowiedzi na ten raport udzielił w sierpniu 1942 r. komendant główny AK gen. Stefan Rowecki „Grot": „Wasze wnioski nie odpowiadają położeniu ogólnemu i możliwościom"[9]. Zapewniał, że władze polskie będą jak najdokładniej informować rządy Anglosasów o postępowaniu Litwinów i domagać się pewnych kroków politycznych. „Nie wolno też liczyć na odwetowe bombardowanie miejscowości litewskich nie tylko ze względu na zasadniczą postawę Anglosasów, ale ze względów technicznych. Oceńcie, czy gdyby wyczynu dokonały eskadry polskie, nie byłoby to hasłem do tym szybszego pogromu Polaków. [...] Sprawy utworzenia obecnie polskich oddziałów partyzanckich na Wileńszczyźnie rozważam. Czy podjęcie dziś partyzantki nie przyśpieszyłoby procesu tępienia polskości, zwłaszcza przez Litwinów? (mieliby okazję). [...] Dziś jedynym możliwym sposobem oddziaływania na Litwinów jest uświadomienie ich, że z Polakami współżyć muszą i że jeśli nie zaprzestaną swej szaleńczej, a w stosunku do Niemców służalczej polityki, to doczekają się otwartej walki z Polakami, w której zostaną zniszczeni ponad wszelką wątpliwość. W tym duchu działajcie przez jakichś rozsądniejszych Litwinów, wydawajcie ulotki itp."[10]

Jesienią 1942 r. dotarł do rządu RP w Londynie raport o wypadkach święciańskich. Premier Władysław Sikorski natychmiast zareagował: „Z obecnego postępowania Litwinów Rząd Polski wyciągnie konsekwencje jak najostrzejsze w odpowiedniej chwili, jeżeli czynniki litewskie na emigracji nie zdołają spowodować zmiany nastawienia u siebie w kraju, zmuszeni będziemy uznać dalsze prowadzenie z nimi rozmów za niecelowe"[11]. Komisja międzyministerialna do spraw litewskich 10 listopada 1942 r. podjęła uchwały, w których stwierdziła: „Okupacja niemiecka zezwoliła z kolei pewnej ilości działaczy politycznych litewskich przyłączyć się bez skrupułów do metod antyhumanitarnych i nieetycznych, stosowanych przez hitlerowców. Społeczeń-

OBWIESZCZENIE

2

1. Jeńcy litewscy z oddziałów Povilasa Plechavičiusa w rękach wileńskiej Armii Krajowej po bitwie pod Murowaną Oszmianką rozmundurowani do bielizny.

2. Obwieszczenie Aleksandra Krzyżanowskiego „Wilka” w związku ze zbrodniami oddziałów litewskich.

3. Płk Aleksander Krzyżanowski „Wilk” dokonujący inspekcji oddziałów III Brygady Wileńskiej.
4. Aleksander Krzyżanowski „Wilk”, dowódca wileńskiej Armii Krajowej, jako major baterii 15 Wielkopolskiego Pułku Artylerii Polowej.

stwo litewskie nie zaprotestowało przeciw temu żadnym uchwytnym odruchem. [...] Fakty powyższe wykazują, że liczni Litwini w ręku niemieckim i sowieckim dają się używać do współdziałania w zbrodniach międzynarodowych”[12].

Takie stanowisko władz RP dało pewne efekty. Na początku 1943 r. można było zauważyć wśród Litwinów nastroje niepewności i utratę wiary w niemieckie zwycięstwo. Nastroje niepewności spowodowały zaprzestanie mordów na Polakach i antypolskich ekscesów. Dużą rolę w tej sprawie odegrały ostrzeżenia z Londynu, które nastąpiły na żądanie rządu RP. Nie oznaczało to jednak zbliżenia społeczeństwa litewskiego do polskiego. W grudniu 1943 r. represje dotknęły polskie dzieci uczące się w szkołach litewskich. Polskie szkoły na Wileńszczyźnie zamknięto zaraz po wkroczeniu Niemców na te tereny. Część z nich zmieniono na litewskie, resztę zlikwidowano. Polskie dzieci uczęszczały do szkół z wykładowym językiem litewskim. W listopadzie – grudniu 1943 r. Zarząd Oświaty Generalnego Okręgu Litwa wydał rozporządzenie o wydaleniu dzieci narodowości polskiej z tych szkół.

Trudne próby rozmów

Polskie podziemie niepodległościowe na Wileńszczyźnie poszukiwało kontaktu z niepodległościowymi organizacjami litewskimi. Do pierwszych rozmów doszło 30 czerwca 1942 r. Przedstawiciel strony litewskiej zaznaczył, że ich dążenie do zawarcia porozumienia jest szczere. Podkreślił, że obóz demokratyczny Litwy zawsze stał na stanowisku zawarcia porozumienia z Polską[13]. Dalej mówca stwierdził, że Litwini zawiedli się na Sowietach i na Niemcach. Z jego słów wynikało, że Litwini panicznie boją się niewoli sowieckiej. Na zakończenie spotkania strona polska zaproponowała, aby strona litewska przygotowała projekt porozumienia polsko-litewskiego i przedstawiła go w czasie kolejnych rozmów. Następne spotkanie odbyło się 1 listopada 1942 r. Ze strony litewskiej uczestniczyli w nim przedstawiciel Litewskiej Armii Wolności (Lietuvos Laisvės Armija, LLA) i dwaj przedstawiciele stronnictw politycznych. Strona polska była reprezentowana przez komendanta Okręgu Wileńskiego ppłk. Aleksandra Krzyżanowskiego „Wilka” oraz Jerzego Dobrzańskiego „Macieja”. Rozmowy toczyły się w dość przyjaznej atmosferze, jednak żadnych uchwał nie podjęto, gdyż przedstawiciele strony litewskiej domagali się złożenia przez stronę polską deklaracji w sprawie Wilna. Komendant

FOT. ARCHIWUM AKT NOWYCH (1), WOJSKOWE BIURO HISTORYCZNE (1), ARCHIWUM IPN (2)

Okręgu Wileńskiego oświadczył, że „obie strony nie są kompetentne powziąć jakichkolwiek decyzji przesądzających sprawę przynależności Wilna [...], a obecnie dążyć do złagodzenia tarć i animozji i znaleźć wspólny język i współdziałanie w walce o wspólne wyzwolenie”[14].

Po upływie dwóch tygodni odbyło się następne spotkanie, na którym przedstawiciel strony litewskiej wręczył ppłk. Krzyżanowskiemu memoriał sporządzony w formie noty dyplomatycznej w języku francuskim. Spotkanie przeciągnęło się do późnej nocy i przebiegało w tak przyjaznej atmosferze, że ppłk Krzyżanowski „idąc pod ochroną do swojej kryjówki na nocleg” zabrał ze sobą przedstawiciela strony litewskiej[15].

Była pewna zbieżność interesów Polaków i Litwinów – mianowicie Rząd RP na Uchodźstwie niejednokrotnie występował o niepodległość Litwy, ale też Łotwy i Estonii, gdyż występowanie o cały region z zachowaniem stanu sprzed wojny (niepodległych państw bałtyckich) było mocniejszym atutem, niż walka dyplomatyczna o suwerenność jednego kraju: Polski. Należy jednak przy tym odnotować, że pozycja Litwy wśród aliantów była nijaka, nikt bowiem ze sprzymierzonych, poza rządem RP w Londynie, interesów Litwy (jak również Łotwy i Estonii) nie bronił – te kraje bałtyckie nie były na liście koalicji antyhitlerowskiej.

Wiosną 1943 r. odbyło się kolejne spotkanie. Strona litewska narzekała, że podziemie polskie traktuje administrację litewską równie wrogo jak okupanta niemieckiego. Strona polska na zarzuty te odpowiedziała, że litewska policja i Sauguma stały się instrumentem w rękach hitlerowców. Po dwóch godzinach obie strony rozeszły się bez żadnych uzgodnień.

Kolejna propozycja ze strony litewskiej nastąpiła w październiku 1943 r. w Wilnie. Przedstawiciel Naczelnego Komitetu Narodowego Litwy wystąpił z propozycją rozmów. Według relacji strony polskiej, stanowisko delegata litewskiego było następujące: „Spór o Wilno gotowi odłożyć za cenę pomocy przeciw bolszewikom, ustępujących Niemców nie chcą atakować, ale ogłosić Rząd Narodowy, mobilizację i demonstrację zbrojną przeciw Sowietom. Chcą porozumienia wojskowego. Po demonstracji zamierzają wycofać się do Prus Wschodnich lub Szwecji. Apel do świata – tajnych komitetów narodowych Litwy, Łotwy i Estonii – przeciw Rosji miał być ogłoszony w Szwecji”[16].

Mimo dobrych chęci obu stron – nie poruszano sprawy Wilna, okazywano wzajemną życzliwość podczas rozmów. Układające się strony nie doszły do porozumienia z braku wspólnego stanowiska między innymi w stosunku do Niemiec. W tym okresie różnice zdań między stroną litewską a polską były zbyt duże, by osiągnąć porozumienie.

Polsko-litewskie starcie zbrojne

W okresie od czerwca 1943 r. do uderzenia na Wilno (operacja „Ostra Brama”) na początku lipca 1944 r. wileńskie oddziały AK przeprowadziły ogółem 217 akcji zbrojnych, z których 67 były skierowane przeciwko oddziałom litewskim, podlegającym niemieckim władzom okupacyjnym. Największym starciem polsko-litewskim była bitwa pod Murowaną Oszmianką, która rozegrała się w nocy z 12 na 13 maja 1944 r.

Na początku 1944 r. Niemcy z braku własnych sił podjęli inicjatywę zaangażowania do akcji oczyszczenia terenu z partyzantki polskiej i sowieckiej nowych oddziałów litewskich. Niemcy powołali Litewski Korpus Posiłkowy (Lietuvos Vietinė Rinktinė). Decyzja o tym zapadła w wyniku rokowań przeprowadzonych pomiędzy władzami niemieckimi a litewską Radą Generalną. Komendantem tej formacji Niemcy mianowali gen. Povilasa Plechavičiusa, który 16 lutego 1944 r. – w dzień święta narodowego Litwy – wystąpił z apelem do społeczeństwa litewskiego, wzywając ludzi pod broń do walki z bolszewizmem. Na ten apel zgłosiło się ok. 18 tys. młodych Litwinów. Złożyli oni przysięgę, że będą bronić swej ziemi pod dowództwem wodza III Rzeszy Adolfa Hitlera, otrzymali broń, amunicję, mundury, żołd i wyżywienie oraz rozkazy od niemieckich władz okupacyjnych.

Wiosną 1944 r. na Wileńszczyźnie pojawiły się pierwsze bataliony Litewskiego Korpusu Posiłkowego. Doszło do wypadków mordowania cywilnej ludności przez żołnierzy litewskich. Między innymi we wsiach Adamowszczyzna i Sieńkowszczyzna zamordowali oni ośmiu mieszkańców narodowości polskiej i białoruskiej. Spalili sporo domów, pobili wielu mieszkańców, w tym kobiety i dzieci. Aby uniknąć walk 13 i 22 kwietnia 1944 r. doszło do spotkań pomiędzy delegatem Plechavičiusa a przedstawicielem Wileńskiego Okręgu AK. Delegat litewski zażądał jako warunku do zawieszenia broni wcielenia partyzantki polskiej do oddziałów litewskich pod dowództwem niemieckim; w wypadku nieprzyjęcia tego warunku domagał się całkowitego usunięcia oddziałów Wojska Polskiego z Wileńszczyzny. Strona polska warunków nie przyjęła i zgłosiła następujące propozycje: „1. ustalenie tymczasowego paktu nieagresji pomiędzy oddziałami polskimi i oddziałami Pana Generała, polegającego na unikaniu walk i wzajemnego tolerowania się w terenie, ażeby nie dopuścić do przelewu krwi polskiej i litewskiej gwoli interesom Niemiec i Rosji [...]. 3. stworzenie porozumiewawczej komisji polsko-litewskiej, zadaniem której byłoby likwidowanie wszelkich nieporozumień i incydentów”[17]. Tych propozycji nie przyjęła z kolei strona litewska i nastąpiło zbrojne starcie. W decydującej bitwie między batalionem litewskim liczącym ok. 750 żołnierzy a oddziałami Okręgu Wileńskiego AK (łącznie ok. 600 żołnierzy polskich) 12–13 maja 1944 r. w miejscowości Murowana Oszmianka Litwini zostali rozbici. Straty po stronie przeciwnika wyniosły ok. 50 zabitych i ponad 60 rannych, po polskiej zaś: 12 żołnierzy AK, a ponad 25 było rannych. Kilkuset litewskich żołnierzy uciekło z pola walki. Około 400 żołnierzy litewskich trafiło do niewoli polskiej. Jeńców rozebrano do bielizny i odprowadzo-

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Uroczystość przekazania Polskim Siłom Powietrznym sztandaru ofiarowanego przez społeczeństwo okupowanego Wilna na lotnisku Swinderby 16 lipca 1941 r. Gen. Lucjan Żeligowski (w cywilu) przekazuje sztandar gen. Władysławowi Sikorskiemu.

no pod konwojem żołnierzy polskich, aby nie trafili do niewoli partyzantki sowieckiej, w trzech kolumnach do Wilna, Jaszun i Oszmiany, gdzie zostali zwolnieni. Po tych wypadkach 15 maja 1944 r. „Wilk" wysłał list do gen. Plechavičiusa z ostrzeżeniem: „Jeżeli strona litewska będzie szukała odwetu na bezbronnej ludności, będzie mordowała kobiety, dzieci i starców, jeńców i aresztowanych, to strona polska zapowiada odwet bezwzględny aż do przerzucenia oddziałów na teren Litwy [...]. Zwracam się do Pana Generała, jako do Litwina i człowieka odpowiedzialnego za los swego społeczeństwa i Litwy: albo wojna bezwzględna i bezpardonowa, albo idee Niepodległej Polski i Niepodległej Litwy"[18]. List ten nie dotarł do gen. Plechavičiusa, gdyż został on aresztowany przez Niemców podczas rozbrojenia i reorganizacji litewskiego korpusu posiłkowego przez niemieckie władze okupacyjne. Do końca okupacji niemieckiej – do lipca 1944 r. – na Wileńszczyźnie nie doszło do porozumienia polsko-litewskiego.

Lokalne polsko-litewskie porozumienie

Po wycofaniu się wojsk niemieckich z Wileńszczyzny pojawiła się możliwość zawarcia porozumienia polsko-litewskiego. Cztery polskie oddziały, liczące ponad 100 osób, spotkały się z 16 marca 1945 r. z liczącym ok. 80 osób oddziałem litewskim LLA nieopodal Olkiennik. Ze strony polskiej przybyły oddziały: Michała Tietiańca „Myśliwego", Władysława Janczewskiego „Lalusia", Władysława Frasunienki „Filara" i Czesława Stecewicza „Śmiałego". Odbyła się narada dowódców, na której zawarto lokalne porozumienie pomiędzy oddziałami polskimi a litewskim o walce przeciw władzy sowieckiej. Obie strony zobowiązały się nie napadać jedna na drugą. Uzgodniono, że w wypadku obław sowieckich strony będą informować i wspierać siebie. Jak wynika z opracowań litewskich, w końcu lutego 1945 r. oddział AK pod dowództwem Władysława Frasunienki udzielił zbrojnego wsparcia litewskiemu partyzanckiemu oddziałowi, który walczył z oddziałem sowieckim nieopodal wsi Misztuny w regionie Olkiennik – we wspólnej walce z oddziałami NKWD zginęło wtedy 3 żołnierzy litewskich z oddziału A. Kaukolisa „Wiosny" i dwóch żołnierzy AK, których pochowano na okolicznych wiejskich cmentarzach[19].

Politycy litewscy skłonni byli w latach wojny usprawiedliwiać stanowisko, które zajęli w czasie II wojny światowej, konfliktem z Polakami o Wilno. Jest to pewna manipulacja opinią publiczną, mająca na celu wybielenia zbrodniczej działalności formacji litewskich wymierzonej w Polaków podczas okupacji niemieckiej. Estończycy i Łotysze, sąsiedzi Litwinów, nie mieli żadnych zatargów z Polakami w okresie międzywojennym, niemniej przyjęli również proniemiecką opcję. To był rażący błąd bałtyckich polityków, którzy wciągnęli swe narody w niemiecką maszynę zbrodni. Aleksandras Lileikis, dowódca litewskiej Saugumy na okręg wileński – sądzony za zbrodnie w latach II wojny światowej – otwarcie stwierdził podczas rozprawy w 1996 r., że zwalczał Armię Krajową[20]. ■

JAROSŁAW WOŁKONOWSKI doktor habilitowany. W Instytucie Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego obronił pracę doktorską *Okręg Wileński Związku Walki Zbrojnej-Armii Krajowej w latach 1940–1945*. W 2005 r. habilitował się w Polskiej Akademii Nauk na temat *Stosunki polsko-żydowskie w Wilnie i na Wileńszczyźnie 1919–1939*. Od 2006 r. profesor nadzwyczajny Uniwersytetu w Białymstoku. Autor wielu artykułów o polskim podziemiu niepodległościowym na Wileńszczyźnie.

[1] J. Wołkonowski, *Okręg Wileński Związku Walki Zbrojnej – Armii Krajowej w latach 1939--1945*, Warszawa 1996, s. 9. [2] J. Vildžiūnas, *Sunki kelionė Rūtos Vanagaitės „Mūsiškių" kontekstai* https://www.7md.lt/knygos/2016-05-06/Sunki-kelione [dostęp: 10.02.2019]. A. Stoliarovas, *Lietuvių dalyvavimo holokauste vertinimas egzilio galvojimuose*, http://www.iseivijosinstitutas.lt/var/uploads/file/Referatas-stoliarovo_2007.pdf [dostęp: 10.02.2019]; [3] *Lietuvos laikinoji vyriausybė: posėdžių protokolai, 1941 m. birželio 24 – rugpjūčio 4 d.*, red. Anušauskas A., *Lietuvos gyventojų genocido ir rezistencijos tyrimo centras*, Vilnius 2001, s. 135-137, http://www.šaltiniai.info/files/istorija/II00/Laikinosios_vyriausybės_dokumentai_žydų_klausimu.II0902.pdf [dostęp: 10.02.2019]. [4] Armia Krajowa w dokumentach, t. II, Londyn 1973, s. 195. [5] Instytut Polski i Muzeum gen. Sikorskiego w Londynie (dalej IPSM), PRM-K 102, 50b, s. 2. [6] IPSM, PRM 87, Wypadki Święciańskie i Olkiennickie, s. 29. [7] IPSM, PRM 87, Raport nr 1 o sytuacji społeczeństwa polskiego pod okupacją niemiecko-litewską na terenie Generalnego Okręgu Litwy (Ostland), s. 25-27. [8] Studium Polski Podziemnej w Londynie (dalej SPP), 3.1.1.2., Raporty i meldunki 1942, Meldunek Nr 145 do Naczelnego Wodza od Kaliny, Raport nr 1 o sytuacji społeczeństwa polskiego pod okupacją niemiecko-litewską na terenie Generalnego Okręgu Litwy (Ostland). [9] IPSM, PRM 87, Załącznik nr 2, s. 30. [10] Tamże. [11] IPSM, PRM 87, Pismo Premiera do Ministra Ładosia. [12] IPSM, PRM-K 102/50b, s. 125. [13] SPP, B. I , Wpływ nr 3794; J. Dobrzański, Relacja dotycząca zorganizowania i działalności Biura Informacji i Propagandy Wileńskiego Okręgu A. K. podczas okupacji niemieckiej i stosunki w tym okręgu ze stronnictwami politycznymi, s. 90–91. [14] Tamże, s. 95–96. [15] J. Wołkonowski, *Okręg Wileński...*, s. 99–101. [16] IPSM, PRM -L56, L. Dz. 6698/tjn43. [17] R. Korab-Żebryk, *Biała księga w obronie Armii Krajowej na Wileńszczyźnie*, Lublin 1991, s. 112. [18] Tamże, s. 113. [19] M. Pocius, *Antisovietnis ginkluotas pasipriešinimas Valkininkų krašte 1944-1949 metais*, http://www.llt.lt/pdf/valkininkai/valkininkai-antisov.pdf [dostęp: 10.02.2019]. [20] F. Kauzonas, *Powiesił ili otpustił*, Respublika (wyd. rosyjskie), 30 czerwca 1996 r.

PŁONĄCA GRANICA

Żołnierz KOP podczas patrolu na granicy ze Związkiem Sowieckim.

Konflikt polsko-litewski był w pierwszej połowie XX w. ewenementem na całą Europę. Tym bardziej że Polacy i Litwini przez kilka wieków tworzyli jedno państwo – Rzeczpospolitą Obojga Narodów.

KRZYSZTOF TARKA

Wczesnym rankiem 11 marca 1938 r. Stanisław Wolanin (dowódca) i Stanisław Serafin, żołnierze Korpusu Ochrony Pogranicza, pełnili służbę na granicy polsko-litewskiej w okolicy strażnicy Wierszeradówka na północnych obrzeżach Puszczy Grodzieńskiej. Patrolując rano okolicę, około godz. 5 zauważyli, że nieznany im człowiek przedziera się w głąb terytorium Polski. Wolanin wezwał go do zatrzymania, gdy ten nie usłuchał, dowódca oddał do niego kilka strzałów i zaczął za nim biec. Pościg okazał się bezskuteczny. Uciekinier skrył się w gęstym lesie. Później zatrzymał go jednak inny patrol KOP. Tajemniczym osobnikiem, nielegalnie przekraczającym granicę okazał się mieszkaniec pobliskiej wsi, Litwin, który był ważnym agentem wywiadu litewskiego.

Wolanin i Serafin ponownie rozdzielili się, aby dokładnie przeszukać pobliski teren. W pewnym momencie, gdy Wolanin był na skraju lasu, usłyszał dwa strzały. Wybiegł na pas drogi granicznej i zobaczył wzywającego pomocy Serafina, który leżał już kilka metrów po stronie litewskiej. Zanim dobiegł do kolegi, dwóch policjantów litewskich odciągnęło rannego jeszcze kilka metrów w głąb terytorium Litwy. Wolanin próbował podejść do Serafina, ale został ostrzelany przez Litwinów. Chwilę później, zaalarmowany strzałami, na miejscu zjawił się polski dowódca strażnicy z kilkuosobowym patrolem KOP. Domagał się oddania rannego żołnierza. Ponieważ wokół stało wielu uzbrojonych policjantów litewskich, nie ryzykował odbicia Serafina siłą. Litwini wsadzili jednak Polaka na wóz i wywieźli go ze strefy nadgranicznej. Na miejscu zdarzenia nie udzielili rannemu żadnej pomocy. Żołnierze KOP przerzucili nawet przez granicę dwa opatrunki sanitarne, z których policjanci litewscy jednak nie skorzystali.

Litewska wersja zajścia na granicy różniła się od polskiej. Policjant litewski patrolujący granicę zeznał w śledztwie, że zauważył kryjącego się w krzakach człowieka, który wystrzelił w jego stronę. Litwin odpowiedział ogniem z karabinu. Ze strony polskiej padły kolejne strzały. Jak się później okazało, w strzelaninie ranny został żołnierz KOP. Po przewiezieniu rannego Polaka do pobliskiej miejscowości policjanci litewscy założyli mu opatrunek i wezwali miejscowego felczera. Trzy godziny od zajścia przybył też lekarz powiatowy. Pomoc medyczna udzielona Serafinowi była jednak spóźniona i niewystarczająca. Żołnierz KOP zmarł w wyniku poniesionych ran. Dziś nie sposób rozstrzygnąć, kto strzelił pierwszy i gdzie dokładnie był Serafin w chwili rozpoczęcia zajścia.

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Niespokojna granica

Taki incydent miał miejsce nie po raz pierwszy. Według danych litewskich, w ciągu 10 lat w różnych zajściach na granicy zginęło siedmiu policjantów litewskich, a kilkunastu zostało rannych. Tym razem przypadkowa strzelanina miała jednak znacznie poważniejsze konsekwencje, choć Litwini nie chcieli nadawać sprawie wysokiej rangi. Dążąc do polubownego załatwienia sprawy, zaproponowali powołanie dwustronnej komisji. Gdy nazajutrz wydali Polakom w punkcie kontrolnym na granicy zwłoki strzelca Serafina, przedstawiciele strony polskiej demonstracyjne nie przyjęli trumny, w której Litwini przywieźli ciało. Po odebraniu zwłok niezwłocznie zwrócili ją Litwinom. Był to sygnał, że reakcja strony polskiej będzie inna niż w wypadku podobnych sytuacji wcześniej.

Zajściem zainteresowało się polskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Ten drobny w istocie incydent urósł do rangi problemu wagi państwowej. Władze w Warszawie postanowiły wykorzystać strzelaninę na granicy do ostatecznego uregulowania ciągnącego się od lat konfliktu z Litwą.

Historia powiązała przecież oba kraje ze sobą w sposób szczególny. Nawet jeśli strona polska przedstawiała często obraz wzajemnych stosunków w zbyt różowych barwach, Litwini dla odmiany postrzegali wspólną przeszłość jedynie w czarnym kolorze. Sojusz obu państw zapoczątkowało zawarcie w 1385 r. antykrzyżackiej unii w Krewie. Odnowiona i poszerzona w 1569 r. unia dała początek Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Począwszy od XV w., można mówić o nasilającej się polonizacji szlachty (bojarów) Wielkiego Księstwa Litewskiego. Początkowo przejmowała ona tylko język i kulturę polską, a po unii lubelskiej coraz częściej i polską świadomość państwową. Wtedy to mówiła o sobie, że jest *gente Lituani, natione Poloni*. Wielkie rody: Radziwiłłów, Gasztołdów, Hlebowiczów, Sapiehów, Chodkiewiczów – nierozerwalnie związane są z polską kulturą. Może jeszcze nawet do połowy XIX w. istniała szansa, że Litwini, zachowując odrębną świadomość i tradycję, ukształtują się jako naród polskojęzyczny. Przyjęcie obcego (polskiego) języka nie zawsze musiało oznaczać ▶

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Patrol Batalionu Korpusu Ochrony Pogranicza „Nowe Święciany”.

utratę odrębności i świadomości narodowej (*vide* przykład anglojęzycznych dziś Szkotów).

Historia, która na blisko cztery stulecia splotła oba państwa i narody, później je trwale rozdzieliła. Koniec XIX w. przyniósł narodziny litewskiego ruchu narodowego. Charakteryzując relacje polsko-litewskie od tego czasu, można by powiedzieć, że cechował je chroniczny konflikt. Wzajemne stosunki nie opierały się już na tradycji wspólnej przeszłości, stały się wręcz nieprzejednanie wrogie. Jeśli jednak ze strony polskiej można mówić o romantycznej i sielskiej wizji Litwy, o niezauważaniu litewskich aspiracji albo paternalistycznym stosunku do Litwy i Litwinów, to górowała nad tym pamięć o unii i chęć jej restytucji. Była to chęć strony silniejszej, ale przecież celu nie stanowiło ujarzmienie lub bezwzględne podporządkowanie. Po stronie litewskiej dominowała zaś nieufność, obawa oraz przeczulenie wobec polskości.

Litwini zdecydowanie odcinali się od wspólnej tradycji i wzajemnych związków. Unię – przeciwnie niż Polacy – określali jako „czarną kartę” w dziejach swego kraju. Żywe wśród nich przeczulenie nie było zupełnie bezpodstawne. Polska kultura przygniatała Litwinów. Polonizację – może dlatego, że dokonywała się dobrowolnie – litewscy działacze narodowi uważali za największe zagrożenie własnej tożsamości i odrębności.

Litewski ruch narodowy kształtował się w opozycji do polskości. Antypolonizm stał się wręcz istotnym elementem litewskiego odrodzenia narodowego, czynnikiem, który jednoczył Litwinów. Takie stanowisko było niezrozumiałe dla Polaków od wieków zasiedlających Litwę. W ich przekonaniu Litwini mogli jedynie wybierać między Zachodem a Wschodem, między cywilizowaną kulturą polską a dziką i barbarzyńską Rosją. Wybór miał być oczywisty.

Wilno – kość niezgody

Antagonizm dwóch społeczeństw pogłębił spór terytorialny, który w 1918 r. zaciążył na stosunkach między obu państwami. Jego przedmiotem było przede wszystkim Wilno, historyczna stolica Wielkiego Księstwa Litewskiego, które ostatecznie w 1922 r. znalazło się w granicach Polski. Litwini nie chcieli się pogodzić z taką sytuacją. Konsekwentnie określali ówczesną granicę jedynie jako linię demarkacyjną lub administracyjną, podkreślając w ten sposób jej tymczasowy i prowizoryczny charakter. Celem władz litewskich było ciągłe aktualizowanie sprawy wileńskiej, zarówno na arenie międzynarodowej, jak i wewnętrznej. Prowadzona przez wiele lat antypolska propaganda pogłębiła niechęć znacznej części Litwinów, zwłaszcza młodzieży, do Polski i Polaków. Walka o „wyzwolenie” Wilna spod polskiej „okupacji” stała się wręcz narodowym posłannictwem. W Wilnie dominowała jednak ludność polska, znaczny odsetek mieszkańców stanowili również Żydzi, a Litwinów było zaledwie 2–3%.

Przez 20 lat Litwa nie godziła się na nawiązanie z Polską normalnych stosunków dyplomatycznych i gospodarczych. Wymownym symbolem wzajemnych relacji, a właściwie ich braku, była zdemontowana linia kolejowa z Wilna do Kowna, która urywała się na granicy z Litwą, oraz porastająca chwastami i trawą szosa w kierunku Kowna. Litwini zli-

kwidowali nie tylko połączenia kolejowe i drogowe z Polską. Między oboma państwami nie istniała też łączność pocztowa, telefoniczna i telegraficzna. Liczącą 500 km granicę przekraczali tylko przemytnicy. Legalny wyjazd z Polski na drugą stronę granicy możliwy był tylko przez sąsiadującą z Litwą od północy Łotwę.

Izolacja od Polski i antypolska propaganda przybierały karykaturalne oblicze. Na ekrany litewskich kin nie dopuszczano filmów polskich, a nawet tych, w których grali polscy aktorzy. Na liście prohibitów litewskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych znalazła się też niemal cała polska produkcja wydawnicza, w tym książki dla dzieci i młodzieży.

Prasa obu krajów nierzadko przedstawiała przejaskrawiony, skrajnie negatywny obraz sytuacji w sąsiednim państwie. Obok napastliwych artykułów pojawiały się ośmieszające i poniżające drugą stronę karykatury. Konflikt między Warszawą a Kownem negatywnie rzutował na sytuację mniejszości narodowych w obu państwach. Polacy na Litwie i Litwini w Polsce stali się dla obu rządów zakładnikami ich polityki.

Strażnik KOP nad rzeką graniczną ze Związkiem Sowieckim.

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Ten uporczywy konflikt, podtrzymywany przez Kowno, sprawił, że stosunki między obu państwami stanowiły kuriozum w ówczesnej Europie. Wielokrotnie ponawiane przez Polskę próby osiągnięcia porozumienia z Litwą napotykały mur nie do przebicia. Normalizacja wzajemnych stosunków ciągle okazywała się niemożliwa. Złudne były też nadzieje Polaków na zmianę stanowiska Litwy. Dla władz w Kownie rozwiązanie kwestii wileńskiej, czyli przekazanie Wilna Litwie, stanowiło warunek wstępny ewentualnego pogodzenia się z Polską. Wyjście z tego zamkniętego kręgu wydawało się nieomal niemożliwe.

Przesilenie

Do zmiany, która nastąpiła w wyniku zdecydowanych nacisków polskiego MSZ, doszło dopiero w marcu 1938 r. Paradoksalnie przyczyniła się do tego przypadkowa strzelanina na granicy i śmierć polskiego żołnierza. Wiceminister spraw zagranicznych Jan Szembek 12 marca poinformował marsz. Edwarda Śmigłego-Rydza i premiera Sławoja Felicjana Składkowskiego o zajściu na granicy litewskiej. Ministerstwo Spraw Zagranicznych przesłało też za pośrednictwem Polskiej Agencji Telegraficznej ostry w tonie komunikat dla prasy. Stwierdzono w nim, że incydent, którego ofiarą padł żołnierz polski, ma charakter zasadzki zorganizowanej przez władze litewskie. Rząd w Warszawie rezerwował sobie również prawo do zajęcia odpowiedniego stanowiska po szczegółowym zbadaniu sprawy. Śmigły-Rydz chciał złagodzić komunikat, ale na poprawki było za późno, gdyż MSZ przekazało już tekst prasie. Prorządowa „Gazeta Polska" wybiła na czołówce wiadomość o „prowokacji litewskiej" na granicy i „bandyckim napadzie" policji litewskiej na patrol KOP. W następnych dniach prasa, zwłaszcza tytuły związane ze Stronnictwem Narodowym, coraz bardziej podgrzewała nastroje antylitewskie. Na łamach „Warszawskiego Dziennika Narodowego", w artykule noszącym znamienny tytuł „Nadszedł czas" można było przeczytać o „narzuceniu woli niesfornemu sąsiadowi". W różnych miastach Polski doszło też do wielotysięcznych wieców, na których potępiano prowokację litewską.

Narady na najwyższym szczeblu odbywały się również w Kownie. Władze litewskie zaniepokojone narastającym napięciem proponowały polubowne wyjaśnienie incydentu oraz wypracowanie porozumienia co do sposobów zapobiegania i likwidowania podobnych zajść w przyszłości. Strona polska nie była jednak zainteresowana ani lokalnym porozumieniem, ani innymi półśrodkami. Dążyła do generalnego rozwiązania w stosunkach z Litwą. Rząd w Kownie zwrócił się również do Francji i Wielkiej Brytanii, aby oddziałały one uspokajająco na władze w Warszawie.

Po kilkudniowej nieobecności 16 marca wrócił z Rzymu do Warszawy szef polskiej dyplomacji Józef Beck. Jeszcze tego samego dnia po południu na Zamku Królewskim w Warszawie odbyła się narada z udziałem prezydenta Ignacego Mościckiego, marsz. Śmigłego-Rydza i ministra Becka. Do rozmów tej trójki dołączyli pozostali ministrowie. Podczas spotkania Beck zaproponował wystosowanie do Litwy ultimatum, w którym żądano by jedynie nawiązania między oboma państwami normalnych stosunków dyplomatycznych. Choć nie wszyscy byli ▶

zwolennikami mocnego stanowiska, to propozycję szefa MSZ ostatecznie przyjęto.

Nazajutrz, 17 marca, punktualnie o godz. 22.00 poseł polski w Tallinie Wacław Przesmycki wręczył ultimatum swojemu litewskiemu odpowiednikowi w stolicy Estonii. W dokumencie wyrażono żądanie nawiązania przez Litwę normalnych stosunków dyplomatycznych z Polską. Akredytowanie przedstawicieli dyplomatycznych w Kownie i Warszawie miało nastąpić do 31 marca. Określono, że na odpowiedź władze w Warszawie będą czekać 48 godzin od chwili wręczenia noty posłowi litewskiemu. Brak odpowiedzi w tym terminie będzie oznaczał odmowę. W tej sytuacji rząd polski ostrzegał, że własnymi środkami zabezpieczy swoje słuszne interesy.

Na Kowno!

Kategoryczny ton dokumentu równoważyła treść postawionych żądań. Strona polska nie domagała się przecież ani cesji terytorialnych, ani deklaracji uległości. Nie ingerowała też w wewnętrzne sprawy Litwy. Nie oczekiwała nawet wyrzeczenia się przez Litwinów pretensji do Wilna, które litewska konstytucja określała jako stolicę Litwy. Jedyne żądanie sprowadzało się do natychmiastowego nawiązania stosunków dyplomatycznych między oboma państwami. Polskie ultimatum na Litwie przyjęto jednak jak upokorzenie – konieczność ugięcia się przed siłą.

Odznaka Korpusu Ochrony Pogranicza

Wręczeniu ultimatum towarzyszyła hałaśliwa antylitewska kampania propagandowa, której celem było niewątpliwie wywarcie silnej presji na Litwę. Wojenna atmosfera dominowała na łamach prasy i podczas manifestacji. Coraz częściej i coraz wyraźniej padał też postulat przejścia od słów do czynów. Powszechnie powtarzano wezwanie „Prowadź nas Wodzu na Kowno". W dniu swoich imienin, 18 marca, marsz. Śmigły-Rydz wziął udział w wielotysięcznej manifestacji w Wilnie. Przez miasto w kierunku granicy litewskiej ostentacyjnie przemaszerowały oddziały wojska. Natomiast w dniu, w którym upływał termin ultimatum, przypadały imieniny nieżyjącego od blisko trzech lat Józefa Piłsudskiego.

Wszystkie te odgórnie inspirowane manifestacje miały charakter propagandowy. Były sposobem mobilizowania opinii publicznej wokół rządu i miały pokazywać społeczne poparcie dla podejmowanych działań. Demonstracja siły była też wymownym środkiem nacisku na władze w Kownie. Nie towarzyszyły jej rzeczywiste przygotowania wojskowe do rozprawienia się z Litwą, gdyby ta odrzuciła polskie ultimatum. Akcja nie była przecież wcześniej zaplanowana, a wydarzenia rozgrywały się tak szybko, że nie było czasu na przygotowanie planów ewentualnej interwencji wojskowej. Od strzałów na granicy do przyjęcia ultimatum minęło zaledwie osiem dni. Minister Beck od początku był pewien, że Litwini przyjmą polskie żądanie.

Ostatecznie poseł litewski Bronius Dailidė w samo południe 19 marca – dziesięć godzin przed upływem terminu – przybył do poselstwa polskiego w Tallinie z wiadomością o przyjęciu ultimatum. Równocześnie obaj dyplomaci wymienili jednobrzmiące noty o nawiązaniu stosunków dyplomatycznych między Polską a Litwą.

Po przyjęciu ultimatum w Polsce niemal natychmiast zmieniły się ton prasy i nastroje społeczne wobec Litwy. Oddziały wojskowe powróciły do koszar, a manifestacyjną wrogość i gromkie pohukiwania zastąpiła życzliwa, wręcz przyjazna atmosfera. Już w dniu przyjęcia ultimatum na prorządowej manifestacji na placu marsz. Józefa Piłsudskiego w Warszawie był transparent z napisem „Polak Litwin sobie bratem". Na Litwie jeszcze przez pewien czas podejrzliwie patrzono na nowy kurs polityki polskiej. Obawiano się, że poseł polski w Kownie Franciszek Charwat może odgrywać rolę wielkorządcy przysłanego przez władze w Warszawie. Nieufność stopniowo jednak ustępowała. Prawdziwy zwrot w nastawieniu strony litewskiej dokonał się jesienią 1938 r. Władze w Kownie zakazały wówczas działalności Związkowi Wyzwolenia Wilna. W obliczu narastającego zagrożenia ze strony Niemiec generalicja litewska opowiadała się nawet za zawarciem porozumienia wojskowego z Polską. Mimo unormowania, a następnie nawet pewnego zbliżenia i ożywienia kontaktów, poprawa wzajemnych stosunków okazała się krótkotrwała. Wybuch II wojny światowej przyniósł rozliczne zmiany i nowe konflikty w relacjach polsko-litewskich. ■

KRZYSZTOF TARKA profesor doktor habilitowany, historyk, wykłada w Instytucie Historii Uniwersytetu Opolskiego. Zajmuje się polską emigracją polityczną i działaniami władz PRL wobec wychodźstwa oraz stosunkami polsko-litewskimi. Opublikował m.in. książki: *Konfrontacja czy współpraca. Litwa w polityce rządu polskiego na uchodźstwie 1939–1945*; *Litwini w Polsce 1944–1997*; *Emigracyjna dyplomacja. Polityka zagraniczna rządu RP na uchodźstwie 1945–1990*; *Mackiewicz i inni. Wywiad PRL wobec emigrantów*; *Emigranci na celowniku. Władze Polski Ludowej wobec wychodźstwa*; *„Generał Wilk" Aleksander Krzyżanowski – komendant Okręgu Wileńskiego ZWZ-AK*; *Jest tylko jedna Polska? Emigranci w służbie PRL*; *Na emigracji i w kraju*; *Socjalistyczna alternatywa na emigracji? Polska Partia Socjalno-Demokratyczna i jej krąg*; *Między Lachami a Budrysami. Szkice ze stosunków polsko-litewskich w dziejach najnowszych.*

FOT. DOMENA PUBLICZNA

PGZ

CENTRUM SERWISOWO – LOGISTYCZNE DO OBSŁUGI CZOŁGÓW LEOPARD 2

CSL-WZM-LEOPARD 2

Wojskowe Zakłady Motoryzacyjne S.A. w Poznaniu to dziś jedyny polski zakład posiadający autoryzowane uprawnienia do serwisowania i napraw czołgów Leopard 2 A4/A5, należących do Sił Zbrojnych RP. Konieczność zabezpieczenia serwisowo-logistycznego polskich Leopardów, w połączeniu z dynamicznym rozwojem firmy, pozwoliła na utworzenie w poznańskich zakładach Centrum Serwisowo–Logistycznego do obsługi czołgów Leopard 2, czyli CSL-WZM-LEOPARD 2.

Wojskowe Zakłady Motoryzacyjne S.A. istnieją od 1945 roku, cały czas działając w branży zbrojeniowej. Dziś wchodzą w skład Polskiej Grupy Zbrojeniowej S.A., konsolidującej polski przemysł obronny. Głównym profilem aktywności firmy są: produkcja, modernizacje, naprawy i serwisy czołgów, kołowych transporterów opancerzonych oraz projektowanie i produkcja szybko wymiennych zespołów napędowych do pojazdów wojskowych. Działalność WZM zapewnia kompleksowe zabezpieczenie potrzeb Sił Zbrojnych RP. W naszym Centrum Szkoleń załogi pojazdów wojskowych uczą się profesjonalnego użytkowania sprzętu.

WOJSKOWE ZAKŁADY MOTORYZACYJNE S.A.

Niespokojny sen zimowy

Dyneburg 1919–1920

MARSZAŁEK ZE SZTABEM

Józef Piłsudski ze sztabem Edwarda Śmigłego-Rydza w Dyneburgu, pierwszy z prawej gen. Edward Śmigły-Rydz, 28 stycznia 1920 r. Fot. Centralne Archiwum Wojskowe

Na przełomie 1919 i 1920 r., w toku walki obu państw o niepodległość i o granice, ukształtował się sojusz polsko-łotewski. Skutkował on wspólną operacją wojskową we wschodniej części Łotwy – Łatgalii. Była to jedyna zimowa operacja wojsk polskich w wojnie z bolszewikami, zarazem sięgająca najdalej na północ.

TOMASZ PALUSZYŃSKI

Z Polską łączyła Łotwę wspólnota antyniemieckich, antyrosyjskich i antysowieckich interesów. Przybyła do Wilna 15 września 1919 r. delegacja łotewska zwróciła się do Polski o pomoc przeciw niemiecko-rosyjskim siłom płk. Pawła Bermondta-Awałowa. Polacy wyrazili gotowość wsparcia Łotyszy, zadeklarowali również rezygnację z Dyneburga i wschodniej prowincji Łotwy – Łatgalii (Inflant polskich), a także zaproponowali wspólną operację przeciw bolszewikom w celu jej wyzwolenia.

Siły polskie do końca września zajęły obszar nad Dźwiną między Dryssą a Lassenbergiem, opanowały leżącą na południowym brzegu rzeki wschodnią część powiatu iłłukształńskiego guberni kurlandzkiej, uważanego przez Rygę za łotewski. Dalej na zachód bolszewicy trzymali przyczółek pod Dyneburgiem.

W zaciętej, trwającej od 27 do 29 września, bitwie dowodzone przez gen. Edwarda Śmigłego-Rydza 1 i 3 Dywizje Piechoty Legionów, wsparte 20 czołgami, co stanowiło pierwsze zmasowane użycie tego typu broni przez armię polską, i rajdami pociągów pancernych, zlikwidowały bolszewicki przyczółek. Polaków dzielił teraz od Łotyszy wąski pas zachodniej Iłłukształńszczyzny obsadzony przez Litwinów, którzy trzymali tu krótki dyneburski front przeciwbolszewicki.

Druga delegacja łotewska z ministrem spraw zagranicznych Zigfrīdsem Meierovicsem przybyła do Warszawy 22 października, gdy Bermondt atakował już Rygę. Premier Ignacy Paderewski wręczył Meierovicsowi akt uznania Łotwy przez Polskę de facto, a Józef Piłsudski obiecał pomoc materiałową. Jednocześnie Naczelne Dowództwo Wojska Polskiego przygotowało projekt polsko-łotewskiej konwencji wojskowej skierowanej przeciw sowieckiej Rosji. Łotyszom przedstawili go przybyli 21 listopada do Rygi kpt. Walery Sławek i rtm. Stanisław Radziwiłł podczas konferencji z łotewskim głównodowodzącym gen. Jānisem Balodisem, szefem sztabu Petrisem Radzinšem oraz ministrem Meierovicsem.

Przed „Zimą”

Naczelne Dowództwo Wojska Polskiego 13 listopada nakazało przygotowanie operacji dyneburskiej, która miała być prowadzona wspólnie z Łotyszami. Do akcji przeznaczono grupę gen. Śmigłego-Rydza. Dowództwo łotewskie natomiast postanowiło przerzucić na front łatgalski operującą dotąd w rejonie Możejek i Połągi 3 Dywizję. Naczelne Dowództwo Wojska Polskiego 3 grudnia wydało instrukcję do nazwanego kryptonimem „Zima” ataku na Dyneburg. Stwierdzano w niej: „Celem akcji na Dźwińsk [Dyneburg] jest nawiązanie bezpośredniej łączności między Polską a Łotwą i osiągnięcie przez to wpływów dla przyszłego ukształtowania się sojuszy Polski z państwami bałtyckimi. […] Armia łotewska operować będzie trzema grupami: a) jedna dywizja (13 baonów) w kierunku Rzeżycy – Lucyna od Jakobstadtu, b) Landeswehra bałtycka na prawo od poprzedniej jako łącznikowa grupa, c) grupa południowa (ok. 4 tys. bagnetów) uderzy w kierunku od Kazimieryszek przez Dźwinę na Dźwińsk. Armia polska współdziała z grupą południową łotewską w ataku na Dźwińsk na wschód od Dźwińska. Wszystkie grupy rozpoczynają akcję równocześnie. […] Trzy grupy armii łotewskiej mają mieć łączną siłę 15 tys. bagnetów. Wojska polskie – 1 i 3 dywizja legionów”[1].

Termin ataku wyznaczono na 15 grudnia. Sztab Generalny nakazał jednocześnie podjęcie działań uniemożliwiających sforsowanie Dźwiny przez wojska litewskie, by nie wzięły udziału w opanowaniu Dyneburga. Dowództwu Frontu Litewsko-Białoruskiego Sztab Generalny nakazał demonstracyjną koncentrację sił na południe od miasta, tak, aby Litwini poczuli tu zagrożenie swego prawego skrzydła. Zabroniono jednak atakować Litwinów na lewym brzegu Dźwiny. Dowództwo grupy gen. Śmigłego-Rydza 14 grudnia zarządziło pogotowie marszowe. Natarcie odłożono jednak z braku gotowości strony łotewskiej.

Zasięg „Zimy” 19 grudnia ograniczono do opanowania Dyneburga i przesunięcia linii frontu do rzeki Dubna. Na wypadek wejścia Litwinów do miasta przed oddziałami polskimi nakazano ich rozbrojenie, ewentualnie odrzucenia na lewy brzeg Dźwiny. W dniach 26–31 grudnia grupę gen. Śmigłego-Rydza skoncentrowano naprzeciw Dyneburga.

Zgrupowanie sił polskich było następujące: na wschodnim krańcu frontu grupy gen. Śmigłego-Rydza, między Krasławiem i Gejtwidziszkami znajdowała się ▶

DYNEBURG

1. Pociąg pancerny „Śmiały” pod Dyneburgiem, jesień 1919 r. 2. Czołg polski produkcji Renault pod Dyneburgiem, jesień 1919 r. 3. Most kolejowy na Dźwinie w Dyneburgu wysadzony przez ewakuujących przyczółek dyneburski Sowietów, jesień 1919. 4. Odbudowa przez saperów I Brygady Legionów zniszczonego przez Sowietów we wrześniu 1919 r. mostu na Dźwinie w Dyneburgu, styczeń 1920 r. Fot. Centralne Archiwum Wojskowe

3 Dywizja Piechoty Legionów; na lewo od niej, na wschód od Dyneburga (między Gejtwidziszkami a Lasenbergiem) stała Grupa Przełomowa (I Brygada 1 Dywizji Piechoty Legionów), która miała przeprowadzić główne natarcia na miasto, odcinając je od zaplecza oskrzydlającym natarciem z północnego wschodu; dalej na zachód, lewobrzeżne przedmieście Dyneburga – Griwę – zajmowała Grupa Turmont w składzie 23 Pułku Piechoty z sześcioma bateriami ciężkiej artylerii. Ostrzałem Dźwiny miała ona uniemożliwić jej forsowanie przez Litwinów. Odwodem był zgrupowany między Turmontem a Janówką 6 Pułk Piechoty. Obie polskie dywizje w stanie bojowym liczyły 430 oficerów i 13 260 żołnierzy, miały 250 karabinów maszynowych i 72 działa, w tym 28 ciężkich. Do grupy gen. Śmigłego-Rydza należało też łotewskie zgrupowanie ppłk. Janisa Purinša, oddzielone od sił polskich przez oddziały litewskie. Złożona z łotewskich 3 i 9 Pułków Piechoty, wyposażona w jedną baterię, zgrupowana w rejonie wsi Kazimie-

3

4

ryszki – Bebra, grupa Purinša liczyła ok. 4 tys. ludzi. Od północy wspierała ją mająca współdziałać z grupą gen. Śmigłego-Rydza dwutysięczna Landeswehra (wyposażona w 9 dział, 130 karabinów maszynowych i dysponująca 180 konnymi) oraz 1 szwadron jazdy z 1 Dywizji Kurlandzkiej, które obsadzały front bolszewicki po miejscowość Līvāni. Na północny wschód od niej, na wschód od Jakabpilsa, ku jezioru Lubana i dalej ku północy koncentrowano łotewską grupę płk. Krišjanisa Berkisa.

Po drugiej stronie frontu stały: naprzeciw Polaków I i III Brygady, a naprzeciw Litwinów i grupy Purinša X Brygada z 4 Dywizji Strzelców. Wyżej Landeswehrze i grupie płk. Berkisa drogę zagradzały 3 i 11 Dywizje Strzelców. W odwodzie w rejonie Wyszek stała sowiecka łotewska brygada 53 Dywizji Strzelców. Przeciw Polakom Rosjanie zgromadzili ok. 8 tys. żołnierzy ze 112 karabinami maszynowymi, 31 działami i 2 pociągami pancernymi. Litwinom i Łotyszom z grupy gen. Śmigłego-Rydza bolszewicy przeciwstawili ok. 3 tys. żołnierzy z 40 karabinami maszynowymi i 11 działami.

Grupa płk. Berkisa liczyła 241 oficerów i 8357 żołnierzy ze 130 karabinami maszynowymi, z 58 erkaemami i 14 działami. Bolszewicy przeciwstawili jej 5330 żołnierzy ze 108 karabinami maszynowymi i z 39 działami. Na korzyść bolszewików działała dobrze rozwinięta w Łatgalii sieć kolejowa dająca aż trzy połączenia z tyłami: na północy Pytałowo – Psków; w centrum Rzeżyca – Wielkie Łuki; na południu Dyneburg – Smoleńsk. Równolegle do frontu biegły dwie linie kolejowe: Pytałowo – Dyneburg oraz Psków – Połock. Dzięki nim możliwe było szybkie przegrupowywanie wojsk wzdłuż frontu oraz z zaplecza.

Naczelne Dowództwo Wojska Polskiego 27 grudnia potwierdziło ostateczną datę rozpoczęcia operacji „Zima", ustaloną na 3 stycznia 1920 r. W Rydze 30 grudnia podpisano polsko-łotewską umowę wojskową, ustalając plan akcji w Łatgalii. Operacja zaczepna na Dyneburg, mimo znacznej przewagi atakujących, była przedsięwzięciem ryzykownym. Wystarczył skuteczny bolszewicki ostrzał artyleryjski pokrytej grubym lodem Dźwiny, by powodzenie całej planowanej przeprawy grupy gen. Śmigłego-Rydza stanęło pod znakiem zapytania.

Gdy finalizowano przygotowania, sytuację skomplikowało podpisane 31 grudnia, niemal w przeddzień ataku, sowiecko-estońskie zawieszenie broni, które obowiązywało od 3 do 10 stycznia. Pozwoliło ono przerzucić część sił bolszewickich z frontu estońskiego do Łatgalii.

Attaché wojskowy przy Poselstwie Polskim w Rydze Aleksander Zygmunt Myszkowski 3 stycznia 1920 r. ▶

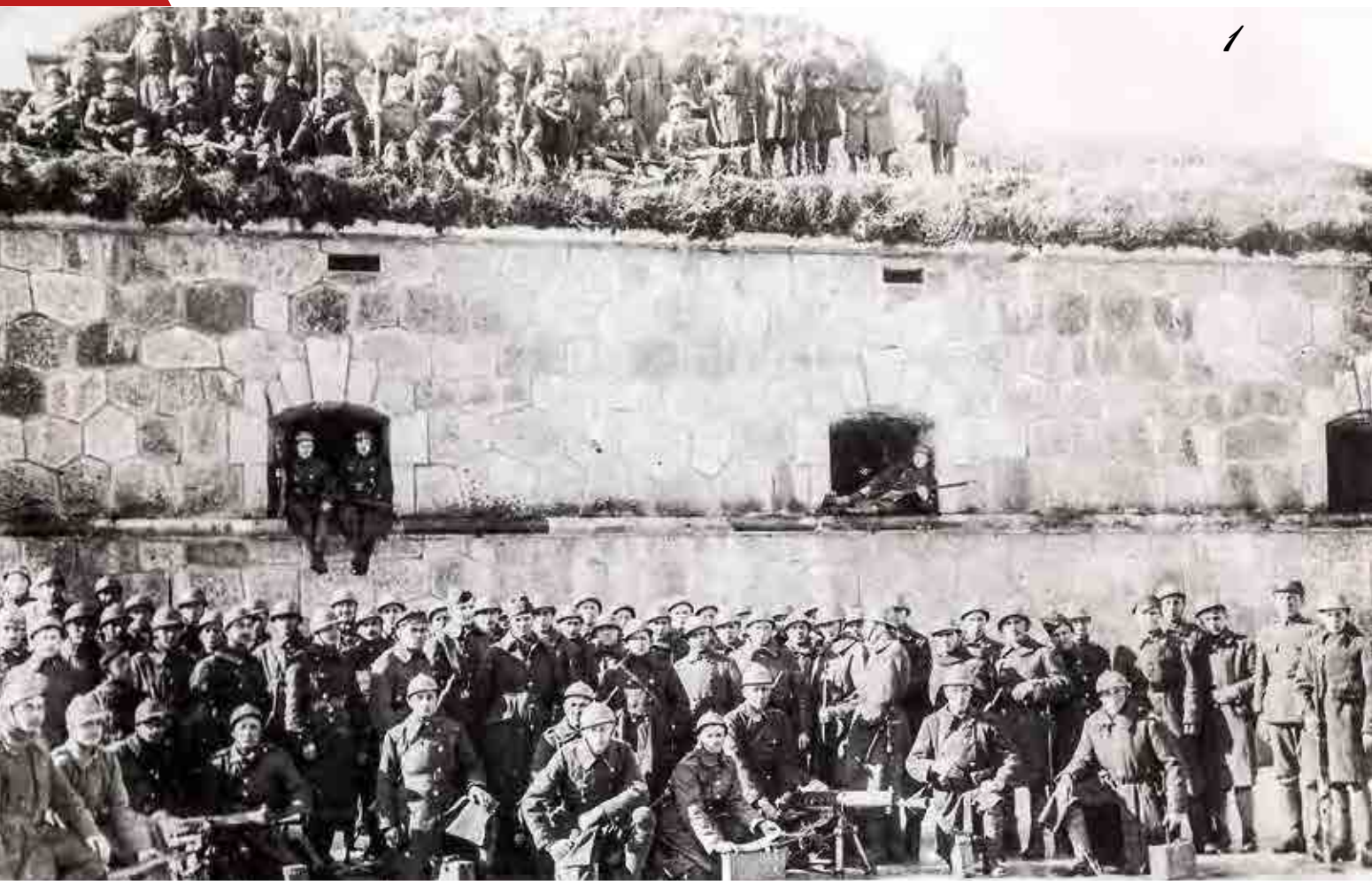

poinformował Naczelne Dowództwo Wojska Polskiego, że otrzymał skierowane do Józefa Piłsudskiego pismo gen. Jānisa Balodisa z oficjalną prośbą o pomoc w odzyskaniu Łatgalii. Dopełniało ono formalności wymaganych dla politycznego umocowania natarcia polskiego na Dyneburg.

Ofensywa

Polsko-łotewska grupa w sile 20 batalionów piechoty (w tym 9 łotewskich), 17 baterii artylerii (w tym 5 łotewskich) i 3 szwadrony kawalerii (w tym 1 łotewski) rozpoczęła atak 3 stycznia 1920 r. Natarciem dowodził ze stanowiska obserwacyjnego w zamku w Kałkunach, położonego na południe od lewobrzeżnej części Dyneburga, gen. Śmigły-Rydz, przy ogólnym nadzorze przybyłego specjalnie na tę okoliczność do sztabu grupy dowódcy frontu litewsko-białoruskiego gen. Stanisława Szeptyckiego.

Rankiem 3 stycznia 3 baon 1 Pułku Piechoty Legionów przeprawił się przez Dźwinę k. Wiluszek i, stoczywszy bój pod Lotikami z sowieckimi 29 i 30 Pułkami Strzelców, dotarł wieczorem do Zielonej Puszczy. Jednocześnie, po sforsowaniu Dźwiny i zajęciu w krwawych zmaganiach Mozuli, 5 Pułk Piechoty Legionów natarł na Wyszki. W tym czasie 7 Pułk Piechoty z 3 Dywizji, osłaniając akcję I Brygady od wschodu, posunął się wśród walk pod Braminiszki. Reszta 3 Dywizji pozostawała na lewym brzegu Dźwiny, kontrolując przeprawę. Mimo zażartej obrony załogi bolszewickiej i skierowania przez Rosjan do Dyneburga posiłków z 53 Dywizji Strzelców tego samego dnia I i II batalion 1 Pułku Piechoty Legionów z grupy przełomowej zdobyły miasto i cytadelę Dyneburg, obchodząc je od północnego-wschodu. Łotysze z grupy Purinša po uciążliwych walkach zajęli natomiast stację kolejową Liksna, przesunęli się na południe wzdłuż prawego brzegu Dźwiny ku Dyneburgowi i ku wschodowi na Wyszki. Najbardziej zacięte walki stoczyli przy zajmowaniu Kalwany i Miszel, na wysokości których sforsowali Dźwinę, oraz przy silnie ufortyfikowanej stacji Liksna (12 km na północ od Dyneburga), gdzie zniszczyli nieprzyjacielski pociąg pancerny.

Walki prowadzono przy przeszło trzydziestostopniowym mrozie, sprawiającym największe trudności. Zamarzały zamki karabinów, pod działami trzeba było rozpalać ogniska, by się rozgrzały, posłuszeństwa odmawiały karabiny maszynowe, pękały lufy przy wystrzale.

2

3

4

POSTACI

1. 3 kompania 5 Pułku Piechoty Legionów na fortyfikacji cytadeli dyneburskiej, marzec 1920 r. W środku dowódca por. Chruściel. Fot. Centralne Archiwum Wojskowe**. 2. Aleksander Myszkowski, pierwszy attaché wojskowy RP na Łotwie, na zdjęciu w randze pułkownika, okres międzywojenny.** Fot. Centralne Archiwum Wojskowe **3. Pułkownik Janis Purinš, dowódca wojsk łotewskich w grupie Śmigłego-Rydza.** Fot. Latvijas Atbrivošonas Kara Vesture, red. E. Kalninš, t. 1-2, Riga 1938 **4. Pułkownik Krišjanis Berkis.** Fot. F. Zalitis, Latvijas Vesture Vidusskolam, Riga 1937

Mróz najdotkliwiej odczuwali ludzie zapadający się po pas w śnieżnych zaspach. Wśród nich poczynił on też największe straty. Dodatkowym utrudnieniem była śnieżna zamieć.

W ręce atakujących wojsk grupy gen. Śmigłego-Rydza dostał się liczny tabor kolejowy, kilka baterii armat, kilkanaście karabinów maszynowych i liczne składy. Nie odniosły one jednak pełnego sukcesu. Rozbite wojska 474 Pułku Strzelców zdołały się bowiem w popłochu wydostać z zaciskających się polsko-łotewskich kleszczy w kierunku północno-wschodnim na Wyszki.

Generał Śmigły-Rydz wydał do mieszkańców miasta odezwę: „Wojska polskie przekroczyły Dźwinę i weszły do Dyneburga celem oswobodzenia wraz z wojskami łotewskimi miasta i kraju od anarchii, w jaką wtrącił Was rząd bolszewicki. Przybywamy jako sprzymierzeńcy państwa łotewskiego, rządu i mieszkających tutaj Polaków. [...] Witamy w Was przyjaciół i życzymy izbyście w nas takichże widzieli”[2].

Atak kontynuowano na Wyszki i stację Dubna 4 stycznia. Spotkanie wojsk polskich i łotewskich nastąpiło na linii kolejowej Dyneburg – Dubna.

Gdy Dyneburg znajdował się już w rękach polskich i łotewskich, ożywili się Litwini – 3 stycznia przekazali oni Łotyszom notę protestacyjną, w której stwierdzili, że Dyneburg powinien należeć do Litwy. Litwini 5 stycznia wysłali do Dyneburga trzy kompanie wojska, by zamanifestować swój udział w zajęciu miasta. Na wezwanie strony polskiej oddziały te wycofały się jednak na terytorium litewskie. Litwini odpowiedzieli nieudanymi atakami na Polaków w rejonie Koszedar i Olity, co w Warszawie zinterpretowano jako próbę przerwania połączenia kolejowego grupy gen. Śmigłego-Rydza z Wilnem.

Aby wyrównać front i przegrupować siły przed oczekiwanym kontrnatarciem, 5 stycznia jednostki polskie wstrzymały działania na pozycjach Dubna – Dyneburg. Bolszewicy rozpoczęli kontrofensywę 7 stycznia na odcinku od dworca Dubna do Wyszek. Atak został odparty z dużym trudem w walkach na bagnety. Do 12 stycznia 3 Dywizja zajęła wyznaczoną jej linię Krasław – Użwałd – Akaczyszki – Meża – Kałki – Ksawerowo.

W czasie walk toczonych na północny-wschód od Dyneburga do natarcia przeszła na północy łotewska grupa Berkisa. Front łotewski 9 stycznia przesunął się tu o 20 km na wschód, ku strategicznemu węzłowi komunikacyjnemu – stacji Pytałowo. Do jej obrony bolszewicy skierowali teraz dodatkowo trzy pułki w sile 1200 ludzi.

Tymczasem operujący w centrum Łotysze przecięli linię kolejową i szosę Psków – Rzeżyca, zajęli 11 stycznia stację Karsava i Malnavę. Dyneburski i partyzancki pułki z grupy Berkisa 13 stycznia uderzyły na Pytałowo, które zajęły 14 stycznia. Podejmowane przez bolszewików zaciekłe próby jego odbicia Łotysze powstrzymali z ogromnym trudem. Na południe od nich polskie oddziały 1 i 2 Pułków Piechoty, posuwające się od Wielon na wschód, dotarły 16 stycznia na odległość 10 km od Rzeżycy. Stolica Łatgalii tym samym w połowie stycznia została otoczona od północy i zachodu przez siły łotewskie, a od południa przez polskie.

OPERACJA ZIMA

1. Operacja „Zima” na Łotwie, marsz 1 Pułku Piechoty Legionów.
2. Wkroczenie 5 Pułku Piechoty Legionów do Dyneburga, zima 1920 r.
3. Oficerowie polscy i łotewscy ze sztabu grupy Śmigłego przed menzą oficerską w hotelu Metropol w Dyneburgu, styczeń 1920 r.
Fot. Centralne Archiwum Wojskowe

W tym czasie oddziały polskie 13 stycznia zajęły stację Aglona na linii Dyneburg – Rzeżyca i rejon wcześniejszej koncentracji nieprzyjaciela na północny wschód od Wyszek, na południu zaś – mimo próby kontrakcji bolszewickiej – stację Ludwikowo na linii kolejowej Dyneburg – Połock. Z kolei działające na północy oddziały polskie 1 Dywizji obsadziły bez walki obszar od jeziora Rušona do jeziora Cermanu. Oddziały 3 Dywizji, posuwając się na wschód, zagarnęły obszar od jeziora Siveris po Druję. Teraz z rejonu Drui oddziały 9 Pułku Piechoty 3 Dywizji dokonały wypadu ku północnemu wschodowi, na stację Indra.

Mroźny triumf

Trudności na odcinku północnym skłoniły Łotyszy do zawarcia nowego układu z Polakami, tym bardziej że cele operacji określone w umowie z 30 grudnia, jakimi było zajęcie Dyneburga i nawiązanie bezpośredniego kontaktu wojsk polskich z łotewskimi osiągnięto już dwa tygodnie wcześniej. Nowe porozumienie regulujące i uprawomocniające polskie działania w Łatgalii oba naczelne dowództwa podpisały 16 stycznia. Stanowiło ono o dalszym współdziałaniu obu armii z zamiarem zajęcia i obrony linii Dryssa – jezioro Oświejskie – rzeka Siniucha, wytyczając jako docelową linię frontu obszar obejmujący całą Łatgalię z dość szerokim pasem okalających ją ziem rosyjskich. Kolejna wojskowa umowa z Łotyszami umocniła w Polakach przekonanie o szansach na utrwalenie związku obu państw.

Ponieważ natarcie południowego skrzydła grupy Berkisa na Rzeżycę zostało powstrzymane płytką, ale bardzo silną kontrofensywą wojsk sowieckich, gen. Śmigły-Rydz zdecydował się opanować miasto własnymi siłami. Gdy do 18 stycznia 3 Dywizja osiągnęła linię od Dźwiny, przez Indrę, do Dagdy, I Brygada Piechoty Legionów, działająca na północ od niej, zajęła rejon jeziora Ezeras, wreszcie walczące na północ od I Brygady Piechoty Legionów pułki łotewskie dowodzone przez ppłk. Purinša – rejon jeziora Raźno. Purinš skierował teraz ku Rzeżycy od południa i południowego zachodu 3 i 9 Pułki, a od zachodu Landeswehrę i 2 Pułk. One też otrzymały zadanie zdobycia Rzeżycy, które wykonały 21 stycznia. W tym czasie polska 3 Dywizja złamała opór nieprzyjaciela na linii jezior Raźno oraz Dagda i, zajmując miejscowość Rosica, doszła do linii rzeki Sarjanka.

Wojska łotewskie, zdobywszy Rzeżycę, wzięły do niewoli ok. 1 tys. jeńców, zdobyły dwa działa, samochód pancerny i tabor kolejowy. Następnie zbliżyły się do Stiglovy, a na wschodzie podeszły pod Lucyn. I Brygada Legionów pozostawała na zajmowanych pozycjach, wypełniając lukę między wojskami łotewskimi i polską 3 Dywizją. Dotarcie tej ostatniej do Sarjanki i zajęcie Rosicy oznaczało wejście na tereny, które w myśl późniejszego traktatu pokojowego zawartego pomiędzy Łotwą a sowiecką Rosją – miały się znaleźć już poza granicami państwa łotewskiego.

Podjęta przez jednostki bolszewickiej 15 Armii próba kolejnej kontrofensywy nie powiodła się. Także opór, jaki jej jednostki usiłowały stawić na wschód od Polašenki, przełamała polska I Brygada, która 25 stycznia dotarła do Lanckorony. Na południu oddziały 3 Dywizji natarły w tym czasie z linii rzeki Sarjanka na wschód od

3

Dryssy. Grupa Purinša opanowała 24 stycznia Lucyn i kontynuowała atak, osiągając linię Stara Słoboda – Wonogi – jezioro Kurjany, znajdującą się już na terytorium rosyjskim. Także grupa Berkisa wkroczyła całym frontem na ziemie rosyjskie i zbliżyła się do rzeki Siniucha. 3 Dywizja do końca stycznia obsadziła linię Dryssa – jezioro Oświeja – rzeka Siniucha. Tym samym zagroziła Połockowi z prawego brzegu Dźwiny oskrzydlającym miasto uderzeniem z północnego wschodu. Cała Łatgalia znalazła się w rękach łotewskich i polskich. Jak na początku kampanii, tak i teraz połowę strat osobowych powodował sięgający 35 stopni mróz.

Na początku lutego 1920 r. działania na froncie łatgalskim zostały przez wojska łotewskie wstrzymane, gdyż 30 stycznia – po całomiesięcznych tajnych pertraktacjach – zawarto łotewsko-sowiecki rozejm. Zawieszenie broni grzebało polskie nadzieje na utrwalenie wspólnego z Łotyszami frontu antybolszewickiego i stawiało nieświadomych tego układu Polaków w niejasnej sytuacji. Jeszcze w drugiej połowie lutego dobrze na ogół poinformowany attaché Myszkowski donosił, że pogłoski o rzekomym zawarciu zawieszenia broni między Łotwą a Rosją sowiecką są nieprawdziwe. Z łotewskiego punktu widzenia podpisany układ formalnie nie sprzeniewierzał się sojuszowi z Polską. Wobec braku formalnych zobowiązań Łotwy względem Polski nie zmieniał ustaleń dotąd z nią poczynionych. Nie kolidował z konwencją polsko-łotewską z 16 stycznia 1920 r. dotyczącą wojskowej współpracy przy oswobodzeniu Łatgalii i późniejszej ewakuacji wojsk polskich za Dźwinę.

Relacje Łotyszy z nieświadomymi rokowań łotewsko-bolszewickich Polakami, zwłaszcza te na najwyższych szczeblach, były na razie wyśmienite. Po zajęciu Dyneburga do kwatery gen. Śmigłego-Rydza przybyła oficjalna delegacja łotewska z podziękowaniem za oswobodzenie. Generał w pozytywnym tonie wypowiadał się o współpracy z Łotyszami.

Do Dyneburga 28 stycznia przybył Józef Piłsudski, by dokonać inspekcji i odbyć konferencję z gen. Jānisem Balodisem. Podczas wydanego z tej okazji przez gen. Śmigłego-Rydza uroczystego przyjęcia Piłsudski wygłosił toast: „Moi panowie! Przyjemnie mi jest być w oddziale, który spotkało rzeczywiste szczęście walczyć, zgodnie z tradycją polską, za naszą i waszą wolność; nie tylko za wolność naszego narodu, ale i za wolność naszego sąsiada i przyjaciela. Przekonany jestem, że nabraliście w tej walce honorowej i zaszczytnej tego wzajemnego szacunku i przywiązania, który jest jedynie zapewnieniem powodzenia. Ten szacunek dla wspólnych wysiłków i prac wy wyniesiecie wszyscy, jako jedno z najprzyjemniejszych wspomnień z obecnej kampanii. To też [sic!] zgodnie ze mną ochoczo wznieście kielich na cześć dzielnej armii łotewskiej i jej doświadczonego głównodowodzącego, generała Balodisa”[3]. Balodis podziękował armii polskiej za pomoc i wyraził nadzieję na dalszą współpracę. Życzenie to było jak najbardziej na miejscu wobec groźby wzajemnych nieporozumień, do których mogło dojść wobec spodziewanego podpisania przez Łotwę zawieszenia broni z Sowietami.

Na dobre obustronne relacje wpływał na razie całkowity brak roszczeń władz polskich odnośnie do Łatgalii. Stanowiło to pokłosie polskich zabiegów o trwały układ polityczno-wojskowy z Łotwą. Drugim powodem takiego stanowiska była ogólna sytuacja polityczna. Ta nie pozwalała Polsce – i tak już oskarżanej przez wrogie jej siły o imperializm – na przejęcie regionu bez narażania się na protesty zarówno ze strony państw bałtyckich, jak i mocarstw sprzymierzonych.

Wbrew styczniowemu braterstwu broni i pomimo podejmowanych wysiłków Polska nie zdołała przekuć sojuszu z Łotwą ani w trwałą konwencję wojskową, ani polityczną, zarówno bilateralną, jak i szerszą z udziałem wszystkich zachodnich sąsiadów Rosji w ramach planowanego Związku Bałtyckiego. I to mimo kolejnych konferencji państw bałtyckich organizowanych w tym celu w marcu w Warszawie i w sierpniu 1920 r. w łotewskim Bulduri. ■

TOMASZ PALUSZYŃSKI doktor historii, specjalizuje się w historii państw bałtyckich i środkowoeuropejskich. Autor książek: *Walka o niepodległość Łotwy 1914–1921*; *Walka o niepodległość Estonii 1914–1920*; *Historia Niemiec i państw niemieckich. Zarys dziejów politycznych*; *Siedem błędów niemieckich*; *Czy Rosja uczestniczyła w pierwszym rozbiorze Polski, czyli co zaborcy zabrali Polsce w trzech rozbiorach?*; *Mankamenty demokracji*; *Rok 2016.*

[1] CAW, WBH, sygn. I. 106, bez paginacji i numeracji dokumentów, Instrukcja NDWP dotycząca akcji „Zima” z 3 grudnia 1919 r.
[2] „Gazeta Warszawska”, 8 lutego 1920 r.
[3] J. Piłsudski, *Pisma, mowy, rozkazy*, t. 5, Warszawa 1933, s. 142.

Kijów – wstęp do wojny

Marszałek Józef Piłsudski powtarzał: „Przyniesienie wolności ludom z nami sąsiadującym będzie punktem honoru mojego życia jako męża stanu i żołnierza”[1].

JAN JÓZEF KASPRZYK

Ofensywa wojsk polskich na Ukrainie wiosną 1920 r. była nie tylko ważną operacją w toczonej przez Polskę wojnie z Rosją bolszewicką. Stanowiła próbę urzeczywistnienia planów politycznych Józefa Piłsudskiego o powstaniu w tej części Europy bloku niepodległych państw trwale sprzymierzonych z Rzecząpospolitą. Gdyby operacja zakończyła się pełnym sukcesem, zaważyłoby to pozytywnie na losach Polski i Ukrainy na długie dziesięciolecia.

Teatr działań

W końcu lutego 1920 r. przywódca bolszewickiej Rosji Włodzimierz Lenin podjął decyzję o koncentracji wszystkich sił sowieckich do – trwającej już od ponad roku – wojny z Polską. Komendant naczelny Armii Czerwonej zatwierdził 10 marca 1920 r. plan wielkiego uderzenia na zachód siłami dwóch frontów: Zachodniego (pod dowództwem Władimira Gittisa, a od kwietnia 1920 r. Michaiła Tuchaczewskiego) oraz Południowo-Zachodniego (dowodzonego przez Aleksandra Jegorowa). Dzięki polskiemu wywiadowi koncentracja wojsk bolszewickich oraz plany ofensywy znane były Naczelnemu Dowództwu Wojska Polskiego. Stojący na czele armii polskiej Józef Piłsudski w zaistniałej sytuacji musiał podjąć działania o charakterze obronnym bądź ofensywnym. Do organizowania skutecznej obrony brakowało wystarczających możliwości technicznych niezbędnych do ufortyfikowania rozciągniętej na odcinku blisko tysiąca kilometrów linii frontu. Ponadto wojna obronna jako trudniejsza taktycznie wymagała od żołnierzy wyższych kwalifikacji. „Wojsko nasze – pisał gen. Marian Kukiel rok po omawianych zdarzeniach – było wojskiem młodym o wybitnych cechach wojska improwizowanego, tj. tworzonego doraźnie na prędce [sic!]”[2].

FOT. POLONA.PL

Ataman Symon Petlura z gen. Edwardem Śmigłym-Rydzem na dworcu w Kijowie.

Te względy zadecydowały w dużej mierze o koncepcji polskiego natarcia, którym Piłsudski zamierzał wyprzedzić działania Armii Czerwonej i doprowadzić do rozbicia koncentracji jej sił i narzucić przebieg kampanii wiosennej w toczącej się wojnie. Pozostawał jedynie wybór miejsca na prowadzenie polskiej ofensywy. Warunki geograficzne składały się na to, że teatr działań wojennych rozpadał się na dwa niezależne od siebie obszary operacyjne, oddzielone błotami Polesia. Jak pisał gen. Tadeusz Piskor: „Lepszy stan kolei i dróg na południu, wcześniejsza wiosna, łatwość wyżywienia koni na urodzajnym Wołyniu i na Ukrainie [...] przemawiały za wyborem południowego teatru do rozstrzygającego uderzenia sił polskich”[3]. Sam Piłsudski tak pisał w *Roku 1920*: „Gen. Haller, ówczesny mój szef sztabu, przypuszczał, że przeciwnatarcie nastąpić musi na tym samym terenie, na którym myśmy przechodzili do ofensywy. Zdaniem bowiem jego, właśnie na południu skoncentrowane wtedy były największe siły przeciwnika, które zlikwidowały front przeciw [Antonowi] Denikinowi i tam narastało nowe niebezpieczeństwo [...]. Wydawało mu się więc logicznym, by oczekiwać i stamtąd kontruderzenia [...]. Co do mnie osobiście skłaniałem się do zdania, że oczekiwać należy natarcia na tym froncie, gdzie mniej jesteśmy skoncentrowani. Gdybym więc wybrał dla naszej ofensywy front północny, oczekiwałbym kontrnatarcia na południu; wybrawszy zaś południe liczyłem się bardziej z uderzeniem przeciwnika z północy”[4].

Wybór południa, czyli Ukrainy, jako miejsca, na którym miała się rozegrać ofensywa wiosenna Wojska Pol-

FOT. POLONA.PL

Naczelny Wódz Józef Piłsudski i ataman Symon Petlura na dworcu w Winnicy w maju 1920 r.

skiego, oprócz przytoczonych już aspektów militarnych, miał także silną argumentację polityczną. Mieścił się bowiem w koncepcji federacyjnej Józefa Piłsudskiego i jego współpracowników, według której Rosja miała być odsunięta jak najdalej od granic Polski, zaś stworzone z pomocą Polski i pozostające z nią w sojuszu niepodległe państwa – w tym przede wszystkim Ukraina – miały stanowić gwarant bezpieczeństwa Rzeczypospolitej. Generał Tadeusz Kutrzeba pisał w *Wyprawie kijowskiej*: „celem wojny z Rosją w ujęciu Piłsudskiego było zdobycie należnych nam granic wschodnich i przyczynienie się do powstania na naszym wschodzie niezależnej od Rosji Republiki Ukraińskiej [...]. Pragnie Piłsudski silnej Polski promieniującej na wschód i pragnie wpływy Rosji ograniczyć do rozmiarów należnych narodowi rosyjskiemu w granicach zamieszkałych przez rdzenny żywioł rosyjski. Z rewolucji zrodzona, nowa Rosja winna wyrzec się carskich tendencji władania krajami i narodami, które sobie tej opieki rosyjskiej nie życzą”[5].

Ofensywa wiosenna

Piłsudski 17 kwietnia 1920 r. wydał rozkaz uderzenia na Wołyniu i Podolu. Operacyjnym celem ofensywy polskiej miało stać się rozbicie XII i częściowo XIV Armii sowieckich stacjonujących na Ukrainie. Miało to służyć celowi strategicznemu, czyli narzuceniu działań wojennych bolszewikom w momencie dla nich najmniej dogodnym, oraz celowi politycznemu – stworzeniu niepodległej Ukrainy. W pierwszej kolejności lewe skrzydło wojsk polskich miało uderzyć z Wołynia i zająć linię Korosteń – Żytomierz – Koziatyn (co powinno zdezorganizować tyły nieprzyjaciela), następnie jedna grupa wojsk polskich nacierałaby dalej wzdłuż szosy wołyńskiej, reszta zaś oddziałów polskich energicznym skrętem miała się zwrócić w prawo ku południowi, gdzie nastąpiłoby „wgniecenie” XII i XIV Armii sowieckiej do Dniestru bądź – w przypadku gdyby wycofały się przedwcześnie – rzucenie ich na flankę z jednoczesnym odcięciem od przepraw na Dnieprze. Po zakończeniu działań i rozgromieniu bolszewików na Ukrainie Piłsudski przewidywał pozostawienie na Ukrainie jako osłony armii ukraińskiej atamana Symona Petlury i przerzucenie części wojsk polskich na front północny, gdzie od początku kwietnia 1920 r. koncentrowały się znaczne siły Armii Czerwonej. W ocenie gen. Kutrzeby planowana operacja miała gwarancję powodzenia „tylko wtedy, jeżeli by przeciwnik bitwę przyjął, czyli gdyby stanął do obrony. Bitwa mogła się nie udać, jeżeliby natarcie nie zdołało pokonać obrońcy – na skutek za małych sił lub złego działania – lub jeżeliby obrońca bitwy nie przyjął, czyli dobrowolnie opuścił teren, odchodząc za Dniepr. Leżało w naszym interesie operacyjnym, aby XII Armię sowiecką pobić możliwie decydująco i przez to wytrącić z dalszej gry dosyć znaczną część sił sowieckich”[6]. ▶

FOT. POLONA.PL

1. Wejście wojsk polskich do Kijowa
2. Symon Petlura (z lewej) podczas przeglądu oddziałów ukraińskich, Kijów, maj 1920 r.
3. Wkroczenie wojsk polskich do Kijowa 8 maja 1920 r.
4. Oddziały polskie wkraczające do Kijowa.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Do ofensywy kijowskiej rozkazem Naczelnego Wodza wyznaczone zostały: 6 Armia gen. Wacława Iwaszkiewicza, która miała związać walkami XIV Armię bolszewicką i uderzyć na Winnicę, 2 Armia dowodzona przez gen. Antoniego Listowskiego z zadaniem przełamania sił bolszewickich pod Malinowem i Chudowem oraz zajęcia Berdyczowa i Koziatyna, 3 Armia pod dowództwem Piłsudskiego, w skład której wchodziły grupy operacyjne gen. Edwarda Śmigłego-Rydza z zadaniem zdobycia Żytomierza, 4 Dywizja mająca zająć Korosteń, grupa płk Józefa Rybaka uderzająca na Owrucz i przeprowadzająca zagon kawalerii na mosty kolejowe na Irszy i Teterowie oraz dywizja kawalerii gen. Jana Romera wykonująca zagon na węzeł koziatyński.

Piłsudski 22 kwietnia 1920 r. przybył do Kwatery Głównej Sztabu Ścisłego Naczelnego Wodza w Równem i po odprawie z dowódcami jednostek taktycznych biorących udział w ofensywie wydał rozkaz rozpoczęcia działań 25 kwietnia 1920 r. Dzień wcześniej podpisano umowę polityczną z atamanem Symonem Petlurą, w której Polska uznała prawo Ukrainy do samodzielnego życia państwowego.

FOT. POLONA.PL

3

4

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Ofensywa wojsk polskich i ukraińskich przyniosła w pierwszych dwóch dniach pasmo zwycięstw pod Żytomierzem, Berdyczowem, Owruczem, Koziatynem i Winnicą. Działania ofensywne rozdzieliły wojska sowieckie na obszarze Ukrainy, a XII Armia bolszewicka została zdziesiątkowana i pozbawiona pierwotnej zdolności bojowej. W liście z linii frontu skierowanym do premiera Leopolda Skulskiego Piłsudski pisał 26 kwietnia: „rozbitą jest w zupełności cała XII Armia bolszewicka. [...] wojsko [sowieckie] prawie niezdatne jest do jakiegokolwiek oporu i nadzwyczaj skłonne do własnowolnej demobilizacji. Wobec wielkiego wrażenia, jakie na cały kraj i nich samych wywarła nadzwyczajna szybkość naszych poruszeń, jestem skłonny przypuszczać, że rozkład ich wojska nastąpi bardzo szybko”[7].

O niepodległą Ukrainę

Równolegle z działaniami militarnymi Piłsudski prowadził aktywne zabiegi na rzecz zbliżenia polsko-ukraińskiego, co miało prowadzić do spełnienia politycznego wymiaru całej operacji. Od 26 kwietnia 1920 r. na terenach zajmowanych przez wojska polskie i ukraińskie kolportowano w postaci ulotek i plakatów *Odezwę do mieszkańców Ukrainy*. Napisana przez szefa Oddziału II Sztabu Generalnego Wojska Polskiego mjr Ignacego Matuszewskiego, a podpisana osobiście przez Józefa Piłsudskiego głosiła: „Ludności tych ziem czynię wiadomym, że Wojska Polskie usuną z terenów, przez naród ukraiński zamieszkałych, obcych najeźdźców, przeciwko którym lud ukraiński powstawał z orężem w ręku, broniąc swych sadyb przed gwałtem, rozbojem i grabieżą”[8]. Dalej Piłsudski deklarował, że wojska polskie pozostaną na Ukrainie tylko „przez czas potrzebny, by władzę mógł przejąć prawy rząd ukraiński”. Jednocześnie apelował, aby naród ukraiński dopomógł „wojsku Rzeczpospolitej Polskiej w jego krwawej walce o ich własne życie i wolność”[9].

W podobnym duchu na początku maja 1920 r. Naczelne Dowództwo wydało rozkaz do żołnierzy polskich, w którym zwracało uwagę, że celem ofensywy nie jest zajęcie i podporządkowanie Polsce Ukrainy. W rozkazie czytamy: „W interesie polskim leży jak najszybsze wojsk własnych z terenów zajętych i ustalenie dobrych sąsiedzkich stosunków z nowo powstałym państwem ukraińskim, aby w ten sposób zabezpieczyć znaczną część swojej granicy wschodniej od bezpośredniego niebezpieczeństwa ze strony wojsk bolszewickich. Okupacja polska Ukrainy musi być rozrachowana nie na lata ale na miesiące. Im prędzej zostaną stworzone regularne wojska ukraińskie [...] w tym dogodniejszym położeniu znajdzie się Państwo Polskie. Im zaś mniej będzie podczas wspólnej z władzami ukraińskimi pracy tarć i zadraśnięć, tym łatwiej ostateczny cel Polski będzie osiągnięty”[10].

Do wspólnej walki z bolszewicką Rosją zachęcał także ataman Symon Petlura, który w odezwie do swych rodaków pisał: „Wspólną walką zaprzyjaźnionych armii – ukraińskiej i polskiej – naprawimy błędy przeszłości, a krew wspólna przelana w bojach przeciw odwiecznemu historycznemu wrogowi – Moskwie, który ongiś zgubił Polskę i zaprzepaścił Ukrainę, uświęci nowy okres wzajemnej przyjaźni ukraińskiego i polskiego narodu”[11].

Generalnie ludność Ukrainy odnosiła się do wojsk polskich przyjaźnie. Jak wspominał uczestnik wydarzeń płk Kornel Krzeczunowicz, w Białej Cerkwi, gdzie schroniła się ludność z różnych stron Ukrainy, mieszkańcy „witają wojsko z nie dającą się opisać radością. W mgnieniu oka wszyscy ułani i konie ustrojeni są gałęziami bzu”[12]. Podobny obraz zawarł Piłsudski w depeszy do premiera Leopolda Skulskiego: „Ludność, jak dotąd, spotyka nas bardzo serdecznie. Nie zanotowano dotąd ani jednego wypadku oporu lub przeciwdziałania, a natomiast w wielu wypadkach czynną pomoc dobrowolnie niesioną przy naprawie dróg, przy udzielaniu ścisłych wiadomości o nieprzyjacielu. W niektórych wypadkach obrzucano wojsko kwiatami”[13].

Niestety, entuzjazm ludności nie przekładał się na masowy zaciąg do armii atamana Petlury. Mimo znacznego wsparcia ze strony polskiej werbunek i rozbudowa armii ukraińskiej, co stanowiło jeden z warunków powodzenia realizacji celów politycznych i militarnych, nie spełniały oczekiwanych rezultatów.

1

FOT. POLONA.PL

2

FOT. DOMENA PUBLICZNA

1. Gen. Edward Śmigły-Rydz przyjął defiladę polskich oddziałów.

2. Odwrót polskich oddziałów z miasta, maj 1920 r.

Analiza sytuacji na froncie dawała Naczelnemu Dowództwu Wojska Polskiego przekonanie, że zdziesiątkowane XII i XIV Armie sowieckie wycofujące się w stronę Kijowa i koncentrujące się wokół historycznej stolicy Ukrainy podejmą bitwę o miasto. W tej sytuacji Piłsudski przystąpił do planu zdobycia Kijowa. W dniach 2–5 maja 1920 r. nastąpiło przegrupowanie wojsk polskich i sprzymierzonych oddziałów ukraińskich. Te ostatnie wraz z 6 Armią gen. Wacława Iwaszkiewicza oraz 2 Armią gen. Antoniego Listowskiego miały zabezpieczać od południa strefę decydujących działań bojowych i osłaniać linię kolejową Mohylów Podolski – Koziatyn – Kijów. Główne uderzenie na Kijów miało zostać wykonane przez 3 Armię, której od 3 maja 1920 r. w całości przewodził gen. Śmigły-Rydz. Według założenia bitwa stoczona o miasto miała doszczętnie rozbić siły bolszewickie.

Wiktoria kijowska

Plany polskie częściowo pokrzyżowała decyzja dowódcy sowieckiego Frontu Południowo-Zachodniego Aleksandra Jegorowa, który zarządził wycofanie się zdziesiątkowanych oddziałów sowieckich na wschodni brzeg Dniepru bez podjęcia prób obrony miasta i stoczenia decydującej bitwy z wojskami polskimi. Zajęcie Kijowa 6 i 7 maja 1920 r. odbyło się przy niewielkich starciach z resztkami sił bolszewickich pozostających na przedpolach miasta. Pierwszy patrol zwiadowczy ułanów z 1 Pułku Szwoleżerów wjechał do Kijowa... tramwajem. Miasto 7 i 8 maja 1920 r. było w całości zajęte przez wojska polskie 1 i 15 Dywizji Piechoty i oddziały ukraińskie. W mieście zapanowała euforia. Jak wspominał uczestnik wydarzeń płk Adam Ludwik Korwin-Sokołowski „nigdy nie zapomnę ogromnego wrażenia, gdy zostaliśmy powitani przez ogromne wprost tłumy różnojęzycznej ludności, która dosłownie zarzuciła nas kwiatami i wiwatowała na naszą cześć w językach polskim, ukraińskim i nawet rosyjskim. Na siodłach brakło wprost miejsca na kwiaty”[14]. Sam Piłsudski był wręcz zdumiony entuzjastycznym powitaniem wojsk polskich. W liście do Aleksandry Szczerbińskiej z 8 maja 1920 r. pisał: „losy są rzeczywiście zabawne: żeby Polaków witano w Kijowie z zapałem i radością, żeby Rosjanki sypały kwiatami na oficerów i żołnierzy, żeby całe miasto [...] było roześmiane i zadowolone, to już doprawdy Nemezis dziejowa [...]. Wyobraź sobie, poszły

od razu tramwaje, naprawiono wodociągi i zaczęto czyścić miasto, które było niemożliwie brudne”[15].

Uroczystą defiladę wojsk polskich i ukraińskich odebrał 9 maja 1920 r. dowódca 3 Armii gen. Edward Śmigły-Rydz, zaś dowództwo miasta przejął ppłk Józef Olszyna-Wilczyński. Równocześnie wznowiono werbunek do oddziałów ukraińskich, tworząc w ciągu kilku dni ukraińską artylerię konną. Dowództwo polskie podjęło także decyzję o utworzeniu przedmościa na wschodnim brzegu Dniepru, sięgającego aż po Browary. To zabezpieczenie miasta od strony wschodniej dokonane przez walczące z bolszewikami oddziały 1 i 15 Dywizji Piechoty miało na celu „zachowanie [Kijowa] w stanie […] niewojennym, umożliwiającym w mieście pracę polityczną i organizacyjną, zmierzającą do sformowania wojska ukraińskiego”[16].

Zajęcie Kijowa przez wojska polskie, odbicie historycznej stolicy Ukrainy z rąk bolszewickich i wspieranie budowy niepodległego państwa ukraińskiego, co mogło skutecznie przemodelować geopolityczny kształt Europy Środkowo-Wschodniej, wywołało burzliwe reakcje na zachodzie Europy. Nieukrywający niechęci do odrodzonego państwa polskiego premier Wielkiej Brytanii David Lloyd George stwierdził publicznie, że „Polacy mają skłonność do arogancji i powinni uważać, by nie dostać po łbie”[17]. We Francji i w Anglii na początku maja rozpoczęła się fala strajków, których uczestnicy solidaryzowali się z Rosją sowiecką. Jak w książce *Orzeł biały – czerwona gwiazda* napisał prof. Norman Davis: „kampania kijowska wywołała hałaśliwe protesty. W tym okresie po raz pierwszy zaczął odnosić triumfy komitet »Ręce precz od Rosji«. W dniach 9–10 maja 1920 r. dokerzy londyńscy zbojkotowali statek »Jolly George« załadowany wojskowym zaopatrzeniem, zakupionym w Anglii przez rząd polski”[18].

Polacy przyjęli wiadomość o zdobyciu Kijowa z ogromnym entuzjazmem i radością. Jak pisał Stanisław Cat-Mackiewicz: „Powstaje sen o Polsce cofniętej do czasów Władysława IV”[19]. Ówczesna prasa pełna była porównań historycznych. Pisano, że wiktoria kijowska jest pierwszym od wiktorii wiedeńskiej 1683 r. wielkim triumfem oręża polskiego. Entuzjazm udzielał się nawet środowiskom narodowym, których przedstawiciele generalnie krytykowali wcześniej politykę wschodnią Piłsudskiego. Piłsudski witany był 18 maja 1920 r. w Warszawie niemal jak powracający spod Wiednia król Jan III Sobieski. Odbyła się uroczysta Msza św. w kościele św. Aleksandra, podczas której biskup polowy Wojsk Polskich Stanisław Gall zaintonował *Te Deum*. Młodzież akademicka wśród rozentuzjazmowanych tłumów mieszkańców wyprzęgła konie z powozu Marszałka i osobiście odwiozła go do Belwederu. Tego samego dnia na specjalnym posiedzeniu Sejmu Ustawodawczego, marsz. Wojciech Trąmpczyński, dotychczas jeden z największych antagonistów Piłsudskiego, stwierdzał: „Sejm cały, przez usta moje, wita Cię, Wodzu Naczelny, wracającego ze szlaku Bolesława Chrobrego. Od czasów Kircholmu i Chocimia naród polski takich triumfów oręża swego nie przeżywał. Historia nie widziała jeszcze kraju, który by w tak trudnych warunkach jak nasz tworzył swą państwowość. W takiej to chwili zwycięski Twój pochód na Kijów dał narodowi poczucie własnej siły, wzmocnił wiarę we własną przyszłość, wzmógł jego dzielność duchową, a przede wszystkim stworzył podstawę do pomyślnego i stałego pokoju, którego wszyscy tak bardzo pragniemy. […]. Czynem orężnym zaświadczyłeś nie tylko o dzielności polskiego ramienia, ale wyrwałeś z piersi narodu i w sztandar zamieniłeś jego najlepszą tęsknotę, jego rycerstwo w służbie wolności narodów”[20]. Jak zapisał w pamiętnikach Maciej Rataj, okrzyki „Niech żyje Piłsudski!” dobywały się z ław poselskich z każdej strony: z lewicy, prawicy i centrum[21].

Odwrót

W geopolityce istnieje niepisana zasada: „kto rządzi Kijowem, ten ma klucz do Rosji”. Triumf oręża polskiego był ciosem dla bolszewickiej Rosji. Jej przywódcy dostrzegli potężne zagrożenie. Już w pierwszych dniach maja 1920 r., gdy Polacy zajmowali Żytomierz, Lenin w specjalnej odezwie sygnowanej także przez Michaiła Kalinina i Gieorgija Cziczerina wezwał cały naród rosyjski do walki z Polską „największym wrogiem, który chce zagarnąć Ukrainę z Kijowem”. Propaganda bolszewicka zręcznie rozbudzała ducha imperializmu rosyjskiego, odwołując się już nie do haseł klasowych, lecz… narodowych. Jak opisywał Władysław Pobóg-Malinowski, skutecznie podsycano „stary moskiewski nacjonalizm. Nie tylko robotników i chłopów, ale w ogóle wszystkich obywateli Rosji wzywano do zgodnego odparcia zakusów Piłsudskiego”[22]. Taki chwyt propagandowy – notabene powtórzony przez Stalina w chwili wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej w 1941 r. – przynosił efekty. Do Armii Czerwonej zaczęli masowo zgłaszać się nawet ci, którzy szczerze nie znosili bolszewizmu. Na przykład w Moskwie powołano Radę Rzeczoznawców Wojskowych, na czele której stanął gen. Aleksiej Brusiłow, były naczelny wódz armii rosyjskiej. Wydał on specjalną odezwę do oficerów byłej armii rosyjskiej, w której wzywał, aby „zapomnieli o doznanych krzywdach […] i ze wszystkich sił bronili drogiej nam Rosji i nie dopuścili do jej uszczuplenia”[23]. Na wiecu w Homlu 10 maja 1920 r. ludowy komisarz spraw wojskowych i morskich Lew Trocki roztaczał w przemówieniu wizję „białego orła z odrąbaną głową” i sowieckiej Polski jako pomostu, po którym Armia Czerwona wejdzie do Europy[24]. Wtórował mu kilka tygodni później marsz. Tuchaczewski, pisząc w rozkazie: „Armia spod Czerwonego Sztandaru i armia Białego Orła ▶

stają twarzą w twarz, w śmiertelnym pojedynku. Na naszych bagnetach poniesiemy szczęście i pokój ludzkości pełnej mozołu. [...] Nim minie lato, a przemkniemy ze stukotem kopyt ulicami Paryża”[25].

Ofensywa Frontu Zachodniego Tuchaczewskiego rozpoczęła się 14 maja 1920 r. Sowieci, odpierając Polaków, dotarli do linii Hermanowicze – Berezyna. Z kolei na południu głównodowodzący sił bolszewickich Sergiusz Kamieniew podjął decyzję o użyciu 1 Armii Konnej Siemiona Budionnego, by przy jej pomocy odbić Kijów z rąk polskich. Armia Budionnego walcząca do początku 1920 r. z wojskami Denikina była najsilniejszą jednostką bojową Armii Czerwonej. Bolszewicy określali ją jako następczynię zagonów Czyngis-chana. Liczyła ponad 20 tys. żołnierzy, miała 3 eskadry lotnicze, 4 pociągi pancerne, 84 wozy pancerne i silną artylerię. Armia Konna została przetransportowana w okolice Kijowa w końcu maja 1920 r. z zadaniem przełamania frontu wojsk polskich, wejścia na jego tyły, zniszczenia 3 Armii gen. Śmigłego-Rydza pod Kijowem oraz rozbicia 2 i 6 Armii polskich między Dnieprem a Dniestrem. Ofensywa Armii Konnej rozpoczęła się 27 maja 1920 r.

W tej sytuacji Piłsudski 8 czerwca 1920 r. podjął decyzję o wycofaniu z Kijowa 3 Armii. Rozkaz taki otrzymał 10 czerwca 1920 r. gen. Śmigły-Rydz. Zgodnie z intencją Piłsudskiego 3 Armia miała po opuszczeniu Kijowa doprowadzić do decydującego starcia z Armią Konną. Tymczasem gen. Śmigły-Rydz inaczej zrozumiał intencje Naczelnego Wodza. Założył, że ma wycofać się z Kijowa, nie tracąc jedynie zdolności bojowej swojej armii. Istotnie odwrót z Kijowa przeprowadzony był bardzo sprawnie i po krwawej bitwie pod Borodzianką, która rozegrała się w nocy z 11 na 12 czerwca 1920 r., wojska polskie otworzyły sobie bezpieczną drogę na północny zachód, nie tracąc nic z wartości bojowej.

W okresie międzywojennym w wielu akademiach wojskowych, nawet w sowieckich, przykład wycofania się 3 Armii z Kijowa podawano jako wzorcowy dla prowadzenia tego typu operacji. Po wyjściu wojsk polskich z Kijowa zgodnie jednak z oczekiwaniami Piłsudskiego miało dojść do podjęcia walk w celu wyeliminowania bojowego Armii Konnej. W *Roku 1920* Piłsudski pisał: „pierwsza moja próba dla walki z Budionnym polegała na zespoleniu oddziałów dla uderzenia na jazdę Budionnego, gdy stał jeszcze między nimi w Żytomierzu i okolicach. Projekt ten spełzł na niczym. Dałem wyraźny rozkaz do gen. Śmigłego, by porzucił, niepotrzebne w tej sytuacji, stanie w Kijowie, odwrót swój skierował wzdłuż szosy Kijów – Żytomierz, uderzając w ten sposób na główne siły Budionnego koło Żytomierza. Mógł być wtedy poparty w boju przez lewe skrzydło 6 Armii i zgrupowaną koło Koziatyna naszą jazdę... W niewytłumaczalny dotąd dla mnie sposób [...] wycofał on [Śmigły-Rydz] swoje wojsko w kierunku północno-zachodnim wzdłuż kolei Kijów – Korosteń – Sarny, tj.

wzdłuż Polesia południowego, jak gdyby omijając starannie możliwości zetknięcia się z jazdą Budionnego”[26]. Marszałek sugerował, że stało się tak z powodu niedotarcia do gen. Śmigłego-Rydza depeszy z dokładnymi instrukcjami w tej sprawie. Mogło być jednak tak, jak sugerował po latach gen. Kutrzeba, że rozkaz Naczelnego Wodza z 10 czerwca 1920 r. był nie do końca precyzyjny i nie dawał gen. Śmigłemu wyraźnego sygnału do rozpoczęcia walk z Budionnym. Po wyjściu z Kijowa siły polskie w znacznej części powróciły na pozycje sprzed ofensywy kwietniowej. Lewe skrzydło wojsk polskich wycofało się na linię rzeki Uborć. Dwukrotne próby podjęcia walk z Armią Konną zakończyły się niepowodzeniem. Bolszewicy zajęli 5 lipca 1920 r. Równe. Zarządzono odwrót na linię rzeki Zbrucz, aby osłaniać Lwów. Równocześnie na północy ruszyła ofensywa Tuchaczewskiego. Wielkimi krokami nadchodziło decydujące starcie, w którym stawką była nie tylko niepodległość Polski, ale obrona całej cywilizacji europejskiej przed komunizmem.

Czy było warto?

Operacja kijowska 1920 r. miała trzy cele: polityczny, strategiczny i operacyjny. Cel polityczny, tj. utworzenie sprzymierzonego z Polską państwa ukraińskiego, nie

FOT. POLONA.PL

Uroczyste nabożeństwo w kościele św. Aleksandra w Warszawie po powrocie Józefa Piłsudskiego z Kijowa.

został zrealizowany. Ukraińska Republika Ludowa rozumiejącego potrzebę sojuszu z Polską atamana Symona Petlury, wobec rozwoju sytuacji na froncie, nie utrzymała się długo. Można powiedzieć śmiało: niestety. Inaczej zapewne potoczyłyby się losy Rzeczypospolitej i Europy Środkowo-Wschodniej.

Cel strategiczny polegający na narzuceniu bolszewikom działań zbrojnych w chwili i miejscu dla nich najmniej korzystnych, został w ocenie historyków w pełni zrealizowany. Cel operacyjny zakładający rozbicie XII i XIV Armii sowieckich, odrzucenie ich za górny Dniepr i sformowanie na zdobytych terenach armii ukraińskiej zrealizowano tylko w części. Wprawdzie w początkowej fazie działań zbrojnych zdziesiątkowane zostały XII i XIV Armia oraz część XVI Armii, to jednak ich wycofanie się z Kijowa i nieprzyjęcie bitwy, wycofanie za Dniepr i częściowe odnowienie stanu bojowego wspartego Armią Konną Budionnego, udaremniły rozbicie sił bolszewickich na południu. W ocenie gen. Kutrzeby, Wojsko Polskie zgrupowało z kolei na Ukrainie zbyt małe siły, aby jej bronić. Miało za mało czasu na sformowanie silnej i sprzymierzonej z Polską armii ukraińskiej. „Skutkiem tego oraz z powodu niepobicia na czas Armii Konnej Budionnego – stwierdzał Kutrzeba – nie mogliśmy w zamierzonym czasie skoncentrować głównych sił polskich do walnej rozprawy z głównymi siłami Rosji. Uczyniliśmy to dopiero w sierpniu. Że ta walna rozprawa nastąpiła nad Wisłą, a nie wcześniej np. nad Bugiem, nie jest skutkiem wyprawy kijowskiej, ale operacji, które się odbywały na północ od Polesia i które doprowadziły do przedwczesnego i nieoczekiwanego upadku Brześcia nad Bugiem. Na bitwę nad Wisłą wyprawa kijowska wpłynęła ujemnie, ale jedynie dla strony sowieckiej”[27].

Ogólny bilans strat i zysków operacji kijowskiej był dla Polski korzystny. Oczywiście, jeżeli nie traktujemy jej jedynie jako epizodu wojennego, ale jak ważny wstęp do rozstrzygającej kampanii w wojnie polsko-bolszewickiej. Wojnie, która była w istocie zderzeniem dwóch cywilizacji i starciem dwóch światów. Ze szczęściem dla świata łacińskiego zwycięstwo w Bitwie Warszawskiej, a później niemeńskiej pokrzyżowało agresywne plany bolszewickiej Rosji, która dążyła do podporządkowania sobie Europy aż po Gibraltar. To jedna z najważniejszych spraw, za które Europa winna być zawsze wdzięczna Polsce i Polakom. ■

JAN JÓZEF KASPRZYK historyk, publicysta, autor wielu publikacji poświęconych historii II Rzeczypospolitej, prezes Związku Piłsudczyków, wieloletni komendant Związku Strzeleckiego „Strzelec” Organizacji Społeczno-Wychowawczej oraz Marszu Szlakiem I Kompanii Kadrowej, radny warszawskiego samorządu, od 2016 r. szef Urzędu do spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych.

[1] J. Piłsudski, *Pisma – Mowy – Rozkazy, Warszawa 1937*, t. VII, s. 236. [2] M. Kukiel, *Z doświadczeń kampanii roku 1920 na Ukrainie i w Małopolsce*, Warszawa 1921, s. 4. W przytoczonym fragmencie – pisownia oryginalna. [3] T. Piskor, *Działania dywizji kawalerii na Ukrainie od 20.IV.1920 r.*, Warszawa 1926, s. 8. [4] J. Piłsudski, *Pisma zbiorowe*, Warszawa 1937, t. VII, s. 26–27. [5] T. Kutrzeba, *Wyprawa kijowska*, Warszawa 1937, s. 39. [6] Tamże, s. 54. [7] Cyt. za: K. Świtalski, *Listy Józefa Piłsudskiego*, „Niepodległość”, t. VII, Londyn – Nowy Jork 1962, s. 87. [8] J. Piłsudski, *Pisma...*, t. V, s. 155–156. [9] Tamże. [10] Cyt za: T. Kutrzeba, *Wyprawa...*, s. 57. [11] Cyt. za: „Żołnierz Polski”, nr 115 z 8 maja 1920 r. [12] Cyt. za: B. Skaradziński, *Polskie lata 1919–1920*, Warszawa 1993, t. II, s. 67. [13] Cyt. za: K. Świtalski, *Listy...*, t. VII, s. 87. [14] A. Korwin-Sokołowski, *Fragmenty wspomnień 1910 – 1945*, Paryż 1985, s. 47. [15] Cyt. za: W. Jędrzejewicz, J. Cisek, *Kalendarium życia Józefa Piłsudskiego 1867–1935*, Kraków – Łomianki 2006, t. II, s. 352 [16] S. Rutkowski, *Obrona Kijowa*, Warszawa 1932, s. 10–11. [17] Cyt. za: J.J. Kasprzyk, *Polacy w walce o niepodległość Ukrainy*, Warszawa 1997, s. 25. [18] Por. B. Skaradziński, *Polskie lata...*, t. II, s. 73. [19] S. Cat-Mackiewicz, *Historia Polski od 11 listopada 1918 r. do 17 września 1939 r.*, Warszawa 1990, s. 122. [20] Cyt. za: J. Borkowski, *Wojna polsko-radziecka we wspomnieniach i innych dokumentach*, Warszawa 1990, s. 172–173. [21] M. Rataj, *Pamiętniki 1918–1927*, Warszawa 1965, s. 87. [22] W. Pobóg-Malinowski, *Najnowsza historia polityczna Polski*, t. II, Londyn 1961, s. 436. [23] Tamże, s. 437. [24] Por. W. Materski, *Tarcza Europy. Stosunki polsko-sowieckie 1918–1939*, Warszawa 1994, s. 52. [25] Cyt. za A.L. Szcześniak, *Wojna polsko-radziecka 1919–1920*, Warszawa 1990, s. 31. [26] J. Piłsudski, *Pisma...*, t. VII, s. 47. [27] Tamże, s. 333.

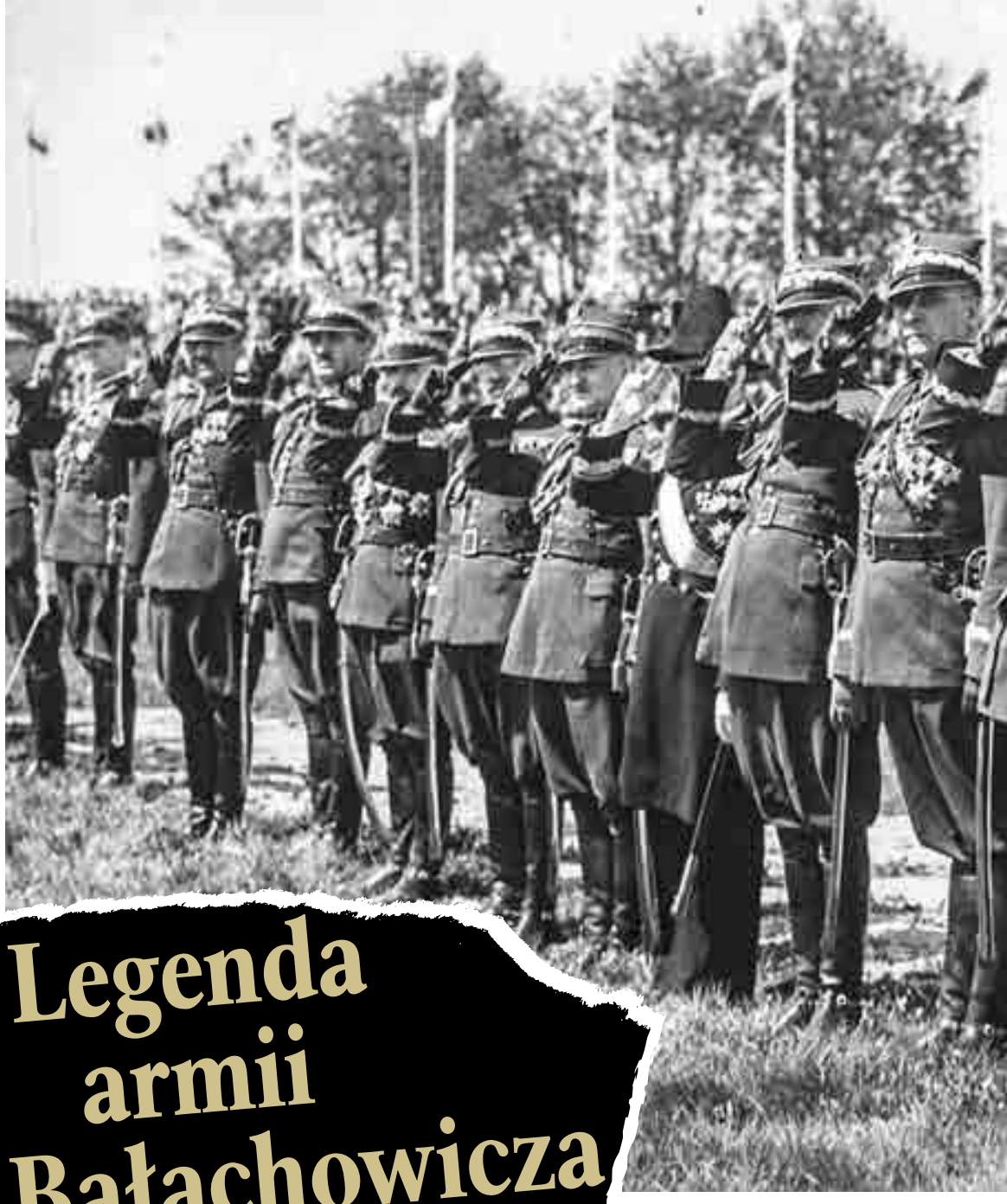

Rewia wojskowa na Polu Mokotowskim w Warszawie, 3 maja 1936 r. Drugi od lewej gen. Stanisław Bułak-Bałachowicz.

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Legenda armii gen. Bałachowicza

„Trudno było uprzytomnić sobie, jak to się stało, faktem jednak, że nieprzyjacielska konnica naskoczyła nie od południa, skąd jej oczekiwano, a właśnie od północy, od Podbłocia, od Stawek. Stosując przy tym nową taktykę: bez strzałów, bez krzyku i dzikiego »gikania«, nagle, skacząc na dobrych koniach przez szyny i szpały, wyłonili się z szarugi dżdżystego poranka jeźdźcy Bałachowicza z gołymi szablami. Fakt jest też, że padł jeden jedyny tylko, przytłumiony wilgocią strzał karabinowy. Obsługa pociągu pancernego, mimo że złożona z partyjnych komunistów, podniosła ręce nie stawiając oporu”[1] – tak o armii gen. Bałachowicza pisał w powieści *Lewa wolna* Józef Mackiewicz, jeden z najwybitniejszych prozaików XX w.

ANDRZEJ ŁYDKA

Podczas wojny polsko-bolszewickiej po polskiej stronie stanęło wiele jednostek wojskowych sformowanych z obcokrajowców. Celem ich walki była wolność ich narodów.

Jednym z takich oddziałów była grupa gen. Stanisława Bułaka-Bałachowicza, którą już wówczas otaczała legenda. Grupa doczekała się zarówno opracowań naukowych, popularnonaukowych, jak i obecności w literaturze pięknej wysokich lotów.

Armia z legendą

Przedwojenny eserowiec (członek rosyjskiej Partii Socjalistów-Rewolucjonistów) Stanisław Bułak-Bałachowicz na początku Wielkiej Wojny wstąpił do 2 Kurlandzkiego Pułku Lejb-Ułańskiego Imperatora Aleksandra II jako ochotnik w stopniu praporszczika (chorążego). W latach 1915–1917 na czele szwadronu wchodzącego w skład oddziału atamana Leonida Punina prowadził walkę partyzancką na tyłach Niemców. Po wyleczeniu ran i rekonwalescencji wstąpił w lutym 1918 r. do Armii Czerwonej i sformował w Petersburgu pułk ułanów złożony w większości z Polaków. Wysłany z tą formacją pod Ługę do stłumienia powstania barona von Korffa, wykonał zadanie bez strat po obu stronach, a następnie zlikwidował komisarzy w pułku i przebił się do Pskowa. Tam z kolei pobił usiłujących go rozbroić Niemców, przeszedł do Estonii i rozpoczął walkę przeciwko bolszewikom. Estonia odwdzięczyła mu się awansem na podpułkownika.

Według stanu na dzień 30 stycznia 1919 r. oddział płk. Bułaka-Bałachowicza liczył 217 oficerów, 248 podoficerów i 639 szeregowców, 15 urzędników, 8 lekarzy, 3 siostry miłosierdzia i 20 felczerów. Razem 1150 ludzi i 467 koni. W zestawieniu tym widać duży procent oficerów i podoficerów, charakterystyczny dla formacji białogwardyjskich podczas wojny domowej w Rosji.

W maju 1919 r. Bałachowicz wszedł ze swoim oddziałem w skład Frontu Północno-Zachodniego gen. Nikołaja Judenicza i został dowódcą grupy wypadowej, z którą zdobył Gdów, a później Psków. Judenicz awansował Bałachowicza na pułkownika, następnie na generała. „Bezpańskie" wojsko Bałachowicza nosiło na czapkach orzełki, czym doprowadzało do szewskiej pasji „białych" generałów. Po zawarciu pokoju estońsko-bolszewickiego w styczniu 1920 r. gen. Judenicz rozwiązał swoją armię, miesiąc później gen. Stanisław Bułak-Bałachowicz zwrócił się do rządu polskiego – za pośrednictwem polskiego attaché wojskowego w Rydze – z propozycją przyjęcia jego oddziałów „pod skrzydła Orła Białego". Po siedmiusetkilometrowym rajdzie przez tereny, na których wszyscy bili się ze wszystkimi, zakończonym przybyciem do Dyneburga, oddział Bałachowicza (ok. 800 żołnierzy) przywitał gen. Edward Śmigły-Rydz z honorami wojskowymi i orkiestrą.

Każda wojna generuje żołnierzy na własne potrzeby i zgodnie ze swoimi wymaganiami. Inne wymagania ma wojna regularna, inne zaś – wojna nieregularna. Podjazdowa, szarpana, jaką na tyłach wojsk niemieckich w Kurlandii prowadził Stanisław Bułak-Bałachowicz, wymagała żołnierzy o specyficznych cechach, których nie przewidziano w regułach i regułkach regulaminów. Bałachowicz należał do tych dowódców, którzy sami dobierają sobie podwładnych i za którymi żołnierze idą z własnej woli. Jego grupa stanowiła istny konglomerat: „wojsko, jakiego dotąd nie widziałem. Zupełnie inne niż nasze, inne niż rosyjskie czy niemieckie. Niepodobne do żadnego [...], z braku odpowiedniej ilości mundurów każdy chodził w czym miał, a wszystko to razem tworzyło barwną, egzotyczną mozaikę. Wrażenie zupełnie odrębnego wojska potęgowała

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Uroczystość z udziałem członków Federacji Polskich Związków Obrońców Ojczyzny. Czwarty od lewej w pierwszym rzędzie gen. Stanisław Bułak-Bałachowicz.

jeszcze różnorodność typów fizycznych, poczynając od rasowych typów Kaukazu, poprzez azjatyckie typy Tatarów, Kałmuków i Mongołów, po wielkoruskich blondynów, Białorusinów i Ukraińców, aż do naszych Jaśków i Antków [...]. Nie zabrakło również synów Izraela"[2], pisał oficer łącznikowy przy grupie gen. Bułaka-Bałachowicza, por. Stanisław Lis-Błoński.

Żołnierze gen. Stanisława Bułaka-Bałachowicza

Po przybyciu do Polski grupę gen. Bałachowicza rozmieszczono w twierdzy Brześć, gdzie miała zostać zreorganizowana. Ze strony polskiej nad jej organizacją czuwała Ekspozytura Ministerstwa Spraw Wojskowych, kierowana przez kpt. Juliusza Ulrycha. Rekrutację przeprowadzano w obozach jenieckich i obozach internowanych, gdzie przetrzymywano wziętych do niewoli bolszewików oraz żołnierzy formacji białogwardyjskich, które znalazły się na terytorium Polski. Zgłaszali się również Polacy. „Tu przychodzili i tacy, których pociągała egzotyczność środowiska i niecodzienność jego bytowania – urok tej wojenki nieregularnej, pełnej fantazji kawaleryjskiej, podobnej do walk dawnych zagończyków – jak i tacy, którzy z kraju czy też z własnej armii musieli uciekać przed wymiarem sprawiedliwości za dezercję lub inne jeszcze poważniejsze sprawki"[3].

Jeszcze przed ukończeniem reorganizacji, na żądanie gen. Bułaka-Bałachowicza, jego grupa 9 czerwca 1920 r. została skierowana na front. Weszła w skład grupy płk. Józefa Rybaka, a następnie pełniła obowiązki oddziału łącznikowego pomiędzy Grupą Poleską gen. Władysława Sikorskiego a 3 Armią gen. Zygmunta Zielińskiego. Na południe od Prypeci grupa gen. Bułaka-Bałachowicza 3 lipca wzięła do niewoli sztab 2 Brygady Strzelców, a potem broniła linii Styru. Oddziały gen. Bałachowicza 7 lipca dokonały wypadu na tyły przeciwnika w okolicach miejscowości Wieledniki i Owrucz, paraliżując działania bolszewików. Podczas odwrotu armii

gen. Bułak-Bałachowicz oderwał się wraz z kilkoma szwadronami od sił głównych i od 3 do 9 sierpnia prowadził skuteczną dywersję na tyłach nacierających bolszewików. Podczas polskiej kontrofensywy znad Wieprza grupa gen. Bałachowicza nacierała po śladach swojego odwrotu, biorąc wielu jeńców i zdobycz wojenną. Oddziały grupy 15 września wyzwoliły Kamień Koszyrski, wzięły 1 tys. jeńców i ok. 500 wozów taborowych, podczas walk o miejscowości Derewek i Lubieszów rozbito 22 września 88 Pułk Strzelców, który stracił ok. 400 jeńców. Grupa gen. Bułaka-Bałachowicza liczyła wtedy ok. 1800 bagnetów i ok. 800 szabel. Uzupełniała poniesione straty ochotnikami spośród wziętych do niewoli bolszewików. Generał zezwolił swoim żołnierzom na to, by nie brali do niewoli komisarzy bolszewickich, co było usankcjonowaniem obowiązującego podczas tej wojny zwyczaju. Grupa 26 września zajęła Pińsk, w którym wzięła do niewoli sztab odtwarzanej przez bolszewików 4 Armii (bez dowódcy i szefa sztabu), ogółem 400 oficerów i 2 tys. szeregowych oraz olbrzymią zdobycz w kilkuset wagonach kolejowych, w tym kilkadziesiąt czarnych komisarskich skórzanych kurtek porzuconych w popłochu przez właścicieli. Natomiast 30 września została zluzowana przez 18 Dywizję Piechoty gen. Franciszka Krajowskiego. Pińsk był końcem szlaku bojowego grupy gen. Bułaka-Bałachowicza w wojnie polsko-bolszewickiej.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Estoński plakat propagandowy z czasów wojny o niepodległość.

Żołnierze gen. Bałachowicza dopuścili się wielu gwałtów, morderstw i rabunków dokonywanych na ludności cywilnej, zwłaszcza na Żydach, których posądzali o probolszewickie sympatie. Generał wydawał rozkazy zabraniające gwałtów i mordów pod groźbą postawienia przed plutonem egzekucyjnym, ale przestępcy w większości pozostawali bezkarni. Chociaż kiedy generał był obecny w oddziałach, liczba przestępstw malała.

Poszukiwania sojuszu z „trzecią" Rosją

Józef Piłsudski uważał demokrację w Rosji i wolność Ukrainy za niezbędne warunki zapewnienia niepodległości Polski. Od 1917 r. istniała Rosja „czerwona", czyli bolszewicka Rosja Włodzimierza Lenina i Lwa Trockiego jako nieludzki i antyludzki eksperyment. Była również Rosja „biała" – generałów Antona Denikina, Nikołaja Judenicza i Piotra Wrangla. Rosja „biała" to Rosja „jedna i niepodzielna", nie wyobrażano sobie jej istnienia bez Ukrainy. Do żadnej Rosji, „czerwonej" ani „białej", Polska nie mogła mieć zaufania.

Piłsudski poszukiwał tej „trzeciej" Rosji, demokratycznej. Państwa, które uzna polskie granice i aspiracje. Partnerem Piłsudskiego został dawny lewicowy terrorysta i członek Partii Socjalistów-Rewolucjonistów, Borys Sawinkow. To on uosabiał „trzecią" Rosję, państwo, które mogło zrezygnować w rokowaniach z Polską z granicy z 1914 r. w odpowiedzi na polską deklarację o rezygnacji z granicy z 1772 r. Borys Sawinkow i gen. Stanisław Bułak-Bałachowicz 28 sierpnia 1920 r. podpisali umowę, na mocy której grupę gen. Bałachowicza podporządkowano politycznie Sawinkowowi i jego Rosyjskiemu Komitetowi Politycznemu. W przypadku wejścia na terytorium rosyjskie miała ona organizować samorząd lokalny i władze zgodnie z planami Sawinkowa. Generał Bułak-Bałachowicz w art. 5 umowy zagwarantował sobie strategiczną odrębność od innych formacji rosyjskich.

Jak stwierdził Piłsudski: „Idąc w głąb Ukrainy, ale tylko do granic 72 r., przez to samo nie uznajemy rozbioru i głosząc samostijność na tych ziemiach, jakby poprawiamy błędy naszych przodków. [...] Granic 72 r. tworzyć nie mogę, jak kiedyś chciałem, Polska nie chce tych kresów, Polska nie chce ponosić ofiar [...]. Zatem innego wyjścia nie ma – jak spróbować stworzyć samostijną Ukrainę"[4]. Istnieją relacje i świadectwa świadczące o tym, że Piłsudski podobnie chciał stworzyć niepodległą Białoruś. Jednak w październiku 1920 r., po zawarciu rozejmu, wycofał Wojsko Polskie z gry o niepodległe państwa na wschodzie. W grze pozostała grupa gen. Bałachowicza, wojska ukraińskie gen. Mychajły Omelianowicza-Pawlenki oraz rosyjskie oddziały gen. Borysa Peremykina, podporządkowane gen. Piotrowi Wranglowi. W październiku i listopadzie 1920 r. w niewielkich odstępach czasu nastąpiły trzy akcje wojsk, które pod względem politycznym nie podlegały polskim władzom: na północy „zbuntował się" gen. Lucjan Żeligowski wraz z całą 1 Dywizją Litewsko-Białoruską i pomaszerował na Wilno, na środkowym

odcinku linii demarkacyjnej trzy dywizje piechoty dowodzone przez gen. Bułaka-Bałachowicza ruszyły w kierunku na Mińsk, a na południu ukraińskie wojsko Symona Petlury i rosyjskie Peremykina wymaszerowały na Kijów. Za te „bunty" i działania Naczelnik Państwa, Józef Piłsudski, już nie odpowiadał.

Rosyjska Ludowa Armia Ochotnicza

W Rozkazie nr 11262 Ministerstwa Spraw Wojskowych z 28 września 1920 r. wojska gen. Bułaka-Bałachowicza otrzymały nazwę: Odrębna Armia Sprzymierzona. Tym samym siły te uzyskały status armii sojuszniczej. Generał nazwał ją Rosyjską Ludową Armią Ochotniczą (Russkaja Narodnaja Dobrowolczeskaja Armia, RNDA). Liczyła ona ogółem ok. 20 tys. żołnierzy, z tego w jednostkach bojowych ok. 14 750, w tym 75% walczących, czyli 11050 bagnetów i szabel. Składała się z: 1 Dywizji (Śmierci) płk. (gen.-mjr.) Aleksandra Matwiejewa, 2 Mińskiej Dywizji płk. Leonarda Mikoszy, 3 Dywizji Wołoskiej (Białoruskiej) gen.-mjr. Michaiła Jarosławcewa, Brygady Włościańskiej (złożonej z Czeczeńców, Azerów i Tatarów) atamana Iskry-Łochowickiego, Dywizji Kawalerii płk. Siergieja Pawłowskiego, Samodzielnego Pułku Tubylczego Kawalerii płk. Madatjana, Pułku Kozaków Dońskich płk. Grigorija Duchopielnikowa, osobistej sotni gen. Stanisława Bułaka-Bałachowicza, 1 eskadry lotniczej ppłk. Dremicza i 2 eskadry lotniczej ppłk. Mikołaja Stanisławskiego (inwalidy bez nogi).

Po zakończeniu działań bojowych przybył do Pińska jeden z najbardziej zaufanych oficerów marsz. Piłsudskiego, mjr Wacław Jędrzejewicz. Przeprowadził inspekcję wojska, zapoznając się ze stanem wyszkolenia tej armii, jej uzbrojeniem i wyposażeniem, żywieniem, warunkami zakwaterowania oraz nastrojami wśród żołnierzy.

Umundurowaniem armia ta różniła się od oddziałów Wojska Polskiego. Dystynkcje umieszczono na patkach kołnierzy, a na kozackich baranich czapach – zamiast godła państwowego – noszono trupią główkę „rycerzy śmierci". Pułk Kozaków Dońskich nosił płaszcze, mundury i naramienniki dawnych formacji carskich. Były to mundury wydane przez polskie kwatermistrzostwo z posiadanych zdobyczy wojennych. Pułk wyróżniał się szerokimi, bufiastymi spodniami kozackimi w czerwone paski oraz kawaleryjskimi butami z ostrogami. Ostrogi to był jedyny polski akcent w ich umundurowaniu, wynikający z niewiedzy polskich intendentów o austriackiej proweniencji. Kozacy tradycyjnie nie noszą ostróg.

Pod względem narodowościowym armia składała się kolejno z Rosjan, Białorusinów, następnie Polaków, Finów, Estończyków i Łotyszy. Byli również Szwedzi oraz Żydzi, sformowani w niewielki oddział liczący, według różnych źródeł, od 70 do 300 żołnierzy, dowodzony przez ppor. Cejtlina. Adiutantem gen. Bałachowicza był Żyd, artysta malarz Artur Szyk (ps. Aleksander Szykarenko).

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Wyprawa mozyrska

W strefie demarkacyjnej, w Turowie, gen. Stanisław Bułak-Bałachowicz 6 listopada 1920 r. uroczyście proklamował utworzenie niepodległej Republiki Białoruskiej, a następnego dnia jednostki jego Russkoj Narodnoj Dobrowolczeskoj Armii wkroczyły na terytorium Białorusi.

Jego wojska 8 listopada znalazły się w styczności z 10 Dywizją Strzelecką Armii Czerwonej wchodzącą w skład 16 Armii. Dzień później Dywizja Kawalerii płk. Pawłowskiego rozbiła pod Romanówką bolszewicki 84 Pułk Strzelecki, a 1 Dywizja (Śmierci) rozbiła 10 Pułk Kawalerii, który był oddziałem rozpoznawczym bolszewickiej 10 Dywizji Strzeleckiej i zdobyła jego sztandar. 3 Pułk Pskowski z 1 Dywizji (Śmierci) 10 listopada zdobył Mozyrz, gdzie jeszcze tego samego dnia z 300 bolszewickich jeńców chor. Lesiukow sformował Pułk Mozyrski. Z drugiej strony tego samego dnia Pułk Ułański rtm. Bienieckiego poddał się 29 Brygadzie Strzeleckiej Armii Czerwonej. Z kolei 2 Dywizja zdobyła 14 listopada Kalenkowicze i był to szczyt powodzenia akcji Bałachowicza. Dzień później bolszewicki 84 Pułk Strzelecki otoczył i rozbił Pułk Huzarski dowodzony przez rtm. Sajkowskiego.

W zajętym Mozyrzu 12 listopada 1920 r. gen. Stanisław Bułak-Bałachowicz ogłosił niepodległość Białorusi

Gen. Stanisław Bułak-Bałachowicz (zaznaczony x) w towarzystwie m.in. prezesa Legii Wołyńskiej ks. Święcickiego i komendanta głównego Szczawińskiego przechodzi przed frontem oddziału Legii Wołyńskiej. Kowel, maj 1930 r.

i rozpoczął formowanie Armii Białoruskiej, na czele której stanął osobiście. Z kolei na czele Rosyjskiej Ludowej Armii Ochotniczej postawił swojego brata, płk. Józefa Bułak-Bałachowicza. Powołał 16 listopada rząd Republiki Białoruskiej z Mieczysławem Adamowiczem jako premierem, Pawłem Aleksiukiem jako ministrem spraw zagranicznych, Radosławem Ostrowskim jako ministrem oświaty i płk. Bielajewem jako ministrem wojny.

Jeszcze tego samego dnia rząd Białoruskiej Republiki Ludowej przedstawił swój program polityczny. Obejmował on: 1) walkę o niezawisłość Białoruskiej Republiki Ludowej; 2) zwołanie w jak najkrótszym czasie Konstytuanty; 3) reformę rolną z wywłaszczeniem wielkiej własności rolnej; 4) budowanie państwowości białoruskiej w ścisłym związku z Rzecząpospolitą Polską, w oparciu o mocarstwa ententy.

Wsparcie 16 Armia otrzymała w postaci czterech dywizji strzeleckich: 4, 17, 33 i 48. Bolszewicka obrona zaczęła twardnieć, a morale wojsk gen. Bułaka-Bałachowicza – spadać. Pułk Pskowski z 1 Dywizji (Śmierci) 16 listopada poniósł porażkę w starciu ze 143 Brygadą Strzelecką Armii Czerwonej. Od 17 listopada 1920 r. nastąpił odwrót poszczególnych dywizji i pułków armii Bałachowicza. Oddziały i pododdziały – ponosząc poważne straty, przedzierały się w stronę polskiej granicy, często bez łączności z dowódcą i pomiędzy sobą. 28 Brygada Strzelecka Armii Czerwonej rozbiła pod Zaspą 1 Pułk Konny płk. Kenemanna, w którym służył Borys Sawinkow jako szeregowy ochotnik. Oddziały 1 Dywizji (Śmierci), dowodzone przez weteranów jeszcze z walk w Estonii, wycofywały się, atakując i szarpiąc następujących bolszewików oraz biorąc zdobycz w jeńcach. Generał Bułak-Bałachowicz wraz z podległą mu grupą przekroczył polską granicę 28 listopada. Ostatnie oddziały biorące udział w wyprawie przeszły polską granicę 5 grudnia 1920 r., po czym zostały rozbrojone i internowane w kilku obozach, w tym w słynnym obozie w Szczypiornie. Ogółem z wyprawy powróciło ok. 12 tys. żołnierzy.

Kapitan Juliusz Ulrych otrzymał osobiste polecenie od Naczelnika Państwa: „Pan ich formowałeś i Pan teraz ma dbać o nich. Da im Pan autonomię, pełne prawa, zupełną swobodę, własną wartę. Obóz ma być schronieniem, domem”[5]. Do 1924 r. wszyscy bałachowcy opuścili obozy i wtopili się w polskie społeczeństwo. W zwartej grupie liczącej ok. 1 tys. osób osiedlili się w okolicach Puszczy Białowieskiej.

Za podsumowanie tego osobliwego sojuszu niech posłużą słowa por. Stanisława Lisa-Błońskiego, oficera łącznikowego przy Ochotniczej Armii Sprzymierzonej: „Na dobro tej Grupy, jako grupy obcego wojska, które walczyło w obronie zagrożonych naszych granic, należy zapisać dużo. Jeżeli chodzi o całość akcji, jaka się rozgrywała w 1920 roku pomiędzy Rzeczpospolitą Polską a Rosją sowiecką, zwycięstwa Grupy Bałachowicza były jedynie drobną cząstką zwycięstw naszego oręża. Niemniej jednak, biorąc pod uwagę ciężkie warunki bytu naszego państwa oraz w porównaniu z wrogiem, stosunkowo słabe nasze siły bojowe – pomoc w tej walce Grupy wojsk generała Bałachowicza była duża. I o tym każdy Polak i dobry patriota winien pamiętać!”[6]. ■

ANDRZEJ ŁYDKA podpułkownik, doktorant w Akademii Sztuki Wojennej. Służył w jednostkach artylerii i w jednostkach logistycznych. Od 2014 r. oficer Dowództwa Operacyjnego Rodzajów Sił Zbrojnych. Sześciokrotnie uczestniczył w misjach poza granicami kraju. Publicysta portalu polska-zbrojna.pl.

[1] J. Mackiewicz, *Lewa wolna*. [2] S. Lis-Błoński, *Bałachowcy. Notatki oficera łącznikowego przy Ochotniczej Armii Sprzymierzonej z frontu wojny polsko-bolszewickiej 1920 roku*, Warszawa 2013, s. 25. [3] Tamże, s. 129–130. [4] A. Nowak, *Polityka wschodnia Józefa Piłsudskiego*, „Zeszyty Historyczne” nr 107/1994, s. 15–16. [5] *Dzieje Ziem Wielkiego Księstwa Litewskiego*, cykl wykładów, Londyn 1953, s. 120. [6] S. Lis-Błoński, *Bałachowcy...*, s. 267.

BIBLIOGRAFIA:

Cabanowski M., *Generał Stanisław Bułak-Bałachowicz, ostatni Kmicic II RP i wyklęci żołnierze wojny polsko-sowieckiej 1920 roku*, Warszawa 2013.
Gierowska-Kałłaur J., *Stanisław Bułak-Bałachowicz. Postać, która mogła połączyć narody byłego Wielkiego Księstwa Litewskiego a jednak ich nie połączyła*, Acta Baltico-Slavica nr 41, Warszawa 2017.
Łatyszonek O., *Białoruskie formacje wojskowe 1917–1923*, Białystok 1995.

DZIŚ PRZYJACIEL, JUTRO WRÓG?

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (2)

Polsko-rumuński sojusz wojskowy (1921–1939) uważano w Warszawie przez większość międzywojennego dwudziestolecia za ważniejszy dla naszego kraju od podobnego traktatu zawartego przez Polskę z mocarstwową Francją.

DANIEL KOREŚ

Rumunia była jedynym sąsiadem, z którym Polska w okresie międzywojennym podpisała traktat o sojuszu militarnym. Miał on charakter zaczepno-odporny, zaś dla Bukaresztu tarcza i ostrze tego przymierza skierowane były przeciwko Związkowi Sowieckiemu. Paryż, pośród polskich sojuszników, trzymać miał w szachu rewizjonistycznie nastawione Niemcy. Tymczasem sojusz polsko-rumuński był uważany w Warszawie za istotniejszy niż analogiczny traktat z Francją. Przede wszystkim Rumunia graniczyła z Polską, co miało niebagatelne znaczenie w wypadku wojny Rzeczypospolitej z jej wschodnim lub zachodnim sąsiadem. Wojnę z Sowietami politycy i wojskowi II Rzeczypospolitej zaś uważali za o wiele bardziej prawdopodobną niż starcie z Niemcami. W końcu Rumunia odbudowująca swoje siły zbrojne po I wojnie światowej czyniła to w ścisłym kontakcie z Wojskiem Polskim – obie armie starały się konsultować swoje plany operacyjne poprzez stały kontakt Sztabów Generalnych. Usiłowano zbudować spójny system łączności na linii Warszawa – Bukareszt oraz zunifi-

Król Rumunii Karol II (na pierwszym planie) i książę Michał (trzeci z lewej) przed kompanią honorową podhalańczyków na pl. Józefa Piłsudskiego.

kować organizację zaopatrzenia i uzbrojenia. Nie bez znaczenia było także nastawienie Polski wobec rumuńskiego sojusznika – politycy i wojskowi traktowali Rumunię niemalże jak polską strefę wpływów, adekwatnie do tego jak Francuzi traktowali Polskę.

Ludzie Marszałka w Bukareszcie

Miarą znaczenia Rumunii dla polskiej armii i dla polskiego bezpieczeństwa narodowego w okresie międzywojennym był wybór na attaché wojskowych w Bukareszcie tak wybitnych oficerów, jak Olgierd Górka, Bolesław Wieniawa-Długoszowski, Witold Dzierżykraj-Morawski, Włodzimierz Ludwig, Roman Michałowski i Jan Kowalewski. Eksponowanie w stolicy Rumunii zaufanych oficerów z kręgu Józefa Piłsudskiego pozwala wysunąć przypuszczenie, że przynajmniej dla Pierwszego Marszałka Polski nasz południowy sąsiad miał wyjątkowe znaczenie. Potwierdza ten fakt odwołanie w 1937 r. do Polski ppłk. dypl. Kowalewskiego, który został szefem sztabu Obozu Zjednoczenia Narodowego. Na jego miejsce mianowano stosunkowo mało znanego oficera, ppłk. dypl. Tadeusza Zakrzewskiego. Choć był on solidnym obserwatorem, nie należał do grona zaufanych oficerów marsz. Edwarda Śmigłego-Rydza i szefa Sztabu Głównego gen. bryg. Wacława Stachiewicza. Jego wątpliwej wartości lojalność wobec przełożonych wyszła na jaw w kryzysowym wrześniu 1939 r.

Zbliżenie polsko-rumuńskie zainicjowane zostało już w lutym 1919 r., gdy z misją do Bukaresztu jako oficjalny wysłannik premiera Ignacego Paderewskiego – z tytułem ministra pełnomocnego rządu RP – wyjechał prof. Stanisław Głąbiński. Uzyskał wówczas wsparcie rządu rumuńskiego dla przemarszu oddziałów polskich z Odessy, przez Besarabię, na Pokucie. Tu miały one wejść do walk z Ukraińcami. Już dwa miesiące później, 22 kwietnia 1919 r., Komitet Narodowy Polski w Paryżu skierował do Warszawy memoriał *O polsko-rumuńskim przymierzu*. Nie bez znaczenia w dziele złączenia Polski i Rumunii więzami sojuszniczymi były działania dyplomacji francuskiej. Po paru miesiącach kontredansów dyplomatycznych 1 lipca 1919 r. rozpoczął urzędowanie w Bukareszcie pierwszy polski poseł, Aleksander Skrzyński, który już po ośmiu dniach urzędowania zdołał uzyskać od rumuńskiego króla Ferdynanda I decyzję o uznaniu Wojska Polskiego za armię sojuszniczą. Tymczasem formalne podpisanie konwencji wojskowej między Rzecząpospolitą Polską a Królestwem Rumunii nastąpiło za półtora roku, 3 marca 1921 r.

W czasie wojny polsko-bolszewickiej

Stosunki pomiędzy armiami obu krajów osiągnęły status specjalny, scementowane zagrożeniem bolsze-

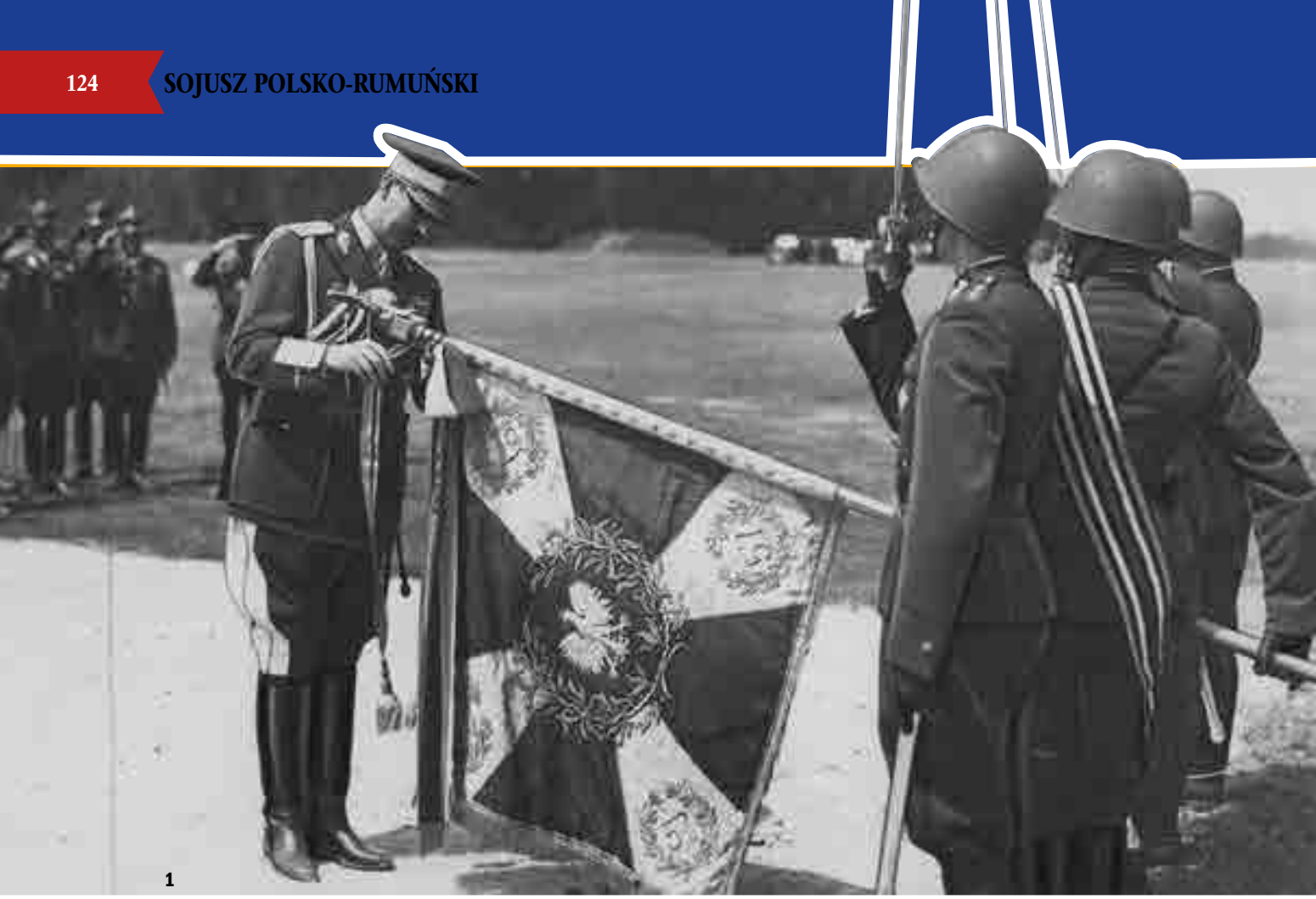

1

wickim. Polsko-rumuńskie relacje wojskowe na szczeblu dyplomatycznym zainicjowała misja wojskowa gen. ppor. Roberta Lamezana de Salinsa, który przybył do Bukaresztu w ślad za Głąbińskim 13 lutego 1919 r. Dało to asumpt do szybkiego akredytowania stałego attaché wojskowego w Bukareszcie, co nastąpiło 7 maja. Jednak niezbyt pochlebna opinia polskich oficerów o Rumunach ugruntowała się właśnie na samym początku wspólnej sojuszniczej drogi. W lutym 1921 r. gen. ppor. Stanisław Haller, jeden z negocjatorów konwencji wojskowej, pisał m.in.: „Od pierwszego posiedzenia można się było gruntownie zrazić do wszelkich układów z Rumunami. Ma się wrażenie, że się mówi z Cyganami. Brak szczerości i krętactwo cechuje cały tok układów”[1]. Owe „tradycyjna niesłowność” i „krętactwo” miały swoje korzenie w zakończonej fiaskiem polsko-rumuńskiej konferencji wojskowej w Warszawie, która odbyła się 16–24 marca 1920 r. Równie nieskuteczna okazała się misja bukareszteńska gen. por. Tadeusza Rozwadowskiego, która trwała od 30 kwietnia do 10 maja. Wszystkie starania polskie o zacieśnienie współpracy i zawarcie sojuszu Rumuni zbywali pustymi deklaracjami, robiąc uniki. Wyszło to na jaw w czasie wojny 1920 r., kiedy armia polska znalazła się w odwrocie, a rumuńscy politycy próbowali wycofać się nawet z werbalnych zobowiązań wobec Polski. Ponadto przez cały ten rok polski wywiad wojskowy oceniał relatywnie nisko możliwości bojowe armii rumuńskiej.

Strona polska, zżymając się na rumuńską nieszczerość, ignorowała skomplikowane położenie wyczerpanej klęskami z czasów Wielkiej Wojny naddunajskiej monarchii. Ta zaś starała się usilnie przede wszystkim utrzymać wielkie powojenne nabytki terytorialne: austriacką Bukowinę, węgierski Siedmiogród i rosyjską Besarabię. Do działań wojennych nie rwała się więc żadną miarą. Rumunia nie chciała także narażać się na dyplomatyczne i polityczne reperkusje ze strony mocarstw zachodnich, które były dla rumuńskich elit gwarantem istnienia România Mare – Wielkiej Rumunii. A jednak to właśnie o Rumunach polski attaché mjr Górka napisał 23 czerwca 1920 r. jakże znamienne słowa: gdy wokół Polski zaciskał się: „mur moralnej blokady”[2], to pozostała „jedynie Rumunia, jako praktycznie nam życzliwa”[3]. Owa przychylność, objawiająca się ułatwieniami w tranzycie broni i materiału wojennego, odcisnęła się trwałym piętnem w świadomości polityków i wojskowych w Polsce. Piętnem równie silnym jak wiarołomstwo Czechów, którzy akuratnie wykorzystali naszą słabość i zajęli, dzięki wsparciu mocarstw zachodnich, sporny fragment Śląska Cieszyńskiego.

2

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (2)

1. Król Rumunii Karol II udekorował Orderem Michała Walecznego sztandar 57 Pułku Piechoty Wielkopolskiej, którego objął honorowe dowództwo.
2. Léon Noël, ambasador Francji w Polsce. Fotografia portretowa w oficjalnym stroju galowym, 1935 r.

Życzliwość Rumunów w krytycznym momencie wojny z Rosją bolszewicką była przywoływana po latach jako niepodważalny pierwiastek moralny tkwiący u podstaw sojuszu polsko-rumuńskiego. Wizerunek rumuńskiego sojusznika kształtował się u kierownictwa polskiej armii głównie przez pryzmat ocen formułowanych w raportach dyplomatycznych przedstawicieli wojska w Bukareszcie. Jedną z pierwszych ogólnych opinii o Rumuńskich Siłach Zbrojnych (Forțele Armate Române) sformułował na początku 1923 r. attaché ad interim (tymczasowo pełniący obowiązki) po odwołaniu z placówki ppłk. Sztabu Generalnego Wieniawy-Długoszowskiego, kpt. Witold Wielogłowski: „Półtoraroczne badanie stanu wojsk rumuńskich dają podstawę do sądu, że armja [sic!] rumuńska, pomimo trudnych warunków, zrobiła znaczne postępy, zbliżając się co raz [sic!] więcej do nowoczesnych wymagań. Jednak do jakiejkolwiek akcji na szerszą skalę nie jest jeszcze zdolna. Znaczne braki materialne, korupcja oraz brak zdolności organizacyjnych i zainteresowania przez ogół oficerów, stawiają ją na znacznie niższym szczeblu przygotowania do wojny, niż wydaje się to na papierze. W razie wojny z Rosją sow[iecką] wątpię, by w obecnych warunkach armja rumuńska była w stanie dać nam rzeczywistą poważną pomoc, w każdym razie, o ile wystąpi, będzie poważną dywersją dla przeciwnika”[4]. Ważne były to obserwacje, jeśli się weźmie pod uwagę kolejne konferencje międzysztabowe polsko-rumuńskie i formułowane na ich podstawie plany operacyjne wojny sojuszniczej ze Związkiem Sowieckim. Raport Wielogłowskiego to tylko bilans otwarcia, jednak kolejne oceny były niewiele mniej krytyczne.

Współpraca wywiadów

W latach dwudziestych sojusz miał stopniowo charakter współpracy operacyjnej i wywiadowczej. Na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych zaczął ewoluować, głównie za sprawą decyzji marsz. Józefa Piłsudskiego, przede wszystkim w kierunku współpracy materiałowo-mobilizacyjnej i tranzytowej. W dziedzinie współpracy wywiadowczej Oddziałów II Sztabu Generalnego/Głównego strona polska była wyraźnie świadoma swojej górującej pozycji nad rumuńskimi partnerami i raczej nie oczekiwała wiele po współpracy z nimi. W wojskowym ekosystemie to polski wywiad był dawcą, a rumuński biorcą. Dawano temu wyraz wielokrotnie w korespondencji kierownictwa polskiego wywiadu z attaché wojskowymi w Bukareszcie. W swoim pierwszym sumarycznym sprawozdaniu, obejmującym półtoraroczny okres współpracy, attaché kpt. Witold Wielogłowski o wywiadzie rumuńskim pisał: „Wobec braku środków dla utrzymania odpowiedniej organizacji wywiadowczej, braku odpowiednich ludzi, nieznajomości terenu i charakteru Rosji, wywiad Sztabu Gen. rumuńskiego na Rosję sowiecką daje nader słabe wyniki [...]. Pod naszym wpływem częściowo zaniechał strusiej polityki w stosunku do Rosji i stara się wykazać pewną działalność wywiadowczą. Do systematycznego i głębokiego wywiadu nie

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (2)

jest zdolny i nie posiada na to odpowiednich danych. Korzysta w znacznej mierze z naszych informacji i pod tym względem jest absolutnie w naszym ręku. Tut[ejsza] placówka korzysta więcej z wyników wywiadu francuskiego niż rumuńskiego”[5] (1923). W 1934 r. szef polskiej „dwójki”, płk dypl. Teodor Furgalski, w odpowiedzi na wcześniejsze pismo ppłk. dypl. Kowalewskiego, ze zdziwieniem konstatował, że szef Biura Prasowego rumuńskiego Sztabu Generalnego zwrócił się z projektem nawiązania współpracy radiowo-wywiadowczej z Polakami: „uważam, że w Warszawie rozmowy tego rodzaju mógłby przeprowadzić tylko szef Biura Szyfrów mjr Marinéscu, a nie on”[6]. Konkluzja Furgalskiego jest charakterystyczna dla ogólnej oceny współpracy z Bukaresztem: „Na podstawie doświadczeń poczynionych w latach poprzednich nie obiecuję sobie dużo z współpracy z Rumunami nad metodami odczytywania szyfrów. Mogę jednak pójść na powyższy projekt i polecić o tem z nimi mówić, z tem jednak, że w zamian za naszą współpracę będę żądał pewnych koncesyj drugo-oddziałowych dla siebie”[7].

Działając takimi metodami, starano się uzyskać maksimum korzyści przy minimum dobrej woli. Utrzymywano jednak ciągły kontakt przez szefów wywiadu, którzy spotykali się raz do roku na konferencji ewidencyjnej, gdyż strona polska pragnęła w miarę swobodnie korzystać z możliwości działania z terenu rumuńskiego przeciwko Związkowi Sowieckiemu. Ponadto istniała, chyba najbardziej wydajna, współpraca kontrwywiadowcza z Siguranţą (Królewską Policją Bezpieczeństwa), która pełniła rolę kontrwywiadu i realizowała zadania walki z ruchem komunistycznym. W tym celu ustanowiono w latach trzydziestych w Bukareszcie polską placówkę Oddziału II Sztabu Głównego o kryptonimie „N.6”. Współpraca była owocna, ponieważ długoletni szef Siguranţy, słynny Mihail Moruzov, żywił przyjazne uczucia wobec Polski. W związku z wizytą w Rumunii w czerwcu 1932 r. szefa Sztabu Głównego, gen. bryg. Janusza Gąsiorowskiego, attaché ppłk Michałowski przygotował obszerny, wnikliwy raport zawierający ocenę m.in. nastrojów w armii rumuńskiej i relacji w kierownictwie rumuńskich sił zbrojnych wobec zaostrzającego się w tym kraju kryzysu wewnętrznego.

1. Król Rumunii Karol II (z lewej na tylnym siedzeniu) ubrany w mundur pułkownika Wojska Polskiego w towarzystwie prezydenta RP Ignacego Mościckiego przejeżdżający ulicą Krakowa między szpalerem wojska. Widoczny także adiutant prezydenta kpt. Józef Hartman (siedzi obok kierowcy. 2. Minister spraw zagranicznych Rumunii Grigore Gafencu z oficjalną wizytą w Polsce, marzec 1939 r. Gafencu przed kompanią honorową Wojska Polskiego na pl. Józefa Piłsudskiego.

2

Wnioski, które sformułował wówczas na temat kluczowych elementów sojuszu polsko-rumuńskiego, były aktualne przez cały okres dwudziestolecia: „Złą sytuacją finansów, ekonomiczną i polityczną Rumunii nie należy zrażać się na dalszą metę. Zdając sobie sprawę, że obecnie realizować nic nie można, względnie mało, w dziedzinie materiałowej wskazaniem jest teren nadal przygotowywać, przez utrzymanie aktywnej współpracy Komisji Unifikacyjnej oraz konkretne przygotowanie zwołania Konferencji tzw. Międzyrządowej, która ma ustalić w sposób obowiązujący możliwości i zapotrzebowanie armii i przemysłu wojennego rumuńskiego. Na ten moment materiałowy pozwalam sobie kłaść specjalny nacisk, gdyż w Rumunii będzie on w armii zawsze grał decydującą rolę”[8]. Opisywane przez Michałowskiego konkretne posunięcia, decyzje personalne oraz intrygi były charakterystyczne dla całego okresu powojennej historii armii rumuńskiej – wystarczyło tylko zmienić nazwiska kolejnych ministrów i szefów sztabów. Niestabilność polityczna państwa oddziaływała na stan armii. W latach 1918–1939 jedenastokrotnie zmieniała się obsada na stanowisku rumuńskiego szefa Sztabu Generalnego, zaś na stanowisku ministra armii – dwudziestokrotnie! Konkluzja Michałowskiego z 1932 r. była równie celna jak diagnoza: „Zamiast więc uspokojenia i zrównoważenia armia zaczyna wchodzić w fazę zdenerwowania. Gdyby nie to, że w ogóle Rumuni są apatyczni i nie lubią ryzykować, reakcja silniejsza dawno by się uwidoczniła. Sądzę, że aktywnie wojsko nie wystąpi. Natomiast można by się obawiać, że o ile nie nastąpi zmiana zasadnicza w traktowaniu wojska przez Króla, to armia w ewentualnej krytycznej chwili może się zachować również apatycznie w stosunku do rozkazów korony, jak dzisiaj do jej błędnych pociągnięć”[9].

Ochłodzenie w latach trzydziestych

Polski attaché przewidział przyszłość, gdyż wobec zawirowań politycznych Rumunii po 1932 r. armia en masse pozostała apatyczna i bierna, aż do obalenia króla Karola II, gdy 5 września 1940 r. silny człowiek, gen. Ion Antonescu ogłosił się conducătorem (wodzem). Sytuacja materialna armii rumuńskiej zaczęła się zmieniać na korzyść dopiero w okresie istnienia rządu Gheorghe Tătărescu (3 stycznia 1934 – 28 grudnia 1937 r.), gdy stanowisko ministra obrony narodowej piastował gen. broni Paul Angelescu. Podsumował ten fakt – generalnie dla Polski jako kraju sojuszniczego – w swoim liście do szefa „dwójki” ppłk dypl. Jan Kowalewski: „Spotykałem ostatnio wielu wojskowych, którzy w rozmowach na tematy armii jednogłośnie stwierdzają bardzo znaczną poprawę warunków materialnych, w jakich żyje armia obecnie, dzięki staraniom ▶

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Wizyta brata króla Rumunii księcia Mikołaja w Polsce. Książę witany na lotnisku na warszawskim Okęciu, sierpień 1931 r.

rządu Tătărescu. Utrzymują oni, że w roku 1935/36 otrzymywali oficerowie, podoficerowie i żołnierze żołd i gaże zupełnie regularnie co miesiąc, w odróżnieniu od lat ubiegłych. Wypłacono im nawet zaległości w gażach. [...] Zaczęto też uzupełniać zapasy umundurowania w większości jednostek. [...] W ogóle należy przyznać obecnemu rządowi, że armją się zajął nareszcie poważnie i planowo. [...] Król jest bardzo zadowolony z wyników, co szczególnie teraz, po dwóch latach pracy, zaczyna wychodzić na jaw”[10].

W ciągu 1936 r. przedstawiciel polskiej armii w Bukareszcie odnotował stały wzrost inwestycji zbrojeniowych, co wynikało z uporządkowania finansów publicznych przez Tătărescu i zwiększenia wpływów budżetowych. Armia stała się beneficjentem wzrostu gospodarczego. Jeśli więc w pierwszym okresie tych rządów skupiono się na zupełnie rudymentarnych sprawach uposażenia i wyżywienia żołnierzy, to w 1936 r. zdecydowano się na przykład, pierwszy raz od lat, zwiększyć budżet lotniczy z 252 mln do 520 mln lei, w tym na lotnictwo wojskowe przeznaczono aż 425 mln lei. Planowo inwestowano głównie w budowę nowych lotnisk i pogłębienie szkolenia pilotów. Kowalewski raportował także o deklaracji szefa Sztabu Generalnego, gen. broni Nicolae Samsonovici, że zwiększy Funduszu Obrony Narodowej na rok 1936/1937 z 2,5 mld do 7–8 mld lei. W kierownictwie armii sojuszniczej Polski takie wiadomości wzbudzały ostrożny optymizm.

Relacje polityczne Polski i Rumunii w pierwszej połowie lat trzydziestych były jednak niezwykle napięte. Przede wszystkim z powodu układów o nieagresji, które Polska podpisywała kolejno ze Związkiem Sowieckim i Niemcami. Pierwszy układ spowodował zaniepokojenie strony rumuńskiej i sprowokował ministra spraw zagranicznych Nicolae Titulescu do podjęcia w latach 1932–1936 dyplomatycznych prób uregulowania relacji z Sowietami, z którymi wszak Rumuni mieli bezpośredni spór o Besarabię. Następnie doszło do pewnego zbliżenia rumuńsko-sowieckiego, które z kolei źle widziane było w Polsce, a i w Rumunii miało wrogów, z królem Karolem II na czele. Nie była to postawa partnerska ze strony Polski i tylko potwierdzała tezę, że w relacjach z Rumunią Polacy uważali się za stronę uprzywilejowaną. Gdy polityka weszła w paradę wojskowym, okazało się, że powiało chłodem i w dziedzinie unifikacji armii, a nawet na poziomie corocznych spotkań międzysztabowych, organizowanych na zmianę w Warszawie i Bukareszcie. Spotka-

nia szefów sztabów obu armii wstrzymano w 1934 i w 1935 r.

Sprawy drgnęły dopiero w końcu 1935 r., gdy zapadła decyzja o wyjeździe do Polski gen. broni Samsonovici. Wizytę pierwotnie planowano na początek 1936 r., lecz wielokrotnie ją przekładano w związku z grą na zwłokę strony rumuńskiej. Doszło do niej w końcu jesienią 1936 r. W roku 1935 r. podczas obiadu z Kowalewskim gen. Samsonovici wyłożył polskiemu attaché, że konferencje międzysztabowe nie odbyły się z winy Polski. Skrytykował także polską politykę zagraniczną: „W aktualnych tematach polityczno-wojskowych trzyma się ściśle tez francuskich [...] przybierał nawet trochę mentorski ton w stosunku do polityki polskiej i zdradzał dużą pewność siebie w stawianiu sądów. Uważa, że Polska niepotrzebnie ośmiela Niemcy w ich aspiracjach na Zachodzie, gdyż potem Niemcy zwrócą się przeciwko Polsce i sądzi, że Polska powinna stanąć wspólnym frontem z Francją, Czechosłowacją i ZSRR przeciwko Niemcom”[11]. Ta dalekowzroczna myśl stanowiła efekt inspiracji francuskiej dyplomacji, która była pod wrażeniem sojuszu z Sowietami i wizji budowy nowego systemu bezpieczeństwa w Europie Środkowo-Wschodniej, opartego na Armii Czerwonej. Podobną argumentacją jednak Rumuni nie mogli znaleźć zrozumienia u swoich polskich partnerów. Oczywiście wraz ze zbliżeniem polsko-francuskim w 1936 r. rosło parcie Rumunów do ponownego zacieśnienia sojuszu z Polską, czego nie omieszkał z satysfakcją odnotować Kowalewski, pisząc o swoimi kolejnym spotkaniu z Samsonovici: „Odpowiedziałem mu, że niejednokrotnie, kiedy Polska była wystawiona na ataki prasy i niektórych czynników politycznych rumuńskich, uprzedzałem go o tym, że stosunki między armiami polską i francuską są znacznie lepsze niż się wydawać może pod wpływem tych ataków i że nie należy o tym zapominać. Gen. Samsonovici przyznał, że rzeczywiście tak było i że to samo zjawisko miało miejsce między Polską a Rumunią, aż do ostatnich zmian. Stosunki polityczne złe, a stosunki między armiami zachowane zostały dobre, choć trzeba było do tego dużo cierpliwości i zręczności”[12]. Oczywiście rumuński szef Sztabu Generalnego wykazał dyplomatyczną powściągliwość, nie wspominając na przykład o świadomym sabotowaniu spraw unifikacyjnych. Warto też zwrócić uwagę na to, jak zmieniła się postawa generała, który już nie pouczał polskiego attaché, lecz wręcz palił się do wyjazdu do Polski: „Odniosłem wrażenie, że gen. Samsonovici spodziewał się, iż zaprosimy go na manewry lub że przyspieszymy jego wizytę. Puszczał w tym kierunku sondy [...] kilku osobom co do których wiedział, że są w kontakcie z nami, mówił osobiście, że w najbliższym czasie jedzie do Polski”[13].

Przed wojną

Ostatni attaché wojskowy Polski w Bukareszcie, ppłk dypl. Tadeusz Zakrzewski, rok po rozpoczęciu swej misji pokusił się o ocenę polityki zagranicznej Rumunii. Na wstępie zaznaczył, że sformułował oceny na podstawie rozmów z oficerami rumuńskimi, własnych obserwacji i analizy położenia ekonomicznego Rumunii, a także uzyskał zbieżność opinii z polskim ambasadorem Rogerem Raczyńskim: „Rumuni są zdolni, praktyczni i o dużym wyczuciu realizmu politycznego, jak również posiadają dużą elastyczność myśli i etyki. Rzadkie są w historii dyplomacji rumuńskiej wypadki, aby kierowała się ona względami emocjonalnymi. Przeważa zawsze interes w konkretnej formie materialnej, a z kim i jak, to obojętne. Stąd dzisiejszy przyjaciel może być jutro wrogiem i przeciwnie. Wreszcie należy podkreślić, że Rumuni wierzą święcie w to, iż przede wszystkim zręczna polityka, a nie oręż, zapewnia państwu bezpieczeństwo, szczególnie, gdy państwo nie może się zaliczyć do szeregu potęg”[14]. Polski attaché bardzo pochlebnie ocenił gospodarzy, choć uznał ich za konformistów, którzy dla dobra Rumunii zawarliby pakt z diabłem. Była to celna opinia, historia pozytywnie zweryfikowała jego sąd. Niestety, ale to właśnie polska dyplomacja kierowała się nieraz względami emocjonalnymi, a nie racjonalnymi, co Polsce nie wyszło na korzyść, właśnie w momencie, kiedy Zakrzewski pisał te słowa, czyli we wrześniu 1938 r., w okresie poprzedzającym konferencję monachijską. Szczególnie celna była uwaga Zakrzewskiego o tym, że Rumuni stawiają na zręczną politykę, a nie na prężenie muskułów, zdając sobie sprawę, że daleko im do potęg Starego Kontynentu. Tej nauki, niestety, w Polsce nie potrafiono przyjąć za jeden z fundamentów doktryny prowadzenia polityki zagranicznej – z tragicznym dla nas skutkiem. ■

DANIEL KOREŚ absolwent Uniwersytetu Wrocławskiego; doktor nauk humanistycznych w zakresie historii XX w., adiunkt na Akademii Wojsk Lądowych im. gen. Tadeusza Kościuszki oraz pracownik Oddziału Instytutu Pamięci Narodowej we Wrocławiu. Autor monografii *Generał brygady Aleksander Radwan-Pragłowski (1895–1974). Studium biograficzne* oraz kilkudziesięciu artykułów naukowych z zakresu biografistyki wojskowej, wojny polsko-sowieckiej 1918–1920, armii II Rzeczypospolitej, kampanii polskiej 1939 r., a także II wojny światowej i okresu powojennego.

[1] AAN, Attachaty Wojskowe II RP, sygn. A II/118, Gen. ppor. S. Haller – przebieg układów o konwencję wojskową polsko-rumuńską w Bukareszcie od 11/I. do 29/I.1921 r., b.d., mps, k. 410. [2] Cyt. za: H. Walczak, *Sojusz z Rumunią w polskiej polityce zagranicznej w latach 1918–1931*, Szczecin 2008, s. 98. [3] Tamże. [4] AAN, Attachaty Wojskowe RP, sygn. A.II.20/1, Attaché wojskowy *ad interim* [Wielogłowski] do Oddziału II SG [sprawozdanie z działalności placówki od 23 VIII 1921 r. do 31 XII 1922 r.], 75/23, 20 I 1923 r., mps, k. 100, 101. [5] Tamże, k. 98. [6] AAN, Attachaty Wojskowe RP, sygn. A.II.29/1, Szef Oddziału II SG [Furgalski] do attaché wojskowego w Bukareszcie [Kowalewski], SG, Oddział II, L. 6368/B.S.T.O., tajne!, Warszawa 6 III 1934 r., mps, k. 557. [7] Tamże.[8] AAN, Attachaty Wojskowe RP, sygn. A.II.27/1, Attaché wojskowy w Bukareszcie [Michałowski] do szefa Sztabu Głównego [Gąsiorowski] przez szefa Oddziału II SG [Furgalski], Nr 236/T.T., 27 VI 1932 r., odpis, mps, k. 537. [9] Tamże, k. 535. [10] AAN, Sztab Główny WP, sygn. 616/236, List ppłk. dypl. J. Kowalewskiego do płk. dypl. T. Pełczyńskiego, 3 III 1936 r., mps, k. 65. [11] AAN, Sztab Główny WP, sygn. 616/236, Attaché wojskowy w Bukareszcie [Kowalewski] do szefa Oddziału II SG [Pełczyński] – sprawy konferencji międzysztabowej, Ambasada RP w Bukareszcie, Attaché Wojskowy, L. 642/35, Bukareszt 19 XII 1935 r., mps, k. 168. [12] AAN, Sztab Główny WP, sygn. 616/236, Attaché wojskowy w Bukareszcie [Kowalewski] do szefa Oddziału II SG [Pełczyński] – rozmowa z gen. Samsonovici, Ambasada RP w Bukareszcie, Attaché Wojskowy, L. 450, Bukareszt 16 IX 1936 r., mps, k. 165. [13] Tamże, k. 166. [14] AAN, Sztab Główny WP, sygn. 616/312, [T. Zakrzewski] Polityka zagraniczna Rumunii, załącznik do pisma L. 603, opracowane 24 IX 1938 r., mps, k. 261.

Z ZIEMI RUMUŃSKIEJ PO WOLNOŚĆ

Przed końcem kampanii wrześniowej w Rumunii znalazło się ok. 50 tys. Polaków, z czego przynajmniej połowę stanowili żołnierze. Po miesiącach internowania wielu z nich przedostało się na Zachód, by podjąć tam walkę.

ROBERT SENDEK

Agresja sowiecka i wtargnięcie 17 września 1939 r. wojsk Związku Sowieckiego w granice Rzeczypospolitej zupełnie zaskoczyły polskie władze. Stało się to w momencie, w którym dowództwo polskie przygotowywało plany skoncentrowania sił na tzw. przedmościu rumuńskim, planując przegrupowanie oddziałów i podjęcie przeciwnatarcia. Wobec wojny na dwa fronty plany te straciły rację bytu. Prezydent Ignacy Mościcki, członkowie rządu i urzędnicy centralni przebywali na terenie przygranicznym. W obawie, aby polskie władze nie stały się jeńcami sowieckimi, podjęto decyzję, że opuszczą kraj. Marszałek Edward Śmigły-Rydz wydał znajdującym się na tym terenie wojskom rozkaz wycofywania się do Rumunii i na Węgry.

Opuszczenie terytorium RP przez rząd było decyzją trudną, ale wcale nie precedensową w nowszej historii Europy. W podobnej sytuacji znalazł się na początku I wojny światowej rząd Belgii. Rozwiązanie takie władze polskie brały pod uwagę co najmniej od 9 września 1939 r. Tego bowiem dnia Léon Noël, ambasador Francji w RP, w rozmowie z Janem Szembekiem, wiceministrem spraw zagranicznych, wspomniał, że gdyby kampania wojenna zakończyła się dla Polski klęską, istnieje możliwość przeniesienia władz RP nad Sekwanę. Gdy decyzja o ewakuacji już

MOST W KUTACH

OTWARCIE MOSTU KOLEJOWEGO NA RZECE CZEREMOSZ W KUTACH, łączącego Polskę z Rumunią, w 1930 r. Uroczysty przejazd pierwszego pociągu. Tędy członkowie polskiego rządu przedostali się do Rumunii we wrześniu 1939 r.
Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

zapadła, prezydent Mościcki wydał 17 września w pogranicznych Kutach orędzie do narodu. Wyjaśnił w nim powody ewakuacji oraz zapowiedział, że władze będą mogły koordynować dalszą walkę u boku krajów sprzymierzonych.

Dlaczego Rumunia?

Rząd RP przebywał na terytorium Polski południowo-wschodniej, ewakuację można było więc poprowadzić jedynie na Węgry albo do Rumunii. Droga do sojuszniczej Francji przez Niemcy lub sowiecką Rosję z przyczyn oczywistych nie wchodziła w grę. Jeśli chodzi o Węgry, wprawdzie Polska zachowywała w okresie międzywojennym życzliwe kontakty z nimi, jednak one pod koniec lat trzydziestych postawiły na bliską współpracę z Hitlerem. Z tego względu nie było jasne, jak władze węgierskie postąpiłyby w sytuacji, gdyby rząd RP zdecydował się na przekroczenie granicy z tym krajem. W stosunku do Rumunii, postrzeganej jako państwo sojusznicze, wątpliwości takich nie było. Ówczesny premier rządu RP, Felicjan Sławoj Składkowski, ujął to dobitnie: „Przy przejściu granicy węgierskiej będziemy niezwłocznie internowani, podczas gdy Rumuni są naszymi aliantami, mającymi wobec nas zobowiązania jasno określone”[1].

Z Rumunią przedwojenną Polskę łączyły bliskie, wręcz serdeczne kontakty, wzmocnione dwustronnymi umowami. Do najważniejszych należała podpisana jeszcze w 1921 r. polsko-rumuńska konwencja obronna. Aktualizowana i uzupełniana w późniejszych latach, zobowiązywała ona obydwa państwa do sojuszniczej pomocy na wypadek ataku ze strony Rosji sowieckiej oraz do wypowiedzenia agresorowi wojny. Dwustronne ustalenia przewidywały także obowiązek pomocy w sytuacji, gdyby agresorem okazało się państwo inne niż Związek Sowiecki. Z tego też powodu to właśnie Rumunia wydawała się naturalnym kierunkiem ewakuacji.

Droit de passage

Wybuch wojny we wrześniu 1939 r. postawił rząd rumuński w trudnej sytuacji. Dość szybko podjęto w związku z tym decyzję o zachowaniu przez Rumunię neutralności, o ile nie zostanie naruszona niepodległość i integralność terytorialna kraju. Ogłoszenie neutralności nie zmieniło jednak ogólnie życzliwego nastawienie władz rumuńskich do Polski. Dzięki temu możliwe było m.in. wywiezienie w pierwszych dniach września przez Rumunię ok. 70 ton polskiego złota specjalnym transportem do Konstancy. Równocześnie rosły niemieckie naciski na rząd rumuński, będące w istocie zawoalowanymi groźbami – żądania dotyczyły m.in. rozbrojenia i internowania żołnierzy Wojska Polskiego znajdujących się na terytorium Rumunii oraz zatrzymania w kraju władz polskich. Rząd rumuński próbował lawirować, starając się zachować lojalność wobec Polski, a jednocześnie prowadząc z Niemcami grę pozorów.

Wkroczenie 17 września wojsk sowieckich do wschodniej Polski trudną sytuację Rumunii jeszcze pogorszyło. Układ sojuszniczy z Polską stanowił, że w takich warunkach obowiązkiem rządu rumuńskiego jest wypowiedzenie Sowietom wojny. Do tego jednak nie doszło, ponieważ minister Józef Beck zaproponował stronie rumuńskiej układ. Premier Felicjan Sławoj Składkowski ujął to w swych wspomnieniach tak: „Postanawiamy zwolnić Rumunów z obowiązku walczenia z Sowietami, którego na pewno nie wykonają w sytuacji obecnej, natomiast jako sojusznicy żądamy przepuszczenia Rządu, Naczelnego Dowództwa i Wojska Polskiego przez Rumunię, celem udania się do sprzymierzonej Francji i prowadzenia dalszej wojny za pomocą utworzonej tam armii polskiej”[2].

Ostatecznie z planów tych nic nie wyszło. Tadeusz Dubicki, historyk polski badający kwestię pobytu w Rumunii polskich władz i żołnierzy, twierdzi, że rząd polski nie zadbał o zawarcie formalnych umów w sprawie tzw. droit de passage (prawa do swobodnego przejazdu) jeszcze przed przekroczeniem granicy rumuńskiej. Polacy uznali swe plany za uzgodnione ze stroną rumuńską, tymczasem Rumuni, zwolnieni ze zobowiązań sojuszniczych, żadnych

wiążących obietnic nie złożyli. Głównym problemem był status polskich władz na terytorium Rumunii. Felicjan Sławoj Składkowski wspominał później: „przedstawiciele Ministerstwa Spraw Zagranicznych Rumunii nieśmiało i po przyjacielsku zaproponowali min. Beckowi, czy nie byłoby dobrze, aby każdy minister polski podał się do dymisji i przejechał Rumunię w charakterze osoby prywatnej”[3]. Rumuni chcieli w ten sposób zachować lojalność względem Polski, przy jednoczesnym utrzymaniu formalnej neutralności. W trosce o los swego kraju starali się skrupulatnie przestrzegać międzynarodowych konwencji, by nie dać Niemcom najdrobniejszego pretekstu do agresywnych kroków. Beck odrzucił jednak tę ofertę. Spodziewał się, że będzie mógł przez Rumunię przejechać szybko i bez rozgłosu. Dubicki podsumowuje tę niefrasobliwość, pisząc: „stracono w ten sposób okazję do przeprowadzenia niezbędnych uzgodnień ze stroną rumuńską, które być może wymogłyby na niej inną postawę, niż miało to miejsce z chwilą przekroczenia granicy przez władze polskie”[4]. Brak formalnej umowy co do warunków tranzytu doprowadził do internowania rządu polskiego po przekroczeniu granicy z Rumunią.

Prezydent Mościcki znalazł się w rezydencji króla rumuńskiego w Bicaz, członkowie rządu trafili do miejscowości Slănic-Moldova, marsz. Śmigły-Rydz zaś do Krajowej, a następnie do wsi Dragoslavele. Sztab polski ulokowano natomiast w miejscowości Vatra Dornei. W zaistniałej sytuacji prezydent Ignacy Mościcki wyznaczył jako swego następcę Władysława Raczkiewicza, a sam ustąpił z urzędu 30 września 1939 r. Do dymisji podał się także rząd Felicjana Sławoja Składkowskiego. Powołano nowy gabinet, z przebywającym we Francji gen. Władysławem Sikorskim jako premierem. Zachowano w ten sposób ciągłość władzy państwowej. Zmiany nastąpiły również w dowództwie sił zbrojnych. Marszałek Śmigły-Rydz zrezygnował ze stanowiska, funkcję Naczelnego Wodza przejął zaś gen. Władysław Sikorski.

Internowanie żołnierzy

Wraz z prezydentem i rządem RP granicę z Rumunią przekroczyło we wrześniu 1939 r. także wielu żołnierzy Wojska Polskiego. Sytuacja początkowo była bardzo niepewna, ponieważ Rumuni dopiero wypracowywali własne stanowisko w sprawie uchodźców. Również żołnierze polscy nie do końca wiedzieli, co ich czeka. Większość spodziewała się, że będzie mogła kontynuować walkę. Żołnierzy WP czekało jednak internowanie, co przyjmowali z oburzeniem.

Przyczyną tego było ogłoszenie przez Rumunię neutralności wobec toczącej się w Polsce wojny. Według postanowień konwencji haskiej z 1907 r. kraj neutralny miał obowiązek internowania żołnierzy armii kraju toczącego walki, w sytuacji, gdy ci znajdą się na jego terytorium. Pretekstem do internowania władz polskich stało się natomiast rzekome złamanie neutralności Rumunii przez ponowne nadanie 18 września z poczty w Czerniowcach drogą radiową orędzia prezydenta Ignacego Mościckiego.

Po przekroczeniu granicy żołnierze polscy musieli zdać broń, sprzęt wojskowy i wyposażenie, takie jak rowery, motocykle, aparaty telefoniczne i radiowe. Żołnierzy przewożono następnie do miejsc internowania w południowej i wschodniej części kraju. Taka lokalizacja wynikała wprost z postanowień tzw. V konwencji haskiej, według której żołnierzy internowanych winno się umieszczać w lokalizacjach możliwie odległych od teatru wojny. W sprawie internowanych żołnierzy władze rumuńskie powoływały się – prócz konwencji haskiej – także na konwencję genewską z 1929 r., regulującą sposób traktowania jeńców wojennych, choć w rzeczywistości żołnierze WP nie byli jeńcami wojennymi. Konwencja genewska szczegółowo określała kwestie dotyczące m.in. warunków przebywania jeńców w zakresie higieny, opieki lekarskiej, opieki duszpasterskiej. Stanowiła również, że broń, wyposażenie wojenne i dokumenty wojskowe można uwięzionym zabrać, należy natomiast pozostawić dokumenty osobiste, odznaki wojskowe i przedmioty wartościowe.

Kto znalazł się w Rumunii

Granicę polsko-rumuńską przekroczyło, jak się szacuje, ok. 50 tys. osób, z czego niemal połowę stanowili żołnierze Wojska Polskiego. Wśród nich było ok. 6 tys. oficerów. Największą i najbardziej spójną grupę tworzyli żołnierze polskich sił powietrznych, piloci, mechanicy i pracownicy naziemni. Było ich ok. 9 tys., co stanowiło nawet do 90% przedwojennego polskiego lotniczego personelu wojskowego. W Rumunii znalazły się oddziały całej lotniczej Brygady Pościgowej, Brygady Bombowej oraz jednostki lotnictwa obserwacyjnego i szkolnego.

Dużą część uchodźców stanowiły wojskowe formacje tyłowe, takie jak żandarmeria i łączność, ale także służba zdrowia i organizacje paramilitarne. Spośród jednostek bojowych można wymienić m.in. 21 Batalion Czołgów Lekkich pod dowództwem mjr. Jerzego Łuckiego, Oddziały Zapasowe 23 Dywizji Piechoty ppłk. Antoniego Cieszkowskiego, 24 DP ppłk. Stanisława Tworzydły, 6 DP mjr. Stanisława Gąsiorowskiego, jednostki z Ośrodka Zapasowego Artylerii Przeciwlotniczej nr 2 z Brześcia nad Bugiem i baterię artylerii przeciwlotniczej kpt. Tadeusza Hordyńskiego. Do Rumunii przeszło również całe dowództwo WP z szefami dowództw lotnictwa, artylerii, obrony przeciwlotniczej, saperów i broni pancernej oraz Sztab Główny.

Wiele jednostek przekraczało granicę wraz z powierzonym sobie sprzętem. Znaczną jego część tworzył sprzęt lotniczy – liczba samolotów przekraczała 200 maszyn bojowych, szkolnych, obserwacyjnych i turystycznych. W Rumunii znalazły się również samoloty pasażerskie LOT-u wraz z taborem samochodowym, a także duże ilości pozostałego sprzętu wojskowego i pomocniczego, w tym

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Kartka pocztowa wysłana 30 listopada 1939 r. z Bukaresztu przez polskiego żołnierza Zbigniewa Chajkowskiego internowanego w Rumunii, do żony Wandy przebywającej w Warszawie. Z treści kartki wynika, że planowana jest ewakuacja internowanych żołnierzy na Zachód.

FOT. ZBIORY ANDRZEJA WITKOWSKIEGO

działa, artyleria polowa i przeciwlotnicza oraz 34 czołgi. Ewakuowano ponadto 100 parowozów, 109 cystern kolejowych, niemal 900 wagonów towarowych i 75-osobowych, dużo wyposażenia, ok. 500 samochodów ciężarowych i ok. 2 tys. pojazdów cywilnych. Wartość zgromadzonego w Rumunii polskiego sprzętu, uzbrojenia i wyposażenia wojskowego szacowano na ok. 80 mln zł. Znaczna część sprzętu weszła następnie na wyposażenie armii rumuńskiej, co było złamaniem konwencji haskiej, która wprawdzie mówiła o konfiskacie broni internowanego wojska, nie zezwalała jednak na jej wykorzystanie przez kraj internujący. Rumuńskim argumentem było w tym wypadku stwierdzenie, że zajęty sprzęt stanowi rekompensatę za środki przeznaczone przez budżet państwa na utrzymanie obozów dla internowanych i zapomogi dla uchodźców z Polski.

Organizowanie obozów

Działania władz rumuńskich względem polskich uchodźców początkowo były chaotyczne. Po części zamieszanie to wynikało z tego, że Rumuni nie byli przygotowani do przyjęcia aż tak dużej liczby uchodźców z Polski, problemem był także brak koncepcji, jak traktować uchodźców wojennych. Stopniowo sytuacja zaczęła się normalizować. Profesor Tadeusz Dubicki dzieli umownie okres przebywania żołnierzy polskich w Rumunii na dwa etapy. Pierwszy, nazwany przez niego obozowym (choć istniała wówczas strefa internowania w okolicach Tulczy), trwał od połowy września 1939 r. mniej więcej do początku roku kolejnego. Żołnierzy kierowano wówczas do wielu – nawet ponad 30 – obozów internowania, ulokowanych najczęściej w koszarach jednostek wojskowych w południowej i wschodniej części kraju. Etap drugi natomiast, nazwany przez Dubickiego etapem stref internowania, trwał mniej więcej przez rok od lutego 1940 do lutego 1941 r. Był to czas, kiedy – m.in. ze względu na prowadzoną ewakuację i zmniejszającą się liczbę osadzonych – żołnierzy przenoszono do dwu głównych stref internowania i likwidowano mniejsze obozy.

Wstępne koncepcje władz rumuńskich zakładały, że główna strefa internowania zostanie ulokowana w delcie Dunaju, z głównym ośrodkiem w Tulczy. Strefa ta mieściła się na obszarze odległym od szlaków komunikacyjnych kraju, co miało zmniejszyć liczbę ucieczek. Z czasem plan ten zmodyfikowano pod wpływem wydarzeń politycznych i szybkiego zmniejszania się liczby internowanych. Dokumentacja opracowana przez Tadeusza Dubickiego pokazuje, że 15 listopada 1939 r. na terytorium Rumunii funkcjonowały 32 obozy, rozlokowane głównie w środkowej i południowej części kraju, z tego aż 11 w okręgu Tulcza. Były ich dwa typy: żołnierskie i oficerskie. Obozy żołnierskie ulokowano w miejscowościach: Calafat, Caracal, Câmpulung, Comișani, Krajowa, Pitești, Râmnicu Sărat, Râmnicu Vâlcea, Slatina, Târgu Jiu, Urziceni, Turnu Severin, Strehaia oraz kilku mniejszych. Przebywało w nich wówczas 802 oficerów, 2358 podoficerów i 15 747 szeregowych. Z kolei obozy oficerskie znajdowały się w miejscowościach Balș, Călimănești, Corabia, Drăgășani, Govora, Ocnele Mari, Roșiori de Vede. W uzdrowisku Băile Herculane znajdował się tzw. obóz generalski, gdzie w październiku 1939 r. przebywało 23 generałów WP. W obozie tym znajdowali się m.in. gen. dyw. Kazimierz Fabrycy, gen. bryg. Janusz de Beaurein, Mieczysław Dąbkowski, Gustaw Paszkiewicz, Mieczysław Maciejewski i gen. Władysław Langner. W miejscowości Dragoslavele przebywał marsz. Edward Śmigły-Rydz z kilkoma zaledwie osobami towarzyszącymi, natomiast w Braszowie przetrzymywano żołnierzy odbywających kary dyscyplinarne. W sumie w połowie listopada 1939 r. w obozach oficerskich przebywało 25 generałów, 711 oficerów starszych, 1804 oficerów młodszych oraz 323 podoficerów i żołnierzy.

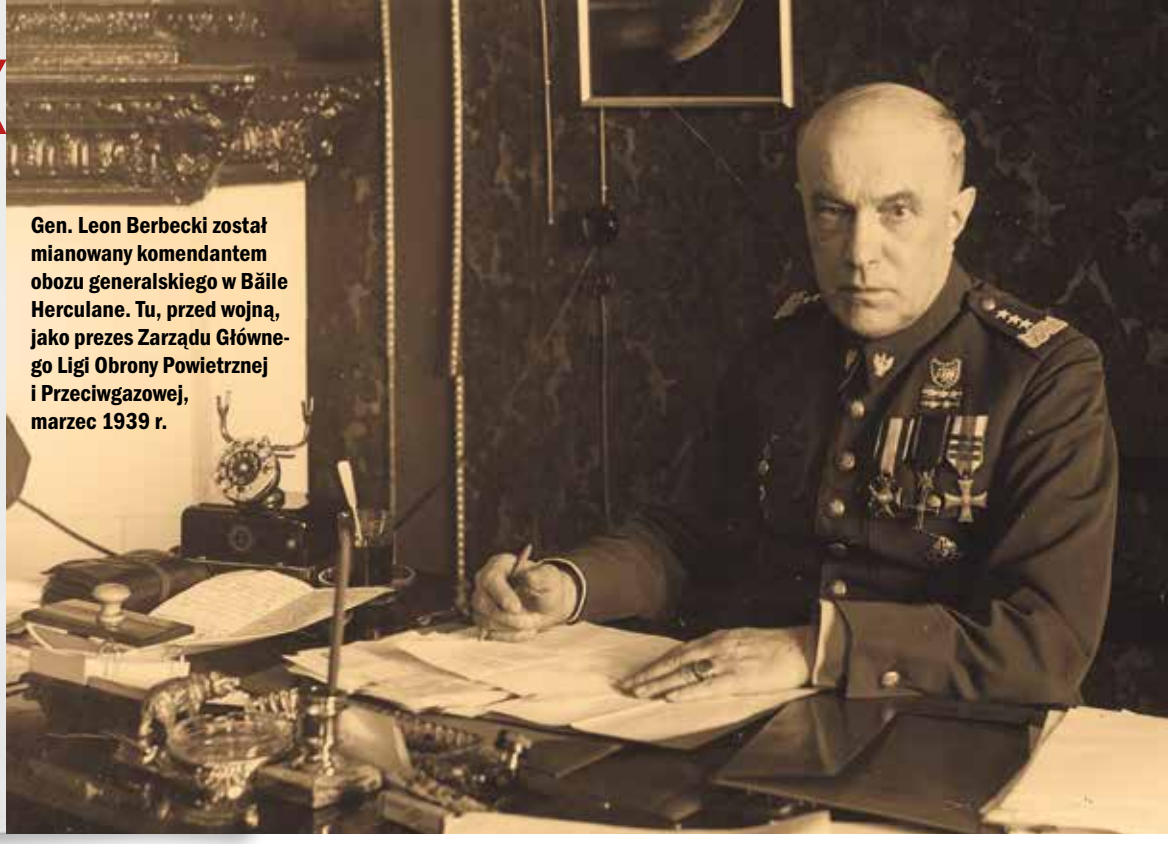

Gen. Leon Berbecki został mianowany komendantem obozu generalskiego w Băile Herculane. Tu, przed wojną, jako prezes Zarządu Głównego Ligi Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej, marzec 1939 r.

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Ze względu na ucieczki internowanych stan osobowy w poszczególnych obozach ciągle się zmniejszał. Prowadziło to do zamykania kolejnych obozów i do przenoszenia internowanych między miejscowościami. Z dokumentów wynika, że do początku lutego 1940 r. z obozów ubyło niemal 14 tys. żołnierzy. Efektem była reorganizacja całego systemu internowania. Zlikwidowano obozy w delcie Dunaju, z całego kraju zaczęto zaś internowanych ściągać do dwu główny stref internowania, utworzonych w okręgach Târgu Jiu i Târgoviște.

Warunki życia

Obozy internowanych działały według opracowanych przez rumuński Sztab Generalny wytycznych. Początkowo w obozach panował względnie łagodny reżim, ponieważ dla wszystkich sytuacja była nowa i niejasna. Uważa się, że rząd życzliwego Polsce premiera Armanda Călinescu, zamierzał odczekać, aż wrzawa wokół internowanych nieco się uspokoi, a następnie po cichu ich zwolnić. Călinescu został jednak 21 września 1939 r. zamordowany, a w nowych warunkach politycznych doszło – wskutek niemieckich nacisków – do stopniowego zaostrzenia polityki względem uchodźców.

Warunki życia internowanych były bardzo różne. Umieszczeni w obozach w delcie Dunaju narzekali na niezdrowy klimat i szerzące się choroby. Pierwszych żołnierzy, którzy znaleźli się w Krajowej, zakwaterowano natomiast w wygodnym i komfortowym hotelu „Palace". Po utworzeniu stref internowania, w nowo powstałych obozach panowały warunki wręcz spartańskie, początkowo brakowało tam nawet sienników. Z czasem jednak zadbano o niezbędne przedmioty życia codziennego, internowani mogli żyć w warunkach zbliżonych do tych, w których przebywali żołnierze armii rumuńskiej. Każdy obóz miał rumuńską załogę, równolegle jednak formowano dowództwa polskie, składające się zwykle z komendanta i jego sztabu. Na przykład komendantem obozu generalskiego w Băile Herculane był gen. Leon Berbecki, w Turnu Severin zaś płk Władysław Węcki. Stosunki między internowanymi a rumuńską komendanturą bywały różne, przykłady doskonałej i zgodnej współpracy wcale nie były rzadkie, choć zdarzali się oficerowie rumuńscy, którzy w osobach przetrzymywanych widzieli dla siebie dobre źródło dochodów na przykład przez wymuszanie łapówek.

System ewakuacji

Presja władz niemieckich i zmiany polityczne w Rumunii doprowadziły do tego, że stan internowania się przeciągał. Legalnie, m.in. dzięki szwajcarskiemu paszportowi, mógł z Rumunii wyjechać prezydent Ignacy Mościcki. W szczególnie trudnej sytuacji znalazł się natomiast minister Józef Beck. Mimo podejmowanych prób nie zdołał zbiec i ostatecznie zmarł na gruźlicę w połowie 1944 r. w miejscowości Stănești.

Dość szybko po uruchomieniu obozów stworzono system ewakuacji żołnierzy polskich na Zachód. Zajmował się tym głównie attaché wojskowy przy ambasadzie RP w Bukareszcie ppłk Tadeusz Zakrzewski. Po przybyciu gen. Władysława Sikorskiego do Bukaresztu pod koniec drugiej dekady września Zakrzewski wypowiedział posłuszeństwo internowanemu rządowi RP. Przyjął także sformułowane przez Sikorskiego ogólne zasady ewakuacji żołnierzy z Rumunii. Za priorytetową uznano w nich ewakuację polskich pilotów, a poza lotnikami – także szeregowych, podoficerów i oficerów młodszych do kapitana włącznie, mających mniej niż 40 lat. Oficerów wyższych od podpułkownika

wzwyż traktowano w sposób specjalny, ponieważ wedle wytycznych misja wojskowa miała dokonywać swoistej selekcji osób, którym oferowano pomoc w ewakuacji. Często selekcja ta polegała na tym, że oficerów starszych, wskazanych przez władze polskie we Francji, wzywano do ambasady RP imiennie, przekazywano komplet dokumentów niezbędnych do podróży i ekspediowano dalej. Pomijano przy tym oficerów obwinianych za klęskę wrześniową, czyli przede wszystkim sympatyków władzy sanacyjnej, oni musieli więc radzić sobie sami. W uzgodnieniu z aliantami opracowano trasy przerzutu polskich żołnierzy na Zachód. Już w drugiej połowie września 1939 r. gen. Stanisław Burhardt–Bukacki wydał instrukcję, w której wskazywał ewakuującym się żołnierzom główne porty morskie, z których mają korzystać podczas przeprawy do Francji. Droga morska wiodła przez porty: Konstancę, względnie Bałczik (wówczas w granicach Rumunii) lub Warnę, następnie Stambuł lub Saloniki i dalej, w kierunku Francji. Niemal równolegle opracowywano trasę lądową. Na początku października gen. Juliusz Kleeberg, specjalny wysłannik rządu Sikorskiego, podczas spotkań roboczych z pracownikami polskich placówek dyplomatycznych w neutralnej podówczas Jugosławii, ustalił przebieg trasy przez ten kraj – od granic z Rumunią i Węgrami do portów na Adriatyku. Dla usprawnienia pracy, przy bukareszteńskim ataszacie utworzono biuro ewakuacyjne mające siedem wyspecjalizowanych sekcji, między innymi finansową i paszportowo-wizową. Żołnierzy zaopatrywano w niezbędne dokumenty, w tym paszporty i wizy, cywilną odzież i pieniądze na drogę. Pierwszą grupę wyprawiono już 18 września, lecz właściwy system przerzutu ludzi ruszył dopiero pod koniec miesiąca. Z Bukaresztu 26 września wyjechało 32 żołnierzy. Kolejne grupy odprawiano sukcesywnie, według wypracowanego schematu.

Decydując się na ucieczkę z obozów, żołnierze próbowali rozmaitych sposobów. Często wyznaczeni oficerowie wręczali łapówki członkom rumuńskiej załogi po to, by ci przymykali oko na znikających. Czasami stosowano bardziej wyrafinowane sposoby: uciekano z przepustek, symulowano choroby, przygotowywano podkopy albo upijano rumuńskich strażników. Okazją do ucieczki był również transport żołnierzy do nowego obozu. Ewakuacji podejmowali się nie tylko żołnierze niższych stopni, lecz także oficerowie wyższych szarż. Do września 1940 r. na Zachód ewakuowali się m.in. generałowie Gustaw Paszkiewicz, Janusz Głuchowski, Tadeusz Kossakowski i Karol Masny. W grudniu 1940 r. zakończoną sukcesem próbę ucieczki podjął marsz. Śmigły-Rydz, który przez Węgry przedarł się do Polski.

Dobrowolne powroty

Niemal równolegle do akcji ewakuacyjnej żołnierzy polskich na Zachód, własną akcję „repatriacyjną" od października 1939 r. prowadzili Niemcy. Polegała ona na wyszukiwaniu w obozach dla internowanych obywateli polskich narodowości niemieckiej. Działania te przyniosły początkowo skromne rezultaty – do połowy listopada zidentyfikowano ok. 140 osób, w większości Ślązaków, niektórzy nawet nie mówili po niemiecku. Z czasem jednak liczba osób podających się za Niemców rosła, do połowy maja 1940 r. w kilku transportach na północ wyjechało bowiem ok. 450 osób, żołnierzy niższych szarż, zaniepokojonych przedłużającą się rozłąką z rodziną i dziećmi. W drugiej połowie 1940 r. władze niemieckie uruchomiły przy udziale lokalnych placówek niemieckich akcję, w której nakłaniano polskich żołnierzy, by wracali do domów. Część żołnierzy z różnych przyczyn dobrowolnie decydowała się na powroty. Zgodę na wyjazdy do Polski internowanych, lecz niezdolnych do służby wojskowej wydał w lipcu 1940 r. attaché wojskowy RP w Bukareszcie. Jeszcze w tym samym miesiącu z Rumunii wyjechało na ziemie polskie ok. 1700 żołnierzy, niemal wyłącznie szeregowych. Wyjazdy takie prowadzono partiami, ostatni wyjechali jeszcze w grudniu 1940 r. Najprawdopodobniej duża część ewakuowanych w ten sposób żołnierzy polskich trafiła na roboty do Niemiec.

Likwidacja obozów

W 1940 r. dramatycznie zmieniła się sytuacja polityczna Rumunii. Dla tamtejszych elit politycznych prawdziwym wstrząsem był upadek Francji, wielkiego europejskiego mocarstwa. Pod wpływem tych wydarzeń w Rumunii doszło do przeorientowania polityki na proniemiecką. Na początku września 1940 r. dyktatorską władzę objął gen. Ion Antonescu, kraj zaś oficjalnie przystąpił do Osi. Efektem tych zmian było zamknięcie w listopadzie 1940 r. ambasady RP w Bukareszcie. Władze rumuńskie złożyły wówczas Niemcom propozycję wydania żołnierzy polskich, którzy wciąż jeszcze pozostawali w obozach internowania. Rumuni uzasadniali to potrzebą przyjęcia uchodźców z Besarabii, zajętej w połowie roku przez Rosję sowiecką. Całą akcję przekazania pozostałych internowanych przeprowadzono na początku lutego 1941 r. Przekazano wówczas Niemcom ok. 2 tys. osób, które następnie przewieziono częściowo do kraju, częściowo do oflagów w zachodnich Niemczech. Wśród wywiezionych znalazło się 11 generałów, m.in. Leon Berbecki, Mieczysław Dąbkowski, Stefan Pasławski i Henryk Krok-Paszkowski. Odesłanie ostatniego transportu żołnierzy polskich do Niemiec oznaczało zakończenie całej historii obozów internowania w Rumunii. ■

ROBERT SENDEK absolwent Uniwersytetu Jagiellońskiego, doktor nauk humanistycznych, slawista, bałkanista, pasjonat historii. Interesuje się problematyką językową i narodowościową Bałkanów oraz kontaktami polsko-bałkańskimi.

[1] F.S. Składkowski, *Prace i czynności Rządu Polskiego we wrześniu 1939 r.*, cz. I, w: „Kultura", nr 5/1948, Paryż 1948, s. 122. [2] Tamże, s. 122. [3] F.S. Składkowski, *Prace i czynności…*, cz. II, „Kultura", nr 6/1948, Paryż 1948, s. 107. [4] T. Dubicki, *Wojsko polskie w Rumunii 1939–1941*, Warszawa 1994, s. 26.

Zamordowany za prawdę

W 1943 r. prawosławny kapłan Stefan Kriwoszijew w bułgarskim Sewlijewie zorganizował wystawę poświęconą zbrodni katyńskiej. Został za to zamordowany w ten sam sposób co Polacy w Katyniu. Kriwoszijew do dziś jest nieznany, nawet w swej ojczyźnie – Bułgarii.

ROBERT SENDEK

Wieczorem 5 października 1944 r. ktoś brutalnie załomotał do drzwi bułgarskiego kapłana Stefana Kriwoszijewa. Było późno, w domu znajdowała się cała rodzina: duchowny, jego żona i cztery córki. Kriwoszijew otworzył drzwi. W progu stali trzej młodzi ludzie z karabinami na ramionach. Oznajmili, że Kriwoszijew wzywany jest na posterunek milicji w sprawie wyjaśnień. Kapłan pożegnał się z bliskimi i wyszedł. Rodzina nigdy go już nie zobaczyła żywego.

Świadkowie, przetrzymywani wówczas na posterunku milicji w miejscowości Sewlijewo, do którego doprowadzono Kriwoszijewa, wspominali po latach, że tego wieczoru przed posterunek zajechała ciężarówka z kilkoma aresztantami. Wśród nich rozpoznano właśnie Stefana Kriwoszijewa, ale na samochodzie znajdowali się także burmistrz miasta Sewlijewo Marin Konow, jego zastępca Georgi Kornazow, przedsiębiorca Christo Stojnow – razem sześć osób. Nie zatrzymano ich dłużej w areszcie, lecz wywieziono szybko w niewiadomym kierunku. To, co stało się później, wiadomo z opowieści jednego z wykonawców egzekucji, komunisty Dimityra Doczewa. Gryzło go sumienie w związku z popełnioną zbrodnią, próbował się więc przed sąsiadami i rodziną usprawiedliwiać. Opowiadał, że aresztowanych wywieziono na łączkę na skraju pobliskiego lasu, a następnie polecono im wykopać własne groby. Doczew mówił, że Kriwoszijew prosił go – jako swojego znajomego – by darowano mu życie. Duchowny miał błagać Doczewa, żeby ten strzelał obok, by Kriwoszijew mógł upaść i udawać zabitego, a potem wymknąć się i wrócić do domu. Nawet gdyby ta opowieść była prawdziwa, z planu i tak nic by nie wyszło, gdyż po oddaniu strzałów przez pluton egzekucyjny, gdy skazani upadli do grobów, jeden z nadzorujących egzekucję dla pewności strzelił każdemu leżącemu w głowę. Ofiary zostały zamordowane bez świadków, bez sądu i bez możliwości obrony.

Wykopane przez aresztowanych groby były bardzo płytkie, miały zaledwie 50–60 cm głębokości. Ciała zamordo-

NAD MORZEM CZARNYM

Panorama miasta Bałczika od strony Morza Czarnego. Fotografia zamieszczona w związku z włączeniem Południowej Dobrudży i Bałczika do Bułgarii w 1941 r. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Członkowie Międzynarodowej Komisji Lekarskiej badającej zbrodnię katyńską na spotkaniu z niemieckim ministrem zdrowia dr. Leonardem Conti w Berlinie. Marko Markow trzynasty od lewej.

FOT. WIKIPEDIA/UDOSTĘPNIONE PRZEZ IMPERIAL WAR MUSEUM

wanych przysypano ziemią do tego stopnia niedbale, że po jakimś czasie, w wyniku deszczu i osiadania gruntu, fragmenty zwłok zaczęły się wyłaniać. Na taki makabryczny widok niedługo potem natrafili młodzi pasterze kręcący się po okolicy, w tym czternastoletni wówczas Dimityr Peew. Rysy twarzy odnalezionej przez nich głowy były niemożliwe do rozpoznania, lecz na podstawie charakterystycznych długich włosów splecionych z tyłu w warkocz, chłopak domyślił się, że to głowa księdza. O odkryciu poinformował dorosłych, ci zaś powiązali ze sobą fakty.

Tło zbrodni

Odnaleziona czaszka należała do Stefana Kriwoszijewa. Ślady wskazywały na to, że został on zamordowany w ten sam sposób, w jaki NKWD zgładziło w Katyniu polskich oficerów: strzałem w potylicę. Tragiczny splot wydarzeń sprawił, że ten prawosławny duchowny mówił wiernym właśnie o Katyniu kilka miesięcy wcześniej. W jaki jednak sposób sprawa Katynia mogła zadecydować o losie bułgarskiego księdza? I skąd u niego zainteresowanie Katyniem?

Wiadomość o zbrodni katyńskiej wstrząsnęła bułgarską opinią publiczną wkrótce po odnalezieniu masowych grobów. Jednym z członków powołanej przez Niemcy w kwietniu 1943 r. Międzynarodowej Komisji Lekarskiej badającej tę zbrodnię był bułgarski patolog, doc. Marko Markow z Uniwersytetu Sofijskiego. Odkrycie katyńskich dołów referowała bułgarska prasa. Komisja nie była jedynym organem tego typu. Podobną instytucję powołali Niemcy w czerwcu 1943 r. Miała ona zbadać inne masowe groby ofiar NKWD, odkryte w ukraińskim mieście Winnica w pobliżu Żytomierza. W tym jednak wypadku w dołach śmierci były szczątki ofiar z lat wielkiego terroru, zamordowanych w latach 1937–1938. W pracach tej drugiej komisji brała także udział delegacja bułgarska złożona z lekarza (choć nie był nim Markow) oraz trzech duchownych prawosławnych. Powołanie obu komisji nie wynikało z dobrej woli władz hitlerowskich, nagłośnienie potwornej zbrodni bolszewików miało służyć niemieckiej propagandzie.

Zarówno na temat Katynia, jak i zbrodni w Winnicy szeroko rozpisywała się prasa bułgarska. Z członkami obu komisji przeprowadzano wywiady, powstawały poświęcone temu tematowi audycje radiowe. Pisano o wstrząsającej zbrodni, która wywołała ogromne wzburzenie całego świata. Odmalowywano tło polityczne, wspominając przy okazji konflikt między emigracyjnym rządem polskim gen. Władysława Sikorskiego a władzą bolszewicką. Dominowało jednak poczucie grozy i przerażenia skalą mordu, mimo że bułgarscy dziennikarze dysponowali wówczas jedynie wyrywkowymi informacjami. Na przykład w artykule z czerwca 1943 r. w bułgarskim czasopiśmie „Otec Paisij" można było przeczytać o tym, że ofiarami sowieckiej zbrodni stało się ponad 10 tys. polskich oficerów[1]. Dziś wiemy, że zamordowanych było ponaddwukrotnie więcej.

Powód do zemsty

W tym właśnie czasie Stefan Kriwoszijew w Sewlijewie (środkowa Bułgaria) zorganizował wystawę poświęconą Katyniowi. Ogromne wrażenie budziły fotografie przedstawiające miejsce zbrodni katyńskiej i jej ofiar. Elementem wystawy było również wskazanie sprawców zbrodni – rządzącego Związkiem Sowieckim reżimu stalinowskiego. Nie do końca wiadomo, skąd Kriwoszijew wziął zdjęcia i pozostałe materiały dotyczące Katynia. Być może część stanowiły fotografie zaczerpnięte z oficjalnego raportu Międzynarodowej Komisji Lekarskiej badającej zbrodnię katyńską. Stefan Kriwoszijew był człowiekiem wykształconym, znał język niemiecki, w dodatku przez pewien czas kwaterowali w jego domu oficerowie niemieccy, mógł zatem za ich pośrednictwem pozyskać niektóre materiały. To możli- ▶

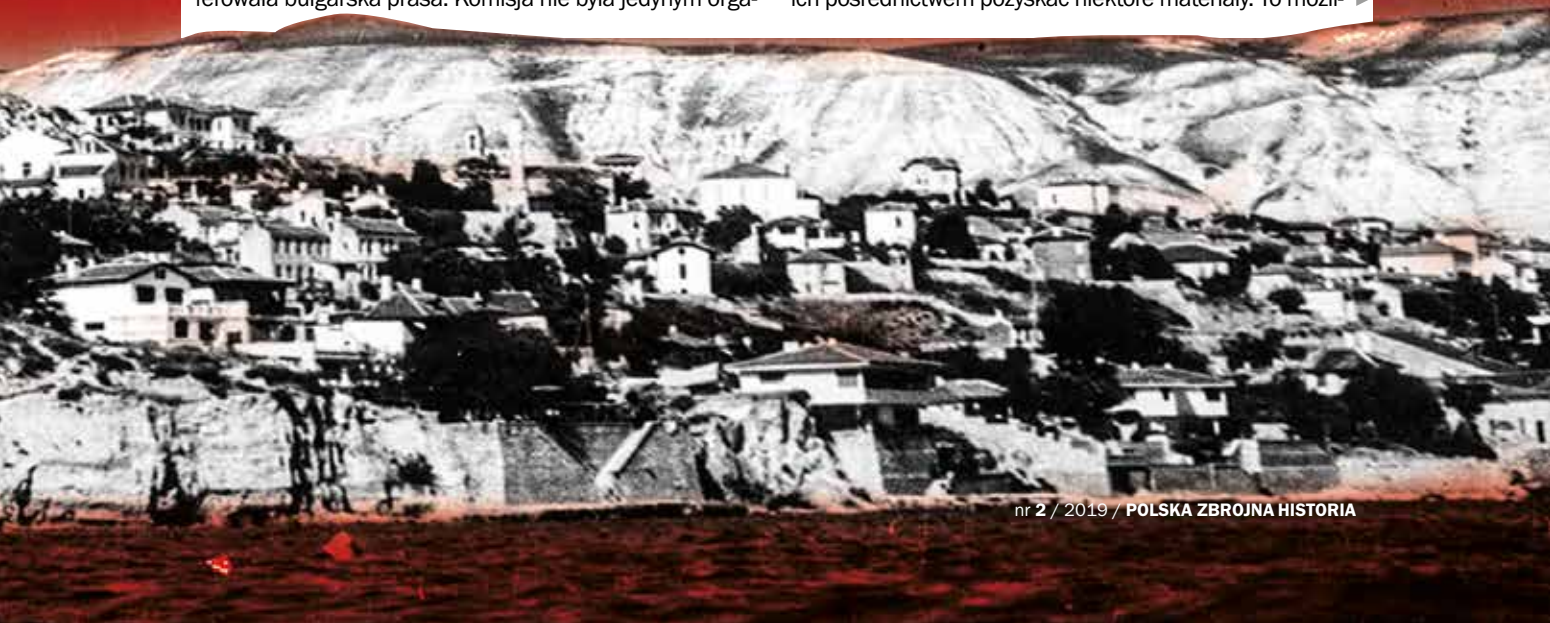

we, choć świadkowie, którzy Kriwoszijewa znali osobiście, przypuszczają, że otrzymał je raczej od Polaków, członków polskiej konspiracji. Między Polską a Bułgarią właściwie od pierwszych dni wojny działał szlak przerzutowy, którym przemycano na Zachód ludzi, ale także dokumenty, zdjęcia i materiały pokazujące zbrodnie niemieckie w Polsce. Niewykluczone zatem, że tym właśnie szlakiem bałkańskim dotarły do Bułgarii materiały przekazywane przez pracowników Polskiego Czerwonego Krzyża, którzy wiosną

1943 r. brali udział w pracach na miejscu sowieckiej zbrodni. I to właśnie one – rozpowszechniane w Bułgarii – dotarły do prawosławnego duchownego.

Zapewne przeczuwając zbliżającą się grozę, Kriwoszijew pozwolił sobie na łamach czasopisma „Razwitie" na apokaliptyczne refleksje. Pisał bowiem: „Na stosie ofiarnym stworzonym z własnych egoistycznych interesów, bez żadnych wyrzutów sumienia składa się los i życie milionów ludzi. Wobec bóstwa własnych interesów wojna zamienia się w nikczemne, krwawe bachanalia. Człowiek zabija człowieka, jeden naród uciska drugi, tłamsi w imię własnych interesów. A oto gęstnieją obłoki gniewu i nienawiści między narodami, wspólnotami i pojedynczymi osobami; wysłannik zła ciemięży ludzi, zaś nawałnica zmiecie wszystko i wszystkich, bez różnicy, czy są dobrzy, czy źli, mądrzy czy nierozumni. Biada tym, przez których podnosi się nawałnica, biada tym bardziej tym, którzy jej doczekają"[2].

Ani tych słów Kriwoszijewa, ani wymowy wystawy katyńskiej komuniści nie zapomnieli. W okolicach Sewlijewa, podobnie jak w całej Bułgarii, działały komunistyczne bojówki inspirowane i wspierane przez Związek Sowiecki. Czas ich zemsty nadszedł, gdy komuniści – czując stojącą za nimi potęgę Armii Czerwonej – objęli w kraju władzę. Stało się to 9 września 1944 r. Zaczęły się wówczas wyprorokowane przez Kriwoszijewa „krwawe bachanalia". Kilkanaście ostatnich tygodni 1944 r., od 9 września do końca grudnia, to jedna z najbardziej krwawych epok w najnowszych dziejach Bułgarii: czas niesłychanego okrucieństwa i przemocy. Bezkarnych zbrodni dopuszczały się wówczas głównie oddziały komunistycznej partyzantki, ale z chaosu korzystali także karierowicze, ludzie pozbawieni kręgosłupa moralnego i zwykli przestępcy. Ocenia się, że do końca 1944 r. w wyniku samowoli, bezprawia i doraźnych sądów w Bułgarii zginęło lub zniknęło bez śladu od 20 do 40 tys. osób. Fala przemocy zaczęła opadać dopiero po 20 grudnia 1944 r., kiedy ukonstytuowały się sądy (trybunały) ludowe. To jednak nie zmieniło ogólnej atmosfery w kraju: nadal trwała polityczna rozprawa, jaką komuniści prowadzili ze swymi przeciwnikami politycznymi, tym razem jednak zbrodnie przykrywając pozorem legalności.

Jedną z ofiar tej jesiennej fali nienawiści, przed którą przestrzegał w swych tekstach, stał się Stefan Kriwoszijew. Został zamordowany 5 października 1944 r. Właściwy proces, prowadzony przeciwko niemu i pięciu innym ludziom z Sewlijewa i okolic, odbył się dopiero w marcu 1945 r., a więc pół roku po ich śmierci. Proces prowadzono zaocznie. Działający w Sewlijewie okręgowy sąd ludowy oskarżył Kriwoszijewa o to, że „był zaufanym człowiekiem byłego ministra spraw wewnętrznych Doczy Christowa i wrogiem komunistycznej partyzantki, że od 1941 r. podburzał ludzi w okręgu do walki z partyzantami i jako inspirator tej walki był autorem faszystowskich wystąpień"[3]. Wyrok wydano 27 marca 1945 r. Kriwoszijew wraz z innymi oskarżonymi został skazany na śmierć, grzywnę, którą musiała zapłacić jego rodzina, i utratę majątku na rzecz skarbu państwa.

Warto zaznaczyć, że kwestia „faszystowskich wystąpień" może się odnosić zarówno do homilii wygłaszanych podczas uroczystości cerkiewnych, jego publicystyki na łamach prasy, jak i do wystawy poświęconej katyńskiej zbrodni. Władze komunistyczne w Bułgarii mocno oponowały przeciwko tezie, że sprawcą tej zbrodni był Związek Sowiecki. Sprawa ta była dla komunistów tak ważna, że procesem członków komisji katyńskiej i winnickiej zajmował się jeden z dwunastu składów Najwyższego Sądu Ludowego. Poszczególne składy sądu badały inną grupę społeczną, uznaną za przedstawicieli poprzedniego systemu. Pierwsze dwa składy prowadziły procesy najwyższych urzędników przedwojennej Bułgarii, członków rodziny carskiej, premierów, ministrów i deputowanych zasiadających w bułgarskim parlamencie od początku lat czterdziestych. Sprawę Międzynarodowej Komisji Lekarskiej badającą zbrodnię katyńską wziął na wokandę trzeci skład Najwyższego Sądu Ludowego, co pokazuje, że dla komunistów była ona priorytetowa. Wszyscy członkowie komisji katyńskiej i winnickiej zostali oskarżeni o to, że byli narzę-

PRZY BUŁGARSKIEJ GRANICY

Czołgi niemieckie typu PzKpfw III w przygranicznej miejscowości między Bułgarią a Grecją. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

dziem faszystowskiej manipulacji w sprawie zbrodni w Katyniu i Winnicy, oraz o to, że rozpowszechniali goebbelsowską, hitlerowską propagandę. Jedynym oskarżonym, którego wówczas uniewinniono, był doc. Marko Markow, ale to dlatego, że pod naciskiem sowieckiej bezpieki odwołał poprzednie zeznania i złożył wyjaśnienia wspierające tezę, że sprawcami zbrodni katyńskiej byli Niemcy. Zeznania Markowa komuniści wykorzystali później podczas procesów w Norymberdze, by oddalić od siebie przekonania, że to oni są sprawcami tej zbrodni. Markow miał jednak proces, a Stefan Kriwoszijew nie otrzymał możliwości obrony.

Okruszek wiary

Prawdziwe imię Kriwoszijewa to Sybi. Zwykł jednak podpisywać się przybranym imieniem cerkiewnym jako „pop Stefan" i w dokumentach, i w opracowaniach pojawia się taka forma: Stefan Kriwoszijew. Znający kapłana Christo Jonkow wspominał go w ten sposób: „Był to człowiek wysokiego wzrostu, przystojny, z nieco szpiczastą brodą, włosy miał splecione na plecach w warkocz. Chodził w kamiławce, kapłańskiej czapce, wyprostowany, miał pogodną, otwartą twarz, zawsze jakby lekko uśmiechnięty. Z daleka było widać, że to jeden z pierwszych ludzi w mieście"[4].

Większość osób, które go znały, pamięta go jako człowieka oczytanego, erudytę i oratora. Wspominają go jednocześnie jako gorącego patriotę i żarliwego chrześcijanina. Iwanka Kalinowa, jego córka, opowiadając o ojcu, przytoczyła anegdotę: „Gdy mój ojciec odprawiał nabożeństwo wielkanocne, przeganiał z kościoła kobiety, które przychodziły tam z obrzędowymi chlebami i przechwalały się, której chleb wyrósł bardziej. Ojciec mówił im wtedy: »Lepiej gdybyście tu przyszły z okruszkiem wiary niż z wielkimi chlebami«"[5].

Komunistyczny wyrok na Stefana Kriwoszijewa uchylono pół wieku po jego śmierci. Proces rehabilitacyjny odbył się bowiem dopiero w marcu 1995 r. Zarówno samego kapłana, jak i osoby zamordowane wraz z nim w październiku 1944 r. uznano za niewinne. Chcąc upamiętnić postać księdza Kriwoszijewa, Marin Gradinarow wyreżyserował film dokumentalny według scenariusza Martina Nikołowa „Okruszek wiary". ■

ROBERT SENDEK doktor nauk humanistycznych, slawista, bałkanista, miłośnik historii. Autor przewodników po Bułgarii, Macedonii i Albanii. Interesuje się problematyką językową i narodowościową Bałkanów i kontaktami polsko-bałkańskimi.

[1] Czasopismo „Отец Паисий", nr V–VI z 1943 r., notka pt. Катин – Виница, s. 196. [2] Artykuł „Да се опомним" („Opamiętajmy się"), zamieszczony na łamach czasopisma „Развитие" (Rozwój), nr 13/25.11.1928, s. 1–2. [3] Akt oskarżenia w sprawie karnej nr 1 z 1945 z 12 marca 1945 r. przygotowany przez oskarżycieli ludowych z miasta Sewlijewo. Treść aktu została przytoczona w dokumentalnym filmie Marina Gradinarowa „Okruszek wiary". [4] Wypowiedź Christa Jonkowa przytoczona w filmie „Okruszek wiary". [5] Wypowiedź Iwanki Kalinowej przytoczona w filmie „Okruszek wiary".

ŻELAZNY JAK LEGION

Ruch zapoczątkowany przez młodego prawnika Corneliu Zeleę Codreanu, lidera rumuńskiej Żelaznej Gwardii, zainspirował nastroje antypolskie, co doprowadziło do ewakuacji Ambasady Rzeczypospolitej Polskiej z Bukaresztu w listopadzie 1940 r.

ANDRZEJ DUBICKI

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Gen. Ion Antonescu (z lewej) i przywódca Legionu Michała Archanioła Corneliu Zelea Codreanu.

Działalność Corneliu Zelei Codreanu „Kapitana" (1899–1938) należy postrzegać w szerszym kontekście przemian, które następowały zarówno w Rumunii, jak i w całej Europie po zakończeniu Wielkiej Wojny. W Rumunii liczono, że przyłączenie obszarów Siedmiogrodu, Bukowiny i Besarabii przyczyni się do podniesienia kondycji moralnej, ale także i jakości rumuńskiego życia publicznego trapionego od niepamiętnych czasów przez korupcję i brak przejrzystości w działaniach elit rządzących. Kontekst Siedmiogrodu oraz w mniejszym stopniu Bukowiny i ich mieszkańców był o tyle istotny, że oczekiwano, iż żywioł rumuński, który przez długi czas rozwijał się niezależnie od dominujących tam politycznie Węgrów, będzie dzięki temu prezentował wyższe standardy moralne, co wpłynie na podniesienie jakości życia politycznego i narodowego w Wielkiej Rumunii.

Niestety, w nowych warunkach jakość życia politycznego właściwie się nie zmieniła, a politycy z Ardealu (Siedmiogrodu) – zamiast dobrze wpływać na kolegów ze Starego Królestwa – sami ulegli gorszącym nawykom. Spowodowało to frustrację, zwłaszcza wśród młodego pokolenia, które liczyło, że zmieni się sposób prowadzenia polityki po urzeczywistnieniu się zjednoczenia wszystkich Rumunów – zjednoczenia traktowanego jako coś wielkiego, niemal metafizycznego. Biorąc pod uwagę liczne zbiegi okoliczności, między innymi klęskę zarówno państw centralnych, jak i Rosji, które doprowadziły do powstania Wielkiej Rumunii, można stwierdzić, że mogły być one uzasadnione i uznane za wynik Bożej interwencji, swoisty dar Opatrzności, którego nie można zmarnować, podtrzymując nadal patologie polityczne.
To właśnie stało się źródłem sukcesu ruchu Corneliu Zelei Codreanu. Kolejnym elementem układanki, która doprowadziła do powstania ruchu o charakterze na wskroś narodowym, był napływ – wśród innych przesiedleńców z Rosji – dużej liczby Żydów do Mołdawii, co sprawiło, że stała się ona matecznikiem rumuńskiego antysemityzmu. Wreszcie trzecim elementem, który według Codreanu w późniejszym czasie wskazywał na konieczność „odnowy wewnątrzrumuńskiej", był wpływ wydarzeń rosyjskich z 1917 r. na to, co się działo w Mołdawii.
W szczególności chodziło tu o szerzenie nastrojów rewolucyjnych przez zdemobilizowane oddziały rosyjskie i o podatność na ich propagandę części proletariatu, zwłaszcza w głównych

ośrodkach miejskich takich jak Jassy, stanowiących wówczas – w sytuacji okupacji Bukaresztu przez państwa centralne – tymczasową siedzibę króla i rządu.

Atmosfera buntu przetrwała w Jassach do przełomu lat 1919/1920. Wynikała ona z sytuacji na wschodniej flance Rumunii, gdzie nie było jasne, czy w Rosji zwycięzą czerwoni, czy biali. Po wstąpieniu na uniwersytet w Jassach Corneliu Codreanu zetknął się ze zwolennikami opcji lewicowej, niemniej jednak studiując na wydziale prawa, znalazł się w kręgu prof. Alexandru C. Cuzy, jednego z czołowych teoretyków rumuńskiego nacjonalizmu i antysemityzmu, z którym miał blisko współpracować do 1928 r. w ramach Ligi Obrony Narodowo-Chrześcijańskiej (LANC).

Podstawy ideologiczne

Corneliu Zelea (Zieliński) Codreanu urodził się 13 września 1899 r. w miejscowości Huşi położonej w środkowej Mołdawii w pobliżu granicznej (wówczas i obecnie) rzeki Prut. Był synem Iona Zelei (Zielińskiego) Codreanu i Elizy Brauner, co powodowało późniejsze kwestionowanie jego pochodzenia rumuńskiego. Jego ojciec był nauczycielem, w 1902 r. zrumunizował on swoje nazwisko na Zelea. Fakt ten tłumaczono polonizacją przodków „Kapitana" w czasie, gdy Bukowina bezpośrednio podlegała Królestwu Galicji i Lodomerii. W okresie późniejszym Ion Zelea Codreanu był prominentem w organizacji politycznej swego syna.

Corneliu Codreanu z uwagi na młody wiek nie wziął udziału w Wielkiej Wojnie. Działalność polityczną rozpoczął w 1921 r. w Lidze Obrony Narodowo-Chrześcijańskiej prof. Alexandru C. Cuzy, wykładowcy na Uniwersytecie w Jassach, również uczelni Codreanu. W okresie działalności w LANC wielokrotnie popadał w konflikt z prawem. Najbardziej spektakularnym występkiem Codreanu było zabicie prefekta policji w Jassach Constantina Manciu w sądzie podczas procesu w 1924 r. Aresztowany i osadzony w więzieniu w bukareszteńskim klasztorze Văcăreşti miał doznać tam widzenia Archanioła Michała bądź też – według innej wersji – zainspirować się ikoną przedstawiającą księcia anielskich zastępów. Z zarzutu zabójstwa został uniewinniony, gdyż sąd uznał, że działał w afekcie. Po opuszczeniu aresztu zdecydował się zerwać z LANC i stworzyć własny ruch polityczny.

Codreanu, zakładając w 1927 r. mistyczno-ideowy Legion Michała Archanioła i wychodząc z własną inicjatywą ideologiczną, miał ułatwione zadanie, bo jego polityczna grupa docelowa nie była jeszcze dokładnie ukształtowana. Równe prawo wyborcze (dla mężczyzn) wprowadzono w Rumunii dopiero w 1919 r., w związku z czym wyborcy nie mieli jeszcze w większości na trwałe sprecyzowanych preferencji. Na arenie politycznej było zatem sporo wolnego miejsca. Legion w polityce występował jako partia Wszystko dla Ojczyzny (Totul pentru Ţară) w nawiązaniu do motta pierwszego króla Rumunii Karola I: Wszystko dla Ojczyny, nic dla mnie (Totul pentru Ţara, nimic pentru mine).

Obaj liderzy, Cuza i Corneliu Zelea Codreanu, propagowali radykalny nacjonalizm i antysemityzm. Po początkowym okresie w miarę zgodnej i korzystnej dla obu stron współpracy doszło do jej zerwania z uwagi na spór co do metod walki politycznej oraz wybór docelowego elektoratu partii. Liga Obrony Narodowo-Chrześcijańskiej choć kierowała ofertę także do chłopów, to jednak przez program ekonomiczny zakładający eliminację Żydów z handlu, największy posłuch uzyskała w Mołdawii, swym mateczniku, wśród drobnomieszczaństwa. Codreanu z kolei dążył do odejścia od drobnomieszczańskiego konserwatyzmu i chciał rozszerzenia ruchu na pozostałe warstwy społeczne, co jednak wymagałoby od Cuzy zmian doktrynalnych w ideologii.

Codreanu powolne dystansowanie się od LANC rozpoczął już w 1925 r. Do widocznego dla wszystkich zerwania relacji doszło w 1927 r., po założeniu konkurencyjnego dla LANC – wspomnianego już – ruchu legionowego. Właściwie były to trzy organizacje: Legion Michała Archanioła, który skupiał elitę ruchu; Żelazna Gwardia gromadząca sympatyków ruchu i Wszystko dla Ojczyzny – emanacja polityczna ruchu utworzona po pierwszej delegalizacji Legionu w 1933 r. Organizacje te jednak do tego stopnia były ze sobą powiązane, że przyjęło się stosować ich nazwy wymiennie.

Nacjonalizm Codreanu miał wiele wspólnego z tym, co prezentował we Włoszech Benito Mussolini. W kontekście relacji ruchu z Adolfem Hitlerem sprawa jest o wiele bardziej skomplikowana, ponieważ „Kapitan" z reguły ▶

FOT. DOMENA PUBLICZNA

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Przemarsz oddziałów Żelaznej Gwardii w Bukareszcie.

dość krytycznie wypowiadał się na temat Führera. Jednym z elementów odstręczających go od Hitlera była areligijność nazizmu, w żadnej mierze nie do pogodzenia z mocnym zaangażowaniem religijnym Codreanu. Ważnym elementem była też działalność społeczna Żelaznej Gwardii, np. budowa Zielonego Domu w Bukareszcie (siedziby Legionu) i sezonowe akcje pomocy rolnikom podczas żniw. Wszystko to wpływało na pozytywny odbiór społeczny ruchu i dawało mu przewagę nad LANC. Jednak coraz większa popularność ruchu niosła za sobą także poważne zagrożenie wynikające przede wszystkim z niechęci króla Karola II do ruchu i jego lidera, odwzajemnionej przez Codreanu. Doprowadziła ona najpierw do likwidacji aktywności politycznej ruchu, a na końcu – likwidacji fizycznej jego kierownictwa. Liga Obrony Narodowo-Chrześcijańskiej nie miała kłopotu z akceptacją przynajmniej nominalnego kierownictwa Karola II, co i tak nie uchroniło jej przed rozwiązaniem wraz z innymi partiami w marcu 1938 r.

Poglądy głoszone przez Żelazną Gwardię zyskały stosunkowo dużą popularność w społeczeństwie zmęczonym ciągłym konfliktem politycznym w Rumunii. Można więc uznać, że sukcesy ruchu legionowego były rezultatem niespełnienia nadziei zbiorowych dotyczących polepszenia się sytuacji politycznej i ekonomicznej w kraju. Truizmem będzie stwierdzenie, że poparcie dla idei legionowych było odwrotnie proporcjonalne do stanu rumuńskiej gospodarki, notabene bardzo podobnej do gospodarki II RP – oba kraje jako rolnicze mocno odczuły skutki Wielkiego Kryzysu. Atrakcyjność ruchu Codreanu była też odzwierciedleniem desperacji wielu warstw społeczeństwa zawiedzionego w nadziejach polepszenia sytuacji. Ich sympatia nie dotyczyła najbardziej fanatycznych członków organizacji, jak Codreanu, Ion Moța, Vasile Marin, lecz zwykłych członków. Legion był organizacją i jednocześnie partią, którą dziś określimy jako catch-all party – atrakcyjną dla większości wyborców. Z tego względu był bardziej popularny od pozostałych organizacji o charakterze narodowym. Dla człowieka pochodzącego z niższych warstw społecznych z pewnością atrakcyjne były działania podejmowane w terenie. Legioniści pomagali między innymi przy żniwach, przy regulacji rzek, co bardzo pozytywnie nastrajało do nich ludność wiejską, zwłaszcza że jednocześnie ich oddanie i głęboka religijność powodowały pozytywne nastawienie niższego kleru, upatrującego, może nieco koniunkturalnie, szansy na awans przy Legionie, ale też zadowolonego z pomocy udzielanej na wsi. Inaczej w tym względzie zapatrywała się znajdująca się pod wielkim naciskiem czynników rządowych hierarchia cerkiewna. W kontekście walki politycznej z konkurencją polityczną – LANC – niechęć hierarchii cerkiewnej była olbrzymią przeszkodą, jako że lider konkurencji, Alexandru C. Cuza, za mało ortodoksyjne, a raczej wręcz za heretyckie, marcjonickie w swej istocie poglądy religijne był ekskomunikowany przez Rumuński Kościół Prawosławny.

Przeciw Legionowi

Zarówno w momencie powstania ruchu w 1927 r., jak i jego największego rozwoju (w drugiej połowie lat trzydziestych) przez znaczną część społeczeństwa dwór królewski nie był traktowany jako ideał. Kiedy ruch powstawał –

w okresie regencji po śmierci króla Ferdynanda, formalnie władzę sprawował sześcioletni król Michał I, a faktycznie Rada Regencyjna. Nie była ona w stanie zapanować nad sytuacją w kraju i ze względu na niedomówienia konstytucyjne była określana jako organ partyjny – Partii Narodowo-Chłopskiej (Partidul Național Țărănesc, PNȚ). W takiej sytuacji po wybuchu Wielkiego Kryzysu społeczeństwo rumuńskie – podobnie jak polskie – mocno kryzysem doświadczone upatrywało szansy na poprawę sytuacji w osobie ojca Michała I – późniejszego Karola II. W pewnej mierze powrót w czerwcu 1930 r., uprzednio wydziedziczonego, monarchy był efektownym i politycznie skutecznym posunięciem. Karol nielegalnie do Rumunii przybył samolotem, z lotniska powiadomił premiera Iuliu Maniu o swym przylocie i władza bezzwłocznie została mu przekazana. W relacjach prasowych bardzo mocno podkreślano analogię do zstąpienia z nieba. Niemniej jednak Karol II nie był dla legionistów władcą idealnym. Dla Codreanu stanowił groźnego konkurenta w walce o dusze Rumunów. Nie chodziło tu w żadnej mierze o zamach na monarchię, gdyż wówczas spowodowałoby to automatyczną dyskwalifikację Legionu. „Kapitan" drogę polityczną rozpoczynał od walki z rozruchami socjalistycznych wrogów monarchii. Członek Legionu miał być admiratorem monarchii jako instytucji, ale już nie konkretnego monarchy. Poszukując źródeł negacji Karola II przez Codreanu, można wskazać przede wszystkim: wrogi stosunek do kochanki królewskiej Eleny Lupescu (rozwódki i w dodatku Żydówki), a także otaczanie się kamarylą, której zachowania z pewnością nie pasowały do ideału legionowego. Kluczowym elementem była wspomniana już walka o rząd dusz. Karol II nie mógł sobie pozwolić, by w kraju funkcjonował polityk popularniejszy od niego.

Czarę goryczy przelał monumentalny pogrzeb najbliższych współpracowników Codreanu: Iona Moty i Vasile Marina – poległych w wojnie domowej w Hiszpanii, a walczących po stronie gen. Franco – po którym król szukał pretekstu do pozbycia się niewygodnej konkurencji politycznej. Śmierć Moty i Marina 13 stycznia 1937 r. okazała się kluczowa dla dalszych losów Legionu. Ich pogrzeb celebrowany z olbrzymią pompą miał się stać – według zamysłu „Kapitana" i jego zwolenników – fundamentem wzmacniającym ruch i jego ideologię, równocześnie jednak wzbudził zaniepokojenie króla i jego otoczenia politycznego popularnością Legionu. Poświęcenie poległych liderów Legionu było postrzegane przez innych członków ruchu jako chęć wprowadzenia w życie ideału kreacji nowego człowieka, a ich ofiara miała wzmocnić ruch. Zgłoszenie się na krucjatę antykomunistyczną – jak propaganda legionowa postrzegała wojnę domową w Hiszpanii – było uznane za wypełnienie ideału legionowego, śmierć zaś została potraktowana jako męczeństwo w imię zasad, co miało wzmocnić cały Legion. W oczach „Kapitana" i jego najbliższych współpracowników wpisywało się to w mistyczny nacjonalizm Legionu, dla którego walka o Wielką Rumunię była tożsama z przynależnością do świata prawosławnego, stąd też w Polsce krytykowano widoczną wśród niektórych odłamów ruchu narodowego chęć zacieśniania kontaktów z Żelazną Gwardią. Niemniej walka o katolicką przecież Hiszpanię jak najbardziej znajdowała uznanie u rumuńskich legionistów – stawiających nadrzędność idei krucjaty antykomunistycznej nad rozłamami w łonie chrześcijaństwa.

Ofiara wspomnianych współpracowników Codreanu była kluczowa, gdyż ich śmierć w propagandzie legionowej przedstawiano i interpretowano w sposób chrześcijański jako element poświęcenia w walce z siłami piekła. I tak związany z Legionem Mircea Eliade wzmacniał ów przekaz, obudowując go w wątki archaiczne, nawiązujące do tradycyjnych wierzeń i opowieści rumuńskich. Śmierć Moty i Marina przedstawiał jako element wymaganego w dawnych klechdach poświęcenia niezbędnego dla wzniesienia bądź umocnienia miejsca kultu – rozumianego w tym

Uroczyste nabożeństwo poświęcone pamięci wodza Żelaznej Gwardii Corneliu Zelei Codreanu. Bukareszt, 1940 r.

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (2)

Uroczystości pogrzebowe Corneliu Zelei Codreanu i jego towarzyszy.

FOT. XXXXXXX

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Uroczystości pogrzebowe Corneliu Zelei Codreanu i 14 towarzyszy w cerkwi św. Ilie-Gorgani w Bukareszcie.

wypadku jako ruch legionowy. Wprowadzał wskazywaną w instrukcjach przez „Kapitana" pogardę dla śmierci. Legionista miał w pełni żyć dopiero w niebie, w związku z tym musiała następować afirmacja samopoświęcenia, której apogeum jest widziane w przysiędze legionowej wypowiedzianej podczas pogrzebu obu legionistów poległych w Hiszpanii. Elementy samopoświęcenia w imię szeroko pojmowanych ideałów ruchu zdarzały się już wcześniej, natomiast były one na tyle kontrowersyjne, że raczej nie przydawały się w propagandzie legionowej ze względu na możliwą niepożądaną interakcję z władzą. Chodzi tutaj głównie o dokonane przez legionistów zabójstwo premiera Iona G. Duci 29 grudnia 1933 r., gdy zamachowcy (w późniejszej propagandzie partyjnej nikadorzy) nie mieli szans ucieczki z miejsca zbrodni: dworca w Sinaia, a także oddanie się w ręce władz po makabrycznym zabójstwie zdrajcy Mihaia Stelescu (decemwirzy) 16 lipca 1936 r. – co przyczyniło się jedynie do szerzenia wewnętrznego kultu tychże (nikadorów i decemwirów). Dopiero śmierć i poświęcenie Moty i Marina na froncie hiszpańskim były na tyle neutralne politycznie, że mogli oni posłużyć jako archetypy „nowego człowieka", których postawę można było oficjalnie propagować. To zaś finalnie wzbudziło podejrzenia władzy.

Przybudówka polityczna Legionu (Totul pentru Țară) – jak już wspomniano – ostatecznie została zawieszona, potem zdelegalizowana przez rząd wraz z pozostałymi partiami politycznymi w marcu 1938 r., po ogłoszeniu dyktatury królewskiej. Ruch legionowy oficjalnie stanowił wówczas trzecią siłę polityczną w kraju z 15,5-procentowym poparciem. Wkrótce potem doszło do kolejnego aresztowania Corneliu Zelei Codreanu, oficjalnie z powodu gróźb kierowanych pod adresem Nicolae Iorgi, członka Rady Koronnej. To w połączeniu z represjami spowodowało zejście Żelaznej Gwardii do podziemia. Niemniej pomimo pozornej neutralizacji nawet w więzieniu Codreanu pozostawał niebezpieczny, zwłaszcza że Niemcy starali się doprowadzić do jego uwolnienia. Elementem tej polityki była podobno osobista interwencja Hitlera w tej sprawie u Karola II – typowa niedźwiedzia przysługa, gdyż król, zdając sobie sprawę z możliwych konsekwencji poddania się naciskom Niemiec – zdecydował o fizycznej likwidacji „Kapitana" i przetrzymywanych z nim legionistów. Według wersji oficjalnej Codreanu wraz z towarzyszami (nikadorami i decemwirami) został zabity 30 listopada 1938 r. podczas próby ucieczki podjętej wtedy, gdy był przenoszony z jednego miejsca odosobnienia do innego. W rzeczywistości zostali oni uduszeni w czasie wspomnianego transferu w lesie Tâncăbești w pobliżu Bukaresztu. Polecenie zabójstwa wydał ówczesny minister spraw wewnętrznych Armand Călinescu, uznawany za wykonawcę zleceń królewskich. Nakręciło to spiralę przemocy, której erupcja nastąpiła po zabójstwie Armanda Călinescu, wtedy już premiera, we wrześniu 1939 r. przez komando legionowe; potem zaś w listopadzie 1940 r. po proklamowaniu Narodowego Państwa Legionowego, gdy represjonowano wszystkich odpowiedzialnych za śmierć Codreanu.

Legion Horii Simy

Po skrytobójczym zgładzeniu Corneliu władzę w Legionie przejął Horia Sima, nauczyciel z Siedmiogrodu. Początkowo działał on nielegalnie, podobnie jak i cała organiza-

cja. Jednak po tragicznych dla Rumunii wydarzeniach roku 1940, czyli anektowaniu Besarabii przez Związek Sowiecki, części Siedmiogrodu przez Węgry, a południowej Dobrudży przez Bułgarię, dotychczasowy reżim firmowany przez Karola II upadł, a król abdykował na rzecz syna Michała, i opuścił Rumunię. W kraju w nowych warunkach politycznych zapanowała dwuwładza, a nawet trójwładza, można bowiem wskazać trzy główne ośrodki polityczne aspirujące do przejęcia władzy. Pierwszym z nich był król Michał, który od razu sprzymierzył się z ośrodkiem drugim, jakim był gen. Ion Antonescu, pojawiający się w różnych konstelacjach politycznych już od 1938 r. Wreszcie swoje pięć minut otrzymał także Żelazny Legion, który w nowych warunkach geopolitycznych wyszedł z ukrycia i na pewien czas stał się jedyną oficjalną siłą polityczną w Rumunii, firmując powstanie tzw. Narodowego Państwa Legionowego.

Powstanie Narodowego Państwa Legionowego było w pewnej mierze wspierane przez Berlin, który nie w pełni był zdecydowany w kwestii poparcia konkretnego ośrodka władzy w Rumunii. Legioniści Simy stanowiliby naturalny wybór, jeżeli rozpatrywano by sprawę z punktu widzenia ideologicznego. W tym wypadku Hitler nie zdecydował się na udzielenie bezwzględnego poparcia żelaznogwardzistom, wskazując na konieczność porozumienia się z gen. Ionem Antonescu i pośrednio z królem. Powodem takiego postępowania był brak większego poparcia dla Legionu w armii, a zwłaszcza wśród jej wyższego dowództwa. Przywódcy III Rzeszy, mając na uwadze konieczność zapewnienia sobie spokoju na Bałkanach przed spodziewanym uderzeniem na wschód, nie mogli antagonizować wojska rumuńskiego. Stawka w tym wypadku była zbyt wysoka – bezpieczeństwo rumuńskich pól naftowych, kluczowych w kontekście szykowanej operacji „Barbarossa". Hitler, nie opowiadając się początkowo wyraźnie po żadnej ze stron, dawał sobie nieco czasu na ostateczne rozeznanie się w skomplikowanej sytuacji politycznej w Rumunii po abdykacji króla Karola II. Legioniści niemal od razu stracili bardzo wiele w oczach społeczeństwa, gdy wkrótce po umocnieniu własnych wpływów przystąpili do krwawej rozprawy z przeciwnikami politycznymi, zwłaszcza z tymi politykami, którzy w ich przekonaniu byli odpowiedzialni za śmierć Corneliu Zelei Codreanu. Ofiarami czystki padli Nicolae Iorga, Virgil Madgearu, Mihai Moruzov oraz wielu innych polityków i osób powiązanych z resortami siłowymi i utożsamianych z represjami, które wcześniej spadły na Żelazną Gwardię. Dla Antonescu i jego otoczenia politycznego mordy popełnione przez gwardzistów były o tyle wygodne, że usuwano osoby mogące stanowić w przyszłości pewien zalążek opozycji, ponadto śmierć dotąd bardzo mocno osadzonego w strukturach władzy szefa wywiadu Mihai Moruzova była wygodna dla wszystkich.

Ta śmierć była też dość zastanawiająca. Dziś niektórzy rumuńscy historycy przypuszczają, że Sima był wcześniej agentem wojskowego wywiadu rumuńskiego (Serviciul Român de Informaţie, SRI), miał otrzymywać gigantyczną na ówczesne czasy sumę 200 tys. lei miesięcznie, czyli ok. 70 ówczesnych średnich pensji, dlatego śmierć jego szefa była konieczna dla utrzymania tajemnicy, która zagrażała śmiertelnie liderowi Legionu. Takie pogłoski kolportował ojciec Corneliu Zelei Codreanu – Ion, uznawany przez pewien czas za lidera opozycji legionowej negującej przywództwo Simy.

Funkcjonowanie Narodowego Państwa Legionowego ostatecznie nie było sukcesem. Wspomniane już zabójstwa, które miały miejsce po przejęciu władzy, skutecznie odstręczyły od przynależności do Legionu dużą część klasy robotniczej. Choć propaganda legionowa podkreślała masowe poparcie, jakim cieszyła się organizacja w społeczeństwie, to rzeczywistość wcale tego nie potwierdzała. Ostatecznie doszło do wielu incydentów we władzach NPL – zwłaszcza między Horią Simą a gen. Ionem Antonescu, liderem armii, cieszącym się także względnym poparciem dworu królewskiego. Obie strony prowadziły zakulisowe rozmowy z Rzymem i Berlinem w kontekście uzyskania zezwolenia na likwidację strony przeciwnej – ostatecznie Żelazna Gwardia zdecydowała się na wywołanie buntu przeciw gen. Antonescu, licząc na poparcie obecnych w Rumunii od listopada 1940 r. wojsk niemieckich.

Eksperyment Narodowego Państwa Legionowego nie powiódł się, co rozczarowało Hitlera oczekującego entuzjazmu mas, który w mniejszym czy większym stopniu towarzyszył przejęciu władzy przez reżim faszystowski względnie nazistowski w Niemczech i we Włoszech. Siłą opozycyjną, której stanowczo nie podobały się ekscesy Legionu, było przede wszystkim wojsko uosabiane przez gen. Iona Antonescu. Legioniści, uformowawszy państwo, zdawali sobie sprawę, że współpraca z wojskiem jest wymuszona i stanowi swego rodzaju okres próbny, ale także próbę sił przed przejęciem pełni władzy. Czy było to możliwe? O ile ekscesy antyżydowskie mogły się rzeczywiście doraźnie podobać w Berlinie, o tyle bardzo szybko zdano sobie tam sprawę z tego, że Sima i jego towarzysze, pozostając u władzy, nie będą w stanie zapewnić tego, co jest najważniejsze dla Niemiec, czyli stabilnej sytuacji na zapleczu projektowanego frontu wschodniego. To mogła dać jedynie armia, w której wpływy Żelaznej Gwardii nie były nigdy zbyt wielkie. Niemcom bardzo zależało na utrzymaniu bezpieczeństwa dostaw ropy naftowej i zboża. Liczenie

na fanatyczne oddziały bojówek Żelaznej Gwardii, jak dowiódł już przykład Włoch w kontekście wojskowym, nie było jednak najlepszym pomysłem.

W końcu stycznia 1941 r., po trzydniowych walkach toczonych przeważnie w Bukareszcie, okazało się, że Niemcy otwarcie poparli gen. Antonescu, mimo to nie zlikwidowali ani nie wydali Simy wojskowym rumuńskim. Horia Sima został osadzony w obozie w Buchenwaldzie, potem w Oranienburgu, jako „gość specjalny" III Rzeszy, gdzie jego los miał odstraszać innych i gwarantować lojalne zachowanie rządu Iona Antonescu wobec Niemiec. Co zrozumiałe, nie był to jedyny atut w talii kart Hitlera, innym były wyrażane w zawoalowanej formie sugestie co do możliwości rewizji przynajmniej części decyzji drugiego arbitrażu wiedeńskiego względem Siedmiogrodu.

Ruch żelaznogwardyjski po odrodzeniu w 1940 r. był już inny niż za życia „Kapitana", wynikało to z okoliczności, w których działał pod przywództwem Horii Simy; pewnej analogii można doszukać się w Hiszpanii – w sytuacji Falangi pod rządami gen. Franco. W obu przypadkach po śmierci lidera z pierwotnej organizacji i jej ideologii pozostała jedynie atrakcyjna nazwa. Społeczeństwo było zniechęcone spiralą terroru rozkręconą przez Simę i jego zwolenników. Na podstawie relacji osób obserwujących rumuńską rzeczywistość polityczną przełomu lat 1940/1941 można stwierdzić, że w sposobach działania Legion zbliżył się do organizacji mocno dawniej krytykowanych – zwłaszcza do LANC, jeżeli chodziło o bezideowość przemocy.

Żelazny Legion a Polska

Polska od 1921 r. pozostawała dla Rumunii jednym z najważniejszych sojuszników w okresie międzywojennym, zwłaszcza w kontekście zagrożenia militarnego ze strony sowieckiej Rosji, a potem Związku Sowieckiego. Stosunek legionistów do Polski był wielce skomplikowany. Przede wszystkim powszechnie znane było pochodzenie lidera Legionu, który z urodzenia był w połowie Polakiem, a w połowie Niemcem. Codreanu nie przyznawał się do polskości, podtrzymywał wybór ojca Iona Zelei (Zielińskiego) o przynależności do narodu rumuńskiego. Pomimo to aspekt pochodzenia był podnoszony w Rumunii często, zwłaszcza przez przeciwników politycznych.

Osobowość założyciela Legionu i jego ideologia przyciągały także zainteresowanie strony polskiej. Widomym tego śladem pozostały relacje prasowe, często z sympatią wspominające o tym swoistym fenomenie rumuńskim. Silny wówczas w Polsce ruch narodowy starał się nawiązać szersze kontakty z rumuńskim odpowiednikiem. Zainteresowania Legionem i jego członkami nie kryła także legacja polska w Bukareszcie. Natomiast stosunek „Kapitana" do Polski widoczny jest jedynie w wywiadzie opublikowanym w 1936 r. w magazynie „Prosto z mostu. Tygodnik literacko-artystyczny". Codreanu w rozmowie z Ignacym Kleszczyńskim podkreślał konieczność utrzymania sojuszu polsko-rumuńskiego, który był w jego ocenie kwestią życia i śmierci dla obu narodów.

Wiadomo także, że pracownicy polskiej misji dyplomatycznej w Rumunii utrzymywali nieoficjalne kontakty z członkami Legionu, a nawet pomagali niektórym z nich w ucieczce z Rumunii podczas prześladowań w 1938 r. Osobą, która uchodziła za przyjaciela Legionu, był ówczesny poseł RP w Bukareszcie Mirosław Arciszewski. Za wpływowego w otoczeniu Codreanu uchodził także radca poselstwa RP w Bukareszcie – Tadeusz Kobylański, którego Arciszewski uważał wręcz za architekta strategii politycznej Legionu. Było to pokłosiem nieformalnego spotkania radcy i „Kapitana" w 1934 r. Wzajemne zbliżenie dodatkowo ułatwiała okoliczność, że część niższej kadry Legionu była goszczona, a zarazem i szkolona na letnich obozach organizowanych przez Związek Strzelecki. Dobre stosunki poselstwa RP z żelaznogwardzistami ograniczały się jednak do kontaktów co najwyżej półoficjalnych. Arciszewski zdawał sobie bowiem sprawę, że nie można zrazić do siebie króla zazdrosnego o swą pozycję polityczną. Z tego też powodu poseł, pomimo zaproszenia, nie wziął udziału w pogrzebie Moty i Marina, ograniczając się jedynie do delegowania pracowników placówki.

Trudno jasno określić stosunek Legionu do uchodźców polskich we wrześniu 1939 r. Legion działał wówczas jako organizacja nielegalna, aczkolwiek znajdująca się pod wpływem poselstwa niemieckiego w Bukareszcie, w związku z czym rumuńscy legioniści mogli być zaangażowani w działania wywiadowcze, niemniej jednak nie występowali fizycznie przeciw Polakom. Poważniejsze wystąpienia antypolskie miały miejsce po utworzeniu Narodowego Państwa Legionowego, gdy pod oczywistym wpływem Niemiec ówczesny minister spraw zagranicznych Rumunii (członek Legionu) Mihai Sturdza doprowadził do ewakuacji Ambasady RP z Bukaresztu 5 listopada 1940 r. Z relacji personelu ambasady, który pozostał na miejscu, między innymi Jerzego Giedroycia, wiadomo, że po ewakuacji budynek misji splądrowali członkowie Legionu, działający we współpracy z Abwehrą. Działania te były poprzedzone innymi incydentami, wśród których za najpoważniejszy należy uznać najście na konsulat RP w Bukareszcie, odparte dzięki zdecydowanej postawie ówczesnego konsula RP, dr. Adama Mikuckiego. ■

ANDRZEJ DUBICKI doktor habilitowany, profesor nadzwyczajny Uniwersytetu Łódzkiego. Specjalizuje się w tematyce rumuńskiej. Jego zainteresowania obejmują zarówno wydarzenia historyczne, jak i zagadnienia związane z powstaniem i funkcjonowaniem rumuńskiego systemu politycznego, w szczególności partyjnego. Autor publikacji: *Nicolae Titulescu portret polityka i dyplomaty; Kampania letnia na froncie rumuńskim w 1917 r.*; *Wojny dackie 101–106 n.e.*; *System partyjny Królestwa Rumunii. Uwarunkowania i funkcjonowanie. 1866-1947*; *Dzieje polskiej placówki dyplomatycznej w Bukareszcie 1919–1940*; *Polish Embassy in Bucharest*.

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ
Oddział w Katowicach

CZASYPISMO – półrocznik poświęcony historii Górnego Śląska

- 208 stron ciekawych historii
- w każdym numerze ponad 20 artykułów
- setki unikatowych fotografii

W najnowszym numerze:

Dygnitarze na Górnym Śląsku
Goebbels, Chruszczow, Breżniew, Castro

Amerykanin w Katowicach
Odyseja Harolda Webba

Zamachy na Edwarda Gierka...
...których nie było

Sprawa Huberta Kostki
Słynny bramkarz kontra SB

Najnowszy numer **CzasyPisma** dostępny w sieci **empik** oraz placówkach **Poczty Polskiej**

I do bitki i do szklanki

RYCINA

WŁADYSŁAW III WARNEŃCZYK I JEGO ŚMIERĆ W BITWIE POD WARNĄ.
Rycina Ksawerego Pilattiego z *Wizerunków książąt i królów polskich* Józefa Ignacego Kraszewskiego, Warszawa 1888.

Zupełnym fiaskiem okazała się druga unia Polski i Węgier z lat 1440–1444. Węgrzy liczyli głównie na pomoc rycerstwa polskiego w walce z Turkami. Realizacja tego celu miała zapewnić Polsce wiodącą rolę wśród państw chrześcijańskich. Zaniedbano przy tym sprawy czeskie oraz zaniechano rozwiązanie problemu krzyżackiego nad Bałtykiem.

MICHAŁ KOZŁOWSKI

Polityką państwa polskiego po śmierci Władysława Jagiełły (w 1434 r.) kierował biskup krakowski Zbigniew Oleśnicki. W myśl układów zawartych przez zmarłego króla ze społeczeństwem dla wszystkich było jasne, że tron obejmie jeden z jego dwóch synów. Najstarszy – Władysław – urodził się 31 października 1424 r. jako syn niemłodego już Jagiełły i jego czwartej żony Zofii Holszańskiej. W chwili śmierci ojca miał 10 lat, a przywilej jedlneński przewidywał koronację dopiero po osiągnięciu 15 roku życia. Opieka nad małoletnim niekoronowanym władcą oznaczała w rzeczywistości bezkrólewie, a to mogło doprowadzić do utraty wpływów przez Zbigniewa Oleśnickiego. Biskup krakowski zrezygnował więc z wyjazdu na sobór bazylejski i przyspieszył koronację, którą popierała królowa matka Zofia Holszańska. Wydarzenie to przeprowadzone niezwłocznie bardzo umocniło pozycję Oleśnickiego.

Problemem dla Krakowa była wojna domowa o tron na Litwie pomiędzy zwolennikami Bolesława Świdrygiełły a Zygmuntem Kiejstutowiczem. Także sprawa czeska powróciła ponownie jako centralne zagadnienie polityki polskiej w związku ze śmiercią Zygmunta Luksemburczyka (9 grudnia 1437 r.). Zbigniew Oleśnicki nie popierał wprowadzenia na tron czeski młodszego syna Jagiełły – Kazimierza Jagiellończyka. Elekcja i wyprawa Kazimierza w 1438 r. zupełnie się nie powiodły i tron czeski objął małoletni Albrecht Habsburg. Z polskiej racji stanu przyjęcie korony św. Wacława było niekorzystne, ponieważ oznaczało rezygnację z odzyskania Śląska. Obowiązkiem władcy Pragi była przecież nienaruszalność ziem należących do korony czeskiej. Trzeba też pamiętać o problemie husyckim, wobec którego dystansował się Oleśnicki.

W związku z niepowodzeniem planów czeskich w głowie Oleśnickiego zrodził się projekt objęcia tronu węgierskiego przez królewicza Władysława. Pierwsza personalna unia polsko-węgierska z lat 1370–1382 nie zyskała poparcia szlachty. Władający wówczas oboma krajami Ludwik Andegaweński porzucił zupełnie główne cele polityki Kazimierza Wielkiego. Dodatkowo Polska utraciła na rzecz Węgier Ruś Halicką, którą odzyskano dopiero w 1387 r. Co skłoniło Oleśnickiego do ponowienia tego eksperymentu w 1440 r.? Węgrzy liczyli głównie na pomoc rycerstwa polskiego w walce z Turkami. Program węgierski miał zapewnić Polsce wiodącą rolę wśród państw chrześcijańskich. Oleśnicki dla osiągnięcia tego celu gotów był poświęcić nawet pewne inne interesy. Kolejna unia polsko-węgierska nie wskazywała konkretnych i trwałych korzyści. Roztaczała jedynie miraże sławy i uznania.

Pokój w Bratysławie

Wysłanie Władysława III na Węgry w 1440 r. pozbawiało go kurateli kard. Oleśnickiego. Nowa unia personalna z Węgrami była dla Polski niekorzystna chociażby dlatego, że Habsburgowie nie zamierzali rezygnować z tego kraju. Królowa Elżbieta Luksemburska, wdowa po Albrechcie II Habsburgu, 22 lutego 1440 r. urodziła syna, któremu nadano imię i przydomek Władysław V Pogrobowiec. Mając poparcie w Czechach i części stanów węgierskich, królowa wdowa chciała za wszelką cenę zapewnić mu tron. Sukcesja tronu nad Dunajem okazała się skomplikowana i groziła Polsce długotrwałym konfliktem. Ani Zbigniew Oleśnicki, ani Władysław III nie docenili Elżbiety, której pozycja po urodzeniu syna stała się silniejsza. Królowa wdowa 15 maja 1440 r. zgromadziła wokół siebie wielu zwolenników doprowadzenia do koronacji jej trzymiesięcznego syna na króla Węgier. Zamiast łatwego sukcesu, na Węgrzech doszło do wybuchu wojny domowej pomiędzy stronnikami Habsburgów a zwolennikami młodego Jagiellona. Władysław III został koronowany 17 lipca 1440 r., jednak nie tradycyjną koroną św. Szczepana, lecz zastępczo koroną zdjętą z relikwiarza zawierającego szczątki tego świętego. Dla węgierskich zwolenników Władysława III nadzieja na odparcie zagrożenia tureckiego przez młodego Jagiellona była jednym z głównych powodów, dla których poparli jego kandydaturę na tron. Władysław III nie zdołał skupić wokół siebie znaczących sił politycznych. Oczekiwał więc pomocy od Polski. W kraju Oleśnicki – nie mając

wpływu na węgierską politykę, nie był skory do pomocy monarsze. Ich współpraca nagle się zakończyła. Wówczas Władysław III sięgnął po dochody z dóbr królewskich – rozpoczął proces zastawiania majątku królewskiego u prywatnych osób. Uzyskane fundusze miały finansować wojnę domową przeciwko Władysławowi V Pogrobowcowi i jego matce Elżbiecie. Ostatecznie wojna domowa na Węgrzech zakończyła się w sierpniu 1442 r. Władysław Jagiellończyk zawarł w Bratysławie pokój z królową Elżbietą. W myśl jego postanowień Władysław III miał zachować tron węgierski do chwili ukończenia przez Władysława V Pogrobowca 15 roku życia. Nie uzyskano natomiast zrzeczenia się przez Węgry pretensji do Rusi Halickiej i Mołdawii. Kompromis osiągnięto przy pomocy legatów papieskich. Dla dyplomacji Stolicy Apostolskiej zakończenie wojny domowej na Węgrzech było niezbędne do podjęcia krucjaty przeciw Turkom. Od tego momentu Węgrzy mogli się skoncentrować na podjęciu zaczepnej akcji antytureckiej. Nie było to na rękę Oleśnickiemu. Chciał on bowiem wyprawy krzyżowej przeciw Turkom, ale z pominięciem przewodnictwa papieża Eugeniusza IV.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Bitwa pod Warną

W Królestwie Polskim plany wojny z Turkami nie wywołały entuzjazmu. Dalsza akcja króla Władysława Jagiellończyka nie była zupełnie związana z polską racją stanu i nie odpowiadała też jej interesom. Dwie wyprawy przeciw Osmanom (w 1443 i 1444 r.) należą właściwie do historii Węgier i Bałkanów. Z dziejami Polski wiążą się tym, że w dwóch kampaniach Władysława z lat 1443 i 1444 wzięło udział rycerstwo polskie. Główną rolę na Węgrzech w tym okresie odgrywał wojewoda siedmiogrodzki János Hunyady. On też dowodził kolejnymi kampaniami. Żadna z nich nie miała nic wspólnego z interesami Polski. Kampanie były wynikiem dwóch czynników: interesów węgierskich i presji kurii papieskiej. Dodatkowym „elementem" był despota serbski Jerzy I Brankowicz, wypędzony ze swego kraju zajętego przez Turków. Pierwsza wyprawa, zwana długim pochodem, trwała od 1443 do lutego 1444 r. Węgrzy zdołali odnieść zwycięstwa w kilku mniejszych starciach. Pomimo że nie stoczono żadnej dużej bitwy, wyprawę odebrano jako ogromny sukces, Węgrzy opanowali wówczas między innymi Sofię. Legat papieski kard. Giuliano Cesarini wraz z królem Władysławem Jagiellończykiem zawarli 1 sierpnia 1444 r. traktat w Segedynie. Był on bardzo korzystny dla Węgier. Oddawał w ręce władcy Budy między innymi Bośnię. Jerzy I Brankowicz otrzymywał z powrotem Serbię, która miała oddzielać ziemie węgierskie od posiadłości tureckich. Już 4 sierpnia 1444 r. traktat zerwano. Niektórzy polscy historycy – między innymi Antoni Prochaska i Oskar Halecki – chcąc zdjąć z Władysława Jagiellończyka zarzut krzywoprzysięstwa, uznali błędnie, że traktat nie został ratyfikowany[1]. Przez wieki spierano się, czy Władysław III Jagiellończyk słusznie postąpił, zrywając zaprzysiężony przez siebie dziesięcioletni rozejm z Turkami, i czy papież Eugeniusz IV miał prawo zwolnić go z tej przysięgi[2]. Kardynał Cesarini wydawał się być pod wpływem mirażu całkowitego usunięcia Turków z Europy za sprawą jeszcze jednej wyprawy. Godząc się na zwolnienie z przysięgi Władysława III, doprowadził też króla do zguby.

NIEODNALEZIENIE PRZEZ CHRZEŚCIJAN CIAŁA WŁADYSŁAWA III WARNEŃCZYKA I NIEUDANE POSZUKIWANIA JEGO GROBU SPOWODOWAŁY SPEKULACJE NA TEMAT JEGO LOSU.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Płaskorzeźba na ścianie Collegium Maius Muzeum Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie przedstawiająca biskupa krakowskiego Zbigniewa Oleśnickiego jako fundatora bursy dla Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Pieczęć królewska Władysława III Warneńczyka przechowywana w Archiwum Głównym Akt Dawnych.

Jesienią 1444 r. rozpoczął się epilog węgierskich rządów Władysława Jagiellończyka. Z Polaków brała udział w wyprawie jedynie garść rycerzy nadwornych[3]. Z udziału w wojnie wycofały się też oddziały serbskie Jerzego I Brankowicza. Po stronie Węgrów stanął jedynie hospodar wołoski Wład II Diabeł, który wysłał wojska pod dowództwem swojego syna Mirczy. Rycerzy krzyżowych – w odróżnieniu od innych takich przedsięwzięć – było też niewielu. Celem krucjaty stał się Adrianopol, ówczesna stolica Turcji osmańskiej. Wyprawa pod dowództwem Jánosa Hunyadyego ruszyła w głąb Bałkanów, zostawiając na tyłach niezdobyte twierdze tureckie na terytorium dzisiejszej Bułgarii.

Do rozstrzygającej bitwy doszło 10 listopada 1444 r. pod Warną. Dwustutysięczna armia chrześcijańska zajęła znacznie gorsze pozycje niż armia osmańska. János Hunyady przeforsował stoczenie batalii w otwartym polu, choć kard. Cesarini proponował przyjąć obronę w taborze. Wojska chrześcijańskie ustawiono szerokim łukiem, chcąc zabezpieczyć je przed oskrzydleniem przez nieprzyjaciela. Skutkiem tego było zbytnie rozciągnięcie wojska prawie na 4 km. Wojska tureckie były jedynie nieznacznie większe liczebnie.

Pierwsze do ataku ruszyły nieregularne oddziały tureckie, które dwa razy odrzuciła jazda węgierska. Rozluźnienie szyków podczas tych manewrów doprowadziło do ataku kawalerii anatolijskiej na prawe skrzydło węgierskie. Chorągwie węgierskie nie wytrzymały tak gwałtownego uderzenia kawalerii tureckiej. Rozpoczęła się ucieczka niektórych oddziałów, między innymi wojsk kard. Cesariniego. Był to jeden z krytycznych momentów bitwy. Uderzenie tureckie na prawe skrzydło armii królewskiej rozbiło je i zniszczyło prawie całkowicie.

W tym momencie na kawalerię anatolijską, zajętą pościgiem i rabunkiem, uderzyły dwie chorągwie królewskie stojące w centrum. To uderzenie zmieniło niekorzystny dla Węgrów obraz pola bitwy. Pod naporem ciężkozbrojnej jazdy rycerskiej prowadzonej przez Hunyadyego oddziały konnicy anatolijskiej zostały zupełnie rozbite i zmuszone do ucieczki. W pościg za uciekającymi Turkami ruszyli Wołosi, którzy przerwali szeregi osmańskie, wdzierając się do obozu tureckiego. Mimo tego sukcesu armia królewska nie złamała oporu Turków. W tym samym czasie na lewym skrzydle nastąpił atak jazdy rumelijskiej, który został odparty. Rozbicie obu skrzydeł armii osmańskiej stawiało rzeczywiście Turków w trudnej sytuacji, a wojskom króla Władysława dawało szansę pomyślnego rozstrzygnięcia bitwy. Aby odnieść pełne zwycięstwo, należało rozbić piechotę turecką składającą się z janczarów[4].

Tymczasem Władysław III – nie czekając na uderzenie głównych sił węgierskich i nie

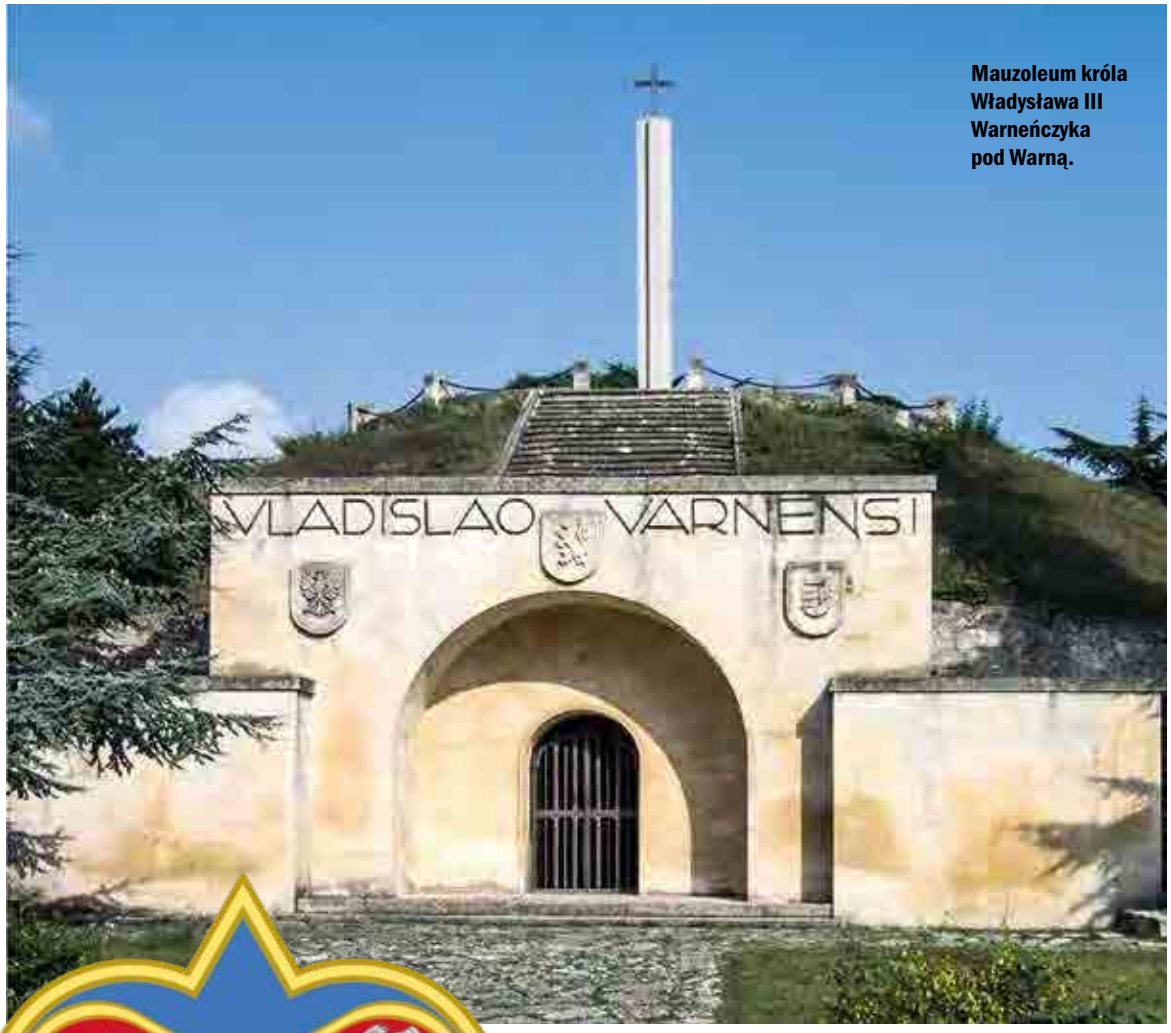

Mauzoleum króla Władysława III Warneńczyka pod Warną.

FOT. WIKIMEDIA COMMON (2)

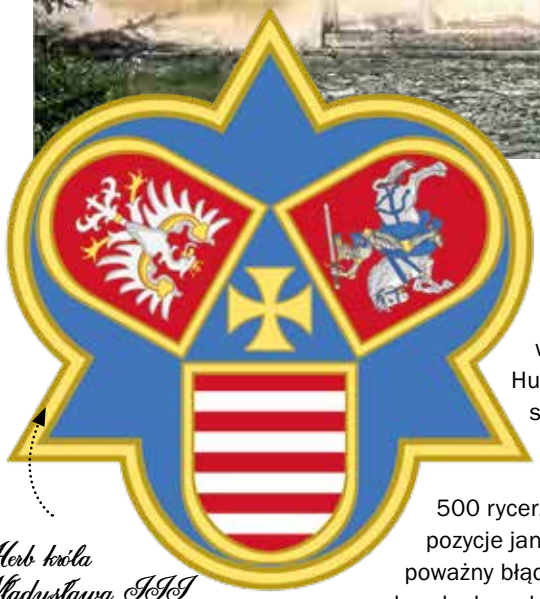

Herb króla Władysława III Warneńczyka.

koordynując działań z walczącym na lewym skrzydle Hunyadym – ruszył nagle do natarcia. Na czele jedynie 500 rycerzy zaatakował pozycje janczarów. Był to poważny błąd, który zadecydował o losach bitwy. Janczarzy zdołali powstrzymać dowodzony przez króla oddział rycerstwa, otoczyć go i wybić co do jednego. Zginął także Władysław Jagiellończyk. Kroniki tureckie podają, że jeden z janczarów odciął królowi głowę i zatkniętą na włóczni zaniósł sułtanowi Muradowi II. Ten zaś, by się upewnić, że jest to rzeczywiście głowa Władysława, polecił pokazać ją jeńcom wziętym w bitwie. Rozpoznali oni króla[5].

Niefortunny atak jazdy Władysława zmienił ponownie sytuację na polu bitwy. Świadom przegranej János Hunyady wycofywał się na północ. Zginął także legat papieski kard. Cesarini. Według Jana Długosza, zabił go podczas przeprawy przez Dunaj przewoźnik, skuszony złotem, „które, jak mówią, kardynał [...] zawsze woził przy sobie”[6]. Filip Kallimach, sekretarz Kazimierza IV Jagiellończyka, przekazał nieco inną wersję śmierci legata papieskiego: „Juliana zabito w czasie ucieczki, zapewne z chciwości lub dla łupu, a może dlatego, że był powszechnie znienawidzony jako ten, który doprowadził do złamania przymierza. Wiemy o tym od Grzegorza z Sanoka, który przejeżdżając konno ujrzał go w chwili, gdy ranny i obdarty konał na rozstajach”[7]. Zginęło także sporo polskich ry-

cerzy. Wielu chrześcijan dostało się do niewoli tureckiej. Pewną liczbę tych jeńców wykupili w Adrianopolu Genueńczycy. Tylko niewielu spośród tych, którzy dostali się do niewoli tureckiej, powróciło do kraju.

Nieodnalezienie przez chrześcijan ciała Władysława III Warneńczyka i nieudane poszukiwania jego grobu spowodowały spekulacje na temat jego losu. W Polsce niebawem pojawiło się dwóch osobników podających się za cudem ocalałego z bitwy króla. Zostali szybko zdemaskowani jako zwykli oszuści[8]. Pozostała jednak legenda o żyjącym na portugalskiej Maderze polskim królu. I choć nie ma ona żadnego poparcia w źródłach, co jakiś czas odżywa[9].

Brak współdziałania

Jednym z głównych odpowiedzialnych za klęskę warneńską jest niewątpliwie król Władysław III, który podjął się nierozważnego ataku na janczarów. Ważny jest także aspekt międzynarodowy tej bitwy. Brak współdziałania państw europejskich nie pozwolił bowiem na zebranie licznej armii. Spowodował też opóźnienie jej wymarszu na Bałkany. Wyprawa rozpoczęła się jesienią. W średniowieczu ta pora roku nie sprzyjała prowadzeniu działań militarnych. Na polach Warny tragiczny finał znalazło nie tylko jagiellońskie panowanie na Węgrzech. Pogrzebano tam również papieskie plany wyparcia z Europy Turków.

Epizod węgierski z lat 1440–1444 to fiasko także ze względu na włożony przez Polskę wysiłek, na poniesione straty i koszty. Ujemnie odczuł to na pewno królewski skarb. Władysław werbował przecież ochotników na wyprawy przeciw Habsburgom i Turkom, właśnie opłacając ich pieniędzmi z polskiego skarbca. Przebywając na Węgrzech, Władysław dostał się pod obce wpływy. Jego nieobecność w kraju oznaczała zaniedbanie głównych kierunków polskiej polityki zagranicznej. Nierozwiązany pozostał chociażby problem krzyżacki. Nie istniała też unia polsko-litewska. W Wielkim Księstwie od 1440 r. władał brat Władysława, Kazimierz IV Jagiellończyk. Jego otoczenie nie było zainteresowane koroną polską dla władcy Litwy. Odciągało go to przecież od ważnych spraw ruskich.

Istniały więc liczne okoliczności, które sprawiły, że sojusz polsko-węgierski z lat 1440–1444 przyniósł całkowite rozczarowanie przede wszystkim jego twórcom i inicjatorom. Idea unii polsko-węgierskiej straciła dla Polaków na atrakcyjności jeszcze przed klęską warneńską. Owoce tej polityki miała zbierać nie Polska, ale kuria papieska. Ten niekorzystny dla Polski obrót sprawy węgierskiej nastąpił nie wskutek nieudolności dyplomatycznej, lecz w wyniku niedostatecznej orientacji w układzie sił. Kardynał Oleśnicki brał na siebie zbyt trudne zadanie. Polska występowała dotąd na arenie międzynarodowej zwykle w postawie obronnej i głównie w związku z agresją krzyżacką. Nie była przygotowana do prowadzenia polityki w wielkim stylu, a tym bardziej rywalizacji ze świetną dyplomacją papieską. Dlatego poniosła porażkę. Nie była to klęska dla polskiej racji stanu szczególnie szkodliwa, stanowiła raczej pożyteczną lekcję. Sprawa węgierska wymagała znacznych ofiar, a nie przynosiła realnej rekompensaty. Niepowodzenie przyniosła polityka prowadzona przez Oleśnickiego, nie dotknęła ona jednak polskich interesów, dla których zaniechanie sprawy węgierskiej stanowiło zwrot nader optymistyczny. Polska wyzwolona z pomysłów unii z Węgrami i walki przeciw Turkom mogła chociażby skupić siły na rozpoczętej walce o usunięcie problemu krzyżackiego. ■

NIEKORZYSTNY DLA POLSKI OBRÓT SPRAWY WĘGIERSKIEJ NASTĄPIŁ NIE WSKUTEK NIEUDOLNOŚCI DYPLOMATYCZNEJ, LECZ W WYNIKU NIEDOSTATECZNEJ ORIENTACJI W UKŁADZIE SIŁ.

MICHAŁ KOZŁOWSKI pracownik Wojskowego Biura Historycznego. Zajmuje się historią historiografii. Publikował m.in. w „Archiwum Emigracji", „Białoruskich Zeszytach Historycznych", „Meandrze", „Mówią Wieki", „Nowym Filomacie" „Przeglądzie Bibliotecznym", „Przeglądzie Historyczno-Wojskowym", „Roczniku Instytutu Europy Środkowo-Wschodniej", „Roczniku Lubelskim", „Roczniku Łódzkim", „Studiach z Dziejów Rosji i Europy Środkowej", „Studiach Orientalnych", „Tece Historyka", „Vox Patrum".

[1] O. Halecki, *Nowe uwagi krytyczne o wyprawie warneńskiej*, Kraków 1939; tenże, *Spór o Warneńczyka*, „Teki Historyczne" 9 (1958), s. 1–19; tenże, *The Crusade of Varna. A discussion of controversial Problems*, New York 1943; J. Dąbrowski, *Władysław I Jagiellończyk na Węgrzech (1440–1444)*, Warszawa 1922; tenże, *Rok 1444. Spór o traktat szegedyński*, Wrocław 1966. [2] T. Grabarczyk, *Oskar Halecki o bitwie warneńskiej 1444*, w: *Oskar Halecki i jego obraz Europy*, t. 1, red. M. Dąbrowska, Warszawa – Łódź 2012, s. 94–103. [3] Z. Pentek, *Polscy uczestnicy wyprawy warneńskiej*, w: *Balcanica Posnaniensia. Acta et Studia*, t. 9: *Warna 1444. Rzeczywistość i tradycja*, red. I. Czamańska i W. Szulc, Poznań 1997, s. 93–108. [4] M. Kozłowski, *Bitwa pod Warną 1444 – kulisy katastrofy*, https://histmag.org/Bitwa-pod-Warna-1444-kulisy-katastrofy-8679 [dostęp: 25.10.2018]. [5] *Pamiętniki Janczara, czyli kronika turecka Konstantego z Ostrowicy, napisana między r. 1496 a 1501*, Kraków 1912, s. 64–65. [6] *Jana Długosza Roczniki, czyli Kroniki sławnego Królestwa Polskiego, ks. 11, ks. 12, 1431–1444*, red. K. Baczkowski, wyd. 2, Warszawa 2009. [7] Philipus Kallimachus, *Historia de rege Vladislao*, red. I. Lichońska, Warszawa 1961. [8] S. Jubczak, *Mikołaj Rychlik, który się za króla polskiego Władysława III Warneńczyka podawał*, „Kwartalnik Historyczny" nr 95 (1989), z. 3, s. 199–205; A. Lewicki, *Pseudo-Warneńczyk*, „Kwartalnik Historyczny" nr 9 (1895), s. 239–245; J. Tazbir, *„Krzywoprzysięża Władysław" w opinii potomnych*, „Kwartalnik Historyczny" nr 92 (1985), z. 4, s. 511–532. [9] L. Kielanowski, *Odyseja Władysława Warneńczyka*, Londyn 1991; B. Hojdis, *Żywot i sprawy Władysława Warneńczyka w literackiej kreacji Leopolda Kielankowskiego* w: *Balcanica Posnaniensia. Acta et Studia*, t. 9: *Warna 1444. Rzeczywistość i tradycja*, Poznań 1997, s. 201–208.

Leszno w XIX w. Rynek.

Ratusz w Lesznie.

FOT. POLONA.PL (2)

Gdy źle w Księstwie, źle i w Prusach

„Jestem Niemcem z pewnością nie gorszym niż ktokolwiek na tej sali” – przekonywał w pruskim parlamencie Johann Metzig, poseł i lekarz wojskowy z Leszna. Nie przeszkadzało mu to jednocześnie apelować o odbudowę Rzeczypospolitej, respektowanie praw Polaków w Wielkim Księstwie Poznańskim i zgodę na stworzenie w Poznaniu polskiego uniwersytetu.

ŁUKASZ ZALESIŃSKI

Pierwszym kamieniem wybito szybę w salonie. Wraz z odłamkami szkła wpadł on do środka i stukając, potoczył się po drewnianej podłodze. Domownicy bardzo wyraźnie słyszeli zatem koncert kociej muzyki, który pod ich oknami zgotowali im zgromadzeni tam ludzie. Doktor Johann Metzig wyjrzał na zewnątrz i powiódł wzrokiem po twarzach. Sporą ich część rozpoznawał – to ubodzy Niemcy, których leczył, i to za darmo. Gdzieś w rogu placu stali pruscy policjanci i spokojnie czekali na rozwój wypadków. Tłumek zafalował, pod adresem doktora posłano wiązankę wyzwisk: że zdrajca, sprzedawczyk, że chodzi na pasku Polaków. Poleciały kolejne kamienie. Wtedy też padł strzał. Doktor usłyszał krótki gwizd i wycofał się w głąb mieszkania. To trochę otrzeźwiło krzyczących. Tumult powoli cichł i ludzie zaczęli się rozchodzić. Kilkanaście minut później pod oknami nie było już nikogo.

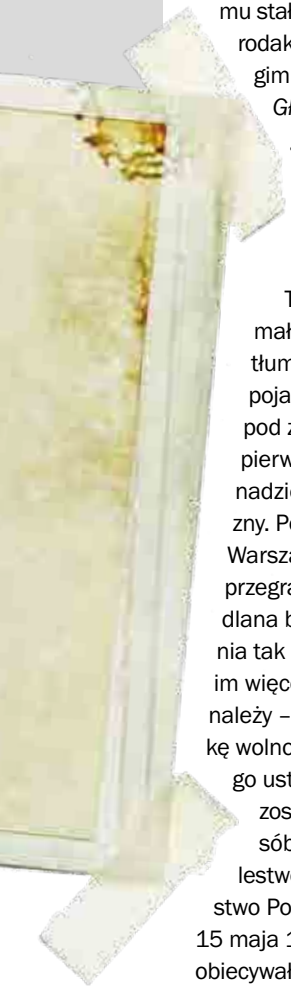

Nazajutrz do drzwi doktora zapukali przedstawiciele miejskich władz. „Pokryjemy straty" – zadeklarowali. Ale doktor powiedział: „Nie". Szkło pozbierał sam, a dziury w oknach pozalepiał papierami i tak mieszkał przez kolejne cztery tygodnie. Chciał, by widok zdemolowanego domu stał się wyrzutem sumienia dla jego niemieckich rodaków. Potem siadł i napisał broszurę pod przydługim tytułem *Pokój z Wami! Miłujcie się nawzajem! Głos pojednawczy dla ludności W. K. Poznańskiego*. Był rok 1848. Johann Metzig wkraczał właśnie w najburzliwszy okres swojego życia.

Doktor klajstruje jak mysz kościelna

Tuż po przekroczeniu granicy powóz się zatrzymał. Dalszą podróż uniemożliwiali ludzie, którzy tłumnie wylegli na drogę. Wiwatowali i przystrajali pojazd kwiatami. Ostatnie lata upłynęły Polakom pod znakiem prawdziwej huśtawki nastrojów. Najpierw przyszedł cesarz Napoleon i wlał w ich serca nadzieję na odzyskanie dopiero co utraconej ojczyzny. Pobił Prusaków, Austriaków, utworzył Księstwo Warszawskie, potem pomaszerował na Rosję i... przegrał. Wizja niepodległej Polski prysła niczym mydlana bańka. Ale zaborcy wiedzieli, że próba zdławienia tak bardzo rozbudzonych nadziei może przynieść im więcej złego niż dobrego. Uznali więc, że Polakom należy – przynajmniej formalnie – pozostawić namiastkę wolności. Na skutek ustaleń kongresu wiedeńskiego ustanowione przez cesarza Francuzów księstwo zostało podzielone na cztery części. W ten sposób powstały między innymi podległe carowi Królestwo Polskie i związane z Prusami Wielkie Księstwo Poznańskie. Fryderyk Wilhelm III, król pruski, 15 maja 1815 r. skierował do Polaków orędzie, w którym obiecywał „swobodny rozwój narodowy"[1]. Księstwem w imieniu króla miał rządzić książę-namiestnik. Został nim Antoni Henryk Radziwiłł. I właśnie jego powóz obsypywali kwiatami zgromadzeni na granicy Polacy.

Uroczystemu powitaniu przyglądał się także jedenastoletni Johann Metzig. Chłopiec pochodził z rodziny związanej z niemiecką administracją państwową. Jego ojciec pełnił obowiązki burmistrza Skwierzyny, potem był adwokatem, sędzią, wreszcie w 1815 r. komisarzem sprawiedliwości w Międzyrzeczu. Dziadek ze strony matki z kolei to kapitan pruskiej armii, który służbę pełnił w berlińskim Instytucie Inwalidów. Johann szedł początkowo nieco podobną drogą. W 1826 r. ukończył studia medyczne w Berlinie, po czym jako lekarz wojskowy założył oficerski mundur. Dowództwo skierowało go do rodzinnej Wielkopolski. Przez krótki czas służył w Strzałkowie, by w latach trzydziestych pojawić się w Lesznie – wówczas niespełna dziesięciotysięcznym mieście garnizonowym, o bogatych tradycjach protestanckich, gdzie większość mieszkańców stanowili Niemcy. Metzig przyjechał tu z żoną Emilią – Polką daleko spokrewnioną z Fryderykiem Chopinem. Johannowi i Emilii urodziło się ośmioro dzieci, przeżyło troje. Doktor dbał o rodzinę, jednak nie zamierzał poświęcać się jej bez reszty.

W 1835 r. wraz ze swoim batalionem wyruszył pod Legnicę, gdzie odbywały się wielkie manewry[2]. Wkrótce spora część żołnierzy zaczęła mieć problemy zdrowotne. Po wnikliwej obserwacji Metzig doszedł do wniosku, że podatność na choroby może mieć związek z przestarzałym umundurowaniem. Problem opisał, niebawem też zaczął pracować nad projektem nowego ekwipunku. Wszystko wysłał królowi Prus, a ten do pomysłu zmian gorąco się zapalił. Pruscy żołnierze dostali nowe hełmy, plecaki, długie i ciepłe płaszcze oraz solidne buty zamiast trzewików, Metzig zaś został uhonorowany Orderem Czerwonego Orła IV klasy. Na tym jednak nie koniec. Projektem zainteresowały się bowiem dowództwa innych europejskich armii. Reformę umundurowania przeprowadzili u siebie między innymi Rosjanie, a wojskowy lekarz z Leszna rychło mógł z dumą odbierać kolejny dowód uznania – przyznany przez cara Mikołaja I pierścień z brylantami.

Sukces tylko rozbudził zapał Metziga. Ze zdwojoną energią zaczął pracować nad sposobami leczenia skomplikowanych złamań i uszkodzeń kończyn. W jego czasach takie urazy zwykle oznaczały jedno: amputację. Werdykt szczególnie przykry w czasach wojen i niepokojów, kiedy pola bitew zasłane były ciężko rannymi żołnierzami. Metzig natychmiastową decyzję o odjęciu ręki czy nogi porównywał do morderstwa. W zamian proponował długotrwałą i skomplikowaną terapię, podczas której używał sztywnych, nasączonych krochmalem bandaży. W ten sposób leczył znany belgijski chirurg Louis Joseph Seutin. W ciągu kilku lat Metzig zaopiekował się kilkunastoma pacjentami miejskiego szpitala w Lesznie. Najbardziej znany był przypadek pewnego strażnika kolejowego, który wpadł pod pociąg. Cudem uszedł z życiem, ale doznał złamania kości podudzi i miednicy. Po latach jeden z leszczyńskich lekarzy, niejaki Badstübner wspominał: „Dr Metzig klajstrował i jeszcze raz klajstrował przez jeden rok z wytrwałością myszy kościelnej"[3]. Efekty okazały się zadziwiające. Strażnik zaczął chodzić, lekarze zaś bez ogródek mówili o medycznym „arcydziele"[4].

Tymczasem Metzig jako pilny obserwator otaczającej go rzeczywistości powoli dojrzewał do kolejnej roli. Właściwie zaczęło się to dużo wcześniej, gdzieś pod koniec lat dwudziestych. Młody medyk wybrał się wówczas do Poznania, by załatwić sprawę w biurze księcia Radziwiłła. W korytarzu natknął się na zapłakaną wdowę po oficerze wojsk napoleońskich. Kobieta przyszła prosić o wsparcie, ponieważ nie miała pieniędzy na wychowanie dzieci. Radziwiłł wcisnął jej ponoć w dłoń dwa dukaty i poradził, by udała się po pomoc do szefa pruskiej administracji. Zastrzegł jednak, że pod żadnym pozorem nie powinna

wspominać, że była wcześniej u niego. Na młodym Metzigu wywarło to ponoć piorunujące wrażenie. Pamiętał, że na kongresie wiedeńskim przedstawiciele zwycięzców solennie obiecywali otoczyć rodziny polskich weteranów opieką. „Od tego dnia zacząłem zastanawiać się nad stosunkami, sprawami i przyszłością mojej dzisiejszej ojczyzny”[5] – wspominał. Dwie dekady później był już gorącym orędownikiem sprawy polskiej.

Sprawa polska w interesie Europy

Nadzieje Polaków na to, że Wielkie Księstwo Poznańskie stanie się dla nich choćby namiastką niepodległego kraju, zgasły bardzo szybko. Książę Radziwiłł został sprowadzony do roli figuranta, zaś Prusacy niemal natychmiast zaczęli przymierzać się do jak najściślejszego powiązania prowincji z resztą kraju. Metzig po latach komentował z gorzką ironią: „Na początku stworzył Pan państwo pruskie, potem dopiero niebo i całą resztę ziemi. Historia powszechna zaczyna się w roku 1815 i od tego roku zaczęły Prusy zaszczepiać cywilizację”[6]. Proces germanizacji Wielkopolski przyspieszył jeszcze po upadku Powstania Listopadowego. Król Prus odwołał Radziwiłła, po czym nakazał zlikwidować jego stanowisko. Wielkim Księstwem Poznańskim zarządzał teraz przysłany z Berlina nadprezydent Edward Flottwell. Niemiecki zyskał status jedynego języka urzędowego, rozbudowano tajną policję, a Wielkopolan, którzy pospieszyli na pomoc toczącemu się w zaborze rosyjskim powstaniu, spotkały represje.

Pewne rozluźnienie niemieckiej polityki przyszło dopiero w 1848 r. Sporą część Europy ogarnęły wówczas niepokoje i zbrojne wystąpienia zwolenników liberalizacji konserwatywnych rządów. Polacy dostrzegli w tym szansę na wywalczenie szerokiej autonomii, a może nawet niepodległości. W Wielkopolsce wybuchło powstanie, którym dowodził gen. Ludwik Mierosławski. Powstańcze oddziały początkowo nawet odnosiły sukcesy, ostatecznie jednak zostały zmuszone do kapitulacji. Prusacy znieśli resztki niezależności Wielkiego Księstwa Poznańskiego, przemianowując je na Prowincję Poznańską (choć stara nazwa przetrwała nie tylko w potocznym języku, ale też w tytulaturze pruskich królów). Odtąd Wielkopolanie zmienili taktykę. Postanowili w pełni wykorzystać wszystkie legalne drogi walki o swoje prawa i zbudować silną pozycję gospodarczą. Rozkwitała praca organiczna, której symbolem stała się założona dekadę wcześniej spółka akcyjna Bazar, powstała Liga Polska, a w parlamencie pruski sformowane zostało Koło Polskie.

Wówczas też Wielkopolanie zyskali dość niespodziewanego sojusznika. Na fali gorączki związanej z Wiosną Ludów, Metzig zaczął głośno przekonywać, że prawa polskich mieszkańców prowincji należy bezwzględnie respektować. We wspomnianej broszurze *Pokój z Wami!* postulował utworzenie sejmiku prowincjonalnego z równym udziałem Polaków i Niemców, który wypracowałby lokalną konstytucję. Chciał też powołania polskiego uniwersytetu w Poznaniu. Zapłacił za to wysoką cenę. W 1848 r. grupa rodaków przy biernej postawie służb porządkowych próbowała na nim dokonać linczu, zwierzchnicy zaś postanowili przenieść go z Leszna do Głogowa. Metzig odmówił, a niedługo potem zrezygnował ze służby w pruskiej armii.

Jak tłumaczyć jego propolską postawę? Być może odpowiedzi należałoby szukać w wydanej rok później bro-

Książę Antoni Radziwiłł, namiestnik Wielkiego Księstwa Poznańskiego.

GAZETA
Wielkiego Xięstwa
POZNAŃSKIEGO.
№ 13. W Sobotę dnia 18. Stycznia 1841.
Wiadomości krajowe.
Wiadomości zagraniczne.

Winieta gazety z herbem Wielkiego Księstwa Poznańskiego w wersji obowiązującej w czasach, gdy żył Johann Metzig.

FOT. POLONA.PL (2)

szurze *Jeszcze kilka słów o Wielkim Księstwie Poznańskim*. Wspominał w niej o lansowanej przez Rosję idei panslawizmu, która może się okazać atrakcyjna dla narodów słowiańskich. Zachęcał Prusy do pójścia tą samą drogą i stworzenia federacyjnego państwa przy pełnym poszanowaniu polskich ambicji. Pobrzmiewają tutaj echa chłodnej kalkulacji pruskiego patrioty, aby zjednać sobie Polaków, zanim zrobi to kto inny. Wszak kilkanaście lat później, już jako poseł do pruskiego parlamentu, Metzig podkreślał: „Jestem Niemcem z pewnością nie gorszym niż ktokolwiek na tej sali”[7]. Był on równocześnie zdeklarowanym liberałem, gorącym zwolennikiem wolności narodów, romantykiem skłonnym do snucia utopijnych często wizji. Stanisław Gołębiowski napisał o nim: „Metzig nie należał do żadnej partii niemieckiej. Jako wyraźna indywidualność nie mieścił się w żadnych schemacie programowym, wykraczał poza ramy wszystkich ideologii partyjnych, które go raczej krępowały w jego działalności”[8].

Doktor nauczył się mówić po polsku, choć – jak przyznawał – radził sobie z tym językiem na tyle słabo, że podczas publicznych wystąpień go nie używał. Zapisał się do Ligi Polskiej, w czasie spotkania założycielskiego tej organizacji, które odbyło się w podpoznańskim Kórniku, wygłosił referat, wychwalając Konstytucję 3 maja. Przez lata był Metzig honorowym członkiem Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, przyjaźnił się z liderami pracy organicznej Karolem Marcinkowskim i Gustawem Potworowskim, w dużej mierze dzięki Polakom wybrano go na leszczyńskiego radnego, a potem posła do pruskiego parlamentu. Przede wszystkim jednak pisał i jeszcze raz pisał. Spod jego pióra wyszło blisko pięćdziesiąt odezw i broszur poświęconych sprawie polskiej. Stało się to możliwe dzięki zaprzyjaźnionej drukarni w Hamburgu. Mało tego, dzięki znajomościom publikacje jego autorstwa dotarły do najwyżej postawionych osób w państwie, w tym do rąk królewskiej pary.

W 1856 r. Metzig wydał książkę *Suum cuique* (Każdemu swoje), a sześć lat później broszurę *Przywrócenie Polski*. Postulował w niej o zwołanie kongresu przywódców, który uregulowałby stosunku pomiędzy europejskimi państwami. Jedną z propozycji była odbudowa niepodległej Polski w granicach sprzed rozbiorów. W 1863 r. w pracy *Sprawa Polska rozpatrywana w prawdziwym interesie Europy, w duchu cywilizacji* zauważał: „chcąc wiedzieć, co się naprawdę dzieje w głębi życia państwowego Prus, jaki duch je przenika, wystarczy spojrzeć na tę krainę [Wielkie Księstwo Poznańskie], a można z tego wnosić zawsze na pewno o stanie całości. Gdy w Księstwie źle, psuje się coś w Prusach. Nie można czynić źle Polakom, nie szkodząc równocześnie Prusom”[9]. Rok przed śmiercią wydał dzieło pod znamiennym tytułem *Niech żyje Polska! Odezwa w celu zbudzenia uśpionej Europy*, a jednocześnie po raz kolejny zaapelował do pruskich władz o stworzenie polskiego uniwersytetu w Poznaniu. Już wówczas jednak szanse na to, że Berlin w jakikolwiek sposób zaspokoi ambicje Polaków, były znikome. Właśnie tworzył się Związek Północnoniemiecki, na którego czele stanął bezwzględny zwolennik germanizacji Otto von Bismarck. Trzy lata później pod jego kierunkiem miało dojść do zjednoczenia Niemiec. Ale Metzig już tego nie oglądał.

Hrabia nad trumną

Johann Metzig zmarł w Lesznie 1 października 1868 r. Lekarze orzekli, że przyczyną była „nerwowa gorączka”. Niemiecka prasa jego odejście skwitowała krótką wzmianką. Polska poświęciła mu dużo więcej miejsca. Autorzy tekstów nazywali go między innymi „jednym z najwytrwalszych obrońców naszej sprawy”[10].

Pogrzeb doktora odbył się cztery dni później. Aby go sfinansować, jego matka musiała sprzedać pierścień ofiarowany Metzigowi przez cara. Uroczystość zgromadziła tłumy mieszkańców Wielkopolski: Polaków, Niemców oraz Żydów. W kościele ewangelicko-augsburskim pw. Świętego Krzyża w Lesznie pojawili się zarówno jego możni znajomi, jak i biedota, którą przez blisko cztery dekady leczył charytatywnie. Nad trumną doktora przemawiał hr. Włodzimierz Szołdrski.

Metzig spoczął na ewangelickim cmentarzu w Lesznie. W kolejnych latach szczątki doktora były dwukrotnie ekshumowane. Po likwidacji cmentarza przeniesiono je do kościoła Świętego Krzyża, potem zaś do specjalnie wybudowanego grobu na terenie lapidarium przy tejże świątyni. Aby do niego dojść, trzeba przejść przez plac nazwany imieniem Metziga. Na jego skraju stoi dom doktora, a na nim wisi tablica. Autorzy inskrypcji nazwali dawnego właściciela „przyjacielem Polaków” i „obrońcą narodowych spraw polskich”. Ale chyba najbardziej ucieszyłoby go określenie zamykające opis: „Człowiek wielkich zalet”. ■

ŁUKASZ ZALESIŃSKI dziennikarz miesięcznika „Polska Zbrojna” i portalu polska-zbrojna.pl.

[1] S. Gołębiowski, *Starania o polski uniwersytet w Poznaniu w XIX i XX wieku*, nadbitka z Księgi Pamiątkowej z okazji jubileuszu Uniwersytetu Jagiellońskiego. Materiały zgromadzone w Archiwum Państwowym w Lesznie pod sygnaturą 259, s. 265–266. [2] K. Pietrzak, *Johann Metzig*, „Przyjaciel Ludu” nr 3, 2003, s. 6. [3] E. Kujawska, E. Waszyński, *Metzig jako lekarz*, „Przyjaciel Ludu” nr 3, 2003, s. 16. [4] Tamże. [5] F. Koneczny, *Dr Johann Metzig, Niemiec walczący o sprawę polską. Ustęp z przeszłości Niemców w Wielkopolsce*, „Czas” 1901, nr 216, s. 1. [6] P. Nitecki, *Dr Jan Metzig w prasie polskiej*, „Przyjaciel Ludu” nr 3, 2003, s. 37. [7] Tamże, s. 43. [8] S. Gołębiowski, *Jan Metzig 1804–1868*, seria „Wielkopolanie XIX wieku”, t. I, nadbitka. przechowywana w zbiorach Archiwum Państwowego w Lesznie pod sygnaturą 259, s. 119. [9] P. Nitecki, *Dr Jan Metzig…*, s. 42. [10] S. Gołębiowski, *Dr Jan Metzig – przyjaciel Polaków*, „Przyjaciel Ludu” nr 3, 2003, s. 14.

Bibliografia:

„Przyjaciel Ludu” nr 3, 2003. Numer niemal w całości poświęcony Johannowi Metzigowi, a w nim artykuły autorstwa M. Pietrzaka, Z. Gołębiewskiego, E. Kujawskiej, E. Waszyńskiego, P. Niteckiego.
Materiały archiwalne poświęcone Johannowi Metzigowi, zgromadzone w Archiwum Państwowym w Lesznie pod sygnaturą 259.
M. Rezler, *Wielkopolska Wiosna Ludów (1848). Zarys dziejów militarnych*, Poznań 1993.
M. Rezler, *Nie tylko orężem. Bohaterowie wielkopolskiej drogi do niepodległości*, Poznań 2013.
M. i L. Trzeciakowscy, *W dziewiętnastowiecznym Poznaniu*, Poznań 1987.

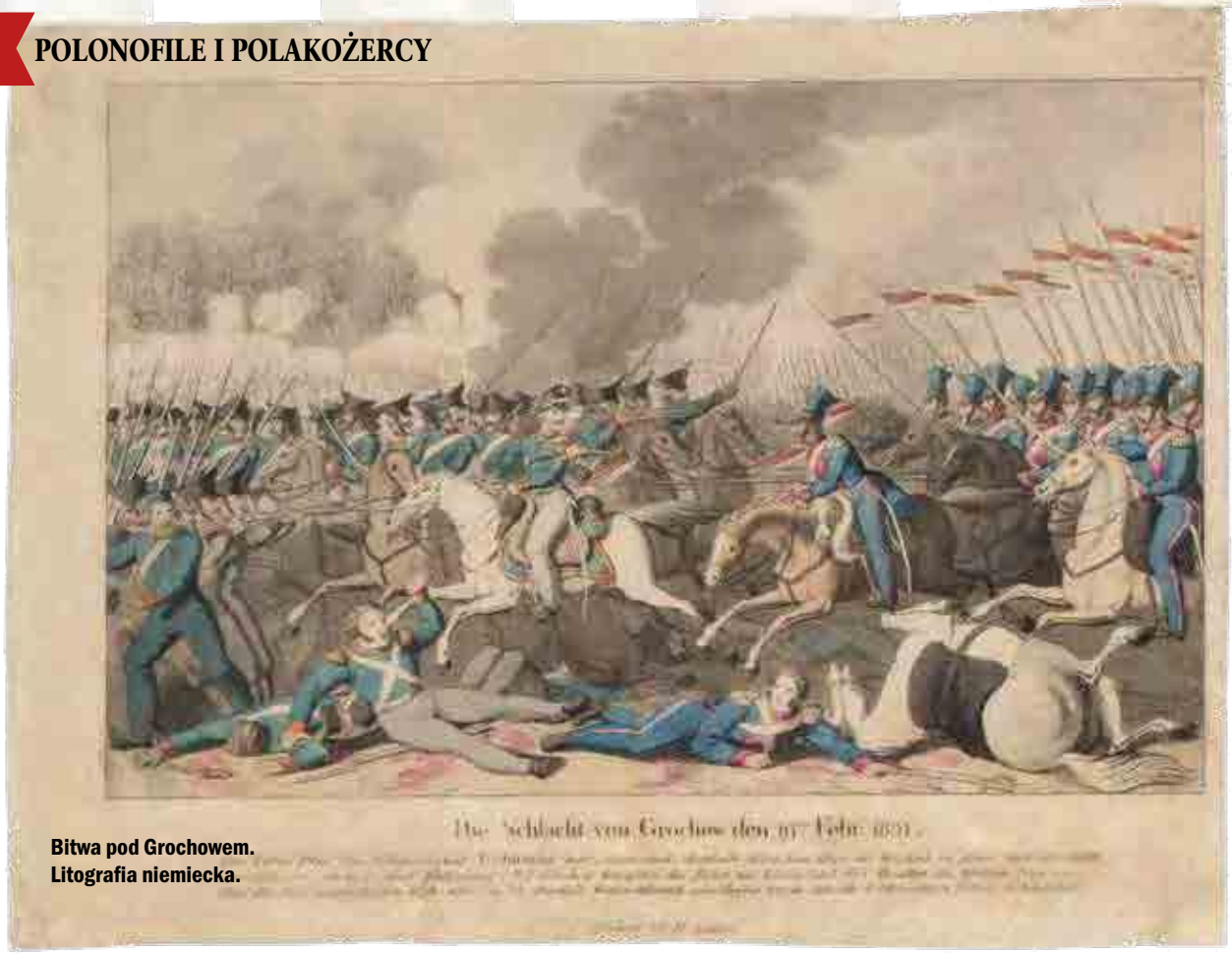

Bitwa pod Grochowem. Litografia niemiecka.

FOT. POLONA.PL

Bracia Moskale kontra Wieszatiel

Adam Mickiewicz w *Reducie Ordona* opisywał ostatnie chwile polskich i rosyjskich żołnierzy tymi słowami: „Tam i ci, co bronili, i ci, co się wdarli, pierwszy raz pokój szczery i wieczny zawarli”. Śmierć godziła odwiecznych wrogów jeszcze na niejednym bitewnym polu.

PIOTR KORCZYŃSKI

Wielu innych jeszcze artystów te dramatyczne sceny uwieczniło dla przyszłych pokoleń. Temat ten podjął między innymi Artur Grottger w znakomitym cyklu graficznym o Powstaniu Styczniowym. Na jednym z kartonów namalował pobojowisko, na którym polski strzelec z rosyjskim piechurem zastygli martwi w śmiertelnym uścisku. Tytuł obrazu jest krótki i wymowny: *Pojednanie*. Jednak w Powstaniu Styczniowym już nie tylko śmierć godziła polskich insurgentów z rosyjskimi sołdatami. W 1863 r. pierwszy raz na większą skalę w powstańczych szeregach znaleźli się Rosjanie i przedstawiciele innych narodów carskiego imperium. Zobaczyli oni w polskim zrywie szansę na zrzucenie znienawidzonego samodzierżawia i walczyli z poświęceniem „za wolność naszą i waszą”. Najczęściej wymienia się przy tej okazji nazwisko ppor. Andrija Afanasjewicza Potebni. O tym rosyjskim oficerze, członku antycarskiej Ziemli i Woli Paweł Jasienica pisał w *Dwóch drogach*: „To był

Polska pocztówka patriotyczna z alegoryczną ryciną Artura Grottgera dotyczącą Powstania Styczniowego.

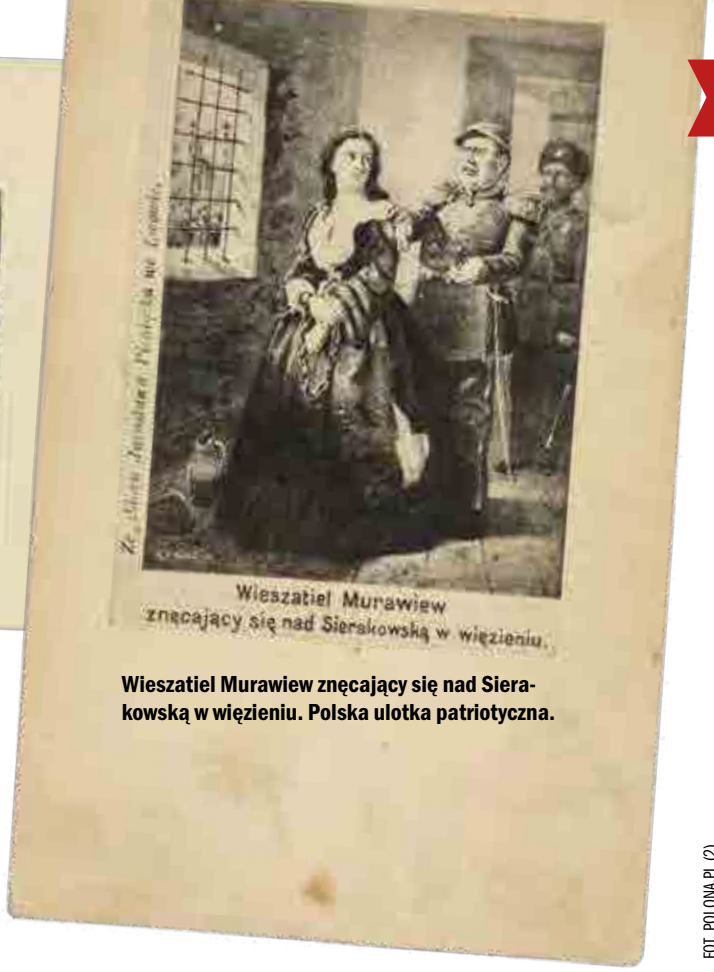

Wieszatiel Murawiew znęcający się nad Sierakowską w więzieniu. Polska ulotka patriotyczna.

FOT. POLONA.PL (2)

najwyższy poziom ideowości i poświęcenia. Potebnia działał, organizował, w celach akcji jeździł do Londynu. Podczas powstania bohatersko poległ pod Skałą”[1].

Spiskowcy oficerowie

Potebnia był szefem tajnego komitetu oficerów rosyjskiej 1 Armii, która stacjonowała w Warszawie. Na jej kadrze oficerskiej oparł swe plany powstańcze kpt. Jarosław Dąbrowski, który pod koniec grudnia 1861 r. przybył do Warszawy z Petersburga. Oficjalnie jako absolwent petersburskiej Akademii Sztabu Generalnego odkomenderowany został do służby w jednej z dywizji piechoty w Kongresówce, nieoficjalnie kierował tajnym kołem oficerskim w Petersburgu. W Warszawie z zadowoleniem włączył się do akcji komitetu oficerów 1 Armii, który prowadził intensywnie agitację wśród żołnierzy i przygotowywał ich do wspólnej z Polakami walki przeciwko caratowi. Między innymi w czerwcu 1862 r. po warszawskich koszarach rozrzucono odezwę zatytułowaną *Russkije oficery sołdatom russkich wosk w Polsze*. Stała się ona od razu sławna i warto ją tutaj zacytować: „Żołnierze! Wasze ciężkie położenie skłania nas, waszych starszych braci do zabrania nareszcie głosu... Tysiące żyjących z żebraniny bohaterów spod Sewastopola – oto wzór tego, co was czeka na starość. Żołnierze, jesteście nieszczęśliwi, wszyscy was uciskają!... Polacy, podobnie jak wasi ojcowie i bracia, gotowi są do powstania w obronie swej wolności i ziemi. Oni wyciągają do nas pomocne ramię; połączmy się z nimi, a żadna siła nie zdoła się nam przeciwstawić. Nasze wolne drużyny, wsparte przez ich przyjazne pułki, przejdą Rosję z hasłami triumfu i swobody. Nasze zwycięstwa dadzą wolność i ziemię ojcom, braciom i dzieciom waszym. My, oficerowie wasi – gotowi oddać życie za własną i waszą wolność, za wolność narodów rosyjskiego i polskiego – z pomocą Boga poprowadzimy was do tego wielkiego i świętego dzieła. Towarzysze! Powiemy wam, co i kiedy należy czynić, czyż zabraknie wam męstwa, by pójść za nami?”[2].

Ktoś powie: sprawna robota agitacyjna, wykorzystująca niezadowolenie w szeregach armii po klęsce w wojnie krymskiej. Oczywiście, będzie miał rację, ale duch wolnościowy w 1 Armii i innych formacjach wojsk carskich był rzeczywiście coraz potężniejszy. Świadczy o tym chociażby przebieg zamachu na namiestnika Królestwa Polskiego, generała-adiutanta Aleksandra Lündersa. Dokonał go 27 czerwca 1862 r. niezawodny Potebnia. Oficer strzelił z bliska do spacerującego w ogrodzie Saskim Lündersa i strzaskał mu szczękę. Następnie Potebnia spokojnie wyszedł z ogrodu na ulicę Graniczną. Obecni w czasie zamachu wojskowi nie ścigali go, prócz jednego – kozackiego oficera Manoczkowa. Oficerowie rosyjscy w Warszawie nie wybaczyli Manoczkowowi tej „niezręczności”. Spotkał go powszechny ostracyzm i by zmyć z siebie ten grzech, po wybuchu powstania 1863 r. poszedł szukać śmierci w szeregach powstańców. I znalazł ją jako polski bohater, choć historia nie zapamiętała, niestety, jego imienia.

Zamachy na Lündersa i podobnych mu „polakożerców” oraz wrzenie w armii przeraziły carskich notabli nie tylko w Warszawie, ale i w samym Petersburgu. To pachniało buntem, przy którym wystąpienie dekabrystów było niewinną zabawą. Zaczęło się przeciwdziałanie starymi sprawdzonymi metodami. Do sztabów wojskowych nasyłano prowokatorów, którzy wskazywali policji spiskowców w mundurach. Tak aresztowano między innymi oficerów: ▶

Łotysza Jana Arnholda, Ukraińca Piotra Śliwickiego i podoficera Polaka Franciszka Rostkowskiego, których za antycarską agitację rozstrzelano dla przykładu. Po egzekucji gen. Stiepan Aleksandrowicz Chrulew krzyczał do żołnierzy: „Riebiata! Jeżeli między waszymi oficerami są takie podlece jak w czwartym batalionie, rozkazuję wziąć ich na bagnety!”[3]. Rzecz niebywała – dowódca pozwalał sołdatom zmasakrować własnych oficerów. Ale te groźby, represje i aresztowania to było za mało. Rozpoczęto translokację całych pułków z Królestwa w głąb imperium, a najczęściej na Kaukaz, gdzie zarażeni buntem zmuszeni byli toczyć boje z innymi buntownikami – Czerkiesami. Na ich miejsce przybywały doborowe, najwierniejsze carowi formacje gwardii i grenadierów oraz sotnie kozackie. To z nimi przyszło walczyć w 1863 r. prawie bezbronnym powstańcom, wśród których pomimo usilnych starań carskich żandarmów znalazło się sporo „braci Moskali”.

Szubienica i truskawki

Aby przykładnie ukarać niewiernych Polaków, car przysłał biegłych w terrorze specjalistów, wśród których największą sławę zdobył generał-gubernator wileński Michaił Nikołajewicz Murawjew. Opasał on Wileńszczyznę szubienicami, na których wieszał powstańców i ponoć sam z lubością brał udział w tych egzekucjach. Lecz przydomek Wieszatiel zdobył sobie już wcześniej, bo w 1833 r., kiedy to na pytanie, czy jest spokrewniony z powieszonym na szubienicy dekabrystą Sergiuszem Murawjewem-Apostołem, odpowiedział oburzony, że nie pochodzi z tych Murawjewów, którzy są wieszani, ale z tych, którzy wieszają. Wśród elity rosyjskiej poczynania Wieszatiela na Litwie budziły mieszane uczucia, z przewagą jednak obrzydzenia. Wnuk wielkiego feldmarszałka Aleksandra Suworowa, również Aleksander, określił Murawjewa krótko: „ludożerca”.

Był Murawjew skrajnym przykładem antypolskiego szowinisty i ślepego wykonawcy carskich ukazów, który na pytanie, czy według niego Polacy mogą być Rosji przydatni, miał odpowiedzieć: „Tak, powieszeni”. To krótkie stwierdzenie – nie wiadomo do końca, czy autentyczne – określa jednak celnie charakter i poczynania tej dość jednowymiarowej i niesławnej postaci. By ukazać, jak niejednoznaczne były stosunki nawet między przedstawicielami rodziny carskiej a ich polskimi poddanymi, trzeba wrócić do czasów Powstania Listopadowego, o których tak pięknie pisał Adam Mickiewicz w *Reducie Ordona* i innych utworach. Należy przypomnieć częstego bohatera eposów polskiego romantyzmu – księcia Konstantego Romanowa. Ten naczelny wódz armii Królestwa Polskiego miał jak Janus – dwa oblicza. Pierwsze należało do sadysty i zupaka, który z upodobaniem łamał charaktery podległych mu polskich oficerów i chorobliwie przestrzegał dyscypliny w wojsku. Z oczywistych powodów nie tolerował też w Królestwie żadnych ruchów wolnościowych i zwalczał je bezwzględnie przy pomocy tajnej policji.

Książę Konstanty z armii Królestwa Polskiego uczynił najparadniejsze wojsko w Europie. W wojnie z Rosją w latach 1830–1831 okazało się, że była ona też świetnie wyszkolona. W tym miejscu ukazuje się drugie oblicze księcia. Konstanty pragnął być nie tylko narzuconym przez swego panującego brata namiestnikiem Królestwa Polskiego, on chciał, by Polacy autentycznie zobaczyli w nim swego króla. Żeniąc się z polską hrabiną Joanną Grudzińską, zrezygnował z praw do tronu carskiego, a po wybuchu powstania książę zaczął zaskakiwać odmiennością zachowania. Na prośbę swego młodego polskiego adiutanta, by zwolnił go ze służby i pozwolił mu odejść do powstańczych oddziałów, nie kazał go natychmiast aresztować. Po dłuższym milczeniu odpowiedział: „Masz rację, twoje miejsce jest tam” i pobłogosławił młodzieńca znakiem krzyża na drogę ku jego wrogom. Nie dość na tym, kiedy w ostatnie dni lutego 1831 r. obserwował z obozu wojsk rosyjskich krwawą bitwę pod Grochowem, zaczął nagle podrzucać kapelusz w górę i triumfalnie krzyczeć: „To moje dzieci!”. Okazało się, że to polska piechota ruszyła do udanego kontrataku. Zgorszony zachowaniem księcia feldmarsz. Iwan Dybicz, kazał go odprowadzić do namiotu. Oficerowie wyznaczeni do tego niewdzięcznego zadania musieli uczynić to prawie siłą. Książę Konstanty zmarł kilka miesięcy po bitwie grochowskiej, 27 czerwca 1831 r., oficjalnie z powodu cholery, na którą cierpiała cała armia rosyjska. Nieoficjalnie mówiło się, że uśmiercono go, podając zatrute truskawki w śmietanie. Czyżby bano się, że książę bardziej już jest Polakiem niż Rosjaninem?

„NAJWYŻSZY POZIOM IDEOWOŚCI I POŚWIĘCENIA. **POTEBNIA DZIAŁAŁ, ORGANIZOWAŁ, W CELACH AKCJI JEŹDZIŁ DO LONDYNU.** PODCZAS POWSTANIA BOHATERSKO POLEGŁ POD SKAŁĄ”.

Mówiąc i pisząc o Rosji, często przywołuje się rosyjską duszę, której nie sposób człowiekowi z Zachodu zrozumieć. Wcale nie mało było w historii, także tej najnowszej, Rosjan, którzy duszę i serce oddawali ojczyźnie z wyboru. ■

PIOTR KORCZYŃSKI redaktor kwartalnika „Polska Zbrojna. Historia”, publicysta. Autor książek: *Elitarne oddziały specjalne Wojska Polskiego 1939–1945; Herbarz szlachty polskiej; Wojownicy, żołnierze i śmierć nie zawsze pełna chwały*; *Dla ojczyzny ratowania: szubienica pal i kula.*

[1] P. Jasienica, *Dwie drogi. O powstaniu styczniowym*, Warszawa 1960, s. 96.
[2] Tamże, s. 97. [3] Tamże, s. 102.

Ani śladu

Miejsca na dawnych Kresach Wschodnich II Rzeczypospolitej związane z historią Polski były przez dekady niszczone. Niekiedy wiedza o nich pozostała jedynie w naszej pamięci.

DOMINIK KAŹMIERSKI

Data 7 listopada 1937 r. niewiele dzisiaj mówi komukolwiek. Ale wówczas dla byłych żołnierzy Armii Polskiej we Francji, zwanej Armią Hallera, mieszkających w Łucku na Wołyniu była to chwila znacząca. Oto miejscowy oddział stowarzyszenia weteranów dorobił się własnego sztandaru. I tego właśnie dnia odbyło się jego uroczyste poświęcenie. O wydarzeniu miejscowe koło hallerczyków zawiadomiło kolegów w innych częściach Polski. W tym w podłódzkim Ozorkowie. W moich zbiorach mam zaproszenie, które wysłali łuccy hallerczycy do ozorkowskich.

Jak zacna była to uroczystość, świadczą nazwiska zamieszczone na zaproszeniu. „Protektorat" nad nią objęli: wojewoda wołyński Henryk Józewski oraz dowódca Okręgu Korpusu nr II Lublin gen. Mieczysław Smorawiński. Rodzicami chrzestnymi sztandaru – wyszytego przez dzieci z łuckiego sierocińca – było aż 14 osobistości. W tym Halina Konopacka, pierwsza polska złota medalistka olimpijska; ordynat ołycki, książę Edward Radziwiłł wraz z małżonką; starosta powiatu łuckiego Jan Kościołek; miejscowi dowódcy wojskowi oraz cywilni notable, jak dyrektor miejscowego oddziału Banku Polskiego Wacław Szewczyk, a nawet żona dyrektora polskiego gimnazjum, niejaka Laskowska.

Program uroczystości przewidywał między innymi poświęcenie sztandaru w łuckiej katedrze – jedynym dzisiaj miejscu w tej miejscowości, gdzie można zobaczyć ślady jej polskiej przeszłości – i przemarsz przez miasto oraz złożenie kwiatów na łuckim Grobie Nieznanego Żołnierza. Jednym słowem: wielka gala, która miała jednoczyć polską społeczność tamtych terenów. Społeczność, której dziejowe wydarzenia nie dały jednak zaistnieć na dłużej. „Ten tłum [...], nieświadom, co mu niesie los" – jak śpiewał wiele lat później Jacek Kaczmarski.

Maj 2018 r. Stoję na jednej z głównych ulic Łucka, trzymając w ręku fotokopię zaproszenia sprzed lat. Przy okazji mojego pobytu chciałem zobaczyć, co pozostało dzisiaj po tamtych czasach. A pozostało... nic.

– *Niech pan się tym nie chwali i nikogo nie pyta o drogę* – konspiracyjnym szeptem mówi do mnie mieszkający w Łucku polski działacz. – *To może być niebezpieczne, bo nie wiadomo, na kogo pan trafi* – dodaje. Dalej wskazuje, jak dojść do dawnej ulicy Marszałka Józefa Piłsudskiego (obecnie: Wynnyczenki). Tam, pod numerem 22 stał w 1937 r. budynek, w którym mieściła się placówka łuckich hallerczyków. I rzeczywiście. Polski działacz ma rację. Po dawnym, polskim Łucku nie pozostał choćby ślad. Nie ma nawet dawnych domów. Ulica. Zwykła, najzwyklejsza. Posowieckie bloki, jakich wiele dookoła, trawnik, skrzyżowanie – na nim samochody. Obojętni przechodnie. Ani śladu, nawet najmniejszego odniesienia do dawnej przeszłości tego miejsca. Czyżby wygrali ci, którzy chcieli pamięć o polskich mieszkańcach tego miejsca wyrugować na zawsze? Niekoniecznie. Bo ta jednak przetrwała. Jeśli nie w Łucku, to pod Łodzią.

Polskość jest silna. Bardzo silna. I niech nikt o tym nigdy nie zapomina.

DOMINIK KAŹMIERSKI historyk, dziennikarz, nauczyciel. Współpracował m.in. z „Nowym Państwem", „Dziennikiem. Polska, Europa, Świat", „Uważam Rze. Historia".

FOT. ZBIORY DOMINIKA KAŹMIERSKIEGO

W 1944 r. na pomoc walczącej Warszawie wyruszyli także lotnicy Południowoafrykańskich Sił Powietrznych.

POMOC Z DALEK

WOJCIECH KRAJEWSKI

Prawdopodobnie tylko raz w najnowszej historii Polski sojusznicze państwa zachodnie wysłały swoje jednostki wojskowe i naraziły życie własnych żołnierzy, by bezpośrednio wesprzeć Polaków walczących o wolność.

Było tak w przypadku Królewskich Sił Lotniczych (Royal Air Force), które w czasie II wojny światowej dokonywały zrzutów broni i amunicji dla Armii Krajowej. Gdy 1 sierpnia 1944 r. w Warszawie wybuchło powstanie, chwalebną kartę w tych niebezpiecznych misjach nad walczącą stolicę, oprócz załóg RAF, zapisali też lotnicy Południowoafrykańskich Sił Powietrznych (South African Air Force; SAAF).

W czasie II wojny światowej Wielka Brytania była bez wątpienia najważniejszym sojusznikiem Polski, choć jeśli chodzi o lojalność wobec naszego kraju, można by jej wiele zarzucić. Od 1941 r. nad okupowaną Polskę latały z Wielkiej Brytanii samoloty 138 Dywizjonu Bombowego RAF ze zrzutami zaopatrzenia dla Armii Krajowej. Gdy alianci zajęli południowe Włochy, od grudnia 1943 r. loty kontynuowano z lotniska Campo Casale w Brindisi. Wykonywał je 148 Dywizjon Specjalnego Przeznaczenia RAF i polska Eskadra 1586. Kiedy 1 sierpnia 1944 r. w Warszawie wybuchło przeciw niemieckiemu okupantowi powstanie, okazało się, że słabo uzbrojone oddziały powstańcze pilnie potrzebują dostaw broni i amunicji. Ponoszone przez RAF straty w lotach do Polski spowodowały, że brytyjski marszałek lotnictwa John Slessor – dowodzący Śródziemnomorskimi Alianckimi Siłami Powietrznymi (Mediterranean Allied Air Forces, MAAF) – zakazał lotów nad Warszawę. Wyjątkowo zgodę na loty

Obraz „Liberatory nad Warszawą”, mal. James Davis, 1985.

FOT. ZBIORY MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO

IEGO KRAJU

Odznaka 31 Dywizjonu Bombowego SAAF.

ochotnicze dostali Polacy. Załogi brytyjskie skierowano na placówki odbiorcze AK w innych rejonach kraju. Tymczasem walka w stolicy Polski trwała. Dowództwo powstania oraz polscy politycy w Londynie domagali się od Brytyjczyków zrzutów na dużą skalę. W końcu zyskano przychylność dla tej sprawy samego premiera Wielkiej Brytanii Winstona Churchilla.

FOT. ZBIORY WOJCIECHA KRAJEWSKIEGO

Pomoc od Churchilla

Decyzje zapadły 11 sierpnia 1944 r. na naradzie premiera Churchilla z brytyjskimi wyższymi dowódcami w Neapolu we Włoszech. Churchill wymógł wtedy na marsz. Slessorze, by ten „for political reasons” (ze względów politycznych) udzielił „w miarę możliwości” dodatkowej pomocy walczącym Polakom. Wówczas do 148 Dywizjonu Specjalnego Przeznaczenia RAF i polskiej Eskadry 1586 przydzielono dodatkowe dwa dywizjony: południowoafrykański 31 Dywizjon Bombowy SAAF oraz brytyjski 178 Dywizjon Bombowy RAF. Miały one ogółem 20 samolotów B-24 Liberator. We wrześniu dołączył do nich jeszcze 34 Dywizjon Bombowy SAAF.

Odprawa w Campo Casale

W dzienniku operacyjnym 31 Dywizjonu Bombowego SAAF na lotnisku Celone zapisano, że w nocy z 13 na 14 sierpnia 1944 r. miał on bombardować cele przed lądowaniem aliantów w południowej Francji. Operacja „Dragoon” ruszyła 15 sierpnia. Niespodziewanie ▶

Płonący samolot B-24 Liberator w barwach RAF.

LOTNICZE WSPARCIE

Alianckie straty ogólne poniesione w lotach do Polski od 1941 r. do końca 1944 r. to: 61 maszyn i 283 poległych lotników. Obliczenia autora na podstawie wykazów załóg z książki K. Bienieckiego, *Lotnicze wsparcie Armii Krajowej*, Warszawa 2005. Wliczono także maszyny rozbite na własnych lotniskach i internowane przez Sowietów.

Płonąca podczas powstania ulica Warszawy.

FOT. ZBIORY WOJCIECHA KRAJEWSKIEGO (4)

jednak 13 sierpnia przed południem dowódca 31 Dywizjonu Lt. Col. (ppłk) Dirk U. Nel ogłosił, że 10 Liberatorów ma zatankować do pełna zbiorniki paliwa i bez ładunku bomb przelecieć na lotnisko Campo Casale w Brindisi. Lotnikom powiedziano, że ruszają na „special operations briefing" (odprawę przed operacją specjalną), ale zatankowanie samolotów do pełna znaczyło, że szykuje się daleki lot. Nikt jednak nie wiedział, dokąd i co będzie jego celem. Nawigatorzy typowali różne sobie znane obiekty do zbombardowania. Nie przypuszczali, że niebawem wezmą udział w najbardziej niebezpiecznych lotach, jakie im przypadnie odbyć. Ci, którzy przeżyją, zapamiętają je do końca swych dni. Tak o tym opowiadał Lt. (por.) Bryan Jones, nawigator jednej z załóg 31 Dywizjonu Bombowej SAAF: „13 sierpnia to była niedziela. Jako religijni chrześcijanie nie pełniliśmy w tym dniu obowiązków, więc postanowiliśmy pójść rano na mszę do kaplicy, a później do Manfredonii popływać. Po mszy wyszliśmy z kaplicy i zobaczyliśmy czerwoną flagę powiewającą nad pokojem operacyjnym. Oznaczało to jakąś zmianę. Pobiegliśmy tam i zameldowaliśmy się. Okazało się, że podpułkownik Dirk Nel wyznaczył 10 załóg na specjalną odprawę w Brindisi. Znaleźliśmy też swoje nazwiska na liście. Pobiegliśmy więc do namiotów, zabraliśmy swój ekwipunek i rzeczy, i wsiedliśmy do samolotów. Wszyscy byliśmy podekscytowani, bo myśleliśmy, że mamy zaatakować południe Francji w związku z otwarciem Drugiego Frontu. Już to wcześniej robiliśmy i wiedzieliśmy, że to dla nas »bułka z masłem«. To było łatwe zadanie [...].

Gdy czekaliśmy w kolejce, by wystartować, wzdłuż samolotów biegł Anglik ze spadochronem w ręku, który był strzelcem pokładowym [mowa tu o W/O T.G. Davisie zwanym „Smiler", który nie miał przydziału do żadnej z załóg]. Podbiegał do każdego samolotu i pytał: »Czy mogę lecieć z wami? Czy mogę lecieć z wami?«. Nasz pilot mu odpowiedział: »Zapytaj pułkownika«. Odszedł, ale nie wiem, czy w ogóle poszedł do pułkownika, możliwe, że po prostu obszedł samolot dookoła i wrócił z drugiej strony. Mówi: »Pułkownik się zgodził«. Odpowiedzieliśmy mu na to: »Dobra. Wskakuj«. Myślał, że wybiera się na krótką wyprawę, a zajęło mu cały rok, zanim wrócił"[1].

Po godzinnym locie wylądowali w Brindisi, na lotnisku brytyjskiego 148 Dywizjonu Specjalnego Przeznaczenia i polskiej Eskadry 1586 latających od dawna nad Polskę. Gdy wyszli z samolotów na odprawę, do komór bombowych ich maszyn zaczęto ładować zasobniki z bronią i amunicją.

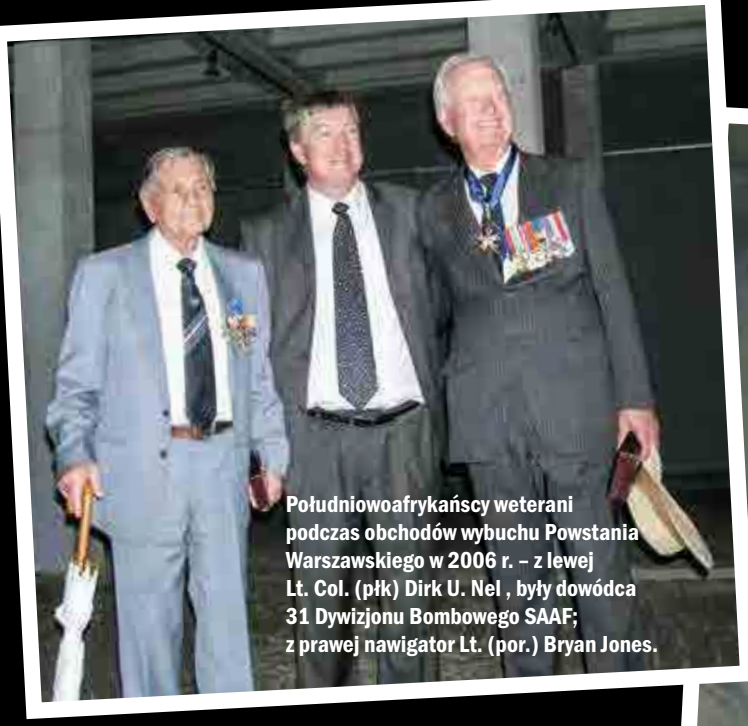

Południowoafrykańscy weterani podczas obchodów wybuchu Powstania Warszawskiego w 2006 r. – z lewej Lt. Col. (płk) Dirk U. Nel , były dowódca 31 Dywizjonu Bombowego SAAF; z prawej nawigator Lt. (por.) Bryan Jones.

Marszałek lotnictwa John Slessor dowodzący Śródziemnomorskimi Alianckimi Siłami Powietrznymi.

Tak wspominał tę odprawę nawigator Lt. (por.) Bryan Jones: „Wylądowaliśmy w Brindisi i poszliśmy do pokoju odpraw 148 Dywizjonu Bombowego RAF. Była tam przymocowana do ściany, ogromnej ściany, wielka mapa Europy. Na niej oznaczono czarną taśmą trasę zaczynającą się w Brindisi, przekraczającą Adriatyk i siedem krajów, najpierw Bałkany, następnie przez Węgry i nad Karpatami, a kończącą się w Polsce. Wszyscy stwierdziliśmy: »Ojej, cóż za szaleni ludzie to zrobili. Dobrze, że to nie jest robota dla nas!«”[2].

Załogi słuchały w kompletnym osłupieniu, jak podpułkownik RAF-u rozpoczął odprawę tymi słowami: „»Gentleman, your target for tonight is Warsaw [Panowie, waszym celem tej nocy jest Warszawa]. Aby zapewnić wysoką celność zrzutu, będziecie lecieć na maksymalnym pułapie 450 stóp [ok. 150 m] z prędkością 135 mil na godzinę [220 km/h] i z opuszczonymi klapami«. Mało nie pospadaliśmy z krzeseł z powodu szoku! Podpułkownik zaczął wtedy tłumaczyć, że ładunkiem będzie zaopatrzenie broni, amunicji, sprzęt radiowy, żywność i zapasy medyczne dla oblężonych żołnierzy Armii Krajowej obecnie zepchniętych do Starówki Warszawy. Zakończył stwierdzeniem, że w jego opinii, jeśli załogi będą zbliżać się do celu w Warszawie, lecąc wzdłuż środka rzeki Wisły, nie powinny doświadczyć większych problemów. Sławetne ostatnie słowa! Ostrzeżono nas również, że Rosja odmówiła prawa do awaryjnego lądowania na jej terytorium w razie, gdyby któryś z nas znalazł się w tarapatach”[3].

„Sądzę, że wszyscy byliśmy w szoku. Kto o zdrowych zmysłach mógł poprosić o coś takiego? W grę wchodził nie tylko lot na normalnej wysokości – 12000 stóp [3500 m]. Nad celem mieliśmy zejść na wysokość 450 stóp [ok. 150 m], czyli bardzo, bardzo nisko, ponieważ mieliśmy dostarczyć ładunki dokładnie w wyznaczone miejsca w mieście”[4].

Nawigator Jones zapamiętał jeszcze, że głos zabrał jakiś oficer z polskiej Eskadry 1586. Był to kpt. pil. Zbigniew Szostak, który następnej nocy zginął wraz z załogą pod Bochnią. „Pod koniec odprawy dowódca skrzydła zaprosił polskiego dowódcę dywizjonu, by wygłosił mowę. On powstał i w bardzo emocjonalnym tonie powiedział: »Mój kraj, Polska, ma poważne kłopoty. Proszę was – obywateli Wielkiej Brytanii i RPA – o pomoc dla Polski tej nocy«. Dla nas, młodych ludzi, brzmiało to bardzo poważnie, i naprawdę poruszyło nasze emocje”[5].

„Jednak ludzie [...] byli już dostatecznie zaprawieni w boju, aby wiedzieć, że misja ta jest niemalże niemożliwa i najprawdopodobniej samobójcza. Niezwłocznie po odprawie rozpoczęły się gorączkowe ostateczne przygotowania przed startem, a podczas raczenia się na ostatnią minutę kawą i kanapką w kantynie, dowiedzieliśmy się przypadkowo od innych załóg o wielu stratach poniesionych nad Warszawą poprzedniej nocy”[6].

Wykonaj albo zgiń

Lotnicy nie przyjęli rozkazu z entuzjazmem. Owszem, byli ochotnikami do lotnictwa, ale nie do wykonywania samobójczych i wojskowo bezcelowych zadań bojowych. W dzienniku operacyjnym 31 Dywizjonu nowe zadanie skomentowano słowami „nie zastanawiaj się dlaczego, tylko wykonaj albo zgiń”[7]. Dowódca 31 Dywizjonu Lt. Col. (ppłk) Dirk Nel ani przez chwilę nie miał złudzeń i tak o tym mówił po latach: „Byłem przeciwny lo-

Samolot B-24 Liberator EW 105 z 31 Dywizjonu Bombowego SAAF w locie, który uszkodzony awaryjnie lądował na terenie obecnego portu lotniczego na Okęciu w nocy z 13 na 14 sierpnia 1944 r.

ZBIORY ARCHIWUM CHRISTEL DE WIT

Lotniczy nkm Browning M2 kal. 12,7 mm odnaleziony w miejscu katastrofy samolotu B-24 Liberator EW 161 z 31 Dywizjonu Bombowego SAAF w Łysej Górze pod Tarnowem w 2012 r.

Godło Południowoafrykańskich Sił Powietrznych na nagrobkach poległych lotników SAAF.

FOT. WOJCIECH KRAJEWSKI (2)

tom nad Warszawę. Wynikało to ze słów Churchilla, który powiedział, że nie mają one żadnego znaczenia militarnego, a wyłącznie cel polityczny. Powiedziałem wówczas, że Churchill powinien ryzykować własne życie dla swojej przyszłości politycznej, a nie życie południowoafrykańskich ochotników. Stwierdziłem wtedy, że ta operacja jest niewykonalna [mission impossible].

Wiedziałem z własnego doświadczenia, co znaczył lot na wysokości 150 metrów z opuszczonymi klapami i prędkością 140 km/godz. Liberatora w tej sytuacji można było trafić nawet z dmuchawki. To było naprawdę niesamowite”[8].

Premier Churchill musiał zdawać sobie sprawę, że operacja ta nie przyniesie Polakom zwycięstwa w Warszawie, ale należy ją podjąć i narazić życie własnych lotników ze względu na brytyjsko-polskie porozumienie sojusznicze i dla utrzymania wzajemnych stosunków politycznych w przyszłości.

Jak trafić do Warszawy?

Południowoafrykańscy lotnicy nie mieli doświadczenia w nocnych operacjach zrzutowych. Żaden z nich nie znał tej części Europy ani nigdy nie był w Polsce. Pojawił się problem, czy startując z południowych Włoch, trafią oni do odległej o 1500 km Warszawy i jak w przesłoniętym dymami pożarów, nieznanym sobie mieście odnajdą wyznaczone miejsce zrzutu.

Polscy nawigatorzy z Eskadry 1586, którzy byli warszawiakami i doskonale znali teren, doradzili południowoafrykańskim kolegom, aby jak tylko dotrą nad Polskę, odnaleźli dobrze widoczną Wisłę i wzdłuż niej lecieli aż do celu. Drogowskazem mogła być zauważalna z daleka łuna płonącej Warszawy. Znaleziono też sposób, by odnaleźć miejsce zrzutu w ogarniętym walkami mieście. Należało przelecieć nad trzema mostami: księcia Józefa Poniatowskiego, średnicowym oraz Kierbedzia i skręcić w lewo nad miasto, obierając kurs 270 stopni. Lecąc tak, po 10 sekundach trafiało się nad miejsce zrzutu na placu Krasińskich.

Loty nad Warszawę

Ogółem zebrano ok. 30 samolotów B-24 Liberator i Halifax ze 148 Dywizjonu Specjalnego Przeznaczenia RAF, z polskiej Eskadry 1586 oraz przydzielonego 31 Dywizjonu Bombowego SAAF (a później także 34 Dywizjonu Bombowego SAAF) i 178 Dywizjonu Bombowego RAF. Pomoc lotnicza dla Warszawy ruszyła. Załogi czekał daleki (ok. 1500 km) i długi (ok. 10 godz.), niebezpieczny nocny lot nad terenem nieprzyjaciela. Nad Warszawę i pobliską Puszczę Kampinoską wysłano kilka wypraw po ok. 20

POŁUDNIOWOAFRYKAŃSKIE SIŁY POWIETRZNE

Związek Południowej Afryki, obecnie suwerenna republika, był wówczas dominium brytyjskim. Wraz z Wielką Brytanią brał udział w II wojnie światowej, wypowiadając wojnę Niemcom 6 września 1939 r. Południowoafrykańskie Siły Powietrzne były początkowo nieliczne, ale podczas wojny znacznie je rozbudowano. Dwadzieścia sześć dywizjonów SAAF odegrało istotną rolę w walkach z Niemcami w Afryce Północnej, a cztery dywizjony wzięły udział w lądowaniu aliantów na Sycylii. W końcu 1943 r. dywizjony bombowe SAAF włączono do udziału w strategicznych nalotach bombowych prowadzonych na Bałkanach i we Włoszech. W końcu 1944 r. w lotnictwie Afryki Południowej służyło ok. 45 tys. ludzi. U schyłku wojny SAAF liczył 35 dywizjonów.

samolotów: w nocy z 13 na 14 sierpnia, z 14 na 15 sierpnia, z 15 na 16 sierpnia, z 16 na 17 sierpnia, a następnie z 10 na 11 września, z 18 na 19 września i już po upadku Powstania Warszawskiego, z 16 na 17 października. Samoloty startowały w kilkuminutowych odstępach, dalej każda załoga kontynuowała lot samotnie.

W historii wojen nie odnotowano podobnej operacji. Napisano o niej później, że „w całej II wojnie światowej nie było wypadku regularnego zaopatrywania z powietrza własnych oddziałów otoczonych przez nieprzyjaciela i znajdujących się na jego głębokich tyłach, z baz odległych o 1500 kilometrów”[9]. Po upadku powstania, w październiku i listopadzie 1944 r. nad Polskę latały przeważnie już tylko załogi polskie. Operacja stopniowo wygasała. Los Polski „wyzwalanej” przez „sojuszniczą” armię sowiecką był przesądzony. Operacja zaopatrywania Armii Krajowej drogą powietrzną przeszła do historii.

Bilans lotów nad Warszawę

Działając w niezmiernie trudnych warunkach, lotnictwo alianckie (RAF, SAAF i polska Eskadra 1586) zrobiło dla warszawskich powstańców to, co było możliwe do wykonania. Zrzuty nie mogły przechylić szali zwycięstwa na ich stronę. Na początek walki potrzeba było 500 ton zaopatrzenia, a potem każdego dnia po 60 kolejnych ton. Tymczasem z Włoch zdołano dostarczyć przez dwa miesiące tylko 60 ton zaopatrzenia, z czego powstańcy odebrali 60–70%, czyli ok. 40 ton. Wszystko to miało wysoką cenę. Straty południowoafrykańskiego 31 Dywizjonu w lotach nad Warszawę były tak miażdżące, że stał się on niezdolny do działań operacyjnych. Wchodząc do akcji, miał 16 samolotów z kompletem załóg oraz kilkoma załogami zapasowymi, a po kilku misjach nad Warszawę pozostał jedynie z 4 sprawnymi samolotami i 5 załogami. Dopiero po uzupełnieniach, po jakimś czasie powrócił do działania.

W lotach nad Warszawę i inne placówki zrzutowe w Polsce 31 i 34 Dywizjony Bombowe SAAF straciły bezpowrotnie 11 samolotów Liberator. Ogólna liczba maszyn RAF utraconych nad Polską w tym okresie to 39. Z tej liczby bezpośrednio nad Warszawą SAAF stracił 4 Liberatory, kolejne 3 zestrzelone samoloty należały do RAF. Jeden ciężko uszkodzony południowoafrykański Liberator wylądował awaryjnie na lotnisku pod Kijowem i przejęli go Sowieci.

W lotach nad Polskę poległo ogółem 43 lotników z Afryki Południowej. Składy załóg były mieszane i do tej liczby należy dodać także 18 Brytyjczyków, którzy zginęli w południowoafrykańskich Liberatorach. Kilkunastu lotników dostało się do niemieckiej niewoli. Kilku przejęli zarówno polscy partyzanci, jak i wojska sowieckie. Szczęśliwie lotnicy ci przeżyli wojnę i po długich perypetiach powrócili do domów.

Weterani

Po zakończeniu wojny ci lotnicy SAAF, którzy przeżyli wojnę i loty do Polski, powrócili do domów i cywilnych zawodów. Wyprawy nad Warszawę wpłynęły jednak na ich dalsze życie. Kilkadziesiąt lat po wojnie zaczęli powracać do tych wydarzeń. Dostrzegali, że w czasie całej ich służby w lotnictwie nic nie miało większego sensu ponad te loty ze zrzutami dla nieznanych im wcześniej Polaków. Bo czy może być coś bardziej szlachetnego i wzniosłego niż niesienie pomocy ludziom walczącym o wolność własnego narodu? W 1987 r. powstało stowarzyszenie weteranów Warsaw’44 Club. Zaczęli oni rokrocznie przyjeżdżać na obchody wybuchu powstania do Warszawy. Odwiedzali groby poległych kolegów na cmentarzu Rakowickim w Krakowie i liczne pomniki pobudowane w miejscach, gdzie zestrzelono ich samoloty. Niestety, z każdym rokiem przerzedzały się ich szeregi. Obecnie nie żyje już prawdopodobnie ani jeden lotnik brytyjski i południowoafrykański, który uczestniczył w wyprawach nad powstańczą Warszawę. Loty te do dziś są uznawane za wyjątkowy okres działań w historii Południowoafrykańskich Sił Powietrznych. ■

WOJCIECH KRAJEWSKI archeolog, historyk i muzealnik; kustosz Działu Historii Wojskowości Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie. Badacz miejsc katastrof samolotów i poszukiwacz lotników zestrzelonych nad Polską podczas II wojny światowej. Zajmuje się też archeologią dawnych pól bitew i historią Powstania Listopadowego. Autor książek, artykułów i wystaw.

[1] Wypowiedź B.D. Jonesa w Archiwum Historii Mówionej Muzeum Powstania Warszawskiego. [2] Wypowiedź zaczerpnięta z filmu Tinusa le Roux, *Springbok Wings in Action, The men who went to Warsaw*, lipiec 2014 r., tłum. D. Kościelny. [3] Bryan Desmond Jones – wspomnienia wojenne, w: *Rycerze, Infułat i Pastor czyli wojenne wspomnienia spod Krzyża Południa*, Warszawa 2013, s. 242–243. [4] Wypowiedź zaczerpnięta z filmu Tinusa le Roux, *Springbok Wings in Action*. [5] Wypowiedź B.D. Jonesa w Archiwum Historii Mówionej Muzeum Powstania Warszawskiego. [6] Bryan Desmond Jones – wspomnienia wojenne, w: *Rycerze, Infułat i Pastor czyli wojenne wspomnienia spod Krzyża Południa*, s. 242–243. [7] 31 Squadron SAAF Resume of the months activity, s. 1, National Archives, Kew, Wielka Brytania. [8] Wypowiedź zaczerpnięta z filmu Tinusa le Roux, *Springbok Wings in Action*. [9] F. Kalinowski, *Lotnictwo polskie w Wielkiej Brytanii 1940–1945*, Paryż 1969, s. 266.

Emblemat 1 Szwadronu Tatarskiego wchodzącego w skład 13 Pułku Ułanów; okres dwudziestolecia międzywojennego. Zbiory Muzeum Wojska Polskiego.

Przyjaciele spod znaku półksiężyca

Bywały w polskiej historii zaskakujące sojusze, gdy chwilowa zbieżność interesów powodowała, że najzacieklejsi wrogowie Rzeczypospolitej stawali w jej obronie. Najbardziej egzotycznym sprzymierzeńcem byli Tatarzy.

MICHAŁ MACKIEWICZ

Lotnych tatarskich jeźdźców kojarzymy zwykle z najazdami pustoszącymi południowo-wschodnie kresy Rzeczypospolitej. Panowała tam nieustająca trwoga. To właśnie w związku z niszczycielską aktywnością ord powstała obrona potoczna – pierwsze stałe wojsko w Polsce. Bywały jednak i krótkie okresy względnego spokoju, a zbieżność politycznych interesów wymuszała niekiedy wojskową współpracę.

Wojskowość Tatarów, technicznie niezaawansowana, a nawet prymitywna, czerpała z tradycji mongolskiej i przez stulecia pozostawała zasadniczo niezmienna. Podstawę armii Złotej Ordy, a potem Chanatu Krymskiego i pozostałych ord nadczarnomorskich stanowili doskonali kawalerzyści, których podstawowym atutem była szybkość działania. Posłujący na Krym w drugiej połowie XVI w. Jędrzej Tarnowski pozostawił ciekawy opis Tatarów: „ledwie jest połowica, coby łuki i broń mieli, a zbroi żadnej nie mają, tylko w siermięgach się włóczą. Którzy broni nie mają tedy kobylą kość do kija wiążą miasto

Tatar litewski z gwardii cesarza Napoleona I, lata 1812–1814. Reprodukcja rysunku z epoki. Zbiory Muzeum Wojska Polskiego.

kościenia, i nieczem innym tamtych ziem nie wojują, tylko prędkością swą, a k'temu że nędzę przywykli cierpieć, głodu ani pragnienia się nie boją, tak iż trzy dni bez jedzenia i picia mogą być, także i konie ich, by się jeno trawy z rosą najedli"[1]. Lotność stepowych formacji, gdzie zarówno człowiek, jak i koń odporni byli na wszelkie trudy, współtworząc jedną z najbardziej wyspecjalizowanych militarnych struktur w dziejach, nie korespondowała z równie zaawansowanym uzbrojeniem. Autorzy wszystkich źródeł pisanych, informując o niespotykanych zdolnościach jeździeckich Tatarów, podkreślają, że porządnie uzbrojonych wojowników była zaledwie garstka, dysponujących odpowiednim orężem niewielu, pozostali zaś wyekwipowani wyjątkowo mizernie. „Na ich uzbrojenie składają się szabla, łuk i strzały – opisywał tatarską wojskowość Gaspard de Tende, dworzanin królowej Ludwiki Marii Gonzagi i autor kapitalnego opisu siedemnastowiecznej Rzeczypospolitej. – Bardzo obawiają się broni palnej. Ich największa siła polega na szybkości ich koni, które są brzydkie, lecz niezmordowane. Każdy Tatar ma ich wiele i prowadzi je ze sobą"[2]. Najgroźniejszą broń w tatarskim arsenale stanowił bez wątpienia refleksyjny łuk azjatycki. Szybkość manewru w połączeniu z masowym ostrzałem bywały zazwyczaj kluczem do zwycięstwa. Łuk – ze względu na skomplikowaną budowę, wysoki stopień specjalizacji i długotrwały proces produkcji– nie był z pewnością orężem tanim. Dlatego wbrew

Potyczka Karola X Gustawa z Tatarami pod Warszawą 29 lipca 1656 r. Mal. Jan Filip Lempke; 1683 r. Zbiory Muzeum Wojska Polskiego.

temu, co się powszechnie sądzi, wcale nie musiał być używany przez wszystkich kombatantów. Tatarskie szable, bardzo w Polsce cenione i zwane ordynkami lub czeczugami, charakteryzowały się wąską krzywą głownią o wydatnym ostrym sztychu, krótkim jelcem krzyżowym i rękojeścią z pochyloną ku przodowi naparstkową głowicą. Koczowniczy arsenał zaczepny uzupełniała broń drzewcowa, czyli włócznie i oszczepy, a także buławy, kiścienie lub osławione masłaki, będące rodzajem maczugi z zamocowaną u końca kością zwierzęcą. Kadra dowódcza używała uzbrojenia ochronnego, a więc stożkowych hełmów, kolczug, wschodnich juszmanów i turecko-perskich zbroi zwierciadlanych. Gros wojowników stać było co najwyżej na watowane kaftany. W XVII w. uzbrojenie ochronne stanowiło już zapewne rzadkość, ale nie zarzucono go zupełnie. Świadczy o tym przepiękny złocony hełm z kolekcji Muzeum Wojska Polskiego, łączony z krymską dynastią Girejów: wykuty z żelaza, dość płytki, o kształcie koniczno-sferycznym, z wydłużonym szyszem, czepcem kolczym oraz przymocowanymi do krawędzi dzwonu osłonami boków i czoła, ozdobiony wersetami z Koranu.

Tatar z łukiem i na brzydkim koniu

Na grunwaldzkich polach 15 lipca 1410 r. ramię w ramię z wojskami polsko-litewskimi do boju przeciwko Krzyżakom stanęło kilkuset Tatarów prowadzonych przez chana Dżelal ad-Dina. W następnych latach Polska i Litwa niejednokrotnie zawierały z groźnymi koczownikami sojusze skierowane przeciwko Moskwie. Dochodziło wówczas do koordynacji działań sprzymierzonych armii, między innymi w pierwszym dwudziestoleciu XVI w. Niestety, z koczownikami znad Morza Czarnego zdecydowanie częściej krzyżowaliśmy oręż, a pierwsza połowa XVII stulecia, mimo kilku prób wypracowania pokojowych relacji pomiędzy Rzecząpospolitą a Chanatem Krymskim upłynęła pod znakiem niemal ustawicznych walk. Ich kulminacją był sojusz tatarsko-kozacki z 1648 r., który dla Polski i Litwy stał się istną katastrofą. Bitna, wykorzystująca umocniony tabor piechota zaporoska, wsparta ruchliwą konnicą tatarską okazała się piekielnie trudnym przeciwnikiem. Miary nieszczęść, z których największym była utrata najlepszych i doświadczonych zaciężnych żołnierzy w rzezi pod Batohem w 1652 r., dopełniła ugoda w Perejasławiu i włączenie się do wojny przeciwko Rzeczypospolitej także Rosji. Całe szczęście, że sojusze się zmieniają...

Przymierze Bohdana Chmielnickiego i cara Aleksego I Michałowicza Tatarzy uznali za potencjalnie bardzo dla nich niebezpieczne. W 1654 r. zdecydowali się zerwać z kozaczyzną i wspomóc w walce niedawnego wroga. W samą porę, gdyż od północy do granic Rzeczypospolitej zbliżała się kolejna nawałnica.

Orda malowana

W Muzeum Wojska Polskiego, na ekspozycji poświęconej wojnie ze Szwedami w latach 1655–1660, prezentowany jest niewielki obraz namalowany farbami olejnymi na płótnie przedstawiający scenę batalistyczną. Na pierwszym planie uwieczniona została potyczka toczona przez kilku jeźdźców. Jeden z nich, ubrany w efektowny ciemnoszary kaftan w typie szustokora i kapelusz przyozdobiony czarnym pióropuszem, zamierza się do zadania ciosu szpadą. Jego towarzysz, w zwykłym skórzanym kolecie i kapeluszu, oddaje strzał z kołowego pistoletu wydobytego z olstra (futerału). Ich przeciwnikami są czterej konni wojownicy odziani w długie watowane kaftany, głębokie futrzane czapki i uzbrojeni w oszczepy oraz szable z otwartymi rękojeściami; u jednego z nich widać przypięte z tyłu skrzydło. Na ziemi leżą zabici z obu stron, połamana broń i ranny wierzchowiec. Z lewej strony dostrzegamy nadciągającą odsiecz – jeźdźców z dobytymi rapierami i ubranych w kapelusze oraz skórzane kolety z założonymi na nie stalowymi kirysami. Tłem dla tej kompozycji są zmagania mas kawalerii, przy czym uwagę zwracają przede wszystkim strzelcy uzbrojeni w łuki refleksyjne, rażący przeciwnika bezpośrednio z końskich grzbietów. Dalej widać miasto za rzeką. To Warszawa, a cała scena nawiązuje do epizodu, który miał miejsce 29 lipca 1656 r. w trakcie trzydniowej bitwy stoczonej przez wojska polsko-litewskie z armią szwedzko-brandenburską. Postacią ubraną w kosztowny kaftan jest Karol X Gustaw, król Szwecji i głównodowodzący wojskami sprzymierzonymi, a atakujący go jeźdźcy to Tatarzy. Skąd wzięli się pod Warszawą?

Sojusz zawarty w 1654 r. pomiędzy królem Janem II Kazimierzem i chanem krymskim Mehmedem IV z rodu Girejów nie od razu

1

2

przyniósł Rzeczypospolitej spodziewane owoce, a nowego sprzymierzeńca, słynącego z okrucieństwa i skłonności do grabieży, bardzo się obawiano. Nie mniej istotna była wizja wykorzystania Tatarów do wewnętrznych rozgrywek i wzmocnienia pozycji króla, co bardzo niepokoiło szlachecką brać. Rzeczywiście ordyńcy dali się poznać jako sojusznicy kłopotliwi, trudni do kontrolowania i skorzy do rabunków. Jednocześnie – mimo to – przymierze okazało się jednym z najbardziej zbawiennych w historii Polski. Najpierw ordyńcy wyeliminowali z walki Kozaków. Osaczywszy ich w listopadzie 1655 r. pod Jezierną na Ukrainie, wymusili na Chmielnickim formalne podporządkowanie się Janowi II Kazimierzowi. Dzięki zabezpieczeniu przez nich południowo-wschodnich kresów, a zwłaszcza województwa ruskiego z Lwowem, Rzeczpospolita zyskiwała dogodne zaplecze i nieco oddechu dla organizacji wojska przeciwko Szwedom okupującym wówczas większość kraju. W lipcu 1656 r. na pomoc polsko-litewskiej armii, która właśnie odzyskała inicjatywę, wyruszył z Krymu dwutysięczny korpus Subchan Gazi agi. Mimo że liczebnie niewielki, miał olbrzymie znaczenie psychologiczne. Przybycie ordy poprawiło morale oddziałów polsko-litewskich, a Szwedów i Brandenburczyków przyprawiło o blady strach. „Tatarów boją się bardzo – pisał Daniel Żydkiewicz, jeden z wyższych urzędników Jana Kazimierza – i ich *modum bellandi* (sposobu walki) z tyłu, z boków, a już poznali po naszych, co za broń łuk i jako z niego *expedite* (wypuszczać pociski) łacnie i dalej niż z pistoletu, zabić może lub chłopa, lub konia i obawiają się bardzo *noc genus armorum* (tego rodzaju broni), a najbardziej, żeby od Tatarów nie byli kędy w polu osadzeni i wprzód głodem na konie i na się niż orężem zwyciężeni”[3].

Tatarską taktykę do perfekcji opanował Stefan Czarniecki, który cieszył się u ordy największym szacunkiem spośród wszystkich polskich dowódców. Błędy popełnione przez stronę polsko-litewską sprawiły, że pod Warszawą nie zdołano wykorzystać w pełni możliwości bojowych ordyńców, ale i tak ich atak na tyły szwedzko-brandenburskiego ugrupowania pod Bródnem wprowadził taką nerwowość, że interweniować musiał sam szwedzki monarcha, prowadząc do walki kilka kompanii rajtarii. To właśnie wydarzenie wyobrażone zostało na opisanym obrazie namalowanym przez Jana Filipa Lempkego na zlecenie szwedzkiego dworu w 1683 r.

To, czego nie udało się dokonać pod Warszawą, powtórzono kilka miesięcy później w Prusach Książęcych. Tym razem z doskonałym skutkiem. W bitwie stoczonej 8 października 1656 r. oddziały hetmana polnego litewskiego Wincentego Gosiewskiego, przy wybitnym udziale Tatarów, rozgromiły połączone siły szwedzko-brandenburskie dowodzone przez Georga Friedricha von Waldecka. Do niewoli trafił wówczas zdrajca Bogusław Radziwiłł. Następnie ordyńcy spustoszyli Prusy – była to kara wymierzona wiarołomnemu lennikowi Rzeczypospolitej, elektorowi Fryderykowi Wilhelmowi. Pamięć o najeździe przetrwała na tych ziemiach przez kolejne stulecia.

Pomimo rozlicznych animozji i politycznych zawirowań, Krym pozostawał wiernym sojusznikiem Rzeczypospolitej także w kolejnych latach. W 1657 r. Tatarzy przyczynili się do unicestwienia armii siedmiogrodzkiego księcia Jerzego Rakoczego, kolejnego agresora, który wtargnął w nasze granice. Dzielnie stawali po polskiej stronie także na Ukrainie w latach sześćdziesiątych, kiedy na nowo rozgorzał konflikt z Rosją. Ostateczny kres militarnej współpracy nastąpił w 1667 r., z chwilą podpisania w Andruszowie pokoju pomiędzy Polską a Rosją. Zmiana układu sił w tej części Europy spowodowała, że niedawni sprzymierzeńcy mieli już niebawem ponownie skrzyżować ze sobą broń.

Z półksiężycem na kołnierzu

Opisane przykłady współpracy wojskowej pomiędzy Rzecząpospolitą a Chanatem Krymskim nie wyczerpują zagadnienia udzia-

EKSPONATY Z MUZEUM

1. Hełm łączony z krymską dynastią Girejów. Dzwon ozdobiony wersetami z Koranu, XVII w.
2. Azjatycki łuk refleksyjny, najgroźniejsza broń w tatarskim arsenale.
Fot. zbiory Muzeum Wojska Polskiego.

łu muzułmańskich żołnierzy walczących po naszej stronie w rozlicznych konfliktach w dziejach. Tatarzy, którzy z różnych przyczyn osiedlali się na terytoriach Polski i Litwy już od czasów średniowiecznych, byli doskonałymi kandydatami na żołnierzy. Ich oddziały zostały uwiecznione między innymi na imponującym obrazie *Bitwa pod Orszą* znajdującym się w kolekcji warszawskiego Muzeum Narodowego. To litewscy Tatarzy, którzy – w zamian za nadania ziemskie – zobowiązani byli do zbrojnej służby. Autor dzieła z pietyzmem odmalował wszelkie detale uzbrojenia i ubioru, widzimy szable, azjatyckie łuki, a dowodzący chorągwią ma stalowy hełm z turbanem. Wojownicy ubrani są w watowane kaftany i wysokie czapki-kołpaki[4].

Tatarskie hufce wspomagały także polskiego króla w ostatniej wojnie z zakonem krzyżackim toczonej w latach 1519–1521. Wiemy także o tym, że na dworze Zygmunta I Starego stacjonowało kilkudziesięciu łuczników tatarskich, którzy pełnili rolę straży królewskiej oraz gońców i kurierów[5].

„Tatarki" z serdakami

Rola lekkiej jazdy wzrastała wraz z zaangażowaniem się Polski i Litwy – od 1569 r. Rzeczypospolitej Obojga Narodów – w konflikty na wschodzie. Zrazu stosunkowo nielicznie, w drugiej połowie XVII w. chorągwie złożone z wyznawców Mahometa stanowiły nawet do 20% ogółu jazdy. Były niezrównane w podjazdach, rozpoznaniu, tzw. zasięganiu języka, a także w walnych bitwach jako istotne uzupełnienie ciężkozbrojnej husarii i średniozbrojnej jazdy kozackiej i pancernej. Oręż pozostał tradycyjny – łuk refleksyjny i szabla, chociaż sięgano też po broń palną. Jedyną rysą na wizerunku Tatarów służących przez stulecia Rzeczypospolitej był tzw. bunt Lipków, czyli lekkich chorągwi, które w 1672 r. przeszły na krótko na stronę turecką.

Na przełomie XVII i XVIII w. spora część kadry oficerskiej w wojsku polskim i litewskim wywodziła się z tatarskiego ziemiaństwa. Służba w wojsku stanowiła dla mahometan w zasadzie jedyną drogę społecznego awansu. W pułkach na etatach oficerskich byli nawet mułłowie.

Tatarzy zasłużyli się ponownie u schyłku I Rzeczypospolitej, tworzyli wówczas pułki jazdy w armii litewskiej. Walczyli w wojnie 1792 r. i podczas Insurekcji Kościuszkowskiej. Stanowili wzorzec dla naszych ułanów, którzy rozsławili Polskę podczas wojen napoleońskich. Nawet słowo „ułan" ma tatarskie pochodzenie. Wówczas także nie zabrakło tatarskich formacji, a jeden szwadron wchodził w skład napoleońskiej gwardii.

Bracia muzułmanie bili się dzielnie w Powstaniu Listopadowym i Powstaniu Styczniowym, a gdy Polska rodziła się na nowo w 1918 r., Tatarzy stanęli w obronie granic swej przybranej ojczyzny. W 1919 r. powstał słynny Pułk Jazdy Tatarskiej, który – poza walecznością – wyróżniał się także mundurami. Jako strój wyjściowy, paradny stosowano specjalnie zaprojektowane kurtki „tatarki" z serdakami i wysokie kołpaki. Ubiór taki znajduje się w kolekcji Muzeum Wojska Polskiego. Jednostka została rozwiązana w 1920 r., ale wielowiekowa tradycja muzułmańskich formacji walczących w służbie Rzeczypospolitej była kontynuowana.

W ramach 13 Pułku Ułanów Wileńskich istniał 1 Szwadron Tatarski. Nazwę tę oficjalnie nadano decyzją Ministerstwa Spraw Wojskowych w 1936 r. Jedna z popularnych kawaleryjskich żurawiejek głosiła: „Pół Tatarów, pół Polanów. To trzynasty pułk ułanów". Ułani szwadronu nosili przepisowe mundury Wojska Polskiego, ale z pewnymi wyróżniającymi dodatkami: „Oficerowie, podoficerowie i ułani, wchodzący w skład tego szwadronu, noszą na proporczykach u kołnierzy kurtek i płaszczy emblemat w kształcie półksiężyca z gwiazdą"[6]. W 1937 r. podczas święta pułkowego szwadron otrzymał proporzec ufundowany przez społeczność muzułmańską; znalazł się na nim symbol gwiazdy i półksiężyca. Ofiarowano mu wówczas także buńczuk, który nawiązywał do znaków bojowych używanych niegdyś przez tatarskie chorągwie walczące w służbie Rzeczypospolitej. Pierwszym dowódcą szwadronu ułanów tatarskich został rtm. Michał Bohdanowicz, po nim komendę przejął rtm. Aleksander Jeliaszewicz, polski Tatar, absolwent Centrum Wyszkolenia Kawalerii w Grudziądzu. We wrześniu 1939 r. po raz kolejny polscy Tatarzy okryli się chwałą, walcząc między innymi pod Maciejowicami, gdzie ponieśli olbrzymie straty.

Stosunek do wojskowych sojuszy Polacy mają dość ambiwalentny. Wynika to z wielowiekowego doświadczenia i licznych rozczarowań, choćby w odniesieniu do ostatniej wojny. W tym kontekście to historyczny paradoks, że najlepszym naszym sprzymierzeńcem, a zarazem wybawicielem w chwili największego zagrożenia, okazali się Tatarzy, z którymi przez setki lat toczyliśmy krwawe wojny.

MICHAŁ MACKIEWICZ absolwent Instytutu Archeologii Uniwersytetu Warszawskiego, pracuje w Dziale Historii Wojskowości Muzeum Wojska Polskiego. Zajmuje się m.in. ewolucją broni strzeleckiej i archeologią militarną. Autor licznych publikacji z dziedziny bronioznawstwa, historii wojskowości i muzealnictwa.

[1] L. Podhorodecki, *Chanat krymski i jego stosunki z Polską w XV – XVIII w.*, Warszawa 1987, s. 54. [2] G. de Tende, *Relacja historyczna o Polsce*, oprac. T. Falkowski, M. Forycki, Warszawa 2013, s. 69–70. [3] S. Augusiewicz, *Prostki 1656*, Warszawa 2001, s. 61. [4] Z. Żygulski, *Bitwa pod Orszą – struktura obrazu*, w: *Światła Stambułu*, Warszawa 1999, s. 280. [5] M. Plewczyński, *Wojny i wojskowość polska w XVI wieku*, t. I: *Lata 1500–1548*, Zabrze 2011, s. 51. [6] Dziennik Rozkazów MSWojsk., nr 9, 1936.

Rolls-Royce

W sierpniu 1939 r. Samodzielna Kolumna Samochodowa Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych miała 99 pojazdów. Jednym z nich był Rolls-Royce Phantom II z 1933 r. zakupiony dla Józefa Piłsudskiego.

UTAJNIANIE

Rolls-Royce z cywilnym numerem rejestracyjnym – efekt zarządzeń „utajniających”. Fot. Centralne Archiwum Wojskowe

Marszałka

JAN TARCZYŃSKI

W latach 1933–1939, a więc w okresie, w którym Samodzielna Kolumna Samochodowa Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych dysponowała samochodem Rolls-Royce Phantom II, sprowadzonym na przełomie 1932 i 1933 r. dla generalnego inspektora i ministra spraw wojskowych, marsz. Józefa Piłsudskiego, dowództwo i administracja tej jednostki zajmowały budynek przy ulicy Rakowieckiej 2 w Warszawie, zaś garaże i zaplecze techniczno-magazynowe, zlokalizowane na przyległym, także wojskowym terenie, miały adres: ulica Puławska 4/6/8. Główną halę garażową zaprojektował w 1932 r. stołeczny architekt Antoni Jawornicki. Ten nowoczesny żelazobetonowy obiekt o konstrukcji bezsłupowej, z niewielkimi pomieszczeniami technicznymi przylegającymi do zachodniej – dłuższej – ściany, miał dwie główne bramy umieszczone centralnie i w krótszych ścianach (północnej i południowej) hali, której wymiary w przyziemiu wynosiły: długość – 52,5 m, szerokość – 30 m.

Zabudowania Samodzielnej Kolumny Samochodowej GISZ przetrwały trudne lata II wojny światowej, służąc dzisiaj także Wojsku Polskiemu, zaś Rolls-Royce marsz. Piłsudskiego opuścił kraj we wrześniu 1939 r.

Specyfikacja

W lipcu 1932 r. dowódca Kolumny kpt. Marian Brodzisz miał się udać do Kopenhagi „po zakup nowego samochodu osobowego dla Pana Ministra Spraw Wojskowych”[1]. „Rozkaz wyjazdu” 6 lipca rozszerzono na Wielką Brytanię – z Kopenhagi kapitan miał polecieć do Londynu. Należy sądzić, że efekt przyniosła tylko część podróży w kierunku zachodnim, w skład Samodzielnej Kolumny Samochodowej GISZ wszedł bowiem brytyjski superluksusowy siedmioosobowy Rolls-Royce Phantom II 7.7 torpedo „najnowszego typu z 1933 roku”[2].

Trudno jest dzisiaj określić datę dzienną zamówienia i przybycia do Polski nowego pojazdu Marszałka. Z zachowanej dokumentacji fabrycznej (w latach 1908–1946 fabryka Rolls-Royce Ltd znajdowała się w Derby) wynika, że w sierpniu 1932 r., a więc bezpośrednio po wizycie kpt. Mariana Brodzisza w Wielkiej Brytanii, prowadzono kompletowanie elementów do budowy tego samochodu, oznaczonego symbolami: 223 A.M.S (numer podwozia) i C.85.E (numer silnika). Z karty archiwalnej „Wyszczególnienie zamówień 223 – A.M.S” typu „long” dla klienta „Marshal Joseph Pilsudski, Poland” wynika, że 25 sierpnia 1932 r. przyjęto do montażu w samochodzie układ kierowniczy „D”, lewostronny, zaś z pozostałych 13 zamówień na awersie karty, dotyczących elementów podwozia i karoserii, wymienić warto 6 kół szprychowych i 6 opon marki Dunlop, „zaksięgowanych” pod datą 29 sierpnia, a także „pomocniczy zbiornik paliwa 6 galonów, z ramą”, przyjęty dzień później. Na rewersie karty, oznaczonej w nagłówku numerem silnika C.85.E, znajdują się między innymi „sygnał dźwiękowy marki Klakson, dodatkowy do sygnału Lucas”, przyjęty 30 sierpnia, szybkościomierz firmy AT wyskalowany w kilometrach, zaksięgowany cztery dni wcześniej, a także zbiornik paliwa o pojemności 28 galonów, przyjęty 31 października. Podwozie wraz z układem napędowym i osprzętem wyprodukowano w 1932 r. i wyposażono w nadwozie otwarte (torpedo) siedmioosobowe, osłaniane brezentowym składanym dachem. ▶

Nie zachowała się informacja o wytwórcy karoserii – zapewne była to jedna ze znanych brytyjskich firm nadwoziowych, współpracujących z Rolls-Royce Ltd: Park Ward, Thrupp and Maberly, Mulliner, Hooper lub Henley. Podwozie samochodu Rolls-Royce Phantom II 7.7 – wyprodukowanego w latach 1929–1936 w liczbie 1680 egzemplarzy – zakupionego dla Samodzielnej Kolumny Samochodowej GISZ pochodziło z pierwszej grupy 23 pojazdów „typ 1933 r.", plasując się na przedostatnim miejscu w kolejności numerów produkcyjnych: A.M.S 201 – A.M.S 224. Według fabrycznej karty tego podwozia – pochodziło z serii N2.

Samochód miał silnik sześciocylindrowy górnozaworowy w układzie rzędowym, chłodzony cieczą, o pojemności skokowej 7668 cm^3 (średnica cylindra 108 mm, skok tłoka 140 mm) o mocy 120 KM przy 3000 obr./min. Stopień sprężania wynosił 5.28:1. Zasilanie paliwem odbywało się za pomocą jednego firmowego gaźnika RR. Napęd na tylne koła przenoszony był przez sprzęgło suche, tarczowe i skrzynię biegów o czterech przełożeniach do jazdy w przód i biegu wstecznym. Zawieszenie na resorach piórowych z amortyzatorami hydraulicznymi zostało wzmocnione, zapewne na żądanie odbiorcy.

Elektryczny osprzęt silnika (rozrusznik, prądnica i aparat zapłonowy – magneto typu Watford EW6) był produktem firmy Rolls-Royce, elektryczne oświetlenie główne i sygnalizacyjne pochodziło zaś z renomowanej brytyjskiej wytwórni Lucas Ltd. Dwa połączone szeregowo akumulatory sześciowoltowe nosiły markę Exide.

Samochód zakupiony dla marsz. Józefa Piłsudskiego miał wymiary odbiegające nieco od standardowych, określonych fabrycznie dla tego modelu. Rozstaw osi wynosił 3810 mm, rozstaw kół przednich – 1370 mm, tylnych – 1400 mm. Długość pojazdu wraz z odejmowanym kufrem bagażowym, mocowanym na specjalnym stelażu, dochodziła do 5770 mm, szerokość wynosiła 1880 mm, a wysokość otwartego nadwozia z podniesionym dachem – 1810 mm. Ogumienie o wymiarach 32x6,75, optymalne wówczas dla pojazdów tego typu, zapewniało właściwe warunki jazdy także po drogach o złych nawierzchniach. Mimo dużej masy – 2300 kg – samochód rozwijał prędkość maksymalną 135–148 km/h (w zależności od obciążenia), a jego przyspieszenie od 0 do 80 km/h brytyjskie źródła określają jako 14,5 s. Pojemność obu zbiorników paliwa – 155 litrów – wystarczała na przebycie ok. 800 km. Rolls-Royce Marszałka miał także dodatkowy boczny reflektor, tzw. szperacz, oraz trzeci sygnał dźwiękowy, pneumatyczny – popularną w pierwszej połowie lat trzydziestych XX w. gumową gruszkę połączoną z tubą

dźwiękową w kształcie trąbki, zaś wśród narzędzi i wyposażenia naprawczego pojazdu odnajdujemy nieznany dziś element – igłę do sznurowania pokrowców na resorach piórowych, zabezpieczających je przed działaniem wody i błota.

Nowy samochód Kolumny przybył do Polski na początku 1933 r., 27 stycznia tegoż roku gen. bryg. Władysław Langner, zastępując II wiceministra spraw wojskowych i szefa Administracji Armii, skierował do szefa Biura Inspekcji GISZ płk. dypl. Witolda Warthy następujące pismo: „Należy zaprzychodować znajdujący się w Samodz. Kol. Samoch. G.I.S.Z. sam. osob. ROLLS-ROYCE według charakterystyki jak na odwrocie wraz z osprzętem według załącznika. Dokumentem przychodowym będzie odpis niniejszego rozkazu. Numer rejestracyjny jak również [...] kartotekę nadeśle niezwłocznie do Szefa Biura Inspekcyj G.I.S.Z. – Kierownik Zaopatrzenia Technicznego”[3]. Samochód otrzymał wojskowy numer rejestracyjny 7760 i pod tym oznaczeniem używany był do zmian numerów pojazdów Kolumny w połowie lat trzydziestych XX w., gdy przyznano mu także cywilne rejestracje, między innymi A 04-085.

W służbie Józefa Piłsudskiego

Generalny inspektor sił zbrojnych i minister spraw wojskowych Józef Piłsudski nie przypisywał szczególnego znaczenia samochodowym nowościom. Wóz musiał być „wygodny, aby nie rzucało o mocny, dobrze gdyby amerykański”[4]. Lubił jednak szybko jeździć. Często obliczał, w jakim czasie powinien przejechać dany dystans, i z zegarkiem w ręku pilnował cywilnego kierowcę Zygmunta Malinowskiego, aby się nie ociągał. Był zadowolony, gdy trasę z Warszawy do Druskiennik, gdzie często odpoczywał (ok. 320 km, po drogach o wiele gorszych niż dzisiejsze), odbył w wyścigowym tempie 5 godz. i 40 min.

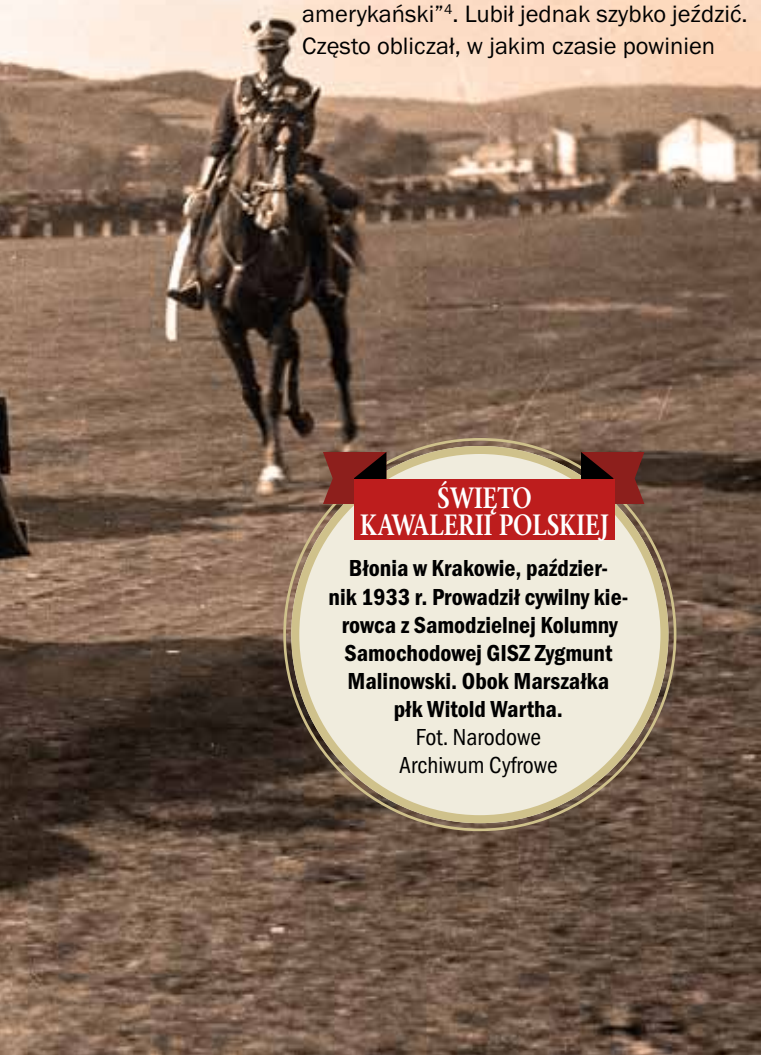

ŚWIĘTO KAWALERII POLSKIEJ

Błonia w Krakowie, październik 1933 r. Prowadził cywilny kierowca z Samodzielnej Kolumny Samochodowej GISZ Zygmunt Malinowski. Obok Marszałka płk Witold Wartha.
Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Stan techniczny samochodów Kolumny GISZ, determinowany także okresem ich użytkowania, miał tu pierwszorzędne znaczenie. Istotny był też producent pojazdu i rodzaj nadwozia. Kierując się tym kryterium, wybrano nowy wóz – wprawdzie nie amerykański, lecz renomowanej brytyjskiej marki, cenionej w kręgach rządowych w całym świecie. Marszałek nie polubił jednak Rolls-Royce'a. Powiedział nawet, że „każdy król takim jeździ, to ja nie muszę”[5]. Legendarna skromność Józefa Piłsudskiego, a zwłaszcza jego nietolerancja dla niepotrzebnych wydatków, pogłębiająca się w miarę upływu czasu, zmuszała współpracowników do szukania oszczędnościowych rozwiązań, zarówno w zakresie zakupu pojazdów reprezentacyjnych, jak i części zamiennych. Ograniczono się więc do tańszych samochodów amerykańskiej marki Cadillac, a opisywany „brytyjczyk” służył marsz. Piłsudskiemu do połowy 1934 r., także do celów reprezentacyjnych. To właśnie Rolls-Royce wiózł Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych 6 października 1933 r. w czasie Święta Kawalerii – wielkiej rewii 12 pułków konnych na Błoniach w Krakowie z okazji 250-lecia odsieczy wiedeńskiej, a także na Polu Mokotowskim w Warszawie 11 listopada tegoż roku, podczas rocznicy odzyskania niepodległości.

Na polskich drogach

Z rozkazu ppłk. Władysława Spałka, zastępcy szefa Departamentu Technicznego MSWojsk., 30 sierpnia 1934 r. wykonano „sprawdzenie stanu technicznego i ustalenie przydatności użytkowej samochodu osobowego Rolls-Royce nr rej. 7760”[6], w obecności przedstawiciela firmy Rolls-Royce, Robinsona. Działanie to było jak najbardziej zasadne, ten luksusowy samochód nie najlepiej bowiem znosił fatalny stan większości polskich dróg. Już przed powołaniem komisji, 25 kwietnia 1934 r., sprowadzono z Wielkiej Brytanii do tego wozu nowe przednie amortyzatory ramieniowe, a 31 dni później przednie i tylne resory. Do ostatniego zamówienia, z 25–31 sierpnia 1939 r., do Polski przybyło dziewięć dostaw brytyjskich części zamiennych, głównie elementów podwozia i układu przeniesienia napędu.

Od 27 września 1934 r. Rolls-Royce nr. rej. 7760, będący w grupie 12 rezerwowych samochodów MSWojsk., został rozkazem II wiceministra spraw wojskowych, szefa Administracji Armii gen. bryg. dr. Felicjana Sławoja Składkowskiego przeznaczony „jako samochód rezerwowy Pana Ministra Spraw Wojskowych i Generalnego Inspektoratu Sił Zbrojnych”[7], lecz już ▶

rozkazem wyżej wymienionego wiceministra z 5 maja 1935 r. stał się jednym z dwóch wozów „w stałej dyspozycji”[8] schorowanego marsz. Piłsudskiego. Po śmierci Józefa Piłsudskiego 12 maja 1935 r., stanowisko generalnego inspektora sił zbrojnych objął gen. dyw., a wkrótce gen. broni i marsz. Edward Śmigły-Rydz. Rolls-Royce, nadal w składzie Samodzielnej Kolumny Samochodowej GISZ, przeszedł w okresie 16–20 kwietnia 1936 r. komisyjny okresowy przegląd techniczny, z udziałem przedstawiciela producenta, którego przyjazd i pobyt w Polsce kosztował niebagatelną kwotę 400 zł. Oszczędności finansowe w MSWojsk., przeznaczającego przeważającą część budżetu na wydatki zbrojeniowe, dotyczyły także pojazdów Samodzielnej Kolumny Samochodowej GISZ, obsługującej wojskowych decydentów. Szef Biura Inspekcji GISZ płk dypl. Leon Strzelecki 7 listopada 1936 r. napisał do dowódcy Broni Pancernych MSWojsk. płk. Józefa Koczwary (kawalerzysty!): „Zarządzeniem [...] z 14.IX.1936 r. wstrzymał Pan Pułkownik bezpłatny przydział opon, dętek i zespołów. W roku budżetowym 1935/36 stawka ryczałtowa dla samochodu większego wynosiła 3.100 zł., zaś w roku budżetowym 1936/37 stawka ta została obniżona do 2.200 zł., t.j. mniej o 900 zł., czyli zmniejszenie wynosi około 30% kwoty zeszłorocznej.

Koszta remontu silnika wraz z zespołami pochłaniają około 75% przyznanego ryczałtu, zaś koszt ogumienia wynosi: na samochód mniejszy około 650 zł. przy ryczałcie 800 zł., na samochód większy około 1.200 zł. przy ryczałcie 2.200 zł., na samochód »Rolls-Royce« około 2.600 zł. przy ryczałcie 2.200 zł.

Ze względu na to, że tabor samochodowy w miarę jego eksploatacji wymaga częstszej i większej naprawy, wyznaczone na rok budżetowy 1936/37 stawki ryczałtowe nie wystarczą na konserwację taboru samochodowego.

Z uwagi na przydziały poszczególnych samochodów i konieczność utrzymania tychże samochodów w należytym stanie, proszę Pana Pułkownika albo o dodatkowe przyznanie kredytów dla Samodzielnej Kolumny Samochodowej G.I.S.Z., albo też o zezwolenie, by Kolumna mogła pobierać w Kierownictwie Zaopatrzenia Broni Pancernych opony, dętki i zespoły bez zapłaty”[9].

Należy przypuszczać, że środki finansowe na utrzymanie i naprawy Rolls-Royce’a oraz innych wozów Kolumny zostały wkrótce doprowadzone do odpowiedniego poziomu, samochód ten przydzielony bowiem generalnemu inspektorowi marsz. Edwardowi Śmigłemu-Rydzowi – *de facto* drugiej osobie w państwie, po prezydencie RP prof. Ignacym Mościckim – był jego pojazdem reprezentacyjnym. Marszałek 19 i 20 kwietnia 1938 r. wizytował nim 4 Pułk Lotniczy w Toruniu i wyjazdy tego rodzaju można zaobserwować do końca roku. Usuwanie usterek eksploatacyjnych Rolls-Royce’a prowadzono na bieżąco w Warsztatach Samochodowych Kolumny, między innymi 27 lipca 1937 r., 14 października 1938 r. oraz 4 lutego, 20 maja i 26 lipca 1939 r. Ostatecznie sprawę zaliczek na materiały pędne, wypłacanych kierowcom Samodzielnej Kolumny Samochodowej w przypadku wyjazdów zamiejscowych,

unormowano 5 września 1938 r. Oficer gospodarczy Kolumny wypłacał kierowcy Rolls-Royce'a 20 zł na każde 100 km zgłoszonej trasy, a w przypadku niewykorzystania całości zaliczki, pozostałą kwotę prowadzący pojazd „winien natychmiast zwrócić po powrocie z podróży"[10].

Wojenne losy

W czasie inwazji niemieckiej, a później sowieckiej na Polskę we wrześniu 1939 r. Rolls-Royce znajdował się w Kolumnie Samochodowej Kwatery Głównej Naczelnego Wodza marsz. Edwarda Śmigłego-Rydza, dowodzonej przez kpt. Franciszka Kawalę, byłego dowódcę Samodzielnej Kolumny Samochodowej GISZ, i wraz z nią przemieszczał się razem z najwyższymi władzami wojskowymi na południowo-wschodnie tereny Rzeczpospolitej, gdzie planowano ostateczną obronę.

„Ewakuacja Polaków do Rumunii we wrześniu 1939 roku była konsekwencją przegranej kampanii wrześniowej, a bezpośrednio następstwem uderzenia Armii Czerwonej na Polskę 17 września – napisał prof. dr hab. Tadeusz Dubicki. – W tym czasie skoncentrowane na pograniczu polsko-rumuńskim oddziały WP przygotowywały obronę tzw. przedmościa rumuńskiego przed atakującymi z kierunku północnego wojskami niemieckimi. Wejście na tyły wojsk polskich oddziałów sowieckich groziło ich całkowitym unicestwieniem, dlatego Naczelny Wódz marszałek Edward Rydz-Śmigły wydał rozkaz przekroczenia granicy z Rumunią lub Węgrami skoncentrowanym tam oddziałom, co zostało wykonane w ciągu kilku dni. Ich śladem podążyła rzesza uchodźców cywilnych, w tym władze Rzeczypospolitej z prezydentem, rządem i innymi, najwyższymi instytucjami Państwa Polskiego [...].

Wojsko, zgodnie z przepisami prawa międzynarodowego (konwencje IV i V haska z 1907 roku), podlegało internowaniu. [...] Władze II RP wskutek nacisków zewnętrznych (III Rzesza, ZSRS, Francja) także zostały w Rumunii internowane, co nie znajdowało żadnego uzasadnienia w prawie międzynarodowym. Dotyczyło to kilkudziesięciu osób, w tym Prezydenta RP Ignacego Mościckiego [...]. Internowaniu podlegał również marszałek Rydz-Śmigły, to jednak zgodne było z przepisami prawa międzynarodowego, jako zastosowane wobec czynnego wojskowego. Protesty strony polskiej nie przyniosły rezultatu, tym bardziej że rozwój wypadków okazał się też korzystny dla dotychczasowej opozycji antysanacyjnej, która znalazła się pod protektoratem Francji. Pozostawanie dotychczasowych władz w stanie internowania było na rękę ekipie gen. Władysława Sikorskiego, która stopniowo przejęła od internowanych ich atrybuty, podkreślając przy tym rzeczywiście ważny dla sprawy polskiej czynnik – zachowanie ciągłości państwowości polskiej. Doprowadziło to do dymisji rządu gen. Felicjana Sławoja Składkowskiego, naznaczenia Władysława Raczkiewicza prezydentem RP, objęcia funkcji Naczelnego Wodza przez gen. Sikorskiego"[11].

W Rumunii

Ewakuacja do Rumunii odbywała się głównie przez trzy większe przejścia graniczne: w Kutach, Śniatyniu i Zaleszczykach. Najwyższe władze państwowe i wojskowe korzystały z pierwszego z nich. Po przekroczeniu granicznej rzeki Czeremosz, większym miastem były Czerniowce. Dotarł tu samochodem marsz. Edward Śmigły-Rydz. W Czerniowcach znalazł się także prezydent ▸

11 LISTOPADA

Przyjazd Józefa Piłsudskiego na Pole Mokotowskie w Warszawie 11 listopada 1933 r., z okazji defilady w rocznicę odzyskania niepodległości. Fot. Centralne Archiwum Wojskowe

Rzeczypospolitej Polskiej, Najwyższy Zwierzchnik Sił Zbrojnych prof. dr inż. Ignacy Mościcki. Zakwaterował się na kilkanaście godzin w pałacu prawosławnego metropolity Bukowiny, arcybiskupa czerniowieckiego Visariona Puiu, gdzie przybył także, nad ranem 18 września, Naczelny Wódz i jego zmotoryzowana świta. Godzi się przypomnieć, że wraz z Kolumną Samochodową Kwatery Głównej Naczelnego Wodza przyjechał tu także Rolls-Royce nr rej. 7760/A 04-085.

Prezydent RP został internowany w Bicazu, a Naczelnego Wodza skierowano pociągiem do miejscowości Krajowa (rum. Craiova). Adiutant Naczelnego Wodza, mjr Jerzy Krzeczkowski tak wspomina pierwszy dzień internowania marsz. Śmigłego-Rydza: „Po przybyciu do Krajowej 19 września, zostaliśmy skierowani do dużej, niezamieszkanej rezydencji położonej w centrum miasta, tak zwanego pałacu »Michail«. [...] Ta nasza »rezydencja« była strzeżona przez posterunki policji. W hallu urzędował komisarz i dyżurni agencji Siguranty. Marszałek może poruszać się także poza obrębem pałacu, jednak policja musi być o jego ewentualnym wyjściu uprzedzona [...]. Jakiekolwiek odwiedziny mogły mieć miejsce tylko za zezwoleniem rumuńskiego ministra spraw wewnętrznych. Mimo to już niebawem nasza rezydencja rozbrzmiewała hałasem podjeżdżających samochodów i zgiełkiem zgłaszających się gości. Był to kołowy rzut ścisłego sztabu marszałka”[12].

Rumuni nie tolerowali długo takiej sytuacji. Major Krzeczkowski napisał: „Z rozkazu dowódcy korpusu, gen. Bunescu [Alexandru Bunescu, komendanta 1 Terytorialnego Korpusu Armii] skonfiskowano samochody, odebrano resztę broni przybyłym i odesłano gros oficerów i szeregowych do obozów. Rząd rumuński zezwala na pozostawienie przy marszałku tylko dwóch oficerów, lekarza, sekretarza, dwóch kierowców i służącego”[13].

Kierowcy cywilni z Kolumny GISZ Józef Grzesiak i Henryk Kutnik, który od 16 grudnia 1931 r. był szoferem Śmigłego-Rydza, to obsługa co najmniej dwóch samochodów, pozostawionych „przy marszałku”. Z relacji adiutanta Naczelnego Wodza wynika, że jednym z aut był właśnie Rolls-Royce.

Marszałka 13 października 1939 r. przeniesiono z Krajowej do Dragoslavele, wsi położonej wzdłuż szosy Câmpulung – Braszów, odległej o ok. 200 km na wschód od Krajowej i wraz z nieliczną świtą zakwaterowano w rezydencji byłego premiera i regenta Rumunii, prawosławnego patriarchy tego kraju, Mirona Cristea. Posiadłość położona była nad biorącą tu początek rzeką Dymbowica – szczegół istotny w dalszej historii Rolls-Royce’a. Na terenie rezydencji, jak podano w rozkazie inspektora żandarmerii w Bukareszcie, „samochody będące w dyspozycji Pana Marszałka i świty będą stały w garażu i mogą być używane w szczególnych przypadkach, po uzyskaniu zezwolenia Ministerstwa Obrony Narodowej [...]. Wyjątek stanowi samochód używany w celu dokonania zaopatrzenia w Campulung”[14].

Zbiegiem okoliczności przy Naczelnym Wodzu pozostały dwa samochody należące wcześniej do Józefa Piłsudskiego: opancerzony Cadillac 355D z 1935 r., którym przybył do Rumunii, i Rolls-Royce. Gdy 10 grudnia 1940 r. marsz. Śmigły-Rydz uciekł z internowania na Węgry, a później do Warszawy, mjr Jerzy Krzeczkowski, który pozostał w rezydencji, przy współpracy niewtajemniczonego w plany ucieczki marszałkowskiego kamerdynera Feliksa, utopił w rzece „główne części pamiątkowego Rolls-Royce’a, odziedziczonego po śp. Piłsudskim. Zależało mi na tym – jak podawał w 1950 r. – by Rumuni nie mogli go uruchomić”[15].

Dalsze losy pojazdu nie są znane. Nie figuruje w dokumentacji polskiego mienia państwowego, wytworzonej przez przedstawicieli władz RP na uchodźstwie, nie znajduje się też w dokumentach rewindykacyjnych powojennego komunistycznego rządu w Polsce. ■

JAN TARCZYŃSKI doktor nauk humanistycznych. Działacz polskiej emigracji niepodległościowej w Wielkiej Brytanii, publicysta, autor ponad 30 książek i przeszło 350 artykułów z dziedziny historii wojskowości i emigracji niepodległościowej po II wojnie światowej. Od ponad 20 lat tworzy dokumentalne filmy historyczne dla TVP. W latach 1996–2010 dyrektor biura byłego Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Ryszarda Kaczorowskiego w Londynie. Były doradca prezesa Federacji Światowej Stowarzyszenia Polskich Kombatantów w Londynie oraz szefa Urzędu do spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych w Warszawie. Członek Zarządu Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie i członek Rady Instytutu Józefa Piłsudskiego w Londynie oraz wiceprezes Polskiej Fundacji Kulturalnej w Wielkiej Brytanii. Wielokrotnie odznaczany, m.in. przez Prezydenta RP prof. Lecha Kaczyńskiego Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski i przez Prezydenta RP na Uchodźstwie Ryszarda Kaczorowskiego Srebrnym Krzyżem Zasługi.

[1] Pismo Szefa Biura Inspekcji G.I.S.Z. płk. Witolda Wartha, l.dz. 1938/B.J.32tj z 27 czerwca 1932 roku do Szefa Oddziału II Sztabu Głównego, Centralne Archiwum Wojskowe, GISZ, Biuro Inspekcji, I.302.4.1893. [2] Pismo Zastępcy Szefa Departamentu Technicznego MSWojsk. ppłk. Władysława Spałka, l.dz. 6500–3/ IMot. z 31 sierpnia (!?) 1934 roku do Szefa Biura Inspekcji G.I.S.Z., Centralne Archiwum Wojskowe, GISZ., Biuro Inspekcji, I.302.4.1893. [3] Pismo II Wiceministra Spraw Wojskowych Szefa Administracji Armii gen. bryg. dr. Sławoja Składkowskiego, l.dz. 1757/Tj.Og. z 27 września 1934 roku do Szefa Biura Inspekcji G.I.S.Z., Centralne Archiwum Wojskowe, GISZ, Biuro Inspekcji, I.302.4.1893. [4] Rozdzielnik taboru samochodowego (torpedo) – Zał. nr. 1 do rozkazu L.940/35. Tj. z 5 maja 1935 roku II Wiceministra Spraw Wojskowych Szefa Administracji Armii gen. bryg. dr. Sławoja Składkowskiego, Centralne Arch. Wojskowe, GISZ, Biuro Inspekcji, I.302.4.1893. [5] Tamże, s. 128 [6] Rozkaz odnośnie zapewnienia ochrony i bezpieczeństwa Pana Marszałka Śmigłego-Rydza i jego świty, znajdujących się w obozie internowania w Dragoslavele, Inspektor Żandarmerii w Bukareszcie, koniec 1939 roku, w: M. Kornat, M. Mokrzycki (oprac.) *W rumuńskiej pułapce. Internowanie Józefa Becka i Edwarda Śmigłego-Rydza w dokumentach rumuńskich służb specjanych*. Gdańsk 2011, s. 183. [7] Pismo II Wiceministra Spraw Wojskowych Szefa Administracji Armii wz. gen. bryg. Władysława Langnera, L. dz. 4900/sam. z 27 stycznia 1933 roku do Biura Inspekcji G.I.S.Z. CAW. G.I.S.Z., Biuro Inspekcji, I.302.4.1893. „Rolls-Royce typ 1933 rok” – tak określono w specyfikacji technicznej wozu, stanowiącej załącznik do powyższego pisma. [8] Tamże. [9] Te słowa, wypowiedziane przez Józefa Piłsudskiego na początku 1933 r. do ówczesnego dowódcy Samodzielnej Kolumny Samochodowej GISZ kpt. Mariana Brodzisza przy okazji pierwszych jazd Rolls-Royce'em, powtórzył Janowi Tarczyńskiemu płk. dypl. Kazimierz Skrzywan (wówczas kpt. dypl. w Oddziale II Sztabu Głównego) z Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie, w grudniu 1990 r. [10] Tamże. [11] Pismo Szefa Biura Inspekcji G.I.S.Z. płk. dypl. Leona Strzeleckiego do Dowódcy Broni Pancernych MSWojsk., 7 listopada 1936 r., Centralne Archiwum Wojskowe, GISZ, Biuro Inspekcji, I.302.4.1893. [12] Rozkaz Dzienny nr 201 z 5 września 1938 roku Samodzielnej Kolumny Samochodowej G.I.S.Z, Centralne Archiwum Wojskowe, GISZ, I.302.14.2. [13] T. Dubicki, *Uchodźcy polscy w Rumunii 1939–1945*, w: *Rumuński azyl. Losy Polaków 1939–1945*, oprac. A. Wancerz-Gluza, Warszawa 2009, s. 185. [14] J. Krzeczkowski, *Z Marszałkiem Śmigłym Rydzem w Rumunii*, Paryż 1950, „Kultura”, nr 9, s. 127–128. [15] Tamże, s. 139.

Krzyż Srebrny Orderu Wojskowego Virtuti Militari kl. V na wstążce, datowany: 1921 r.

Uratował polskie złoto

„Mjr Henryk Floyar-Rajchman może być symbolem służby i ofiarnej pracy dla Polski” – mówił Jan Józef Kasprzyk, szef Urzędu do spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych w grudniu 2016 r. podczas powtórnych uroczystości pogrzebowych oficera.

ANNA DĄBROWSKA

Henryk Floyar-Rajchman urodził się 7 grudnia 1893 r. w Warszawie w kupieckiej rodzinie żydowskiej. Działał w Związku Strzeleckim, a podczas I wojny światowej przeszedł cały szlak bojowy w 5 Pułku Piechoty Legionów Polskich Józefa Piłsudskiego. Podczas najkrwawszej bitwy Legionów (4–6 lipca 1916 r. pod Kostiuchnówką) został ciężko ranny.

Po kryzysie przysięgowym Rajchman przeszedł do pracy konspiracyjnej w Polskiej Organizacji Wojskowej w Warszawie, a w styczniu 1920 r. wstąpił w szeregi Wojska Polskiego jako podporucznik. Został dowódcą kompanii w 5 Pułku Piechoty Legionów. Wziął też udział w wojnie polsko-bolszewickiej w sztabie 1 Dywizji Piechoty Legionów. Mówiono wówczas o nim w armii, że ma wszystkie zalety doskonałego oficera bojowego.

Rajchman ukończył Wyższą Szkołę Wojenną i służył między innymi w Dowództwie Okręgu Korpusu w Brześciu i w Głównym Inspektoracie Sił Zbrojnych. W 1923 r. został odznaczony Krzyżem Srebrnym Orderu Virtuti Militari. Niestety, w Centralnym Archiwum Wojskowym – ani w teczce personalnej, ani w aktach odznaczeniowych – nie ma wniosku i uzasadnienia nadania Rajchmanowi odznaczenia, nie wiadomo więc za zasługi w której wojnie je otrzymał.

Od 1928 r. major był polskim attaché wojskowym w Tokio, a obszar jego działania obejmował też Chiny, Mandżurię i Koreę.

W 1935 r. przeszedł do służby cywilnej. Był między innymi posłem oraz ministrem przemysłu i handlu. Jako jeden z czołowych kierowników polskiego życia gospodarczego wytyczał kierunki polityki ekonomicznej kraju.

We wrześniu 1939 r. wraz z płk. Ignacym Matuszewskim organizował ewakuację 75 ton polskiego złota do Francji. Kruszec przewieziono autobusami do Śniatynia w pobliżu granicy z Rumunią, a następnie koleją do portu w Konstancy. Stamtąd złoty transport popłynął do Stambułu, a później do Marsylii, gdzie cenny ładunek przekazano prezydentowi Władysławowi Raczkiewiczowi. „Kapitał uratowany przez oficerów pozwolił później działać na uchodźstwie rządowi i polskim siłom zbrojnym” – napisał prezydent Andrzej Duda w liście do uczestników uroczystości pogrzebowej w 2016 r. Rajchman w 1941 r. dotarł do Stanów Zjednoczonych, gdzie był jednym z założycieli Komitetu Narodowego Amerykanów Polskiego Pochodzenia oraz Instytutu Józefa Piłsudskiego w Ameryce. Zmarł w Nowym Jorku 22 marca 1951 r. i został pochowany obok swojego przyjaciela płk. Ignacego Matuszewskiego. Zgodnie z wolą oficerów, pod koniec 2016 r. ich szczątki powróciły do Polski. Zostali oni pochowani na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach w kwaterze żołnierzy poległych w wojnie 1920 r. ■

DZIŚ REALIZUJEMY ICH TESTAMENT **– POWIEDZIAŁ PROF. SŁAWOMIR CENCKIEWICZ, DYR. WOJSKOWEGO BIURA HISTORYCZNEGO,** KTÓRY BYŁ INICJATOREM SPROWADZENIA PROCHÓW OFICERÓW DO POLSKI.

Henryk Floyar-Rajchman, minister przemysłu i handlu.

ANNA DĄBROWSKA dziennikarka portalu Polska-zbrojna.pl i miesięcznika „Polska Zbrojna”.

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE, ZBIORY MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO W WARSZAWIE

MARYNARSKIE ORŁY z pracowni Wiktora Gontarczyka

Pod dachem warszawskiego Pałacu Borchów, zwanego częściej Pałacem Arcybiskupim, przed wojną produkowano orły przeznaczone do noszenia na czapkach Marynarki Wojennej.

TOMASZ ZAWISTOWSKI

Dokładnie siedem miesięcy przed przyznaniem Polsce dostępu do morza przez sygnatariuszy traktatu wersalskiego, naczelnik Józef Piłsudski – 28 listopada 1918 r. – powołał do życia Marynarkę Wojenną. Najważniejszą potrzebą było pozyskanie wyszkolonych już kadr: Polaków mających za sobą służbę pod banderami państw zaborczych. Miesięcznik „Ilustracja Polska" informował w grudniowym numerze, że: „Na dworcu wiedeńskim rozlepiono ogłoszenie, wzywające marynarzy Polaków do wstępowania do organizującej się marynarki polskiej. [...] Marynarze, jak i pionierzy z Klostenburgu i z flotylli na Dunaju mają być [...] z bronią i mundurami przewiezieni do Warszawy. [...] Kilku oficerów marynarki i kilkunastu żołnierzy już przybyło do Warszawy. [...] Na czapkach marynarskich noszą orły polskie"[1]. Podobnie marynarze z floty carskiej i kajzerowskiej przyczepiali do czapek godła Wojska Polskiego.

Dwa miesiące od powstania Marynarki Wojennej został wydany tymczasowy rozkaz określający umundurowanie marynarzy. Mieli oni odtąd nosić mundury ogólnowojskowe, czyli barwy szarej, odróżniając się od innych rodzajów wojsk jasnoniebieskimi wypustkami. Dodatkowym elementem wyróżniającym miało być nowo utworzone godło czapkowe: „orzełek z ryngrafem niebieskim, na ryngrafie żółta, metalowa kotwica"[2].

Umieszczenie kotwicy w polu tarczy amazonek, nazwanej w rozkazie ryngrafem, było eleganckim nawiązaniem do dziewiętnastowiecznej tradycji polskiego godła wojskowego, w myśl której w miejscu tym znajdował się numer pułku, monogram oddziału bądź symbol broni. Rozkaz z 1919 r. nie różnicował marynarskich godeł zależnie od stopnia wojskowego; takie rozróżnienie pojawiło się dopiero w 1920 r., wraz z wprowadzeniem w marynarce mundurów granatowych, wzorowanych na brytyjskich. Oficerowie i urzędnicy marynarki dostali wówczas prawo noszenia godeł haftowanych; szeregowym pozostawiono metalowego orła dotychczasowego rysunku.

Lata dwudzieste, lata trzydzieste

W latach 1919–1933 powstało przynajmniej sześć odmian metalowych orłów marynarskich. Zróżnicowanie ich rysunku wynikało z tego, że rozkaz z 1919 r. w najmniejszym nawet stopniu nie precyzował wyglądu godła, ▶

FOT. ZBIORY TOMASZA ZAWISTOWSKIEGO (2)

Niewykończona odbitka orła Marynarki Wojennej z zasobu półproduktów ocalonych z pracowni Wiktora Gontarczyka. W prawym dolnym rogu widoczna jest łapa łotwicy wybitej matrycowo na tym samym kawałku blachy co orzeł.

Grupa marynarzy z ORP „Warta”. Zdjęcie z lat 1924–1927.

FOT. ZBIORY TOMASZA ZAWISTOWSKIEGO

1

2

ZBIORY MUZEUM NARODOWEGO W KRAKOWIE. FOT. TOMASZ ZAWISTOWSKI

1. Jeden z orłów Marynarki Wojennej z lat dwudziestych na czapce marynarza z trałowca ORP „Mewa”.

2. Orzeł Marynarki Wojennej wykonany w warszawskiej pracowni Wiktora Gontarczyka.

Wygląd godeł uległ zasadniczej zmianie w 1933 r., kiedy Kierownictwo Marynarki Wojennej opracowało bardzo precyzyjny dokument zatytułowany *Warunki techniczne materjałów wojskowych*, w którym uwzględniono również metalowe orły marynarskie. Od tej pory gros produkcji przejęły dwa warszawskie przedsiębiorstwa, które swoje orły znakowały cechami ESEF i GUZPOL. Pierwsza sygnatura pochodziła od inicjałów nazwisk właścicieli, H. Skarnika i M. Fiszbeina, druga była nazwą firmy należącej do Lejzora Młynka. Obie firmy, których zasadniczym profilem była produkcja guzików – mając podpisane kontrakty na wysokonakładowe dostawy orłów ogólnowojskowych – wykorzystały istniejące już ich matryce do produkcji godeł marynarskich, dodając na tarczach kotwice, a na rewersach nietypowe zaczepy w postaci omeg, wymagane przez *Warunki techniczne*. Nie spotyka się orłów zgodnych z *Warunkami technicznymi*, które byłyby niesygnowane, można więc przypuszczać, że w latach 1933–1939 jedynie trzy firmy produkowały metalowe orły marynarskie. Obok dwóch wspomnianych wytwórców warszawskich, orły produkowała poznańska spółka S. Jabłoński – co prawda w mniejszym nakładzie niż konkurenci ze stolicy, ale za to w dwóch odmianach rysunku.

We wspomnianej wcześniej liczbie sześciu godeł marynarskich sprzed 1933 r. znajduje się jedno, którego krój jest wśród ówczesnych orłów najwierniejszym odwzorowaniem rysunku załączonego do rozkazu z 1920 r. Prezentowany tutaj egzemplarz ze zbiorów Muzeum Narodowego w Krakowie ma pole tarczy pokryte grubą, granatową emalią, a na rewersie zaczep w postaci dwóch rozginanych blaszek. Staranność wykonania detali matrycy, użycie emalii w miejsce lakieru i ślady ręcznej obróbki wykańczającej na powierzchni wyraźnie wskazują, że jest to wyrób pochodzący z wysokiej klasy warsztatu, a jego cena z pewnością nie była niska. Orzeł nie jest sygnowany przez producentów, poprzestając na określeniu barwy pola tarczy i zaznaczeniu obecności kotwicy. Szkic orła zamieszczony został dopiero w rozkazie z 1920 r., ale producenci – z wyjątkiem jednego – interpretowali go co najmniej elastycznie. Co więcej, brak sygnatur na wyrobach uniemożliwia zidentyfikowanie choćby jednego z producentów wspomnianych odmian.

centa, ale ostatnio pojawił się ślad pozwalający powiązać go z renomowaną warszawską pracownią Wiktora Gontarczyka.

Pracownia w Pałacu Arcybiskupim

Mało kto z mijających warszawski, odbudowany Pałac Arcybiskupi zdaje sobie sprawę z tego, że do 1944 r. przylegające do ulicy Miodowej szczyty skrzydeł tego budynku, dzisiaj odstraszające martwymi, zakratowanymi oknami, wypełnione były witrynami sklepowymi. Według dawnych ksiąg adresowych mieściły się w nich między innymi zakład krawiecki H. Kotowicza, sklep z konfekcją damską Nomy Librosen i zakład ślusarski Jana Czechowicza. Oprócz nich, od 1918 r., znajdowała się w skrzydle pałacu „Pracownia wyrobów artystycznych w bronzie, srebrze i złocie Wiktora Gontarczyka".

Taka lokalizacja prywatnej firmy nie była na owe czasy niczym dziwnym; w innych warszawskich pałacach również mieściły się większe i mniejsze przedsiębiorstwa.

Z biegiem lat pracownia się rozrastała, zatrudniając w szczytowym okresie 40 osób. Produkowała zarówno wyroby seryjne, jak i nieprzeciętnej klasy dzieła jednostkowe. Najważniejsze zamówienia płynęły z wysokich sfer rządowych, poczynając od Kancelarii Prezydenta RP i od Głównego Inspektoratu Sił Zbrojnych, a także od władz kościelnych. Z najistotniejszych prac należy wymienić buławy dla marszałków Józefa Piłsudskiego i Ferdynanda Focha, szablę dla króla Rumunii oraz pierwszą trumnę Józefa Piłsudskiego i urnę na jego serce. Nie mniej prestiżowym zadaniem było wykonanie znacznej liczby głowic wojskowych sztandarów.

Założyciel i właściciel pracowni za młodu studiował w Warszawie i w Paryżu; przez lata pracy stał się postacią na tyle znaną, że w 1938 r. poświęcono mu biogram w *Czy wiesz kto to jest?*, ówczesnym polskim *Who is who*. W ten niebagatelny sposób uhonorowano jedynie dwóch złotników, drugim był Stanisław Lipczyński, starszy cechu i były członek Tymczasowej Rady Stanu. Wysoka pozycja towarzyska i związane z nią liczne znajomości w sferach rządowych, wojskowych i kościelnych umożliwiały Gontarczykowi pozyskiwanie intratnych zamówień. Wykonanie odznak pamiątkowych dla ponad 100 pułków, batalionów i szkół wojskowych stawia go na niekwestionowanej pierwszej pozycji wśród wytwórców tej grupy wyrobów.

Budynek pałacu legł w gruzach podczas Powstania Warszawskiego. Po wojnie pracownia wznowiła działalność na Krakowskim Przedmieściu, ale wskutek przejęcia pod przymusowy zarząd państwowy została zamknięta w 1951 r. W ostatniej chwili udało się uchronić część ruchomości, między innymi spory zapas niewykończonych odbitek przedwojennych odznak i oznak. Półprodukty te, na kilkadziesiąt lat ukryte w ziemi, dzisiaj stanowią cenne źródło informacji, dzięki któremu można określić autorstwo niektórych anonimowych dotąd wyrobów falerystycznych. Znajdująca się wśród nich niewycięta odbitka godła marynarskiego, wytłoczona wraz z fragmentem kotwicy w kawałku blachy z białego metalu, pozwala twierdzić, że orzeł prezentowany na stronie obok tytułu pochodzi z pracowni Wiktora Gontarczyka.

Wspomniane wcześniej firmy ESEF, GUZPOL i Jabłoński nie były dla Wiktora Gontarczyka konkurencją. Podstawę ich egzystencji stanowiły wysokonakładowe serie tanich wyrobów masowych na zamówienia wojskowe, przede wszystkim guzików i orłów. Gontarczyk zaś stawiał na wysoką jakość wykonania i staranne wykończenie, co z jednej strony wymuszało niższą liczebność serii produkcyjnych, ale z drugiej pozwoliło mu zyskać opinię wytwórcy wyrobów luksusowych. Trudno przypuszczać, by w ogóle brał udział w przetargach na dostawy hurtowe, do których stawali dostawcy wojskowi. Staranność wykonania marynarskiego godła nie odbiega od poziomu jakości oficerskich odznak pamiątkowych i jednoznacznie określa jego przeznaczenie dla klienta indywidualnego, który za piękny wyrób zechce zapłacić godziwą cenę.

Profesjonalnie zaprojektowana matryca pozostawiała w polu tarczy amazonek dwa wypukłe punkty, pozycjonujące miejsca nawiercenia otworów do zamocowania kotwicy. Każdy egzemplarz orła wycinany był ręcznie z ogromną dbałością o szczegóły, zauważalną przede wszystkim w delikatnym podcięciu ramion krzyża wieńczącego koronę. Przy użyciu tej samej matrycy produkowano również orły ogólnowojskowe, bez emalii i kotwicy. W trosce o staranność wykończenia wypukłe znaczniki ręcznie zeszlifowywano, pozostawiając wewnętrzne pole tarczy amazonek gładkie. Większość zachowanych do dzisiaj godeł ogólnowojskowych z tej serii ma niechlujnie poobcinane korony, co może świadczyć o używaniu ich po 1945 r.

Ostatni akord

Marynarskie godła, wprowadzone w 1919 r., początkowo noszono na nietypowych dla Marynarki Wojennej szarych mundurach ogólnowojskowych. Od 1920 r. używano ich już przy ubiorach barwy granatowej, przyjętej przez większość flot świata. W 1939 r. kapryśny los miał sprawić, że w warunkach wojennych powróciły na mundury barwy ogólnowojskowej. Części marynarzy Flotylli Pińskiej oraz grupie ze Szkoły Podchorążych Marynarki Wojennej, z których formowano odwody wojsk obrony Polesia, wydano polowe mundury wojsk lądowych. Oficerowie zachowali granatowe, marynarskie czapki, a podchorążowie i marynarze przypięli do zielonych, polowych rogatywek orły ze złotymi kotwicami na tarczach amazonek. ■

TOMASZ ZAWISTOWSKI miłośnik historii polskiego orła wojskowego, urzędniczego i szkolnego. Autor pięciotomowego opracowania *Polskie orły do czapek w latach 1900–1945*.

[1] „Ilustracja Polska", grudzień 1918, s. 41. [2] Dz. Rozk. Wojsk. nr 5, Warszawa, 18 stycznia 1919.

Decyzją większości

Liège – belgijski region słynący od wieków z tradycji produkcji różnej broni – dla Polaków jest miejscem, gdzie zrodził się jedyny seryjnie produkowany w naszym kraju rewolwer.

PIOTR KOCYAN

Mowa o rewolwerze Nagant wz. 1895 i jego polskiej odmianie wz. Ng30. Dziś jest to konstrukcja archaiczna, która nie spełnia współczesnych wymagań dla tej klasy broni. Mimo to rewolwery te są obecne na rynku.

Bracia Nagant produkowali rewolwery od końca lat siedemdziesiątych XIX w., a ich największym sukcesem była sprzedaż tej konstrukcji carskiej Rosji i uznanie za etatową broń oficerów i podoficerów jej armii. Kulisy tego zamówienia są do dziś niejasne. Pewny jest tylko konflikt pomiędzy władzami carskimi a Émilem Nagantem o autorstwo i prawa patentowe do karabinu Mosin wz. 1891. Spór zakończyło zamówienie 20 tys. sztuk rewolweru wz. 1895 w belgijskiej wytwórni Nagantów i wniesienie opłat licencyjnych. Z czasem Rosja – potem Związek Sowiecki – rozwinęła jego produkcję na skalę masową w Tule i Iżewsku. Zakończono ją na 2,6 mln sztuk w 1945 r., a do celów sportowych i specjalnych rewolwer był wytwarzany małoseryjnie jeszcze długo po tej dacie. Nagant był rozwinięciem linii rewolwerów tego wytwórcy od modelu M.78, z tym że wz. 1895 miał mechanizm przesuwu bębna na stożek lufy. Rozwiązanie to likwidowało powszechnie występującą szczelinę pomiędzy bębnem a lufą, ale nie zapewniało gazoszczelności. Dopiero amunicja z przewężeniem u wylotu i pociskiem całkowicie schowanym w łusce powodowała uszczelnienie połączenia komory nabojowej i lufy. W momencie zapłonu naważki prochowej dochodziło do rozdęcia stożkowego wylotu łuski i przesłonięcia połączenia. Pocisk opuszczał lufę rewolweru Naganta z prędkością o 30 m/s większą od konkurencji. Konsekwencją tego rozwiązania było kleszczenie się łusek w komorach bębna i konieczność rozładowania rewolweru z wykorzystaniem wypychacza. W połączeniu z pełnym szkieletem i brakiem wychylnego bębna powo-

FOT. JAROSŁAW WIŚNIEWSKI

Pod lufą żerdź do wypychania łusek.

Wymagania prawne nakazują rozwiercić każdą z komór bębna.

Rewolwer Nagant wz. 1895, a właściwie jego destrukt, czyli broń pozbawiona cech użytkowych. Surowe piękno końca XIX w. Moletowane drewniane okładki, profilowany kabłąk i spust. Powyżej odchylona jest dźwignia osłony bębna. Kurek ma ściętą iglicę.

Oś bębna drążona w środku dla pomieszczenia żerdzi wypychacza.

dowało to, że rozładowanie i załadowanie broni stawało się czasochłonne. Broń była jednak niezwykle prosta, ergonomiczna, lekka i niezawodna.

W II Rzeczypospolitej rewolwer Nagant stał się rynsztunkiem wschodniego pogranicza. Używali go Sergiusz Piasecki, autor *Żywota człowieka rozbrojonego*, a także... wielu przemytników. Korpus Ochrony Pogranicza sygnalizował, że sowieckie grupy dywersyjne korzystały z wytłumionych wersji rewolweru. Nagant z racji gazoszczelności stanowił jedyną konstrukcję, w której można było zastosować tłumik dźwięku.

Policja Państwowa w owym okresie także używała tej broni. Na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych XX w. formacja ta zdecydowała się wprowadzić etatową broń krótką. Początkowo wskazano na pistolet Browning FN Mle 1900, ale wytwórca zaprzestał jego produkcji. Rozważano też zakup czeskiego vz. 27, ale wybór pistoletu Vis wz. 35 przez armię przekreślił negocjacje. Policja zasięgnęła opinii swoich funkcjonariuszy, a ci opowiedzieli się za rewolwerem Nagant jako znanym i pewnym w działaniu. Problem szybkości ładowania zszedł na drugi plan, gdyż nikt nie zamierzał prowadzić długich wymian ogniowych. Potem toczyły się trudne negocjacje z Państwową Wytwórnią Uzbrojenia dotyczące ceny broni. Ich zakończenie przyspieszyło wejście do gry firmy Perkun, która stała się konkurentem dla warszawskiej Fabryki Karabinów. Dziewięćdziesiąt osiem złotych – taka była ostateczna cena, a zamówienie miało wynosić 30 tys. sztuk. Wszystkie egzemplarze miały zostać wykonane przez wytwórnie należące do PWU. Nagant wz. Ng 30 w rękach policjantów stał się faktem. Szacuje się, że do wybuchu wojny dostarczono ponad 19 tys. sztuk tej broni w dość nieregularnych dostawach.

Nagant – zarówno polski, jak i sowiecki – funkcjonował w podziemiu przez całą okupację. Był używany w wielu akcjach dywersyjnych, między innymi w słynnej akcji pod Arsenałem. Z czasem przeszedł do drugiej linii właśnie przez kłopotliwy sposób przeładowania. Po 1942 r. problemem stało się zaopatrzenie w amunicję 7,62x38R mm. Broń zaczęto przerabiać na amunicję 7,62x25 mm TT. Nagantów używało białostockie i lubelskie podziemie niepodległościowe. Wiele egzemplarzy tak przerobionych trafiło do magazynów urzędów bezpieczeństwa publicznego po amnestii w 1947 r. Przez okres PRL Naganty pojawiały się w kronikach kryminalnych i były w wyposażeniu Milicji Obywatelskiej. W latach pięćdziesiątych w Radomiu dokonano ich przeróbki na broń gazową z zastosowaniem amunicji specjalnej 7,62x25 mm CN. Pod koniec wieku broń doczekała się kolejnej przebudowy i stała się rewolwerem hukowym wykorzystywanym do szkolenia psów policyjnych. Z oficjalnych dokumentów wynika, że dotrwała do 2010 r.

Nagant stał się też domniemanym bohaterem morderstwa gen. Marka Papały. Użyta amunicja i brak łuski wskazywały na wykorzystanie rewolweru. Z uwagi na istnienie sporej liczby rewolwerów Nagant strzelających amunicją od pistoletu TT nie wykluczano użycia broni w tej odmianie. W materiałach prasowych dominowała jednak wersja z wykorzystaniem pistoletu Tokariewa.

Rewolwer Nagant to konstrukcja odrębna z uwagi na tzw. gazoszczelność. Jest to również broń, która – jak żadna inna – stanowi symbol stulecia niepodległości. ■

PIOTR KOCYAN magister inżynier, konstruktor mechanik, bronioznawca, członek Security Direct. Specjalizuje się w zagadnieniach uzbrojenia, lotnictwa i energetyki jądrowej. Autor ok. 100 publikacji z dziedziny budowy, eksploatacji i produkcji broni w miesięcznikach „Arsenał" i „W Sieci Historii".

Ceremoniał wojskowy zawiera elementy, które choć nie mają długiej tradycji w historii wojskowości, zajmują szczególne miejsce w życiu każdej jednostki i każdego garnizonu. Są to apel poległych i apel pamięci.

MARIUSZ KUBAREK

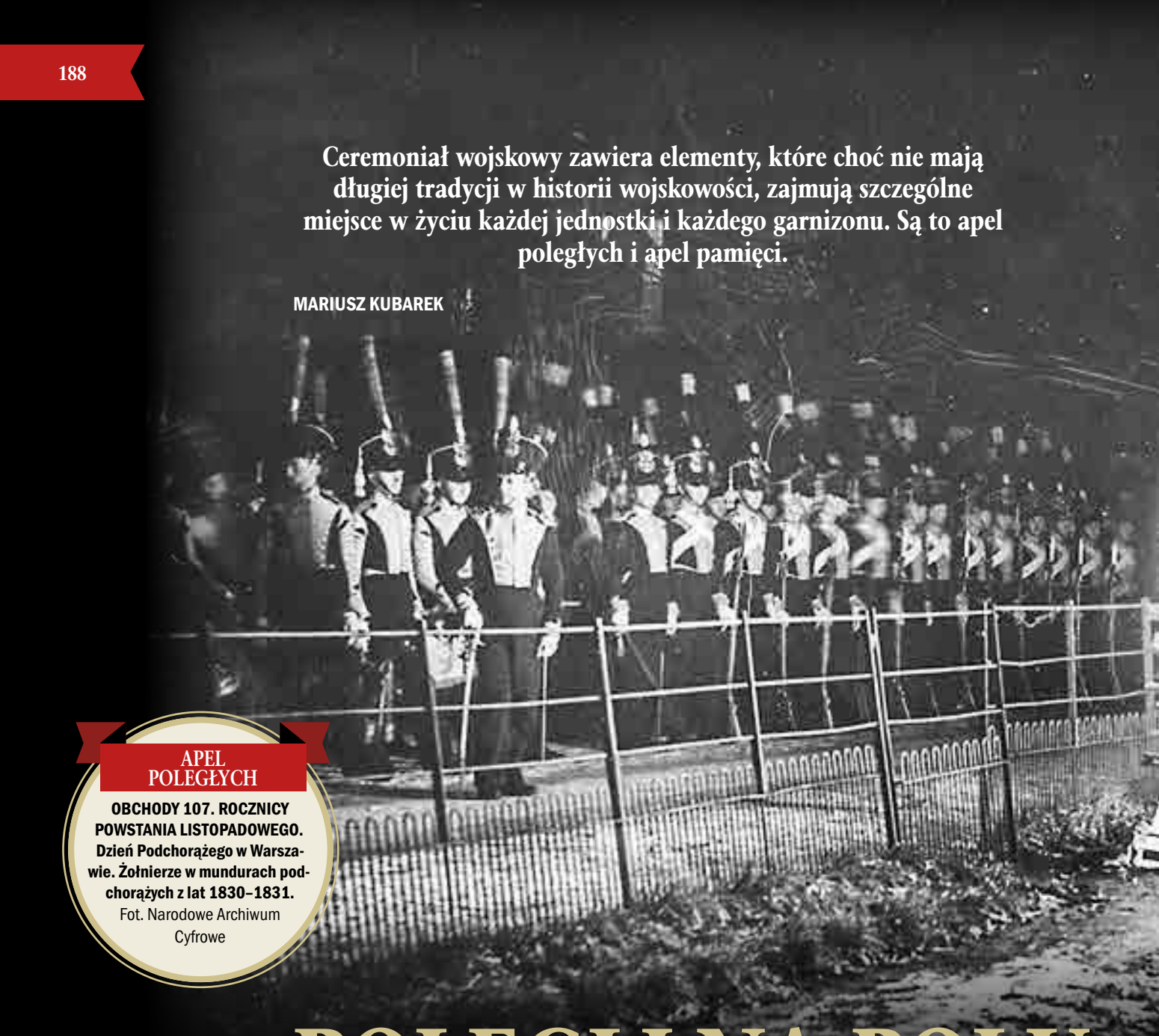

APEL POLEGŁYCH

OBCHODY 107. ROCZNICY POWSTANIA LISTOPADOWEGO. Dzień Podchorążego w Warszawie. Żołnierze w mundurach podchorążych z lat 1830–1831. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

POLEGLI NA POLU

Wspominanie poległych towarzyszy broni sięga najdawniejszych czasów i przez wieki przybierało ono najróżniejsze formy. Imiona kompanów przywoływano podczas Mszy żałobnych, spotkań, o kolegach pisano pieśni i poematy. Jednak dopiero w XIX i XX w. zaczął kształtować się zwyczaj, który z czasem w wielu państwach przerodził się w ceremonię wojskową, podczas której odczytywano nazwiska żołnierzy, którzy odeszli na wieczną wartę i nie stawili się na zarządzony apel. W Polsce tradycja apeli poległych pojawiła się na początku lat trzydziestych ubiegłego wieku. Po długich walkach o odzyskanie niepodległości i w obronie granic – pamiętano o kolegach, z którymi ramię w ramię stawano do boju.

Po I wojnie światowej

Apele organizowano głównie w jednostkach z okazji świąt pułkowych. Odbywały się one na placach apelowych lub cmenta-

CHWAŁY

rzach, na których spoczęli żołnierze danego pułku. Nie było narzuconego ceremoniału apeli, ich przebieg ukształtował się z czasem, przybierając różne formy dla rodzajów wojsk.

Ogólny scenariusz był taki sam. Cały stan pułku ze sztandarem i orkiestrą przybywał na miejsce apelu. Następnie przy akompaniamencie werbli jeden z oficerów odczytywał kolejno nazwiska poległych. W odpowiedzi po każdym nazwisku pułk wołał: „Poległ na polu chwały". W jednostkach lotniczych odezwą było: „Zginął śmiercią lotnika". Marynarka Wojenna apele przeprowadzała na pokładach okrętu lub placach apelowych. Odpowiedzią na zawołanie było: „Zginął śmiercią marynarza".

Czasami apele poległych odczytywane lokalnie w garnizonach stanowiły niezwykłe widowiska, a o ich formie decydowała pomysłowość organizatorów.

W 1937 r. w 10. rocznicę powstania Szkoły Podchorążych Lotnictwa w Dęblinie przeprowadzono apel w ramach capstrzyku z udziałem przybyłych absolwentów. Najpierw w defiladzie szły kolumny marszowe oficerów, gdzie w szyku zostawiano wolne miejsca po tych, co zginęli. Potem „na tle zapalonego stosu kpt. pil. Władysław Polesiński, stojący na podwyższeniu, wzniósł ręce do góry i przywołał poległych. W tym momencie rozległ się coraz bardziej nasilający się warkot silników samolotowych. Jakby Oni nadlatywali. Kobiety mdlały. Był to bardzo wzruszający i tragiczny moment. Później szum silników coraz bardziej cichł, a wszyscy byli przekonani, że to polegli odlatują do nieba"[1].

Oprócz apeli w jednostkach organizowano również centralne apele poległych przeprowadzane wieczorem we Wszystkich Świętych, później również w wigilię Święta Niepodległości przed Grobem Nieznanego Żołnierza. Inicjatorami byli kombatanci, którzy w towarzystwie pododdziałów rezerwistów i strzelców ze Związku Strzeleckiego, skandując, odczytywali odzew: „Cześć ich pamięci" po każdorazowym przywołaniu do apelu żołnierzy z lat 1914–1920. Na zakończenie tych uroczystości odbywała się modlitwa za poległych i wykonywano pieśni żołnierskie[2].

Po II wojnie światowej

Po II wojnie apele poległych nabrały nowego wymiaru. Weszły na stałe do programu wszystkich ważniejszych uroczystości o charakterze patriotycznym. Za wzór przyjmowano apel odczytany na placu Zwycięstwa w Warszawie 8 maja 1946 r., w przeddzień obchodzonej wówczas rocznicy zwycięstwa nad hitlerowskimi Niemcami.

Chronologicznie wzywano w nim żołnierzy polskich z brygad międzynarodowych z wojny w Hiszpanii, żołnierzy września 1939 r., zbrojnego podziemia i partyzantów. Później żołnierzy regularnych jednostek Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie oraz ruchu oporu we Francji i w Jugosławii. Wymieniano miejsca, takie jak Monte Cassino, Bolonia, Narwik i Tobruk. Najdłużej wspominano szlak i żołnierzy ludowego Wojska Polskiego wraz z żołnierzami armii sowieckiej. Na koniec przywoływano żołnierzy wszystkich formacji „ładu wewnętrznego i bezpieczeństwa", zabitych w walce z reakcyjnym podziemiem i wewnętrznym wrogiem Polski[3].

To, co przez lata było wyłącznie uroczystością wojskową, zmieniło się w 1975 r., kiedy to z okazji trzydziestolecia zakończenia wojny odbyły się uroczystości centralne z udziałem najwyższych władz ▶

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

partyjnych, delegacji zagranicznych i korpusu dyplomatycznego. Wówczas po raz pierwszy w apelu poległych wezwano również bohaterów pracy „wznoszących w ciężkim znoju dom socjalistycznej Polski”[4].

Ale apele poległych funkcjonowały również poza uroczystościami centralnymi. Ceremoniał wojskowy z 1973 r. wymienia apel poległych wśród podstawowych ceremonii wojskowych. „Apel Poległych jest wyrazem hołdu dla żołnierzy poległych w walkach o wolność Polski i utrwalenie władzy ludowej. Przeprowadza się go w przeddzień Święta Zmarłych, Dnia Zwycięstwa, rocznic wyzwolenia większych regionów […] oraz święta jednostki wojskowej mającej tradycje bojowe”[5].

Podobnie jak przed wojną, za organizację apelu odpowiadał dowódca garnizonu, zmienił się jednak przebieg uroczystości. Udział w apelu brały poczty sztandarowe, orkiestra i pododdziały jednostek wojskowych. Nowym elementem była kompania honorowa i to tylko jej żołnierze odpowiadali na odezwę. Wprowadzono również żołnierzy z pochodniami i wartę honorową przy miejscu pamięci, gdzie odczytywano apel. Ceremoniał szczegółowo określał miejsce oficera odczytującego apel i jego predyspozycje: „Podium, z którego odczytuje się apel, powinno znajdować się po prawej stronie symbolu pamięci narodowej”[6], „powinno się wyznaczać oficera, który ma dobrą dykcję, odpowiednią siłę i barwę głosu oraz wzorową prezencję”[7], a nawet ustawienie żołnierzy z pochodniami: „dwóch po obu stronach posterunku honorowego w odstępie jednego kroku; po dwóch w lukach między pododdziałami na wysokości pierwszego szeregu”[8].

W treści apelu ceremoniał dopuszczał z okazji święta jednostki wymienienie wszystkich nazwisk poległych jej żołnierzy lub tylko niektórych oraz miejsc bitew. Zapisane też było, że każdy apel kończy salwa honorowa. Jeżeli po apelu następowało złożenie wieńców, na koniec uroczystości grano *Międzynarodówkę*.

Opisany był również ceremoniał na okrętach Marynarki Wojennej noszących nazwy okrętów, które zatonęły w walce. „Załoga okrętu staje na zbiórce na pokładzie. Wzdłuż burty obok drzewca rufowego ustawia się warta honorowa”[9]. Apel odbywał się przy opuszczeniu bandery do połowy i kończył podniesieniem jej lub opuszczeniem (po zachodzie słońca), zaś odczytywał go dowódca okrętu lub wyznaczony przez niego oficer. Kompania honorowa nie strzelała salwy.

Po zmianach ustrojowych pod koniec lat osiemdziesiątych XX w. w trakcie uroczystości centralnych zaczęły się pojawiać apele, których treść związana była ściśle z wydarzeniem, do którego nawiązywały. Zaczęto przywoływać bohaterów polskiego czynu zbrojnego od początku naszej państwowości.

W ceremoniale wojskowym z 1995 r. zmiany dotyczące przeprowadzania apeli nie były duże. *Międzynarodówkę* zastąpiono utworem okolicznościowym i zrezygnowano z żołnierzy z pochodniami przy wartownikach. Przebieg samej ceremonii nie zmienił się. Po odegraniu hymnu RP oficer wyznaczony do odczytania wchodził na podium. Po każdym zwrocie: „Wzywam

Święto 30 Pułku Strzelców Kaniowskich w Warszawie. Apel poległych na Rynku Starego Miasta. Czerwiec 1937 r.

Was do apelu" lub „Stańcie do apelu" żołnierze kompanii honorowej odpowiadali: „Polegli na polu chwały" lub „Chwała bohaterom". Po słowach kończących apel trzykrotnie odpowiadali: „Cześć ich pamięci". Apel kończyła salwa honorowa.

Apel pamięci, apel poległych

Obecnie zgodnie z obowiązującym ceremoniałem wojskowym z 2014 r. funkcjonują dwa rodzaje apeli. Apel pamięci i apel poległych. O apelu pamięci mówimy, gdy w jego treści przywoływane są osoby, które nie poległy w boju. Jednak jeśli w przeważającej treści apelu wymienia się tych, którzy zginęli podczas działań wojennych, mówimy już o apelu poległych. Zarówno jeden, jak i drugi apel przeprowadza się z okazji świąt państwowych i wojskowych oraz rocznic historycznych wydarzeń w miejscach związanych z dziejami narodu polskiego: na cmentarzach wojennych, przy pomnikach i tablicach pamiątkowych.

Tekst apelu powinien być opracowywany przez organizatorów uroczystości i, po zatwierdzeniu przez dyrektora komórki organizacyjnej Ministerstwa Obrony Narodowej realizującej zadania z zakresu ceremoniału wojskowego, przekazany do dowódcy kierującego wojskową asystą honorową. Przykładowe treści apeli są obecnie załącznikiem do ceremoniału. Jeśli w uroczystości bierze udział wojskowa asysta honorowa, tekst apelu powinien być odczytywany przez oficera z jednostki wojskowej wystawiającej asystę, zaś podczas uroczystości organizowanych przez komendantów szkół podoficerskich tekst apelu może być odczytany przez podoficera.

Tekst apelu odczytuje się powoli i wyraźnie. Po zawołaniu: „Stańcie do apelu" żołnierze stojący w szyku kompanii honorowej odpowiadają na przykład: „Polegli na polu chwały", „Chwała bohaterom", „Zginęli śmiercią męczeńską", „Zginęli śmiercią marynarza", „Zginęli śmiercią lotnika" „Cześć ich pamięci". Po odpowiedzi żołnierzy werbliści grają tremolo, a po ostatniej odpowiedzi tremolo grane jest trzykrotnie.

W Marynarce Wojennej powszechny jest nadal zwyczaj składania wieńców i wiązanek na morzu ku czci załóg zatopionych okrętów. Gdy okręt dopłynie do miejsca uroczystości (może to być nabrzeże lub punkt zatopienia), na jego pokładzie zarządza się zbiórkę załogi. Wówczas dowódca lub osoba przez niego wyznaczona wygłasza okolicznościowe przemówienie, które kończy słowami: „Cześć ich pamięci". Załoga odpowiada: „Polegli na polu chwały" lub „Zginęli śmiercią marynarza".

Na okrętach noszących nazwy jednostek, które zatonęły w czasie walki, w przeddzień rocznicy zatonięcia okrętu w godzinach wieczornych organizuje się apel poległych. Do apelu załoga ustawia się na zbiórce na pokładzie, a podczas apelu banderę opuszcza się do połowy. Jeżeli okręt jest zacumowany w macierzystym porcie, to w apelu poległych lub apelu pamięci oprócz załogi mogą wziąć udział przełożeni i zaproszeni goście. Podczas uroczystości załoga staje na zbiórce na pokładzie, a pozostali uczestnicy znajdują się na nabrzeżu. Po odczytaniu treści apelu oddaje się salwę honorową, po której można złożyć wieńce lub wiązanki w miejscu upamiętniającym poległych marynarzy albo opuścić je do morza.

Ponieważ ceremoniał wojskowy jest dokumentem dostosowującym się do potrzeb zmieniającej się armii, w najnowszej propozycji do nowelizacji zgłoszono poprawkę, zgodnie z którą w sytuacjach wynikających z konieczności zachowania warunków bezpieczeństwa, na przykład w polskich kontyngentach wojskowych lub obiektach zamkniętych, po odczytaniu tekstu apelu pamięci lub apelu poległych nie oddaje się salwy honorowej.

Apele poległych pozwalają zachować w pamięci historię polskiego oręża i wspominać bohaterów. Są domeną wojska, a rangi nadaje im odczytywanie listy nazwisk i nazw pól bitewnych przez oficerów Wojska Polskiego, towarzyszy broni. Do dzisiaj wspominanie w czasie wieczornych apeli tych, którzy odeszli, kultywowane jest w niektórych jednostkach dziedziczących tradycje pułków kawaleryjskich, gdzie przedwojennym zwyczajem w przeddzień święta jednostki na zbiórkę przywoływany jest każdy poległy żołnierz. ■

MARIUSZ KUBAREK pułkownik, naczelnik Wydziału Protokołu Wojskowego Departamentu Wojskowych Spraw Zagranicznych Ministerstwa Obrony Narodowej.

[1] F. Kusiak, *Życie codzienne oficerów drugiej Rzeczypospolitej*, Warszawa 1992, s. 226. [2] *Historyczny rodowód polskiego ceremoniału wojskowego*, red. L. Ratajczyka, Warszawa 1981, s. 389. [3] Tekst apelu poległych, *Polegli na polu chwały 1939–1945*, Warszawa 1974. [4] „Żołnierz Wolności", 10.05.1975. [5] *Ceremoniał wojskowy*, Warszawa 1973, s. 49. [6] Tamże, s. 52. [7] Tamże, s.52 [8] Tamże, s. 52 [9] *Ceremoniał wojskowy*, Warszawa 1973, s. 55.

Przewodnik po miejscach, których już nie ma

Ujazdów, część VI

Budowa Zamku Ujazdowskiego – murowanej siedziby królewskiej – i dalsze jego losy znacząco wpłynęły na status Ujazdowa.

ROBERT MARCINKOWSKI

Stanisław August Poniatowski po objęciu tronu rozpoczął wiele inwestycji, które miały zapewnić jego królewskiej osobie odpowiedni prestiż i wygodę w funkcjonowaniu „na urzędzie". Jednym z miejsc szczególnego zainteresowania władcy był warszawski Ujazdów. W 1764 r. Stanisław August nabył ową posiadłość i bezzwłocznie przystąpił do jej urządzania. Plany miał zakrojone z iście królewskim rozmachem i – kto wie – może by je i zrealizował, gdyby nie pogarszająca się sytuacja polityczna, która zakończyła się utratą niepodległości przez Polskę. Stanisław August wraz z rozbiorami stracił władzę, a swych dni dożywał w Rosji pod czujnym okiem carycy Katarzyny.

Według królewskich planów pod skarpą wzdłuż Kanału Piaseczyńskiego miał powstać park sięgający aż do Wisły. Obecny Pałac na Wodzie w Łazienkach miał mieć symetryczny odpowiednik w okolicach obecnej ulicy Górnośląskiej. W Ogrodzie Botanicznym zamierzano wznieść Świątynię Opatrzności Bożej połączoną z Zamkiem Ujazdowskim monumentalnym, kamiennym mostem przerzuconym nad ulicą Agrykola. Przed samym zamkiem zaś miało rozciągać się pole marsowe wykorzystywane do rewii, pokazów i przeglądu wojsk.

Zamek Ujazdowski, który podczas wznoszenia wystylizowano na starszą, zamkową budowlę, w momencie kupna przez Poniatowskiego miał ok. 150 lat. Pod koniec XVIII w. wszelkie próby przebudowy lub adaptacji według zmieniających się mód i gustów nie przynosiły pożądanych efektów. Prace ciągnęły się latami. Król wprowadzał poprawki i zmiany podczas budowy. Wreszcie po 20 latach zniechęcił się tak bardzo, że odstąpił od kontynuowania budowy. Całą uwagę skupił na znajdującym się pod skarpą tzw. Zwierzyńcu i stojącej w nim Łazience Lubomirskiego.

Szacuje się, że prace adaptacyjne Ujazdowa kosztowały ok. 3 mln ówczesnych złotych, podczas gdy cena za całą posiadłość ujazdowską wynosiła 1,1 mln złotych. Król podarował ten budynek miastu z przeznaczeniem na koszary wojskowe. W ten sposób od 1784 r. losy Ujazdowa zostały związane z armią, szybko ewoluując w kierunku szpitalnictwa wojskowego. Oprócz zakwaterowanych tu oddziałów wojskowych, od samego początku działał lazaret.

Autorem adaptacji zamku na koszary był ppłk Stanisław Zawadzki z korpusu inżynierów. Wówczas to powstało tu wiele nowych obiektów, a nieliczne istniejące, z zamkiem na czele, przebudowano, nadając im jednolity kostium architektoniczny w stylu akademickiego klasycyzmu. Na początek osadzono tu 550 żołnierzy regimentu gwardii pieszej Wielkiego Księstwa Litewskiego i 11 Regiment Piechoty (później przemianowany na 10) im. Ordynacji Rydzyńskiej, szefostwa Ignacego Działyńskiego powszechnie zwany działyńczykami – w sile ok. 1300 żołnierzy, którzy wsławili się dzielną postawą podczas Powstania Kościuszkowskiego. To między innymi oni rozbili oddziały rozstawione od Ujazdowa aż po Krakowskie Przedmieście i pokonali ostatecznie wroga w okolicy ulicy Świętokrzyskiej. Wydarzenia te wydatnie przyczyniły się do wyparcia z Warszawy 18 kwietnia 1794 r. okupujących miasto oddziałów rosyjskich.

Z początkiem listopada 1794 r. rejon Ujazdowa i pobliskich Łazienek stał się punktem zbornym dla polskich sił zbrojnych całego warszawskiego garnizonu. Koncentrację wojsk poprzedziły narady króla z naczelnikiem powstania Tadeuszem Kościuszką na temat dalszych ruchów armii i utrzymania porządku w ogarniętej powsta-

FOT. ZBIORY ROBERTA MARCINKOWSKIEGO

FOT. ROBERT MARCINKOWSKI

Brama wjazdowa na teren Szpitala Ujazdowskiego od strony ulicy Pięknej. W tle nieistniejące kamienice przy ulicy Górnej (obecnie Górnośląskiej). Zdjęcie – wykonane na północ z terenu szpitala – uwiecznia przyjazd dostojnika wojskowego samochodem z własnym szoferem. Po prawej: budynek koszarowy w miejscu dawnego pałacu Radziwiłłowskiego, mieszczącego pod koniec XVIII w. pierwszy na tym terenie lazaret. Zupełnie z prawej widać tablice z rozrysowanym planem szpitala.

niem Warszawie. Po zebraniu zaplanowanych sił oddziały polskie wymaszerowały do Radoszyc, gdzie... zostały rozwiązane. Z chwilą opuszczenia Ujazdowa przez armię resztę kompleksu koszarowego wokół zamku zaadaptowano na potrzeby szpitalnictwa wojskowego.

Zbiegło się to w czasie z planowanymi w czasie obrad Sejmu Czteroletniego zmianami w zakresie ówczesnej służby zdrowia. Myślano bowiem o utworzeniu czegoś na kształt centralnego lazaretu wojskowego obsługującego całą armię. Niestety, rozbiór Rzeczypospolitej plany te zaprzepaścił.

Zalążek wojskowej lecznicy działał tu jednak już od czasów Powstania Kościuszkowskiego. Zwano go początkowo Lazaretem Radziwiłłowskim z racji tego, że umiejscowiony był w pałacu Michała Radziwiłła. Dziś znajduje się w tym miejscu Szkoła Podstawowa nr 12 przy ulicy Górnośląskiej 45 róg Jazdowa. Placówka liczyła ok. 1 tys. łóżek. Lazarety zakładano dla poszczególnych pułków. W koszarach ujazdowskich było kilka placówek tego typu. Niezależnie od lazaretów w samym Zamku Ujazdowskim uruchomiono stały szpital wojskowy, którego dokładna data otwarcia trudna jest dziś do ustalenia. ▶

FOT. ZBIORY ROBERTA MARCINKOWSKIEGO

FOT. ROBERT MARCINKOWSKI

Główna aleja szpitalnego kompleksu (obecnie ulica Jazdów). W tle za bramą wjazdową perspektywa ulicy Wiejskiej. Po lewej nieistniejący pawilon szpitalny w miejscu dzisiejszej Ambasady Francji. W centrum kadru konne wozy tramwajowe oznaczone szpitalnym krzyżem – służyły zapewne do transportu rannych bądź to ze stacji kolejowych, bądź między lazaretami na terenie miasta.
Pocztówka z ok. 1915 r., obieg 7-III-1917 r.

Trapezowaty dokument apteczny zwany sygnaturką, którego węższą część za pomocą nitki i laku mocowano do szyjki buteleczki. Resztę złożoną w harmonijkę przytrzymywano gumką. Stąd obecna nazwa gumki-recepturki. Na owym niewielkim skrawku papieru można było znaleźć wiele informacji: od adresu apteki, nazwiska jej właściciela, poprzez nazwisko farmaceuty przygotowującego specyfik, na sposobie dawkowania, dacie wydania i nazwisku sprawdzającego przygotowanie medykamentu kończąc. Nie bez znaczenia był też kolor sygnaturki, którym najczęściej oznaczano zewnętrzne lub wewnętrzne zastosowanie. Widoczna na zdjęciu recepturka pochodzi z apteki mieszczącej się na terenie Szpitala Ujazdowskiego. Data wystawienia: 12-VIII-1930 r., wymiary: 23,3 x 7,5 (2,5) cm.

Wbrew panującej wówczas w armii tendencji dzielenia większych placówek zdrowotnych na mniejsze i przypisywania ich do konkretnych rodzajów wojsk w przypadku warszawskiego garnizonu postanowiono sprawę uporządkować, postępując zgoła odwrotnie. Scalono mianowicie działające na Ujazdowie instytucje w jedną lecznicę zwaną oficjalnie Szpitalem Ujazdowskim. Stało się to na podstawie dekretu ogłoszonego przez wlk. ks. Konstantego 16 lutego 1818 r. ■

ROBERT MARCINKOWSKI absolwent Wydziału Geografii i Studiów Regionalnych Uniwersytetu Warszawskiego. Z wykształcenia i zawodu kartograf. Z zamiłowania varsavianista. Wieloletni członek Komisji ds. Nazewnictwa Miejskiego Rady m.st. Warszawy. Wyróżniony odznaką „Zasłużony dla Warszawy". Autor kilkunastu książek, w tym *Ilustrowanego Atlasu Dawnej Warszawy.*

ANDRZEJ WITKOWSKI

Świat filokartystyki

Cel uświęca środki! Tę słynną maksymę Niccola Machiavellego chciałoby się przywołać, oglądając wybrane pocztówki z okresu I wojny światowej. Propaganda wojenna walczących stron już ponad 100 lat temu osiągnęła niekwestionowane mistrzostwo w gloryfikowaniu militarnych sukcesów swoich armii. Wśród różnych wydawnictw kolportowano między innymi pocztówki, na których często – eufemistycznie rzecz ujmując – uwidaczniano obrazy daleko odbiegające od rzeczywistości. Przykładem są dwa takie wydawnictwa. Teoretycznie nie można im nic zarzucić. Artystyczna wizja daje twórcy duże pole manewru, ale chyba nadmiar wyobraźni artysty przekroczył tu znacznie granice zdrowego rozsądku.

Na pierwszej pocztówce widać nad Warszawą ponad 140-metrowy niemiecki sterowiec Schuttle-Lanz SL2. Zeppelin był uzbrojony w ładunek od 8 do 10 ton bomb. W dolnej części obrazka pokazano ostrzał miasta z ciężkiego moździerza M-Gerät zwanego Grubą Bertą. Na obrazku bardziej przypomina on czeską Škodę wz. 1911, ale nie ma co czepiać się szczegółów. Pocisk z tego monstrum siał spustoszenie, rozpryskując się ponoć na 15 tys. fragmentów. Nic dziwnego, że ówczesne środki społecznego przekazu ostrzeliwujących się stron konfliktu zarzucały sobie nawzajem wyjątkowe barbarzyństwo. Na przykład w „Dzienniku Polskim" z 8 sierpnia 1915 r. czytamy: „Walą granaty w serce Polski, niszcząc owoc kilkuwiekowej pracy! Dzieje się coś okropnego, coś nieumotywowanego żadną potrzebą, coś co o pomstę woła do nieba!". Powiało grozą, choć zniszczenia spowodowane wzajemnym ostrzałem z obu stron nie przyniosły wielkich strat w substancji budowlanej Warszawy.

Wracając do wątku, czyli manipulacji obrazem, na pierwszej pocztówce – z 1915 r. wydanej w cyklu „In Kampf und Warschau" – widać sterowiec, ale już na drugiej, wydanej rok później, w miejscu Zeppelina pojawia się broń nowocześniejsza: bombowiec. Źródła nie podają też informacji, czy sterowce docierały do linii Wisły. Dość skuteczna rosyjska obrona przeciwlotnicza raczej na to nie pozwalała. Żeby było ciekawiej, obie pocztówki ukazują Niemców ostrzeliwujących miasto od strony...Pragi, co w ogóle ma się nijak do rzeczywistości. W tym miejscu po wysadzeniu rano 5 sierpnia 1915 r. mostów na Wiśle (widoczny zniszczony most Kierbedzia) jeszcze przez kilka dni bronili się Rosjanie, a więc oni powinni być pokazani. Poddani cesarza Wilhelma II już tego samego dnia opanowali widoczną na drugim planie lewobrzeżną część miasta, więc Niemcy nie mogli strzelać z Pragi... do swoich towarzyszy broni. Pomieszanie z poplątaniem, ale czy to ma dla kolekcjonerów jakiekolwiek znaczenie? Obie pocztówki warto pozyskać. Są dowodem na to, jak można pokazać ten sam epizod... na wiele sposobów, jak zalecał Machiavelli – cel uświęca środki.

FOT. ZBIORY ANDRZEJA WITKOWSKIEGO

Polska Zbrojna

polska-zbrojna.pl

3 wersje językowe gazety wydanej w 75. rocznicę bitwy pod Monte Cassino

JEDNODNIÓWKI HISTORYCZNE

stylizowana seria edukacyjna

Polska Zbrojna / okolicznościowe wydanie gazetowe / Format A3

Droga żołnierza

Książka dr. Jerzego Kirszaka *Generał Roman Szymański. Żołnierz Pierwszej Kompanii Kadrowej. Zdobywca Monte Cassino* jest jak produkcje polskiej szkoły filmowej, w których twórcy polemizując z narodowymi legendami, jednocześnie eksponowali tkwiące w nich prawdy i piękno.

PIOTR KORCZYŃSKI

O wybitnych jednostkach często mówi się, że za życia były już żywą legendą. Generał Roman Szymański niewątpliwie do nich należał, choć jednocześnie stał się postacią zapomnianą, co było tragicznym rysem wielu polskich bohaterów skazanych po II wojnie światowej na emigracyjną tułaczkę. Publikacja dr. Kirszaka jest więc przede wszystkim biografią oficera należącego do elity Wojska Polskiego. Nieprzypadkowo autor w tytule eksponuje formację, w której gen. Szymański rozpoczął żołnierską drogę – Pierwszą Kompanię Kadrową strzelców Józefa Piłsudskiego. Przynależność do pierwszego od Powstania Styczniowego regularnego oddziału polskiego była nie tylko zaszczytem, ale i zobowiązaniem ofiarnej służby dla Rzeczypospolitej. Generał Szymański pełnił ją wzorowo jako oficer Legionów Polskich, a następnie odrodzonego Wojska Polskiego. Był bohaterskim dowódcą II batalionu 105 Rezerwowego Pułku Piechoty, który w 1920 r. poprowadził do walki z budzącą grozę 1 Armią Konną Siemiona Budionnego. We wrześniu 1939 r. znowu był niepokonany na czele 39 Pułku Piechoty Strzelców Lwowskich. Laury zwycięzcy przypinał i w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie jako dowódca 2 Brygady Strzelców Karpackich. To właśnie żołnierze wtedy pułkownika Szymańskiego opanowali ruiny klasztoru na Monte Cassino w maju 1944 r. Prócz tego, że był bohaterskim dowódcą, został gen. Szymański i wybitnym pedagogiem wojskowym. Nieprzypadkowo jesienią 1944 r. objął komendanturę polskiej Wyższej Szkoły Wojennej w Szkocji. Tytuł pracy kończy fraza: „Zdobywca Monte Cassino". Czytelnik pasjonujący się naszą historią od razu zawaha się w tym momencie, wyczuwając niejednoznaczność. Warto w tym miejscu zacytować autora: „Prowokacja [podtytułu] polega na tym, że ani Roman Szymański, ani zresztą nikt inny nie zdobył klasztoru Monte Cassino, gdyż Niemcy, po wykonaniu powierzonego zadania, sami się stamtąd wycofali. Jednak to właśnie 2 Brygada Strzelców Karpackich płk. Szymańskiego była tą jednostką, której przypadł zaszczyt zdobycia kluczowego wzgórza 593 i zajęcia ruin klasztoru – dlatego słowo «zdobywca» jest częściowo uzasadnione [...]. Sama zaś bitwa symbolizowała bohaterstwo w słusznej sprawie. Czy rzeczywiście jednak danina polskiej krwi pod Monte Cassino była potrzebna? Jeśli odrzucić cały przekaz propagandowy, którym otoczono – zresztą słusznie – żołnierzy 2 Korpusu Polskiego, wydaje się, że ofiara ta nie przyniosła żadnej korzyści sprawie polskiej. Pozostała natomiast nieprzemijająca chwała polskich żołnierzy, na zawsze wpisana w dzieje ojczyste i będąca przedmiotem narodowej dumy".

Jerzy Kirszak, Generał Roman Szymański. Żołnierz Pierwszej Kompanii Kadrowej. Zdobywca Monte Cassino, Instytut Pamięci Narodowej, Warszawa 2019.

Wnioski te mogą niektórych czytelników – przywiązanych do obrazu bitwy pod Monte Cassino nakreślonego sugestywnie przez Melchiora Wańkowicza – szokować. Jednak dr Kirszak, kontestując decyzję wejścia 2 Korpusu Polskiego do tej najkrwawszej bitwy frontu zachodniego, jednocześnie umacnia bohaterski wizerunek polskich żołnierzy, którzy jak najlepiej starali się wykonać śmiertelnie niebezpieczne, a często – wydawałoby się – niewykonalne rozkazy. Generał Szymański jest jednym z takich żołnierzy, o czym świadczy chociażby często cytowany w książce jego bojowy dziennik. Wbrew pozorom autor nie walczy z mitem zwycięskich polskich żołnierzy, lecz przez rzetelne zestawienie faktów czyni go pełniejszym oraz inspiruje do dalszych badań i dyskusji. Biografia gen. Szymańskiego jest pretekstowa, jak to określił sam autor. To oznacza, że prócz pełnego portretu głównego bohatera czytelnik otrzymuje całą galerię postaci spotykanych przez niego w kolejnych etapach życia. To w istocie zbiorowy portret pokolenia, które wywalczyło Polsce niepodległość i nie pozwoliło jej przekreślić w dramatycznych latach II wojny światowej i po jej zakończeniu. ■

KULISY POLSKIEGO

Major Marian Chodacki to postać niezwykła. Uczestnik wojny z bolszewikami, oficer polskiego wywiadu, Komisarz Generalny RP w Wolnym Mieście Gdańsku, kierownik tajnej placówki w Nowym Jorku – mówi historyk dr Dominik Smyrgała o bohaterze swojej najnowszej książki.

FOT. MON

DOMINIK SMYRGAŁA, doktor, specjalista ds. stosunków międzynarodowych i bezpieczeństwa, publicysta, historyk i wykładowca Akademii Sztuki Wojennej w Instytucie Historii Wojskowej. W latach 2017–2018 był wiceministrem obrony odpowiedzialnym za naukę i szkolnictwo wojskowe, pracował też m.in. w Ministerstwie Spraw Zagranicznych oraz Służbie Kontrwywiadu Wojskowego. Jego główne zainteresowania badawcze to: polityka gospodarcza, studia strategiczne i historia wywiadu.

Dlaczego na bohatera książki wybrał Pan mjr. Mariana Chodackiego. Przecież w Oddziale II Sztabu Generalnego zajmującym się wywiadem i kontrwywiadem pracowało wielu innych, bardziej znanych oficerów, jak choćby Jan Żychoń i Jerzy Sosnowski?

Właśnie dlatego go wybrałem, że jest mniej znany, a tematyka jego życia i działalności nie była dotąd poruszana, co w przypadku wyboru tematu pracy naukowej ma dużą wartość. Chciałem też znaleźć oficera, co do którego nie byłoby żadnych wątpliwości dotyczących jego postępowania i mógłby stać się wzorcem dla młodych pracowników wywiadu. Niestety, w przypadku innych oficerów II Oddziału pojawiały się sytuacje niejasne czy budzące wątpliwości, u Chodackiego nic takiego nie znalazłem.

Gdzie szukał Pan materiałów? W Polsce nie ma chyba wielu dokumentów na temat majora.

To prawda. W Archiwum Akt Nowych w Warszawie dostępna jest część dokumentów z Ministerstwa Spraw Zagranicznych z okresu, kiedy pracował tam Chodacki i jego raporty z Wolnego Miasta Gdańska. W Centralnym Archiwum Wojskowym zachowały się dokumenty z jego teczki personalnej, teczki dokumentów odznaczeniowych oraz szczątkowo akta z czasu służby w Oddziale II. Większość uległa zniszczeniu podczas II wojny lub została przejęta przez Niemców. Dlatego moim głównym źródłem były nieznane szerszemu gronu odbiorców dokumenty zgromadzone w archiwum Instytutu Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku.

W latach 1949–1951 Chodacki był dyrektorem tego Instytutu...

Książka jest do nabycia na: sklep.polska-zbrojna.pl Spotkanie autorskie z Dominikiem Smyrgałą odbędzie się 28 czerwca o godz. 17.30 w Centrum Edukacyjnym IPN Przystanek Historia, ul. Marszałkowska 21/25 w Warszawie.

Dominik Smyrgała, *Dwa kroki przed przyszłością. Marian Chodacki jako wzór współczesnego analityka wywiadu*, Warszawa 2019.

To prawda. Są tam też między innymi zgromadzone akta Samodzielnej Placówki Wywiadowczej „Estezet" Oddziału II Sztabu Naczelnego Wodza, którą kierował mjr Chodacki. Placówka działała w latach 1941–1945 w Nowym Jorku. Jej zadaniem było między innymi obserwowanie sytuacji wojskowej i politycznej krajów obu Ameryk, rozwoju komunizmu na tym terenie oraz organizacja sieci placówek wywiadowczych.

W książce przeczytamy o kulisach ukrycia, a następnie odszukania tego archiwum.

To fascynująca historia. Chodacki po ogłoszeniu ustaleń konferencji jałtańskiej miał świadomość, że los naszego kraju jest przesądzony i znajdzie się on pod sowieckim wpływem. Aby ratować siebie i współpracowników, postanowił ukryć archiwum „Estezet", aby nie wpadło w ręce komunistów. Przekazał je do klasztoru Sióstr Nazaretanek w Torresdale w Pensylwanii i obmyślił skomplikowany system wydobycia archiwaliów na wypadek swojej śmierci. Marian Chodacki zmarł w 1975 r., ale dzięki pozostawionym przez niego wskazówkom dokumenty udało się odnaleźć. Okazało się, że w międzyczasie major potajemnie przeniósł archiwa do Instytutu Piłsudskiego. Tam pozostały niezidentyfikowane aż do jego śmierci. To archiwum stanowi najpełniejszą, bezcenną, zwartą kolekcję dokumentów polskiego wywiadu II Rzeczypospolitej.

Czy podczas pracy nad książką odkrył Pan mniej znane i ciekawe fragmenty biografii majora?

Tak, przede wszystkim jego niezwykły talent analityczny, umiejętność interpretacji wydarzeń, ich opisywania oraz przewidywania kolejnych zdarzeń. Zdefiniował i opisał m.in. już podczas II wojny światowej, jak w przyszłości będzie wyglądać wojna hybrydowa. Przeprowadził też analizę książki *Mein Kampf*, pokazując ją jako państwowy dokument doktrynalny, a nie tylko polityczną wizję. Warta podkreślenia jest też jego osobista odwaga. W opiniach kadrowych zarzucono mu brak wojskowego drylu i predyspozycji do służby liniowej. Trzeba jednak pamiętać, że za bohaterskie czyny podczas wojny polsko-bolszewickiej został odznaczony Orderem Virtuti Militari i trzykrotnie Krzyżem Walecznych. W czasie II wojny walczył jako żołnierz Polskich Sił Zbrojnych we Francji i kiedy rozpadł się jego pułk, zorganizował brawurową ucieczkę przez Hiszpanię i Portugalię do Wielkiej Brytanii. Wyjątkowo zasłużył się także jako Komisarz Generalny RP w Wolnym Mieście Gdańsku. Funkcję tę pełnił od 1936 r. do wybuchu wojny, dając wyraz ogromnej odwagi w walce z nazizmem na tym terenie. To naprawdę niezwykła postać.

O wszystkich ciekawych momentach w życiorysie mjr. Chodackiego i kulisach powstawania książki będzie można z Panem niedługo porozmawiać osobiście.

Zapraszam w piątek, 28 czerwca na 17.30 na spotkanie autorskie i prezentację książki *Dwa kroki przed przeszłością. Marian Chodacki jako wzór współczesnego analityka wywiadu*. Spotkanie odbędzie się w Warszawie, w Centrum Edukacyjnym Instytutu Pamięci Narodowej – Przystanek Historia. ■

Rozmawiała Anna Dąbrowska

Patronat honorowy:

Mariusz Błaszczak
Minister Obrony Narodowej

Ornanizatorzy:

MUZEUM OKRĘGOWE
w Nowym Sączu
INSTYTUCJA KULTURY WOJEWÓDZTWA MAŁOPOLSKIEGO

MAŁOPOLSKA

Sądeczanin

Patronat medialny:

RADIO KRAKÓW

HISTORIA POLSKA ZBROJNA

POLSKA ZBROJNA

Patronat honorowy:
Marek Kwiatkowski
Starosta Nowosądecki

Patroni:

FLEXERGIS

Miasto Nowy Sącz

ODDZIAŁ POLSKIEGO TOWARZYSTWA HISTORYCZNEGO NOWY SĄCZ

ZBIERAMY PAMIĄTKI ZWIĄZANE Z HISTORIĄ 1 PUŁKU STRZELCÓW PODHALAŃSKICH

STWÓRZMY WSPÓLNIE WYSTAWĘ W NOWYM SĄCZU, MIEJSCU POWSTANIA GÓRSKICH FORMACJI WOJSKA POLSKIEGO

Kontakt: 18 442 04 42, wew. 24
historia@muzeum.sacz.pl
www.muzeum.sacz.pl

ts dobry tygodnik sądecki
miastoNS
RÓŻA radio NOWY SĄCZ

FOT. STUDIO MTJ

MAŁGORZATA ŁĘTOWSKA
SEKRETARZ REDAKCJI

JÁNOS ESTERHÁZY NIE BYŁ ZWOLENNIKIEM ŻADNEJ IDEOLOGII. BYŁ WIERNY BOGU. DĄŻYŁ DO WSPÓŁPRACY PAŃSTW EUROPY ŚRODKOWEJ.

Pół-Węgier, pół-Polak. Polityk i dyplomata. Męczennik komunizmu. Urodził się w 1901 r. w Nyitraújlak (Veľké Zálužie) na Węgrzech. Pochodził z dwóch arystokratycznych rodów: po mieczu z Esterházych, po kądzieli z Tarnawskich. I kultywował najlepsze tradycje obu narodów.

Gdy w 1920 r. Węgry straciły znaczną część terytorium, wielu ich obywateli znalazło się poza granicami swojego państwa. Majątek Esterházych był w obrębie Czechosłowacji, a po 1938 r. Słowacji. Kiedy w 1938 r. Węgry odzyskały większość utraconych terytoriów, Esterházy pozostał na Słowacji. Przez cały czas bronił praw mniejszości węgierskiej.

Po niemieckiej agresji na Polskę w 1939 r. i jej klęsce organizował przerzut polskich żołnierzy na Węgry, a tam zakwaterowanie dowództwa Wojska Polskiego i opiekę nad polską ludnością cywilną. To on pomógł gen. Kazimierzowi Sosnkowskiemu przedrzeć się do Budapesztu i umożliwił przedostanie się do Paryża, gdzie generał został ministrem polskiego rządu na uchodźstwie.

W czasie II wojny ratował Żydów. Ukrywał ich w swoim majątku Újlak. Jako jedyny wśród obecnych posłów parlamentu słowackiego nie głosował za ustawą o deportacji ludności żydowskiej. Poszukiwało go gestapo. Instytut Yad Vashem w Jerozolimie przyznał mu tytuł Sprawiedliwego wśród Narodów Świata.

Najstraszliwsze doświadczenia spotkały Jánosa Esterházyego jednak nie w czasie wojny, lecz po jej zakończeniu. Gdy po przejściu frontu wyszedł z bratysławskiej kryjówki, zatrzymał go sowiecki patrol wojskowy i przez pewien czas był przetrzymywany w areszcie.

Został ponownie aresztowany i wydany przez Gustáva Husáka bratysławskiej komendanturze NKWD. Esterházyego wraz z dziesięcioma osobami w czerwcu 1945 r. przewieziono do moskiewskiego więzienia na Łubiance. Wszystkich oskarżono o spisek przeciwko Związkowi Sowieckiemu i skazano na wiele lat przymusowej pracy. Esterházyego na dziesięć.

W moskiewskim akcie oskarżenia pojawił się wątek związany z Polską. Esterházy bowiem potępił sowiecki mord na polskich oficerach, których ciała odnaleziono w katyńskim lesie, w wydawanych przez siebie bratysławskich gazetach węgierskich.

Po wyroku przewieziony został do łagrów k. Kniaż Pogost w Republice Komi i w Rokpoście, potem do fabryki porcelany. Nabawił się gruźlicy i ołowicy. Bliscy nie wiedzieli nic o jego losie do 1948 r.

Po skazaniu Esterházyego na śmierć w 1947 r. w Bratysławie czechosłowackie władze poprosiły o jego ekstradycję, która nastąpiła w lutym 1949 r. Prezydent Czechosłowacji Klement Gottwald zmienił wyrok na dożywotnie więzienie. Ciężko chory Esterházy był więziony do śmierci w 1957 r.

Poza współwięźniami i oprawcami jedynym świadkiem zadawanych mu cierpień była jego siostra Maria Mycielska, która bezskutecznie starała się o skrócenie lub złagodzenie kary. Po śmierci brata komunistyczne władze odmówiły jej wydania jego prochów.

O miejscu przechowywania szczątków Jánosa Esterházyego historycy dowiedzieli się dopiero w 2007 r. Wszystko wskazuje na to, że urna z jego prochami znajdowała się w magazynie praskiego więzienia Pankrác. W 1965 r., wraz ze szczątkami innych ofiar, umieszczono ją w zbiorowej mogile w Pradze czeskiej. Od początku lat dziewięćdziesiątych jest to miejsce pamięci.

W 2009 r. za niesienie pomocy polskim uchodźcom w czasie II wojny światowej János Esterházy został pośmiertnie odznaczony przez prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski. W 2019 r. w Krakowie rozpoczął się proces beatyfikacyjny tego męczennika. ■

1919-2019

Książki

czaso pisma

WOJSKOWA BIBLIOTEKA CYFROWA
ZBROJOWNIA

KRAJOWE CENTRUM
DYSTRYBUCJI PUBLIKACJI NATO STO

CZYTELNIA

INFORMACJA NAUKOWA

BAZY DANYCH

WYPOŻYCZALNIA

100 rocznica powołania Centralnej Biblioteki Wojskowej im. Marszałka Józefa Piłsudskiego

BIBLIOGRAFIE

KONFERENCJE

WYDAWNICTWA

SZKOLENIA

DZIAŁALNOŚĆ FILMOWA

WYSTAWY

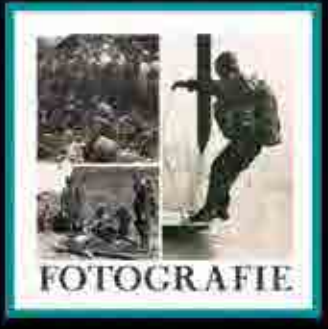

04-041 Warszawa, ul. Ostrobramska 109 cbw.wp.mil.pl